



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumentie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

the 1990s, the number of people with diabetes has increased in all industrialized countries. In the Netherlands, the prevalence of diabetes is estimated to be 6.5% in 1995, which corresponds to 1.5 million people (1).

Diabetes is a chronic disease with a high prevalence of complications. The most common complications are retinopathy, nephropathy, neuropathy, and cardiovascular disease. The prevalence of these complications is high, and the risk of complications increases with the duration of the disease (2).

The most common complication of diabetes is cardiovascular disease. The prevalence of cardiovascular disease is high, and the risk of cardiovascular disease increases with the duration of the disease (3). The most common cardiovascular complication is coronary artery disease, which is the leading cause of death in people with diabetes (4).

The most common complication of diabetes is retinopathy. The prevalence of retinopathy is high, and the risk of retinopathy increases with the duration of the disease (5). The most common retinal complication is proliferative retinopathy, which is the leading cause of blindness in people with diabetes (6).

The most common complication of diabetes is nephropathy. The prevalence of nephropathy is high, and the risk of nephropathy increases with the duration of the disease (7). The most common renal complication is end-stage renal disease, which is the leading cause of dialysis in people with diabetes (8).

The most common complication of diabetes is neuropathy. The prevalence of neuropathy is high, and the risk of neuropathy increases with the duration of the disease (9). The most common neurological complication is peripheral neuropathy, which is the leading cause of foot ulcers in people with diabetes (10).

The most common complication of diabetes is foot ulcers. The prevalence of foot ulcers is high, and the risk of foot ulcers increases with the duration of the disease (11). The most common complication of foot ulcers is amputation, which is the leading cause of disability in people with diabetes (12).

The most common complication of diabetes is blindness. The prevalence of blindness is high, and the risk of blindness increases with the duration of the disease (13). The most common cause of blindness in people with diabetes is proliferative retinopathy (14).





PISMA KRYTYCZNE.

Bracia BAZAŃSCY
KSIĘDZEMIA I SKŁAD NUT
GRUDZIĄDZ, (Poniozce)
ul. Kwidzyńska róg Lipowej.

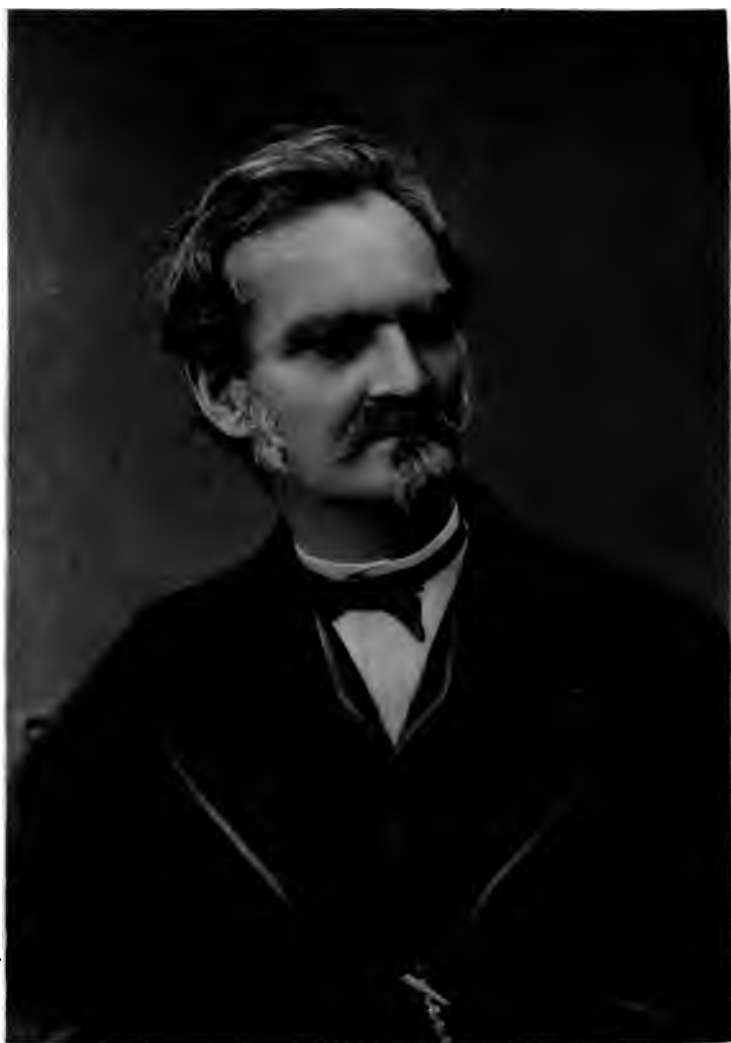
Wydrukowano w drukarni...

INNE PISMA TEGOŻ AUTORA.

- Amerykanka w Polsce, Petersburg, 1837, dwa tomy.
Rys historyczny oświecenia Słowian, Warszawa, 1841.
Morena albo powieści blade, Warszawa, 1842.
Rozbiory i krytyki, Petersburg, 1854, trzy tomy.
Pierwsze zasady krytyki powszechnej, Warszawa, 1870,
dwa tomy.
Wizerunki polskie, Warszawa, 1875.







A. Tziz, nitz

ALEKSANDER TYSZYŃSKI.

PISMA KRYTYCZNE

STARANIEM RODZINY OGŁOSZONE DRUKIEM,
Z PORTRETEM AUTORA I PODOBIZNĄ JEGO PODPISU.

ZEBRAŁ, UŁOŻYŁ I ZARYSEM BIOGRAFICZNO-LITERACKIM
POPZEDZIŁ
PIOTR CHMIEŁOWSKI.

TOM I.
PISMA DO ROKU 1866.

Rajmund Serpel



KRAKÓW — PETERSBURG.
1904.

PG7051

T9

v.1

ALEKSANDER TYSZYŃSKI.

(ZARYS BIOGRAFICZNO-LITERACKI).

Gdzieindziej drobne nawet utwory nie tylko poetów, powieściopisarzy i historyków, ale także krytyków zbierają skrzętnie i wydają w książkach, ażeby nie utonęły w fali niepamięci, pogrążone w zapyłonych czasopismach, do których po upływie lat wyjątkowo tylko ktoś zagląda. Takie postępowanie wynika zarówno ze czci dla znakomitych pisarzy, jak i z chęci utrzymania tradycji naukowej w kraju, ażeby ułatwić jak największej liczbie ludzi możliwość zapoznawania się z tem, co już w danej gałęzi umiejętnej zrobiono.

U nas takiej dbałości, niestety, nie było i niema. Jeżeli sam autor za życia nie zdołał zebrać swoich drobniejszych rozpraw, przepadają one dla większości ukształconych i przepadają na zawsze. Stąd u nas każde nowe pokolenie zwykło zaczynać uprawę naukową tak, jakby przed niem w literaturze panowała pustka; nieznajomość poprzedników jest prawie stałym zjawiskiem. Mianowicie w dziale krytyki daje się to uczuć bardzo dotkliwie i bardzo niekorzystnie dla sprawy uświadomienia narodowego, bo wciąż tylko patrzymy na zagranicę, gdy powinniśmy znać przedewszystkiem rozwój krytyki własnej.

Dzięki pietyzmowi rodziny ś. p. Aleksandra Tyszyńskiego, który był u nas pierwszym gruntownie w filozofii wyćwiczonym krytykiem literackim, rozprawy jego, po czasopismach rozproszone, zostaną uratowane od zapomnienia przez zgromadzenie ich w całość książkową.

Rad jestem serdecznie, że zając się mogłem redakcją i objaśnieniem prac mojego niegdyś profesora w Szkole Głównej. Kilkanaście listów i szereg wspomnień z życia jego dostarczyła mi rodzina; wskutek tego nowego i autentycznego materiału, biografia Tyszyńskiego, dotychczas tak szczupła, mogła się rozszerzyć znamiennymi szczegółami, wśród których rozbiór prac dokonanych musiał oczywiście zająć miejsce wyddatne.

I.

Rodzina Tyszyńskich, pochodząca pierwotnie z województwa krakowskiego, w wieku XVIII-ym osiadła na Podolu. Tu ojciec Aleksandra, Erazm Tyszyński, ukończywszy szkoły w Barze, oddał się zawodowi prawniczemu i wkrótce został urzędnikiem w Sądzie Głównym podolskim. Roku 1806, poznawszy w Dymitraszkwcach, majątku podkomorstwa Modzelewskich, koleżankę młodej pani domu, Teresę Sartyni (Sartini), pobożną, ukształconą i ślicznie czytać umiejącą, ożenił się z nią i porzuciwszy urzędowanie, zamieszkał w Chrestyszczach, niedaleko od Dymitraszkwiec oraz słynnego w dziejach i literaturze Tulczyna.

Sartyniowie nie byli Polakami z rodu. Ojciec Teresy, Antoni, rodził się na Wołoszczyźnie, skąd w wieku młodzieńczym przeniósł się do Galicyi; matka zaś jej, Anna z Dąbrowiczów, pochodziła z rodziny słowacko-węgierskiej; dzieci ich jednak wychowywały się we Lwowie po polsku. Młodszy brat Teresy, Mateusz (ur. 1796), dał się później poznać w piśmiennictwie naszym jako publicysta i badacz języka polskiego pod pseudonimem Śrzeniawy¹⁾.

Niedługo młodzi małżonkowie mieszkali na wsi. Erazma, zdolnego i ukształconego, ciągnęło coś na szersze pole działania. Jeszcze za kawalerskich czasów poznał się z księciem Michałem Ogińskim, wówczas senatorem cesarstwa rosyjskiego, pokładającym wielkie nadzieje w liberalnym monarsze Aleksandrze I-ym. Otrzymałszy od księcia propozycję zajęcia się zarówno jego własnymi jak i ogólno-krajowymi interesami, Tyszyński przeniósł się do Helenowa, w powiecie oszmiańskim gub. wileńskiej, w pobliżu Zalesia, wspaniałej rezydencji Ogińskiego, a w parę lat potem osiadł w Petersburgu z żoną, młodszą jej siostrą, Heleną, i synkiem

¹⁾ Jedno z pism jego przytoczył A. Tyszyński w »Amerykance w Polsce« (t. II, 101—108 w przypisku). Zob. w obecnej książce tom I, str. 57—60. O jego »Wortforschungslehre« pisał obszernie r 1843 w »Bibl. Warsz.«. Zob. »Rozbiory i Krytyki«, t. II, 343—359.

Kazimierzem. Dnia 21 maja (n. s.) 1811 r. przybył mu drugi syn, Aleksander, późniejszy sławny krytyk i profesor historii literatury polskiej w Szkole Głównej warszawskiej.

W Petersburgu Tyszyńscy, z natury położenia, musieli wejść w stosunki towarzyskie z wybitniejszymi przedstawicielami kolonii polskiej oraz z niektórymi Rosyanami. W ich domu bywali prócz Ogińskiego, książę Lubecki, późniejszy minister skarbu za czasów Królestwa kongresowego, generał Wawrzecki, senator Strojnowski, biskup miński Dederko, gubernator miński Sulistrowski, malarz Oleszkiewicz, staruszek Golejowski, niegdyś t. zw. starosta buńczuczny przy królu Stanisławie Augustie, Kukolnikowie, generał Withinghof i wielu innych. W chwilach, wolnych od zatrudnień oraz częstych przyjęć, Tyszyńscy zajmowali się muzyką i literaturą — zwyczajem ówczesnym — francuską; jakoż do dnia dzisiejszego przechował się dość obfity księgozbiór z końca XVIII i początku XIX stulecia.

Z wybuchem wojny r. 1812 tryb życia nagle się zmienił; ustały proszone obiady i przyjęcia; czas spędzano w kółku rodziny i najbliższych przyjaciół, a była nawet chwila, gdy myślano o wyjeździe na wschód, do Kazania... Gdy wojna przeniosła się na zachód, w Petersburgu minęła trwoga; ale do domu Tyszyńskich nie wróciło już dawne ożywienie. W ciągu tych cichych paru lat rodzina powiększyła się o dwie córeczki: Emilię i Klarę. Tymczasem pan domu począł zapadać w smutną zadumę, a z początkiem r. 1815 wprost budził przestęch w otaczających. Przyczyną tego było ogólne zachwianie jego interesów, gdyż te ściśle się łączyły z interesami ks. Ogińskiego, którego majątki uległy spustoszeniu podczas wojny, a książę, naciskany przez wierzycieli, okazał się blizkim zupełnej finansowej ruiny. Mimo to Tyszyński, na wezwanie Ogińskiego (z 30 marca 1815), puścił się na Litwę i do Warszawy, gdzie oczekiwano zmian ważnych, przez Kongres Wiedeński spowodowanych, a mogących otworzyć jakieś widoki i dla jednostek. Z listów, pisanych naówczas do żony, warto poznać parę, wysłanych z Warszawy. Pod datą 7 czerwca donosił Erazm:

»Kilka dni przeleżałem na ciężką gorączkę i dopiero dziś, choć drżącą ręką, mogę Cię upewnić, że żyję dla Was. Prócz Wawrzeckiego, Lubeckiego i Platera, nikogo jeszcze nie widziałem. Przez dzisiejszą pocztę nic więc Ci jeszcze stanowczego nie napiszę, dopóki nie rozpatrzę się w Warszawie, która przy pierwszym na nią spojrzeniu wzbudza jakieś uczucie szczególniejszego ku sobie poszanowania. Nie jest ona mniejszą od Petersburga, a kamienice w niej, lubo mniej ozdobne, wszelako

większą szlachetnością zdają się oddychać. Interesa wymagają, abym się tu zatrzymał do przybycia ks. Adama Czartoryskiego, którego tu niebawem spodziewają się. Od Knyszyna do samej Warszawy prowadziły mię deszcze, wiatry i mrozy. Karczmny brudne, wilgotne i chłodne nabawiły mię febrowej gorączki, która mię przecie za pomocą słynnego tutejszego doktora opuściła zupełnie. Produkta wszelkie i towary ledwie nie w dwójnasób tu droższe od petersburskich. Dwa pokoiki, w których nikt więcej oprócz jednej Ciebie zmieściłby się nie mógł, kosztują ośm złotych pol. na dobę. Po zajęciu Neapolu przez Austryaków może też doczekamy się prędszego pokoju, pokoju w narodach, pokoju w domach i duszach«.

Z 20 czerwca: »Ucieszyłaś mię serdecznie dwoma listami swoimi i przypiskiem Kazimierzowym, których nie spodziewałem się w tem miejscu tak prędko odebrać. Dobrze, że jesteście zdrowi, bo i ja też nie myślę więcej chorować. Tutejszy klimat wyborny dla zdrowia. Drożyzna tylko i nędza krajowa potężnie dają się odczuwać. Rozumiem, że zabawię tu jeszcze najmniej dwa tygodnie i ledwie za pięć będę mógł Was uściskać. Jeszcze z Czartoryskim nic o interesach nie traktowałem. Wszystko odroczone do ukończenia krajowej uroczystości [ogłoszenia nadanej przez Aleksandra I konstytucyi], której program przeczytasz w Gazecie Warszawskiej... Książę Adam będzie tu bawił ciągle, jako pierwszy członek w tymczasowej Radzie Stanu pod prezydencją pana Łanskoja. Ludwik Plater wcielony także do Rady, która ma trwać do dalszego ukazu imperatora-króla. Dotychczasowi urzędnicy Rosyanie mają jeszcze zostawać przy swoich miejscach pięć miesięcy, po których funkcyje ich ustają zupełnie i im zostawia się wolność bądź pozostania w kraju, bądź powrócenia do Rosyi. Podług zasad konstytucyi, podpisanej przez króla, w Polsce mogą urzędować tylko Polacy, albo cudzoziemcy, zaszczytzeni indygenatem i mający aktualną posiadłość w kraju. Polakom zachowuje się ich język, ich prawa dawniejsze polskie, ich skarb, ich wojsko i nawet dawniejsze polskie mundury dla wojska, które ma zawsze pilnować granic polskich. Wiara katolicka ma pierwszeństwo przed wszystkimi innymi wyznaniem. Kościołom zwracają się wszystkie dobra dawniej w narodowe zamienione i nadto jeszcze dodają się nowe w wartości dwóch milionów złp. Królestwo dzieli się na województwa i powiaty. Sejm jest ciałem prawodawczem, uchwała prawa i podatki za sankcyą króla, który zachowuje sobie prawo szafowania łaskami. Publiczność tutejsza nie jest jeszcze uwiadomiona o tych zasadach narodowych i dla-

tego posępnem okiem spoziera na przygotowania do krajowej uroczystości«.

Z 22 czerwca: »Uroczystość wskrzeszenia Królestwa odbyła się. Przysięgi przez obywatelstwo i przez wojsko wykonane. Obiady, uczyty, bal, teatr — wszystko to jednego dnia skończono, a drugiemu ledwie pamiątkę zostawiono. Ja w tych dniach muszę skończyć dzieło mego przeznaczenia i porzucić tę stolicę...«

Chcąc zająć jakiś urząd w Królestwie, musiałby Erazm Tyszyński nabyć jakąś w niem posiadłość, ale wobec zachwiania się majątków Ogińskiego, niepodobna było o tem myśleć. Opuścił więc Warszawę, pojechał w interesach księcia i własnych na Wołyń, potem do Wilna, skąd 25 lipca donosił żonie, że radby wynieść się z Petersburga, zwłaszcza, że mu Ogiński, jako wynagrodzenie za trudy, ofiarowuje klucz Miassotę z kilkoma wioskami (dziś w powiecie wilejskim, w gub wileńskiej, poprzędnio w mińskiej). »Życie na swojej ziemi — pisał — choć mniej okazałe, przenoszę nad wszystkie okazałości świata. Mińsk będzie naszą zimówką, a Miassota letniówką (niech Ci te wyrazy nie obrażają uszu)... Najdalej za trzy dni muszę stąd wyruszyć, obejrzeć Miassotę i śpieszyć do uściskania Ciebie i dziatwy całej. Tu się rozłożyła gwardya pod komendą Miłoradowicza; 22 b. m. Miłoradowicz dawał bal dla tutejszych obywateli z powodu imienin cesarzowej-wdowy; teraz obywatele chcą się wywzajemnić balem dla gwardyi, który będzie dany 7 sierpnia. Ogiński zajmuje się czynnie składkami«. W trzy dni potem pisał między innymi: »U nas kwasy i przymówki (z ks. Ogińskim) częścią, że idzie o pieniądze, częścią, iż ja formalnie zdeklarowałem usunięcie się od plenipotencji; inaczej las miassocki zginąćby musiał. Humor mam niewyśmienity, bo czekam z niecierpliwością rozwiązania się; a wy tymczasem układajcie się tak, aby po mojem przybyciu w parę tygodni najdalej wybrać się i rzucić na wieki tę otchłań goryczki«. W Mińsku dowiedział się, że na wszystkie dobra ks. Ogińskiego senat nałożył sekwestr w celu zabezpieczenia należności wierzycieli, że zatem ksiązę utracił prawo rozporządzania swymi majątkami, a więc i prawo uczynienia rozrachunku z Tyszyńskim przez oddanie mu Miassoty na własność.

Taki cios, druzgocący zamiary urządzenia się na przyszłość, udaremnienie wysiłków wieloletniej pracy, widmo gorąco kochanej rodziny pogrążonej w nędzy, wstrząsnęły organizm, wywołały silną gorączkę, do której Erazm zawsze był skłonny, a która go w 39-ym roku do grobu powiodła. Erazm Tyszyński umarł w Mińsku zdala od swoich, pogrzebany został przez ob-

cych, gdyż wobec ówczesnego braku telegrafów i kolei niepodobna było czekać kilka tygodni na przyjazd rodziny.

Rodzina ta żyła w Petersburgu, o niczem nie wiedząc. Żona Erazma i jej siostra, kobiety wrażliwe, niepokoiły się brakiem listów, a niepokój i fantazyja nasuwały im ponure przecucia i wizye ¹⁾, które je przerażeniem napełniały. Nareszcie do-

¹⁾ Dziś, gdy ponownie spirytyzm i medyumizm żywo zajmują umysły, nie od rzeczy będzie przytoczyć w naiwnym opowiadaniu siostry Tyszyńskiej, Heleny Sartyni (następnie: Gierłowiczowej) szczegóły tych widzeń z czasu, gdy Erazm Tyszyński chorował, umierał i był grzebany o wiorst kilkaset. Upредить tylko winieniem, że w opowiadaniu tem. spisanem w późnej starości, dla siostrzeńców i siostrzenic, Helena siostrę swą tytułuje wszędzie *mamą*, a Erazma T. *ojcem*: »Codzień mama po obiedzie jeździła ze mną do Letniego Ogrodu. Pewnego razu, jak zwykle, pojechałyśmy z mamą do tego ogrodu, ale po ulicy nadbrzeżnej, która tam prowadzi, poszłyśmy piechotą; powóz szedł za nami i lokaj Józef w galonowanej liberyi, jak to ojciec lubił i jak było we zwyczaju, szedł również za swoją panią. Wtem idzie ku nam mężczyzna dość młody, ale blade, twarz ogolona okrągła, oczy jak ognie, duże, czarne i sam całkiem czarno ubrany; spojrzął na mamę i przeszedł. Cóż w tem dziwnego? mama była piękna; toaletę miała zawsze z najlepszego magazynu, tak ojciec chciał, i często bywało, że na przechadzkach niejedną wpatrywał się w mamę. Dlaczegoż jednak obie, jakby tknięte jedną myślą, i nic sobie nie mówiąc, obróciłyśmy się raptem za tym czarnym panem, czego nigdy nie robiłyśmy z nikim? nieznajomy stał na miejscu blisko nas, a oczy błyszczały mu dziwnie. Mama podwoiła kroku i zaraz wsiadłyśmy do powozu. Odtąd ile razy i o którejbygodz godzinie mama była w ogrodzie — a zaczęła naumyślnie zmieniać godziny — zawsze i nieznajomy czarny ten człowiek wysuwał się gdzieś z bocznej ulicy i wolnym dziwnym krokiem przechodził przed nią drogę, nawet nie patrząc, i znikał w przeciwnej bocznej ulicy. Mama przestała bywać w Letnim Ogrodzie, bo zjawisko to tak silnie wywarło na nią wrażenie, że jeszcze w Miassocie o tem wspominała i była przekonana, że to było widmo złowieszce a nie człowiek zwyczajny... Zbliżał się sierpień... Była to niedziela, miałyśmy, jak zwykle, jechać na sumę do kościoła, ale spóźniłyśmy się i tłum był wielki; mamie wnet zrobiono miejsce w przednich ławkach, a czarny nieznajomy stał przy mamy ławce, tak nam później mówiono; wszyscy go widzieli, ale nikt go nie znał i nigdy pierwej nie widział. Mówiono nam później, że wzruszenie było ogólne: niektóre damy płakały, patrząc na mamę. Ona nie wiedziała nic i modliła się klęcząc. U wyjścia z kościoła tłum znajomych otoczył nas i zaczęli prosić mamę, aby nie wsiadała do powozu i przeszła się z nimi. Mama szła jakby machinalnie; proszą jeszcze z bulwaru do Letniego Ogrodu; tu mama zmęczona usiadła; zaczęto częstować lodami, czekoladą i proszą wciąż mamę, aby jeszcze została. Oni chcieli przedłużyć, ile mogli, chwilę odebrania przez mamę okropnej wiadomości. Już było około czwartej po południu, gdy stanęłyśmy przed domem; na ganku stała poczciwa niańka Tatjana, strasznie blada i z włosami rozczochranymi. Mama szybko weszła; w sali pierwszej pusto, tylko jeden ks. Onoszko stoi w kącie tyłem obrócony, głowę stracił; mama się nie zatrzymuje, przechodzi salę, w bawialnym

wiedziała się strasznej prawdy i wpadła w odrętwienie, potem mdlała często, musiano ją otaczać najstaranniejszą opieką. Gdy wreszcie przyszła nieco do siebie i zastanowiła się nad losem swoim i czworga sierot, zawieszonym w całkowitej niepewności, opanował ją smutek cichy, ale dojmujący. Odwiedziły bardzo

pokoju pełno znajomych, a w ich liczbie panna Taraszkiewicz, niemłoda już osoba, światła, rozumna, która bawiła ciągle przy pani Withinhof i którą posyłano wszędzie, gdzie było jakieś nieszczęście, tak umiała być pomocną. Mama zdeimuje kapelusz, siada — milczenie. Mama zapytuje pannę Taraszkiewicz: czy pani generałowa odebrała list z Mińska (skąd właśnie był oczekiwany list od ojca). — Tak, pani, piszą, że pan Tyszyński jest bardzo chory. W tej chwili pokazuje się we drzwiach sali p. Piotrowicz [jeden ze współpracowników ks. Ogińskiego i Erazma Tyszyńskiego w Petersburgu], przechodzi pokój, chwając się, i niknie naprzeciw we drzwiach. Mama wstaje, wychodzi za nim i wtem daje się słyszeć krzyk dziki, okropny, a tak przerażający, że jedna z obecnych, panna Markiewicz, siedząca dotąd, wrzasnęła i uciekła z pokoju. Rzucamy się naprzód; mamę prowadzą, ale tak zmienioną, jakby widmo blade, oczy strasznie dzikie, przewrócone, ręce wyprężone, jakiś jęk tylko głuchy, grobowy świadczył o życiu. Nie wiem, kto i ilu mamę prowadził; wokół wszyscy plakali, jedna tylko panna Taraszkiewicz z suchym okiem i zupełną przytomnością postępowała ku mamie, za nią doktor, ja przy nich cała struchlała. Posadzono mamę, jak bez życia, na kanapie, podtrzymując wciąż, aby nie upadła; zaczęto trzeźwić, przyszła do siebie, ale jakby martwa, bez łzy w oku. Wprowadzono dzieci, Kazio naprzód szedł płacząc, reszta — malutkie — spokojnie, Klarkę na rękę niesiono. Wieczorem znajomi rozjechali się, kilka osób zostało na przypadek ratunku w nocy; mamę przeprowadzono do sypialnego pokoju, leżała wół ubrana na łóżku; lampa się paliła; panna Taraszkiewicz siedziała przy mamie noc całą i ciągle ją trzeźwiła; ja przy niej; zaczynało świtać; wtem mama podnosi się, zarzuca mi ręce na szyję i woła: Ach ty moja droga, tyś mi tylko jedna została! — i zapłakała głośnym płaczem. Ścisnęłam mamę konwulsyjnie płacząc; mama płakała bez końca, a panna Taraszkiewicz powtarzała: Chwała Bogu, żył!... — Nadeszła późna jesień: raz mama mówi do mnie, a było to około 11-ej zrana: Czuję się silniejszą dzisiaj, pojedziemy trochę się przejść w Letnim Ogrodzie. Przyjeżdżamy; mama wyszła z powozu, Józef lokaj z nami. Wchodzimy w główną ulicę ogrodową; pusto wokół; idziemy po liściach gęsto opadłych; nikogo tu niema o tej godzinie: ogród nieoczyszczony. Wtem nagle staje przed mamą ten czarny: *Madame, j'ai appris votre malheur* — powiada. Mama traci głowę, leci naprzód ulicą, ledwie mogę ją dopędzić; przebiegamy jeden ogród, drugi, wybiegamy nie oglądając się na nadbrzeżną kanału Mojki; stamtąd ciągle pędem wpada mama do mieszkania pani Withinhof przy moście zwanym Krasnym; ledwie mamę schwycono, padłaby bez tchu, posłano po konie. Jednak o czarnym mama ani słowa nie wspomniała, tylko odtąd już nigdy nie była w Letnim Ogrodzie, ani na żadnym spacerze w Petersburgu...* Prawdopodobnie Aleksander Tyszyński słyszał te szczegóły, może i nieraz, od matki i ciotki; mogły one nawet przyczynić się do wyrobienia w nim pewnego mistycznego nastroju w rozważaniu losów ludzkich, żywej wiary w przeczcucia i wizy.

grzeczności, ale przygnębionego stanem spraw swoich Ogińskiego w zimie z r. 1815/14 nie mogły jej dać otuchy; dopiero w miarę jak owe sprawy zaczęły pomyślniejszym iść torem, i Ogiński i Tyszyńska stawali się weselszymi. W dniu 13 czerwca 1816 r. został podpisany przez cesarza Aleksandra I ukaz, w którym sekwestr, na dobra ks. Ogińskiego nałożony, ograniczono do tych tylko jego majątków, które do r. 1802 znajdowały się pod konfiskatą rządową; te zaś dobra, które książę drogą kupna lub spadku po r. 1802 otrzymał, od sekwestru zwolniono¹⁾. Ponieważ zaś Miassota należała do tej drugiej kategorii, gdyż jako część »hrabstwa mołodeczańskiego» dostała się Ogińskiemu w spadku po stryju jego Franciszku Ksawerym już po r. 1802; przeto książę Michał otrzymał możność spełnienia obietnicy, danej niegdyś Erazmowi Tyszyńskiemu. Jakoż w lipcu już rodzina Tyszyńskich mogła mówić o wyjeździe z Petersburga na Litwę. Ponieważ jednak Miassota znajdowała się w dzierżawie do wiosny 1817 roku i sam akt nadania jej mógł być uskuteczniony dopiero w tymże czasie na «kontraktach» mińskich, więc książę zaproponował Teresie Tyszyńskiej, by przez jesień i zimę tymczasowo w bliskim sąsiedztwie Miassoty, miasteczku Mołodecznie, zamieszkała. Tyszyńska zgodziła się na ten projekt.

Opis tej podróży, trwającej dni 16, tak znamienity dla owych czasów, bierzemy ze wspomnień Heleny z Sartynich Gierłowiczowej:

»Dnia 19/31 sierpnia 1816 r. stały przed gankiem mamy w Petersburgu: poczworna karetka w pięć koni zaprzężona i bryczka na trzy konie; furmani najęci do miejsca. Była godzina 10 rano. Wszyscy, co tylko byli z nami znajomi, zebrali się, by mamę jeszcze najczulej pożegnać; była to jakby rodzina, tak zawsze z nami dzielili smutki nasze, tak się byli spoili w jedno uczuciem serdecznej przyjaźni. P. Piotrowicz i bona Niemka mieli przeprowadzić do Gatczyny. Ruszyliśmy; w mieście przemknęła karetka ks. Ogińskiego, wychylił się i pożegnał mamę uprzejmym ukłonem. W Gatczynie nastąpiło pożegnanie z Piotrowiczem i Niemką; płakaliśmy wszyscy. Był tam obiad, ale oprócz dzieci, nikt nic nie tknął. Pojechaliśmy dalej sami — smutni. Bóg jeden czuwał nad mamą i dawał dziwne siły do zniesienia trudów niewypowiedzianych tej podróży... Karetka ciężka; w niej mama, ja, czworo dzieci, Tatjana niańka i Zośka pokojówka; w bryczce pan Biruta, którego nam dał ks. Ogiński za

¹⁾ Ukaz ten przytacza w streszczeniu Czesław Jankowski w monografii p. t. «Powiat Oszmiański». Petersburg, 1897, tom II, 191, 192.

przewodnika do Połocka, oraz lokaje: Michał i Józef. Wokoło piaski, bory, droga pusta, lud dziki; dni krótkie ku jesieni. Stawano wcześniej na noclegi w chatach włościańskich, brudnych, gdzie prosięta i kury po głowach biegały, owadów mnóstwo, — a do jedzenia nic oprócz mleka (i to rzadko), grochu i kartofli. Zapasy bułek i ciastek, których było obficie, wyczerpały się prędko, bo niemi darzyłyśmy dzieci tych strasznych gospodarzy, żeby je ująć. Kiedy spytałyśmy raz gospodarza jednego, co znać za krzyże po drogach postawione, odpowiedział nam dziko: to gdzie podróżnego zabili... Po całych nocach nie spałyśmy, a dzieci płakały w nocy od owadów, a w dzień, że już chleba nie było. Spodziewała się mama w Pskowie nakupić chleba i bułek, ale nie znalazło się i tam, oprócz czarnych jakichś t. zw. lepioszki i temi trzeba było żyć do Połocka. Całe szczęście, że nasz pocziwy Biruta najtroskliwiej nas pilnował i wyszukiwał, co mógł, do zjedzenia dzieciom, a i furman był najlepszy; jak Klarka zaczynała bardzo płakać, obracał się na koźle i mówił: nie płaczcie, panienko, a to wam broda wyrośnie jak u mnie — i Klarka ze strachu milczała. Nareszcie stanęliśmy w Połocku. Tu dzieci odżyły i mama odpoczęła w dobrym łóżku; obiad i herbata były doskonałe, bułek i chleba nakupili. Mama była u ks. generała jezuitów Brzozowskiego, a na drugi dzień w kościele OO. jezuitów przy 12 ołtarzach 12 mszy na intencję mamy odprawiono; organ wspaniały grzmiał cudnie. Tegoż dnia rozstałyśmy się z wielkim naszym żalem z pocziwym p. Birutą; przeprowadził on nas jeszcze przez prom na Dźwinie i pożegnał najserdeczniej. Tu nowe męki nas czekały; droga uboczna nieznaną, błędziliśmy; raz karetą wpadła do wody i omal nie zatona; Tatjana wrzasnęła i rozchorowała się, mama tylko jak mur była niewzruszoną, bo jej wyraźnie wszystko było obojętnem, nawet życie. W nocy długo nie mogliśmy znaleźć noclegu. Ale nareszcie po kilku dniach stanęliśmy w Mołodecznie.

Pobyt w Mołodecznie przez jesień i zimę okazał się bardzo smutnym: nikogo znajomego, nikogo z pośród otoczenia, z kimby się zbliżyć można w tem małym miasteczku. Nadomiar Teresa Tyszyńska ciężko zachorowała wskutek przejęć moralnych i wysiłków fizycznych. Ks. Ogiński przejeżdżając odwiedzał zawsze dom Tyszyńskich, a dowiedziawszy się o chorobie wdowy, przysłał zaraz doktora z Wilna; pod jego opieką zdrowie jej z wolna polepszać się zaczęło. Na kontraktach mińskich w marcu 1817 r. ks. Ogiński, choć do ostatniej chwili namawiany, by Miassoty nie dawał, zdecydował się ostatecznie na postanowienie i w dniu 27 wystawił dokument, zapisany w księgach mińskiej Izby cy-

wilnej, mocą którego majątek Miassota z kilku przyległemi wioskami przekazywał na własność wdowie po ś. p. Erazmie Tyszyńskim i potomkom jej tytułem wynagrodzenia za trudy i starania przez nieboszczyka położone około interesów ks. Franciszka Ksawerego i Michała Ogińskich. Akt ten nie obejmował sumy pieniężnej, którą w swoim czasie Erazm Tyszyński w gotówiznie u ks. Michała ulokował, a która została zlikwidowaną w latach późniejszych przez t. zw. »eksydywizę mołodeczzańską«, gdy dobra »hrabstwa mołodeczkańskiego« rozdzielono między wierzycieli księcia, i z nich dołączono do Miassoty jeszcze jedną wioseczkę, Wołki, i las przyległy.

Odnowienie domu w Miassocie ukończono w ciągu lata; w połowie sierpnia 1817 r. wdowa z siostrą i dziećmi przeniosła się do tego majątku, w którym odtąd rodzina Tyszyńskich prawie bez przerwy przebywała i dzisiaj przebywa.

»Pierwszy ten dzień przyjazdu naszego — pisze Helena Gierłowiczowa — był bardzo smutny. Mama, skutkiem silnych wrażeń, a może i bolesnych wspomnień, poszła zaraz do łóżka, skarżąc się na silny ból głowy; ja błąkałam się z dziećmi po pustych pokojach; dotąd pamiętam, jak krzaczek ślazu pod oknem zwrócił moją uwagę, tak dawno kwiatka nie widziałam. Poszliśmy na trakt pocztowy (wileńsko-miński) na spacer; pusto jakoś, obco wydało mi się wszędzie; lasy wokoło domu; tej ulicy dzisiejszej, brzozami sadzonej, jeszcze nie było. Mama wstała z łóżka, ale blada, wątła, milcząca, jakby martwa... Pierwsze chwile naszego pobytu w Miassocie były jakieś nieokreślone; wyglądaliśmy jak trzoda spłoszona, co nie wie, gdzie i jak się obrócić, co z sobą począć. Wkrótce jednak mama, ufna w opiece boskiej, silna wolą, obejrzała się wokoło, jak ten dobry pasterz, przygarnęła swe dzieci i powoli zaczęła wprowadzać porządek. Ciężkie to były pierwsze chwile; ale mama nigdy się nie żaliła, tylko codziennie zrana czas dłuższy spędzała na modlitwie, a czytanie *Année spirituelle* zbawienne zaczęło wywierać skutki: wychodziła z twarzą coraz jaśniejszą; jakiś nieziemski spokój osiadł na jej czole; zajmowała się dziećmi, domem — cicha i milcząca«.

Teresa Tyszyńska po dwu latach przygnębienia, szczerą pobożnością i ufnością religijną pokrzepiona, odnalazła tedy w sobie dość energii, inteligencji i wytrwałości, by się całkowicie poświęcić wychowaniu dzieci, które wszystkie wyrosły na ludzi niepospolitych zalet serca, umysłu i charakteru.

II.

Aleksander **Tyszyński** miał zaledwie lat cztery, kiedy go ojciec odumarał; wychowanie więc całkowicie zawdzięczał matce, którą **ukochał** serdecznie.

Z najwcześniejszych wrażeń życia on sam upamiętnił jedno, przypominając (w przemowie dedykacyjnej do »Amerykanki w Polsce«) Nestorowi Kukolnikowi, swemu rówieśnikowi, a znanemu pisarzowi rosyjskiemu, chwile pobytu w Petersburgu: »tych samych cerkwi wierzchołki pierwsze nam uderzały oko, pod tychże domów ścianami pierwsze stawialiśmy kroki; te same pieśni, pamiętasz, dzieciństwo nam usypiały; równi wiekiem i myślą, rękę trzymając w rękę, postępowaliśmy w danym biegu razem, równe nam były dni życia i wspólne świata wrażenia...«

Z czasów miassockich drobne zaledwie okrucy wspomnień przechowała jego ciotka Helena, wzmiankując o bardzo wczesnem rozbudzeniu się zamiłowania w czytaniu i deklamowaniu poezyi, a nawet w próbach autorstwa. Oto jej słowa: »Oleś bardzo lubił czytać, pouczał się mnóstwa wierszy i deklamował z dziwnem, jak na dziecko, uczuciem i zapałem, np.:

Cieszymy się złotą nadzieją,
 Że się wrócą dawne czasy,
 Że znowu nam zajaśnieją
 Karabele, wąsy, pasy.

»Albo leżąc na trawie pod oknem mamy pokoju, pisał i pisał w dwóch liniach, między innemi np. komedye jakąś o tem, co się w piekle robi, że kobiety tam piszczą, a mężczyźni burczą i t. p... Był bardzo dowcipny i dokuczliwy często; raz wpatrując się u stołu w twarz moją i robiąc wielkie oczy, mówi: u cioci nos jak u słonia, — a Klarunia zrobiła minkę jak do płaczu i powiada: co ty mówisz, u cioci krótszy... Raz (w r. 1818) przejeżdżał przez Mołodeczno, Krasne i Radoszkowice król pruski. Mama pozwoliła nam z dziećmi pójść na trakt widzieć przejazd jego. Stanęliśmy wszyscy rzędem, ale gdy ja spostrzegłam jadące powozy, skryłam się za krzaki, skąd najlepiej widziałam wszystko przez binokle, nie będąc sama widzianą; kilka powozów poprzedało; za nimi król w otwartym pojeździe z trzema wojskowymi, jeden przy nim, dwóch na przednim siedzeniu. Oleś jak spostrzegł króla, zdjął czapeczkę swoją i jąż zaraz po kilka razy mu się kłaniać; król uprzejmie mu się uśmiechnął i pocałunek przesał. Oleś ślicznie się kłaniał, ubrany

był w ponsowej kapotce z czarnym aksamitnym kołnierzem i taką czapeczką. Nazajutrz przyjeżdża pani Ginett i mówi: cóż to za niegrzeczny ten król pruski, — wszystkie damy byłyśmy zebrane na pocztę, a on ani wyrzał z powozu i tak się okręcił płaszczem, żeśmy go nie widziały...»

W r. 1819 miał Oleś nauczyciela w osobie znanego dobrze z dziejów romantyczności naszej Stefana Zana, który go przygotował do szkół OO. trynitarzy w Mołodecznie, gdzie już od paru lat przebywał starszy brat Olesia, Kazimierz. Szkoły te, jak wszystkie naówczas na Litwie, zostawały pod zwierzchnim kierunkiem uniwersytetu i trzymały się programu przezeń przepisanego, chociaż nauczycielami w nich byli przeważnie zakonnicy. Oleś, ucząc się w Mołodecznie, o 12 wiorst od Miassoty, odwiedzał matkę bardzo często i w miarę, jak się umysł jego rozwijał, rosło w nim i zrozumienie niepospolitych zalet tej kobiety i przywiązanie do niej bez granic. Jednocześnie Ignął on coraz silniej do ziemi rodzinnej i wszystkich jej mieszkańców, a szczególnie do ludu wiejskiego, który mu też odpłacał, i wtedy i potem, serdeczną miłością.

Szybko minęły czasy szkolne; klas było wówczas sześć tylko, i Aleksander Tyszyński, mając zaledwie 15 lat, wstąpił na wydział prawny uniwersytetu wileńskiego w r. 1825. Nie były to już najświetniejsze chwile tej znakomitej i wpływowej instytucji; najlepsi profesorowie albo pomarli albo musieli opuścić katedry; zaczęły panoszyć się intrygi wśród ciała nauczającego; w każdym razie pozostało jeszcze z przeszłości wiele czynników, błogo działających na studentów. Tyszyński słuchał tu między innymi wykładów filozofii ks. Anioła Dowgirda i uczęszczał niewątpliwie na odczyty historyczno-literackie Leona Borowskiego, choć ten był właściwie profesorem wydziału sztuk i nauk wyzwolonych. Nie może ulegać wątpliwości, że się żywo przejmował nowym ruchem w dziedzinie poezji, znanym pod nazwą romantyzmu, ale w domu nasłuchawszy się zachwyty nad klasyczną literaturą francuską, nad Kornelem, Delillem, których matka odczytywała prześlicznie na głos; przytem wczesnie mając rozbudzone poczucie krytyczne, nie stał się jednostronnym, zapalonym wyznawcą romantyczności, lecz starał się oceniać piękno wogóle, pod najrozmaitszymi u różnych ludów i w różnych czasach ukażące się kształtami.

Ukończywszy uniwersytet w r. 1829 ze stopniem kandydata praw, wrócił na czas pewien do Miassoty, i tu stanęła między braćmi umowa, że starszy, Kazimierz, będzie matce pomagał w gospodarstwie, a młodszy poszuka urzędowania. Odpowiadało

to w pewnej mierze skłonnościom Aleksandra, bo żyjąc w mieście, łatwiej mógł zaspokoić wielkie pragnienie nauki. Gdy rozmyślał właśnie, dokąd ma się skierować w poszukiwaniu pracy na urządzie, zaszyły pamiętne zdarzenia po nocy listopadowej 1830 r. w Warszawie. Lubo ruch rewolucyjny silnie się przejawiał niedaleko Miassoty, w Oszmianie i jej okolicach, samej Miassoty nie dotknął. Przez całe lato 1831 r. stał tu oddział rezerwowy artylerii rosyjskiej, pod dowództwem majora Friedrichsa. Prawdopodobnie Miassota była na ten postój przeznaczona wskutek swego położenia na trasie wileńsko-mińskim. Żadna też utarczka, choćby drobna, w najbliższych stronach nie zaszła. Przez całe lato Miassota wyglądała jakby obóz ufortyfikowany; zabudowania dworskie otoczone były działami; we dworze mieszkali oficerowie, w chatach włościańskich żołnierze. Oddział ten artylerii nie wziął, jak się zdaje, czynnego udziału w wojnie, a gdy ta ustawała, przeszedł na inne stanowisko.

Życie na Litwie po r. 1831 poczęło wracać do stanu normalnego, bez wielkich napozór zmian w stosunkach krajowych. Jakoż 16 lutego 1832 r. Aleksander Tyszyński wstąpił do kancelarii powiatowej marszałkowskiej w Wilejce, a potem przeniósł się wkrótce do sądu gubernialnego w Mińsku. Po trzech latach urzędowania, w ciągu których więcej pewnie czasu przepędził na uczeniu się języków i na czytaniu poetów (zwłaszcza dramatycznych), moralistów i filozofów, aniżeli na załatwianiu interesów kancelaryjnych, udał się do Petersburga z powodu jakichś interesów i tam oddał do cenzury pierwszą swą pracę literacką p. t. »Amerykanka w Polsce, romans«. Cenzura podpisana została 7 sierpnia 1835 r., lecz książka ukazała się dopiero w dwa lata potem. Jak sam Tyszyński w późniejszych latach nieraz wspominał, tę pierwszą swą pracę nazwał on »romansem« a pierwiastek naukowo-literacki połączył z wątkiem powieściowym dlatego, aby zachęcić publiczność do czytania, gdyż wówczas mniej jeszcze niż obecnie znajdowało się u nas ludzi, coby do poważnej lektury zabrać się chcieli.

Załatwiwszy interesa i oddawszy »Amerykankę« do druku w Petersburgu (w drukarni Karola Kraya), Tyszyński wrócił do Miassoty i na sejmiku szlacheckim w Mińsku przyjął (17 października 1835 r.) na trzy lata urząd sędziego granicznego z wyborów i sprawował swe obowiązki pilnie i gorliwie. W ciągu tego urzędowania wyszła z druku jego dwutomowa (str. X, 276, 265) praca i zyskała pewien rozgłos, jakkolwiek niewielu znało nazwisko jej autora, gdyż ukazała się bezimiennie.

Zastanówmy się nad jej zawartością i znaczeniem.

III.

Przedewszystkiem wyróżnić trzeba w »Amerykance« treść powieściową od rozpraw naukowych. Autor nie złączył tak, jak niektórzy jego poprzednicy (np. Krasicki w «Panu Podstolim«, a Tomasz Massalski w »Panu Podstolicu«), tych dwu pierwiastków składowych utworu swego w jedną spójną całość; lecz owszem ostrzegł wyraźnie, że lubownicy wstępu romansowego mogą spokojnie opuszczać wszystkie listy dydaktyczne, lub też odkładać je na koniec, gdyż one na przebieg zdarzeń żadnego zgoła wpływu nie mają. Oczywiście wszędzie duch jeden panuje i do należytego zrozumienia stanowiska krytycznego poznanie osnowy powieściowej przyczynia się w pewnej mierze; ale rzeczywiście rozprawy nie wnoszą jakiegoś światła w zawiłania miłosno-psychologiczne. Możemy więc dwie te strony rozpatrzeć oddzielnie.

Osnowa powieściowa jest następująca:

W r. 1796 emigrował z kraju Adolf Rajecki i służył w legionach. W r. 1802 był pod S. Domingo, ale okręt, na którym się znajdował, rozbił się i zatonął; on jeden ocalał i »zapędzony był wiatrem aż na Ameryki północne«. Tu w lasach Huronów pokochawszy i pokochany ożenił się z Indyanką, choć zawzięty jej na Europejczyków brat Atzlan srodze się małżeństwu sprzeciwiał. Po latach kilkunastu Adolf wysłał swą żonę i córkę na Litwę, ażeby się z krajem jego rodzinnym poznały; sam jednak musiał pozostać wśród Huronów jako zakładnik.

Na Litwie zaopiekował się przybyłymi stryj Adolfa. Ażeby się wydoskonalić w języku i poznać literaturę polską, mieszkają Amerykanki (Karista i Anakoana) prawie zupełnie odosobnione w Minogrodzie (Mińsku), gdzie stary Rajecki, dotrzymując słowa danego niegdyś jednemu z przyjaciół, zaręczył Anakoanę z jego synem Władysławem, któremu majątek swój poprzednio, nie wiedząc o losie synowca, zapisał. Układ ten jednak i zaręczyny mało komu były znane, tak że gdy Amerykanki po owych dwu latach przygotowania wystąpiły na widowieństwo światła towarzyskiego w majątku starego Rajeckiego, w Dolinie, Anakoanę uważano powszechnie za pannę na wydaniu.

Pokochał ją Zbigniew. Był to młodzieniec niezmiernie wrażliwy, bujną fantazją a zarazem rozumem rozbiorczym obdarzony, skłonny zarówno do uniesień zapału, jak i do chłodnych lub szyderskich uwag krytycznych. Wyróżniał się on mocno od swoich kolegów uniwersyteckich, Walerego i Henryka, z któ-

rymi najpiękniejsze swe lata młodości na studiach w Turogrodzie (Wilnie) przepędził; to też niezupełnie był przez nich rozumiany.

Walery trafnie uchwycił jedną bardzo ważną stronę jego duszy, iż Zbigniew im więcej widział objawów przywiązania do siebie, im więcej z kim przestawał, tem bardziej stygł w uczuciach; dla niego bowiem, jak dla wszystkich serc »wyobraźnią palących się«, oddalenie od osób drogich stanowiło najsilniejszy bodziec uczuciowy (I, 61)¹⁾; w życiu jego, wedle własnego wyznania, wesele czy smutek lub nuda nigdy dłużej nad dni pięć nie trwały (I, 34). Istotnie po życiu uniwersyteckim pobyt na wsi, w Elinie, wydał mu się rozpaczliwie nudnym i wtedy napisał wcale zręczną parodyę sielankowych obrazków (I, 28—33); ale gdy go tu nowe ożywiły uczucia, a zwłaszcza, gdy się na czas dłuższy ze wsi oddalił, wszystko za powrotem widział w barwach najpowabniejszych.

Drugi jego przyjaciel, zawsze wesoły, trzpiotowaty Henryk, podejrzewał Zbigniewa o nieszczerłość i wtedy najmniej mu wierzył, gdy ten okazywał się otwartym w wynętrzaniu uczuć swoich. W gruncie rzeczy Zbigniew miał serce czułe, lecz nie lubił sentymentalnych rozrzewnień; swoje uczucia i myśl »głucho cisnął w sobie, jak ziemia umarłe ciała« (I, 35), bo się lękał, ażeby ich nie sponiewierano. Silnie odczuwał i wyrażał odrębność swoją od innych ludzi: »Tak jest — pisał — ja człowiek nowy. Było-li w ciągu wieków lice podobne mojemu, podobny mojemu umysł? Ja myślę pierwiastkowo [= oryginalnie] i nie był żaden przede mną, któryby równie myślał. Gdy biorę pióro do ręki, sam dziwię się jego biegowi; nowe obrazy kreśli, nowe poglądy wciela, i jeśli w ciągu swoim postawi kiedy myśl obcą, to chyba jak jeden utwór przypadkowego natchnienia. Ja lubię natchnienie obce; nieraz myśl jego podoba się mocno sercu, i pragnę ją wcielać we własne; pragnę, ale daremnie; ścisną się ona, wypiera, nie może upatrzeć miejsca, i wreszcie, jakby innego wychowania córka, opuszcza swe towarzyski. Spoglądam bliżej na me pióro, umysł. Ja w sobie siłę śmiechu, ja mieszczę siłę czułości; to zimne mam oko rozwagi, to czuję ogień w umyśle... Silniej mną los pomiata, niżeli mnóstwem mnie podobnych innych; nieraz mnie siły zmęczą, wystarczyć dalej nie mogę, idę od świata i zakładam ręce; lecz oto ten mi Wschodu, ten mi Zachodu najnowsze natchnienia niesie, i nie mam chwili spo-

¹⁾ Dla krótkości, zamiast w przypiskach, zaznaczam tom i stronicę »Amerykanki« w samym tekście.

kojnej. Budzę się pośród nocy, marzę śród hucznych zabaw, nie znam ja dnia żadnego, którybym stawił powszednio, któryby mną nie pomiótł, nie poparł; błąkam się pomiatany i party, a każdy krok mój pociąga za sobą zmianę tych, z którymi obcuje, ludzi. Któż jestem, o Walery! jaki cel mego bytu? jaki cel mego zesłania?» (II, 118, 119).

Zbigniew wyznawał wiarę w przeznaczenie; był fatalistą, a jednak dopuszczał i wolną wolę człowieka. Wiedział on, że dwa te poglądy nie dadzą się z sobą zjednoczyć za pośrednictwem rozumowania; ale ponieważ je uważał za fakta, przyjmował je oba razem. Oto zasadnicze myśli jego w tem niesłuchanie ważnem i dotąd nierozstrzygniętem zagadnieniu, które w ciągu wieków całe stopy książek powołało do życia:

»Gdy Duch wszechmocny i wszytkowiedzący ziemię tę naszą stwarzał, przewidział już wtedy jej bieg, jej początek, długość jej trwania i koniec; widział on wtedy te całe masy ludzi, jak z sobą łączyć się będą, szczepić w oddzielne narody, rozsypywać się znowu, wzrastać, wieść boje i niknąć; widział on każdą z osobna pojedynczą istność, jak miała myśleć, jak tworzyć, jakie przebywać dzieje, jak zacząć i jak zakończyć. Widział, bo sam naznaczył cel tych utworów, zabiegów; widział, jak widzi teraz, jaki ma koniec być ziemi i jaki udział ostatni istot chodzących po niej. Te zatem prawa i dzieje, które dał Twórca światu pierwaj, nim świat ten stanął, prawa te są niezłomne, są nienaruszone, i gdybyśmy świat moralny równie mogli jak świat fizyczny zgłębić, naznaczyćbyśmy mogli z pewnością czas ukazania się męża wielkiego, wzrostu albo upadku kraju, jak astronomowie zaćmieniu słońca lub ukazaniu się komety niemylny czas naznaczają« (II, 109, 110). »Czują to i poznają ludzie, że myśl i dzieje każdego podług jednych moralnych rozwijają się ustaw; że w pojedynczym drobnym każdego życia biegu, dnie jedne z następnymi nazbyt się sztucznie łączą, by miały być dziełem przypadku; że słowem rząd moralny, jak rząd fizyczny świata, ma sobie, iż tak się wyrażę, daną przy swem stworzeniu kartę, która się naruszyć nie może...« (II, 244). »Jak mieć możemy wolę i na co nam modły, kiedy jest przeznaczenie istnące, to dla nas równie ciemne, równie niepojęte, jak wszystko, co bliżej jest boskiem... Zarzucać podobnie mogą, czyli się zgadza z rozumem, aby być mogła istota, któraby nie miała początku, albo istota, któraby nie miała granic, a jednak wie to każdy, że jest czas i przes-trzeń... To połączenie Woli Przedwiecznej z pojedynczą ludzką nierozwikłanem jest dla nas; najwyraźniej zaś świeci, najdotykalciej nas dziwi w żywocie Boga-Człowieka; jako Bóg i Wszech-

mocny wiedział on, co go czeka, i wiedział, iż to niezmiennie, a jednak jako człowiek modlił się i prosił o odwrócenie kielicha, który mu zgotowano« (II, 246, 247).

Tej wierze w przeznaczenie, albo inaczej mówiąc, w niezmiennie prawa świata moralnego przypisywał Zbigniew zbawienne skutki na umysłowość naszą, bo chroni ją od pospolitych a dziwnych myśli tak co do życia, jak i co do śmierci żyjących z nami ludzi, bo oswobadza »od niepokojów i próżnych bojaźni, w tylu dziennych przypadkach, tylu osobom właściwych«, a co ważniejsza, wpływa »na nowy sposób widzenia tak towarzyskich ludzkich jak i piśmiennych dziejów, na sposób oceniania i pism i pisarzy, na zgłębianie układów moralnych i na przepowiednie, tak w ogólnych wypadkach, jak w prywatnych dziejach« (II, 248). Z tego punktu widzenia Zbigniew nie wahał się bronić nawet astrologii. »Wprawdzie — mówił — trudno nam jeszcze odróżnić, co jest zabobnem, co prawdą; ale i to jest nie tajno, że wyszukiwanie ukrytych przyczyn ludziom każdego kraju było od wieków wrodozem, — że mianowicie astrologiczne dojścia daleki w wiekach niedawnych wzięły już były postęp i że ludzie późniejsi dlatego podobno jedynie, że ich nie mogli pojąć, woleli je wygodniej gusłami i zabobnem przezwać, i na dobitkę dla nich, a dla własnego tryumfu, bronią śmieszności okryć« (II, 249)...

Jakaż była miłość takiego młodzieńca? Odnaczała się gwałtownością i zmiennością. Anakoana nie chciała i nie umiała ukrywać swego uczucia i różnemi drobnemi oznakami dawała mu je poznać. Zbigniew to płonął, to stygł; częste przestawanie z ukochaną umniejszało wartość miłości. Raz darowała mu (wygraną w zakładzie) wstążeczkę z wyhaftowanym imieniem swoim. Zbigniew chwilę był niezmiernie szczęśliwy. Ale pojechawszy do Minogrodu, spotkał tam Henryka, a ten mu opowiedział, że Władysław dawniej już cieszył się względami Anakoany. Przekonał się o tem Zbigniew osobiście, bo mu Władysław pokazał wstążkę, na której imiona jego i jej haftem wyrażono. Wściekłość go ogarnęła; Władysław nie wspomniał mu nawet o swych zaręczynach. Wyjaśnienie nastąpiło dopiero w Dolinie; sama Anakoana ze łzami w oczach wyznała, że zaręczając się czyniła tylko zadość życzeniom matki, nie zaś własnemu uczuciu. Wróciła zgoda, ale słomiana. Zbigniew podejrzewał wciąż Anakoanę o miłość dla Władysława; ona się wypierała płacząc. Łzy drażniły kochanka. Uczucie uleciało. Na chłodno już tylko poddał próbie ukochaną. Wyznaczył schadzki pod pozorem podziwiania pięknego wschodu słońca. Anakoana przyszła i rzuciła się w objęcia Zbigniewa. To

go do reszty zniechęciło. Tegoż dnia napisał list do jej matki, oświadczając, że wyjeżdża w daleką podróż i że nie może się żenić z Anakoaną, bo się lęka, by jej nie sprawił zawodu, nie uczynił ją nieszczęśliwą. Anakoanie zaś przesłał tłumaczoną przez siebie scenę obłąkania Ofelii, gdzie między innymi powiedziano, że kochanek ożeniłby się, gdyby ona nie przyszła sama upaść w jego ręce... Dla Zbigniewa nie fizyczne, lecz »zupełne umysłowe posiadanie kobiety« wystarczyło do nasycenia. Anakoana w pierwszej chwili dziką zapalała wściekłością i roiła zamiary zemsty; ale męka wzgardzonej miłości tak była silna, że ją o ciężką przyprowadziła chorobę. Nie wiedział o tem Zbigniew, bo wyjechał i przez trzy lata zdala był od stron rodzinnych. Wróciwszy, zastał Anakoanę żoną Władysława, spokojną już i przywiązaną do męża, nieraz jednak żalującą tej ciszy i nieświadomości, w jakiej żyła wśród lasów huronńskich. Zbigniew udawał obojętnego, ale w gruncie rzeczy szalał i blizkim był rozpacz; zdziczał, szukał ustroni samotnej, upatrując w tragicznych dziejach swojej rodziny (ojciec jego samobójstwem skończył) zapowiedź okropnych losów dla siebie. Ale kto wie, czy ta rozpacz dłużej »nad pięć dni« trwać będzie; może mu się szczęście nowe uśmiechnie...

W opowiadaniu tem główną, jak widzimy, postacią jest Zbigniew, na utworzenie którego Tyszyński użył niewątpliwie rysów z własnego charakteru, a po części nawet życia, potęgując jedynie pewne strony dla tem silniejszego wrażenia. Pamiętając szczegóły biograficzne Aleksandra, nie trudno znaleźć ich artystyczne odtworzenie w tych słowach Zbigniewa: »Pierwsze powietrze, którem odetchnął na ziemi, było powietrzem wrogów i pierwszy pokarm, który przyjęły me usta, był takimże jak powietrze. Wkrótce też gromy zawyły, od których świat cały zdrzął [Napoleon] i wkrótce dwa ciosy okropne uderzyły w dom mój rodzinny. Jam jednak przeżył. Ja żyję i dotąd. Błąkam się po tej ziemi kątach, a coraz srożej spada mi na piersi naznaczony nie do zniesienia ciężar«.

Tyszyński chciał przedstawić młodzieńca wielkich zdolności, wielkiej ambicji, czującego w sobie siły olbrzymie, marzącego o nowych drogach przynajmniej w jednej dziedzinie działalności, a nie widzącego dla siebie pola do rozwinięcia talentu, co gorsza zmuszonego »spaść do ciasnego czterech ścian obwodu« (II, 213), zmuszonego do spełniania obowiązków, które »zbyt niskimi dla swego stanu lub powołania sądził« (II, 220).

I zamiar ten swój spełnił autor na małą wprawdzie skalę, bez szczegółowego rozwinięcia, lecz wybornie. Jego Zbigniew

wraża się w pamięć jako postać niepowszednia, jako przedstawiciel tej utalentowanej młodzieży, która z powodu warunków zewnętrznych przygnębiających nie mogła się odpowiednio rozwijać, nie mogła dokonać rzeczy znakomitych, lecz częstokroć marnieć musiała. Takiej młodzieży po r. 1831 nie brakło u nas, i szczęśliwsi tylko wydobywali się na wierzch.

Tyszyński napisał tym sposobem pierwszą naszą powieść psychologiczną. Mało go obchodziły szczegóły życia powszedniego; owszem pomijał je świadomie¹⁾, gdyż pragnął tylko wystawić przebieg uczuć i myśli w duszy swego bohatera. Ponieważ zaś ten był umysłowcem, więc z natury rzeczy wynikło, iż myślał i mówił głównie o sprawach umysłowych. Zapewne, dla czytelników, szukających treści romansowej, bardzo mało znajdowało się tu karmi, ale dla tych, co lubią głębiej zastanawiać się nad sobą i światem, materyał był obfity, zwłaszcza gdy zważywszy szczupłość ram, w których go zawarto. Wprawdzie liczne postaci, wprowadzone do opowiadania, w listach migają się tylko przed wyobraźnią naszą, ale charakter postaci głównej skreślony dobitnie w rysach zasadniczych, mogących zająć każdego myślącego. Talentu powieściowego, w ścisłym znaczeniu, Tyszyński nie rozwinął, to prawda. Wyrażenie uczuć jest raczej krasomówskie, aniżeli poetyczne; rozmowy są wogóle sztywne; dowcip nieraz wymuszony; ale nikt chyba zarzucić nie może, iżby autor nudził; żywość i niezwykłość zwrotów, oryginalność stylu, obok niepowszedniości myśli i poglądów, utrzymują uwagę w natężeniu²⁾.

Mieliśmy przed »Amerykanką« powieści satyryczne (Kra-sicki, Skarbek), sentymentalne (księżna Wirtemberska, Bernatowicz), historyczne (Bernatowicz, Niemcewicz), obyczajowe (Skar-bek, Jaraczewska, Kraszewski); ona sama była u nas pierwszą

¹⁾ W »dodatku« autor ironicznie przedstawił sąd przeciętnego krytyka o przeczytanym rękopiśmie »Amerykanki«. Krytyk ten powiada: »Gdzie tu zdarzenia dziwne, sztuczne powiązania? Proste tu tylko dzieje, miłość krótka, wypadki jedne z drugimi wiążące się mało. W ciągu całego pisma, gdzie zajmujące szczegóły, otaczające człowieka? Mimo tylu pokojów, w których bywaliśmy nieraz, nie poznaliśmy jednak ani jednego w nich krzesła; mimo tylu pańienek, na któreśmy spoglądali, ani jednej sukienki nie poznaliśmy na nich. Czyliż to nie wiesz tego, jak piszą Walter Skott, Kuper [Fenimore Cooper]?« (II, 264).

²⁾ Język nosił tu na sobie ślady wyraźne francuszczyzny; niektóre wyrażenia (np. zrobił się przy mnie = stanął przy mnie, *il se fit près de moi*) byłyby niezrozumiałe bez przekładu na francuski. Zwrotu zaś, »znajdować coś takim lub innym« t. j. poczytywać coś za takie lub inne: Tyszyński nie pozbył się do końca życia.

powieścią psychologiczną, i nierychło doczekała się następczyń w utworach Szyrmera, a zwłaszcza Żmichowskiej.

Sam jej początkodawca niewiele się już przyczynił do jej rozwoju, i dlatego, wyprzedzając chronologię, tutaj dołączę słów parę o dalszych beletrystycznych utworach Tyszyńskiego.

W r. 1842 ogłosił w Warszawie tomik niewielki (str. 149) p. n. »Morena albo powieści blade«. W słowie wstępnem autor zaznaczył, że daje powieści bez węzłów, bez dziwów, nawet bez nazwisk ludzi, bez określeń (najczęściej) szczegółów otaczających wystawione osoby; że jedynym jego celem było: »dać kilka obrazków moralnych, kilka urywków prawdy w tym kierunku; wskazać los kilku serc, które dziś nam zwykleszemi się zdają, lub też pewnych stosunków społecznych, które jeszcze istnieją«. Znajdujemy tu trzy obrazki. Pierwszy p. t. »Zaprzaniec«, to krótka historia młodzieńca, co się zaparł myśli, którą pierwotnie wielbił, a oddał się ciału; lecz myśl stała mu się udręczeniem, zmarnował życie (ożenił się z kawiarką, a przekonawszy się o jej niewierności, poszedł na tułaczkę i rozpił się). Drugi obrazek p. t. »Prospera« — to dziewczyna, co kochała poetę a wyszła za bogacza, oświadczając kochankowi, że idzie za mąż, ale będzie wolna; poeta nią wzgardził; ona zmarła przy pierwszym dziecku. Trzeci wreszcie obrazek dotyka stosunków poddaństwa chłopów, lecz w formie fantastycznej; tytuł jego: »Zymijo«. Oto murzyna polubiła pani, dopuszczała go do poufałości; potem wyszła za mąż w swej sferze; Zymijo zabił się, lecz roił (w obłąkaniu), że dokonał zemsty i nad panią i nad jej narzeczonym. Występują tu chóry duchów, rozmowy gwiazd, i w nich to mieści się zamierzona przez autora dążność. Promień słońca upomina duchy, by łając ziemi, dolom, czasom, nie łajali myślom, bo nikt treści, celu i kresu ich nie poznał do gruntu; chodzi tu o poszanowanie godności ludzkiej.

»Morena« przyjęta została przez młodzież, filozoficznie i humanitarnie nastrojoną, entuzjastycznie, bo ceniono myśli i dążenia, mało zwracając uwagi na stronę ściśle artystyczną¹⁾; ale wśród ogółu czytelników nie znalazła uznania. Sam Tyszyński uczuł prawdopodobnie, że »świecenia« powieściopisarskiego nie

¹⁾ Wyrazem tego nastroju wśród młodzieży stał się Edward Dembowski w krótkiej, lecz uwielbienia pełnej ocenie, pomieszczonej w »Prze-glądzie naukowym« 1842, II, 721, 722. Natomiast A. Szabrański, może przez nadmiar chęci okazania bezstronności, potraktował autora w »Bibl. warsz.« nie jak współpracownika, ale »jak ucznia« wedle wyrażenia Tyszyńskiego w liście do Wójcickiego, znacznie późniejszym, bo z 30 października 1855 z Wilna.

ma; to też na długo porzucił kreślenie obrazków belletrystycznych; dopiero w r. 1860, zaproszony przez Kraszewskiego do współpracownictwa w »Gazecie Codziennej«, napisał »trzy fragmenta logiki w formie krótkich powiastek historycznych«, rozwijające zasadniczą myśl o przeznaczeniu. Pierwszy z tych fragmentów p. t. »Sextus«¹⁾ wydrukowała »Gazeta«. Myślą jego jest, że nieznanne są drogi, które Opatrzność prowadzi świat do celu przez nią zamierzonego; czasem zbrodnia staje się przyczyną wielkiego wzniesienia narodu, jak zgwałcenie małżonki Kollatyna przez Sextusa. Redakcja dodała od siebie przypisek zastrzegający, że praktyczne zastosowanie tego podania »częstoby na drogę bardzo niepewną wprowadzić mogło«, że raczej »cności żony Kollatyna, nie zbrodni Sexta wszystkie dobre następstwa wypadku przypisać należy«. Może nie chcąc po raz wtóry dawać takiego zastrzeżenia, »Gazeta« nie wydrukowała już drugiej nadesłanej sobie powiastki; trzeciej zaś sam Tyszyński nie posłał. Prawdopodobnie jedną z nich była »legenda starogrecka« p. t. »Ewanos prorok Ematy«, wydrukowana w »Kronice Rodzinnej« r. 1868 (N. 7). Przedstawił tu autor, jak Ewanos, dawniej »bohater igrzysk«, rodem z Pelli w Ematy, przemienił się pod wpływem Alkmeona w śpiewaka i przepowiadał świetną przyszłość dla swej ojczyzny, która miała się stać wielką jak Grecya, a dalej wielką jak świat. Lud za tę przepowiednię uczcił go, potem zaś za pewien niedozór wyłupił oczy, ale wtedy na kraj zaczęły spadać kłęski; lud na skutek wyroczni musiał spełnić wszystkie życzenia Ewanosa, który w poważaniu powszechnem dożył późnej starości. Przepowiednia jego spełniła się: Ematya to Macedonia. Miejscem urodzenia Filipa i Aleksandra W. było miasto Pella. »Tu był i grób Eurypidesa, — a niedaleko Stagira, a w niej mędrce Hipparch i Arystoteles, którego władztwo nad światem, jak to przewidywał niegdyś, lubo nie rozumiejąc sam siebie, Ewanos, przeżyło i władztwo rycerzy«.

Tak to w formie belletrystycznej starał się Tyszyński popularyzować swój pogląd na tajne ścieżki Przeznaczenia, któremi kroczyć muszą ludzie, sami nie wiedząc, do czego kiedyś posłużą ich słowa i postęпки.

Popularyzacya ta jednak nie udawała się i nie było »przeznaczonem« naszemu autorowi przemawiać do mas słowami »przypowieści«; ale do szczuplejszego jeno grona ludzi za pośrednictwem rozbioru i rozumowania.

¹⁾ Zob. dodatek do I-go tomu książki obecnej.

To nas prowadzi do rozpatrzenia się w drugim pierwiastku »Amerykanki«, w zawartych tu rozprawach.

IV.

Rozpraw tych jest sześć — wszystkie pisane niby przez Karistę, zdającą sprawę mężowi ze swoich studyów na Litwie: 1-a o religii chrześcijańskiej; 2-a o języku polskim; 3-a o rozwoju historycznym oświecenia w Polsce; 4-a o szkołach poezji polskiej; 5-a o dawnej poezji polskiej; 6-a o poezji polskiej komicznej.

Wskazują one cztery główne dziedziny, w których Tyszyński miał najwięcej pracować: religijno-filozoficzną, lingwistyczną, historyczną i literacko-krytyczną.

Nie we wszystkich na razie wystąpił z jednakową siłą, chociaż we wszystkich okazał wielkie odczytanie. Ta dziedzina, która następnie, mianowicie w drugiej połowie życia, miała zająć najwięcej czasu i najwięcej kart w pismach naszego autora, religijno-filozoficzna, w »Amerykance« przedstawia się dopiero w pierwszych zarysach, i ma cechę prawie wyłącznie religijną, nie zaś filozoficzną; ale stanowisko zasadnicze już i tu się uwydatnia; zawsze opierać się ono będzie na nauce kościoła katolickiego, ale w wykładzie nauki tej nie pójdzie za zwolennikami ślepej wiary w dogmat, bez rozbioru, i dlatego stanie czasami w sprzeczności z niejednym żarliwym katolikiem. Dziedzina lingwistyczna słabo została obrobiona i nigdy potem świetniej się nie ukazała pod piórem naszego autora. Tyszyńskiemu nieznaną była wtedy gramatyka porównawcza, reprezentowana głównie przez Franciszka Boppa; stąd też wykład o właściwościach języka polskiego opiera się całkiem na spostrzeżeniach podmiotowej natury.

Rys historyczny oświecenia w Polsce nie obfituje w szczególności ważne lub nowe, ale też naówczas, wobec braku badań szczegółowych w tym kierunku, niepodobna było wymagać od 25-letniego młodzieńca ani większej erudycji, niż okazał, ani też większego krytycyzmu. Zbytniej niewiary w świadectwa dawne nie podzielał, i krytykę na takiej niewiarze opartą nazwał później ujemną, przeczącą, przeciwstawiając jej krytykę dodatnią, twierdzącą, która nie wyrzeka się ścisłego sprawdzania jednych świadectw za pomocą drugich, nie odrzuca wskazówek rozumu badawczego, lecz też nie lekceważy opowiadania kronikarzy czy historyków, dlatego tylko, że nie mogli być naoczniymi świadkami

zdarzeń, o których mówią. Przyznawał on »tradycyi« — jak w religii, tak w historii — znaczenie nie równe wprawdzie dokumentom, lecz takie, że się z niem liczyć należało. Natomiast bujne hipotezy, wysnute mniej lub więcej dowolnie z jakichś ubocznych wzmianek, a sprzeczne z ustalonym podaniem, przyjmował niedowierzająco. Pomimo swego racjonalistycznego usposobienia, pomimo krytyki »doświadczenia« (I. 239—242), lubił ściśle określone fakta i czuł »wrodzoną odrazę do rozprawiań i twierdzeń hipotezyjnych, dowolnych«, bo »nic łatwiejszego jak rozumować długo, kłaść wyraz po wyrazie, jak go przyniesie pióro; mówić słowo po słowie, co nam przyniesie ślina«; »ja bym — dodaje — chciał uwag filozoficznych mocnych, na pewnej, widocznej, dotykanej zasadzie wspartych, w działaniu innych osób i w naturze własnej postrzeganych«. Z takiego stanowiska, rozszerzonego i pogłębionego następnie, będzie krytykował Tyszyński pomysły Niebuhra i jego zwolennika u nas Szwajnica, dotyczące pierwotnych dziejów rzymskich ¹⁾, albo też dowolne przypuszczenia W. A. Maciejowskiego o najdawniejszej historii Polski ²⁾.

Najobszerniej w »Amerykance« rozciągnęła się dziedzina krytyki literackiej. Rzeczą jest godną uwagi, iż 25-letni młodzieniec w czasie, kiedy romantyczność głośno tryumfowała, nie poprzestał na czytaniu utworów sobie współczesnych, ale sięgnął w przeszłość, nie tylko najbliższą XVIII, ale i w dalszą XVI stulecia, że główniejszych poetów poznał gruntownie, nie z wyjątków tylko, lecz z całości ich dzieł, i że potrafił sobie o wszystkich pismach wyrobić zdanie własne, nie hołdujące żadnemu krańcowemu pogładowi.

Poprzednikom swoim w krytyce literackiej zarzucił, że »nie narzyt trafnie« trudnili się rozbiorem poezyi naszej, bo się zanadto zapatrywali na obce wzory krytyczne, że choć domagali się twórczości rodzimej, to przecież wzoru narodowości szukali po wszystkich krajach (I, 262). Powtórzył wprawdzie za Mochnackim (nie wymieniając go), że do XIX wieku poezya nasza w ogóle swoim nie była »narodową«, ale z tego orzeczenia wyłączył »Sobótkę« Kochanowskiego i »Sielanki« Zimorowicza. Co się zaś tyczy wieku XIX dobitnie zaprotestował przeciwko zdaniu (najsilniej wyrażonemu przez Goszczyńskiego w rozprawie: »Nowa epoka poezyi polskiej«, 1835, której Tyszyński wtedy pewnie jeszcze nie znał), jakoby ona była naśladowniczą, z bardzo nie-

¹⁾ Zob. »Rozbiory i krytyki«, t. II, 128—202.

²⁾ »Rozbiory i krytyki«, II, 1—114, 377—418.

licznymi wyjątkami. Co do swej oceny — powiadał (II, 263) — »istotnie poezya polska bardziej jest nieszczęśliwą, niż wszystkie; przy tem nieporównanem bogactwie wewnętrznem, jest za ubogą mianą; przy najsilniejszych narodowości cechach, za dziwną lub naśladową. Jak niegdyś gramatycy polscy, pisząc prawa języka swego, nie w tym ich języku szukali, ale we wzorach łacińskich; tak i rozbierający poezję polską nie patrzą na jej odrębną, w jakiej wyrasta, szatę, ale szukają zdań angielskich, francuskich, niemieckich, któreby do niej zastosować mogli; chcą koniecznie widzieć tę jedność, tę wspólną wyłączną barwę, jaką każdy widzi w swojej, nie pomnąc, że rozmaitość, że wielostronne tej barwy lice właśnie nowy, oryginalny budować nam musi obraz«. I tu rozacza swój pomysł o odrębnościach, znamionujących składowe części b. Rzpłtej, a więc i o odrębnej ich twórczości. »Narodowa poezya polska — są jego słowa (I, 263, 264) — ten nowy i zajmujący przedstawia nam widok, iż zbiorem jest kilku innych narodowych, odrębnych. Dawne Królestwo Halickie, Litwa, Ukraina, Poznań, Mazowsze i Kraków, w jednym języku polskim natchnienia swoje piszące, są to oddzielne w pierwiastkach swych ludy. Każdy z nich ma oddzielne historyczne pamiątki, własne miejscowe wspomnienia, klasyczne miejsca, zabawy, zwyczaje; każdy z nich ma oddzielny charakter, obrót, ledwie nie mowę; a ten zbiór wspomnień i ten duch miejscowy oddzielnem piętmem na swoich tworach wyciska. Te charakterów, zwyczajów w odległych prowincjach różnice i innym znane są krajom; ale w nich wspólną modą lub wychowaniem wspólnem tłumią się, w jeden zlewają; tu w Polsce, czy przypadkiem, czy wychowania rozkładem, czy też może silniejszą, bo nie prowincjonalną, ale istotnie różnoplemienną w pierwiastkach swoich różnicą, te odrębne duchy miejscowe wybiły się w odrębnych poetycznych szk o ł a c h; a recenzenci polscy to nieznanne gdzieindziej bogactwo, ten nowy i szczególny poezyi polskiej charakter ubóstwem nieszczęśliwym i nieszczęśliwym brakiem charakteru mienia. Co za różnica w duchu i stylu tych poezyi polskiej gałęzi!«

I charakterystyce tych gałęzi poświęcił Tyszyński najobszerniejszą w »Amerykance« rozprawę, dawszy jej napis: »O szkołach poezyi polskiej«. Wyróżnił tu cztery szkoły: l i t e w s k ą (z Mickiewiczem na czele), u k r a i ń s k ą (Malczewski, Goszczyński, Gośławski, B. Zaleski, Zaborowski), p u ł a w s k ą (Szymanowski, Niemcewicz, Książnin, Karpiński, Zabłocki, Woronicz, Tomaszewski, Tański), k r a k o w s k ą (Krakowiaki, Wojciech Bogusławski, Jan Nepomucen Kamiński, K. Brodziński). Każdą z tych

szkół starał się określić pod względem jej odrębności i co do ducha i co do stylu; a w tych określeniach, dzisiaj wydających się nam bardzo skąpymi, nigdy nie popadał w czczą frazeologię, lecz zawsze trzymał się faktów, które przytaczał. Można się z nim nie zgadzać na ocenę tych faktów, ale przyznać mu trzeba sumiennność w ich gromadzeniu i krytyczność w ich zestawianiu. Dzisiejszy czytelnik, znający studia obszerniejsze o głównych przedstawicielach tej poezji, może nie znaleźć zadowolenia w wywodach Tyszyńskiego; ale kto pamięta, że pisano to w r. 1835, kiedy były tylko uwagi o nich pobieżne, ten przyzna autorowi ogromną zasługę, iż od ogólników o twórczości i poezji romantycznej przeszedł do charakteryzowania szczegółów całej poezji z początków XIX w., nie wspominając nawet o podziale na klasyczną i romantyczną.

Jakiż sprawdzian piękna kierował jego sądami? Wiedział to i dobitnie wyrażał Tyszyński, że sędzią piękna jest uczucie; wiedział także, że to uczucie u różnych ludzi w różnych czasach, a nawet u tego samego człowieka w różnych chwilach bywa bardzo odmienne, a więc i zdanie o pewnym piśmie (I, 239), bo »jedno i to samo wyobrażenie nie od każdego w jednym widziane jest stopniu« (I, 245). O zaprowadzeniu zgody i środków ku temu prowadzących jeszcze wtedy nie myślał; był subiektywistą umiarkowanym, bo go rozważanie różnorodnych poezji greckich, łacińskich, francuskich, angielskich, niemieckich, włoskich uczyniło oględnym w wypowiedaniu sądu o pięknie; wyrażał tylko swoje wrażenia, co tem stosowniejsze było, że rozprawom swoim nadał formę listów; na zasady ogólne nie powoływał się; szczerze i gorąco wynurzał swój zachwyty, a krótko i jakby od niechcienia tylko zaznaczał wady i usterki. Na formę (kompozycję, styl, język, wiersz) zważał bardzo pilnie i sądził, że obrobienie w poezji ma doniosłość ważniejszą, aniżeli pomysł, inwencja; stąd poszło przecenienie Gosławskiego, stąd dziwne dla nas obecnie podnoszenie zalet poezji Odyńca nawet w zestawieniu z Mickiewiczem (wyjątek z »Dziadów« i wyjątek z »Góry« I, 139—142). Zarówno wzniosłość, jak prostotę, tragiczność i komizm, uniesienia idealne i obrazy życia powszedniego umiał cenić wedle ich względnej wartości, nie popadając w żadną jednostronność idealistyczną czy realistyczną. Od prawdziwego poety wymagał »natchnienia«, określając je w sposób następujący: »Natchnienie jest to ogień obejmujący umysł, stawiający mu nowe ludy i nieznanne światy; natchnienie jest to siła niezatrzymana niczem, budząca do wcielania ludzkich uczuć w słowa; rodzaje jego są liczne, jak liczne mogą być źródła; jedno unosi,

drugie rozrzewnia; jedno nas dręczy, drugie mile bawi. Są natchnienia tak silne, że posuwają umysł do widzenia przyszłości nawet, jak to widzimy w poezjach hebrajskiego ludu. Owe źródła natchnienia są niewyliczone; może nas natchnąć natura, może piękne oko, może wielkość Boga i niebo. Jaka zaś tegoż natchnienia jest rzadkość i nad inne uczucia wyższość, czują najlepiej to ci, których jest ono udziałem, czują to wieszcz. Poeta nie pisze wtedy, kiedy pragnie, ale kiedy mu natchnienie przybywa; im ono silniej uderza, tem potem naglej opuszcza. Miłość pozostała własna, chęć udzielenia natchnień każe rozumem dotaczać przerwy utworu i tak go potem objawić; i stąd to w płodach geniuszu te nagłe spadki i zmiany...« (I, 249).

W ocenie obszerniejszych utworów Tyszyński zawsze podawał treść ich mniej lub więcej szczegółową, ażeby okazać, jak i o ile ją zrozumiał; do streszczeń wplatał znamienne wyjątki, ażeby dać poznać czytelnikom, co go szczególniej uderzyło, a dopiero w końcu krótko, zwięźle sąd swój przedstawiał. Nie bawił się w długie wywody (jak np. Michał Grabowski), nie grzeszył nigdy gadatliwością, i możnaby mu nawet zrobić zarzut, że nie rozwijał dokładnie swego sądu, że go szkicował tylko w bardzo grubych zarysach, nie wdając się w ich ceniowanie. Nie sądził, żeby można było wykazać istotne przyczyny różnic między poetami (teoryę wpływu klimatu poddał krytyce), ponieważ źródła natchnień są głęboko skryte; to też te szkoły poetyckie, które dzisiaj tak są odrębne, mogą się wiązać dalej (za przykład podawał młodocianą twórczość Juliusza Słowackiego), w nowe się przyodziewać barwy.

Jeżeli obraz poezji, przedstawiony w r. 1835 przez Tyszyńskiego, zestawimy z dziejami ówczesnej literatury, to zadziwić musi brak w nim wzmianki o takich znakomitych utworach jak III część »Dziadów« (1833), »Pan Tadeusz« (1834), albo też mniej znakomitych, ale bardzo znamiennych, jak »Pieśni Janusza« (1833) Wincentego Pola. Odpowiedzieć na to potrzeba, że utwory te wyszły w Paryżu, a do kraju dostawały się bardzo późno; Tyszyński poprostu nie znał ich wtedy, gdy swój list »o szkołach poezji polskiej« kreślił; o jednym z wymienionych tu pism wiemy na pewno, że je poznał dopiero w r. 1872, jak się przekonywamy z listu do Wojcickiego pod datą 28 grudnia: »Czy nie dostałbym do odczytania Pieśni Janusza, których nigdy na oczy nie widziałem?« Nie z zapomnienia zatem pochodzą owe braki, lecz z trudności, jakimi otoczone było naówczas poznawanie nawet arcydzieł poezji naszej.

V.

Widząc swą książkę wydrukowaną, tem silniej uczuł Tyszyński potrzebę dzielenia się myślami swemi z ogółem. Wpływem wtedy czasopismem, zwłaszcza na Litwie i Rusi, był «Tygodnik petersburski», wydawany od r. 1830 przez Józefa Emanuela Przeclawskiego. Tego samego roku, kiedy Kraszewski dawał tu z nadzwyczajną werwą i ciętością pisane artykuły pod ogólnym napisem »Asmodeusz«, oraz najśmielszą, najzuchwalszą nawet swą tyradę p. t. »Jak się robią książki nowe z starych książek«, t. j. w r. 1837 przesłał Tyszyński, jako «autor Amerykanki», pierwszą swą pracę dziennikarsko-krytyczną: »Dwaj ostatni krytycy w Polsce«. Rozwinął tu obszerniej swoje napomknienia w »Amerykance« podane. Mówi króciutko o Mochnickim, nie doceniając jego znaczenia i wpływu; powiada, że nie był oryginalnym, że przejął myśli zasadnicze od Schellinga i jego szkoły, że zdań krytycznych własnych wypowiedział niewiele, że trafność jego sądów była uboczną tylko. Szerzej rozwiódł się nad Michałem Grabowskim, uważanym wtedy za najznakomitszego naszego krytyka. Surowej poddał ocenie jego pierwotne, zbyt rozległe pojęcie poezyi, jako obejmujące wszystkie sztuki piękne, kiedy później zacieśniał to pojęcie jedynie do uznawania poezyi »narodowej«, utożsamianej z »historyczną«. Różniąc się od Grabowskiego i w pojęciu poezyi i w sposobie jej traktowania, zaznaczył także, iż rozumowania Grabowskiego są »po większej części wpływem pism i pojęć Herdera i nowej fatalistycznej historyków szkoły; przyczem dodał, iż tenże »żadnej krytycznej teorii nie stworzył, żadnej dawnej, jakiej się trzyma, jeśli się jakiej trzyma, nie objawił«, że obrał mylny cel, nie spełnił go, ale dużo myśli ważnych wypowiedział. Domagał się wreszcie unarodowienia krytyki, ponieważ poezya polska »nie może być rozważaną według ogólnych krążących w Europie ustaw«, gdyż w rozwoju swoim podlegała odrębnym losom, w różnych prowincjach Polski różny przybierając charakter. Mówiąc to, Tyszyński miał naturalnie na myśli swój podział poezyi polskiej na »szkoły«.

Nie został jednakże Tyszyński krytykiem literackim w »Tygodniku Petersburskim«, czynność tę spełniali w nim Kraszewski i Grabowski. Nie przerwał wprawdzie stosunków i przez lat trzy nadsyłał korespondencye do »Tygodnika« głównie o literaturze

1) Zob. w książce obecnej t. I, str. 121—135.

i sztuce traktujące; ale właściwą i stałą działalność krytyczną rozwinął gdzieindziej.

Oto po upływie trzechlecia urzędowania w charakterze sędziego granicznego, Tyszyński nadługo opuścił Litwę i przeniósł się do Warszawy, gdzie otrzymał (31 marca 1839 r.) posadę w Komisji spraw wewnętrznych i duchownych, a mając, dzięki tej posadzie, jako tako zapewniony byt materyalny, oddał się z całym zapałem literaturze. Poświęcając kilka godzin rannych urzędowaniu, miał potem sporo czasu na studia literackie i filozoficzne, na czytanie i pisanie (dramatów zwłaszcza), oraz na utrzymywanie stosunków towarzyskich, które zawiązał w dosyć znacznej liczbie.

Jednym z najwcześniejszych jego znajomych stał się ówczesny redaktor »Panoramy literatury krajowej i zagranicznej«, prawnik i poeta, Antoni Józef Szabrański, który, pracując w sądownictwie, mógł najprędzej zetknąć się z urzędnikiem Komisji spraw wewnętrznych. Szabrański wzbudził w Tyszyńskim odrazu zaufanie tak dalece, że jeszcze tegoż samego roku 1839 poddał jego ocenie swój dramat, nieznan nam z tytułu, napisany prawdopodobnie jeszcze na Litwie, kiedy się rozkoszował Szekspirem. Dramat ten nie doczekał się druku i nie przechował w rękopiśmie, najpewniej z powodu, że opinia Szabrańskiego była nieprzychylną. Ale doszedł do nas list Tyszyńskiego w tej sprawie bardzo ciekawy i znamieny, wprowadzający nas niejako we wnętrze pracy twórczej naszego krytyka.

«Mam rękopism — oświadczał on Szabrańskiemu — który, jak to pan ujrzeć zechce, przeszedł już nawet cenzurę i miał być oddany do druku, kiedy nagła wątpliwość zarzucić mi go kazała. Jeżeli o jakim piśmie, tedy zapewne o piśmie poetycznej treści, najdłużej mamy sąd ślepy. O piśmie takim i sąd obcy nie jest do znalezienia łatwy; umysł krytyków jest to popolicie umysł suchy, nie wiedzący nawet, co jest poezya. Zrozumie więc pan, dlaczego w przedmiocie tak drażliwym, jakim jest ogłoszenie pisma własnego, szukam sądu, którego smak ukształcony i poetyczne uczucie są już nam znane. Mówiąc prosto, ośmielam się upraszać pana o odczytanie rękopismu, który się przesyła, od początku do końca i położenie na nim swego zdania. Rękopism ten jest to dramat; gdybym się chciał wyrażać językiem zwykłym, mógłbym powiedzieć, że pisałem dramat z uwagi, że literatura nasza nie ma dotąd zupełnie dramatu własnego; takie jednak wyznanie byłoby kłamstwem; pisałem dramat, bo mi to było dane, tak jak niegdyś pierwszy w 7-ym roku życia, nie wiedząc nawet wtenczas, co jest i jaka gdzie

literatura, i jak pisałem potem nowy, ledwie nie co rok, aż do niniejszego, który pierwszy powziąłem był zamiar drukować. Mianowicie, zabijająca jest dla mnie scena 1-sza; mam i to bowiem w wyroku pism moich, że początek w nich zawsze jest najniezszczęśliwszy, nagły, nadęty, przesadny; nie idzie to stąd, że tego dostrzedz nie mogę, ale że mimo dwudziestu odmian, rzecz zawsze na jednym się kończy; scena 1-sza kosztowała mnie więcej podobno, niż cała reszta dramatu i być może, że jest tylko godną odcięcia...«¹⁾).

Mimo nieprzychylnie zdanie Szabrańskiego o tym dramacie, Tyszyński długie lata we wspólnej z nim pracy przepędził; Szabrański zaś tak opisał pierwsze początki swojej z nim znajomości:

»Poznałem go, kiedy w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych obejmował obowiązki urzędowe. Odtąd coraz serdeczniejsze łączyły nas stosunki. Spotykaliśmy się bezustannie na zebraniach, podnoszących ówczesne życie umysłowe: w salonach hr. Rozalii Rzewuskiej, Niny Łuszczewskiej, Lewockiej, Nakwaskiej, Balińskich, Pruszkowej, hr. Przedzieckiego i innych; głównie zaś na porankach niedzielnych u hr. Leona Łubieńskiego, gdzie pod kierunkiem gospodarza, wtajemniczonego we wszystkie ruchy świata towarzyskiego, a umiejącego zręcznie grać na sercach ludzkich, zebrani czuli całą swobodę ducha. Wtedy tryskała z głębi serca i myśl i namiętność, życie wrzało z rozmów, ze sporów, z ucinków, z dowcipu. Tyszyński w tym ruchu wypowiedział swe zdania bez pretensyi, bez uniesienia, zawsze cichy, łagodny i jak gołąbek bez złości.

»Tyszyński nie mógł życia beczynnie przepędzać; nie wystarczała mu samotność i badanie siebie samego, myślał bez ustanku o zawodzie, któryby go ściślej z publicznością połączył i do ciągłej pracy publicznej zapędzał. To pragnienie jego wkrótce zaspokojonem zostało. W początkach września 1840 r. przybyli do mojego mieszkania: Baliński Michał, Tyszyński Aleksander i Potocki Leon²⁾ z tem postanowieniem, aby bezzwłó-

¹⁾ Zob. »Biblioteka Warszawska« 1881, t. I, 162, 163.

²⁾ Poprzednie projekty założenia pisma naukowo-literackiego w Warszawie opowiedział sam Tyszyński w art. »Józef Kraszewski w Warszawie w grudniu 1846 roku« (druk. w »Kłosach« r. 1880, N. 808). Czytamy tu, że Michał Baliński był pierwszym, co razem z Leonem Potockim powziął myśl wydawania »Biblioteki Warszawskiej«. »Byłem trzecim w projekcie — dodaje Tyszyński — i pierwszą, rzecz można, sesyę tego pisma odbyliśmy w mieszkaniu Balińskiego 15 lipca 1840 r. we trzech. Tu zaproszonym był do pomocy, jako praktyk, A. Szabrański, wydawca

cznie utworzyć pismo peryodyczne, literacko-naukowe, któreby ludzi nauki, poświęconych dobru ogólnemu, zbierało w jedną gromadkę i któreby w owym smutnym czasie budziło publiczność z odrętwienia i apatii, pociągało umysły do jakiegokolwiek ruchu i działania. Zaraz więc we czterech ułożyliśmy w ogólnych zarysach plan pisma, wskazaliśmy środki wydawnictwa, podział obowiązków, a dla zapewnienia sił potrzebnych, zaprosiliśmy do wspólnej pracy hr. Łubieńskiego Leona, Kurców Aleksandra i Adolfa, Majewskiego Wincentego, Wójcickiego Kazimierza Władysława i Zielińskiego Feliksa. Tym sposobem osoby, powyżej wymienione, utworzyły grono właścicieli pisma i redakcyę; po kilku naradach nadano pismu tytuł: Biblioteka Warszawska, ułożono zasady postępowania, warunki wspólnej umowy i zawarto kontrakt 11 października 1840 r., opatrzony podpisami wszystkich członków.

»Odtąd rozwija się czynność redakcyi ze szczególną energią; pismo występuje jako własność publiczna. Środowe posiedzenia redakcyi stają się posiedzeniami publicznymi, na które tłumnie przybywają przyjaciele nauk, pragnący przyjść z pomocą dobru ogólnemu. W szczupłym kawalerskim mieszkaniu na drugim piętrze przy ul. Święto-Jerskiej, po schodach ciasnych i niewygodnych, zbierali się starsi, poważniejsi literaci i młodzież; spotykać tam można było: mrg. Aleksandra Wielopolskiego, hr. Ossolińskiego, hr. Skarbka, prof. Bentkowskiego, wraz z Chojeckim Edmundem, Lenartowiczem, Norwidem, Zmorskim, Wolskim Włodzimierzem, Dziekońskim Bogdanem i innymi, jako młodemi ziarnkami przyszłości naszej.

»Ze wszystkich jednak najczynniejszym i najpracowitszym był Aleksander Tyszyński. Z pierwszym zeszytem Biblioteki Warszawskiej w r. 1841, od dnia, w którym ogłosił »Rys historyczny oświecenia Słowian«, ciągle dostarczał redakcyi tyle artykułów, ile potrzeba było. Pisał w przedmiotach: literackim i historycznym, odznaczał się w krytyce, składał redakcyi opinie o artykułach do Biblioteki nadsyłanych, dawał rady, jak dalej pismo prowadzić, aby odpowiadało założeniu swemu. I tak bezustanku przez wszystkie lata od r. 1841. do chwili zgonu, przez lat 40 pracował dla pisma, którego był jednym z pierwszych

»Panoramy«; ten następnie zalecił dwóch kolegów, świeżo z Berlina przybyłych: Aleksandra i Adolfa Kurców, ci — Wincentego Majewskiego, ten — Leona Łubieńskiego, Wojcicki trzymał natenczas dzierżawą Łosią Wólkę, ale powziawszy wiadomość, nader chętnie także przyłączył się do przedsięwzięcia«. (Zob. Bibl. Warsz. 1881, t. I, str. 163).

założycieli¹⁾ i takim poświęceniem się niemałe zjednał sobie zasługi».

Wspomniany przez Szabrańskiego »Rys historyczny oświecenia Słowian« drukowany był w czterech zeszytach «Biblioteki» i wyszedł następnie w osobnej książce (Warszawa, 1841, str. VIII, 142). Autor znał wszystkie ówczesne prace, dotyczące obrabianego przedmiotu, zarówno polskie, rosyjskie, jak czeskie i niemieckie; ale nie poprzestał na nich, sięgał często do źródeł, a fakta przez siebie zebrane starał się pod jeden ogólny widok podciągnąć. Jak większość dzieł historycznych, tak i ta rozprawa Tyszyńskiego straciła znaczenie, bo wiadomości nasze o oświacie i literaturze różnych plemion słowiańskich wzrosły ogromnie; ogólne też poglądy i wnioski autora, na owym dawnym zasobie faktycznym oparte, częściowo tylko utrzymać się mogą. Ale w swoim czasie rozprawa ta nie tylko w naszej literaturze, ale wogóle w słowiańskiej była jedyną, gdyż skupiała porównawczo cechy znamionujące działalność duchową zarówno większych, jak i drobnych narodów szczepu słowiańskiego. Tyszyński wierzył silnie w świetną przyszłość Słowian. Wypowiedział tę wiarę już w dedykacyjnej przemowie do Nestora Kukolnika w »Amerykance«, mówiąc: »oto przyszła godzina, w której zakwita Północ i zajmuje miejsce Zachodu, jak ten był zajął Południa«. Pragnął jednak, ażeby każdy naród rozwijał swoje cechy samoistnie i dlatego projekt Jana Kollara co do piśmienniczej wzajemności słowiańskiej poddał krytyce, tak samo jak mniemanie, iż »zesłaniem Słowian jest obejmować ludzkość«, bo Tyszyński pragnął

¹⁾ Od współwłaścicielstwa Biblioteki usunął się Tyszyński z końcem r. 1841, tak motywując swe wystąpienie w liście do redakcyi (29 listopada 1841): »Okoliczności prywatne, które mię spotkały, zmuszają mię do opuszczenia w roku następnym Warszawy, a przynajmniej do oddalenia się z niej na czas dłuższy. Ponieważ umowa, dotycząca właścicielstwa w wydawaniu Bibl. Warsz. według brzmienia 23 art. zawartą była tylko do 1 stycznia 1842 r., zmuszony zostaję przeto złożyć to oświadczenie, iż nie jestem w możności zawierania nadal tejsze umowy. Redakcyja Bibl. Warsz. nie zechce zapewne obrócić przeciw: artykułu 24 (według którego wystąpienie z redakcyi winno było na miesiąc 5 być oświadczeniem) przez wzgląd, iż to opóźnienie przygodne w niczem natury rzeczy nie zmienia. — Usunięcie się od współwłaścicielstwa w redakcyi, dla której pomoc materialna z mej strony mogła tylko być żądna, nie może być wcale powodem straty dla reszty współwłaścicieli; usuwa mię bowiem tylko — od korzyści. Usunięcie się od współwłaścicielstwa w wydawaniu Bibl. Warsz. nie wzbroni mi zapewne należenia do spółredakcyi tejsze Biblioteki, której owszem zawsze jak dotąd, cały czas, dla zajęcia się piśmiennego wolny, wyłącznie będę się starał poświęcać«.

widzieć harmonię, ale bynajmniej nie kosztem stłumienia różnych dźwięków. Według niego »pomysł rodowości bezwzględnej i wyłącznej wśród Słowian jest zapewne niegodnym Słowian«¹⁾.

W stylu tej pracy najwięcej daje się uczuć zawilość, zwiększona jeszcze dążnością do zastąpienia wyrazów cudzoziemskich świeżo ukutymi polskimi (lubomądrość = filozofia; jednogoda = harmonia; całościemskość = uniwersalizm i t. p.), dążnością, która wtedy grasowała w Warszawie, a z której potem się Tyszyński jak i inni otrząsnął, zamykając dbałość o czystość mowy w ciałniejszych, rozważniej obmyślanych granicach.

I później nie spuszczał Tyszyński z uwagi ważniejszych prac historycznych (ściśle się przyjaźniąc ze znanym zbieraczem Cypryanem Walewskim); lecz przez pierwsze lat dziesięć pracy w »Bibliotece« zajmował się głównie objawami twórczości poetyckiej²⁾, przeważnie swojskiej, czasami jeno wybiegając na pole literatury obcej, mianowicie angielskiej³⁾. Równocześnie jednak oddawał się studjom nad filozofią, gdyż wówczas spekulacya niemiecka według metody dyalektycznej Jerzego Hegla powszechna w Europie budziła zajęcie wśród umysłów wyższych, a i u nas sporo znalazła zwolenników, co nie tylko biernie ją wchłaniali, lecz także czynnie chcieli do jej udoskonalenia się przyczynić, wprowadzając do niej nowe pierwiastki: »mysłu«, wyobraźni, woli. Pisma Kremera, Cieszkowskiego, Libelta czytała młodzież entuzyastyczna z zajęciem, a artykuły i dzieła Bronisława Trentowskiego — z ubóstwieniem. Tyszyński rozważny, jak zawsze, ceniący przedewszystkiem stanowisko »praktyczne«, t. j. możliwość stosowania zasad do życia i jego objawów, nie dał się unieść

¹⁾ »Rys. hist. oświecenia Słowian«, 1841, str. 156.

²⁾ Prócz artykułów krytycznych pomieszczał Tyszyński czasami w »Bibliotece« i »Przeglądzie Naukowym«, z którego redaktorem, E. Dembowskim, był zaprzyjaźniony, poezye oryginalne i tłumaczone. Na jedną z nich zwrócić uwagę dla charakterystyki usposobienia autora. Odpowiadając na wiersz Leona hr. Potockiego zwrócony do siebie, a ostrzegający przed złudzeniami, Tyszyński odsłania posępną twarz (Bibl. Warsz., 1841, t. IV, 186):

Nie dla śmieszków licowych, czułych źrenic matni,
Na słodkie, ni radośne utworzony mowy,
Wiośnie, przed zejściem wiosny, dawszy wzrok ostatni,
Z kraju obleczeń trupich wbiegłem w kraj duchowy.

Nie łudził go ani blask przyszłego gmachu kruchej nadziei, bo ten kraj duchowy ledwie mu świt z swych cieni odsłania; on tylko spełnia swe przeznaczenie:

Ślepy twór — biegnę tylko, jako inni biegą —
Igraszka, lecz igraszka woli — Widzącego.

³⁾ Zob. w obecnej książce t. I, 136—141.

prądowi bezwarunkowego uwielbienia, jak np. Edward Dembowski, lecz zachował się względem niego krytycznie, staczając nieraz żwawe spory z młodo zmarłym Janem Majorkiewiczem, z którym czas jakiś mieszkał razem. A więc poznał główne pisma filozoficzne, od Arystotelesa poczynając, a na najnowszych wtedy Heglistach kończąc, nie ze streszczeń, lecz z samych źródeł, rozpatrzył je gruntownie i doszedł do własnych wyników harmonizujących prawdy wiary chrześcijańsko-katolickiej z rezultatami badań filozoficznych co do najważniejszych zagadnień, jakie zajmowały i zajmują ludzkość. Wynikami tymi podzielił się z czytelnikami »Biblioteki Warszawskiej«, drukując w niej w r. 1850 i 1851 wielką rozprawę »Początki filozofii krajowej«, rozprawę, która następnie utworzyła cały pierwszy tom (str. 424) »Rozbiorów i krytyk«.

Na początku tego tomu pomieścił Tyszyński rzecz o »celu krytyki« (w maju 1852 r.). Nie należy ona do najjaśniejszych w pismach autora. Przejęcie się zagadnieniami filozofii i religii, dążność do zbadania przyszłości, nadały temu wywodowi cechę bardzo oderwaną, lubo Tyszyński, zawsze dbający o »praktyczność«, starał się o przystępność wykładu. Zasadnicze tu myśli są następujące:

Gdybyśmy znali ostateczne wyniki, do których dojdzie ludzkość nie tylko w umiejętności, ale w całym życiu swoim; tobyśmy mieli najlepszą miarę do ocenienia wszystkich objawów czasowych, wszystkich dzieł, dokonywanych obecnie, gdyż wiedzielibyśmy, w jakim one są stosunku do ideału doskonałości. Ponieważ jednak przyszłość ową przeczuwać jeno możemy i za ledwo w bardzo ogólnych zarysach na podstawie religii i filozofii sobie przedstawiać, musimy więc poprzestać na mniej zadowalającej miarce, która się wyraża w szczerości naszych poglądów, naszych uczuć; a zatem »kryterium prawdy w nauce i piękna w sztuce w nas samych jest«.

Tyszyński wyróżniał w człowieku trzy pierwiastki: ciało, myśl i ducha, będącego łącznikiem między dwoma pierwszymi, materyalnemi (bo i myśl pocztytywał autor za wytwór materii, mózgu). Za główny przybytek ducha w człowieku pocztytywał serce. »Z serca — powiadał — płyną takie lub inne myśli, takie lub inne uczynki. Jest na dnie serc ludzkich duch ogólny, który w jednostce każdej ma jednostkowy swój odcień, lecz w gruncie jeden jest. Ten sprawia, iż każde zdanie myśli, które jest prawdą, dla każdego widzi się prawdą; iż co rzetelnie jest pięknem, dla każdego widzi się piękne... To jest z pewno-

ścią prawdą, z pewnością piękne, co sami przed sobą mamy rzetelnie za prawdę, mamy za piękne.

Tyszyński wiedział, że ogółowi kryterium takie wyda się lichem; mniemał jednak, iż jest ono istotnem, tak zdanie swe uzasadniając: »Samolubstwo, zawiść, nienawiść, pycha, cel zysku, chwały chwilowej i t. p. sprawiły lub sprawiają co chwila w sądach, tak sądach oceniających, jak i tworzących, niepamięć lub raczej zacieranie z umysłu owego kryterium. Źródła te, zrazu najmniejsze, zrodziły jednak, wydały te wszystkie rozrosłe fałsze, ohydy, szpetności, drogi wsteczne i błędne, owszem nieraz zbrodnicze, w gałęziach sztuk, nauk, związków społecznych i t. p., które świat kształcą. Zwrot więc naprzód do prawdy w duchu to jest kryterium kryterów«.

Ten indywidualizm i subiektywizm sądu ograniczył jednak Tyszyński wymaganiami wielkimi, jakie względem ukształcenia krytyka postawił. Nie każdy, kto o sąd się kusi, ma ku temu uprawnienie naukowe; bo krytyka winna oceniać dzieła »nie tylko pod względem ich formy czyli gramatyki, nie tylko pod względem pierwiastku w nich piękna czyli estetyki, nie tylko pod względem ogólnego znaczenia czyli idei; ale zarówno pod każdym z tych względów«; powinna oceniać dane dzieło, czyn, przedmiot, «nie tylko w odniesieniu do siebie, do jego chwili, ale też w odniesieniu do całej gałęzi, której jest częścią, w odniesieniu do innych gałęzi, w odniesieniu do ostatecznych celów tak danych, jak wszystkich gałęzi«; jednym słowem krytyka winna być »kierowaniem i posuwaniem owych rozpadłych gałęzi w każdym kierunku, które wymieniliśmy, do ich jedności czyli zbliżania tak każdej w szczególe, jak wszystkich wogóle do stanów ich kwiatu«.

Aby tak rozumianą wszechstronną krytykę uprawiać, nie dosyć jest mieć smak czyli poczucie piękna choćby najsubtelniejsze; nie dosyć pragnąć dojść prawdy jak najszczerzej; ale potrzeba mieć rozległą wiedzę i wielkie doświadczenie życia; a te zalety wpłynąć koniecznie muszą na sam sposób odbierania wrażeń, a następnie na sposób wypowiedzania o nich swego sądu. Indywidualne uczucie i pragnienie zasilone zostanie uczuciami i pragnieniami mnóstwa innych umysłów. »Rzetelny krytyk — wedle Tyszyńskiego — winienby znać nie jedną tylko gałąź z rozwić ludzkości, lecz wszystkie. Znać winien wszelkie rodzaje pojęć i dzieje ich; wszelkie rodzaje uczuć i dzieje ich; znać przeszłość, znać obecność, znać owszem przyszłość. Musząc w sobie być takim, jakimi działać ma innych, winienby nadto

i przedewszystkiem: wiarę mieć w siebie i umieć zaprzec się; nadzieję mieć i poddanie się; świat kochać i nawidzić go«. Osiągnięcie ideału takiego zapewne trudnem jest a bodaj że i niepodobnem; ale zbliżanie się ku niemu stanowi miarę doskonałości sądu, doskonałości krytyki.

Tyszyński starał się jak najbardziej zbliżyć do tego ideału. Wiedzę swą, już od młodu rozległą, wzbogacał ustawicznie; do rozbioru każdego dzieła przystępował z życzliwością, usiłując niemal wszędzie obok ujemnych uwypatnić także strony dodatnie; sąd jego był bezstronny, nigdy nie dotykał osobistości autora, zawsze trzymając się tylko dzieł samych; surowością nigdy nie grzeszył; często nawet może był zanadto pobłażliwy. Literaturę ojczystą kochał gorąco, pragnął jej udoskonalenia i doznawał prawdziwej radości, gdy mógł wykazać jej wspaniały rozwój. »Nie podzielamy — wołał — bynajmniej narzekań i tego zdania, że nasza piśmienność już znikła, myśl wyschła, duch się wyczerpnął. Są to twierdzenia tych, którzy narzekają we wszystkich krajach, we wszystkich czasach, którzy daną piśmienność, społeczeństwo mierzą na skalę swoich bibliotek, swych zajęć, swego humoru. Według nas nasza piśmienność krajowa i duch jej nigdy owszem tyle nie przedstawiały poręk swojego życia«. I wykazywał to szczegółowo co do poezyi, powieści, historyi, estetyki.

Szczególniej cieszył go wzrost badań filozoficznych, w których widział zapowiedź nowego okresu w rozwoju myśli ludzkiej wogóle, gdyż filozofowie nasi wychodzili z ostatniego stanowiska w rozwinięciu filozofii i starali się to stanowisko podnieść i rozszerzyć. Za cechy główne tego nowego okresu, rozpoczętego przez naszych filozofów, podawał: 1) uznawanie nie tylko myśli, nie tylko materji, ale i materji i myśli za pierwiastki oddzielne; 2) nieuznawanie materji, ani też uznawanie myśli za Najwyższość, ale wyszukiwanie i stawianie na to miejsce innych pierwiastków, jako to: myślu, wyobraźni, woli; 3) cel wspólny budowania systemu rzeczywistości; 4) główny wzgląd nauczynki; 5) wychodzenie nie wyłącznie z przeszłości lub obecności, ale wiara w nowy i lepszy wiek przyszły, i wychodzenie z tej wiary; 6) wychodzenie z zasad i dogmatów religii chrześcijańskiej, a to nie domyślnie tylko, przez tolerancję, jak bywało to w empiryzmie, ani przez omówienie, jak w Niemczech, ale jawnie. Krótko mówiąc, cechą filozofii naszej jest »budowanie nie jednostronnie, jak było to w empiryzmie, ani teoretycznie tylko, jak bywało to w filozofii niemieckiej, lecz rzeczywiście, lubo bez uży-

wania nawet tego nazwiska — filozofii praktycznej¹⁾. Wytykał oczywiście i pewne cechy ujemne tej filozofii, między innymi zamiłowanie w dyalektyce, a w ocenianiu prawd religijnych, opieranie się tylko na własnej myśli; nieodróżnianie trzech pierwiastków składu człowieka (ciało, myśl, duch) i gmatwanie ich w źródle i skutkach. Wierzył jednak, że w dalszym rozwinięciu filozofia nasza pozbędzie się tych ujemności. I tu kreśląc tę przyszłość filozofii narodowej, ma naturalnie na uwadze własne swoje poglądy i pragnienia. A zatem filozofia owa przyszłości: 1) oceniając pierwiastki ludzkie, rozróżni i uzna za trzy oddzielne: ciało, myśl, duch, i z nich każdy za rzeczywistość przyzna; 2) wychodząc z uznania ciała za rzeczywistość, uzna pierwiastek formy — formę w dziejach, sztuce, religii, społecznych związkach, ostatnich celach i t. p.; 3) wychodząc z uznania myśli, myśl w swej treści i przeznaczeniu uzna za rzeczywistość, za twierdzenie, i za konieczne uzna wszechstronne a nieustanne kształcenie jej, bez uznawania jej wszakże za Najwyższość wśród danej chwili; 4) wreszcie a nadewszystko wychodząc z uznania ducha, duch ten uzna za pierwiastek zarówno kroków ciała, jak zwrotów myśli; lub inaczej: w kształceniu obu pierwiastków na objawieniu się oprze; a wśród objawień na tem, które przedstawiło nad inne poręki prawdy (t. j. na chrześcijaństwie) — a wśród różnych z niego wyszłych kierunków na tym (katolickim), który wprost z tegoż objawienia wypływa²⁾.

Takie były zasadnicze myśli, którymi się Tyszyński kierował w wydawaniu sądów swoich filozoficznych, estetycznych, historycznych, społecznych, nie tylko tych, które zawarł w trzech tomach »Rozbiorów i krytyki« (1854); ale i we wszystkich późniejszych, zebranych w książkowej formie dopiero obecnie, w swoich rozmowach i wykładach. Owszem rozleglejsze, szczegółowsze, głębsze ich uzasadnienie stało się dla niego zadaniem życia, zadaniem spełnionem wreszcie po wielu, wielu latach pracy.

Zanim jednak o tem dziele jego powiem, zwrócić się znów wypada do szczegółów biograficznych.

1) »Rozbiory i krytyki«, I, 422, 423.

2) »Rozbiory i krytyki«, I, 424.

VI.

Zżywszy się z Warszawą i z jej ruchem umysłowym, Tyszyński co lat parę zaledwie odwiedzał na krótko Miassotę dla ujrzenia matki ukochanej. Tu pędzono życie coraz spokojniejsze i cichsze; matka posuwała się w lata; ciężkie cierpienia, praca ustawiczna oddziaływały coraz dotkliwiej na jej wątły organizm. Syn starszy Kazimierz wyrobił się na niestrudzonego rolnika, a jego zacność i prawość zjednały mu szacunek powszechny; unikał on jednak hucznych zabaw, towarzystwa dam i został starym kawalerem. Siostry obie, Emilia i Klara, wyszły za mąż, pierwsza za Antoniego Muchlińskiego, towarzysza niegdyś szkolnego Tyszyńskich w Mołodecznie, a potem profesora języków wschodnich w uniwersytecie petersburskim¹⁾; druga za Stefana Hrynkiewicza, nauczyciela matematyki w gimnazjum mińskim. Raz tylko do roku zbierało się w Miassocie dużo osób, t. j. na imieniny pani domu 15 października. Każdy przyjazd Aleksandra z Warszawy ożywiał wszystkich; jego opowiadania o tamecznych stosunkach, o salonach literackich, o teatrze, o sztuce, o zamiarach i dążeniach stanowiły dla słuchających ucztę duchową.

W r. 1852 zmarła Emilia w Petersburgu; w trzy lata potem Kazimierz. Matkę (70-letnią) tak wstrząsnęła ta katastrofa, iż obawiano się o jej życie. Aleksander wobec braku telegrafów i kolei nie mógł się dowiedzieć dość wcześnie o zgonie brata i przybyć na pogrzeb jego, wyprawiony przy wielkim zjeździe obywatelstwa. Dopiero w parę miesięcy potem, w kwietniu r. 1855 znalazł się Tyszyński przy matce, opuściwszy Warszawę na długo, i niebawem wybrany został »deputatem dworzańskim« z powiatu wilejskiego dla zasiadania w »Zgromadzeniu Szlacheckiem« w Wilnie, gdzie najczęściej widywał się z Odyńcem.

Matka więcej już leżała, niż chodziła, ciągle się czując niezdrową i zgnębioną smutkiem. Tylko latem, gdy się zjeżdżały wnuczeta, ożywiała się nieco, a jedną z córek Klary, Matyldę, miała ciągle przy sobie, zajmując się jej wychowaniem.

Prawdziwie radosnym dla niej wypadkiem były zaręczyny i ślub 47-letniego Aleksandra, co całkiem odmieniło jego chwilowy zamiar odwiedzenia Warszawy i wyjechania za granicę. W okolicy Miassoty, w majątku Dekszniany odbywało się w początkach r. 1857 huczne wesele panny Gieczewiczówny z p. Horwatem, zamożnym obywatelem z Polesia; towarzystwo było bardzo liczne;

¹⁾ Zob. w obecnej książce tom II, dodatek 2-gi.

ślub brano w kościele parafialnym w Radoszkowicach. Na tem to weselu Tyszyński poznał pannę Felicyę, córkę Wincentego Frybesa, niegdyś gubernatora w Archangielsku, i Izabeli z Prószyńskich ¹⁾, spokrewnionej z rodziną Gieczewiczów. Pokochał ją i niebawem zaślubił w katedrze mińskiej (28 czerwca 1857 r.). Czuł się nad wyraz szczęśliwym i pisał do Wojcickiego z zapamiętem (9 listopada 1857): »Małżonka moja jest to istota śliczna, jak może niema drugiej na świecie; jest to spotkany przeze mnie nagle ideał piękności, jaki mi się ciągle przed oczami od lat najmłodszych przedstawiał, a według którego w każdej spotykanej przeze mnie tu i gdzieindziej piękności widziałem i czułem braki; — ta moja małżonka, mówię, mam nadzieję, że uszczęśliwi mi duszę... I nie doznał zawodu.

Mieszkanie na wsi nie odrywało Tyszyńskiego od zajęć naukowo-literackich, chociaż dużo czasu tracić musiał i na gospodarstwo i na rozjazdy, mianowicie do Wilna, gdzie otrzymał nominację na członka rzeczywistego »Komisji archeologicznej«. W początkach nawet pobytu w Miassocie pisywał sporo sprawozdań do »Biblioteki Warszawskiej«, z którą utrzymywał wciąż stosunki; potem w r. 1856 zaczął pisywać »Listy o piśmiennictwie bieżącym« do »Dziennika Warszawskiego«, przezwanego niebawem »Kroniką wiadomości krajowych i zagranicznych«; ale na piątym zakończył swe współpracownictwo, gdy redakcja »Kroniki« bez żadnego usprawiedliwienia usunęła z jego rozbioru filozofii Kremera ustęp końcowy. W r. 1857 bawiąc w Wilnie podczas karnawału, uczestniczył w sesjach, które mu przypomniały początkowe posiedzenia »Biblioteki«. Miano wydawać nowe pismo p. t. »Tydzień«, ale gdy zezwolenia nie otrzymano, postanowiono ogłaszać nie-peryodycznie »Tekę wileńską«. Na sesjach bywali: Odyniec, Ignacy Chodźko, Eustachy Tyszkiewicz, Michał Baliński, Jocher, Syrokomla i w. i. Redaktorem został A. H. Kirkor (Jan ze Śliwina). Wiadomo, że »Teką«

¹⁾ Bratowa teje, Atanazowa Prószyńska, była jedyną córką Bohuszewicza, który niegdyś jako poseł miński z Rejtanem i Korsakiem do końca na sejmie grodzieńskim 1793 przeciw postanowieniom tegoż protestował. Felicya Frybes nie nadługo jeździła do Archangielska i wychowywała się pod okiem matki na Litwie. Jej ojciec nabył w r. 1857 dobra po Władysławie Trembickim koło Białegostoku. Ponieważ budowano wówczas kolej do Wilna, Tyszyński miał nadzieję, odwiedzając teścia, pojechać z żoną do Warszawy dla obeznania jej z tameczną wymową klas wyższych; sam zaś oczekiwał, że redakcja »Biblioteki« spełni daną mu niegdyś obietnicę odbycia sesji wieczornej w Miassocie. (List do Wójcickiego z 4-go marca 1858 r.)

ustała wraz z wydaniem szóstego zeszytu, a materiały zgromadzone do niej, wyszły w r. 1859 jako »Pismo zbiorowe wileńskie«; w niem to znajduje się »studjum« Tyszyńskiego o Deotymie.

Był to jedyny artykuł napisany przezeń w ciągu lat trzech (1857—60); w tym czasie pracował on nad zamierzoną oddawna »Książką o biegu dziejów czyli Logiką filozofii praktycznej«, opartą na historii rozwoju ludzkości. Czytał dużej, prenumerując kilka pism zagranicznych literackich, filozoficznych i naukowych, aby, jak powiadał, »być w biegu rzeczy«. W dniu 25 lutego 1860 r. donosił Wojcickiemu: »Pismo moje, nad którym pracowałem od lat 20, skończyłem wreszcie; — nie skończyłem je(!) wprawdzie tak, jak oddać do druku; do tego jeszcze daleko; ale przynajmniej, że tak powiem, mogę odpocząć, t. j. to jeden, to drugi artykułik do pism czasowych przysyłać«. Z tego dzieła wyjął jeden ustęp i p. t. »Trzy loiki czyli jaką powinna być loika« i wydrukował w r. 1860 w »Bibl. Warsz.«¹⁾. Ale do ogłoszenia całości nie przyszło i znowu całe lat 10 upłynąć miało, zanim w odmiennym kształcie i pod innym tytułem z druku się pojawiło. I niewiele też artykułów podawał do czasopism; parę tylko do »Kuryera Wileńskiego«, który się od r. 1860 znacznie ożywił pod redakcją A. H. Kirkora, jeden do »Gazety Codziennej« i parę do »Biblioteki Warszawskiej«, którą mu nadsyłało bardzo nieregularnie, na co się wielokrotnie w listach do Wojcickiego uskarżał.

Tymczasem w lutym r. 1860 powiększyła się rodzina Tyszyńskich przybyciem na świat pierwszego syna, którego na pa-

¹⁾ Przy tej sposobności pisał do Wojcickiego (21 marca 1860 r.): »Wszyscy chcą *filozofii praktycznej*, ale filozofia praktyczna nie da się wprowadzić z żadnej z tych Logik, jakie są dotąd; jeżeli filozofia nasza krajowa stać się ma z gruntu nową, powinna wyjść z Logiki z gruntu nowej. Filozofia dziś wprawdzie, jak to mówią, wszędzie *zbankrutowała* (widzę to i w niemieckiej, której pisma w poznawaniu pism ludzkich zajęły mię nad wszystko i w biegu której staram się być zawsze); nie idzie jednak zatem, iżby i żyć przestała; może to być skutkiem przychyny takiej, iż za żywy jest na te lata rozkwit innych pierwiastków ludzkich, może to być skutkiem winy nie filozofii a filozofów i t. p., a jednak jest to pewna, że literatura żadnego kraju nie może się nazwać rzetelnie bogatą, kraj rzetelnie znaczącym, jeżeli nie odznaczy ich filozofia; czy to dlatego, że stan tej gałęzi wpływa na stan zastosowań, t. j. uprawy innych gałęzi w tym kraju, czy też dlatego, że zjawienie się tej gałęzi jest znakiem dojścia krajowego myślenia do kwiatu myślenia. Zaopatrzenie się w komplet i odczytywanie ponawiane znakomitych pism filozofów od czasów pierwszych było dla mnie najprzyjemniejszym zajęciem się umysłem przez te lat kilka«.

miątkę stryja nazwano Kazimierzem, — wielka serdeczna pociecha babki. Ale jej siły słabły coraz bardziej i w dniu 7 kwietnia 1863 r. zasnęła na wieki. Ze względu na Wielki Tydzień oraz na ruch zbrojny w okolicy, pogrzeb odbył się bardzo cicho; ciemnym wieczorem wywieziono zwłoki do kościoła w Krasnem, gdzie też nazajutrz złożono je obok zwłok syna, Kazimierza. Aleksander, choć oddawna przygotowany do katastrofy, odczuł ten zgon niezmiernie boleśnie; w późniejszych nawet latach mawiał, że w rocznicę śmierci matki czuje się zawsze »jak nie swój«.

Przez ciąg ruchu zbrojnego Tyszyńscy, pogrążeni w żałobie, siedzieli szczelnie zamknięci na wsi; a gdy po latach paru nastąpiło względne uspokojenie, Miassota okazała się w liczbie nietkniętych napozór rozbitków. Położenie atoli było bardzo ciężkie, gdyż oprócz zmiany warunków ekonomicznych, wywołanych uwłaszczeniem włościan, przynębiała kontrybucya, obliczana w stosunku 10⁰/₀ od dochodu, jaki majątki przy pańszczyźnianym robotniku przynosiły. Wobec takich stosunków trudno było utrzymać obywatelom przy ziemi, gdyby nie możność sprzedawania lasów, licznych jeszcze w owej dobie, choć ceny drzewa, z powodu trudności komunikacji, były niskie. Padły tedy, sprzedane za bezcen, odwieczne sosny w lasach miassockich; ale dochód ten na niedługo mógł starczyć; a prócz tego i inne bolesne zmiany oddziaływały zniechęcająco. Tyszyński, zamiłowany w pracy literackiej, nie mógł podołać kłopotom gospodarskim i obejrzał się za innym zajęciem. W końcu r. 1865 pojechał do Wilna, potem do Warszawy. Tu odnowiwszy stosunki ze światem naukowo-literackim, otrzymał wezwanie na nieobsadzoną dotąd jeszcze katedrę literatury polskiej w Szkole Głównej, przyjął ją oczywiście z radością, nie przewidując, że bardzo krótko zajmować ją będzie.

Żona jego nie podzielała zniechęcenia do Litwy, bo chociaż wychowana w mieście, przywiązała się namiętnie do życia wiejskiego i do ciszy miassockiej; gdy więc mąż, otrzymawszy zaszczytne stanowisko, skłaniał się do zupełnego pozbycia się Miassoty, ona namówiła go do wypuszczenia majątku tylko w dzierżawę, z zachowaniem ziemi, jako punktu oparcia dla rodziny na przyszłość. Późem w czerwcu 1866 wyjechała z sześciolletnim Kazimierzem do Warszawy; młodszego zaś synka Wacława, musiała, ze względu na wątłe zdrowie, zostawić na wsi u krewnych, gdzie on wkrótce żyć przestał.

VII.

Wykłady swoje w Szkole Głównej rozpoczął Tyszyński 1 października 1866 r. W pierwszym podał ogólny swój pogląd na rozwój literatury polskiej od jej zawiązku aż do końca wieku XVIII. Do zakresu literatury, zdaniem jego, odnosi się to wszystko, co tylko wyrażane jest pismem; pisma jednak, »odznaczone pewną sztuką słowa w znaczeniu wyższem«, uważać wypada za »literaturę właściwą« i mówić o nich obszerniej; o utworach zaś, »w których pismo jest tylko częścią do zrozumienia myśli konieczną« (np. w dziełach naukowych, polemikach religijnych i t. p.), mówić tylko o tyle, o ile były one w kraju pomnożeniem użytku słowa, t. j. »rozważać je tylko pod względem piśmiennej ich szaty, nie zaś gałęzi«, modyfikując tym sposobem w praktyce wymagania, stawiane r. 1852 krytykowi idealnemu, który miał się przyczynić także do udoskonalenia nie tylko szaty słowa, ale i gałęzi naukowych. W dziejach literatury polskiej do końca w. XVIII dojrzał trzy okresy, wzięte z historii rozwoju jednostki, t. j. okres pamięci, fantazyi i rozważań. Pierwszy ciągnie się do końca w. XV; niema w nim żadnego »wyższej i stałej wartości« pisma poetycznego, ani filozoficznego, a natomiast jedna gałąź wygórowała nad inne i »wydała utwory nie tylko liczne, lecz świetne«; a tą gałęzią były kroniki. Okres drugi, ciągnący się do połowy w. XVII, przedstawia pod wielu względami znakomitych autorów; najróżnorodniejsze przedmioty stawały się treścią badania; ale »to, co głównie odznaczyło, co było najwięcej w nim nowem, najwięcej oryginalnem a najliczniejszym, były to utwory poezyi«. Trzeci wreszcie okres, do końca w. XVIII, to czas, kiedy »upadło uczucie piękna, smak się powszechny zepsuł«, odznaczył się on jednak cechą rozwagi, widniejącej w ustaleniu się wyznań religijnych, w ukazaniu się bibliografii i krytyki, w zamienieniu się kronik na szczegółowsze dzieje wewnętrzne, odbite w tak zw. dyaryuszach, pamiętnikach, herbarzach, żywotopismach, i wreszcie w zastanawianiu się coraz bliższem i w pracy nad poprawą urzędów krajowych. Ten okres podzielił Tyszyński na 2 podokresy: od r. 1650 do 1750 i od 1750 do 1800.

Tak określony program wypełnił w zupełności i konsekwentnie w przeciągu lat trzech; równomierności jednak nie zachował, bo zachować nie mógł. Wykłady odbywały się trzy razy na tydzień. W pierwszym roku akademickim (1866/67) przeszedł Tyszyński okres pierwszy; a ponieważ zabytków piśmiennych

stosunkowo do innych okresów było w nim najmniej, wywiązał się tedy ze swego zadania bardzo szczegółowo; wykłady mianowicie dotyczące kronik, a zwłaszcza ulubionego przezeń Kadłubka, były znakomite. W roku drugim (1867/68) musiał już uprzedzić na wstępie, że nie będzie się starał o tak szczegółową drobiazgowość jak w okresie poprzednim, gdyż dla charakterystyki tych czasów dość przyjrzeć się wybitnym osobistościom. I rzeczywiście były to właściwie prelekcje o 20 najwybitniejszych pisarzach w. XVI i początków XVII. W trzecim nakoniec roku (1868/69), roztrząsając okres pod względem ilości pisarzy najobfitszy, musiał się bardziej jeszcze ograniczyć, chcąc ukończyć swe wykłady; w końcu też podawał tylko suche wyliczenie autorów, dat i tytułów z działów krytyki, filozofii, prawodawstwa, nauk przyrodniczych, medycyny, polityki i lingwistyki; ani Staszic ani Kołłątaj nie doczekali się już obszerniejszego rozbioru.

Co do metody wykładu, Tyszyński zachował w prelekcjach zwyczaj, którym się posługiwał w swych krytykach, t. j. dawał poznać autora w obszernym streszczeniu dzieł i charakterystycznych wyjątkach, formułując w końcu ogólny wniosek i przytaczając dość często zdania innych krytyków o rozbieżnym autorze. O dokładność biograficzną i bibliograficzną dbał bardzo, poczytując ją za fundament budowli historycznej i krytykując zdanie jednego z historyków literatury niemieckiej, jakoby historia literatury wtedy dopiero stać się mogła nauką żywotną, kiedy się oswobodziła zdoła z bibliograficznych i biograficznych agregatów.

Jak pod względem z e w n ę t r z n y m starał się o »możliwą pełność szczegółów«; tak pod względem w e w n ę t r z n y m usiłował wydobyć na wierzch znamienne cechy nie tylko autora wogóle, lecz i głównych dzieł jego. W tej mierze za najogólniejszą zasadę przyjął: nie podawać tego za prawdę, czego by przed samym sobą za prawdę nie miał (»szczerłość«); przytem pragnął usunąć wszelkiego rodzaju przechwałki narodowe, a więc ćwiczeń wierszowych — jak sam się wyraża — nie poczytywać za poezje, gładkich wierszy za arcydzieła, myśli rozsądnych za geniusz filozoficzny. Dążeniem jego było posunąć o krok dalej znajomość literatury naszej, gdyż słusznie utrzymywał, że nauka ta zaczęła się u nas od przedstawiania spisów bibliograficznych, następnie podążyła do przedstawiania zarazem wyjątków z pism, do charakterystyki ogólnej pisarzy; charakterystyka zaś bliższa szczegółowych utworów jest dopiero polem do uprawienia. Tyszyński wziął się właśnie do jego uprawy i wszystkie główne dzieła z własnego czytania dawał poznać. Jest to zasługa ogromna;

wykład profesora nie był powtarzaniem tego, co już wydrukowano, ale rozwijał przed słuchaczami nieznane albo mało znane widoki z przeszłości literatury naszej. Ta niepospolita zaleta każała zapominać o wadach.

Wady wynikały głównie z pojmowania zakresu literatury i sposobu przedstawiania jej rozwoju. Tyszyński zapowiedział, że utwory naukowe tylko ze względu na styl oceniać zamierza; to mu odjęło możliwość dania cywilizacyjnego tła swym prelekcjom i przemieniło historię literatury na studia o pisarzach. Drugą wadą był brak charakterystyki dziejowej i zestawienia literatury naszej z literaturą powszechną; jakkolwiek bowiem przy poszczególnych pisarzach zestawienia pewne robił (np. Rej i Dante), ponieważ wszelako dotyczyły one osób, nie zaś ruchu ogólnego umysłów, nie dawały więc słuchaczom należytego pojęcia o znaczeniu literatury polskiej w chórze literatur europejskich. Ogólna charakterystyka okresów była bardzo błada i abstrakcyjna, jak sam ogólny podział historii literatury, mający cechę filozoficzną a nie historyczną.

Wykład pod względem wygłoszenia nie odznaczał się świetnością; potrzeba było dobrze się wsłuchiwać w ten przyciszony, trochę szepleniący, a w ustępach patetycznych krzykliwy głos, ażeby należycie już to brzmienie jego pochwyć, już to doniosłość intonacji zrozumieć. Oryginalny, mnóstwem zdań wtrąconych przepełniony styl, nawet na piśmie nieraz trudny do rozwikłania, wymagał mozolnej uwagi, ażeby się wśród arabsków jego zorientować. Przytem częste przerywanie czytania, by dać ustnie jakieś objaśnienia, które wobec braku płynnej wymowy zamieniały się na walkę z własnymi słowami, niezbyt wielką dla słuchaczy stanowiło ponętę. Niedostatki rzeczono nagradzała ta okoliczność, że głos profesora zdawał się wychodzić jakby z głębi duszy, tak szczerze, tak serdecznie, tak przekonująco wypowiadał on swoje myśli, iż nie czuło się najmniejszej teatralności w wykładzie. A gruntowna znajomość zabytków literatury naszej, znajomość bezpośrednia, wykazująca się w szczegółowym a nie ogólnikowym tylko rozbiórce treści tych zabytków, budziła największe zaufanie w prawdziwość słów profesora i rzetelne zamiłowanie do studyów sumiennych. Budującą to było rzeczą widzieć, jak Tyszyński z młodzieńczą energią przesiadywał godzinami całymi w Bibliotece Głównej, ciągle studyując dawnych pisarzy, ażeby nic nie twierdzić z przypomnienia tylko, z cudzego sprawozdania, ale opierać wszystko na własnych i to ponawianych badaniach. Taki przykład oddziaływał na młodzież zachęcająco i pokrzepiająco. Jego wpływowi przypisać na-

leży zabranie się do studyów historyczno-literackich przez kilku jego słuchaczy, jak Adam Rzażewski, Bronisław Chlebowski, Antoni Gustaw Bem i piszący to wspomnienie. Tyszyńskiego nie uwielbiali entuzjastycznie studenci, ale go poważali i kochali; a rozstanie się z nim wywołało żal szczerzy i głęboki.

Gdy Szkoła Główna została zamieniona na uniwersytet z wykładami w języku rosyjskim, Tyszyński musiał ustąpić z katedry. Nie wesoło zeszło lato 1869 r., które Tyszyński wraz z rodziną musiał przepędzić w mieście, gdyż wspaniale urządzony Ostrówek, majątek teścia, Wincentego Frybesa, zwykle dotąd miejsce letnich wczasów, przeszedł po śmierci tegoż na jego synów, a ci go wydzierzawili. Wskutek uszczuplenia dochodów z powodu utraty profesury musiano zająć skromne mieszkanie na Żórawiej, trzy pokoiki na trzecim piętrze. Zaliczony na dwa lata, jako spadły z etatu, do Okręgu naukowego warszawskiego, bez określonego zajęcia, Tyszyński oddał się całkowicie wykonczeniu swej pracy historyczno-filozoficznej. Po upływie owych dwu lat, otrzymał ostateczną dymisyę ze służby rządowej wraz ze skromną emeryturą (lata urzędowania w b. Komisji Spraw Wewnętrznych zostały mu zaliczone), która od zbytnej troski o byt materyalny rodziny w każdym razie zabezpieczała, gdy Miassota żadnego prawie dochodu nie przynosiła.

W pierwszej połowie r. 1870 wyszła nareszcie owa wieloletnia praca Tyszyńskiego, owa logika praktyczna, do której pierwszy pomysł powziął w zaraniu wieku męskiego, którą ukończył, jak mu się na razie zdawało, w r. 1860, ale którą ostatecznie przerobiwszy, nadał jej tytuł odmienny, a mianowicie: »Pierwsze zasady krytyki powszechnej« (Warszawa, dwa tomy, str. 256 i 307), ogrom erudycji, ściśnięty w szczupłych stosunkowo rozmiarach. Dedykował ją profesorowi filozofii, swemu do niedawna koledze, Henrykowi Struwegowi, który w swojej Logice wyraził wątpliwość z powodu wzmiankowanych »Trzech loik«, aby »metafizyka i etyka złączone z loiką mogły wydać loikę«. Tyszyński odpowiada na to, że jak Hegel swoją naukę o formach »świata« raczej niż »myśli« nazwał logiką i z niej wychodząc, zbudował system posuwający naprzód myślenie ludzkie; tak też można zamiast nauki o »formach« świata, zbudować naukę o »faktach« świata i tę wziąć za podstawę form myśli: taka logika, będąc o krok bliższą zasad »rzeczywistości«, może wydać z czasem prawdziwą filozofię »rzeczywistości«. Tych faktów świata poszukują przyrodnicy; ale oni mogą poznać tylko istotę »ziemi« (natury), nie zaś »ludzi«. Ażeby osiągnąć wiedzę o ludziach, należy zbadać głównie to, co wyróżnia człowieka od

innych zwierząt. Nie wyróżnia go zaś ani *ciało*, bo to jest wspólne całej naturze; nie wyróżnia go nawet *myśl*, boć przecie i »każde biegające zwierzę ma swoją myśl«; wyróżnia go tylko *duch* i sposób, w jaki się duch ten przejawia, t. j. *natchnienie*, które wydało cały szereg faktów, nazywanych religiami, ustawami, dziejami, sztuką, nauką, przemysłem, wynalazkami i t. p. faktów, »które w granice natury wniosły *nowość*, które przemieniły ten świat, przemieniają i niewiadomem jest jeszcze, jak dalece przemienić go mają«. Za pośrednictwem »natchnienia« wiąże się człowiek jawnie »z jakimś światem tajemnic«.

Otóż dzieje *ducha*, ujawnione w faktach powyżej wzmiankowanych, stanowią główną treść książki Tyszyńskiego. Nie zapomina on wprawdzie ani o »ciele«, ani o »myśli« ludzkości, lecz rozszerza się najbardziej nad tem, co uważał za sprawę »natchnienia«. Upatrzyszy zaś oddawna (jak to widzieliśmy wyraźnie przy wykładach historii literatury polskiej) podobieństwo między rozwojem człowieka pojedynczego, a ludzkości, podzielił całe dzieje jej rozwoju na okresy: niemowlęstwa, pamięci, fantazji, rozwagi (czyli sądu). Rozpatrzyszy przeszłość od czasów niepamiętnych aż do chwili najnowszej, i dojrzaszyszy wszędzie, pomimo różnorodnych zbroceń, dążność do pewnej jedności, do pewnej harmonii na zasadzie celowości powszechnej, zastanowił się Tyszyński nad przyszłością, starał się określić, biorąc ku pomocy i przepowiednie religii chrześcijańskiej i ideę postępu, jaką będzie ta przyszłość pod względem ciała, myśli i ducha. Nie wchodząc tu w szczegóły, można oznaczyć jednym wyrazem cechy wszystkich tych trzech czynników, mianowicie wyrazem: doskonałość. Dopiero po takim wglądnięciu w przyszłość, według t. zw. przez siebie »kryterium następstw«, Tyszyński przystąpił do oznaczenia prawidła postępowania, zawierającego w sobie zarazem »pierwsze zasady krytyki powszechnej«. Pomimo różnaitości dróg, jakimi ludzkość kroczyła, zawsze zmierzała ona ku pewnej łączności, zbliżającej wszystkie nauki i dzieła człowieka do prawdy bezwzględnej, a tę prawdę w sprawach dla ludzkości najważniejszych objawiło chrześcijaństwo. W zastosowaniu tych wyników badania do ducha, myśli i ciała wypływają prawidła, że duch powinien się ukazać wolnym od wszelkiej złości, a będzie *czystym*; że myśl powinna wrosnąć w *mądrość czynną*, a ciało czyli uczynki winny się kierować zasadą *miłości*. Ażeby być czystym, człowiek każdy, jak Chrystus ewangeliczny, powinienby młodo jeszcze odbyć walkę z czartem i zwalczyć czarta, a w dalszym ciągu życia w każdej chwili mōdz rzec: »kto mi dowiedzie grzechu?« Pod względem myśli,

nabywszy w młodości wykształcenia, powinien następnie »nau-
czać lud« czy to przez przenośnie i przypowieści (dziełami
sztuki) czy jasnem słowem (dziełami umiejętności), gromić pró-
żnych i pysznych, cieszyć prostaczków, przepowiadać i mnożyć
liczbę przepowiadaczy Nowiny Dobrej. Wreszcie co do uczyn-
ków »każdy z ludzi winienby umieć i żyć sam z sobą, na pu-
szczy, poszcząc i modląc się, i żyć wśród świata: jadać z ludem
na polu i za stołem bogaczy, żyć w gronie doktorów i z grze-
sznikami; dzielić ciężary życia i gody; umieć uniażać się i, gdzie
wypada, przewodzić; ucząc prawdy, nie trwożyć się ani gminu,
ani doktorów, znosić równie chwałę i cios, i nie cofnąć się od
uczynków prawdy i od słów prawdy do straty życia«. Wyra-
żając zaś owe przepisy słowami religii chrześcijańskiej: wiara,
nadzieja i miłość winny być trzema rozdziałami kodeksu, okre-
ślającego zasady sądu czyli krytyki powszechnej. A mianowicie:
»Podstawę jego ma odznaczać *wiara* (wiara już dzisiaj skądinąd
prawie z poznaniem złączona), że pośród dróg ludzkości i nauk
ludzkości najbliższymi bezwzględnej prawdy są: nauka chrześci-
jańska i droga chrześcijańska. W jego treści, kierunku i szcze-
gółach celów, zgodnie z nauką tej wiary, ma tkwić *nadzieja*,
iż to księstwo fałszów i cieniów, śmierci i złości, którego władza
wokrag dziś kuli ziemskiej tyle (lubo znikających stopniowo) ob-
jawia śladów, już osądzone jest, i że się urzeczywistnia w grun-
cie, krzewi i zbliża, wyłącznie dla ziemi i ludzi: Królestwo Dobra.
W jego wreszcie szczegółach wszelkich (wszelkich, że tak po-
wiemy praktycznie: rozumowaniach, teoriach, pismach kryty-
cznych, artykułach) nie powinny mieć miejsca wcale ślady owego
księstwa, jako np. gniew, zawiść, wzgarda (choćby jakiej gałęzi
naukowej), dobrowolny fałsz, osobistość, złość słowem wszelka;
ale równie w formie zewnętrznej, jak w celach wewnętrznych,
tkwić winna *miłość*. Na takich zasadach wsparty, w takich ra-
mach idący sąd nasz ma też mieć głównie na oku *wiek ów
zbliżony*, do którego bezpośrednio wejść mamy... Z bliższego
więc lub dalszego stosunku danego pisma lub dzieła sztuki do
ideału tego oceniać się i wskazywać musi ich żywotność, ich
strony dodatnie, albo ich braki. W krytyce danej gałęzi warun-
kiem też naturalnie być musi: szczególnie zgłębienie istoty i hi-
storycznej uprawy tej gałęzi; lecz pamięć na ów wiek przybli-
żony i na te ramy sądu, o których dopiero rzekliśmy, to są
pierwsze zasady krytyki powszechnej«.

Niewątpliwie są to zasady bardzo ogólne i odnoszą się
raczej do osobistości, do umysłu, serca i charakteru krytyka,
aniżeli do samego wydawania sądu; o to też głównie autorowi

chodziło. W wielu pojęciach, w wielu poglądach Tyszyński zgadzał się z Mickiewiczem, wyprzedził zaś Leona Tołstoja, którzy tak samo, jak on, żądali przede wszystkim wewnętrznego przetworzenia, udoskonalenia człowieka, ażeby dzieła jego mogły odpowiadać i potrzebie społecznej i ideałowi dobra wogóle. Pojęcie zaś »ducha« jest w pewnym względzie bardzo zbliżone do tego, co symboliści dzisiejsi rozumieją przez związek ze światem nadmysłowym. Istotnie »duch« ów jest źródłem natchnień, źródłem pomysłów i uczuć, przychodzących niespodziewanie, a rozświetlających, jak błyskawica, tajne zakątki duszy naszej, źródłem wogóle wszystkiego, co się rozumem rozbiorczym wyjaśnić nie daje, a co wszakże jest niewątpliwym faktem. Zwolennicy psychologii doświadczalnej niech podstawią na miejsce wyrazu »duch« termin: »kojarzenie utajone« lub »bezwiedna cerebracya«, a nie będą się bardzo sprzeczały z Tyszyńskim co do istoty rzeczy.

Tyszyński, chociaż cenił »ducha« najwyżej, nigdy nie pomiatał »myślą«, »rozumem«, nie kazał słuchać jedynie i wyłącznie natchnień »ducha« i pod koniec życia przyznawał »doświadczeniu« daleko większą naukową doniosłość (utożsamiając je ze swoim »kryterium następstw«), aniżeli w pierwszej młodości, w »Amerykance«. Wogóle nic on ani z potęg duchowych człowieka, ani z przejawów cywilizacyjnych ludzkości nie wykluczał, lecz wszystko w swoim ogólnym poglądzie objąć się starał, jako kolejne lub równoczesne stopnie rozwoju; jego nauka o »przeznaczeniu«, bardzo bliską była zasady »determinizmu«. Przekonany najmocniej, że ludzkość to jedność, że jak wszystkie wypadki, tak i wszystkie dzieła ludzkie mają cel jakiś, zmierzający do sprowadzenia kiedyś harmonii powszechnej, nie odrzucał, nie potępiał nauk, ze swoją własną najbardziej nawet niezgodnych. Lubo był szczerym katolikiem, jawnie zaznaczającym wszędzie swoje stanowisko, nigdy się nie łączył z tymi, co, nienawidząc postępu, wszelką nową teorię, sprzeczną ze swemi zapatrywaniami, piętnowali mianem bezbożności. Tak było z nauką rezygnacji biernej, głoszoną przez katolików z koteryi »Tygodnika petersburskiego«; tak się też stało z teorią Darwina, potępianą zazwyczaj przez duchownych, a przezeń wziętą pod tym względem w obronę.

Po ogłoszeniu »Pierwszych Zasad krytyki powszechnej« Tyszyński był bardzo czynnym sprawozdawcą z ruchu umysłowego, zwłaszcza w latach 1870 do 1873 pomieszczając dużo

mniejszych i większych artykułów i rozpraw w »Bibl. Warszawskiej« i »Kronice Rodzinnej«. Już to obrabiał niektóre swoje wykłady, miane w Szkole Głównej; jak np. rzecz o »Wizerunku« Reja, o Szymonowiczu, o Starowolskim, o komedyi polskiej w wieku XVIII (wszystko w »Bibl. Warsz.«), albo o Marcinie Bielskim, o Drużbackiej, o Wacławie Potockim (w »Kronice Rodzinnej«). Już też dawał z powodu wyjścia zbiorowego dzieła, albo śmierci jakiegoś pisarza swoje całkiem nowe studia, jak o Syrokomli i W. Polu (w »Bibl. Warsz.«). Już to wreszcie robił przeglądy bieżącej literatury, więcej teraz zwracając się do dziedziny historycznej, historyczno-literackiej i filozoficznej, aniżeli do poezyi i powieści. Nie wyliczam ich szczegółowo; znajdują je czytelnicy zebrane razem w książce obecnej. Pozwolę sobie tylko dodać, że z pomiędzy tych rozpraw »Dwie Świtezianki« zwracają uwagę jako uzupełnienie ogólnego poglądu na rozwój naszego piśmiennictwa, jaki Tyszyński rozwinął w swojej prelekcyi wstępnej z r. 1866; a »Materyalizm i pozytywizm w treści pism naszych«, oraz »Doświadczenie jako kryterium prawdy« najlepiej określają stosunek Tyszyńskiego do metod i wywodów przyrodniczych. We wszystkich tych pracach, zgodnie z własnem wymaganiem, objawiał »wiarę, nadzieję i miłość« czyli innemi słowy: starał się wnikać jak najgłębiej w sprawę, zrozumieć daną naukę bez jej wykrzywania i fałszowania, doszukać się celu dodatniego czy ujemnego i wydać o niej zdanie jak najbezbstronnejsze, okazując dla autorów największą zyczliwość.

Co powiedziałem o pracach, pisanych za pobytu w Warszawie, stosuje się naturalnie i do tych, jakie nadsyłał następnie ze wsi.

VIII.

Rozwijająca się budowa sieci kolei żelaznych w państwie zbliżyła znacznie Miassotę do świata cywilizowanego; około r. 1872 otworzono ruch na drodze moskiewsko-brzeskiej, która dla Warszawy stała się przedłużeniem kolei terespolskiej na Mińsk litewski; wkrótce potem połączono Wilno z Mińskiem drogą prawie równoległą idącą do traktu pocztowego, przy którym leży Miassota; stacyę zbudowano o 4 wiorsty od niej w Krasnem (dziś stacya zowie się Usza i należy do kolei libawsko-romeńskiej). Wskutek tego wartość majątku znacznie wzrosła; jakkolwiek stan jego w ręku dzierżawcy bardzo smutnie się przedstawił pani Tyszyńskiej, gdy po 7 latach nieobecności,

przybyła na wieś: budynki o dziurawych dachach i ścianach pochylonych, ogrody zarosłe chwastami i obrane ze wszelkich plotów i t. d.

Przekonany uwagami żony o potrzebie ratowania dziedziny ojczystej, Tyszyński, lubo z przykrością, opuścił Warszawę, do której zawsze tęsknił, w połowie września 1873 r., a pierwsze wrażenia z pobytu w Miassocie tak opisał w liście do A. Szabrańskiego (13 października): »Strona, do której wróciłem, jest jakby nie ta, w której mieszkało się niegdyś, a jednak w porównaniu z r. 1865, w którym ją opuściłem, jest zmiana na lepsze; sąsiedztwo w promieniu mil trzech toż prawie całe znalazłem, jakie było; a ceny na płody rolnicze zawsze dobre, zmniejszenie kontrybucyj, przeprowadzenie kolei żelaznych, spłata sum za ziemie włościańskie i t. p. byt właścicieli ziemskich znacznie poprawiły. Kłótlivy z włościanami stosunek zmienił się na przychylny i ci ostatni niejaką powinność za paszę, opał i t. p. w wielu miejscach ochotnie i punktualnie odbywają. Władze policyjne te same, ale ugrzecznione. Właśnie w parę dni po moim tu przyjeździe, zajechał do mnie zwierzchnik miejscowy policyjny (stanowy przystaw) z dzwonekami, ale zajechał tylko dla przywitania się i z oświadczeniem swej uczynności w razie potrzeby. Co do sądów, w miejscu dawniejszych sądów powiatowych znalazłem instytucję nową, sędziów tak zwanych *mirowych* t. j. pokoju. Sędzia pokoju tutejszy tem się różni od sędziów w Królestwie¹⁾, że kiedy strony nie chcą kończyć zgodnie, zamienia się w sędziego czynnego, wzywa obie strony do obrony swych spraw, słucha świadków i w parę godzin wydaje wyrok i sam wykonywa go, o ile to się daje. Dotąd wszyscy z instytucji tej radzi, bo oszczędza czas, koszta, papiery stęplowe, ukłony w kancelaryi i t. p. Sędzia taki ma płacy 2000 rs., jest przeto zwykle bezstronny... Klęską dotąd jest stan religijny; mieszkańcy bez kościołów (jest to los większej części), zapominając obowiązków i nie słuchając nauk, z innemi [pojęciami] i sumieniami rosną, i trudno wróżyć, iżby to wyszło na lepsze; — mam nawet u siebie dworze jednego szlachcica stolarza, który od dwóch lat żyje z żoną bezślubnie, gdyż mówi, że uważałby to za grzech, gdyby mu proboszcz-odstępca ślub dawał²⁾... Z sąsiadami mało widziałem się dotąd; wszyscy zajęci przeważnie rolą;

¹⁾ Pamiętać trzeba, że pisał to Tyszyński przed wprowadzeniem reformy sądowej w Królestwie, dokonanej w r. 1876.

²⁾ Jest to aluzja do działalności księdza Żylińskiego i jego zwolenników t. zw. »rytualistów«.

jeżeli gdzie widać jakie pismo, to tylko polityczne, albo ilustrowane; na naukowe nawet czytelników daremnych niema; jeżeli bym jednak z czasem którego na jakie namówił, to naturalnie, że na Bibliotekę, i mam nadzieję, że może też to nastąpi«. A niebawem potem (24 paźdz.) pisał znowu: »Sądziłem, że mię na wsi czekają dwie rzeczy: nudy i zbytek wolnego czasu do pisania; tymczasem jedno i drugie, chociaż zapewne nastąpią, dotąd miejsca nie miały; od rana do wieczora mam interesantów i projekcistów, najwięcej żydków, a przytem i dwie już podróże do najbliższego mnie z miast gubernialnych, Mińska, musiałem odbyć. Niespodzianą mi także była dawna przychyłność włościan. Kiedy pierwszego dnia prezentowali się wszyscy gospodarze główni ze starostą (sołtysem), jeden odezwał się: *my zausze pańskije*; przychodziły potem przez trzy dni partye z dalszych wioseczek i dawni dworscy, wszyscy z prezentami, tak że zajęły nam z pół spiżarni: jaja, miody, zwierzyzna, ryby, grzyby, a nawet (co widać tu moda) żywe koguty (tych było trzy); dawny kucharz przyniósł nadto dwie szklanki masła wybornego i t. p. Na ceny zboża powszechnie tu uzalanie się, że opadły; przeciwnie las idzie z każdym rokiem w ceny, jak to mówią, bajeczne«.

W trzy lata blisko potem pisał (20 kwietnia 1876) do Władysława Kaz. Wojcickiego, zajmującego się wówczas nie tylko redakcją »Biblioteki Warsz.«; ale i pisma ilustrowanego »Kłosy«: »Z powodu, iż w tym roku święta wielkanocne w jednym czasie według obu stylów wypadły, mieliśmy syna przez święta i pierwszy raz jeszcze był świadkiem tutejszych zwyczajów wiejskich. W przeszłym roku czy to z powodu poróżnienia się trochę (o stawy i pasze), czy ze złego humoru z powodu śniegów, włościanie nie przychodzili mi wieszować, ale w tym roku najprzód »miesietlanie« z starostą, potem cztery inne partye gospodarzy z attynencyów(!) stawili się w komplecie z *włóczębnem* na tacy (a raczej na sicie lub w chustach), a potem śpiewali *alleluja* — śpiewali po dawnemu *Wesoły nam dzień*, a przy końcu jeden improwizował powinszowanie po polsku; dla syna zaś śpiewali osobno swoim dyalektem pieśń na nutę wesołą: *Wyszedeł, wyciekl, krasnyj paniczek — Krasnyj paniczek, maładyj Kaziutka!* etc.«. A w tydzień potem, wspominając o swoich »Wizerunkach polskich«¹⁾, wychodzących arkuszami

¹⁾ Jako książka wyszły one w Warszawie z datą nieco spóźnioną r. 1875 (str. 302), a zawiera 9 rozpraw: Wincenty Kadłubek jako pisarz, Marcin Bielski najdawniejszy prozaik polski, Wizerunek, poemat

w »Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej« przy »Kłosach«, donosił Wojcickiemu z pewnem rozrzwieniem: »Kiedy patrzę dziś na domową naturę, na te rzeczki i lasy, na te ogródki i bydło, które są dziś także prawie, jak były za czasów mego dzieciństwa; tedy mi nieraz zdaje się, że i sam jeszcze tem dzieckiem, a przynajmniej, że nigdy stąd nie wyjeżdżał, a cały mój pobyt w Warszawie i wszystkie niekrótkie szczegóły tego pobytu, był to tylko jakiś sen silny. Kiedy więc także teraz pośród pism i gazet odbiorę i »Bibliotekę« wychodzącą przy »Kłosach«, a w tej »Bibliotece« albo przy końcu »Kłosów« spotykam swoje nazwisko, dopiero mi się widzi i stwierdza czarno na białem, że to nie był sen i mam szczególną wdzięczność dla redakcyi za przebudzenie się to i tę przyjemność«.

Niebawem, bo w czerwcu tego 1876 r. zobaczył się osobiście z Wojcickim, przyjechawszy do Warszawy na publicznie obchodzony jego jubileusz literacki. Widziałem się wtedy z Tyszyńskim po raz ostatni i usłyszałem, że będzie się starał wykładać swe w Szkole Głównej opracować do druku. Rzeczywiście zabierał się, jak widać z rękopismów, kilkakrotnie do tej roboty, ale prócz drobnych notatek, czterokrotnych prób napisania wstępu i prócz zgromadzenia nieco świeższych materyałów, nic więcej w tej mierze nie dokonał. Kłopoty gospodarskie tak go pochłaniały, że mógł pisywać sprawozdania jeno z książek do »Biblioteki Warszawskiej«, do »Kroniki Rodzinnej«¹, do »Ateneum« i do »Encyklopedyi wychowawczej« (art. »Bojaźń Boża« w III tomie).

Sprzedaż lasów wywołała mnóstwo nieprzyjemności i targów z niesumiennymi po większej części kupcami, a wycięcie drzew w miejscowościach, gdzie włościanie mieli serwituty pastwiskowe, poprowadziło do sporów o granice służebności, spory, które wobec niejasnego brzmienia odpowiednich aktów wykupnych do

z r. 1858 Mikołaja Reja, Symonowicz i jego sielanki, Szymon Starowolski, Elżbieta Drużbacka, Komedia polska w XVIII wieku, Ludwik Kondratowicz i jego poezye, Wincenty Pol. — Tyszyński żałował, że do tego zbioru nie włączono jego szkicu o Wacławie Potockim. Ja go przedrukowałem jako wstęp do wydania Wojny Chocimskiej Potockiego w wydawnictwie »Bibl. najcel. utworów«.

¹) Prócz wspomnianych już poprzednio, znajdujemy w »Kronice« następnne artykuły Tyszyńskiego: r. 1873 N. 1: »Ruch myśli«; 1875 N. 3: »Korespondencya A. Mickiewicza«; N. 18: »Katolicyzm i protestantyzm, uwaga krótka«; r. 1876 N. 6: »Jeszcze o Feliksie Zielińskim (z listu)«; 1877 NN. 16, 17: »Romans nie w książce« (sprawozdanie z dzieła Pauliny Craven: Opowiadanie siostry); r. 1878: »Antoni Muchliński«.

dziś dnia nie dają się zakończyć. Te spory ujemnie oddziaływały na ogół stosunków z włościanami, co Tyszyńskiego wielce bolało.

Wczesną wiosną r. 1880 dotkliwy cios go spotkał — śmierć ukochanej siostry, Klary Hrynkiewiczowej, przed którą nigdy żadnych nie miał tajemnic, we wszystkim się jej zwierając. Od-tąd nieznane mu do owego czasu łyzy nieraz się w oczach jego pojawiały. Bardzo go też przygnębiła sprawa, wszczęta latem 1880 r. przez poduszczonych włościan już nie o serwituty, lecz o samo władanie lasem w jednej z dalszych od Miassoty wiosek. Tyszyński, zawsze cicho i spokojnie znoszący przeciwności, teraz wykrzyknął przed synem, wzięwszy się za głowę: »ach, jakże mię te procesa męczą«. W sierpniu zachorował na żółtaczkę, nie połączoną jednak ani z gorączką, ani z żadnym cierpieniem. Pod datą 23 października pisał do syna: »Zdrów najzupełniej jeszcze nie jestem, ale umysł i głowę mam zupełnie nie tylko swobodną i do zajęcia się chętną, ale nigdy nawet teraz wodą nie potrzebuję jej zlewać«. A w dwa dni potem: »Miałem już i doskonały apetyt i sen i odbyłem kilka podróży, do Wilejki, Mińska i Wilna, ale teraz zniknął apetyt i t. p. — zdaje się, że choroba zniknie dopiero wtedy, kiedy znikną przyczyny jej, a nie żadne fizyczne; dla spraw moich wzywany jestem do Wilna, jeszcze pięć razy wypada być, ale wydałem już plenipotentę, co choć nie umniejszy kosztów, umniejszy jazdy. Otrzymałem też w tym czasie dużo z naszych najnowszych publikacyj, już to od autorów, już od Akademii Krakowskiej; ale tylko tymczasem przeglądam je, czytać mogę jedynie gazety, Tygodnik, a pisać tylko listy i to niedługie. Z Mińska, od śmierci Klarki, rzadko kiedy miewamy wiadomości; w tych dniach jednak mieliśmy list zajmujący i długi od Matyleczki [córki Klary, Orłowskiej z męża]. Pisała do nas, że był Staś [Muchliński], który zwiedził Włochy, Francję, Szwajcaryę, Anglię i śpieszył do Petersburga. W Krakowie zmuszony był zabawić dłużej z powodu swojej sprawy o bibliotekę po-ojcowską, którą nabył ks. kanonik Polkowski. Ks. Polkowski jest to uczony człowiek, któremu nauka niemało winna; robił już nawet użytek publiczny z niektórych rzadkości, które znalazł w bibliotece Muchlińskiego, ale widać trudny jest w interesach... Staś poznał wielu uczonych; wypytywali się o mnie i (co dla mnie było wielką niespodzianką) polecili mu powiedzieć, że wszystkie moje artykuły czytają, jak się wyrazili: z chciwością i uznaniem. Wzmianka ta była dla mnie w liście Matyldki bardzo przyjemną, bo wyobrażałem sobie, że moich artykułów nikt nie czytuje, zwłaszcza w Krakowie...«

A przecież krakowska Akademia Umiejętności powołała go już była dawniej na członka swego.

Właśnie w tym czasie choroba przechodziła już w wodną puchlinę, która się wyraziła obrzęknięciem nóg, a ani sam Tyszyński, ani nikt z otaczających nie zwracał zbytnej uwagi na ten groźny objaw. Wtem nadeszła z Mińska depeza o śmierci teści, Izabelli Frybes. On nie mógł już jechać na pogrzeb, ale żona udała się tam naturalnie. Pogrzeb odbywał się 4 listopada; a Tyszyński w dniu tym zajmował się jeszcze przy biurku i parę wierszy dopisał w swym prywatnym testamencie ręką widocznie drżącą nieco, ale zupełnie wyraźnie, — a także po kilka razy odczytywał list syna, przysłany wtedy właśnie z Warszawy. Gdy żona wróciła tejże nocy, wraz z Matyldą Orłowską, wyszedł na ich spotkanie, opowiadał, jak przepędził dzień samotnie, wypytwał o szczegóły pogrzebu, starał się uspokoić i pocieszać żonę po stracie matki.

Nazajutrz, gdy wszyscy wstali, przyniesiono mu herbatę z ciastem cukiernianem, przywiezionem z Mińska, które dawniej bardzo lubił; ucieszył się zrazu, ale trochę tylko skosztowawszy, rzekł, że nie ma apetytu. Potem mówił, że czeka Bożego Narodzenia i przyjazdu syna z uniwersytetu warszawskiego. Gdy zauważono, że możnaaby już teraz sprowadzić Kazimierza, wyraził obawę, że ten zmartwi się na widok ojca dotkniętego żółtaczką. Wtem nagle zsunął się z fotelu na ziemię i skrzywił okropnie, mówiąc: »ach, jakże mi niedobrze, nigdy mi jeszcze tak źle nie było«. Wodna puchlina dochodziła już do serca. Od owej chwili jeszcze chory podniósł się, przeszedł przy pomocy żony i siostrzenicy na łóżko, z łóżka na sofę i t. d., ale nigdzie miejsca sobie znaleźć nie mógł. Około 4-tej po południu poprosił otaczających, aby się usunęli; widziano tylko zdaleka, jak się słabym krokiem skierował ku oknu, wychodzącemu na zachód słońca, które właśnie na chwilę z pośród gęstych chmur jesiennych wyjrzało, na ogród, na pola, stare brzozy traktu wileńsko-mińskiego i nową kolej żelazną. Patrzył na to wszystko czas jakiś, jakby żegnając te pola miassockie, tę całą ziemię rodzinną, którą tak kochał; potem zwrócił się do obrazu Matki Boskiej i przed nim bił się w piersi i modlił (po ostatniej bytności w Wilnie opowiadał, że przystępował tam do spowiedzi i komunii) i podczas modlitwy przed obrazem upadł, podbiegły zdala stojące bliższe osoby i podniosły; ale odtąd podtrzymywały go już ciągle żona i siostrzenica i na ich rękę, w parę godzin potem, około wpół do ósmej wieczorem, 5 listopada 1880 r. Tyszyński zasnął na wieki.

Domowi stracili głowę; żona mdlała, siostrzenica ją cuciała, służba nie wiedziała co robić. Wyręczyli ich włościanie, najprzód z Miassoty a potem i z dalszych wiosek przybyli, którzy, zapomniawszy o nieporozumieniach, teraz przy jego trumnie śpiewali po kolei strażując od rana do wieczora, a każdą pieśń starodawną kończyli słowami: Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie! Było to prawdziwą osłodą dla rodziny oraz dowodem, jak Tyszyński swem sercem zaskarbić potrafił i te nawpół okrzesane dusze prostaczków. Włościanie też głównie towarzyszyli przewiezieniu zwłok do Radoszkowic, odległych o wiorst 20, wśród drobnego deszczyku, przenikającego do szpiku kości, po glinie miejscami rozmokłej zupełnie. Był to pochód okropny i długi. Późnym dopiero wieczorem złożono trumnę na katafalku w kościele radoszkowickim. Nazajutrz po mszy żałobnej spuszczone trumnę do ziemi cmentarnej. W pół roku potem rodzina postawiła tu pomnik granitowy w kształcie czworobocznej kolumny z krzyżem na szczycie.

Śmierć Tyszyńskiego wywarła głęboki żal, bo kto go poznał osobiście, musiał pokochać tę duszę czystą i łagodną, choć chmurną, bo przekonaną, że losem człowieka jest »brak szczęścia«¹⁾; a kto go znał z pism, cenił jego bezstronność i sumiennosc. Nekrologie tętniły prawdziwą czcią dla zmarłego. Niebawem w »Bibliotece Warszawskiej« (r. 1881, t. I, 159—198) ukazał się szczegółowy rozbiór działalności autora »Pierwszych Zasad«, skreślony piórem wcale niepobłażliwego krytyka, ks. Franciszka Krupińskiego. Kończył się on wyrazami szczerego uznania, które tu powtórzyć uważam za rzecz stosowną i potrzebną: »Co szczególnie godne jest zaznaczenia w pracach Tyszyńskiego, to umiłowanie ojczyzstego zagonu. Wszystko, co się ukazywało w literaturze naszej ważniejszego, nie uszło jego oka; wszystko witał dobrą wolą i poccił według skali swojego sądu. Zysku z prac swoich literackich nie szukał; służył pocziwej sławie i oświeceniu współziomków, rozumiejąc to dobrze, że gdy całe niemal życie publiczne skupiło się w literaturze, podtrzymywanie jej, zbogacanie nowymi myślami i stanie przy pługu jest obowiązkiem każdego dobrego obywatela. Mniejsze czy większe usługi, na tem lub owem polu, ale swoim oddane, zawsze spotykają uznanie i zapewnią człowiekowi spokój dobrego sumienia i pocziwe od potomnych wspomnienie«.

* * *

1) »Kronika Rodzinna« 1875, N. 3, art. »Koresp. Mickiewicza«.

Zadaniem niniejszego zbioru było zebrać wszystkie ważniejsze artykuły i rozprawy Tyszyńskiego, których on sam z czasopism nie przeniósł do osobno wydanych książek. Istotnie, pomijałem tylko bardzo drobne recenzje dzieł, dzisiaj zupełnie zapomnianych, lub też oceny jakby notatkowe tylko; a zgromadziłem wszystko, co mogło się przyczynić do uwypuklenia fizjonomii literackiej krytyka. Ponieważ większość tych artykułów mieściła się pierwotnie w »Bibliotece Warszawskiej«, a ta ma swoje spisy, ułożone przez Estreichera, nie daję szczegółowego wykazu, z których tomów zostały wzięte, bo je łatwo każdy odnajdzie według dat położonych pod każdą rozprawką czy krytyką. Dołączam więc tylko w porządku chronologicznym wskazówki do rzeczy, wziętych z innych czasopism:

»Dwaj ostatni krytycy w Polsce« z »Tygodnika Petersburskiego«, r. 1837, NN. 55, 56. »Deotyma« — trzeci ustęp — z »Pisma Zbiorowego Wileńskiego«, r. 1859. »Listy o piśmiennictwie bieżącym«, I-szy z »Dziennika Warszawskiego«, r. 1856, NN. 53—57. List II z tegoż »Dziennika«, 1856, N. 72, 73. List III z »Kroniki krajowej i zagranicznej«, 1856, NN. 33—35. List IV z tejże »Kroniki«, 1856, N. 87. List V z tejże NN. 170, 172, 175. »Eleonora Ziemięcka« I-szy ustęp z »Kuryera Wileńskiego«, r. 1860, N. 25, drugi ustęp z »Bibl.«. »Powieści historyczne J. I. Kraszewskiego« z »Ateneum«, r. 1877, (t. III i IV), 1880 (t. I i II). Prócz druków zużytkowałem także rękopism szeregu wykładów w Szkole Głównej o »pisarzach literatury polskiej« i o »Kronice Galla«, które wydawały mi się dostatecznie obrobionymi. Innych prelekcji (zachował się tylko rękopism pierwszego kursu) nie mogłem uwzględnić, pomny na przestrożę, położoną przez Tyszyńskiego na czele manuskryptu: »Kurs obecny nie jest kursem do druku; jest to zbiór notat czynionych na prelekcye czyli zbiór materiałów do historii literatury«.

Winienem dodać, że od naczelnego prawidła nieprzedrukowywania rzeczy, zawartych w wydaniu książkowym, odstąpiłem w dwu wypadkach. Z »Amerykanki w Polsce« podałem trzy listy o literaturze polskiej nowej i starej, bo książka owa jest już obecnie rzadkością; a listy te dla poznania rozwoju krytyka są niezbędne. Z »Wizerunków polskich« wzięłem Kadłubka, bo jest to arcydzieło literacko-krytyczne Tyszyńskiego i bez niego obejść się niepodobna, jeśli chce się dobrze ocenić działalność naszego krytyka.

Nakoniec w dodatkach pomieściłem cztery pisemka, nie należące do zakresu krytyki, ale dla poznania umysłowości autora bardzo ciekawe. Są to: podanie rzymskie, »Sextus«, wzięte z »Ga-

zety Codziennej», r. 1860, N. 198; wyjątek z listu: »Czynsz czy pańszczyzna« z »Kuryera Wileńskiego«, 1862, N. 11; »Ty, Wy, Pan« z »Bibl. Warsz.«, 1874; wreszcie życiorys Antoniego Muchlińskiego z »Kroniki Rodzinnej«, r. 1878, str. 353—358, 390—393.

Wśród rękopismów znalazłem jeszcze rozprawkę, nie wiem, czy gdzie drukowaną p. t. »Rysy Polski«. Była ona w jakiejś redakcyi, jak świadczą poprawki ołówkowe, obcą ręką robione. Nie włączyłem jej do wydania, bo nie jest ona ostatecznie obrobioną, a zasadniczą myśl o dziwnych, niezwykłych, oryginalnych losach kraju w jego formacyi, rozwoju, upadku i żywocie po śmierci politycznej, znaleźć można w innych pismach Tyszyńskiego, poczynając od »Amerykanki«.

Wszystkie swoje objaśnienia ująłem w nawiasy klamrowe [].

Niechże idzie w świat ta księga i przypomni ogółowi ukształconemu działalność męża, który gruntownością, bezstronnością, wytrawnością smaku i głębokim filozoficznym poglądem przyczynił się w wysokim stopniu do rozwoju uświadomienia narodowego i zajął w dziejach krytyki naszej miejsce wybitne i szanowne.

Piotr Chmielowski.

I

Z »AMERYKANKI W POLSCE«

I.

KARISTA DO MEŻA.

O SZKOŁACH POEZJI POLSKIEJ.

Poezya! Jakież to są obrazy, które to czarodziejskie wiąże do siebie słowo? Nie widzę ja bardziej zimnych, mniej pojmujących ją ludzi, jak tych, co ją pragnąc wyjaśnić: wierszowaniem, rymotwórstwem, wierszopistwem¹ zowią, i szukają greckiego pierwiastku, z którego jej brzmienie urosło! Jest to nieszczęściem mowy początkowej, że nieraz na wydanie obrazu, tysiące mieć mającego znaczeń, tysiące umysłowych, dla słowa nowych odcieni, musi używać znanego ze znanem znaczeniem dźwięku, ścieśniać i krzywić nowego pomysłu obraz. Nieszczęściem to jest, powiadam, mowy pierwiastkowej, mowa bowiem pochodna, a tem lepiej obca, znajdując wyraz gotowy, nie ze słów mu znajomych powstały, całą nowość, całą nieokreśloność może w nim widzieć pomysłu. Nie pragnę zatem tłumaczyć, zostawiam wyraz nietknięty; jeżeli bowiem jaki, tedy zapewne obraz niewysłowionego uczucia poezji, równego dobrodziejstwa wyciąga.

¹ Pisarze polscy rozmaicie lubią poetów mianować: *poeta*, *rymotwórca*, *wierszopis*, *pisorym*, *rymopis*, *składacz* i t. d. mają to być wszystkie niby jednoznaczne wyrazy.

Jakież więc jej znaczenie? Skąd wielkość? Poezya jest to doskonałona władza wyobraźni, władza, która istotę ludzką od innych ziemi tej istot najsilniej, najznakomiciej odróżnia; jest zatem przeznaczeniem, jest ona potrzebą człowieka, i nie było podobno jednego na całym świecie ludu, któryby jej nie poznał, nie uczuł i nie zostawił uczucia swego pomników. Poezya jest to wrażenie owo, które odbieramy ze wszystkiego tego, co proste zmysłowości przechodzi granice; wszelki więc pomysł wyższy nad pospolite, znajome oku obrazy, i jego widoma szata ze słów mowy ludzkiej związana, od potocznych języka wyrażen daleka, budują ludzkiemu oku tę półzmysłową, półumysłową całość, którą poezją zwiemy.

Jakież jej prawa, ustawy? — Prawa, ustawy poezyi objęte są w jej określeniu. Im dalej myśl utworzona uniosła wyobraźnię z pospolitego uczuć i wyobrażeń koła, im bardziej szata, która ją wydaje, odległa jest od prozy potocznych wyrażen, tem owa myśl, owo jej wydanie; poetyczniejszemi być muszą. Ich niepowszedniość, ich układ, dają nam poetyczną budowę. Mogą uderzać nas łącznie, mogą i rozłącznie, dostatecznym jest bowiem jeden z tych warunków, by proza przestała być sobą. Z tej ostatniej uwagi tłumaczę się jaśniej. Proza być może poezją, jeżeli myśl, która ją ożywia, strojna jest w poetyczne zalety, a myśl pospolita i prosta może się odziać w poezję przez wyrażenie jej samo. Tak kiedy odludnego, ponurego Edmunda przyjaciela, wyrzuca mu z żalem, dlaczego odepchnął szczęście, wesołość i spokój, ten mu odpowiada: »A więc jestem spokojny, wesoły, szczęśliwy; spokojny jak puls umarłego, wesoły jak kwiat w jego rękę, szczęśliwy... jak mi życzysz, panie«. W tej odpowiedzi nic nie widzimy zapewne, jak pospolite słowa, w pospolitej złożone mowie, lecz o jakże dalekie od prozy! Przeciwnie, kiedy poeta wśród lirycznego zapału, wśród ognistego na zdradliwą niewiastę gniewu, woła:

Śmiertelne ścisnę wokół szyi twojej wieńce!

kładziemy książkę zdumieni, jak śmiały geniusz poety mógł tu użyć, zamienić w poezję, prosty zduszenia pomysł. W pierwszym przykładzie *myśl* sama, w drugim sam *wyrażenia sposób*, uczucia pospolite zmieniły w poezję.

Ciągła nowość, ciągle uniesienie, ciągła słowem poetyczność myśli lub zbytńia w wyrażaniu się sztuka, musiałyby nas mordować, przesycać; słusznie więc dla pośredniego imaginacji naszej bawienia, wynalezione są zewnętrzne i stałe formy, które prosto samym swym składem mogą pragnienie nasze niepowszedniej piękności nasycać; te formy powynajdywane są: tony, miary, liczby zgłosek, rymy, układ których ogólnem nazwiskiem mianujemy wiersza; samo zaś ich zachowanie tak okazało się wdzięczne, że nieraz poemat cały nie mając jednej poetycznej myśli, poetycznie nas ludzi i bawi, jak to widzimy nieraz w powieściach, poematach żartobliwych, bajkach, satyrach, dramatach komicznych i t. p.

Raz tedy jeszcze powtarzam, że czuć poezją możemy wewnątrznie i zewnątrznie, że myśl i wydania jej sposób główny wpływ wywierają na poetyczne uczucie. Utwór i układ myśli tworzą w poemacie to, co *duchem* jego zowiemy, a wyrażień odcienie budują nam *styl*. Duch zatem i styl są to naczelné bijące o umysł nasz władze, z ich rodzajów, gatunków, odmienne tworzą się cechy, odmienne lica poezji; przynajmniej na mnie, Adolfe, nie nagiętej z dzieciństwa do waszych przedmiotowych na poezye liryczne, dydaktyczne i t. p. podziałów, owe odmienne lica działają najsilniej. Nie znam ja jeszcze dobrze dawnej poezji polskiej. Pozwolisz mi więc, mój drogi, że o poezji i poetach waszych nie czasowym, czyli chronologicznym mówić będę porządkiem, ale przedstawię dzisiejszą w ogólnej, jak uderzyła mię, masie; i że nie będę ją dzielić na bajki, elegie i t. p., ale na te wielkie oddziały, które duchem i stylem w mych oczach silnie się odznaczają i stale.

Na szerokich, rozległych ziemiach rozsiane, różnorodne pierwiastkiem, a jednym językiem, zwanym powszechnie

polskim, wyrażające się ludy, tak rozmaite położeniem i przeznaczeniem swoim, grodzone jedne od drugich wychowaniem wewnętrznem i zewnętrznym przedmiotów wpływem, mające oddzielne dzieje, pamiątki, zwyczaje, musiały koniecznie w swych odrębnych masach odrębny wycisnąć charakter, który mianowicie na owej giętkiej, zapalnej władzy, na imaginacyi, najwyraźniejszy odcisk objawia. Dawne *Królestwo Halickie, Litwa, Ukraina, Podlasie (Jadźwingi), Prusy, Poznań, Mazowsze, Kraków*; każdy z tych krajów ma oddzielną przeszłość, oddzielne podania ludu, oddzielną naturę wkoło i oddzielne niebo; każdy jednak z tych krajów jednym językiem pisze; i lejąc natchnienia swoje, tworzy jedną, ogólną, pełną różnorodności krajową poezję, jedynym na stałym lądzie przykładem. Przypomnijmy dopiero, jakie ów duch wewnętrzny, w tak oddzielnych umysłach krążący, w języku, którym miał władać, znalazł zewnętrzne sposoby. Język ten, jakeśmy to widzieli, w różnorodności dźwięków nad wszystkie obfity, w bogactwie słów nieprzebrany, w naginaniu ich nieskończony, w swobodzie szyku i składni nieograniczony, tyle okazał się zdolnym do wybijania swym stylem rozmaitego poezyi ducha, i tak był szczęśliwie przez tych, którzy go użyli, chwycony, że prawdziwie, drogi Adolfe, kiedy widzę przed sobą rozmaite szkół waszych poetycznych twory, wierzyć prawie nie mogę, że są jednym i tymże pisane językiem, i umiając jeden wasz język, zdaje mi się, że umiem ich kilka.

Chcąc zatem przejrzeć, ocenić poetów, czyli raczej poezję polską, nie mogę to trafniej uczynić, jak dzieląc ją podług charakteru i stylu na główne wybijające się szkoły. Nie wszystkie z wymienionych tu krajów błysnęły już własną poezją; wymieniliśmy tylko prowincye, z którychby każda podobnie mogła odznaczyć się nową. Jakież zaś były przyczyny, które jedną lub drugą stworzyły: niebo, ziemia czy ludzie; i do jakiego stopnia każda z nich postępować, wiązać się wzajem i dalej odmieniać może, o tem nic nie

mówię, Adolfie, bo, jakem to rzekła wyżej, wszystkim zjawiskom ziemskim jedną tylko — przedwieczną naznaczam wolę. Przyczyny wszelkie, okiem widziane ludzkim, nader są liczne, nader różnorodne, a owo oko nader przytępione (przynajmniej tak jeszcze jest dotąd), aby z nich czyste, niezmiennie wyprowadzić umiało wnioski. Nie myślę więc prorokować, ani domyślne tworzyć i opowiadać zasady, rozważam tylko, co widzę, i rozważone określam. Te liczne ciała, co nas otaczają, cel wrażeń ich nie jest nam jasny; a dłonie nasze ślepe to narzędzia. Ja sama, mój Adolfie, która ci list ten piszę, nie wiem zaprawdę, co czynię; jeśli go piszę, to nie dlatego może, aby ci przyniósł rozrywkę, bo czy przyniesie ją, nie wiem; nie dlatego, by stał się wzorem albo bodźcem, bo nie wiem nawet, czy go kto czytać będzie; nie dlatego nareszcie, że mi pisanie jest miłym, pisanie ma swe przykrości; lecz oto dlatego prosto, że mi go pisać dano; dla którego zaś z owych celów? lub może dla innych jakich, których nawet nie znam, to dopiero bieg czasu okaże.

W obrazie poezji polskiej odróżniają się mianowicie swą twarzą: *Szkoła litewska*, *Szkoła ukraińska*, *Szkoła puławska* i *Szkoła krakowska*, te przynajmniej dotąd najznakomiciej swe odznaczyły piętno. Nad każdą z nich pokrótce chcę się zastanowić, nie rozbierając pisarzy, nie wchodząc ściśle we wszystkie ich znane utwory, to bowiem musiałyby stworzyć oddzielną krytyczną księgę; ale o tyle tylko wzmiankując o każdym, ile wyciąga potrzeba, by jaśniej odróżnić szkoły i główne ich rysy wykazać.

SZKOŁA LITEWSKA.

Dziwna, że owa Litwa tak długo obojętna, milcząca; przez cały ciąg połączenia się swego z Polską, nie wydająca żadnego prawie znakomitego poezji ni prozy pisarza; w przeznaczeniu swem miała w ciągu lat kilku nową utworzyć poetyczną szkołę, a szkoła ta stać się miała w poezji polskiej naczelną.

W ogólności, uczucia słodkie są panujące w tej szkole. Uniesienie miłości platońskiej, uczucie przyjaźni bratniej, widzenie poetyczne każdego powszedniego obrazu, każdego powszedniego uczucia, rozbieranie, drobnienie owych obrazów i uczuć, oto główne znamiona poetów szkoły litewskiej. Nie mając oni wokoło zewnętrznej dziwiącej natury, a siłą nieubłaganą wewnętrznego natchnienia parci, w sercu swoim, w jego uczuciach znaleźli poezyi żywioł; bawią się z niem jak z dzieckiem, miotają niem w różne strony, na końce świata, pod niebo; zdają się lękać piekła i jego obrazu, a jeśli czynią gdzie wzmiankę, to mówią jakby o miejscu, co z niebem w zgodzie zostaje, w stylu rozkosznym, uśmiechem przeszłości. Ta idealna piękność, ta umysłowa miłość, która jest celem i ich pióra życiem, oni ją widzą wszędzie; widzą ją w opisie natury, w obrazie miejsc niewidomych; czuje ją nawet dusza uwolniona z ziemi i ciała. Miłość poetów litewskich nie jest radosna, wesoła, jak w śpiewach szkoły krakowskiej — wesele i radość jest ich poezyi obce, nie jest ona cielesna, rozwiązła lub dzika jak miłość ukraińskich poetów; ani też zalotna, światowa, jak miłość poetów puławskich; nie jest też ona w deklamacye próżne, rozwlekłe narzekania na okrucieństwa, na zdrady, obfita; zbytnia cikliwość rzewności, jak z innej strony ponurość i dzikość są obce poetom litewskim; niepokój duszy, słodkie zadumanie, pokrycie myśli i uczuć jakąś mgłą tajemną, w nieskończoności niknącą, są to, jak to już rzekłam, cechy poetów litewskich. Styl równie pełen słodyczy i wykończonych wdzięków; mnóstwo wyrazów miejscowych, już dzisiaj powszechnie utartych; rym nie zbyt łatwy ni trudny, nigdzie nie zaniedbany; zupełny brak i wygnanie wyrazów przesadnych, nadętych, a używane słowa znajome, potoczne, z położenia jedynie, z użycia ich formy poezyi nabierające, oto jest widoma, poetyczna poezyi litewskiej szata.

Naczelní i znakomici poeci szkoły tej są: *Adam Mi-*

ckiewicz, Józef Korzeniowski, Antoni Edward Odyniec, Stefan Witwicki, Chodźko Aleksander i Julian Korsak.

ADAM MICKIEWICZ jest założycielem i twórcą tej, o której mówimy, szkoły; niepodległym geniuszem silny, jego objawianiem się party, nie zważał na znane mu ramy, na dłonie wiążące prawa, ogłosił *Dziady*, ogłosił *Konrada*, i stał się założycielem w poezji nowego ducha i stylu.

Część IV. dramatycznego poematu *Dziady* jest nieporównaną poetyczną historią ptańskiego miłości uczucia. Wszystkie jej stopnie, odcienie, jej ogień ziemski, jej rozkosz niebieska, jej nadzieje, jej trwogi, zazdrość, nienawiść, żal, rozpacz; wszystko to, z całym ogniem młodości, z całą mocą poezji skreślone. Ten umysłowy charakter niepojętego uczucia, który nam każe znajdować rozkosz w tem nawet, czego nie oglądamy, czego nie czujemy, każdy nieledwie obraz poematu tego cechuje.

O gdybym mógł *choć przez sen* pokazać się tobie!
 Gdybyś na mojej pamiątkę męki,
 Jeden przynajmniej dzionek chodziła w żalobie,
 Przypięła jedną czarną wstążkę do sukienki.
 Może spojrzysz przypadkiem, i łezka boleści,
 I pomyślisz westchnąwszy, ach! on mię tak kochał..

Poeta sztuce swojej dał nawet charakter moralny. Bohaterem poematu jest potępieniec miłości, który odjąwszy sobie życie z rozpacz, i błakając się bez zbawienia, w dzień święta za umarłych, czyli w dzień Dziadów, przyszedł jako podróżny do domu księdza, dawnego nauczyciela swego, dla zanieśienia prośby o przywrócenie obrządku i szczyrych ludu prostego modłów, które zaczęto znosić, a razem dla dania przestrogi, iż jeśli kto w biegu życia choć raz znajdował się w niebie, ten prosto nie wnijdzie tam po śmierci. To zejście swe potępieniec w trzech godzinach zamknął. Pierwsza z nich jest arcydziełem skreślenia samego uczucia miłości, pomieszanego z obłąkaniem, które potępińcowi w opowiadaniu i przypomnieniach jego towarzyszy. Druga, najwięcej siły i ognia w okrutnych przypomnieniach ma-

jąca, nazwana jest przez autora godziną rozpacz. Trzecia nareszcie, jest to godzina tej, o którejśmy powiedzieli, przestrogi i prośby.

W balladach, romansach, sonetach i wszystkich innych drobnych poematach autora, tenże dar nieporównany widzenia poetycznie obrazów i uczuć, i budowania poetycznie wiersza. Z sonetów poświęconych miłości ten mnie najwięcej swym charakterem uderza, gdzie poeta po występku nie jest ni przesycony, ani też gwałtowny, ale tylko niepokojem dręczony, aby go Bóg zgryzotą ukochanej istoty nie karał.

Luba! Ja cierpię, pamięć niebieskiej pieszczoty
Truje mi spokojnego rozmyślania chwile, i t. d.

W Sonetach Krymskich, w których okazał się autor mistrzem poetycznych opisów, najpiękniejszym ich źródłem stała się góra Czatyrdah; mnie przynajmniej najsilniej uderza sonet, widok jej ze stepów Kozłowa opisujący. Poeta dla nadania żywości opisowi swemu, czyni go dramatycznym; wprowadza rozmowę Mirzy i Pielgrzyma, z których jeden swem zapytaniem dziwną jej kreśli powierzchnię, a drugi w odpowiedzi dziwną jej wysokość. »Jestże to, zapytuje zdziwiony Pielgrzym, ujrzawszy górę Czatyrdah, chmura, na tron dla aniołów odlana? Czy morze stojące w górę? Czy też zaporą z kawałka łądu biegowi gwiazd niebieskich przez złośliwe duchy dźwigniona? A taż znowu łuna na wierzchu? Nie jestże to Carogród w płomieniach? Albo też może latarnia, którą zawiesił Allah dla żeglujących w przestrzeni światów?« Mirza odpowiada, iż był tam, iż tam mieszkają śniegi, iż widział z nich biegnące potoki wązkie i szerokie rzeki, że wszedłszy na wierzchołek, gdzie nie dolata już orzeł, miał pod nogami chmury, widział w obłokach piorun, turbanem dotykał gwiazdy. I dziwną tę skreśliwszy wysokość, dodaje: *To Czatyrdah!* A Pielgrzym posłyszawszy to imię, znane mu imię góry, cofa się z osłupienia, i tylko nagły wykrzyknik niemego zdziwienia wyjada. Alé byłabym nieskończona, gdybym

o wszystkich poematach Mickiewicza rozprawić podobnie chciała i każdego liczyć piękności. Wszystkie one jednak, Adolfe, ustąpić zapewne muszą, jeśli nie co do poetycznej siły, tedy co do wielkości treści i zewnętrznego wypracowania, historycznej powieści *Konrad Wallenrod* tegoż autora.

Lubo przedmiotem poematu tego są dzieje dwóch osób, Konrada i Aldony, jakby uosobionych postaci męskiej i żeńskiej miłości, jednakże głównym bohaterem powieści jest bez wątpienia sam Konrad, jego niszczące wszystko przywiązanie do rodzinnego kraju, jego umysł gwałtowny, jego wielkie i wreszcie zbrodnicze serce.

Miłość ojczyzny, przywiązanie do osób, które granicami jednego państwa i sterem jednego rządu są z nami objęte, w obecnym podziale ziemi na narody i kraje, nie jest urojeniem, wymysłem. Sława i szczęście narodu jest sławą i szczęściem każdego z członków jego. Skutki tych wielkich czynów, do których nieraz miłość ojczyzny budzi, nie jest to, powtarzam, szczęście jednej znikomej osoby, jednej prędej lub później gasnącej rodziny, jest to przeciwnie pokój, pomyślność milionów.

Przedmiot powieści, Konrad, jest zatem prawdziwie wielki. Nie jest to gniew bohatera, który go budzi do wiary mieć nie mogących czynów, a który główną jest treścią homerycznych pieśni. Nie są to wcale miłostki ariostowych baśni, lub niby tajemnicza bajronowskich powieści miłość, i samolubna ich bohaterów dzikość. Przedmiotem Wallenroda jest także miłość, ale nie miłość siebie, nie miłość osoby jednej. Przedmiotem Wallenroda są czyny wielkie, ale bodźcem tych czynów nie jest nienawiść równych, niezgięty umysł w narowach, lub osobista duma, które wielką sprężyną dram historycznych być zwykły¹. Przedmiotem Wallenroda — jest miłość ojczyzny.

.....

¹ *Szekspir, Gete.*

Powieść litewska *Grażyna* oddycha całą czasowością epoki, którą przedstawia. Autor w *Grażynie* więcej jest może wielkim i oryginalnym *artystą*, niżeli *genialnym* poetą.

ODYNIEC. Drugim szkoły litewskiej poetą jest Antoni Edward Odyniec, który poezye swoje w rok podobno po poezyach Mickiewicza ogłosił. Odyniec więcej zdaje się mieć naśladowniczego niżli pierwiastkowego talentu¹, ale

¹) Mickiewicz w przekładach samych jest własny, oryginalny, Odyniec w oryginalnych utworach nawet w duch naśladowczy zwykle wpadający. Tak, w poemacie »Dziady«, chcąc Mickiewicz włożyć w usta kochanka następne Schillera wiersze:

Komm herab, du schöne Holde,
Und verlass dein stolzes Schloss;
Blumen, die der Lenz geboren,
Streu' ich dir in deinen Schoos.
Horch, der Lenz erschallt von Liedern,
Und die Quelle rieselt klar;
Raum ist in der kleinsten Hütte
Für ein glücklich liebend Paar.

Tak je przełożył:

Z pałaców sterczących dumnie
Znijdź, piękna, do mojej chatki;
Znajdziesz u mnie świeże kwiatki,
Czułe serce znajdziesz u mnie.
Widzisz ptasząt zalecanki,
Słyszysz srebrny szmer strumyka;
Dla kochanka i kochanki
Dosyć domku pustelnika.

W oryginalnym zaś poemacie Odynica: *Rywale*, Pasterz chcąc określić szczęśliwość wiejską, mimowolnie w duch słodki i obrazy Schillera wpada.

Mała chatka, ale własna,
Lepsza, niżli gmachy cudze;
U stóp góry woda jasna
W słanej kwiatem brzęczy strudze.
Tu swe topol wznosi wianki,
Tam gaj chłodnym kwitnie majem;
Dla kochanka, dla kochanki,
Step się nawet stałby rajem.

styl jego więcej ma jeszcze niż styl poprzednika słodczy i poezya giętkiej rozwagi, co mianowicie postrzegamy w jego poemacie opisowym *Góra*. Prócz *Góry*, żadnego dłuższego nie mamy poematu Odyńca. W dramacie jego *Izora* nie widać wcale tej niepospolitej budownika ręki, jaką spodziewano się znaleźć. *Urywki z poematów, Rywale, On i Ona, ballady, legendy*, są wzorem słodkości stylu i wdzięków poezji. Krótkie poema *Pożegnanie* jest arcydziełem zbioru poetycznych porównań.

Słodkość stylu Odyńca na doborze słów nieprzesadnych, mowie potocznej znanych, i jasnym ich, lubo sztucznym układzie oparta, wydała się do przejęcia zbyt łatwą; ale powodzenie mnóstwa naśladowców całą trudność dorównania jej okazało. Te tak na pozór łatwe Odyńca wiersze, zbyt wiele mają w sobie wewnętrznej poezji, której ukrycie w słowa powszednie nie piórom pospolitym do wykonania podobne, a o której powabni twórcy nowych naiwnych wierszy, zbyt mało lubili pamiętać.

Odyniec, jak równie inni szkoły litewskiej poeci, co do wewnętrznej natury poezji swoich i co do poetycznej budowy wiersza, jest naśladowcą Mickiewicza, jak sam to wyznaje w poświęconym temuż wierszu:

O ty, mój *Mistrzu* w pieśniach i cnotach,
Mój przyjacielu jedyny.

Te trzy wyrazy: *pieśń, cnota, przyjaciel* i na początku ich *Mistrz*, są określeniem powstania i znacznej części ducha litewskiej poetycznej szkoły.

JULIAN KORSAK. Płynny, poetyczny, dostojny swych wzorów, *Więźnia Czylłonu, Lary* i kilku drobnych poematów Getego i Szyllera tłumacz, Julian Korsak w oryginalnych utworach jest duchem i stylem poetą szkoły litewskiej. W większej jednakże części jego poematów własnych, nie widzimy trafnej myśli poetycznych szyku, tej szczęśliwie chwytej rozciągłości ich miary, do celnego uderzenia koniecznej, tej wreszcie wykończoności i zwię-

złości stylu, jakie są nieodbitym doskonałego wzoru warunkiem, a jakie postrzegamy w samych przekładach poety i we wzmiankowanych poezjach poprzedników jego. Mianowicie do licznych miłosnych elegij Juliana Korsaka te wymienione odnieść należy wady; rozwleczenie obrazu, lubo w gładkim wierszu, i brak wykończenia całości, nieraz je pozbawiają mocy ostatecznego uderzenia. W budowie swych wierszy nie tylko słowa, ale i wyrażenia całe, nieraz poeta wzorów swej szkoły mieści; ten jednak wiersz i styl jego zawsze jest poetyczny i wdzięczny; myśl prozaiczną i pospolitą samem wyrażeniem przenośnem i strojnem upoetycznić umiejący. Tak np. skarżącemu się w dzień urodzin na ciężar życia poecie, Geniusz Opiekuńczy chcąc go pocieszyć i przypomnieć, że mimo tylu przykrości czeka go jeszcze *miłość* i *przyjaźń*, tak mu to mile wyraża:

Przyszłość twoją przed tobą jeszcze mgła powleka,
A na drodze do grobu mimo tylu cierni,
Wiele na ciebie kwiatów jeszcze w pączkach czeka,
Kochająca dziewica, przyjaciele wierni.

Nieraz też i najczęściej (co też jest najpowszechniejszą poetów szkoły tej, o której mówimy, własnością), wiersz jego prostym jest w opisie, a staje się poetycznym przez sam wewnętrzny obraz; tak np. w jednej z elegij swoich zapytuje poeta, dlaczego miesiąc na niebie tak mu się bladym widzi.

Czemuż mi dzisiaj nie lśni jego blask promienia?
Jak niegdyś w miłosnego chwilach zachwycenia,
Gdym patrzył na przemiany, to na twarz księżycy,
To na wieczorne niebo, to na lubej lica.

Poetyczna powieść *Bejram*, strojnym i płynnym zalecająca się wierszem, jest skądinąd powszedniej treści, próżna nowych położeń i wielkich poetycznych obrazów.

Ale najpiękniejszym i najwznioślejszym, lubo niedługim Juliana Korsaka poematem jest liryczny wiersz jego *Czas i Geniusz*. W ogólności wiersz liryczny najwłaści-

wszym się pióru poety okazał: tam jest zwężlejszy i poetyczniejszy, gdzie w zapał wyższy wpada, wyższe pomysły kreśli; tak i w poemacie *Dzień Sądy*, obok nieładu w uszykowaniu, gładkim wierszem opowiadanych, drobnych, rozwlekłych obrazów, jak wzniosłe jest zakończenie i ogólne ostatniej chwili przedstawienie:

Smutny, okropny widok był całego ładu!
 Jak ów Apokalypsis dzień strasznego sądu,
 Gdy Pan Bóg rozgniewany na Adama plemię,
 Wszystkie siedem czasz gniewu wylał sam na ziemię.

Dlatego też i owo poema *Czas i Geniusz*, będąc od początku do końca zbiorem wielkości pomysłów, jest też od początku do końca obrazem bijących szczegółów i zachwycającą całością. Sam pierwszy pomysł jest już wielkim. Geniusz, istota ta niepojęta, nad wszystkie twory ziemi i nad ludzi wyższa, i Czas, istota nie mająca początku ni końca, wiodą spór o pierwszeństwo. Czas pierwszy dowodzi wyższości, mówi o sobie, iż równie jest niepojęty jak boskie »stań się«, równie dawny i niezbadany jak Bóg, pamięta owe ciemności, które stworzenie poprzedzały świata, i jak przebiegając otchłanie pierwszy raz, spostrzegł ziemię i potem istoty na niej.

Przypominam! widziałem pierwszą twarz człowieka,
 Gdy ją śmierć marmurową bladością powleka;
 Pękła życia sprężyna,
 Pomyślałem — to glina!

Nie zrażony Geniusz taką przewagą Czasu, nie chce mu ustąpić pierwszeństwa; jeżeli bowiem ów Czas istotnie jest bytem swoim równiennikiem Bóstwa, Geniusz samego Bóstwa jest częścią; Bóg bowiem, powiada on, ciało człowieka ukształciwszy z ziemi, tchnął weń część swego ducha, promień własnego światła, i dodaje:

Ja Geniusz na ziemi jestem tym promieniem!
 W czyją duszę jam wstąpił, dusza ta świecąca
 Jak słońce własnem światłem przejdzie życia progi.

O Czasie, ja urągam dumnie skrzydłom twoim!
 Wieczność gościńcem moim,
 Nieśmiertelność celem drogi.

Obie wielkie istoty równie wymownie spór dalej wiodą,
 w coraz nowe wpadając widoki; sędzią zostaje czytelnik.

Wiersz liryczny, raz powtarzamy jeszcze, okazał się najwłaściwszym pocie, jest najoryginalniejszym pod piórem jego. Julian Korsak jest lirykiem szkoły litewskiej; pierwszym lirykiem, stylem tej szkoły piszącym. Listy jego do Adama Mickiewicza, Aleksandra Chodźki i t. d., mieszczą te wszystkie przymioty i wady, o których niedawnośmy rzekli. Styl poetyczny, płynny, czasem za rozwlekły; obrazy nowe, nie zawsze w związku albo trafnym szyku. Oddychają one przyjaźnią, ową przyjaźnią bratnią, która jest stałym, wzajemnym, poetów litewskich węzłem. Słowa, któremi kończy list do W. Wańkowicza, mogłyby być słowami każdego z nich do każdego.

Tak, gdy twój talent w siły porośnie olbrzymie,
 Miej w zysku cześć rodaków i rozgłośnie imię,
 A jeśli wieść ta dojdzie i na moją grzędę,
 O, sercem przyjaciela radować się będę.

ALEKSANDER CHODŹKO. Styl i poezya Aleksandra Chodźki tem się jedynie od poprzednich różni, iż poeta obeznany z literaturą wschodu, i wschodnie za cel swego pióra obierając przedmioty, odziewa też nieraz poemata swoje we wschodniej imaginacyi barwy; w powierzchownym też składzie wiersza tę spostrzegamy odmianę, iż poeta lub pisze miarowo, albo znowu znudzony zbytnią stylem swego szkoły płynnością i wygładzeniem, stara się bieg swego wiersza jakby obłąkanym uczynić, zmienia miejsce średniówki, kończy myśli w półwiersza, zawiesza zdanie na rymach i t. p., jak tego mianowicie w powieści *Derar* i wielu elegiach mamy nieprzerwane prawie przykłady. Wszystkie zaś prawie ballady i pieśni, jak własne tak tłumaczenia, pisane są przeciwnie miarowo. Poezja polska

obowiązana jest szkole litewskiej i utworem rymo-stopowych wierszy. Te prozodyjne miary, nieodbitnie potrzebne wierszom pisanym do śpiewu, w długich poematach monotoniczne i nudne, w poematach krótkich wiele nieść mogą wdzięku, pragnącemu rozrywki i nowej piękności uchu. Do teoryj Elsnera pisał różnych miar wiersze Kazimierz Brodziński, ale wiersze jedynie ośmiozgłoskowe, krótkie; Królikowski w dziele swem o *Prozody* dawał także przykłady, lecz tylko po kilka wierszy; dopiero poeci litewscy wzory ujmującej piękności stopowych miar przedstawili. Przekład Odyńca ballady *Lenardo i Blandyna*, pierwszy amfibrachiczną miarą uderzył i oczarował ucho; trocheiczna¹ w *Rywalach* równie ujęła mile. W poezjach Aleksandra Chodźki liczniejsze jeszcze mamy tych miar przykłady, mamy dwu, trzy, cztero i sześć-stopowe trocheje, cztero-stopowe amfibrachy, anapesty i t. p.

W balladach i pieśniach Chodźki postrzegamy Litwę, w jego elegiach mgłę wschodnią, w powieści *Derar* sam wschód, jego zwyczaje, ziemie i obrazy. Panującym w niej od początku do końca przedmiotem jest miłość; Derar, kochanek Azzy, żony drugiego, w pierwszej części poematu (Kassydzie) opowiada miłość swą ku niej, zapal swój i dzieje; w drugiej napada na hordę podróżujących Arabów, obrania karawanę, do której się przyłączył, a to męstwo i sława, któremi się okrył w oczach patrzącej na to z arabskiego namiotu kochanki i dar z łupów, który jej posłał, jest mu dostateczną zemstą, nagrodą i zaspokajającym szczęściem. Nim się jednak to staje, widzimy i słyszymy ludzi wschodnich, składających ową karawanę, słyszymy ich modły,

¹ *Szopa Zbawienna, Do Wollowicza, Pasakwil króla Imci*, poemata Kaspra Miaskowskiego (w XVII w.) są całe pisane trochejem. Staranność w nich o miarę wyraźna, i nieraz się staje powodem nazbyt śmiałych przekładni:

Trzykroć miasto o szczęśliwe!
Padną na twarz wszyscy razem,
Najwyższego przed obrazem.

dalej ich świeckie pieśni wesołe i pieśni miłosne; i odprowadzają namaz, i robią pilaw, i ciągną fal. Owa cnotliwa miłość, która, raz jeszcze powtarzam, jest kwiatem litewskiej poezyi, odbija się najjaśniej w tymże poemacie wschodnim. Derar kochający tak silnie i bezsennością męczony, błędził koło namiotu kochanki i spostrzegł ją śpiącą w namiocie; wszystko było milczącym, porwał ją, uniósł, i ten uścisk, który unosząc oddawał, był mu jedyną i całą tak słodkiej chwili nagrodą.

A ona drżała jak serce, i blada
 Czy się zlituję jej trwogi i bólu
 Pytała wzrokiem. Tak gdy skrzydło kani
 Maleńką ahu odpłoszy od stada,
 Gdy sama, sama zostanie na polu,
 Gdy bieg ją znuży, żwir nóżki porani,
 Żebrzące oczy wznosi do tyrana,
 Co wisi nad nią. Stajem, tu bez trwogi
 U tych palm składam z ramion ciężar drogi,
 A ona we łzach pada na kolana,
 »Derarze!« — ach! w tem słowie, w jego dźwięku,
 I w owej niemej muzyce rozwianych
 Jej warkoczy, jej twarzy bladej, rękę
 Wzniesionych ku mnie, oczu łzami złanych,
 Cała jej trwoga i niewinność brzmiała,
 I całe niebo wołało: litości!

Co tobie, Azzo? Tyś tak dobrze знаła
 Serce Derara, gdzie zbrodnia nie gości,
 Odkąd w niem mieszka anioł twej urody,
 Ani myśl ciebie niegodna nie mroczy
 Przeczyste, wiecznie trwającej pogody.
 — Daruj, luby! Tak straszne miałeś oczy,
 Taką gwałtowność w twoich uściśnieniach!...
 — O! chcąc cię porwać, wierz, nie w nocy cieniach,
 W chwili odjazdu, jak podły złoczyńca,
 Lecz w dzień, w ich oczach, z waszego dziedzińca
 Porwałbym, uniósł — ha! niechby ścigali
 Pył mój w pustyniach

 O! Nie, nie, Azzo! Dni twoich strumienia
 Kryształowego Derar nie zamąci.

JÓZEF KORZENIOWSKI i STEFAN WITWICKI. Korzeniowski i Witwicki lubo z miejsca pobytu nie należą wcale do rzędu poetów litewskich, duch jednak ich poezji i styl ich, jakkolwiek nieraz pozbawiony rymów i nawet wiersza, tu ich poemata mieści. *Tragedye Korzeniowskiego* i *Edmund* są to dramata szkoły litewskiej. Wyliczenie ich głównych piękności oddzielnejby wymagało rozprawy; zarzucają im tylko, i to jest zarzut (?) jedyny, zbytek namiętności w bohaterach sztuki. Co do form powierzchownych, autor zachwycającego *Fragmentu*¹ pisze w dramatach swoich wierszem miarowym (pentametrem), ale nierymowym, rodzajem ulubionym od wszystkich wielkich europejskich, wyjąwszy francuskich, traików; tak pisał Szekspir, tak Alfieri, tak Szyller. Styl wiersza Korzeniowskiego budują słowa słodkie, poezya. Miłość jest idealną w całej mocy swojej. Biedna Aniela, którą był ukochał i przyrzekł poświęcić młody hrabia Gustaw, tak mu jej obudzenie się przypomina:

. w jakąż suknię
Przywdziałeś nagle niebo i tę ziemię?
Wszystko ożyło szczęśliwemu sercu,
Każdy liść wiosny mówił mi o tobie,
W każdym zawoju róży pokochałam
Miłości kolor, i miłości wróżbę.

Charakter *Edmunda* jest to z wielu względów charakter Konrada. W innej tylko postawiony epoce, w odmiennych okolicznościach wzrosły, szuka on mary, której zrozumieć nie może, pragnie czegoś wyższego, czego nie może pojąć, szuka uczucia, któreby silniejsze jeszcze niż sama miłość być mogło.

»Wysoko nademną minął wzrok niebianki, a chociaż władzy jego mogłem się domyśleć, nie żałuję jednak, iż jej nie uległem«.

Nie wspierany władzą religii, nie mając wlnych

¹ *Fragment* J. Korzeniowskiego, p. »Melitele« na rok 2-gi.

prawd jej i jej pociechy, równie jak Konrad, lubo daleko prędzej na samobójstwie kończy. Namiętna Julia, szukająca na cmentarzu kochanka, którego przywiązać do siebie nie mogła, jest to nieszczęśliwa Aldona, zabiegająca drogę uchodzącemu mężowi; obie one wiedziały i rozumiały wyższość umysłu kochanków swoich, wiedziały, że miłość ziemską, im znana, ich nie zaspokoi, mimowolnie jednak rzucały się przed nich, nie wiedząc prawie, co czynią; a Julia mniej jeszcze mogąc pojąć swojego, dziwi się sercu jego i stara się go jeszcze rozrzewnić:

»Edmundzie! Kto ty jesteś, co pod postacią i z władzą anioła w przepaść mię zguby, jako zły duch, wtrącasz? Czy ty litości nie znasz? Czy życie twoje tylko rozpaczą innych utrzymać się może? Kiedyś mię po raz pierwszy we łzach zobaczył wśród starań około matki, której gasnące życie własnem życiem chciałam zachować... powiedz, nicze cię nie wzruszyła młodość moja niewinna?... Nie! Nigdy miłości serce twoje nie znało... Znałeś mą słabość i władzę swoją. Na to dla mojej duszy świat nowy odkryłeś... aby mnie wydrzeć szczęściu i ojcu, by mi zapłacić nieczułością, wzgardą... Milczysz? Nie milczy spojrzenie twoje, o, jakże wiele, jak okropnie mi odpowiada!«

Cała ta scena na cmentarzu między Edmundem i Julią do rzędu najpiękniejszych scen dramatycznych należy. Pomiędzy położeniem Julii a położeniem Aldony ta była główna różnica, iż ta ostatnia żoną, pierwsza zaś była kochanką; żonie pozostawały nadzieje, wspomnienia, kochance rozpacz jedynie. Z natury uczuć płynęło, iż koniec bohaterów dramatu daleko miał być prędszy, niż bohaterów powieści.

SZKOŁA UKRAIŃSKA.

Duch i styl ukraińskiej szkoły różne są zupełnie od ducha i stylu szkoły litewskiej, a bardziej jeszcze innych poezyj polskich. Ponurość, dzikość, krwawe obrazy, zbro-

CC
24
it
2
1
dnie, są ulubioną, powszednią poetów ukraińskich treścią; jeśli w nich spotkasz niekiedy uśmiechający się obraz, nie uśmiechaj się wcale, bowiem gorzko opłacisz tę chwilową radość; jeżeli w nich spotkasz miłość, miłość będzie ponura, lub dzika, albo też cielesna i prosta. Przedmioty i obrazy ukraińskiej szkoły z wielu względów świat nowy dla poezji polskiej stworzyły; atamany, Kozaki, Tatarzy, stepy, porohy, czajki, ukraińskie miasteczka i ukraińskie rzeki, po raz pierwszy dały się słyszeć, dały się widzieć w jej tworcach. Styl ukraińskich poetów wszędzie nierówny, niepoprawny, ciemny; rymy to nazbyt trudne, to całkiem zaniedbane; odznaczają go słowa silne, ponure i nieraz nadęte, porównania ciężkie, dalekie, mocno poetyczne; mnóstwo wyrazów nowych, miejscowych; niezwykle obroty i składowe. Znaczniejsi poeci szkoły ukraińskiej są: *Malczewski, Goszczyński, Gosławski, Zaleski, Zaborowski* i t. p.

MALCZEWSKI. Sam przedmiot powieści Malczewskiego *Marya* już nas zapoznaje z duchem poezji ukraińskiej szkoły. *Marya* Potocka przedmiotem jest nienawiści teścia swojego, wojewody, dla niższego stanu, w którym się była urodziła. Jej ojciec, przy którym mieszka, obrażony Potockich dumą, zabrania jej nawet wspominać męża; lecz oto odbiera niespodzianie list od wojewody, który sam się godzi, przeprosza, i nie tylko pragnie, by *Marya* przy synie jego mieszkała, lecz rozkazuje, aby mąż stał się więcej jej godnym i odbył wyprawę tatarską; nic czulszego jak widzenie się i pożegnanie Potockiego i *Maryi*, ale to widzenie się i to pożegnanie były już ostatnie; po oddaleniu się męża, przebrane maski porywają i topią w rzece *Maryą*. Właśnie rozciągniona na nierozesłanem leżała łożu, kiedy Potocki wrócił; porwał ją myśląc, że ogląda śpiącą, ale jej martwa postać w pół mu się na rękę złamała. Przedmiotem powieści *Marya* jest zamordowanie jej, zbrodnia, jest jednak razem i miłość, przynajmniej dla lepszego zbrodni tej odbicia wypadło miłość kreślić; miłość *Maryi* zaprawdę jest poetyczna, wysoka, nie jest to jednak owa platońska,

niewinna; jest to raczej przywiązanie małżeńskie (Marya jest już zameżną), przywiązanie silne, namiętne. Słowa, które Marya tę miłość swoją tłumaczy, właśnie są w stylu ukraińskiej szkoły, tok ich, obrazy, silnie poetyczne i ciężkie; sam wiersz i rymy to zwięzłe, to zaniedbane, trudne, to łatwe, silne i ciężkie, naprzemian. Potocka, gdy ojciec, przy którym mieszkała, naganiał jej zbytne przywiązanie do męża, uniewinnia je mocno, i wreszcie powiadając, że dopóki jej mąż, jej kochanek, ten, co pierwszy pączek jej marzeń rozwinął, wierny zostanie szczęścia ich ostatkom, dopóty jeszcze życie się jej nie przecięło, i rozdzielenie to zniesie, tak to namiętne wyraża:

O! Póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
 Brzmięć w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać,
 W spojrzeńiach czuć się światłem i życia potrzebą,
 Było więcej niż szczęście, było dla mnie niebo.
 Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia
 Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uspienia,
 Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
 Zostawił lzę wdzięczności, której czas nie zmiecie;
 O! Póki ten mój miły, ten świat mojej duszy,
 Łańcucha naszych węzłów swą wżgardą nie skruszy,
 Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
 A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom;
 Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko,
 Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
 Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia
 I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
 I tę straszną ofiarę — i to rozdzielenie —
 Zniosę — cierpliwie zniosę — póki nasze cienie
 W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
 Ludzi już nie zobaczą — lecz niebo łaskawsze.

Podobnie i sam Potocki ponuro, poetycznie tłumaczy swą miłość i jej początek.

Gdym w *stepowej* i w *dzikszej* umysłu pustyni
 Lubił błądzić, aż *pomrok* przedmioty *zasini*,
 Nigdy mi żadna gwiazda nie błyszczala w ślady,
 A koń bił się do domu przez wichery i grad,
 Tyś dla mnie zeszała, Maryo!..

Częste zaniedbanie się w rymach i stylu, które w ciągu powieści postrzegać się dają, czynią niemiłym czytanie jej, zwłaszcza oku i uchu przywykłemu do słodyczy i poetycznych szkoły litewskiej wykończeń; pojedyncze jednak obrazy i całe miejsca napotymane w Maryi do pierwszych poetycznych piękności należą, a takim jest między innymi pożegnanie Potockiego z żoną, opisy bitew, niespokojny powrót rycerza i radość, gdy ujrzał otwarte okno w pokoju żony; opisanie nieżywej Maryi, której ciało straciło życie od utopienia, obłąkane porwanie jej przez męża itp.

Sławną jest i przytaczaną powszechnie owa namiętna odpowiedź, którą Marya (nierównym jak wyżej, ale równie głębokiego uczucia wierszem) czyni mężowi, zapytującemu, czyli go jeszcze kocha. Marya zaledwo się ujrzała w swem niepojętem i niespodzianem szczęściu, kiedy nastąpił znowu czas rozłączenia. Potocki przed odjazdem przyszedł i rozmawiał z nią długo, ale widząc swą żonę bladą i zmienioną, bladą trwogą o męża i wewnętrznem o siebie przecuciem, tak wreszcie kończy mowę, którą obrócił do niej:

Maryo! Czyś ty nie chora? Bo masz taką postać,
Jakbyś się do aniołów myślała już dostać!
I w nowem udręczeniu choć się tobą pieścisz,
Prawie się spytać pragnę, czy mnie kochasz jeszcze?

Ona mu odpowiada:

Czy Marya eiebie kocha? Mój drogi, mój miły,
Więcej niż kochać wolno, i niż mogą siły,
Więcej niż wątle serce, któremu już zadość,
Znieść może tak niezmierną, niespodzianą radość.
I gdyby nie Tatarzy, co mi w oczach błyszczą,
I gdyby nie ich strzały, co mi w uszach świszczą,
Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba!

Czy Marya ciebie kocha? Pytaj się jej cienia!
Czem dla Maryi świat cały bez twego spojrzenia?
Czem dla Maryi świat przyszły bez twego wspomnienia?

W ciągu potyczek i powracając troszczył się ciągle o los żony Wacław, i gniewał się, że ją opuścił.

Szepczą dreszcz i niepokój zgromadzone mary,
Tak ją mdłą, słabą widział, a wszak bez obrony
Więdnie pieszczotny powój — a wszak bez osłony
Nie trwa tu słodki owoc — i cóż? Ledwo wrócił,
Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
Dla czego? Dla czczej sławy, której blask nie waży —
Jednego uśmiechnienia ukochanej twarzy.

Lecz oto pełny szczęścia przybywa już do domu,
przywiązuje konia i bieży ku drzwiom:

I z tą żywą pociechą, w której serce tonie,
Kiedy już bić ma wkrótce przy kochanem łonie,
I z tem świetnem wejrzeniem, gdzie kona obawa,
Jednym radości skokiem u drzwi domu stawa:
Ach! Ileż wdzięków, pieszczot jemu się obudzi!
Chwila jeszcze, a będzie szczęśliwszym od ludzi,
Od aniołów...

Nie mógł jednak trafić, otworzyć, i błądził pod okna.

Lecz cóż to? Już w zupełnej nadziei utracie
Postrzega ruch nareszcie — w sypialnej komnacie
Widzi otwarte okno — i lekka zasłona,
Co tam nocnym tułaczom na straż zawieszona,
Z nieśmiałego wietrzyka płochliwie urąga,
Wypycha go z pokoju i znowu go wciąga.
O jaki luby ogień zbiegł rycerza siły!
A wszystkie blaski szczęścia do lic pospieszyły.

Tu następuje obraz w pokoju Maryi, jej wystawione
ciało od utopienia nieżywe.

Na nierozesłanem łożu, w żałobnej odzieży,
Rozciągnięta niewiasta uśpiona tam leży;
Ale jej snu twardego Wygoda nie pieści,
I jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści,
Jeszcze w jej sonej twarzy cierpienie zostało,
Choć spokojne, bez ruchu, wyprężone ciało;
I długie jej warkoczki spadały w nieładzie,
Nie w takim, w jaki miłość śpiące wdzięki kładzie.

I smutnie się nadęła wysileniem tłusta,
 Jakby się skarżyć chciała, tylko że jej usta
 Ścięte silniejszą władzą; a promień księżycy
 Co tę posępną postać migając oświeca,
 Tak dziką tkliwość rzucał w przymrużone oczy,
 Z jaką mizg upiorzycy, gdy kochanka zoczy.

To młoda, śliczna Marya — rycerz przed nią stoi —
 Przyniósł jej ziemskie szczęście — i czegoż się boi?
 To młoda, śliczna Marya? Ach, jakże zmieniona!
 Czy już się będzie robak tulić do jej łona?

.....

Ale niedługo stał tak Wacław, porwał ją obłąkany,
 chciał ją od śmierci wyrwać.

Lecz gdy silne rycerza unosi ją ramie,
 W jakież okropne ruchy jej kibić się lamie,
 Nie z tą giętką lotnością, co w dół nie przyciska,
 Lecz w całym opuszczeniu świeżego zwaliska,
 Zwieszono ręce, głowa, zdrętwiałe już nogi,
 Czynią z niej przedmiot straszny, jemu jeszcze drogi.

Żałować mocno musimy, że oprócz *Maryi* nie mamy innego poematu ręki tegoż autora, przypuszczamy albowiem, iż danoby mu było te, lub tym podobne wdzięki, w niem rozlać. W ogólności szkoła ukraińska jest najmłodsza, lubo jej charakter przebijał się już przed laty dwustu w stylu i duchu poezji Zimorowicza; młodzi poeci, którzy ją utworzyli, lubo od razu od obszerniejszych zaczęli poematów, nie mieli jeszcze czasu rozwinąć ją dalej, wypracować, wykończyć; jeśli wykończenie i wypracowanie może się zgodzić z ich piórem.

Dziwna, że bez wzajemnego naśladownictwa, duch i styl, którym oddychają, jest jeden. *Zamek Kaniowski* Goszczyńskiego, który się w lat parę po *Maryi* pokazał, zdaje się być tą samą ręką pisany, silniej tylko jeszcze i śmieiej wiersz budującą i dzikszere kreślącą obrazy.

W stylu SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO też sama niepoprawność i zaniedbanie się w wierszu, toż mnóstwo

miejscowych słów i wyrażeń, zadziwiająca, i jak rzekliśmy, śmielsza jeszcze w pojedynczych obrazach i budowie wiersza poezya.

Orlika jest kochanką Kozaka Nebaby, ale jest przymuszoną zostać żoną rządcy kaniowskiego zamku. Nebaba zbiera Kozaków i czyni nocny na zamek napad, a w tymże czasie Orlika, wskutek zмовy z kochankiem, w łożu małżeńskim zabija swojego męża. To grobowe opisanie łoża małżeńskiego, kuszenie się o zabicie męża, jego przebudzenie się, mary, które cierpi, i nakoniec spełnienie zbrodni, jest jednym z najpiękniejszych poetycznej okropności wzorów. Dalej obrazy obłąkania żony, boju krwawego, śmiertelnego ranienia Nebaby, wszystkie oddychają okropnie ponurą szkołą poety.

W czasie zamordowania rządcy, Kozacy wpadają na zamek i drzwi znajdują zaparte.

.....
 Ale jak siłą poparli drzwi całą,
 Runęły z dźwiękiem przykrego gwizdnięcia,
 Jakby je żywcem wyrwano z korzenia.
 Czemuż ten Kozak, co wprzód skoczył śmiało,
 Jak śmiało skoczył, tak się cofnął z trwogą?
 Cóżto ma znaczyć ta w ciele dyablica?
 Ona nie słyszy, nie widzi nikogo:
 Takie spokojne jej oko i lica.
 Przed nią trup leży w rozrzuconem łożu;
 W ręku nóż trzyma, krew pieni po nożu;
 A na niej cała skrwawiona koszula:
 Ona ją bierze, macza w trupa ranę,
 I źmie ją niby i niby wypiera,
 Potem martwego pościelą otula,
 Wymawia zcicha słowa ucinane,
 Zbroczonem płótnem cała się wyciera,
 I wolnym krokiem idzie do zwierciadła:
 Stanęła z lampą w ręce konającą;
 Spokojna — tylko oczy się jej mącą.

Dalej w ciągu kreślenia okropnego mordu Lachów i Kozaków i tej strasznej nocy, o której mówi poeta, że

gdyby się nam dzisiaj podobna przyśniła, na długoby struła
miękkich snów naszych pokój, w ciągu tych rzezi, mówię,
opisanie twarzy śmiertelnie ciętego Nébaby.

.....
A twarz Nébaby jakby jedna rana;
Tak ją strzał opluł i szabla strzaskana.
A krew kroplista, płynąca zasłona,
Zbroczyła czoło, opada na łono,
Leje się w usta, przepływa przez oczy,
Gasi spojrzenie, oddechy tamuje: —
Darmo trze oczy, darmo usta pluje,
Rumiane źródło falami się toczy;
Darmo dłoń kła, darmo suknię broczy;
To krew niewinnych, nic jej nie zhamuje!
Co przetrze oczy, co ustami splunie,
Krwawa zasłona znowu się zasunie:
Potępionego prawdziwa męczarnia!
.....

26.

»To on, on to sam«, w dobrze znanym tonie
Cichy się głoszek odezwał na stronie,
A wyraźniejszy, gdy się zbliży trocha:
»Przyszedł popieścić... on mię zawsze kocha«.
»Czy i ty!« krzyknął; nie mógł skończyć mowy,
Krew mu ustawnie zalewała usta.

Nieład w układzie i rozwijaniu obrazów i nie ciągła
poprawność wiersza, są wadami poematu tego¹ pełnego
dzikości, poezji.

W dwóch przedostatnich odstępach, poeta liczy po-
zostałe pamiątki tych zdarzeń, o których nam opowiadał
w powieści, i wrażenia, które go nią natchnęły.

.....
Na rozburzonym Kaniowa zamczysku,
Długo podróżnym broniącym przystępu,

¹ Też same wady, obok licznych pochwał, przyznaje i tłumacz an-
gielski poematu, o którym mowa.

Długo ponęta drapieżnego sępu,
 Szkielet Nebaby, lśnił w grobowym błysku.

 Ogień, co wszystko dokoła potrawił,
 Z mołoców jego śladu nie zostawił;
 Poznana tylko z rany i odzienia,
 Szalona Ksenia leżała na trawie,
 Jeszcze w modlącej przed lubym postawie,
 A w strasznej nocy zamku podpalenia
 I topielicy skończyły się pienia.

30.

Gdy duch mój zwiedzał Dnieprowe pobrzeże,
 I na Kaniowa odpoczął ruderze,
 Jeszcze tam wkoło wyszukałem ślady
 Dnia okropnego ostatniej zagłady:
 Jeszcze po ścianach krew się czerwieniła,
 Gdzie żona gnana morderców pogoniała,
 Mytą w krwi męża chwytala się dłonią:
 Żadna wywabić nie mogła jej siła;
 Na miejsce startej inna wystąpiła:
 Ale nieszczęsne zabójczynie ciało,
 W popiół przetlało, z wiatrem się rozwiało.
 W porosłej miękką murawą uboczy,
 Trafił na kołtun Kseninych warkoczy;
 Ale w nim drobny gnieździł się już ptaszek.
 Obok leżała z Nebaby ratyszczka
 Stał, od płomienia w ciemny żużel złana.
 A błądząc długo wśród skośniałych czaszek
 Odgrzebał torban między gruzem zgliszczka,
 I jedną strunę z całego torbana.
 Ani lat, ani pogody koleje,
 Nie mogły przyćmić złotego jej blasku;
 A wiatr, kochanek z poblizkiego lasku,
 Co noc z nią dawne odśpiewywał dzieje.
 I jam polubił chrypliwe jej tony,
 I z jej wdziękami z czasem oswojony,
 Gdym nieraz badał pilnie i ciekawie
 O całej zamku kaniowskiego sprawie;
 Wkońcu rozwikłać mogłem tajemnicę.

MAURZYC GOSŁAWSKI. Lubo poezye Gosławskiego nie mają ognia i dzikości dwóch wyżej wspomnianych poetów, ponurość jednak i tęsknota łatwo ich towarzystwo wydają. Styl ukraiński oddzielny, który w powieści *Marya* nieraz francuskim zaraża się smakiem, a w *Kaniowskim Zamku* nieraz za nazbyt szlachetny nawet w opisach dzikości, najnieprzerwaniej widzieć się daje pod Gosławskiego piórem; w balladzie *Nyczaj*, od mnóstwa słów i wyrazów miejscowych, jest nawet nieraz niezrozumiały¹. Trudność rymów, odznaczająca nieraz styl *Maryi*, niezwykła śmiałość i moc poetycznych przenośni, są najwięcej pióru tego poety właściwe; ostygający w poematach dłuższych, w krótszych niezwykle silny jest i śmiały.

Poemata jego są: *Podole* w 4 pieśniach, opisowe; *Leszek*, *Tęsknota* (znane tylko z wyjątków i zapowiedzenia, jak również *dumy*, *ody*, *elegie* i *listy*); krótsze: ballada *Nyczaj*, wiersz religijny *Jubileusz*, wiersz *Miłość*, *Do serca* itp.

W tych wierszach krótszych, jakieśmy rzekli, rzadko poeta ostyga, co szkoły jego jest cechą; ciągle oryginalny, w toku i wyrażeniach olbrzymi, w przenośniach prawie zuchwały. Wiersz religijny na jubileusz jest pełnym wzniosłości hymnem; poeta w nim skreśla pierwiastkowe potępienie ludzi, zdziwienie ziemi na widok wcielonego na niej Boga, jej rozdarcie się na widok umęczenia jego, jej rozpacz, modły i na koniec — łaskę. Wiersz hymnu, jak powiadam, silny, poetyczny; patrzmy naprzykład na ową rozpacz i na ów przestrach ziemi po ukrzyżowaniu Boga wcielonego.

Arki Pańskiej zasłony przepękły od góry,
Ślepie słońce, łąd wyje, ziemia się wypiętrza!
Drżą osie natury!

¹ *Rumka*, *kuma*, *bisnowaty*, *tucza*, *bezobrazny*, *jary*, *czahary*, *komysze*, *supilki*, *czabaraski*, *Homen*, *hamor*, *nocleżanie*, *wytrocżki*, *rozplutki*, *kośniki*, *oczerety* i t. p., są to wyrazy, z którymi zapoznać się mamy, przystępując do czytania poematów Gosławskiego.

Z przelętego ziemi wnętrza
Kościotrupów wstały chmury.

Przebacz, Przenajświętsza Trójco!
My bóstwa Twojego ucznie,
Wbili świętokradzką ręką,
W pierś Zbawcy naszego włócznie.
Przebacz, święta Jego Męko!
I miej litość nad zabójcą.

W wierszu *Miłość*, poeta ukraiński stara się to uczucie określić; nie może go pojąć jak tylko zbyt silnie i dziko. Jako, mówi, w rozdarciem błyskawicą niebie spodziewamy się ujrzeć anioła, tak w obudzonem uczuciu miłości wyglądamy szczęścia, ale nagrodą nam całą grubsze ciemności tylko; albo zgóry pozbaw się życia, dodaje, albo się błąkaj z uczuciu pustem, póki cię samo nie zgniecie.

Giń! lub krwie twojej okupem,
Bij się po nagim szkarpie —
Bij się wiecznym fali łupem;
Nim odwrotnym bałwan słupem
Pchnie cię w wiry i rozszarpie!

Ballada ukraińska *Nyczaj* (w której poeta stosownie do dumy gminnej opisuje spotkanie się jego i zgubę w bitwie z Mikołajem Potockim) zaznajamia nas bliżej z tym sławnym Kozakiem, którego grób, dotąd znany, wznosi się na podolskiej ziemi. W balladzie tej wprowadzona i miłość. Nyczaj na czele Kozaków swych, Zaporozców, jedzie na koniu *Achmet* pod Krasne, gdzie spotkać miał Lachów. Jedzie wieczorną porą i daje rozkazy. Mija las straszny sławnego rozbójcy Bujcuna, po którym rozległ się *hamor*, i obudzone tententem koni powstałe kozacze duchy; chciałyby one biedz znowu na łupy, ale nie mogły oderwać przyrosłej do mogiły piersi, i tylko spróchniałem okiem spoglądając na braci, odwiodły ich na kraj gaju. Skoro ujrzeli Krasne, Nyczaj się kazał zatrzymać, sam się położył na rozesłanej burce i sądził, że zaśnie, ale sen go opu-

ścił, ponure dręczyło przecucie, musiał szukać rozrywki; wspomniał na blizkie mieszkanie młodej i hożej Chmielnickiej; już nie rozmyślał dłużej, zapomniał o Beresteczku, o Annie, wszedł na Achmeta, poleciał i zastukał w okienko Kozaczki:

Skrzypiły drzwiczki — »kto to? kto to?«
 Zapytała kuma hoża;
 »Bogdaj zdrowa, moje złoto?«
 »Zdrów był, synu Zaporosa?«

Nyczaj w domu Chmielnickiej nie jest to wcale Derar składający pod palmą Azzę, drżącą jak serce i z bojaźni bladą, w poemacie litewskiego poety; kuma na widok kochanka nie może się nim nacieszyć, tysiąc mu pytań zadaje, wyrzuca, że jeździ po nocy; i zrobiwszy uwagę, że chatka ciepła, mąż daleko, zaprasza go, karmi i poi.

*Świeczka na stół — dwa kołacze,
 Flaszka miodu — i biesiada!
 »Jedz, kozacze! Pij, kozacze!
 Czem bogata, tem i rada.*

I ramiona z alabastru
 Zarzuciła mu na szyję,
 I jak słodycz z miodów plastru
 Tak z ust jego rozkosz pije.

Wojna, *Lachy*, ni mu w *dumce*,
 Mniejsza o blask berł i korón¹.
 Przy kochance i przy *rumce*,
 Życie mija, gdyby piorun.

Gdy Nyczaj noc tak przepędza, Potocki napadł na towarzyszków jego; obudzony pobiegł, aby się bronić; chciał się potem ratować ucieczką, ale koń ugrzązł i ścięto mu głowę.

¹ Poeci ukraińscy układają nawet końcówki podług wymowy wołyńskiej, podolskiej: rymują *mnohie* i *mogę*; *dzikie* i *rzekę* i t. p.

I dzisiaj gdzie Czeremoszne
 Wyciąga ramię pól wschodnich,
 Gdzie te lewady¹ rozkoszne,
 Siedem mogił widno od nich.

Sześć mniejszych to groby rycerzy poległych w bitwie pod Krasnem, siódma wielka to grób Nyczaja.

Najdłuższym zaś ze znanych nam dotąd poematów Gośławskiego jest, jakeśmy rzekli, jego poemat *Podole*. Gośławski jest pierwszym prawdziwym wieszczem Podola. Zakochany w tym kraju, w którym przepędził młodość, którego cuda oglądał, w którym swe serce zostawił, poetycznymi obrazami daje zapoznać go światu. Opiewa góry, rzeki, szczęścia i klęski jego. A te góry i rzeki przebiegają już polskie kraje, i pobiegną w inne dalekie: jak czarujące imiona Niemna, Świtezi i Wilii, kowieńskich dolin i litewskich zamków; jak szkockie fale Twidu i fale Te-wiotu, góry Benwenu, Lock-Katrin.

Jakże jest wielki ten urok, o mój drogi mężu, w który czarująca poezja przedmioty świata obleka! Cóż to się ze mną działo, z mem okiem i sercem, kiedym raz pierwszy wody szerokiego Niemna ujrzała? Stanęłam ponad niemi i długo tak stałam niema, patrząc na jego koryto, na jego fale i brzegi. Toż więc spoglądam, myślałam, na tę sławną rzekę, co niegdyś dwa nieprzyjazne dzieliła z sobą narody?² Patrzę na tego wód ojca, mnogich pasterza łodzi³, na tego kochanka Wilii, którą w ramiona swe chwyta i razem do morza unosi. Toż więc oglądam przed sobą domową rzekę poety, do której zdrojów lzy leją sławne oczy jego; i podnosiłam moje na drugą stronę rzeki, sądząc, czyli nie ujrzę Laury patrzącej na swoją postać i kwieciami zdobiącej skronie. Jednakże imię Niemna było mi znane i dawniej,

¹ *Lewada* — łąka, dolina, owocowemi drzewy dokoła ozdobna i liczne pszczołami mieszcząca. W Galicyi i na Podolu każdy prawie wieśniak ma swoją lewadę.

² *Wallenrod*.

³ »Tak ojciec Niemen, mnogich pasterz łodzi«. *Gratyna*.

czytałam o nim w historyach, widziałam na krajorysach; ale jakże, mój mężu, opisać ci zdołam to drżenie, jakie uczułam cała na widok wody Świtezi, uczułam je takie właśnie, jakiebyśmy uczuć mogła na widok szkockiego Twidu, lub Acherontu dawnego; mnie się zdawało, że Świtez istnieje tylko w poezji, że płynie gdzieś w urojonym i czarnoksiężkim kraju; kiedym go ujrzała przed sobą, wierzyć nie mogłam oczom i spoglądałam nań długo zdziwiona i osłupiona. Wody, na które patrzyłam, zdało mi się, że w niczem nie są podobne innym i za nicbym do ust nie przytknęła jednej, zaczarowanej ich kropli. Pora była wieczorna; nas było kilku podróżnych, lecz ja postępowałam nieśmiała i oglądałam się z trwogą. Lękałam się, by nie ujrzeć owej tajemnej dziewicy, co z potępionym kochankiem co noc po brzegu chodzi; lub owej nieszczęśliwej matki, co Świtezianki zwała siostrami swemi i codzień wypływając jak rybka, zmieniała się w postać żeńską; tom się lękała znowu, aby nam w oczach nie stanęły Larwy i owe szatańskie sztuki, o których poeta boi się mówić przed nocą; i lękałam się zajrzeć do głębi jeziora, by nie ujrzeć przypadkiem dziewicy tej z czasów Mendoga, którą niebaczny ów niewód przed osłupionych widzów wyciągnął¹; lękałam się nawet spoglądać na zioła i kwiaty nadwodne, by nie wróciły przypadkiem do dawnych litewskich postaci, z których przemiany powstały i kilka wieków tak rosną.

Pod Gosławskiego piórem malownicze miejsca Podola podobną wdziawać zaczęły omamienia szatę. Znamy już Miodoborskie góry i dziwnej postawy Tołtry; krzyże Kamieńca i krzyże Czercza; i straszny las Bujcuna i wielki grób Nyczaja i rozkoszne lewady i Smotrycz; Smotrycz, ponad którego brzegami chodzą tajemni starce, rośnie nietykalny barwinek; nad którego brzegami dzikie pieczary i skały.

W I. części *Podola* przebiega i opiewa poeta liczne

¹ *Świtez*, ballada.

piękności jego. W II. stylem od innych różnej, a życia nowego pełnej, opisuje wesele podolskie, jego zwyczaje i śpiewy. W III. klęski Podola, powietrze i napady tatarskie, dodając historię pieczar w nadsmotryckiej wykutych skale i o barwinku podanie. W IV. żegna Podole.

Westchnienia, które poeta przy końcu każdej pieśni do swojej lubej przesyła, są bardziej westchnieniami do podolskiej ziemi, którą ubóstwia i której zapomnieć nie może:

I gdy przyjdzie noc wieczna zamknąć mi powieki,
O! Jeszcze będę patrzył na tę lubą stronę.

Słowa, któremi kreśli swój smutek i owe westchnienia przesyła, całe są obleczone w ową ponurość i tkliwość, pieśniom strony, do której pisze, właściwą.

.....
Noc znika, z za gór słońce wychodzi jaskrawiej,
Wiatr szumi — zawiej wietrze! na południe zawiej,
Zanieś jej przedostatnie westchnienie tułaczę,
I osusz niem łzę w oku, jeśli luba płacze.

.....
Spoczynku ni schronienia w żadnej myśli chłodzie.
Idź, luba! Spójrzysz czasem — jest tam na ogrodzie
Dąbek mały, poziomy, ledwo widny oku,
Moją ręką sadzony przed półtora roku;
Jeśli dotąd niczyją nie wsparty pomocą
Nie zwiądł tułacz i wlecze dziecinność sierocą,
Idź, spójrzysz — on jest moim godłem i obrazem.

Styl Gosławskiego, jakieśmy rzekli wyżej, najwięcej ma barwy własnej. Opisanie morowego powietrza, opowiedane w części III. przez starca, mieści całą ponurość i grobowość klęski.

.....
Rzuć okiem po równinach, gdzie tam ten bór duma,
Tam ziemię grobowcami najeżyła dżuma.

.....
Chłopcem byłem już sporym, kiedy Bóg gniewliwy
Zesłał jej czarne widmo na podolskie niwy;

Wionęła tchem nieczystym, i ta ziemia cała
 Jednym wielkim cmentarzem w godzinie się stała.

 Zniszczenie, gdzie wzrok zajdzie, zniszczenie dokoła!
 Zaniechane siedziby, wymarłe siola,
 Trupy nie pogrzebione, a nagie chałupy
 Sterczą w pustej dziedzinie, jak grobowe słupy.

 Słońce tak dziś wesole, za strasznych dni owych
 Takim blaskiem patrzyło, jak łysk świec grobowych.

 Pies nigdzie nie zaszczeka, nie zapieją kury,
 A straszno! Jakby pogrzeb zbliżał się natury.

Ponurość ta wiersza jest mi ulubioną, Adolfie, i tem
 łatwiej bawić bym się z nią pragnęła, że przy tak małym
 upowszechnieniu Zimorowicza pieśni, nieznaną nawet poe-
 zji polskiej była. W opisanu napadu Tatarów, następują-
 cym po opisanu zarazy, taż sama ponura barwa.

.
 Raz, wiele już lat temu, obudzone wrzawą,
 Z poza Tolter Nihnińskich wstało słońce krwawo;
 I mienić się poczęło — to sinie, to zblednie,
 Wyroczne to, mój synu, były przepowiednie.

Poeta wypadki te, opisywane w części III., łączy
 opisem podolskiego wesela, któremu cała część II. jest
 oświęcona.

.
 Raz w niedzielę z południa, trzy dziewczęta młode
 Zbiegły na dół z dzbankami do rzeki po wodę,
 Była to piękna Zosia w tej weselnej szacie,
 W tym samym ślubnym wieńcu, jak ją pamiętacie.

Przy niej był jej nowo-poślubiony kochanek i za uj-
 zeniem Tatarów puścił się w pogoń z drugimi.

Zniknął — a ona biedna wydarła pociesze,
 Sama jedna została jak jaskółka w strzesze,
 Dwa dni jak najszczęśliwsza stała u ołtarza,
 A teraz bez pamięci po ziemi się tarza.

.....
 Ach, postój, postój chwilkę; poczekaj, kozaczek!
 Pomyśl, jak mię porzucasz — ja biedna płaczę.

W części IV., którą poeta pożegnaniem Podola nazwał, najwięcej podobno przykładów wzniosłej poezji widzimy; kreśli on te natchnienia, które w nim pieśń utworzyły, owe liczne wrażenia, co duszę mu ukształciły; owo wzniesienie się duszy do krain nieziemskich, wyższych; jej zaślubiny z Stwórcą, jej powrót na ziemię, jej rozpacz, jej znalezienia. Zajmującym jest dla nas owo ukraińskiego poety wspomnienie, którym (w mniej czasem poprawnym, jak zwykle, wierszu) objawia nam żywoły, z których powstała ta jego pieśni budowa, pół-dzika i pół-miłosna, pół-żywa i pół-ponura.

.....
 jutrzienka różana,
 Słodki uśmiech nadziei — zmartwychwstanie rana:
 Jasne oko dziewicze, zgodne ptasząt głoski,
 Lgnęły na młode serce, jak na miękkie woski.

Lecz grom przebiegł po niebie! I natchnienia silne,
 Noc, powódź, śpiew grobowy, jęki podmogilne.
 Łamany łoskot burzy, co po jarach ryczał,
 Nowych wpływów wstrząśnieniem dawne wydziedziczał.

I znowu naprzemiany, i znowu przez stopnie,
 Łagodnie, bogobojnie, ponuro, okropnie,
 Jaki oddech je żywił, jaką pchnięte siłą,
 Takim samem uczuciem przez chwilę się biło.

Aż z tych co przytające, co się już przytarły,
 Co umilkły w pamięci, i co zaumarły,
 Powstało dzikie chaos...

JÓZEF BOHDAN ZALESKI. Józef Bohdan Zaleski był pierwszy z nowych poetów, który świat ukraiński do poezji polskiej wprowadził. Czajki, porohy, ostrowy, stopy, Kozaki, Lachy, ukraińskie rzeki, miasteczka, po raz pierwszy ukazały się oku w jego balladach i pieśniach, i no-

wej szkoły dla poezji polskiej zapowiedziały nastanie. Zaleski lubo nieraz krwawe obrazy kreśli, lubo sam w jednej z swych pieśni:

Ukraińska nuto dzika!

wykrzykuje, nie ma jednakże owej w swych śpiewach dzikości, którą się odznaczyli następcy (a w naszym obrazie poprzednicy) jego; w dumkach swych, balladach i pieśniach, więcej jest czuły i tkliwy; w stylu strojny, miarowy i zawsze poprawny¹. Zaleski wdziękiem poezji daleko swych towarzyszy prześcignął. Zaleski jest słowikiem ukraińskiej szkoły. W historycznych poezjach jego widzimy atamanów, Kozaków, jak bieżą na wyprawy, lecą pod Carogród. W pieśniach tkliwy, ponury, jest nieraz naśladowcą, tłumaczem znajomych dumek ukraińskiego ludu. Ale najślawniejszą z dłuższych poematów jego, najpełniejszą poezji, strojności, jest bez wątpienia fantazyja jego *Rusalki*.

Sama treść tej fantazyi krótka jest i prosta. Cisław, niesilny kochanek czarodziejki Zoryny, czujący jarzmo jej władzy, ale słuchający rozkazów, uczuł nareszcie dumę obudzoną w sobie, uzbroił się w siłę męską, poszedł do blizkiej jaskini, mieszkania strasznych Rusalek, i przykleknąwszy opowiedział wszystko, oskarżył swoją kochankę. Wydawszy skargę wrócił, znów ujrzał Zorynę swoją, musiał znowu na chwilę jej narowowi uleść, przestąpił go jednak ukradkiem, poił się jej widokiem, patrzył na jej zabawy i mimo jej zakazu chciał się już rzucić do niej, gdy

¹ Maurycy Mochnacki, z właściwą sobie nieraz uboczną trafnością zdania, mówi: »Pod względem zewnętrznego nawet kolorytu i mechanizmu, co tylko pisze Bohdan Zaleski, zdaje się być naksztalt ochotnego ognia w nocnej dobie, kiedy strumień promienisty nagle, prędko, wysoko strzeliwszy w górę, na tysiączne się rozsypie, rozwieje i bryźnie gwiazdy, wieńce, krzyżyki, zygzaki, wstęgi i smugi świetne« — tak jest istotnie co do poezji wewnętrznej, co do drobnionej świetnej poetycznej myśli, ale nie co do rytmu i mechanizmu.

wtem, o skargo przekłeta! ujrzał te bezlitosne boginie, te niewyrozumiałe Rusałki; przybiegły, otoczyły i porwały Zorynę z sobą. Sprawca nieszczęścia kochanki poleciał, padł na kolana, odwoływał skargę i wreszcie otrzymał nazad Zorynę; lecz owa raz okazała nieczułość i duma nie były bez upragnionego skutku; wróciły mu one władzę, którą był utracił, i nieczuła, sroga kochanka, w jego objęcia upadła. Sam zatem pomysł fantazyi lubo mniej powszedni, krótki jest i jasny, ale szczególne obrazy, ale styl i poezya do wysokiego miejsca krótkie to poema podnoszą. Obraz czarodziejki Zoryny, jej potęgi i władzy, droga do tajemnej jaskini, pełne lekkości i złośliwego uśmiechu zakazane ściganie kochanki, opis niespodzianego ukazywania się bogiń, ich płynienie w łodzi, ich cudowne przemiany, i nareszcie zniknięcie i powrót Zoryny, wszystko pełne poezyi i niezwykłego wdzięku. Gdy o miłości mówimy, powinniśmy pamiętać na szkołę. Cisław (kreślący te dzieje) czuł więcej ciężar aniżeli anielską rozkosz niewinnego miłości uczucia; chcąc okazać swą siłę i dumy męskiej przewagę, blizkim był straty kochanki, ale ją wkrótce odzyskał, i odzyskał na to, aby przedstawić poetyczny obraz zupełnego zwycięstwa.

Gdy od Rusałek porwaną ścigał i zaledwie łzami wyjednał jej powrót, spojrzął, ale obłok lejących liści, kwiatów i roju skrzydlatych motyli zasłonił ją przed jego okiem; znikła, on padł w rozpacz i nie wrócił do siebie, aż ją przy sobie ujrzał.

Nikła, znikła. Kładłem w dłonie,
I upadłem jak bez życia...
Aż uczułem serca bicia...
Mej Zoryny przy mem łonie!

I w ocknieniu słodkiem, blizkiem,
Do mych piersi drżącą tulę,
Do mych piersi mocno, czule;
Uścisk płaci mi uściskiem.

I motyle już wleciały,
I wiatr listki róż rozdmuchnął,
Chór słowików głuchnął, głuchnął,
I hymn skonał oniemiały.

I ocean dnia niezwykły,
Błado, żółto, jak w zaćmieniu,
Gasił promień po promieniu,
Aż zamierzchły i ponikły.

Ale światło szczęścia wieszczę
Od Zoryny biło oczu;
W czarnoksiężskim jej przezroczu,
Cud miłości jaśniał jeszcze!

Jedną z najpiękniejszych części fantazyi jest *Epilog* jej do przyjaciół; w niej wspomniawszy poeta tę czarodziejską chwilę miłości, miłości właściwej swej szkole¹, i drugą chwilę nadziei i sławy, które spotykają nas nieraz, dodaje: że całym szczęściem człowieka jest kilka chwil owych cudownych, kilka pamiątek z lat młodych. Porusza tu mianowicie obraz owego zawodu, który tak zwykłym bywa końcem wysokich młodzieńczych nadziei. Cisław opowiada, jak jeszcze wpółzakochany uczuł był wyższy popęd, wyrwał się z miłych objęć i biegł na świat śród ludzi, przysięgając, że pojąć go muszą.

.
A Zoryny smutnie oczy
Nad mem dumnem tkwiły czołem;
Uściśniony uściśnąłem²
I słyszałem głos proroczy:

¹ Świąć się, chwilo! Gdy wcielona
Fantastycznych krain córa,
Czarodziejka lekko-pióra,
Sama zbiegła w me ramiona.

² Ten wypadek w dziejach miłości, domyśleniu się którego poeci litewscy całe poemata poświęcają, poeta południowy opowiada z góry i jasno.

»Idziesz na świat, Bóg wie po co!
Czego pragniesz, nie pozyskasz,
Tę utracisz, co dziś ściskasz,
Smutki młodość zakłopocą«.

.
Lecz zaciekły, niewstrzymany,
Pożegnałem brzeg dniewowy,
I porohy, i ostrowy,
Pieśni moich kraj kochany!

Achl... burzliwy i namiętny,
Przed kochanki przepowiednią!
Gdybym dziś tak stanął przed nią
Zimny, smutny, obojętny.

Zawołałaby boleśnie,
Odwracając wzrok anioła,
Od zwiędłego w smutkach czoła,
Tak ponuro, tak zawczasie!

»Gdzież są świetne twoje mary?
Cele twoje? Tegoż wieńca
Łzy pragnęły zapaleńca,
Łzy, płomienie i ofiary?«

Bo zdradzieckoż, cud po cudzie,
W pół wędrówki mię odbiegły,
I świat piękny, świat rozległy,
W sennej rozwiął się uludzie.

W proch budowa padła śmiała,
O miłości serce nie śni,
A Zoryny, czarów, pieśni,
Pamięć tylko mi została.

Szkoła ukraińska nie ma jeszcze swojego dramatu, ma jednak zaczęta wielką epopeję: *Zdobycie Kijowa*. Autor jej, TYMON ZABOROWSKI, ogłosił tylko wyjątki; śmierć przeszkodziła mu kończyć; miłość występna, zbrodnie, czary i piekło są dotąd wiadomą nam treścią; zaniedbanie się i w innych miejscach gwałtowne i prawdziwie poety-

czne uniesienie, ponurość, dzikość, jak całej szkoły, tak i poematu tego stanowią charakter.

Na Zaborowskim kończę, mój drogi, rys ukraińskiej szkoły, bo nie wspominam o licznych naśladowcach młodych, może rosnących talentach, których prace do obu szkół skreślonych ci przeze mnie należące, czytamy w Noworocznikach i innych pismach czasowych.

SZKOŁA PUŁAWSKA.

Szkoła puławska jest już ukończona. Wszyscy prawie jej twórcy już od lat wielu nie żyją. Wyjąwszy dziecinne prawie przywiązanie do kraju, które wszystkie jej płody cechuje, nie narodową jest ona; określając ściśle, jest ona raczej szkołą towarzystwa pełnego poloru, które każdemu krajowi równie właściwym być może. Początkiem jej nastania jest koniec przeszłego wieku. Poeci, którzy wychowaniem lub ciągłym pobytem do puławskiego ks. Czartoryskich należeli dworu, w utworach swoich przejęci są jednym duchem i jednym odznaczyli się stylem. Tkliwość i rzewność, polor i strojność, wdzięki natury, towarzyskie życie, są to cechy, żywioły ich pieśni. Styl pieśni tych miękki i strojny, czasem rozwlekły, mało poetyczny, francuskim smakiem nawet najpospoliciej tchnący. Język najczystszy i poloru pełny, mianowicie w rozmowach dramatycznych osób (jak w dramatycznych *Kniaźnina* i *Zablockiego*, zwłaszcza rymowych, sztukach). Poeci tej szkoły są: *Szymanowski*, *Niemcewicz*, *Kniaźnin*, *Karpiński*, *Zablocki*, *Woronicz*, *Tomaszewski*, *Tański* i t. d.

Wszystkie prawie poezye, duchem tej szkoły tchnące, należą, iak to już rzekłam, do zakończenia przeszłego i początku bieżącego wieku; nie będę więc szczegółowie określać ich i przytaczać, umie je śpiewać kraj cały; śpiewa, powtarza i ceni; tyś sam, mój drogi Adolffie, ilużeś tkliwych pieśni i czułych sielanek nie wspominał mi, nie wykladał. Nie powtarzając jednak tego, co wszystkim już

znane, nie mogę nie zwrócić uwagi na niektóre szczególne uczucia, które duch poetów szkoły tej odznaczają, a których nie spotykamy w innych; takimi zaś są mianowicie: przywiązanie do dzieci rodziców i do rodziców dzieci, uczucia tkliwe i uczucia rzewne, sycenie się samą czułością i przyrodzenia wdziękami. A błogość podobnych uczuć nie opuszcza ich nawet w smutku, w dotkliwych żywota cierpieniach.

Schronię się sobie w tę jaskinię ciemną,
Z smutnem po znikłej nadziei westchnieniem,
Ty tylko jedna masz prawo wnijść ze mną,
Tkliwa przyjaźni z twojem rozrzewnieniem.

Szymanowski.

Miłość, opiewana przez poetów puławskich, nie ma poetycznego zapału, umysłowości, miłość ich naturalna jest, tkliwa, nieraz więcej zalotna, niżeli istotna.

Prawda, że czasem z nią się bawiło,
Mając znajomość od długa;
Ale kochania nigdy nie było,
Nie już ten kocha, co mruga.

W tym wierszu trafnie opisał Karpiński pospolitą szkołę swej miłości. Język, którym swe narzekania do Justyny tenże poeta głosił, zawiele ma pospolitych tkliwości i toków. Przeciwnie, przywiązania dziecinne i przywiązania rodziców, jako mniej ideału mieszczące, z całą, właściwą sobie czułością, kreślą poeci puławscy.

Mile koszary i prostą zagrodę
Porzucił pasterz, do matki się spieszy,
Któż za swe trudy ma słodsza nagrodę,
My jej śpiewamy, a ona się cieszy.

Sielanka Dzieci u Matki.

Rzewność Karpińskiego pospolicie i bez zaprzeczenia jest wyżej od tkliwości Książnina stawianą, jednakże, może to uprzedzenie, może to narów, który mi każe i pragnie wszystko inaczej widzieć, niż widzi europejskie oko, zdaje

mi się, mój drogi, iż nic nie może wyrównać rzewności stylu Książka, mianowicie w sielankach jego i innych dramatycznych sztukach. Wczytywałam się nieraz w wiersz jego i dosyć pojąć nie mogłam, jaką ma tajemnicę w tkliwej jego budowie. Weźmy dla krótkiego przykładu z opery naprzykład *Cyganie* te pierwsze słowa, któremi, wychodząc Jawnuta, nędzę swej chaty kreśli.

Biedna starości, o żalosne lata!
W smutnej nam doli upływa wiek cały,
Dwoje nas tylko i ta z nami chata.
Już też i nieba o nas zapomniały.

Ledwo wiatr jaki koło okna wionie,
I ten nie słyszy, że się człowiek biedzi;
W chorobie twojej, mój miły Szymonie,
Ani nas blizcy odwiedzą sąsiedzi.

W tejże operze spotykamy się nieraz i z rzewną mową matki:

Bywajże zdrowa tam sobie,
Jam ci już widzę niemila,
Żal mi zostanie po tobie:
Chicha mnie moja rzuciła.

Chicha.

Ach kochana matko moja,
Mogłażem ciebie zasmucić!
Ta dusza moja jest twoja,
Jażbym cię miała porzucić?

Jak tkliwie skreślone mamy dobroczynności uczucie, kiedy Cyganka, przemógłszy przywiązanie własne i wracając uwiedzione rodzicom dzieci, na ich uszczęśliwienie patrzy.

Może tego wy nie wiecie,
Co to jest rozkosz prawdziwa,
Żyłam długo ja na świecie,
A dopiero dziś szczęśliwa.

FRANCISZEK Książka w wielu poezjach swoich strojnością wiersza, wypracowaniem jego i delikatnym

smakiem celuje nie tylko poetów swej szkoły, ale poetów szkół wszystkich, może nawet i Felińskiego. Wielki talent Książna zbyt jest mało poznany, ceniony; sądzę, iż sławie jego szkodzą te liczne mierne (podobno młodości jego) poezye, które z najwyborniejszemi się plotą. Książnin jest strojnym śpiewakiem towarzystwa i ogrodu Puław; każde prawie poema, każdy wiersz, każde jego słowo, tem miejscem natchnienia oddycha. Widzi w niem wszystkie piękności, wszystkie żywioły swych pieśni.

Puławy, piękne Puławy!
Kwitnie tam wszystko i śpiewa;
Do milej służą zabawy
Woda, ptaki, kwiaty, drzewa.

Lube tam oczy mieszkają,
Otwarte gościom są wrota:
Ludzie tam ludzi kochają,
Nauka słyńie i cnota.

Z całą delikatnością smaku wypracowane poema *Balona*, wprowadzające w działanie całą młodą rodzinę ks. Czartoryskich w Puławach, zgromadzającą radę po przeczytaniu w gazetach wynalazku Montgolfiera i budującą balon, pełne jest mile poetycznych i zajmujących obrazów, opisów i ustępów. W dramatach greckich Książna (*Matka Spartanka*, *Temistokles*, *Hektor*) obok strojności wiersza, jaśnieje cała piękność i surowość cnót greckich; nie ma podobno on daru kreślenia gwałtownych popędów, jak to np. w Achillesie gniewu, ale jest jedynym strony rzewnej każdego malarzem. W sielankach dramatycznych Książnin rzadko jest narodowym, nawet wiejskim, przebija się w nich owszem tok i polor ukształconego towarzystwa; w obrazach jednak swoich jest pełnym naturalności i milej prostoty, w stylu tkliwości i wdzięku. Mianowicie pięcioaktowa: *Troiste Wesele* sielanka, jest nieporównanym tu wzorem. Ta miłość naturalna i otwarta trzech dziewic, ich niespokojne oczekiwanie kochanków, ich krótkie na nich gniewy

i krótkie zemsty, język tkliwości pełny, do serca się przedzierają.

Tekluniu! Oto raz trzeci
Próżno się zwodzi me oko,
Kiedyż nasz Kostuś przyleci,
Słońce już dosyć wysoko.

Oto truskawki i wiśnie,
Aż je polykam oczyma;
Czekam na niego umyślnie,
Gdzie się on tak długo trzyma.

Kostuś nareszcie przyszedł, Zosia, by go ukarać, schowała się za drzewem, ale się wkrótce znaleźli.

Oddawszy sobie wet zawet
Jedno się z drugim uściśnie,
Nie było wymówki nawet,
Zjedli truskawki i wiśnie.

Jak miłe i naturalne owo wspomnienie matki, która łając swe córki za ich roztargnienia w miłości, po ich odejściu wyznaje sama, iż czyni to tylko jakby z porządku i młodość własną wspomina.

Gdym Grzelowi serce dała,
Tam zabawa, gdzie nas dwoje.
Matka czasem połajała:
Ona swoje, a ja swoje.
.....
.....
Raz w leszczyniem z nim igrała,
Nie zapomnę tej uciechy,
Gdybyś, matko, to wiedziała,
Byłoby mnie za orzechy.

I w ogólności, jak to już wspominałam, poeci puławscy samą prawie zalotność, wesołość i rozkosz widzą w miłości.

Turkaweczki, paro dzika
Czego wy się tak lękacie?
Co za szczęście was spotyka,
Jeszcze tego wy nie znacie.

W tejże sielance.

Dlatego też ulubionym poetą Książnina był *Anakreon*: w przekładzie Anakreontyków jest za poważny, podoba się jednak więcej tam, gdzie go samego na scenę wprowadza; mowa starca miłosna, ale przez pół poważna, strojna, ale pół-uroczysta.

Anakreon.

Królu rodyjskiej sztuki!

Rodyos.

Dobry dzień wam przynoszę.

Anakreon.

Fraszka wszystkie nauki,
Małuj mi, małuj, proszę.

.

Rodyos.

A ja tych, co kochają,
Natychniaś poznać muszę,
W oczach oni coś mają,
Co wydaje ich duszę.

Anakreon.

.

Pierwsze wziętem początki
Od ćwiczonych Atenek:
Tu matron dwa dziesiątki
I piętnaście panienek.

.

Idźmyż z grodu do grodu:
Jonek i Lezbianek,
I z Karyi i z Rodu,
Dwa tysiące kochanek;
Cóż na to myślisz sobie?

.

Dziewczyna z figurką kupidyńka.

I noszę go i noszę:
Radabym komu sprzedać.
Oddam go za trzy grosze:
Byle mi kto chciał je dać

A nuż może w tym domu
Pozbęde go się komu.

.....

Anakreon.

Co za szczęśna godzina!
W domu moim dziewczyna.

Zadziwiający jest tylostronny JULIANA NIEMCEWICZA talent. Poeta dramatyczny, historyk, polityk, autor romanśów i powieści, bajkopis i elegijny poeta, wszędzie (mówimy tu o poezji jego) odznacza się tkliwością, rzewnością i słodkością, lubo często niepoprawnego stylu. W poezji Niemcewicza nie widzimy śmiałych poetycznych obrazów, silnej imaginacji; nieraz nawet zbyt w wierszu rozwlekły jest, zaniedbany; w samych zaś tylko wesołych dramatycznych sztukach (mianowicie w *Powrocie Posła*), prawdziwie wyborny, wzorowy. Śpiewy historyczne w połączeniu z muzyką, odpowiadają zupełnie zamiarowi swemu; nieporównana tkliwość i czułość w każdej strofie, w każdym słowie wiersza rozlana. Wszystkie poezye pisane dla śpiewu, nie powinnyby mieć innego stylu poetycznego zalet.

Mało poetów odznacza się tą śmiałością poetycznych obrazów i gwałtownością stylu, jaką okazał arcybiskup WORONICZ w poemacie *Sybilla Puławska*. Woronicz miejscem tylko należy do szkoły Puławskiej. Poema jego *Sybilla*, w której historycznie przebiega opis pamiątek w świątyni puławskiej złożonych, więcej oddycha dumą i rycerstwem, niżeli prostotą, czułością. Szkoda, że poprawną budową nie dał mu wykończonej odzieży. Są, którzy utrzymują, iż dosyć jest, aby część wewnętrzna poezji nie była bez zalet, o powierzchowność jej mniejsza; mnie się jednak nie zdaje. Wiersz i jego budowa jest sztuką, pięknnością, swe oddzielne przymioty, oddzielne swe prawa mającą; może zatem poeta całkiem go odrzucić, nie użyć, jeśli wypracowywać nie pragnie, ale skoro go użył, niech przy-

krem szaty wrażeniem nie miesza wrażenia myśli; piękna kobieta i w prostej zapewne odzieży podobać się oku może, ale gdy strojną pragnie wdziawać szatę, niechaj pomni, że plamy, dziwny krój, lub rozdarcia, jeśli im zapobiedz nie umie, więcej zapewne jej straty niżeli wdzięku dodadzą. Wiersz Woronicza tę główną i ciągłą ma prawie wadę, że składane w nim rymy zbyt łatwe są i jednej natury, pospolicie tę samą osobę lub tenże przypadek oznaczające; gdzie wada ta zniknie przypadkiem, tam widzimy całą moc i potęgę wiersza Woronicza.

.....
 Podle nich u podnóżka panującej skały
 Żywy strumień przetapia czyste swe kryształy,

Gniewny za gwałt przyrodnim prawom swym zadany,
Ciska pod samo niebo niezblagane piany.

Równie silnych wyrażen, mianowicie w licznych porównaniach, gwałtownych, może za rozwlekłych, napotyamy mnóstwo w poemacie *Sybilla*; np. w tem porównaniu ucieczki Tatarów do napaści wód oceanu na łódź żeglarską i ucieczki od niej.

.....
 Lecz jako gdy ocean na łódź rozgniewany,
 Poruszywszy z bezdennych głębiów swe bałwany,
 Rozumie, że ją swemi górami zagniecie,
A ona mu panuje na wyniosłym grzbiecie.
 Tak ta powódź tysięcznych hord nieprzeliczona,
 Złamawszy kark, klęskami wielu przeredzona,
 Pierzcha w trwożnym popłochu na Scytyjskie pola.

Wiersz na pokoje królewskie 1796 z podpisem J. W. (z którego wyjątki przytacza Bentkowski w »Historji Literatury«), zdradza swą dumą i pychę tęż samą Woronicza rękę, poprawniejszą tylko w budowie. Tak np. w opisie obrazu Sobieskiego.

.....
 Koń pod nim wiatronogi, rumowny, bułany,
 (Fraszka twój, Aleksandrze, bucefał przesławny),
 Parska ogniem, rze Marsem, pyskiem warzy piany,
 W piekło wskoczyć i Turka za łeb schwycić sprawny.
 Miecze wzrok, równych sobie szukając herczarów,
 Bo zna, że niesie zbawcę świata i cesarzów.

I dalej:

.....
 Wy dokończcie węgierskie puszcze i parowy,
 Wieleście tam pogrzebły śmiercią nieociekłych,
 Koni zbiegłych bez jeźdźców i jeźdźców bez głowy,
 Wielu pieszych? Taborów? Rynsztunków posiekłych?
 Bo pewnie ci w popłochu liczyć nie pośpieli,
 Co się w Carskim dopiero Grodzie obejrzeli.

Wiersz Woronicza, raz powtarzamy to jeszcze, nie jest to wiersz szkoły puławskiej; i gdybyśmy przez uwagę na styl sam oddzielali szkoły, tok jego wspaniały i dumny należałoby odnieść do tej, w którejby Kasper Miaskowski, Samuel Twardowski i Naruszewicz stali.

SZKOŁA KRAKOWSKA.

Najuboższą ze szkół wymienionych jest ta zapewne, o której mam mówić, krakowska; ale jej styl i charakter tak są oddzielne, wybitne, jej żywość, zasady, tak silne i tak obfite, że musiałam koniecznie nazwać ją szkołą oddzielną, a razem dziwić się tylko, iż nie było dotąd poety, któryby był wyłącznym twórcą jej i wyznawcą. Radość, wesele, żywość, ruch muzyczny wyrazów, imaginacya malownicza, są odrębną cechą tej szkoły. Tak liczne i obfite śpiewy prostego ludu, romantyczne okolic krakowskich widoki, władza tej ziemi, dawność, nader bogatej szkoły być przepowiednią muszą.

Komuż nie są wiadome te liczne wesołe śpiewy, tak przez usta samego ludu, jak przez ich naśladowców tworzone, a które pod imieniem *krakowiaków*, *mazurków* znamy?

Mamy już nawet, lubo nieliczne, tak jednych, jak drugich zbiory.

Nuta krakowiaków jest dwojaka; jedna jest zawsze dwu-wierszem, druga jest zbiorem licznych, zawsze jednak do pewnego, wiadomego uchu, ciągnionych kresu. Dwa wiersze, składające krakowiak, są pospolicie trocheicznej miary, po 6 trochejów w każdym, np.:

Cztery mile lasu jadę bez popasu,
Piąta mila pola, tam dziewczyna moja.

Albo:

Świecże mi, miesiącu, czyż to niema komu,
Wszak to ja z Marysią powracam do domu.

Nie wszystkie krakowiaki zalecają się równym układem myśli, nieraz bowiem i najpospoliciej, wiersz pierwszy zostaje bez żadnego z następującym związku, np.:

Świeci miesiąc około północy,
Ciebie przestać kochać nie jest w mojej mocy.

Nie zawsze też i nie wszystkie są równej w układzie miary, nieraz amfibrach lub inna trzyzgłoskowa miara zajmuje miejsce choreju, jak np.:

*Jechałem do Krakowa, zlamala się bryczka,
Kochałbym cię, panno, aleś chimeryczka.*

Albo:

*Szumi gaj, szumi gaj, szumi gałazeczka,
Nie widać, nie slychać, mego kochaneczka.*

Nieraz też lubi Krakowiak wiersz długi w śpiewie przedłużyć, ale wtedy nowym go rymem odbija, jak np.:

Ludzie się dziwiają, za co Mazur pije,
Przedał pałkę za gorzałkę, jeszcze ma dwa kije.

Albo:

Moja pani matko, chowajże mnie gładko,
Od niedzieli do niedzieli jak czerwone jabłko.

Na tę miarę i w tymże duchu tworzone są i dłuższe
akowiaki, jak np.:

Kochałam cię, chłopcze, kochać będę lepiej,
Tylko mi, chłopczyno, dużo wina nie pij;
Dużo wina nie pij, w karteczki nie grywaj,
Po miastach nie siadaj, kochanek nie miewaj;
Stoi szubieniczka między granicami,
Za niestałość chłopców, powiesić ich na niej.

.....

Najjaśniejszy królu, miłościwy panie,
Niech mi się ten chłopiec za męża dostanie;
Wysoko, daleko listek na dębinie,
Kto się w kim zakocha, ten tego nie minie.
Wysoko, daleko listek na jaworze,
Kiedy mię nie kochasz, skarż cię, wielki Boże.
Czarne oczy mamy, na się pogładamy,
Co komu do tego, że my się kochamy;
Oczy moje, oczy, gdzie wy pogładacie,
Tam, gdzie nigdzie żadnej nadziei nie macie.

.....

Za zielonym gajem, jeleń wodę pije.
Dla ciebie, Maryno, dla ciebie półtyję,
Oj szedłem przez bagno, oj szedłem przez błoto,
Milsza mi Maryna, niż srebro, niż złoto.

.....

Nie będę się żenił, bo teraz nie moda,
Będę się umizgał, gdzie dziewczyna młoda.
Powiedz mi, dziewczyno, czy będziesz ty moja,
Niechaj te koniki przed gankiem nie stoją.

.....

Dolina, dolina, przy dolinie górka,
Podobała mi się Maryny figurka.
Wszystkie ryby wyszły, jeden karaś został,
Proś Boga, dziewczyno, żebym ciebie dostał.

Krakowiaczek biedny zakochał się w jednej,
A ja dla rozrywki, kocham wszystkie dziewczki.

Drugi rodzaj krakowiaków jest to wiersz krótszy i żywszy, który śpiewający Krakowiak mnoży prawie bez końca sypaniem rymu po rymie; nuta jego powszechnie jest znaną; tak np. w tej strofie, w której opisuje swój ubiór:

Karazyja wyszywana,
Cecioć jakoś haftowana
Pętliczkami, sznureczkami,
Kóleczkami, hafteczkami,
Złocistemi kłapeczkami,
Dokolusioneczka, (*wokoło*)
Moja kochaneczka.

Te jednak strofy krakowskich śpiewów nie wszystkie są równie poprawne. Wieśniak krakowski, który przez ciąg ostatnich lat kilkunastu niepospolite wypadki i dalekie podróże przeżył, lubi do swoich śpiewów mieszać historyczne albo geograficzne wspomnienia, w których pospolicie nie jest ani poprawnym geografem, ani doskonałym w układzie myśli logikiem, idzie mu tylko o rymy i o myśl główną. Jak np.:

Oni mają Jamsterdamy,
Roterdamy,
Wiednie, Budy,
Brandebudy,
I inne podobne cudy;
My jedną Warszawę,
I nasz śliczny Kraków,
Śliczne Krakowianki,
Ślicznych Krakowiaków.

Nuta wesołych mazurków także powszechnie jest znana; rozmaitsza jest jednak i w tysiące przerabiana odcieni. Mnóstwo już mamy śpiewów na tę nutę na wzór ludu wiejskiego tworzonych, a które są codzienną i pełną wdzięku posępnej chwili rozrywką. *Bywaj Zosiu zdrowa;*

no piękna Róziu; Nasza Zosia słiczna; Nie będę też ro-
ś i t. d. Dla przykładu żywości i radości myśli i śpie-
 nego w podobnych kompozycjach słów toku, a razem
 a odkreślenia szkoły, wypiszę tu strof parę ze znanego
 powtarzanego codziennie tego rodzaju śpiewu.

Moja miła Anusieńko,
 Wstaniem jutro raniusieńko,
 Nabieramy kwiatków wiele,
 Zrobim wianki na wesele,
 Anuleczko, kochaneczko,
 Jutro będziesz mą żoneczką.

Hej Mazury i Krakusy
 Będziem hulać z całej dusy,
 Mamy słiczne tu dziewczeczki,
 I węgryzna cztery beczki,
 Anuleczko, kochaneczko,
 Jutro będziesz mą żoneczką.

A gdy mama nas zawoła,
 Pójdziem razem do kościoła,
 Przed ołtarzem uklękniemy,
 Wierność sobie przysiężemy,
 Anuleczko, kochaneczko,
 Jutro będziesz mą żoneczką.

Wy chłopaki i dziewczęta
 Pobierzcie się za rączęta,
 A ja wezmę mą duszeczkę,
 I zaśpiewam tę piosneczkę:
 Anuleczko, kochaneczko,
 Już ty jesteś mą żoneczką.

Mało, jakeśmy rzekli, jest poetów polskich, którymby
 ich ten i styl były właściwe, oddychają nim jednak nie-
 które dawne Jana Kochanowskiego poezye i Szymona Szy-
 onowicza sielanki (*Panny, Żeńce* i t. p.). W ostatnich zaś
 czasach zyskała szkoła krakowska obszerniejsze poemata
 nawet swój dramat. Ze sztuk dramatycznych, narodowym
 krakowskim odznaczających się duchem, pierwsze zapewne

miejsce trzymają *Krakowiacy i Górale*, I. część przez Bogusławskiego, część II. przez Kamińskiego. Wprowadzenie na scenę Krakowiaków nader było szczęśliwe i oryginalne; mają oni albowiem sobie tylko właściwe słowa i wyrażenia; kłótnia, jaką pospolicie z gór (Karpatów) mieszkańcami wiodą, równie trafnie była użytą za intrygę sztuki.

Górale (w sztuce Kamińskiego) przybywszy w poselstwie na dolinę po Krakowiankę Basię i mając ją sobie odmówioną, znieść nie mogą obrazy swej wyższości i umawiają się ją porwać.

Bryndus.

Byłebym, sami mówcie, wart choć *torbę siecki*,
Gdybym *do dom* powrócił bez mojej *Basiecki*?
Cyzbym się mógł *bez sromu patrzeć takse na to*,
Jakby mię tam dla śmiechu witano *zonato*?
Mająz się Krakowiacy śmiać głośno z Górali,
Ze jak z nicem przybyli, tak tez odjechali?

Wszyscy (wykrzykując gwałtownie).

Co! Z nas śmiać się?

Świstos.

Kto taki, te zajęce duse?

Kwicołap.

Których dziesięciu zginie, kiedy palcem ruszę!

Świstos.

Śmiać się z nas, cośma strasne zamieskali góry?

Kwicołap.

Co nam się pod nogami rozbijają chmury?

Morgal.

Co nam tylko nie staje jesce odrobinę,
A mozemy do nieba przystawić drabinkę.

Świstos.

I z nas to śmiać się mają te polne robaki?
Nie, nie dadzą *podkówkom* brać górę *chodaki*.

Bryndus.

Gdyby nam się choć bydło ich było zostało...

Kwicołap.

Bylibyśma wrócili przecie z jakąś chwałą.

Bryndus.

Ach pięknez to bydelko!

Morgal.

Tłuste, jak oblane!

Świstos.

Ja za niem póki zycia wzdychać nie przestanę!

Kwicołap.

Co za wspaniałe krowy, każda *kieby* łania.

Morgal (z serdecznem westchnieniem).

A co za śliczne świnki, do pocałowania!

W kilkoczęściowej powieści Kazimierza Brodzińskiego, *Wiesław*, od początku do końca duch i tok wiersza jest narodowy, krakowski. W ciągu jej widzimy, jak nawet rzewnym i wyższym uczuciom wszędzie wesoła imaginacja i żywość obrazów towarzyszy. Matka powiada, że się spodziewa, iż Halina nigdy jej nie opuści, córka pada jej do nóg i powiada, że tak jest.

.....
 Na to Halinie ła z oczu wytryska,
 Klęka przed matką i kolana ściska:
 »O miła matko! Tyś jest moje wiano!
 Choćby mi góry złociste dawano,
 Choćbym mieszkała w malowanym dworze,
 Jedwabne szaty chowała w komorze,
 Tobym bez ciebie przeplakała życie«.

Okolice Krakowa Fr. Wężyka smakiem poezji francuskiej oddychają.

Otóż, mój drogi, mój miły Adolffie, ogólny obraz dzisiejszej poezyi polskiej, jak mi się on przedstawił; bijąca różnaitość przedmiotów jej, stylu i ducha, skutek rozległej ziemi, szczęśliwych darów języka, zmusił mię do podziału obrazu tego na szkoły. Wiem o tem, że w taki sposób nie objęła wcale całej poezyi waszej i nawet znakomitszych poetów. Wyjąwszy bowiem poezyę komiczną i poezyę dawną, o których w osobnym liście mówić sobie zamierzam, bom się dotąd rozpatrzyć dosyć w nich nie mogła, iluż to jeszcze zadziwiających poetów ominąć musiałam dlatego, że ich nie mogła, dla małej liczby, wielkiej odmienności, albo ducha obcego ich tworców, do którejkolwiek ze szkół określonych odnieść; a takim jest *Naruszewicz*, który dotąd bez równiennika w potężnej liryków swych budowie; takim jest *Trembecki*, którego wiersz dumny we wszystkich rodzajach poezyi, do których rękę swą zwrócił, jemu tylko właściwym i wielkim błyszczący talentem, i który w budowie wiersza poematów opisowych i politycznych, najbliżej z nowożytnych przystąpił do zwięzłości i mocy sztucznych poetów rzymskich¹; takimi też są: *Feliński*, najpoprawniejszy i najśłodszy z poetów w długim, 13-zgłoskowym wierszu; *Dmochowski* bohaterskiego, *Osiński* traicznego wiersza polskiego twórcy; takimi są wreszcie: *Koźmian*, *Kropiński*, *Morawski*, *Rajmund Korsak*, *Molski*, *Godebski*², *Gorecki*,

¹ Ta na sztucznych przekładniach, szyku i niepospolitem znaczenia wyrazów użyciu oparta budowa, naśladowana jest wybornie w wierszu do Lelewela przez Mickiewicza i przez *Klimaszewskiego* w wierszu do Deputata. W poezyach Trembeckiego dziwimy się więcej stylowi, jak żywej imaginacyi, jest on bardziej wielkim sztukmistrzem, aniżeli wielkim poetą.

² *Godebski*, *Gorecki*, *Tymowski*, *Morawski* i t. p. mogą stanowić osobną rycerską szkołę, jak to już trafnie uważał rosyjski recenzent »Kanińskiego Zamku« (*Telegr. Moskiewski* z 1830 r.) Należą tu mianowicie: wiersz o *Legionach* Godebskiego, *Do Poetów* Morawskiego, *Dumanie żołnierza polskiego w Hiszpanii* Tymowskiego, *Legionista* Brodzińskiego i nieporównanej słodczy poezye Antoniego Goreckiego: *Śpiewy wojenne*, *Śpiewy historyczne*, *Pamiętce Przyjaciela*, *Duma o Grabowskim*, *Powrót do Kraju* itp. *Dmochowski*, *Osiński*, *Węzyk*, *Godebski*, *Koźmian*, stanowią także oddzielną

Reklewski, Wężyk, Okraszewski, Humnicki, Karol Sienkiewicz, Maksymilian Fredro, którzy, jakem to rzekła, lub sami tylko dla siebie wyłączną stanowią szkołę, albo w zbyt małej prac swoich ilości nie rozwinęli właściwego ducha.

Cały ten obraz poezji, który ci kreśliłam i który kreślić kończę, nie opierałam wprawdzie i nie oprę dalej na żadnym domyślnym wniosku; natchnienia piszącego są niewyliczone, jego powody, źródła, nader głęboko są skryte; te szkoły, które dzisiaj tak są odrębne, oddzielne, mogą się wiązać dalej¹, w nowe się przeobrażać barwy; ale nie mogą zamilczeć, aby się nie dziwić, dlaczego powody owe dla wielu stron kraju były dotąd tak skąpe, dlaczego główne ziemie: Kraków, Mazowsze, Poznań, z których każda oddzielną jaśniećby winna poezją, nie mają żadnego prawie narodowego poety? Dlaczego tak romantyczne i najprędzej z całej Polski okolic silnie mogące natchnąć niebotyczne Karpackie góry, przez całe cztery wieki, przez które śpiewają w Polsce, żadnego nie natchnęły śpiewaka? Mogę mieć zatem nadzieję, że to wszystko nastąpi kiedyś, a może i wkrótce². Mogę mieć także nadzieję, że szkoła ukraińska, nie tracąc ducha i stylu, stanie się staranniejszą w wierszu, dbalszą o smak i poprawność i że będziemy mieli ukraińskie drama i silne poemata nowe. Mogę mieć wreszcie nadzieję, bo i dlaczegóż nią się nie pocieszać, że

pod względem stylu szkołę. Styl ten ozdobny, rycerski, na wzór aleksandryjskiego francuskiego wiersza tworzony, silniejszy słów potęgą, szykiem ich i składnią; w wielkie poetyczne mało zamożny obrazy, najpospoliciej nawet wewnętrznej poezji próżny, owym wyrazów i ich form układem nieraz zachwycający.

¹ Syn słodkiego prozaisty, poeta paryski, *Słowacki*, stylem szkoły litewskiej przedmioty ukraińskie opowiadać się stara. Budowa wiersza w poematach jego wspaniała i harmonijna. Obrazy i myśli pospolicie poezji pełne. Ale tak w ich układzie, jak w układzie całości, brak pospolicie trafnej, uderzającej harmonii. W samym zaś stylu rozwlekłość lubo wystawna.

² Krążące tu częścią w druku, częścią w rękopiśmie, oryginalne *Matusza Sartyni utwory* zwiastują nam nadejście jednej z tych napię-

wszyscy wymienionych szkół polskich żyjący poeci, coraz ogromniejszego i wspanialszego gmachu budować nie przestaną.

Te robiąc przepowiednie poezji narodu twego i dziękując mu silnie za tyle słodkich i tyle wzniosłych godzin,

kniejszej dla poezji polskiej epok. Dawne królestwo Halickie (Galicya), jego zwyczaje, widoki, jego historyczne pomniki i romantyczne miejsca, są ich zajmującym przedmiotem. W historyczno swych poetycznych oryginalnych obrazach, autor uczonem okiem na piękności i na pamiątki patrzy; naprzemiany historyk, filozof, poeta, z uwag moralnych do historycznych przechodzi, od opisów do rozumowań błądzi; w opisach tych rozmaity, nowostronny, nagły, z obecności nas do przeszłości, z przeszłości do obecności rzuca; przeziera wioski, dawne miasta, zamki; spogląda nawet śmiało na karpackie góry, zapoznaje nas z ludem po ich wierzchołkach rozsiyanym, wdziera się do ich środka i świat nam nowy objawia. Z tego względu obraz pod nazwaniem *Opryszki* najwięcej ma dla nas zajęcia. Opryszki jest to miejscowe karpackich zbójców nazwisko. Autor w opowiadaniu wielu słów nowych, wielu nas uczy zwrotów; zawsze uczony, zawsze poetyczny, w porównaniach głęboki, niespodziany, nowy, w stylu ostry, nierówny, zwiezły i wnet rozwlekły, skądinąd pełny życia i pierwiastkowej siły. Dla krótkiego przykładu weźmy parę wyjątków. Oto początek *Opryszków*:

»Ten kąć Galicyi, co z Karpatami nad Polską wisi; ma wiele osobliwego. Siedmiu narodów zwyczaje tam się wlamują i tworzą moralnie kraj równie górzysty, jak całe Pokucie wzgórkowate. Drzeń tej góry moralnej twardy Rusin, bolejącą dumą narosłe garby do siebie wiąże. Lecz jak granit Karpat, co żyłami ropę solną przepuszcza i nie łącząc się z ziemią, co nad nim warstwami miedź, żelazo i bursztyn karmi; podobnie Rusin wcale się nie powinowaci z Węgrem, Włochem, Ormianem, Żydem, Niemcem ani Polakiem. Oddał im ziemię, którą niegdyś w świetniejszych czasach posiadał; lecz zachował wiarę w chrzest, strój i zwyczaje, wierny prawu, co mówi: wola ojców, Bożą wola, a Bóg wiarolomnych karze!

.....

»Zwyczajem swoim, podobnym sądom tajemnym średniego wieku w Szwabii, zamawiają sobie opryszki w grudniu 1814 odwiedziny u p. Śl., już nie pamiętam w której wsi. Podobne odwiedziny były przed miesiącem u X. Śl. Ale ten w towarzystwie synów, z których każdy wzrostem za dwóch opryszków stawał, a odwagą za dziesięciu, zbrojno się oparł, jednego zabił i nazajutrz pogrzebał. Teraz kolej na X. Śl. Ten słabszy

którę mi spędzić pozwolił, raz jeszcze rzucam okiem na ogół listu mojego i raz jeszcze zbieram ogólnie rozpiezchłe po nim obrazy.

Nieraz i często polityka razem z poezją zlaną; polityka w dramatach i szczególnych wierszach; siła, duma,

na ciele, a mocniejszy może na umyśle, kazał zabić barana; sera, wódki i chleba przysposobił, a gdy przyszli, knyszami częstował. Sława Bohu, odna wira, były ich słowa. Posiliwszy się, odbierają od X. Śl. przysięgę, że nie wyda ich siedlisk, i uwodzą go z sobą w góry, ażeby im dziecię ochrzcił. Wiara wiarna. X. Śl. opryszków nie wydał, a co się działo, opowiadał.

»Po świętym obrzędzie całował każdy wiarydawcę i dziecię, a potem chórem:

.....
 Bóg z tobą, nasz syneczku,
 Bóg z tobą, molodeczku,
 W niebie, wszędzie i na ziemi,
 Kto z Bogiem, Bóg jest z niemi.

Głos kobiety.

Bóg w potomstwie ojców karze,
 Taka jego wola,
 Tobie, matce, ojcu w górach
 Jakaż będzie dola?

Matka branka, mąż opryszek,
 Rodzice tułacze!
 Synu płaczu, synu pomsty,
 Bóg nad tobą płacze!

.....

»Wiele jeszcze opowiadał X. Śl. podróżnemu o gościnności, prostocie, śpiewach, rozmowach, biesiadzie opryszków, widać było, że się w nich zakochał. Ach, co to za lud, dodał, co za lud! Sławiański, pomyślał podróżny i spojrzawszy nań od wschodu do zachodu, od morza w górę, do morza na dole, i ujrzał go w czterech punktach czworakim dyalektem walczącym z opinią i unoszącym wierność i wiarę dwakroć z gór na płaszczyznę, dwakroć z płaszczyzn na góry, i jak tam się przelał w Kozaka i Uskoka, tu w opryszka i Czarnohorę. Nie ludźmy się Daszkiewiczem i Lanckorońskim; już Zaporozcy wtedy Karpatami werbowali, kiedy w drugim ognisku dalmacki Sławianin ze wstrętu ku muzuma-

wspañiałość wielu pojedynczych poetów; miłość, przyjaźń i słodycz, cechy szkoły litewskiej; dzikość, ponurość szkoły ukraińskiej; tkliwość i rzewność, niezmiennie wdzięki puławskiej; radość i żywość krakowskiej; a wszędzie kraj i chrześcijańska wiara: oto są główne rysy i ogólny charakter twarzy poezji polskiej.

nom i Włochom na Czarną Górę uchodził. Rozszczepiło się plemię jedno w dwóch punktach i westchnęło na Czarnej Górze językiem pełnym i nieskażonym starosławiańskim, a nad Dnieprem dyalektem małoskim, niemniej pełnym, ale giętszym, bo młodszym. Zalew Bośni, Serbii i Węgier muzulmanami, a dozór Polaków nad Ukrainą i Rusią Czerwoną, odgrodziły dwa punkta, w których sława Sławiana oddychała; ale nie zatarty w pośrednim pobratymcu pamięci zwyczajów i dzieł ziomek, ani przyrodzonej tęgi nie stępiły. Wyłamywał się różnymi sposobami z pod władzy panów, by zbawić wiarę, strój i zwyczaje i potrzebę serca ukoić. Szczęśliwy Bośniak z Serbem w Uskoku za Dunaj znalazł w Maksymilianie starym i późniejszych cesarzach opiekę i stanął z rozbójnika w Turcji obrońcą granic Austrii. Pokucianin ścieśniony Polakiem, który jego był panem, Węgrem, który go nie rozumiał, ani go użyć nie umiał, i Wołochem, gdzie Turczyn chrześcijanina nie cierpiał, sam w opryszkę swoim pozostał, i jak góra Karpatów najeżona, tak on tam odosobniony po wierzchołkach sterczał. Szczęściem dla dolińców nigdy masą nie napadał, bo go nie rozum, ale namiętność uzbudzała».

II.

KARISTA DO MEŻA.

O DAWNEJ POEZYZI POLSKIEJ.

Zadziwi cię to zapewne, mój drogi, że pisząc tak długo o dzisiejszych poetach waszych, dopiero teraz zaczynam o dawnych; że pisząc pierwiej o XIX w., przechodzę teraz aż do XV; że słowem na tem mam kończyć, od czegom zaczynać miała. Przyczyna tu jednak jasna. Księgi dawnych poetów zbyt mało u was powszechne; stąd trudność ich dostania i uprzedzenie o ich dobrej stronie. Przyznam się, mój Adolffie, że na swym stole nawet poezye Kochanowskiego mając, zaledwie je w kilka miesięcy raz pierwszy odważyłam się ruszyć przypadkową, znużoną ręką i pierwszą przewrócić kartę; zdawało mi się, że równie w starym pisarzu nic znaleźć nie będę mogła, chyba dzieciństwa i płaskość; sądziłam nawet, że go nie zrozumiem. Czas krótki zmienił me zdanie. W poezyach waszych dawnych znalazłam styl silny i nowy, silniejszy nawet, oryginalniejszy niżli poetów po-stanisławowskich. Owa oryginalność i nowość przywiązały były mnie mocno i czytowanie dawnych pisarzy waszych tak dawnej prozy, jakoteż poezyi, było czas długi mem ulubionem zajęciem. Teraz więc, drogi Adolffie, lubo zapewne niedostatecznie

jeszcze, ale już mogę jakkolwiek dokończyć to, co zaczęłam, dopełnić to, co przyrzekłam, i dawnej poezyi polskiej krótki mój obraz skreślić.

Jak dawno pisać lub śpiewać wiersze językiem polskim zaczęto, tego i dzisiaj nawet z pewnością wiedzieć nie można; polski lud wiejski, którego pieśni cechą, jakżeśmy to widzieli, jest żywość, wesele i radość, zdawał się zawsze więcej obecnością cieszyć, aniżeli w minionem ucieszenia szukać; i nie doszły nas żadne ludu polskiego pieśni, w którychby zbiegłe dzieje i dawne opiewał czyny. Że jednak przed wiekiem XVI, przed Kochanowskich wiekiem, musiano już wiele pisać albo śpiewać, więcej daleko, niżeli nas doszło, o tem przekonywają nas jasno wysoka uprawa języka w poezyach Kochanowskich błyszcząca, a także wyrazy spółczesnych. Ungler 1534.¹ mówi w przedmowie o języku polskim:

»I też w *pieśni tak wielmi kwitnie*, że się ze wszemi koronami też najchwalebniejszymi zarówna, nie śmiem rzec, przewyższa«.

Jan Kochanowski w *trenie II*:

Bodajżebych był raczej *kolebkę kołysał*,
I z *drugimi nieważne mamkom pieśni pisał*.

Marcin Gallus, Wincenty, syn Kadłubka, *Bogufal* świadczą, iż w wojnie Bolesława Krzywoustego z Henrykiem cesarzem (przy początku XII. w.) żołnierze polscy śpiewali tak obelżywe o Niemcach pieśni, że Henryk pod karą śmierci zabronił je powtarzać w swoim obozie. Bielski mówi, iż przy wjeździe Kazimierza (w połowie XI. w.) lud śpiewał: »A witajże, witaj, miły hospodynie«². Tenże wspomina o pieśniach ludu przy obrzędzie pamiętki topienia bożków i słowa przytacza. Długosz (przy początku XV. w.)

¹ Zatem przed wzrostem jeszcze Jana Kochanowskiego, który się urodził w r. 1530.

² Miara wiersza odpowiada dzisiejszym krakowiakom; nuta, jeśli nie ta sama, musiała być równie wesoła.

wspomina o pieśni o zgonie Ludgardy, za jego jeszcze śpiewanej czasów i że szczególnie zgonu tego na widowiskach teatralnych (*ludis*) były przedstawiane. Roku 1344 wspominane są *Jana Łodzia*, biskupa poznańskiego, różne wiersze kościelne w narodowym języku.

Najpierwsze też wiersze polskie, które się ukazały w druku, były liczne *kantyczki* (zbiory śpiewów katolickich) i *kancyonały* (śpiewy kalwinów). Stosownie do celu mego, nad ważniejszymi tylko myśl zatrzymywać płody, omijam te dawne pieśni; jak równie omijam *Reja*, jakkolwiek poezji ojca, i dawne, lubo zajmujące zabytki, jak wiersz o *Wilklesie* z XV. w., niedawno znaleziony w Getyndze, ciekawą legendę o *św. Krzysztofie* i t. p.¹, a idę prosto do tego, który pierwszy zajaśniał wielkim i poetycznym talentem i pierwszy dał poznać mieszkańcom kraju swojego, jakie to wdzięki i jakie to władze mieszczą poezya i język.

¹ Gdyby mi szło o starożytność i sławę poezji waszej, daleko nawet dawniejszych mogłabym sięgać czasów; mogłabym np. dowodzić, że śpiewak dworu Augusta, *Owidyusz Nazo*, pisał wiersze językiem polskim; że bowiem Owidyusz wygnany będąc przez Augusta za Morze Czarne, mieszkał w stronie późniejszej Polski, to może być pewnem; około Pińska jest góra zwana *Góra Owid*, a sąsiedni wieśniacy przechowują podanie, że na niej mieszkał cudzoziemiec przybyły z za morza i że miał na niej swój zamek, którego pozostałe ślady zowią się dziś *Dwór Owidowy*; na powierzchni tej góry znajdują się nieraz rzymskie pieniądze, medale; jeden z nich, żelazny, ma wyobrażenie dwóch głów uwieńczonych z napisem: *Ovidio et Terentio*. Już zaś Owidyusz w elegiach swych, pisanych na wygnaniu, wspominał, iż mówił i pisał językiem ludu, wśród którego mieszkał:

Heu, et getico scripsi sermone libellum!

W innym miejscu:

Hoc vos Sauromatae jam vos novere Getaeque,
Nam didici getice, sarmaticeque loqui.

Lecz chociażby istotnie pisał Owidyusz językiem, który był ojczystym polskiego, chociażby nawet pisał prosto językiem polskim, jakaż mi byłaby korzyść z tych wzmianek i tym podobnych, gdy mi to żadnych miłych, ni przykrych nie było wrażeń powodem? ..

Domyślisz się łatwo, Adolfie, że o Kochanowskim to mówię. Kochanowskich czterech było poetów, w jednym piszących czasie: *Jan, Piotr, Jędrzej i Mikołaj*; ja tylko mówię o Janie, oryginalnych i dłuższych poematów twórcy.

O ojcu tym pierwszej i dwustuletniej polskiej poetycznej szkoły zbyt mało dziś u was wiedzą. Wiedzą tylko, że pisał treny, bo o tem w gramatyce szkolnej była wzmianka; wiedzą także, że mieszkał w *Czarnym lesie*, bo jest niedawna dramatyczna sztuczka pod tytułem: *Jan Kochanowski w Czarnym lesie*; umieją nawet niektórzy parę wierszy: *Szlachetne zdrowie, Nikt się nie dowie* i t. d., a także *Już mdle bydło szuka cienia* i t. d., ale to jest już najwyższym stopniem erudycyi o Kochanowskim. Spółcześni i bliska potomność nie takie zdanie o Kochanowskim mieli. Ceniony był talent jego i uwielbiany powszechnie. Donosi nam Górnicki, że w pewnem towarzystwie mierne czytane wiersze zdały się powszechnie wyborne, a zdały się jedynie dlatego, iż lubo były obce, ale mówiono, iż Kochanowski ich twórcą. Jan Januszowski w przypisaniu do Myszkowskiego o Kochanowskim mówi: »Gdzie kiedy w Polsce śmiał się kto zetrzeć z onymi poety tak greckimi jako i z łacińskimi, co rymy swemi bogi z nieba zwabiali, jako ten? Gdzie kiedy który zrównał z nimi? Abo coby ze wszystkimi tak być miał jako ten? Było za czasów naszych poetów dosyć znacznych w Polsce, tak jest: ale przed się acz z tych każdy miał i ma swoją pochwałę, ten jednak wszystkich przeszedłszy swą godnością, i obcych dosięgł«. A opowiadał kanclerz Zamojski, jak w jego młodości na pewnym zjeździe w Sandomierskiej ziemi, gdy przyjaciele Jana Kochanowskiego, zostającego wtedy na naukach w Paryżu, ukazali gościom pieśń od niego przysłaną (której początek: *Czego chcesz od nas, Panie*), tedy sam Rej Mikołaj, który tam się znajdował, a »którego Polacy za swego Hezyoda, za swego Enniusza mieli«, powstał, i wysławiawszy dowcip Kochanowskiego, temi wierszami zakończył:

Temu w nauce dank przed sobą dawam,
I pieśń bogini słowieńskiej oddawam.

Poważny i uczony Paprocki, autor dzieł tytu w języku polskim i czeskim, tak o Kochanowskim (1578) wspomina:

. . . . Jan Kochanowski w Czarnym lesie,
Wsi ojczystej mieszkając, takim wierszem śpiewa,
Jakiego i Helikon podobno nie miewa,
A śnażyć mieli mówić po polsku bogowie,
Iścieby z Kochanowskim przestali na mowie.

Kasper też Miaskowski, mimo przyznawanej sobie nad Kochanowskim wyższości, w górnym swym stylu mówi:

A woskiem skrzydła ten przylepi, który
Chce byстрыm piórem donieść jego góry.

Jan Kochanowski był to prawdziwie zadziwiający, niepodległy, pełny różnorodności i pełny wdzięku talent. Pisząc on w kraju i wieku, w których powszechnym zwyczajem było mowy jedynie Rzymian do prac i pióra używać, sam nawet znakomity poezji łacińskich twórca¹, przedsięwziął odmienić drogę, odjął się szerokości imienia i na wzór Włochów, wśród których przepędził młodość, własnym językiem pisać się ośmielił. Niezwykły wieniec ozdobił ten zawód jego. Spotkały go powszechne oklaski i naśladownictwo bez końca. Sam przymuszony był tworzyć styl nowy i formy, a w obu tych swoich utworach uwielbienie wieków pozyskał. Różnorodny w przedmiotach, równie był różnorodny w stylu; czuły, poważny i lekki, w krótsze i dłuższe wiersz swój oblekał miary; dobierał liczby zgłosek i mieścił średniówki; na wzór powszechny Europy (za przykładem Arabów idącej), umieszczał rymowe końcówki, a wszystkie te liczby i miary zgodziły się silnie z narodowym smakiem, i wyjąwszy wiersz długi 14-zgło-

¹ Poezje łacińskie Kochanowskiego przełożył niedawno Kazimierz Brodziński.

skowy, którego w kilku *Psalmach* i *Historji Zuzanny* użył, wszystkie pod piórem jego stworzone wierszów rodzaje dotąd są ulubione i powtarzane w kraju.

W rymach jednak, których używał, jak wszyscy pierwiastkowi poeci, był nieraz niedbałym, a czasem rozwlekłością dla ich doboru grzeszył, i próżną myślą lub próżnym wierszem poetyczną piękność osłabiał; i ta to jedynie wada, napozór niewielka, sprawuje nieraz dziś niesmak do poprawności przywykłemu uchu. Stare jednakże słowa i wyrażenia dawne nie są nam tyle przeciwnie, oryginalność ich owszem nadaje moc niezwyčajną pierwiastkowemu stylowi; widzimy to najlepiej tam, gdzie rymy nie psują nam oka, jak tego mamy przykład w *Odprawie Posłów*, poemacie dramatycznym, pełnym najsilniejszej wymowy. Tak kiedy *Antenor* (przy samem otwarciu sztuki), donosząc o przybyciu posłów z Grecji po Helenę, powiada:

Com dawno tuszył i w głos opowiadał,
Że obelżenia i krzywdy tak znacznej
Przenieść nie mieli waleczni Grekowie.

Lub w innym miejscu *Parys*:

Jeszcze mury na ziemi leżą powalone,
I pola do tej doby pustyniami stoją.

W oznaczonych tu wyrażeniach więcj nas moc zaiste aniżeli niesmak uderza.

Jednym z ulubionych Kochanowskiemu w budowie wiersza sposobów było mieszczanie częste przymiotników, dodawanie ich słowom lub obrazowi, co trafnie krytyk Brodziński cieniowaniem wyrazu zowie. Przykłady tego w każdym poemacie, w każdej jego pieśni, w każdym nieledwie wierszu znajdujemy; tak np. w *Pamiętce* Jana Tęczyńskiego:

Jego śmierci północne boginie płakały.
Płakały ciemne lasy i wyniosłe skały.

Lub kiedy Menelaus po odmowie Trojan wykrzykuje:

*Wieczne światło niebieskie i ty płodna ziemi,
I ty morze szerokie; wy wszyscy bogowie,
I wysocy i nizcy; świadki mi dziś bądźcie,
Żem rzeczy sprawiedliwej od Trojanów żądał.*

Przymiotniki te nieraz mogą się zdawać zbytuczne;
gdy bowiem Kochanowski mówi:

Płyną statki i ciosane łodzie.

Albo też woła:

*Wieczorna gwiazdo, której na okrągłym niebie
Ogień na ziemi gore okrutniejszy ciebie.*

Kursywą słowa zdają się, mówię, być niepotrzebne, zbytuczne; istotnie bowiem czy mogą łodzie inne być jak ciosane, sklepienie nieba inne jak okrągłe; tak jest; a jednak podobny cień w stylu, wdzięk mu, widzimy, niesie. Rzecz każda tysięcy mieć może właściwych sobie przymiotów, zwrócenie uwagi zatem na jeden szczególny, dobitniej nam kreśli obraz i dzielniej myśl naszą obraca. Dlatego to nieraz i dzisiejsi poeci wasi nie zaniedbują w swym stylu tego Kochanowskiego wzoru. Tak kiedy *Derar* w poezjach Chodźki woła:

*. Odtąd lata moje
Nie warte ziarna poziomego piasku.*

Albo Brodziński w pełnym rzewności wierszu *Żal matki*:

*O roznieście głośne dzwony
Smutek matki nieskończony.*

I dalej:

*Za przybyłą na świat wiosną
Nad twym dołem kwiatki rosna,
Ale twoje, synku mały,
W proch się rączki rozsypały.*

Wyrazy: *poziomego, głośne, mały*, zdają się być zbyt teczne, bo czyliż *piasek, dzwon i synek* mogą być inne? Ale przymiotnik *poziomy* maluje nam silniej pokorę Derara, *głośny* chęć matki rozniesienia żalu i *mały* jej boleść rzewniejszą.

Poemata własne Jana Kochanowskiego są: poemata dramatyczne: *Odprawa Posłów i Śmierć; Treny, Pieśni, Poemata historyczne, Nauczające, Poema Broda, Historya Zuzanny* (z Pisma św.¹) i t. d.

Odprawa posłów jest to wspaniała wielka liryczna scena, o odprawie Greków przybyłych po uwiezioną Helenę, odprawie, która, jak to wiemy skądinąd, stać się miała zgubą tych wszystkich, którzy tu o niej radzą.

Najpiękniejszy ze skreślonych w sztuce charakter jest bezwątpienia Trojana Antenora; przepowiadając on oddawna złe skutki porwania, skoro ujrzał posłów przybywających z Grecyi, radził natychmiast i całą wymową popierał oddanie uwiezionej księżęciu greckiemu żony; gdy jednak ujrzał rady swe odrzucone i wskutek zdań zapalonych przybyłych posłów odprawę, pierwszy rozmyślał zaczął o obronie przeciwko Grekom, zamiast sarkania na krok ten i zostawienia nieprzyjaciół swoich karze ich uporu. Pełna jest dramatycznej siły rozmowa Antenora z Parysem, czyli, jak go nazywa autor, Aleksandrem, który go przyszedł namawiać do trzymania strony jego, w odmówieniu Heleny. Antenor mówi ciągle ze sprawiedliwością, Aleksander coraz silniej zapala się gniewem, zarzuca zdradę, Antenor odwołuje się do właściwego każdemu sumienia:

Aleksander.

Znać, że u ciebie gospodą posłowie.

Antenor.

Wszystkim pocziwym dom mój otworzony.

¹ Tłumaczenia Jana Kochanowskiego są: *Psalterz Dawidów, Szachy, Phaenomena, Iliady* ks. III, i t. d.

Aleksander.

A zwłaszcza kto nie z próżnemi rękoma.

Antenor (z ironią).

Trzeba mi bowiem sędziom na podarki:
Bom cudzą żonę wziął, o którą czynią.

Aleksander.

Nie wiem o żonę, ale dary bierzesz
Od Greków zwłaszcza; moje na cię małe.

Antenor.

I żon i cudzych darów nie rad biorę:
Ty, jako żywiesz, tak widzę i mówisz
Niepowściągliwie...

Doskonale choć krótko skreślony jest charakter Heleny; jest to młoda i chciwa szczęścia niewiasta, która uciekła była z młodym i ładnym Parysem, a teraz widząc przybyłych Greków i sądząc, że będzie wydana, przeklina go i zowie bezecnym, rozrzewnia się na wspomnienie przeszłości i płacze nad obecnością.

.....
Niestety, jakież będą moje przenosiny:
Podobno w tył okrętu łańcuchem za szyję
Uwiązana, pośrodkiem greckich naw popłynę.
Z jakąż ja twarzą bracią swą miłą powitam?
Jakoż ja niewstydliva przed oczy twe naprzód,
Mężu mój miły, przyjdę i sprawę o sobie
Dawać będę? A będę ci wejrzeć śmiała?
Bodajżeś ty był nigdy Sparty nie nawidził (nie nawiedził)
Nieszczęsny Pryamida! Bo czegoż mnie więcej
Nie dostawało? Zacnych książąt córką będąc,
Szłam w książęcy dom zacny: dał był Bóg urodę,
Dał potomstwo, dał dobrą nadewszystko sławę:
Tom wszystko przez człowieka złego utraciła.
Ojczyzna gdzieś daleko, przyjaciół nie widzę:
Dziatki nie wiem żyweli, ja sama coś mało
Od niewolnice różna.

Z przybyłą poważną niewiastą, która ją cieszy, Helena ciągle narzeka; ta boleść Heleny i jej myśl w uścich

o rodzinnej stronie, gdy widzi, że może być do niej wróconą, jest wielką sztuką charakterysty poety; za przybyciem bowiem posła z nowiną, że odprawiono Greków, Helena znowu odzyskuje wesołość i ucieszona wychodzi; rozumiał to i poseł, kiedy wchodząc mówił do siebie:

Dobłą nowinę pani swojej niosę,
Rozumiem temu, że już dawno tego
Poselstwa czeka.

I dalej, ujrawszy ją:

. . . . O królowa!
Wdzięcznej nowiny posła masz przed sobą.

Opowiadanie posła o odbytych na radzie głosach i ich skutku, pełne jest żywości, mocy i silnej wymowy; szkoda tylko, że cała ta obrada Trojan zamieniła się w obradę Greków, a raczej w sejm polski: reprezentanci zabierają głosy, są wzmianki o Rzeczypospolitej, a nawet marszałkowie, którzy laskami w ziemię bijąc, starają się przywrócić porządek; przykłady podobnego zapominania się widzimy w Kochanowskim nieraz; w tej samej sztuce znajdujemy trochę niżej:

Pograniczni *piszą*
Starostowie, że wojska greckie się ściągają.

Była to wada wieku, że pisząc o rzeczach krajowych, mieszano bóstwa i wyobrażenia starożytnych, a pisząc o starożytnych mieszano krajowe; wady te jednak w Kochanowskim są nader rzadkie i nader lekkie w porównaniu z temi, jakie się zdarzały w pisarzach owego wieku, a nawet w późniejszych, jak np. w angielskim Szekspirze, w jego dramatycznych sztukach: Czechy są nad brzegiem morza, starożytni wierzą w świat romantyczny wieków średnich, chrześcijanie posyłają po prorocтва do Jowisza Amońskiego; królowie pogańscy Brytanii i Danii wierzą w czyściec, wspominają o sektach XIV. wieku, strzelają z armat,

mówią o Turkach w Stambule, o drukarniach w Anglii, na lat sto i więcej przed wzięciem przez Turków Konstantynopola, wynalazkiem druku i prochu. Mówiąc też o obrazie Trojan, winniśmy pamiętać i na to, że *Odprawa Posłów* przedstawiona była na fecie Jana Zamojskiego w Jazdowie przed królem i całym dworem i Kochanowski, zwyczajem pisarzy polskich, nie szczędząc przestróg monarchom swoim¹, chciał razem przedstawić i niebezpieczne skutki zaburzenia sejmów.

Po gwałtownych i wymownych sporach, przemogła namiętność i uradzono odprawę posłów. Ulisses wchodząc na scenę woła:

O nierządne królestwo i zginienia blizkie:
Gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość.

Zakończenie dramatycznego obrazu oddycha całe smutną przepowiednią blizkiego końca Troi i domu Pryama. Chorus, który w sztuce Kochanowskiego, jak w sztukach greckich, po każdej zmianie mówiących swoje uwagi czyni, widząc, na czem się zakończyło, obraca najprzód wykrzyknik do tej łodzi, która Helenę do Troi przyniosła.

O białoskrzydła morska pławaczko,
Wychowanico Idy wysokiej,
Łodzi bukowa! Któraś gładkiej
Twarzy pasterza Pryamczyka
Mokremi słonych wód ścieżkami
Do przeźroczystych Eurotowych
Brodów nosiła.
Coś to żółwicom za bratową,
Córom szlachetnym Pryamowym
Cnej Polixenie i Kassandrze
Wieszczcej przyniosła?

¹ Chór mówi ze sceny:

Wy, którzy Rzeczpospolitą władacie,
A ludzką sprawiedliwość w ręku trzymacie,
Wy, którym ludzi paść poruczono...

Dalej narzeka na nieprzystojność postępku Parysa i wreszcie kończy:

. . . Przyjdą, przyjdą
Niedawno ¹ czasy, że rozbójcę
Rozbójca znidzie: ten mu słodki
Sen z oczu zetrze i bezpieczne
Serce zatrwoży, kiedy trąby
Ogromne zabrzmią, a pod mury
Nieprzyjacielskie staną szańce.

Ale nic tak okrutnie nie wróży zguby i kary, jak widzenie Kassandry i jej wpiółośnią silna przepowiednia, z którą przed rozmawiających Pryama i Antenora przeleciała. Pryam powątpiewał jeszcze i nie wierzył słowom Antenora, że wojna ich czeka, gdy ją wchodzącą ujrzeli.

Antenor.

. . . A to zaś co za białogłowa
Z włosy roztarganemi i twarzy tak bladej?

Moja to nieszczęsna córka, odpowiada Pryam, duch ją widzę Apollinowy objął. Tu wbiega obłąkana Cassandra i w rozwlekłym, nierównym, pełnym natchnienia wierszu, przepowiada upadek Troi ².

.
Ale gdzieżem prze Boga? Światła nie widzę:
Noc mi jakaś przed oczy nagle upadła.
Owoż mamy dwa słońca, owoż dwie Troi,
Owoż i łani morzem głębokim płynie.
Nieszczęśliwa to łani, zlej wróżki łani,
Brońcie brzegów, pasterze, nie dopuszczajcie...

.
O wdzięczna ojczyzno moja,
O mury, nieśmiertelnych rąku roboto,

¹ Niedługo.

² Scenę tę naśladował Książnin w tragedji *Hektor*, nawet niektóre wyrażenia powtórzył, strojnością i wykończeniem ujął mocy.

Jaki koniec was czeka? Ciebie mój bracie,
 Stróżu ojczyzny, domu zacna podporo,
 Wkoło murów trojańskich tessalskie konie
 Włóczyć grożą, a twoje oziębłe ciało
 Będzieli chciał nieszczęsny ojciec pochować,
 Musi je u rozbójce złotem kupować.

.....
 A to co za koń
 Tak wielki na poboju sam jeden stoi?
 Nie wodźcie go do stajni, radzę, nie wodźcie;
 Bije ten koń i kąsze: spalcie go raczej,
 Jeśli sami od niego zgorzeć nie chcecie.
 Czujcie, stróżo, noc idzie, noc podejrzana.
 Wielki ogień ma powstać: tak wielki ogień,
 Że wszystko jako w biały dzień widać będzie
 Wtenczas, ojczy, ani już Bogom swym dufaj,
 Ani się poświęconych ołtarzów łapaj:
 Okrutnego lwa szczenię za tobą bieży,
 Które cię paznoktami przejmie ostremi,
 I krwią twoją swe gardło głodne nasyci.
 Syny wszystkie pobiją; dziewczki w niewolę
 Zabiorą; drugie kwoli trupom umarłym
 Na ich grobach bić będą. Matko, ty dziątek
 Swoich płakać nie będziesz, ale wyć będziesz.

Pryam strwożony nie wie co sądzić, gdy wchodzący
 rotmistrz przyprowadza greckiego więźnia, oznajmiając,
 że tysiąc galer greckich na kotwicach stoi w Aulidzie, na
 powrót tylko posłów oczekując.

Odprawa Posłów Greckich J. Kochanowskiego, uważana jako wielka scena liryczna, jest arcydziełem w swoim rodzaju. Patrząc na Greków i Trojan, których nam przedstawia, zdaje nam się, że patrzymy na mężów Eschila.

W innej tegoż autora krótkiej scenie *Alcestis*, wprowadzony jest charakter uosobionej *Śmierci*¹; bóstwo to, zgodnie z powszechnym sądem, wystawione jest jako chciwe i czyhające na śmiertelników, zwłaszcza młodych,

¹ Naśladowanie początku *Alcesty* greckiej.

życie; właśnie Apollo otwierający scenę, opowiedział, jak i za co wygnany był z nieba, służył za pasterza w tym domu i pana jego, Admeta, uratował od śmierci, uprosiwszy Parki, by kogo w zamianę przyjęły; jak Admet nikogo nie znalazł ochotnego zań umrzeć, jeno Alceste, swą żonę, i jak wreszcie on, opowiadający Apollo, nie mogąc znieść tak nieszczęsnego widoku, chce dom ten opuścić, gdy właśnie *Śmierć* mu zastąpiła drogę, po swoją zdobycząc idąca, i przeleżała się uzbrojenia bożka:

Co pod tym domem, co tu Phoebę czynisz?

Małoś miał na tem, żeś Admeta śmierci

Uchował, Parki zdradliwe podszedłszy...

Apollo wie, że łuk jego nic nie uszkodzi śmierci, stara się jednak ją ubłagać, by przedłużyła dnie Alceście; śmierć nie zważała na zdanie i chciwie poszła.

Chór zapytuje przeraźliwie:

Czemu tak cicho we dworze,
Czemu dom umilkł Admetów?

Apollo mówi:

Ale nigdzie przyjaciela
Niemasz, coby nam powiedział.

Czy płakać już mamy królowej, czy też jeszcze żyje Alcestis — ze wszystkich na świecie kobiet najwierniejsza mężowi. Na tej ostatniej uwadze kończy autor swą scenę.

Treny Kochanowskiego po stracie małej córeczki; w których rozpamiętywuje jej przymioty, talenta, nadzieje, jakie czyniła, i w których nie może łez przerwać, wspominając ciągle na okrutny zawód, pełne są różnaitości stylu i najczulszej oryginalnej (żałości ojca), poezji. *Treny* Kochanowskiego poruszają prostotą wysłowienia i smutnej myśli trafnością.

.....
 Wielkieś mi poczyniła pustki w domu moim,
 Moja droga Orszulo, tem zniknieniem swoim;
 Pełno nas, a jakoby nikogo nie było.

Jeśli w tych pełnych naturalnej żalości wierszach od-
 waży się Kochanowski do poetycznych jakich udać prze-
 nośni, porównań, w porównaniach tych cały swój smutek,
 całą swą rzewność zachowuje.

Jako oliwka pod wysokim sadem,
 Idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem:
 Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,
 Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc:
 Tę, jeśli ostre ciernie, lub rodne pokrzywy
 Uprzątając, sadnik ów podciął ukwapliwy,
 Mdleje zaraz: a zbywszy siły przyrodzonej,
 Upada przed nogami matki ulubionej,
 Takci się mej najmilszej Orszuli dostało.

Treny swe Kochanowski kończy ukazaniem się dziecka
 i tą filozoficzną myślą, że czas wszystkie cierpienia goi, ale
 rozum powinien go uprzedzać.

. . . Czas doktor każdemu,
 Ale kto pospolitym torem gardzi, temu
 Tak późnego lekarstwa czekać nie przystoi:
 Rozumem ma uprzedzić, co insze czas goi.

Poemata nauczające: *Satyr*, *Dziwostąb*, *Zgoda*, dzi-
 wiące rzadką gładkością i nieraz wymową (zwłaszcza
 pierwsze) wiersza, są zbiorem mnóstwa przestroż, które
 poeta-filozof, a bardziej polityk, daje śmiało tak w ogólno-
 ści narodowi, jak z osobna duchowieństwu, radcom stanu
 i wreszcie królowi; obdarzywszy go poeta (Zygmunta Au-
 gusta, któremu wyraźnie *Satyr* przypisał) licznemi uwagi,
 morały, kończy je przypomnieniem wymownem, iż go hi-
 storya czeka, która go za dobre sprawy nagrodzi.

.....
 Cnota sławą się płaci: a snąć w przyszłym wieku
 Zbudzi takiego ducha Bóg w pewnym człowieku,

Który twe zacne sprawy swoim piórem złotym
 Będzie chciał światu podać, tak iż nigdy potym
 Imię twoje nie zgaśnie, ani uzna końca,
 Póki zwierząt na ziemi, a na niebie słońca.

Jan Kochanowski, który odmówieniem ofiarowanej sobie przez króla kasztelanii dowiódł, iż nie w samej teorii był filozofem, najsilniej i prawie bez przerwy powstaje w każdym swym wierszu na próżne zbytki i szczęśliwość mierności kreśli. W wierszu *Dziwostąb* wspomina Midasa i za przykład go stawia.

.....
 Wszystko, prawi, Bóg może, a ja proszę o to,
 Czego się kolwiek dotknę, niechaj będzie złoto.
 O głupi Mida, widzisz, że nietylko uszy,
 Ale i rozum ośli nosisz przy swej duszy.

Siadł za stół, chleb wziął w rękę, z chleba kruszec prawy,
 Potraw ruszył, wnet złotem stanęły potrawy:
 Wina sobie każe dać: próżna myśl o winie,
 Bo z szklanicy przez gardło szczerze złoto płynie.

Ręce do nieba wznosi, odpuść Panie, a tej
 Głodnej hojności pozbaw i nędzy bogatej...

Poemata historyczne: *Wtargnienie do Moskwy* i *Pamiętka* więcej mające zaniedbania w wierszu, obfitują skądinąd w silne poezji obrazy. W opisie wtargnienia do Moskwy (ks. Krzysztofa Radziwiła 1581) mamy przykład niezwyklej wolności rymu.

. . . Ruszywszy się z *Koło* —
Mnej położyłeś wojsko, Szotew zowią siolo.

Z połowy wyrazu tworzy rym, drugą połowę przenosząc do następnego wiersza. Ze wszystkich poematów J. Kochanowskiego *Pamiętka* najwięcej ma zaniedbania tak w budowie wiersza, jak w rymach, tem to dziwniej, iż ro-

mantyczne wypadki życia Tęczyńskiego, które są opisem przedmiotem, przedstawiały sposobność utworu pięknej poetycznej budowy.

Przeciwnie w poemacie opisowym *Proporzec*, autor z suchego samego proporca opisu wyprowadza liczne wspomnienia i poetyczne obrazy; jest to coś trochę na wzór opisu tarczy Achillesa. Jak np. jest pełne poezji to opisanie Wisły na jednej stronie chorągwi wyrażonej:

Środkiem tego wszystkiego srebrna rzeka płynie,
Którą leżąc pod skałą przy powiewnej trzcinie,
Rozciągnęła Wisła leje krużem marmurowym,
Głowę mając odzianą wieńcem rokitowym;
A do morza przychodząc, drze się na trzy części:
Tam okręty, a przy nich delfinowie gęści
Po wierzchu wody grają, połyskując złotem,
Brzegi bursztynem świecą.

Poema to jest razem historycznym wspomnieniem; jest to bowiem opis proporca, który trzymał księżę pruski w czasie wykonywanego hołdu królowi polskiemu; zaczyna się też właśnie opisem samego hołdu; piękną jest w nim ta powaga wiersza, którą Jan Kochanowski stosownie do powagi przedmiotu zachowywać umiał. Weźmy np. początek:

Oto w zacnym ubiorze i w złotej koronie
Siadł pomazaniec boży na swym pańskim tronie:
Jabłko złote i złotą laskę w rękę mając,
A zakon Najwyższego na łonie trzymając.
Miecz przed nim srogi, ale złemu tylko srogi:
Niewinnemu na sercu nie uczyni trwogi.
Z obu stron zacny senat koronny, a wkóło
Sprawiony zastęp stoi i rycerstwa czoło.
Przystąp, Olbrychcie młody, zacnych książąt plemię,
Który trzymasz w swej władzy piękną pruską ziemię.

Powieść z Pisma św. *Zuzanna*, wierszem 14-zgłoskowym pisana, mało ma stylu i ducha oryginału, tej wzniosłości a razem prostoty, która opowiadania Pisma św. jest

cechą, a jakiej przykłady widzimy w samych Psalmach Kochanowskiego i w innych powieściach biblijnych z dni naszych¹. W licznych swych *Pieśniach* Kochanowski słodki, poetyczny, wdzięczny i nieraz równie wymowny jak w nierymowym wierszu; śpiewa w nich Boga, ojczyznę, wieś, obyczaje i miłość. Miłość Kochanowskiego jest uczuciem dosyć powszedniem, jest ona raczej prostem uwielbieniem; nieraz też pisząc do jakiej *Pani* i utrzymując, iż nic nie widział piękniejszego nad nią, odwołuje to w drugiej pieśni, mówiąc, że grubo się mylił; śpiewa miłość poważnym, a niekiedy i lekkim, niewymuszonym wierszem:

Komum ja kwiateczki rwała,
A ten wianek gotowała?
Tobie miły, nie inszemu.

Najbliższym jest natury w pieśniach świętojańskich o Sobótce; prostota i wdzięk ujmujący tych pieśni zdają się wzięte być prosto z ust ludu wiejskiego. Inne drobne poezye Kochanowskiego są: *Epithalamium*, *Fragments*, *Nagrobki*, a także *Broda* i *Fraszki*, zabawki wesołej myśli. Zjawisko Kochanowskiego było niepospolite: gdzie obrócił swe pióro, wszędzie tchnął niepodległą oryginalnością tak ducha myśli jak i toku wiersza; gdyby pragnął pracować więcej w tym świetnym zawodzie, przez który przedstawieniem scenicznym najgłośniejszym staje się geniusz, a do którego tak genialną zdatność okazał w *Odprawie Posłów*, zapewne stanąłby równy z angielskiego dramatu bożyszczem i dawno uczyniłby głośne ten język i tę poezyę polską, które przez tyle lat długich, w kraju nawet własnym tak mało cenione były. Olbrzymi Kochanowskiego talent trwać będzie, póki są ludzie; dłużej niż miasta i warowne wieże; bo powtórzyć tu tylko i przypomnieć zostaje, co sam w jednej z swych pieśni tak strojnie i trafnie powiedział:

¹ Witwicki, mianowicie w *Tobiaszu*.

I mauzolea i egipskie grody
Ostatniej śmierci próżne być nie mogą,
Albo je ogień, albo nagłe wody,
Albo je lata zazdrościwe zmogą;
Sława z dowcipu sama wiecznie stoi,
Ta śmierci nie zna, ta się lat nie boi.

Od śmierci Jana Kochanowskiego do wieku Stanisława Augusta wszyscy poeci polscy, wyjąwszy dwóch albo trzech może, byli naśladowcami ducha i stylu Jana Kochanowskiego, z małemi odmianami własnego talentu. Nie będę ja wyliczać całego ich tłumu, niektórych tu tylko wspomnę. *Kasper Miaskowski* więcej jest może niż Kochanowski unoszącym się w niebo, ale za to w przedmiotach mało rozmaity, w stylu twardszy i mniej jeszcze poprawny¹. *Twardowski* do trenów swoich całe prawie wiersze i myśli Kochanowskiego (jak to ogólnie wszystkim się zdarzało) prze-

¹ Niektórzy spółcześni Miaskowskiego poezye daleko wyżej od poezyj Kochanowskiego kładli; takim jest mianowicie wydawca wiersza jego *Herkules Słowieński*, z którego przedmowy przytoczyliśmy wyżej anegdotę, którą Jan kanclerz Zamojski o Reju i Kochanowskim opowiadał. Wydawca ten objawiał szczerze, lubo zapalenie, swe zdanie; nie był on zapewne pochlebcą, bo Miaskowski nie był magnatem; owszem dedykując swoją pisze w duchu przyjaźni i równości, zaczynając: *Kasprowi Miaskowskiemu, szlachcicowi cnotą i nauką sławnemu*, a kończąc: *Twój uprzejmy D. D.* W przedmowie zaś tej przytoczywszy dwa wiersze Reja, któremi ten pierwszeństwo Kochanowskiemu nad sobą przyznawał, tak dalej mówi i porównanie poezyj dwóch poetów czyni: »Najmniej w tem nie wątpię, by Jan Kochanowski pisma twoje był poznał, żeby z tąż skromnością tobie tę Pannę (Muzę słowieńską) oddał. Pisma jego i twoje niech kto weźmie. Jeśli nabożne? rzecze: że tamte Dawid a twoje Anioł pisał. Jeśli mądre? a któreż? — o obyczajach? u niego Cycerona, Marona i Nazona poślakuje: u ciebie nikt inszy, jedno Homer a Kato mieszka, którego o jakim wierszem i wiek i śmierć opisałeś i oplakałeś. A któryż? wizerunek życia i śmierci, a któryż? co umrzeć wolał, niż przeproszać. A jeśli o Rzeczypospolitej: tam akademia, u ciebie stan i dziesięci weneckich mężów święta rada. A jeśli żarty? i to potrzebne ludziom. Łacinnicy zowią je solą, bez której jako potrawa niesmaczna, niemniej i przesolona. Są u Kochanowskiego, wiem że i na tym przy-

nosił; w opisach zaś historycznych, lubo więcej miał dumy wiersza, ale ta zwykle w nadętość wpadała. *Klonowicz, Grochowski, Rybiński, Mikołaj Sęp* (Szarzyński), *Zawicki, Sornatowicz, Kuligowski* i t. d., wszyscy w jednym prawie czasie piszący, równie mniej są daleko od swojego wzoru poprawni; jeden tylko *Zbylitowski* (Andrzej) czystością stylu nieraz go przechodzi.

Teraz miła, której moje
 Serce dało hołdy swoje...
 Nie gardź moją wsią ubogą.
 Orzechy, jabłka, jagody,
 I lipienie z bystrej wody.
 Melon słodki, grono wina,
 Leśne rydze i malina,
 I co jedno wieś uboga
 Rodzi, Amarylli droga!
 Tem czcić będę usta twoje,
 I uderzę w struny moje. (1600).

smału nie zeszło tobie, ale pierwej zdrowemi potrawami chciałeś nas uczęstować, a potem nie wątpię, że i wety będą. A jeśli skąd słów? tam piękne, tu dziwne: tam przechodzą swoich, równają obce, tu wszystkie dowcipy ustąpić muszą«. Dalej zaś przytoczywszy wiersz *wenusyjskiego* o niepodobieństwie dośnięcia Pindara, dodaje: »Przeszedłeś tego, zrównałeś Homera. A jeśli kto pragnie, niech się ochłodzi nieśmiertelnem źródłem, Arystarchowym kształtem, w który twój wiersz wejrzy, uwierzy. Nie ma obrażać prawda nikogo. Miłuję ja Reja, chwałę Kochanowskiego, dziwuję się tobie. Powiedział jeden, zacny Rzym, zacna Wenecya, przecie podobieństwo, że Rzym założyli ludzie, bo się na ziemi budują, a Wenecyą bogowie, bo przedtem człowiek w wodzie nie budował. Cóż tu ujęto oboma tym miastom? Winszując tedy, żeś nam tę Dziewoję słowieńską tak strojno ubrał. A niejedno szatą świetną, jako Rej, niejedno złotem puntały jako Kochanowski: ale cokolwiek jest w Persyi kamieni, w Indyach pereł, w Afryce strojów, w Rzymie jedwabów, wszystkiēs na nie tak hojnie włożył ozdoby, że u pisarzy pośrednich języków, którymi zachodni ludzie wzdychają i dychają, są jako na wiosnę kwiatek. Wiem ja miejsca u Dante, wiem u Petrarchy, u Ariosta, u Ronsarda, u Medyny, którym oni i ja za nimi dziwowałimy się; a tego u ciebie jako w lecie kwiatków, że czasem stapać i siedzieć na nich przychodzi«. Wielu nam dzisiaj spółczesnych, a mianowicie uczony *Siarczyński* (*Obr. W. Zym. III*) ledwie nie z takimże ogniem o poezjach *Miaskowskiego* mówią.

Wszyscy ci w ogólności z owego czasu rymotwórcy są to bardziej historycy, politycy, teologowie, moralści, twórcy żalosnych, dumnych, pochwalnych lub lekkich wierszy, niżeli żywej imaginacyi (mianowicie co do głównego wynalezienia) poeci. Poetyczny opis Tajemnic Pańskich, mianowicie narodzenia, życia i męki; sławienie wielkich czynów krajowych wodzów, kreślenie sławnych wypraw; narzekanie na nierząd, niezgody i przepowiednie zguby, są to powszechne poezji owoczesnej przedmioty. Ta też jest właśnie treść główna i Miaskowskiego rytmów. Główne jego poemata religijne są: *Szopa Zbawienna*, *Pielgrzym Wielkanocny*, *Łotr Dyzmas*, *Na Kalwaryę*, *Historya Męki* podzielona na godziny i t. d.; wszędzie w nich w ogólności niesmak w rymach, rozwlekłość; skądinąd zaś poetyczność, potęga i duma; dlatego też w miejscach, gdzie styl poprawniejszy poety, cały blask jego widzimy. Dziwna, że mimo całej tak jawnej i tak silnej pobożności, nie może poeta oprzeć się wadzie wieku i starożytnego nieba zapomnieć. Tak i nad żłobem Zbawiciela wprowadza śpiewające greckiego nieba Muzy, a to z Apollina rozkazu; każda z nich inną miarą i inne śpiewa przedmioty; ta chwale nowonarodzonego, ta zjawisko prawdziwego światła, ta rozkrzewianie wiary i t. p.

Melpomene woła poważnie:

Góro Libanów niebotycznych zdobna,
Bożemuś niemniej miastu ty podobna:
Bo jak stolicę tam on obrał sobie
Tak mieszkał w tobie.

Księżycu pełny i słoneczne koło,
Twoje z pogodą złote wschodzi czoło,
Rozpędźże chmury przeciwne ze grzmieniem
Jasnym promieniem.

Polimnia mówi do siostry:

.....
Słyszałaś kiedy, że do Palestyny
Przywiódł Bóg mocny Jakóbowe syny,

Z tą obietnicą, że się ziścić miało
Złączone z słowem przedwiecznym (dziw) ciało.

Nie biję więcej Jowiszowi czołem,
Co się zmyślonym pokazawszy wołem,
Dał dosieść grzbietu dziewce urodziwej,
Fałsz to twój dawny, a to Bóg prawdziwy.

.....

Temuż śpiewajmy głosy wesołemi,
Niech się rozciąga wesele po ziemi:
Bo noc minęła, a rozkwitłe słońce
Z nowym promieniem rozsyła swe gońce.

Ono i gwiazda prowadzi pogany (*Trzech Królów*)
Do niemowlątka od zorze różanej,
A jako wryta stanie im nad oną
Odartą szopą, lecz błogosławioną.

Przybycie trzech króli i ich cudowna przewodniczka,
ulubione są przedmioty malownego pióra poetów; w stroj-
nym swym wierszu Miaskowski, *Szopa Zbawienna*, podo-
bnie tenże obraz wprowadza:

.....

Onoż blizkich tentent koni
Złotej grzywy, gwiazdę goni:
Aż tam stanie jako wryta,
Gdzie z dzieciątkiem Panna skryta.

Spadną z siodła wnet na ziemię,
A otarłszy z prochu ziemię,
Do ubogiej wnijdą szopy,
Po nich niosą skarby w tropy.

A zrzuciwszy z głowy swoje
Światne różnych farb zawoje,
Gdzie słońcowa dzierżą dłonie
Na Panieńskim dziecię łonie.

Padną na twarz wszyscy razem
Najwyższego przed obrazem;
I przedwiecznej słońcem chwały.

.....

Historya Męki z ciągłą mocą, wzniosłością i nieraz poetycznością pisana; w szczególnych wyrażeniach mianowicie poeta (jak zwykle) silny.

.....
 Tamże na woskach gęstych u skały
 Cesarskie orły znakiem zostały.
 (Przyłożono na grobie cesarskie pieczęcie).

Pielgrzym Wielkanocny czyli rozmowa uczniów idących do Emaus i ukazanie się świętego Pielgrzyma, dziwnie gładkim wierszem.

.....
 A nam zaś zniknął na łysym wierzchu,
 W żalony piątek mało o zmierzchu,
 W koronie: ale z ostrego głogu,
 I pochowany w opoki rogu.

.....
 Jeśli tak usnął, jako umarli?
 Co dziw, że jako na wspólne hasło
 Złotemu słońcu promienie zgasło:
 Zadrżała ziemia, rysując skały,
 I kościół nie ma zasłony całej.
 A ta nie legła z przygody pewnie,
 Kiedy Pan nagi wisiał na drewnie:
 Splawiony świętą hojnie posoką...

Cleophas.

Co to za człowiek za nami pieszy,
 Prosto od miasta wciąż prawie spieszy,
 Po samym znać to pielgrzym ubierze
 I do Syrii dalszej się bierze.

Ale najwięcej związły, poprawny i ciągle górny jest w większej części licznych poetycznych wierszy na poniezione klęski lub powodzenia pisanych; jako to *Nenija* na śmierć Jana Zamojskiego z wyliczeniem dzieł jego; *Na zwycięstwo Inflanckie* Karola Chodkiewicza; *Do Królewicza Imci* (Władysława); Trzy wiersze *Do Dymitra*, którego prawdziwym być mieni; *Na Rozruch Domowy*; *Tren Rzeczypospolitej* na wojny domowe i t. d.

W wierszu do królewicza radzi mu poeta, aby rozszerzał królestwo:

.....
 A nieprzyjaciel zawstydzi się wkoło,
 Zadrży Suderman na twe młode czoło:
 Po niestryjoskim i niecnym rozboju,
 Żebrząc pokoju.

A ty tam stawisz z marmuru kolosy,
 Gdzie słony nie zna perłowej brzeg rosy:
 Lecz ostrym lodem wiatry li powstały,
 Hamuje wały.

Sława też śnieżnym na Kaukazie zatym,
 Głośne twe trąbą i piórem bogatym
 Rozniesie sprawy, w niedorośłym lecie
 Po wszystkim świecie.

W ogólności poeta był stronnikiem i obrońcą króla, bronił go od potwarzy i pisał przeciw paszkwilom, które go rozwiązyły i tyranem mieniły.

Inne Miaskowskiego wiersze są: *na suszę, na mięso-pust, na popielec*, mnóstwo *trenów na śmierć, nagrobków, przeciwko kacerzom* i t. p.; wszędzie też wady i też wielkie przymioty. Z wierszy przeciwko kacerzom odznacza się imaginacją *List Marcina Lutera do swoich*.

Na wronym węglu z wiecznego płomienia,
 Z podpisem Luter własnego imienia:
 Dał tu list do swych a prosto w te słowa:
 Mnieć już ognista dźrzyż samokowa
 Bez i nadzieje ale i bez końca.

Zakończenie (jak w *Ugolino* Danta).

Tak Luter mówi: a sam w czarnym dymie
 Narzekać znowu i kłem zgrzytać imie.

W wierszu *Mięsopust Polski* opisuje poeta zabawy, tańce, maskarady i gani zbytek w napojach.

Głos Pański marmurowe tak skruszywszy słupy (*bogów*),
 Że od onych bałwanów nie najdzie skorupy,

Twojej przecie, o Bache, nie zgładził pamiątki.
Bo zostawił maski i wesole świątki.

Herkules Słowiński, z którego przytoczyliśmy przedmowę, w zbiorze rytmów jest pod napisem *Herkules Niecierpliwy* (lubo nie cały). Jest to rozmowa *Merkurego z Apollinem*, któremu pierwszy ukazując na *Herburta* (Szczęsnego) dowodzi, iż ten Herkulesa przewyższył. Wiersz ten cały pełny jest wzniosłych i nawet poprawnych wierszy.

Merkury zapytuje:

Wodzu słoneczny, nie ów li to wtóry
Mąż się nam zjawił, co lwa zewłókl z skóry?
Co bił ogromne wieprze, byki, smoki,
I skrzepł mu olbrzym, gdy go żdźał za boki:
Którego dzielnej okrągły świat prawie
Przyznał zwycięstwo i sławę buławie?

Apollo.

Wątpię, bo bystrym ujrzałbym go okiem,
Pędząc wóz złoty błękitnym obłokiem.
Dość wprawdzie mężów ten ma wiek do zbroi,
Że i dzielniejszych nie było u Troi.
Ale kto z synem porównał Alkmeny?...

Tu opisuje *Merkury* czyny, pokusy i siłę *Herburta*, wprowadzając uosobioną *Fortunę* i opisanie jej płaszcza. Silnem jest to miejsce u poety, gdzie dowodzi, że wielkość duszy więcej znaczy niżeli niewola ciała, ta bowiem nieraz może być niesłuszna. *Apollo* dowodzi, że *Herkules* był większy, gdyż nigdy nie był więziony.

Apollo.

Odpuść mi, ale ten niezwycięzony
Nie był tak strażą i miejscem ścieśniony.
Lecz jako prawy lew we lwim ubierze,
Jedną za drugą chorągiew wnet bierze.

Merkury.

Powiedz, a wielki *Apollo* mi będziesz
I wyższy w radzie *Jowiszowej* siedziesz.

Co znaczą ludziom cnotliwym okowy,
 Gdy umysł wolny, wspaniały i zdrowy?
 Co pęta twarde choć goleni zgnoją,
 Kiedy przy więźniu owe cnoty stoją?
 Co i pogrzeblej wielkiej ludzie ceny,
 Kiedy się wściekły przeciw nim Ateny?
 Ledwie jednemu Marathon oliwą
 Obtoczył skronie i głowę sędziwą:
 Tegoż wnet ściany bez słońca zawarły...

Chęć mieszania do najpoważniejszego wiersza bóstw i wyobrażeń mitologii greckiej była ogólną wadą ówczesnego poetów smaku. *Grochowski* oplakując poważnie i czule śmierć wielu sławnych, w ciągu lat kilku w kraju zmarłych mężów, mówi o Zamojskim i robi ustęp o Muzach i miejscu ich pobytu.

Cnota sławą się płaci¹, jedni cię pieśniami
 Wiekom podawać będą, drudzy kolumnami
 Będą twarz twą w miedzi lać i kować w marmorze²,
 Wodzu zastępów polskich i cny senatorze!
 Między którymi miejsce aby miały swoje,
 Te zamoczone we łzach gorzkie rymy moje,
 Wzywam was do tychże łez i żalu słusznego,
 Córy władogromego Jowisza wielkiego.
 Bądź wy gdzie w krajach pięknych auzońskich mieszkacie,
 Bądź się wedle Izmenu rzeki przechadzacie,
 Przy zdrojach kryształowych stamtąd się pośpieście,
 A smutno brzmiące struny do żałoby weźcie,
 Żałując wspólnie ze mną kochanka swojego.

Klonowicz, sławny ze swego poprawnego *Flisa*, w wierszach żałobnych na śmierć, która spotykała tyłu wielkich wodzów, podobny jest *Grochowskiemu* stylem.

Płaczcie rzeki słowieńskie, saurumackie kraje,
 Zielonowłose drzewa, boć mnie już nie staje
 W uściech słów i łez w oczu.

¹ *Cnota sławą się płaci*, a zaś w przyszłym wieku i t. d.
 Kochanowski w *Satyrze*.
² Będą drudzy twym kościom grób zacny budować,
 I twarz twoją w miedzi lać i w marmurze kować.
 Kochanowski w *Pamięt. Tęczysk*.

Mnóstwo w owym i późniejszym czasie zjawiało się było poetów, których imiona nawet nas nie doszły lub doszły same¹; w wierszach ich, tych, które znamy, mało po większej części poezji i smaku w stylu; spólcześni nawet narzekali i krzyczeli o to, tak *Zimorowicz* w jednej z swych sielanek na nienatchnionych poetów narzeka (1620):

Pełna niedoszłych nasza poetów ojczyzna,
Że miary zawierzona nie ma już polszczyzna,
Lada partacz wyrwie się z pospolitych ludzi,
To wiersze niepoczesne natychmiast paskudzi (*paskudnie tworzy*).
Przedtym rzadki kto Muzy jak świętości ruszył,
Tylko kogo swym duchem Cynthius napuszył, (*kogo Apollo natchnął*)
Teraz lada kto z niemi swata się po prostu;
Jeszcze nie umie kozie zawiązać i chwostu, (ogona)
A już słowom ogony zwięzuje na rzeczy.

Pośród tych jednak prozaicznych albo nadętych wierszopisów, których jawiły się tłumy, dwóch w stronie południowej zajaśniało wieszczów, odrębnym duchem natchniętych i nowym piszących stylem. Jeden z nich chcąc być Teokrytem, a drugi naśladowcą pierwszego, mimowolnie szli własną nienaśladowną drogą i obaj, a zwłaszcza drugi, szkół nowych stali się twórcami. Byli to dwaj *Szymonowie*: *Bendoński* i *Zimorowicz*. *Szymon Szymonowicz Bendoński* (1614), zwany powszechnie Szymonowicz, albo z greckiego *Symonides*, sławnych w Europie całej poezji łacińskich twórca, w poezji polskiej jest twórcą słodkiego sierańskiego wiersza. Był on zapewne naśladowcą Teokryta i Wirgiliusza, niektóre ich nawet sielanki lub wiersze całkiem przekładał i do prac swoich wciągał, to jednak naśladownictwo blizkie wielkiej mu sławy i twórczego talentu nie odejmuje. I Wirgiliusz był naśladowcą greckiego śpiewaka. I sam Teokryt był naśladowcą pieśni syrakuzkańskich pasterzy.

¹ Liczba poetów polskich tylko do panowania Stanisława Augusta dochodzi tysiąca czterystu, nie licząc prac bezimiennych. (Patrz *Dykcyon. Poet. Juszyńskiego*).

Szymon Szymonowicz znalazł tylko gotowy pomysł, ale ani Teokryt, ani Wirgiliusz nie pisali po polsku, nie znali polskich wiosek i polskich zwyczajów, nie pisali nawet sylabnym i rymowym wierszem; trzeba się było natchnąć nowymi obrazami i odziewać je w słowa obrazów tych nie znające, lub też samemu tworzyć pomysły i mowy. Trzeba było być twórcą nowego języka; a było to tem trudniej, iż zamiast wierszy wdzięku i prostoty pełnych, znajdował Szymonowicz w około same tylko nadęte i przesadne rymy. Jego natchniony talent przełamał wszystko; przejął się on w pomysłach swoich prostotą stanu, który miał opiewać; wiersz jego pełen jest słodkości i tego wdzięku niewymuszonego, który jest cechą tego wszystkiego, co jest natury blizkiem. Każdy obraz powzięty, wyrażenie każdego pomysłu, stosowne są u poety do stanu bohaterów, których nam przedstawia rozmowy. Prorokując np. nieśmiertelność poecie (zapewne sobie), nie mówi, że imię jego będzie na głazach ryte, lub że będą mu stawiać pomniki, ale się naturalnie i prosto wyraża:

Lub na odpusty pójdzem, lubo na kiermasze,
Wszędzie cię wspominiemy i potomstwo nasze
Z ust cię nigdy nie puści...

W innem miejscu (w sielance *Zalotnicy*), Licyd pasterz mówi komplement pracze:

Jeśliś mi przyjacielem, podobno nie zgadnę,
Gdyś chusty polewała onegdaj czeladne,
Były też tam i moje, a iż w ręce były
Przyjaznej, przed innemi jawnie to świadczyły.
Biało mię sobie nosisz, noś mię sobie biało,
Równemu z równym zawsze na świecie przystało.
Chędogo choć ubogo; *bodaj się świeżyły*
Ręce twe zakasane, bodaj memi były.

W sielankach, w których autor zapominał na wzory swoje, a kreślił domowe obrazy, w tych właśnie sielankach najpełniejszym jest wdzięku i oryginalności prawdziwej,

a takimi są sielanki: *Panny*, *Żenice* i t. p.; tok wiersza, obrazy, myśli, wszystko w nich własne i narodowe.

.....
 Sroczka krzekce na płocie, pannie się raduje
 Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje.
 Jedzie z swoją drużyną panicz urodziwy,
 Panicz z dalekiej strony, pod nim koń chodziwy,
 Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota:
 Panno, gotuj się witać, już wjeżdża we wrota.

.....
 I ty myśli uspokój, mój paniczu drogi,
 Nie darmo cię tu przyniósł twój koń białonogi,
 Pryskał, we wrota wchodząc, znać żeśmy tu radzi,
 Radziśmy wszyscy tobie i twojej czeladzi.
 Już i matka i panna witać cię wychodzi,
 Poprzedź ich ręką, tobie poprzedzić się godzi.
 I czołem nisko uderz, jest dla czego czołem
 Uderzyć...

Naśladując krakowskie śpiewy, zachował w nich nawet cechę nieładu i braku związku między wierszem pierwszym a następnymi; tak w sielance *Żenice*, Pietrucha znąc żyto, śpiewa:

Starosto, nie będziesz ty słoneczkiem na niebie,
 Inakszy upominek chowamy dla ciebie;
 Chowamy piękną pannę, albo wdowę krasną,
 Żle się u cudzych żywić, lepiej mieć swą własną.

W dwóch pierwszych wierszach gniew i groźba, w trzecim obietnica nagrody, w czwartym morał.

Najglówniejszą wadą poematów Szymonowicza jest, iż w swych sielankach polskich wprowadza, jak inni, najczęściej imiona greckie i rozmowy o bóstwach i mitologii starożytnej, co w ustach prostych ludzi dziwniej odbija jeszcze. W stylu lubo najczęściej słodki, wpada jednak niekiedy w zbytnią deklamacyę lub zaniedbanie¹; najpopra-

¹ Jeszcze też żon nie mamy, niechaj się ojcowie
 Nasi frasują, ich to przynależy głowie;

wniejszy zaś i najśladzszy jest pospolicie w czterowierszach, które pasterze jego lubią nieraz naprzemian, jak pasterze Teokryta, śpiewać. Tak np. w sielance *Mopsus*:

Fijołeczek na wiosnę, a gwoździk w jesieni,
Róża w lecie, róża się i w zimie zieleni:
A kiedy się zapalą jagody u Basi,
I róże i gwoździki kwiatem swym zagasi.

Gąsienka mi po trawce matka paść kazała,
Wrona mi niecnotliwa dwoje z nich porwała.
O wrono niecnotliwa, ty masz teraz gody,
A ja grzbietem nieboga przyplącę tej szkody.

Piękna jodła na górach, jawór w gęstym boru,
Sosna między ogrody, lipa pośród dworu;
Ale gdy kraśny Dafnis stanie między nami,
Wyższy głową nad wszystkie, wyższy ramionami.

Albo w sielance *Pastuszy*:

I mnie w tańcu Thestylis przydeptała nogę,
Od tego czasu wszystek jakoby nie mogę.
Jeśli mi to na pośmiech tylko udziałała,
Bodaj kamienie gryzła, w pokrzywach sypiała.

Faunie, i tyś swych czasów siadał między bogi,
I tobie oplatano wonnym wieńcem rogi.
Pieśniami brzmiały gaje, brzmiały gęste lasy,
Wesołe były pieśni, były wdzięczne czasy.

Nic nie dorówna słodczy, a razem prostocie wiersza Szymonowicza¹, a jednak nawet za życia musiał niemało

A my co wesołego sobie zaśpiewajmy,
Ale co wesołego...

Pójdziem na przemiany,
I wieniec piękniejszy jest, kiedy przeplatany.

Siel. *Pastuszy*.

¹ Ta prostota i łatwość Szymonowicza wierszy jest dotąd niedościgniona; ani Zimorowicz, ani Gawiński, ani Fr. Zabłocki w sielankach swoich, ani nawet Książnin, że mijam tylu innych, dorównać jej nie mo-

h
re
wtrzymać tych żartów i pośmiewiska, jakie nieświadomi
lub zawiśni zwykle na każdy talent ciskają; musiał je czuć
mocno Szymonowicz, lubo obojętność udawał, jak to wnieść
możemy ze słów jego własnych. Każdemu się przeciwieć,
mówi w sielance *Orpheus*, nie stałoby człowieka, lepiej
omijać; i dalej mówi:

Zawsze musi szkodować, kto się ze złym sprzęże,
Lepiej wnijsć między wilki, lepiej między węże.
I lub się oni z mego grania pośmiewali,
Bodaj mię raczej grubi ostowie słuchali,
Niżby się miał ocierać mój głos o ich uszy.
Rychlej się twarda skała, rychlej kamień ruszy,
Niżli serce zawisne...

Szymonowicz jest jeszcze autorem kilkunastu bajek
lub przypowieści, które nagrobkami nazwał. Dla przykładu
wypiszę parę:

Skarga słowika.

Kiedym konał w paznoktach jastrzębia srogiego,
Mówiłem żałośliwie te słowa do niego:
Niewinny ja śpiewaczek, mało na mnie mięsa.
A on: idź przecie w gardło, dobry kęs do kęsa.

Wrona.

Gdy się panny służbiste z pacholki ścisnęły,
Jam nie milczała¹: one mi gardło związały,

gli. Poeta szkoły puławskiej, Franciszek Książnin, więcej ma strojnej
gracy, dostojności języka i uczuć w dramatycznych sielankach swoich,
ale nie dościga prostoty słodkiego Szymonowicza stylu; tam nawet, gdzie
go najbliższej stara się naśladować, przebija się rodzaj przesady albo po-
pęd wyższy. Tak np. śpiewa *Stokłos* w sielance *Marynki*:

Rozyna fijołeczki użyna po łące,
Olechna zrywa róże czerwonorące;
Ale kiedy Pałachna nad wstydliwym czołem
Zwiesi wieniec z bławatka wity równym kołem,
Jako sama dziewicom urodą przodkuje,
Tak przy niej inne kwiaty bławatek celuje.

¹ Myśl tej bajki podobna jest do znanej Goreckiego: »Krucy kra-
dli«. Obraza za prawdę.

I tak mię udławiły. Język mię nabawił
Chleba i sławy, język żywota pozbawił.

Następca Szymonowicza, *Szymon Zimorowicz* (1620), czuł w sobie talent i popęd do opiewania wyższych uczuć niżeli ludu prostego, do kreślenia poetyczniejszych obrazów, niż mowa ludu przypuszcza; ale wiedziony przykładem Szymonowicza, którego prace tak mile w narodzie przyjęte były, i pragnąc być zrozumianym powszechnie, natchnienia swoje także w ramy sielanek oprowadził. Czuł jednak zapewne, że nieraz pasterze jego nazbyt filozoficznie i historycznie mówią i przez to psują naturę sielanki; zdaje się, iż to chciał nawet wyrazić w jednej z nich pod napisem *Trużenicy*, gdy pisze:

Jam lubo cicho szeptał, lubo śpiewał krzykiem,
Zawżdy się słyszeć dawał niewieścim¹ językiem,
Tusząc sobie, że przez te fraucymerne baśnie
Imię swe Białej Rusi najlepiej objaśnię.
Aż kiedy w piąty snopek kłosy moje wiązę,
Widzę, iż je tą sprawą w ciemnej nocy grążę.

Zimorowicz oprócz formy poematów swoich, nic nie ma prawie z Szymonowiczem wspólnego; Szymonowicz duchem i stylem należy najczęściej do szkoły krakowskiej, Zimorowicz do ukraińskiej. Dzikość, ponurość, tęsknota, cecha dzisiejszych strony tej poetów, przebija się już i w Zimorowicza utworach. Napady i rozboje kozackie, powietrze morowe, klęski, pogrzeby, żałoby, są najpospolitszą sielanek jego treścią; pasterze i pasterki jego najczęściej płaczą, śpiewają nad umarłym, sypią mu i zdobią mogiłę. Poemat sielski Zimorowicza oddzielną ma od wszystkich i sobie tylko właściwą barwę. Miejscowości, narodowości daleko w nim więcej niżli w poprzedniku; bo chociaż oba równie wprowadzeniem greckiego nieba i imion greckich grzeszą, w sielankach jednak Zimorowicza zdarza się nieraz nam

¹ Miłosnym, sielankowym.

napotykać słowa i wzmianki o krajowych przedmiotach, miejscach, czego nie znajdujemy w Szymonowiczu nigdzie. Tak w sielance *Śpiewacy*:

Śpiewaczko *Mohilowska*, gdzie się to zabawiasz?
Po której teraz łące białe nóżki stawiasz?
W którym kącie, twe lata trawisz, *Ukrainy*?
Powiedz, o te cię pola i *wielkie doliny*
Podolskie chrzęstem kłosów pochyłych wzywają.

Lub dalej:

Ucieszne ogrodniczki, moje *Podolanki*,
Gotujcie śliczne wieńce i wonne równianki¹,
Rwijcie młodziuchne róże, przynieście *barwinku*,
Oddajcie wszystkie kwiaty wdzięczne w upominku
Nadobnej *Pelagii*, żeby przy tym zielu
Dowiedziała się o mnie, swoim przyjacielu.

Uciekanie się też do bóstw mitologii greckiej i wiadomości starożytnych, lubo się rozsądkowi i smakowi przeciwi, lubo pasterka wzywająca w swym płaczu bogów, zdaje się nam niechrześcijanką albo też uczoną, z tem wszystkim uciekanie się to i te wspomnienia, wielu miejsc pięknych stają się powodem; tak np. w sielance *Flaczenica*, występna pasterka rozpacza i tak woła z dzikością, właściwą szkole poety:

. a ja z podziemniemi
Wezmę społeczność duchami blademi,
Sama stawszy się także cieniem marnym,
Będę lzy toczyć nad jeziorem czarnym,
Będę narzekać u tęskliwych progów
Jędz zapalczywych, aż podziemnych bogów
Płacz zapalczywy i piękność (?) mej duszy
Do pomsty albo do gniewu poruszy.

.

¹ *Równianka* (bukiet), wyraz ten w nowej literaturze zalecony z nieporównaną trafnością i wdziękiem przez autorkę nauczających i słodkich *Rozrywek dla dzieci*.

O hańbo moja! Co rzeką potomni
 Mieszkańce świata? jako mię też wspomni
 Wiek nadchodzący? kiedy w moim stanie
 Znajdzie zniewagę nad własne mniemanie?
 Bodajżem była wprzód zimnym marmorem
 Nad Owidowym stanęła jeziorem;
 Bodajżem była w dzikim Dalermanie
 Między lwętami miała swe mieszkanie,
 Niżeli kiedy szczęście mię opaczne
 Przywiodło na tak obelżenie znaczne.

Styl Zimorowicza w wielu miejscach nazbyt zaniedbany, niepoprawny, w wyrazach przesadny, niesmaczny, w wielu jednak innych daleko więcej dzielności i poprawy od stylu Szymonowicza mający i rozmaitszy daleko. Styl owych smutnych grobowych opisów, które są najczęściej pióra poety przedmiotem, zawsze jest prawie żałobny, ponury i przedmiotowi swemu odpowiedni; a nieraz też poeta te smutne obrazy sztucznie połączyć umie z niewymuszonym wdziękiem sielańskiego wiersza. Co bardziej przejmującego, jak owe pełne prostoty i głębokiego żalu opowiadania pasterek o stracie przyjaciółki, pochwyconej nagle morowem powietrzem, w sielance *Narzekalnice*:

Hasya.

Niedawno z mą Filidą po tej niskiej łące
 Zbierałam fijołeczki i róże woniące,
 Jam zbierała, a Fillis przyśpiewując mile,
 Poszła środkiem dąbrowy. Wtym, za krótką chwilę
 Pojrzę, aż ci jej niemasz; nie wiem kędy zaszła!
 Szukałam jej, aż zorza wieczorna zagasła,
 Przeciem jej nie znalazła; a gdy noc żalonym
 Płaszczem ziemię zakryła, ja okrzykiem głośnym
 Jęłam wołać po górach i blizkich dolinach:
 »Fillil! ucieszna Fillil!« — Tylko się w krzewinach
 Echo mi ozywało, tylko głośne skały
 »Filli, ucieszna Filli!« — za mną odmawiały.
 Świadczę wami, pagórki i niskie padoły,
 Jakom z serca wołała, jakom już na poły
 Martwa, z piersi chrapliwych głosu dobywała;
 Filli, Filli, o Fillil! jakom cię wzywała.

Ozwij się, Filli moja, ozwij się powtóre!
 Aż nakoniec wybiegłszy na wysoką górę,
 Potrzeciem zawołała: Filli, moja Filli,
 Ozwij się do mnie, zali obłąkałaś? Czyli
 Lękaasz się nocnych cieniów? Pójdź do mnie, bo lwięta (?)
 Słyszysz jak straszno ryczą i dzikie zwierzęta
 Krwi ludzkiej nader chciwe, ponure jaskinie
 Opuściwszy, stadami chodzą po dolinie.
 Na to moje wołanie, słowa mi nie dała,
 I takem ja jej, jak mię ona postradała.

W opisie napadów kozackich Zimorowicz wiele nie-
 raz ma w stylu dramatyczności, tak np. gdy *Ostafi* w sie-
 lance *Kozaczyzna* opowiada o swem niebezpieczeństwie,
 jako się w cerkwi był schował za obraz św. Jerzego. Po
 przebytych napadzie pasterze zbierają się i rozmawiają
 wspólnie.

Dorosz.

Żywo widzę, panowie?

Ostafi.

I sami nie wiemy,
 Czyśmy nieboszczykami, czy jeszcze żyjemy.

Dorosz.

Czemuż to?

Ostafi.

Jeszcze pytasz? jakobyś przychodziś.

.....
 Jako w tym żona z dziećmi zniknęła nierządnie,
 Nie będę wiedział pewnie aż na bożym sądzie.

..... temu *horylicą*
 Polawszy, plesz na głowie przypalili świecą,
 Żeby wyśpiewał, kędy stare ryże schował,
 Abo srebro: on z nimi o wierze rokował.
 Lecz mu jeden powiedział: *Bateńku choroszy, (miły ojciec)*
Nechoczem twoi wiry, lisze dítczych hroszy.
 Insi ustawnie *Hałaj, bre Gaur*, wołali.

.....
 Naostatek wołając: *Prosacaj swiaty Juru,*
 Oberwali na ziemię obraz jego z muru,

Większe tablice rąbiąc jako drwa łupali,
 Aż mię też w skałubinie onej wymacali,
 Natychmiast żegnając się krzykną: *duch ne mara!*
 Ja na to: *ej czotownik ta i wassa wiara.*
Ale masz denhy lackie — skoro to wyrzekli,
 Jako mysz z onej jamy za łeb mię wywlekli.

W innej sielance donosi nam Zimorowicz, że Kozacy wielką cenę do ofiarowanej tabaki przywiązywali:

Zwłaszcza kto miał tabakę, ten prędko i tanie
 Wszystkiego od nich dostał nad własne mniemanie;
 Tabakę duszą zwali kozacką, a zgola
 Nie wstydał o nią prosić żaden assawoła.

Wielkiej części wad stylu i treści, o których mówi-
 łam, nie mają sielanki Zimorowicza, *Roksolanki* zwane.
 W śpiewach tam pasterzy i pasterek nie razi nas historia
 ani filozofia; mitologia sama dość rzadka. Styl nie ma tych
 słów nadętych, śmiesznie składanych, w wyborze niesma-
 cznych, na jakie nazbyt często w ciągu sielanek natrafiamy;
 same rymy w roksołańskich pieśniach daleko częściej po-
 prawne i wiersz płynniejszy, nieraz nawet sztuczny i cią-
 głą różnaitością miary swej dziwiący. *Roksolanki* są to
 śpiewy weselne licznych pasterzy i pasterek czerwono-
 ruskiej ziemi, z okoliczności wesela Bartłomieja Zimorowi-
 cza ułożone. Śpiewaków wprowadza *Dziewosłab*, *Hymen*
 i tak się sam najprzód zaleca:

Onci ja jest bożeczek, młodziuchny, pieszczony,
 Synek idalskiej matki, wnuk kraśnej Dyony,
 Przyrodni kupidynów, nie Kupido przecie,
 Aby ludzie samopas nie żyli na świecie.

Dalej opowiada o panu młodym, jak ten długo słu-
 chać go nie chciał i miłością gardził:

.
 Milej mu było siedząc u aońskiej studnie,
 Płaskim głosem wykwiintnie zaśpiewać w południe,

Abo trąbę i stalną wzięwszy rohatynę,
 Bieżeć z myśliwską siostrą w moskiewską krainę,
 I tam zabijać żubry, tury i niedźwiedzie.

.....
 Dlategoż się mojemu uciechami brzydził,
 Kędy mię kolwiek zoczył, wszędzie ze mnie szydził:
 Na co, prawi, ten sajdak nosisz na twych karkach?
 Ponieważ do strzelania nie masz siły w barkach.

I wreszcie znowu wraca do siebie, liczy swoje przy-
 loty i kończy:

.....
 Mogę galardy z włoską pergameszką skoczyć,
 Płasy ruskie wyprawiać, polskim tańcem toczyć.
 Choćażem z padewskimi nie siadał doktory,
 Przecie lekarzem każdy przyznawa mię chorego.

.....
 Tymczasem wdzięcznie proszę, przyjmijcie tych gości,
 Których do was prowadzę z roksolańskich włości.

Śpiewy te roksolańskie, brane najwięcej przez poetę
 : ust halickiego ludu, tchną wszędzie miłą prostotą i na-
 uralnością; ukraińska tęsknota, dumanie, a razem lekka,
 niewymuszona malowność obrazów, są pospolitą ich cechą.

Oto jest śpiew *Janelli*:

Miesiąc roztoczył promień różany,
 A mnie opuszcza mój ukochany,
 Zostań na godzinę, powiedz mi przyczynę,
 Czemu odchodzisz biedną dziewczynę.

Blisko północy już słyhać dzwony,
 Mnie rękę daje mój ulubiony,
 Potrwaj proszę mało, jeszcze nie świtało,
 Pójdiesz wnet, gdzieć się będzie podobało.

Na którykolwiek kraj pójdiesz świata,
 Niechaj Bóg szczęści młode twe lata;
 Niechaj i kłopoty przemieni w wiek złoty,
 Nie zapominaj mnie też sieroty.

Z bogów pogańskich sam tylko Kupido i jego państwo nie mogą wyjść z ust pasterek, a zwłaszcza pastery. *Gratian* śpiewa:

Przy wesolym Cyprze w piękną mirtu krzewinę
Wszedłem rano, gdzie spotkawszy małą dziecinę,
Łuk przy boku, na barkach pióra i u nóżek,
Spytałem: powiedz mi, dziecię, coś ty za bożek?
A on do łuka, kto na mnie fuka?
Ja choćem mały, przeciłem bóg cały,
Którego i sam Jowisz i boginie znały.

.

Ten ruch krótszego wiersza w odpowiedzi Kupida sztucznie wydaje w stylu nagłość i rozgniewanie. Dla przykładu prostoty i poetyczności roksolańskich pieśni, przytoczę tu jeszcze na zakończenie obrazu poezji Zimorowicza śpiew *Tymona*:

Wdzięczny zefirze, lecąc środkiem Ukrainy,
Nie zapomnij ode mnie pozdrowić Maryny:
Nie zapomnij łagodnym szeptem twego ducha
Tę piosnkę jej zaśpiewać cichuchno do ucha:
I takżeś bardzo sobie, moje dziewczę lube,
Umiliła w odległych krajach kąty grube?

.

Aza nie wiesz, że alkierz z okienkiem przychylnym,
Z którego ty strzelała na mnie okiem pilnym:
Którym do ciebie moje zalatały chęci,
Ustawicznie się z twojej niebytności smęci?
Dla ciebie ogródeczka mego bujne zioła
Frasobliwe nadzwyczaj pomarszczyły czoła:
Do ciebie z lilijami fijołki stęskniły,
Drzewa niedonoszone płody poroniły.
Stójże, kochana dziewczko, pokaż nam swe czoło,
Na którego ozdoby już nietylko sioło,
Ale i roksolańska stolica dwójgrodna (*Lwów*)
Zawsze się zapatrować niezawsze jest godna.
Patrzaj, jako cię z chęcią wyglądają wieże,
Jako lew, który miasta z wysokości strzeże,
Upatrując przyjazdu twego nie uśpiony,
Obraca ustawicznie wzrok na wszystkie strony.

Następca Zimorowicza, *Gawiński Jan*, mniej pisał od poprzedników swoich i daleko niższy talentem, naśladowca Szymonowicza, nie miał ciągłej stylu jego prostoty, a straty jej nie wynagradzał jak Zimorowicz poetycznością obrazów; niekiedy jednak wychodziły z pod pióra Gawińskiego wiersze niepospolitej rzewności, przynajmniej w pojedynczych wyrażeniach; znany jest powszechnie i śpiewany dziś jeszcze jego wiersz do skowronka; przytoczymy jeszcze jeden przykład z licznych jego nagrobków.

Młodzieniec nad grobem.

W tym grobie, w tej trumience leży kwiat różany,
Dopier kwitnął, alic' wnet od śmierci urwany;
Płyńcie oczy' dżdżem żywym, śliczne dziewczę moje
W niebo uszła, sprzykrzywszy tu ziemskie pokoje.

Panna odpowiada:

Twój płacz, twój żal serdeczny i twoje żaloby,
Przez trumny, mój kochanku, słyszę i przez groby:
Próżno jednak żałujesz. Płakać mię nie trzeba,
Chyba temu, żeś ze mną spół nie szedł do nieba.

Od połowy XVII. wieku do Stanisława Augusta następuje nierząd okrutny w literaturze, jak w kraju, i zupełne skażenie smaku; wiersze i proza przepełnione zostają laciną, nadętymi wyrazy i przesadzoną poezją. Poezya ta objawia się nie tylko w wierszach, ale we wszelkiej prozie, w historyach, modlitwach, kazaniach, a zwłaszcza w tytułach ksiąg. Wiersze kościelne, które dziś jeszcze znajdujemy zebrane i przedrukowywane w kantyczkach, pełne są tylko sztuki w swym powierzchowym składzie i przesadnej przenośni; nie mają wcale prostoty i jasności, które powinny być cechą modlitwy¹. Chęć pracy, pisania wier-

¹ Pełno w nich pospolicie hucznej i szumnej harmonii, gładkich i częstych rymów, poezji dzikiej, a z trudnością zgadnąć się daje myśl religijna. Jak np.:

szy, chęć widzenia wszystkiego wyższem i poetycznem nie ustawała w narodzie, owszem coraz silniejszą stawać się zdawała; na jedną rzecz tylko wypada narzekać, na zepsucie stylu i w ogólności smaku; całe historye narodów ukazywały się pisane wierszem, całe Pismo św. stare i nowe przełożono wierszem, wszystkich poezyj starożytnych i najnowszych obcych wnet się znajdowali tłumacze; wszystko to jednak zarzucone jest dzisiaj i prawie nieznane¹. Może mię posądzisz o stronność dla płci mojej, mój drogi, ale powiem jednakże, bo to powiedzieć muszę, że wśród tego powszechnego skażenia smaku i w całym piśmiennictwie

.....
 Tyran niekrwawy, głód was bladawy
 W kościstej larwie i śmierci barwie
 Oddzieli.

.....
 Gdy kontr do boju w Gradowym stroju
 Jak w miedzi lany, uszykowany
 Pułk stanie.

¹ Nic niema zabawniejszego i więcej gorszącego oko, jak igrająca imaginacya, ubrana w wyrażenia przeciwne smakowi naszemu, a takimi są wszystkie prawie pisma polskie z wieku, o którym mowa: w prozie chęć ciągnęła do poezyi, do rymowania, układania żarcików z brzmienia słów, dowcipkowania i mieszania łaciny; w wierszu podobnie mieszane łacińskie słowa, przesadne myśli a raczej wyrażenia, staranność (jak widzieliśmy właśnie w przykładzie religijnym) o sztukę zewnętrzną, dobieranie nadętych i szumnych wyrazów i t. p. Dla oryginalnej pamiętki i dla przykładu, który lepiej nas niżli teoria nauczy, przytaczam dwa krótkie z ciekawego wieku tego, prozy i wiersza przykłady:

Kiersnicki (w dziele *Swada polska i łacińska*) w *Swadzie Ambony* gromi dziwactwa i wymysły kobiet w jedzeniu: »Zapatrzył się prorok na superstycye Izraelskie: *Succedunt ignem, ut faciant placentas Reginae Caeli*, naniecają ognie, aby piekli torty czy marcepany dla Królowej Niebieskiej. Jakaż to proszę Królowa? Odpowiada uczony Dalmata: *Luna, quam Dianam gentiles vocabant, seu Phoebem sororem solis*, był to księżyc, nazwany od pogaństwa Dyaną albo Siostrą słoneczną. Ziemiakimby delikatkom takie do gustu przypadły specyały. Dla kształtu one o chleb powszedni w pacierzu proszą; bo go na swych stołach nie znoszą. Pewnieby zemdlały, gdyby borysa skosztowały. Ano pracowita wieśniaczka gdy się

bezządu, dwie jedynie kobiety najsilniej się odznaczyły i najświetniej nad innych się wzniosły; jedna czystością stylu, druga imaginacji żywością: *Elżbieta Drużbacka* i *Anna Radziwiłłowa*. Drużbacka, nie znając innej oprócz własnej mowy i nie mogąc jej przeto obcymi szpeciń wyrazy, nader jest ujmującą w jej toku i ze wszystkich poetów polskich (nie wyjmując Kochanowskiego nawet) do Stanisława Augusta, najpoprawniejszą. Płodny talent księżnej Radziwiłłowej na każdą nieświeską fetę tworzył nową dramatyczną sztukę, której poklaskiwała publiczność; ks. Radziwiłłowa miała prawdziwą poetyczną czułość, a w dra-

wypości, nie narzeka w chlebie na ości. Na francuskie ciasta, na włoskie figatele, na wytworne pasztety, dzień w dzień trzeba się sforcować; by też majątność zahartować. Nie jedna jejmość w cukrowych bateriach, wieżach, piramidach zjada miasta i miasteczka. Kiedyż tak zdziwaczała? Gdy się z Jaśnie Oświeconym, Jaśnie Wielmożnym słońcem skoligowała? *Soror Solis*. Przedtym będąc córką szlacheckiego Marsa czy handlowego Merkuryusza, w leśnym barszczu nie przebarszczała; urwaną w Betulii folwarkowej od ćwikły nacią nie gardziła, a teraz wykrzywiwszy gębę, pyta się: co to za boćwina, po której znać Litwina? Przedtym dla tej Dyany dobre były ogrodowe dynie i utraktowała panią Febę *fabis* łącznym sposobem, domorodnym bobem; teraz bez pracy chce jadać kołacze. Niechże wybaczy, gdy wykwintami rozdrażniony małżonek grzbiet pokolata, abo na twarzy pocnie piec placki, jakich nigdy w rękach nie miała, bo szkolnych placent nie znała, *succedunt ignem ut faciant placentas* etc. (Wyjątek ten był w »Dzien. Wil.« na rok podobno 1821 umieszczony).

Z wiersza na odjazd księżniczek Radziwiłłównien z Litwy do rodziców.

W otwarte pole wychodźcie, lamenta,
Radziwiłłowskiej wszak trąby concerta
Smutny odgłos dają,
Na pobudkę grają
Do żalu.

.....
Stańcież w paracie, smutki, stańcie, żale,
Polskie Heleny nim nie dadzą vale,
Karetę obståpcie,
Na drodze zastąpcie
Księżniczkom.

matach wesołych nie mały dar komiczności. Styl jej często poprawny, w układzie sztuk własna siła i wyobraźni śmiałość; w jednej i tejże sztuce bohaterowie dramatu przychodzą na świat, niepowszednich doznają dziejów i kończą życie. Sztuki Anny Radziwiłłowej warte są oddzielnego rozbioru i bliższego poznania; wydawca ich mówi w przedmowie, że tragedia polska, mając Annę Radziwiłłową, może już nie zazdrościć Francyi Kornelów jej i Rasynów; zdanie to, może pochlebcy, tem mniej było trafne, że natura porównywanych dramatów zupełnie była odmienną, we wzajemne równanie wciągać się nie mogącą.

Taki jest obraz ogólny dawnej poezyi polskiej. Oryginalna, silna, i wszelkie barwy ducha i stylu od razu biorąca, okryta potem przesadą i zepsuciem smaku, odrodziła

.....
 Lecz stójcie żale, strzymajcie zapędy,
 Dokąd zmierzacie, puszczacie się kędy?
 Daremna jest speza,
 Daremna impreza
 Zatrzymać.

.....
 Na odwrót smutki, pod weselnym znakiem
 Licznym aplauzy niech staną orszakiem,
 Wszak lunę przez chmurę
 Zatrzymać ponurę
 Nie można.

.....
 Idźcież, gdzie niosą ojcowskie mandata,
 Idźcie ozdoby litewskiego świata,
 Nasze konwojują
 Oraz asystują
 Wam wota.

.....
 Przypadki z drogi niech spędzi fortuna,
 A kręconemi z frykсыjskiego runa
 Niech powozi sznury,
 Niechaj trakt purpury
 Uściela.

się ledwie w połowie XVIII. wieku, po wychowania narodowego reformie. Poeci z utworu i pod opieką dwóch Stanisławów¹ wzrosli, znowu musieli nowy pod piórem swym tworzyć język; język ten urósł w nowe, nieznane przedtem wdzięki i w nowych ukazał się drogach; konał potem jak dawniej, ale też powstał znowu; i wreszcie w niedawnych czasach błysnął nowszymi jeszcze i tyle rozkrzewionymi powaby, ale zagubił tok dawny, pierwiastkowy, silny, dziwiący nas prostotą i dostojnością razem.

¹ Stanisław Konarski, Stanisław August.

III.

KARISTA DO MEŻA.

— ...

O POEZYI POLSKIEJ KOMICZNEJ.

Kiedym ci, w przeszłych listach, poezyi kreśliła obraz, wyjmowałam z pod niego poetów, których treścią była komiczność. Szkoła komiczna jest szkołą oddzielną i skądinąd sama dzielić się nie mogącą. Duch poezyi poważnej, żalostnej różnić się może do nieskończoności, duch poezyi komicznej jest zawsze jeden. Wprawdzie rodzaje śmieśczości także odmienne być mogą; komiczność może być wyższa, wypływająca z myśli, charakterów, i niższa, idąca z obrazów, położeń; może być nawet komiczność z samej sztuki stylu idąca; zawsze jednak i wszędzie wesołość i żartobliwość jest głównym jej duchem, podstawą. W poezyi, której celem jest obyczajów poprawa, wad i przywar wytknięcie, wyśmianie, komiczność jest jedynym i najtrafniejszym środkiem; wszystkie narodu klasy skłonne są i zdadne do słuchania, do zrozumienia komicznych słów i obrazów, a wady okryte śmieśczością najprędzej ze społeczności nikną. »Niedawno i w naszych prawie oczach, mówił mi jeden z sąsiadów, zginęły w naszym kraju modne domowe spazmy, przesadna galanterya, mieszanie francuskich zwrotów i t. p. tak dowcipnie po scenach ścigane«.

Są, którzy utrzymują, że ani satyry, ani przestrogi

wszelkie nie są przydatne na nic. Od kilku tysięcy lat, powiadają oni, piszą i wyśmiewają wady i ułomności ludzkie, a przecie świat zawsze takiż, jakim był i przed laty. Zdanie to jest błędne. Lubo jest w przeznaczeniu świata mieć zawsze ułomności i wady, pisma jednak poprawcze nie są bezowocne; jeżeli bowiem świat się lepszym nie stał, nie stał się gorszym przynajmniej. Jeżeli trafne wyśmianie, albo okropne przedstawienie skutków nałogu jakiego, np. szulerstwa, żadnego nie poprawiły gracza, tedy nie jednego młodego, który już był na drodze, od stania się nim odwiodły; i lubo wada wszelka, nałóg i dziwny zwyczaj nie znikną zewsząd, wyśmiane uderzą jednak pewnie nie jedną szczególną duszę i całym domom rodzinnym wkrótce obcemi się staną.

Epopeje komiczne, komedye, powieści, satyry, epigramata, bajki i t. p. są to znajome nam dotąd poezji komicznej rodzaje. Siła komiczna równie jest w pisarzach jak i traiczna rzadka i dotąd w poezji polskiej nie było żadnego, któryby obie je łączył. *Węgierski, Zabłocki, Jasiński* nie pisali, ile mi wiadomo, elegii ani tragedyi. *Krasicki, Józef Massalski* są prawie żadni w poezji poważnej. W satyrach *Naruszewicz* bardziej jest rubaszny niż śmieszny. *Trembecki*, który tak silny okazał talent równie w budowie dowcipnego, jak poważnego wiersza, w poematach swych komicznych jest tylko tłumaczem.

Najdawniejszy ze znanych świeckich poetów polskich, *Mikołaj Rej*, był poetą komicznym. Wprawdzie poważne doszły nas Reja poezye są co do liczby obfitsze, ale prawdziwy talent jego był tylko komiczny. *Figliki* zwłaszcza są nieocenionym zabytkiem dawnego polskiego komicznego stylu.

Jan Kochanowski w *Carmen Macaronicum* zabawny z samego układu wyrazów, we *Fraszkach* jest częściej nieprzyzwoity niżeli dowcipny w słowach; są jednak niektóre prawdziwą komiczną wesołością tchnące, zwrotami dawnego stylu tem więcej dziś zajmujące.

A co wiedzieć, gdzie chodzisz, moja dziewczko śliczna,
 A mnie tymczasem trapi tęskność ustawiczna;
 Jakoby słońce zaszło, kiedy nie masz ciebie:
 A z tobą i w pół nocy zda się dzień na niebie.

Stań ku słońcu, a rozdziaw gębę, Panie Słasa,
 A już nie będziem szukać inszego kompasu:
 Bo ten nos, co to gęby już ledwo nie minie,
 Na zębach nam ukaże o której godzinie.

Wogólności Jan Kochanowski umiał być w stylu komicznym, kiedy wymagał albo pozwalał przedmiot; podobnych zdarzeń mamy mnóstwo w *Szachach*, kiedy np. Fiedor zastanawia się nad pojechaniem:

.
 A sam po stole położywszy łokcie,
 Myśli nad szachy, a gryzie paznogie.

Klonowicza, który słynął z poezyj łacińskich pod imieniem Acerna, *Worek Judaszów* jest zbiorem satyr, wytykających próżniactwo, chciwość i tym podobne Judasza wady. Wiersz ich nieraz wyborny, komiczny, a dawność stylu, napotykanie wyrazów i zaniedbanych zwrotów nie ujmuje mu wcale siły¹. Patrzmy naprzykład na ten chytrego złooczyńcy obraz:

.
 Wierci się, rzeczą mieni, twarz jako u kura
 Indyjskiego podgarłek, już sina, już bura,
 Afekty się mieszają, bojaźń i sromota,
 Ach! gdyby gdzie do chrósta...

Lub na ten obraz *próżniaka*:

On wie, kto w miasto wjechał, jako wiele koni,
 W jakiej barwie, co za strój, co mają za bronie,

¹ Dawne formy języka, natrafiane w poezji, nieraz nawet wiersz poważny zamieniają w komiczny; tak np. ten czuły Jana Gawińskiego nagrobek:

Chodząc po wsiach, po miastach, w jednej oto drodze
 Śmierć mi z duszą obiedwie podetnęła nodze.

Jako zowią, gdzie jada, gdzie mają gospodę:
 Jako pan urodziwy, jako strzyże brodę.
 On najpierwej na wieże, on lezie na mury,
 Patrząc na nowe rzeczy, w dachu czyni dziury.

.....
 On idzie na wesele, chocia go nie proszą,
 A jakoby na psie raz, choć go też przepłoszą.
 Częsty gość a niewdzięczny nawiedza sąsiady,
 Nie dba na urąganie, zastawa obiady!
 A gdy nie ma dyety, wlezie gdzie do brogu,
 Leży trzy dni, trzy noce, jakoby w połogu.

Obfite być musiały w poemata komiczne archiwa sławnej tak długo *Rzeczypospolitej Babińskiej*, towarzystwa we wsi Babinie, przez znakomitego obywatela Pszonkę, ku poprawie obyczajów (za Zygmunta Augusta) założonego, a którego ostrych pocisków lękano się nawet u dworu; ale pomniki towarzystwa tego w zbyt szczupłej liczbie nas doszły.

Przesada w strojach pici pięknej była dla poetów z końca XVI i początku XVII wieku jednym z ulubionych pośmiewiska celów. *Zbylitowski* (Piotr) wydał wiersz nawet oddzielny pod tyt.: *Przygana wymyślnym strojom białogłowskim*. W wierszu tym styl i żywość obrazów nieraz są komiczne.

.....
 Widzisz, prawy, mój druhu, jakoć się ubrała,
 Jakoż ona w tej szacie będzie tańcowała?
 Abo jako na chyżym obrocie się ruszy,
 A zaś to lekki kozub, abo te psie uszy,
 Co to koło niej wiszą, czworakie rękawy,
 Abo jako jej ciężą na głowie przyprawę?
 Jakby różki na młodej jelenicy stoją,
 Okryła sobie głowę tą przyprawą troją.
 Jednoć sama w tej izbie musi więc tańcować,
 Z takim długim ogonem trudno podskakować.

.....
 Podobnie i *Kasper Miaskowski* w dowcipnym swym wierszu na karnawał w Polsce na przepych w ubiorach narzeka.

.....
 A nie tak snadź malują malarze Dyanny,
 Jako się dziś ustroją nasze w Polsce panny:
 Kto policzy ferety, manele, łańcuszki,
 Choć się na to zaległy w onym domu dłużki?
 Kto szaty haftowane i drut wkoło złoty,
 Że mało snadź od samej sta złotych roboty?
 Nic to, by jedno nie dać nie rżkąc, równy tani,
 Ale kosztem dogonić miłościwej pani.
 A ten towar najwięcej w mięsopesty pluży,
 Gdy sudamny młodzieniec strojnej pannie służy.
 A Kupido stanąwszy na ustroniu w kroku,
 Nałożywszy strzałę swą, ciągnie łuk po oku:
 A tak podczas ugodzi, w serca ich obiedwie,
 Że bez siebie szaleją i żyć mogą ledwie.

Szymonowicz, który w sielankach swoich tak umiał
 trafnie tok wyższego smaku łączyć z prostotą ludu, nieraz
 też wciska w usta swych bohaterów i wyrażenia żartobli-
 wości pełne; tak np. w sielance *Dziewka*:

Dziewka.

Jeszcze tu nie masz z czego chęłpić się, mój Panie,
 Marna rzecz, powiadają, samo całowanie.

Daphnis.

Marna rzecz całowanie, ale w tej marności
 Są też swoje przysmaki, są swoje słodkości.

Dziewka.

Splunę ja te przysmaki i umyję wodą,
 Gdzieś się ust moich dotknął tą kosmatą brodą.

Tenże w sielance *Orpheus* komicznie nam przedsta-
 wia obraz nadętego rozumem.

.....
 Tym gorzej, rzecze drugi, dobrzeby się zgadzać,
 A na te się wysokie dumy nie przesadzać.
 Onegda gdyśmy grali w kręgle przy ostrowie,
 Minał nas jakoby rzekł: wszyscyście błaznowie.

Komiczną jest ta mowa wieśniaka, który postrzegłszy się, że ma coś mniej przystojnego powiedzieć, urywa i poprawia się.

Soboń.

Kiedy po górach chodzisz, nie chodź Phili bosa,
Kiedy po łąkach zdrowa nóżkom ranna rosa,
W trzewiczku do taneczka: a jać go więc kupię,
A ty mnie... lecz podobno moje chęci głupie.

Sielanka *Żenicy*, w której rozmawiają wieśniaczki przy niwie, ma także wiele komicznych wierszy, tam np. gdzie niwiarki śmieją się ze swej starej a zalotnej towarzyszki:

.....
By też co było, coby ludźmi nazwać słusza,
Ale też siostra nasza także w ciele dusza.
A już jej bruzdy dobrze lice przeorały,
I przez włosy gęsto się przebija szron biały,
A przed się wymuskać się, przed się z pstrocinami
Czepczyk na głowie, przed się fartuch o forbotami.
Najśmieszniejsza gdy owo, chce się pieścić z mową.

Dalej, obracają mowę do starosty:

.....
Starosto, nie będziesz ty słoneczkiem na niebie,
Ni panienka ni wdowa nie pójdzie za ciebie;
Wszędzie cię, bo nas bijasz, wszędzie osławiemy,
Babę, boś tego godzien, babęć narajemy,
Babę o czterech zębach; miło będzie na cię
Patrzyć, gdy przy niej siądziesz jako w majestacie.
A ona cię nadobnie będzie całowała,
Jakoby cię też żaba chropawa lizala

Ten ostatni obraz (jak i wiele innych), naśladowany był przez następców Szymonowicza; mianowicie u Gawińskiego w sielance *Baby*:

Alkon.

Zgadnijcie, co wam powiem, a nowego jeszcze.

Thyrsis.

Gdy nam powiesz, zgadniemy. Komuż serce wieszcze
Powinno być, do czego najmniej mu należy.

Alkon.

Baby wszystkie tych czasów za mąż pójdą; świeży
Przykład Dyrce nam dała
. Sama bab za stołem,
Jako na majestacie z glancowanem czołem
Odąwszy się siedziała: gdybyś wiedział karby
Jak w twarzy wyciągnęła, a w plecach zaś garby
Tak zrównała, że góra jakby pochodzista
Od szyi aż do pasa zdała się; złocista,
Którą kitla skrywała, raz gości częstując,
A woli wszystko bożej ten czyn przypisując.

Pełne są mocnej komiczności fraszki *Potockiego* (*Jovialitates*), ale dla wielkiej nieprzystojności słów i obrazów w dobrem towarzystwie czytane być nie mogą.

Moralne i wymowne senatora *Opalińskiego* wiersze nie mają tej wesołej żartobliwości, która duszę satyry stanowi.

Za Stanisława Augusta dwaj pisarze, którzy prawdziwie duchem komicznym obdarzeni byli, są: *Kajetan Węgierski* i *Ignacy Krasicki*.

Krasicki, pracowity i nieraz dowcipny pisarz prozy, wielkim jest poetą komicznym; jego *epopeje* bawiące, *satyry* i *bajki*, są wzorami w swoim rodzaju; poprawność i płynność wiersza, szlachetne wysłowienie, dostojność myśli, są ich zalety stałe.

Styl Krasickiego bajek tak jasny, morał tak trafny, że mimo wielkiej ich liczby, wiersz prawie każdej ostatni zamienił się w narodowe przysłowie. Sama nawet komiczność satyr Krasickiego (tak tych, co pod imieniem satyr, jak i tych, co pod imieniem *Listów* drukowane mamy), zawsze jest, bez wyjątku, szlachetna. Nie jest to wcale rubasznosc Naruszewicza, ani złośliwość, albo łajanie proste Węgierskiego, jakkolwiek skądinąd wiele ostrej soli

mające. Arcybiskup i książę Krasicki odznacza się dostojnie swęj satyry tokiem. W jego stylu komicznym wszędzie poprawność, polor i ton wyższy; wytykanie wad ogólnych, nie osobistych; zwykły zaś oręź ironia. Cała nawet komiczność stylu jego na samej ironii wsparta.

.....
A ja mówię, że głupstwo niezłym jest podziałem.

.....
Jakże siły utrzymać, jak czerstwość zachować?
Próżno krzyczy Hipokrat, próżno Galen szepta;
Głupstwo, głupstwo, o bracia! jedyna recepta.

A poczciwość? Ten przymiot służył czasom dawnym,
A kto wie czy i służył? Każdy wiek miał łotrów:
A co my teraz mamy i Pawłów i Piotrów;
Miał Rzym swoje Werresy, swoje Katyliny.

.....
Nie w tak dzikim już teraz cnota jest humorze:
Umie ona gdy trzeba zyskowi dogadzać;
Człowiek grzeczno poczciwy, kiedy kraść i zdradzać
Nakaże okoliczność, zdradzi i okradnie.

Podobnie w satyrze *Gracz*:

..... Są mistrze uczeni:
Co kiedy zechcą, żołądź uczynią z czerwieni;
Co panfila z kinala; a gdy karta zmyka
Z króla kralkę uczynią, a z tuza niżnika.
Świat się przepolerował.

.....
..... Cierpże z takim myślenia sposobem,
Wolę ja być Krezusem, aniżeli Jobem.

Węgierski więcej miał może żywey komiczności, ale w wyrażeniach, obrazach zbyt często nieprzystojny. W ubogim zrodzony stanie, gorejąc złościwością ku bogaczom, urzędnikom, nawet ku pici niewieściej, zuchwale i otwarcie przeciw całej Warszawie i narodowi w swych wier-

szach powstawał. Węgierski najczęściej osobiste wytykał wady, lubo się z tego nader dowcipnie uniewinniał.

Chociem rzekł na wiatr, że kto czuły albo głupi,
Tysiąc się ludzi do mnie pytać o to kupi,
Czy nie o nich to wzmianka.

O ubóstwie swoim w każdym prawie wierszu wspomina:

Licniejsze miał od moich wielki Cezar lata,
Kiedy płakał, że jeszcze nie był panem świata,
Mnie pewnie tym podobne nie frasują troski,
Nie świata chcę być panem, ale dobrej wioski.

W innym też miejscu między innymi mówi:

Gdyby mię pięknym stworzyła natura,
Małobym wcale troszczył się o siebie,
Bo mię babunia pokochawszy która,
Hojnąby rączką wspierała w potrzebie.

.....
Albo też gdybym urodził się panem,
Doszedłbym chwały i względów świątyni,
Byłbym rozumnym, grzecznym i kochanym.

.....
Złe czasy, nie ja.

Złośliwość, pożerająca serce Węgierskiego, dodaje żywości i komiczności każdemu jego obrazowi.

.....
Niespracowany senator choć w drodze
Dźwiga na sobie swej godności znaki:
Wstęgi na piersiach, ledwie nie na nodze,
Opończa nawet wydaje: kto taki.

.....
Księżna małżonka, przykład płci niewieściej,
Co sama jedna męża uczcić umie,
Z gronem potomstwa na najpierwsze wieści
Śpieszy spotykać...

Wjazd Senatora.

.....
 Choćbym miał być łańcuchem do ściany przykuty.
 Urwałbym się i jechał dzisiaj na reduty.

Co za tłok! Przejść nie można, pcham się sobą całym,
 Jakie to jest nieszczęście być ślepym i małym!
 A tak przecie dziękuję ci, panie wysoki,
 Żeś mnie raczył przed siebie puścić na dwa kroki.
 Będę wielbił twą względną grzeczność, bo inaczej
 Nie widziałbym tych masek i byłbym w rozpacz.

Ostatni Włorek.

Krasickiego epopeje komiczne: *Monachomachia*, *Anti-Monachomachia*, *Myszeis*, wiele mieszczą lekkości, wesołości, sztuki. Zdaje się jednak, że ośmiorymowe trójplecione strofy nie są przyjazną dla żywej komiczności formą. Tworzył je Ignacy Krasicki na wzór Kochanowskiego (Piotra) i poetów włoskich; ale w ten sposób wiązał się w swobodzie, a naciągniętym rymem psuł nieraz harmonię.

Poemata Krasickiego, jako każdy wzór wyższy, znalazły wkrótce wiele naśladowań; odznaczają się między temi *Bibeida* Rajmunda Korsaka¹, takąż formą i poprawniejszą, lubo nie z tą lekkością pisana, i poemata żartobliwe *Sprzeczeki* i *Ciańcia* Jasińskiego.

Jenerał *Jasiński* więcej jeszcze żywości, różnaitości, niż Krasicki w poezyach swych mieści; nie wiąże się wcale równym, odlewany wierszem, a tak w swym stylu, jak w treści i zdaniach, śmiałem okiem i ręką za ubóstwiane wtedy szkolne prawidła wygląda. W poemacie *Sprzeczeki* uwiedziony przykładem wzoru, za zbyt może daleko się posuwa w żartobliwej o rzeczach świętych mowie, lecz w toku wiersza i komicznej sile nieraz w lekkości niedorównany. Samo zaczęcie poematu zdradza zaraz naśladownictwo obrazów Krasickiego:

¹ Znana jest ze swej komicznej wesołości przedmowa tegoż autora do Poezji Baki.

Niedaleko przy Krakowie,
Zapomniałem, jak się zowie,
Leży uboga mieścina,
Tam się kończy, gdzie zaczyna.

.
Dwa klasztory, jedna fara,
Karczma nowa, karczma stara,
Ale obie jak zwyczajnie,
Błotne, brudne, gdyby stajnie.
Pytać żyda co potrzeba,
Nie ma siana, nie ma chleba.

Autor ma dar niezmqczony przedstawiania najpoważniejszych obrazów, najsmutniejszych myśli ironicznie i śmiesznie. W nocy jasnej kreślenia i sam poważny księżyć wesołego pióra nie uszedł.

Noc była jasna: księżyc pogodny
Tłustemi pyski śmiał się do ziemi,
Za nim gwiazd świetnych orszak swobodny
Błyskał naprzemian wdzięki drogiemi.
On pożyczoną dumny ozdoba,
Jak ów elegant w sukni zastawnój,
Cały świat wielki napełniał sobą.
Był grzeczny, ładny, śmieszny, zabawny,
I zdał się kontent mówić do siebie:
Ja tylko jeden świecę na niebie.

Gorczyzewskiego satyra *Gotowalnia* jest wzorem komiczności w obrazach i stylu. Równie tok wiersza *Dmóchowskiego* (tłumacza *Iliady*) *Ułomek bicza*, jest pełen komicznej siły. Sztuki komiczne *Fr. Zabłockiego* odznaczają się nieraz nieporównaną lekkością, płynnością i poprawnością wiersza, a wszystkie prawie żywa komiczność zaleca; wiersz zwłaszcza *Zabobonnika* jest arcydziełem komicznego toku, samo łamanie częste iloczasu dla rymu jest tu pomocne; język skądinąd najpiękniejszy, najczystszy, jak zwykle poetów puławskich.

Wspominaliśmy już wyżej podobnie o wybornych *Juliana Niemcewicza* sztukach.

Pomiędzy przekładami poematów komicznych celują: *Syn Marnotrawny* Trembeckiego, *Amfitryon* Zabłockiego, *Satyry* Boala Górczyczewskiego, *Faeton* Zacharii przez Wyżzkowskiego i *Kobiety Filozofki* przez Borowskiego. W *Faetonie* od początku do końca nieprzerwaną jest słodycz i ciągła łatwość wiersza: równego rodzaju toku w oryginalnych polskich poezjach nigdzie nie spotykamy.

.....
 Przebudzona piszczałką, zrywa się co siły:
 Co tu robisz tak rano, Fryderyku miły?
 Czy myślisz gdzie wyjeżdżać, żeś w tak czas ubrany?
 Jadę, odpowie baron, do mojej Dyany.

.....
 — Ach, Joasiu, hrabianka rzecz ucieszona,
 Jutro będę się sama wiozła z faetona!

Ocenienie i rozbiór, a nawet same wzmianki o szczegółach dramatycznej poezji, osobnego wymagały listu, rozleglejszych roztrząsań, przemowy; tak tu zatem, jak i w dawniejszym liście nie tylko nie rozbieram, lecz nie wymieniam nawet główniejszych sztuk dramatycznych. *Bogusławski*, *Dmuszewski*, dodać tu tylko muszę, iż są z liczby tych, co najliczniejsze zasługi w zawodzie teatralnym, mianowicie komicznym, położyli.

Dwaj naczelnicy, żyjący, poematów żartobliwych twórcy są: *Aleksander hr. Fredro* i *Józef Massalski*. Pełnym wyższego dowcipu komicznym dramatom Fredry wszystkie tu poklaskują teatru; poemata Massalskiego drobniejsze są, ale duchem i stylem komicznym równie są odznaczone. Że wielkiej tych poematów części treść jest skądinąd znana, za wielką to wadę nie staje. W poezji opowiadanie większą niż wynalazek jest sztuką. Znakomitsze epeje rycerskie wszystkie prawie są naśladowaniem Iliady. Mnóstwo było we Włoszech poematów o Orlandzie, nim Ariost wydał swojego. Komedy Terencyusza i Plauta, w ogóle swoim, są żywcem komedy greckie. Treść hajek La Fontaina wszystka prawie z Ezopa i Fedra. Przedmioty dram

wielkich Szekspira brane lub ze sztuk obcych, albo z powieści włoskich, hiszpańskich, angielskich. To jednak wszystko jest żadnem w porównaniu z piórem poety; bo raz jeszcze to mówię, w poezji raczej szczególnie niż ogół uderza, raczej opowiadanie niżli przedmiot jego. Tem to więcej w poezji komicznej.

Żartobliwe poemata Massalskiego są: *Powieści, Bajki, Baba Wielkanocna, Śmierć Kanarka, Listy* i t. p. Może bajki Massalskiego nie mają tej słodkości i soli, jakie są właściwe bajce Goreckiego, ale żaden z bajkopisarzy polskich nie miał daru tak wesołego i bawiącego opowiadania; wesołość bajek Trembeckiego za ciężka jest, za rubaszna; bajki Krasickiego więcej mają satyryczności myśli, niż wesołości stylu i powieściowej żartobliwości; bajka Niemcewicza jest nazbyt rozwlekła¹. Allegorya bajki Massalskiego jasna, styl lekki, rozmaity, siły komicznej pełny; patrzmy np. tę bajkę o niedobranem małżeństwie:

Aż się cały świat zdziwował,
 Żółt się w żabie rozmiłował.
 Ale w żabie,
 Nie w babie.
 Owszem młoda i gładka
 Była żółwia sąsiadka.

— Wnet jegomość i w swaty.

Do swej niebogi
 Niema złej drogi.

Choć sto kroków do jej chaty,
 Szedł kawaler tylko tydzień.
 W niedzielę dał jej dobry dzień,
 W poniedziałek był żonaty.

A jak mówią ludzie starzy,
 To się rzadko widzieć zdarzy,

¹ Nieocenione Jachowicza bajeczki, tak nieraz wdziękiem wiersza, jasnością morału słodkie, dla nauki dzieciom jedyne; są raczej przypowieści niż bajki.

By się która tak kochała,
Jako ta para wspaniała.

Ale cóż po tej miłości?
Mąż powolny, jejmość żwawa;
Ni romanse, ni zabawa
Nie czyniły przyjemności.
Bo czy do krewnych gościna,
Czy to przechadzka wypadła,
Sto razy pani żółwina
I podskoczyła i siadła,
Była na łące, w potoku,
Póki mąż zrobił pół kroku.
A on jak mógł usiłował,
By nie znudzić lubej żony,
Nieraz truchtem iść próbował,
Nieraz przystał uznojony;
Lecz próżne znoje i poty,
Imość z tęsknoty
Wpadła w suchoty.

Mąż gdy się prędszym być stara,
Wkrótce stracił siły swoje.
I tak zginęli oboje.
Żle, gdy niedobrana para.

Krótkie poema *Baba Wielkanocna*, inne: *Śmierć Karnarka*, *Listy* i t. p., wszystkie tchną siłą śmiechu, uderzają gładkością wiersza, w stylu swym rozmaite, bawiące, powabne. Ale największy autora talent jaśniej w powieściach jego; styl, układ, myśli, obrazy, wszystko w nich komiczności pełne. Massalski, jak niegdyś Jasiński, żadnego charakteru nie może, żadnego skreślić położenia, aby się nie śmiał; ani król, ani uczonec, jakkolwiek bohaterowie powieści, nie uszły komicznej strony. Jak doskonale w *Faustynie* skreślenie *świętyni próźnowania*, a dalej obraz odmienionego, lubiącego nauki Faustyna, skoro mu to próźnowanie w czasie snu w kości wpłynęło:

Dzień nastał, budzą Faustyna,
On się z niechęcią ocucił.
Zapytał: która godzina?
I do ściany się odwrócił.

Budzą Faustyna powtóra,
 Faustyn patrzy jak przez chmurę,
 Podniósł się, w głowę podrapał,
 Pantofel na nogę włożył,
 I znowu spać się położył,
 I znowu smaczno zachrapał.

Wstał wreszcie. Jak ołów głowa.
 Z nałogu zajął się pracą;
 Przeczytał ze cztery słowa,
 Trafił na rozdział ladaco,
 Odrzucił kartę i drugą,
 I czytał bardzo nie długo.
 Wstał, chodził, usiadł, wziął pióro,
 Idzie tępo, jak z kamienia.
 Próżno swe trudy odmienia,
 Wszystko nudno i ponuro.
 Tak ponuro i tak nudno,
 Że usiedzieć w domu trudno.

Gdybyśmy chcieli główniejsze przykłady doskonałej komiczności z poezyj Massalskiego przytaczać, musieliśmy wypisać podobnie wszystkie powieści i bajki. Z powieści nieporównaną lekkością i różnaitością stylu najwięcej się odznacza *Johanka*.

Od wyjścia ostatniego tomiku poezyj Massalskiego, nie widzieliśmy tu prawie poezyi komicznej. Poeci szkoły litewskiej rzadko się uśmiechają, ukraińscy prawie nigdy, Mickiewicz, Chodźko, ani Julian Korsak nie mają siły śmieszności; jeśli w *Popasie Upitskim* albo *Derarze* pragną czytelnika rozśmieszyć, wiersz ich staje się naciągany, strzyżony, nienaturalny, komiczność ich zdaje się nie iść z natchnienia, ale z układu i pomyślenia, co właśnie jest najgłówniejszą do szczerego rozśmieszenia przeszkodą. Tylko Odyniec w powieści *Strachy* i balladzie *Wesele* prawdziwie komicznym okazał się poeta.

Z krótkich poezyj komicznych epigramata *Ig. Legatowicza* celują łatwością wiersza i satyrycznością natchnienia—

II

Z CZASOPISM, DO ROKU 1866

I.

DWAJ OSTATNI KRYTYCY W POLSCE.

Krytyki, prawa sztuki, ustawy smaku i sądu, jak szkła i rachunki dla biegu ciał w górze, dla tworców myśli zdają się być zbyt. Nie krytyka genialnych pisarzy, genialni owszem pisarze tworzą krytyczną szkołę. Cel jednak krytyki jest wielki. Przedmioty, zjawiska świata nie tak bywają cenione, jakimi są rzeczywiście, lecz za jakie ma je głos powszechny. Księżyc próżno jest ciemny, lud go zawsze mieć będzie za ognisko światła; gwiazda próżno jest słońcem, dla ludu zawsze jest iskrą. Sąd ogółu nie sięga daleko. Zamknięci w pewnej liczbie wyobrażeń i poznań nabytych, ludzie nie mogą myśleć jedno podług tych wyobrażeń i poznań; obraz nowy, na który patrzą, oceniają i sądzą podług praw i zalet pierwszego; utwór myślny, który czytają, podług utworu innego, który za wzór im kładziono. To naśladownictwo sądu tak się wrodzonym stało, że i samą naturę za niezdolną do nowych dróg sądzą. Przy nowego człowieka wzroście, jeśli go widzieć chcą wielkim, szukają w nim naprzód *podobieństw* do innego, który był wielkim. Przy nowej książki wydaniu, jeśli ocenić ją pragną, pytają się o to naprzód: *do czego przyrównać ją można?* Te wady i błędy sądu mają właśnie

być krytyki celem. Subtelne wdzięki pisma, nowe umysłu drogi, zalety lub wady utworu, smakiem tylko ukształconym i czulszym i okiem nauki dostrzegane, krytyka w sąd powszechny przelewa. Krytyka ocenia, rozważa, sądem narodu kieruje, przedmioty świata łączy, rozdziela, rozjaśnia, każdemu miejsce naznacza. Powołanie więc krytyki ważne; jej szczegółów rozwijanie, badanie, nigdy nie może być zbyt zbytecznym.

Wynalazki, odkrycia, pomysły, wszelkie wogóle plody i utwory ludzkie dzielą się same przez się na *fakta pierwszego rzędu* i na *fakta drugiego rzędu*. Fakta nowe, pierwotne, z żadnych kombinacyj nie wyszłe, wyższą tylko myślą stworzone, z przypadku, z powołania poczęte, mieszczą się w rzędzie *pierwszych*; wynalazki, utwory, pomysły, naśladowania tamtych, z zastosowania lub ich rozwinięcia idące, należą do rzędu *drugiego*. Pierwsze są owocem *natchnienia*, drugie *obserwacyi*. Natłok w wieku naszym pism nowych, rozdrobnienie i podział nauk, taniłość ksiąg odbijanych, łatwość ich krążenia, nie pierwiastkowym natchnieniom, lecz obserwacyi sprzyja; stąd licznie wychodzące za dni naszych księgi są bez wyjątku prawie faktami rzędu drugiego. Nie mówimy tu wcale o pismach niegodnych wzmianki, mówimy o tworcach talentu.

Naukowe pisma, rozprawy, wychodzące u nas, nie tylko są pospolicie faktami rzędu drugiego, lecz naśladowaniami tych faktów. Nieufność we własnych siłach, lękliwość w puszczeniu wodzy własnym pomysłom, ślepe wielbienie i wiara w zachwalone przez obcych wzory: te są pisarzy naszych więzy i zwykłe cechy; odważających się na myśl własną — odrębność, zarywanie i znowu lękliwość.

W wieku XVI. i XVII. nie mieliśmy żadnej krytyki literackiej; pisano tylko o prawie, o urządzeniu kraju, nie raz prawda stosownie do krajowych potrzeb; czasem też o wadach domowych, jak o tem pisali Włosi. Za obudzeniem się krytyki pisma gdzieindziej, obudzono się razem i u nas, a pierwszego, co obce prawa do pism zastosował

krajowych, za wielkiego krytyka obwołano¹. Te obce a mylne nie dlatego tylko, że obce, dobrego smaku i miary sądu ustawy trwały i przeciągały się prawie do naszych czasów. Ci, którzy dalej trochę odważali się wyrzec i posunąć pióro, okiem czynili to lękliwem i niepewną ręką; uwalniano się z więzów, ale o tyle tylko, o ile europejski Encyklopedyczny Przegląd² uwalniać i posuwać się ośmiałał. Jeden prawie Brodziński Kazimierz, najbardziej z krytyków naszych dotąd praktyczny i narodowy, wśród chmury przebijał się, wyglądał, nawet słońcem błyskał niekiedy. Ale wtem głos niespodziany, głos krótki, lecz żywy i silny ozwał się, że złote przeminęły już czasy, że dzisiaj chcąc zostać krytykiem, nie dość jest patrzeć na prawidła obce; że nowe powstające arcydzieła sztuki nie mogą być mierzone podług ustaw dawnych; że dla dobrego krytyka trzeba dziś głębokiej nauki, niepodległości sądu i wielostronnych poznań³. Głos ten nie ozwał się próżno; krytycy późniejsi nową odznaczyli się cechą.

Na czele tej nowej ery stają księgi dwóch krytyków. Pierwszym był Maurycy Mochnacki, autor dzieła o »Literaturze polskiej w wieku XIX«, drugim zaś autor dzieła »Literatura i krytyka«⁴, wydanego w b. r.

Autor księgi o »Liter. polskiej w w. XIX« zaraz na czele pisma wypełnia żądane warunki. Mając mówić o literaturze i w szczególności polskiej, zaczyna od różnych nauk; mówi o ziemi, o gwiazdach, o skałach, kamieniach, o ich działaniach, rozkładzie i składzie, okazuje w ten sposób głębokość nauki i wielostronne poznanie. Stara się nawet okazać własność i niepodległość sądu i mówi o samopoznaniu, czyli o *uznaniu siebie w swoim jestestwie*, do

¹ [Autor ma tu zapewne Stanisława hr. Potockiego na myśli].

² [Alluzya do głośnych w owym czasie miesięczników francuskich].

³ [Jest to napomnienie dotyczące sławnej przedmowy Mickiewicza »O krytykach i recenzentach warszawskich«].

⁴ [Autorem »Literatury i krytyki«, której 1-szy tom wyszedł w Wilnie r. 1837, jest Michał Grabowski (1805—1863)].

jakiego naród polski w literaturze w XIX. wieku przyszedł; a ten ostatni przedmiot bardzo zrećnie zgadza z ostatnim wymaganym warunkiem: a mianowicie by głównie mówić o poezyi *narodowej*. Nieszczęściem jednak wszystkie te teorye i zdania nie własne są, ale obce. Autor, który dowodzi w swojej księdze, że naród polski w wieku XIX. przyszedł do poznania siebie w swoim jestestwie, dowodzi jednak tąż księgą, że w krytyce to się jeszcze nie stało. Zaraz na pierwszych stronach położone słowa: »Tę dwoistość bytu prawdziwego i omylnego widzimy także w ludzkim społeczeństwie« — wydają szkołę, której się trzyma. Filozofię natury, stworzoną i uprawianą w Niemczech, przez krytyków i filozofów niemieckich do estetyki stosowaną, autor do literatury polskiej zastosować pragnął. Słowa Schellinga¹ i szkoły Schellinga, jej teorye i zdania powtórzył. Mając zaś mówić o literaturze polskiej, o kilku tylko poetach Litwy i Ukrainy wspomniał, kilka szczęśliwych lub mniej szczęśliwych myśli o kilku utworach ich rzucił.

O dziele tem wspominamy krótko. Pisma i rozprawy p. t.: »Literatura i krytyka« mieszczą daleko więcej prosto krytycznego żywiołu, własnego i krajowego; nad niemi zatem obszerniej zastanowić się chcemy.

Pomimo bierny tytuł tej nowej krytycznej księgi, autor na pierwszych kartach określa cel swego pisma: Zadaniem literatury naszego wieku, mówi, jest utworzenie poezyi narodowej, albo raczej poezyj narodowych. Zamierzam moim, dodaje, jest dowiedzieć się, jak daleko posunęliśmy przypadającą na nas część tej pracy (str. 9). W tym celu zbudował autor porządną krytyczną księgę. W 1. oddziale rozwija teoryę poezyi, w 2 stara się dowieść, że zadaniem naszego wieku jest utwór narodowej, lub raczej

¹ [Fryderyk Wilhelm Józef Schelling (1775—1854), w pierwszej dobie swego filozofowania zajmował się filozofią natury, lecz łączył z nią najściślej filozofią sztuki].

narodowych poezyj, w 3 nareszcie, czyli w II części przystępuje do zamiaru głównego: do rozbioru poezji ukraińskiej. Umieszcza zaś jako wstęp artykuł o *Literaturze francuskiej* i jako dodatek o *Epopei przyszłej*.

W I oddziale określając słowo *poezya*, autor nową jej chciał stworzyć teorię. Co rozumieli starożytni przez wyraz *poezya*, wiedzieć dziś nie możemy z pewnością. W języku greckim brzmienie jej oznaczało utwór. Z Poetyki Arystotelesa i Horacyusza widzimy, że pod to nazwisko też same podciągali przedmioty, jakie i nasze poetyki podciągają szkolne. Ta rada Horacyusza: *ut pictura poesis sit* jasno nas przekonywa, że *poezya* i malarstwo nie były rzeczą tąż samą; teoretycy jednak dzisiejsi, patrząc na wspólność wypływu, na zaród sztuki, nie tylko malarstwo samo, ale nawet muzykę, rzeźbę, budownictwo i wszystkie sztuki piękne pod słowo *poezya* podciągają; takie uobszernienie znaczenia *poezyi* nie ułatwia bynajmniej ocenienia dzieł poetycznych; takie uobszernienie znaczenia dobrze znanego słowa jest nawet szkodliwe teorii, bo dowolne, bo przypuszczone, do urojania raczej, nie do zastosowania wiodące. Autor »Lit. i krytyki« zamiast ściśnienia znaczenia tego do mowy potocznej, dalej postąpił jeszcze i dobrą wiarę swych poprzedników zdradził; przy tak bowiem dalekiem i silnem tego tajemnego słowa pojęciu, autor okazał jasno w budowie nowej teorii, iż ta nie tylko oporu, lecz nie ma istoty i prawdy. Sam to nawet zgóry wyznaje: »Możnaż (mówi na str. 10) z wyobrażenia *poezyi*, z wyobrażenia, które ze *swojej istoty* tak jest odmienne, zrobić *coś*«. Pomimo tę jednak uwagę, w całym oddziale I na 70 stronach stara się tę istotę określić. Autor nie tylko muzykę, snycerstwo, malarstwo i wszystkie sztuki piękne uważa za *poezyę*, ale powiada, że *cały ten świat jest poezyą* (str. 32). Ten przedmiot zaś porównania, który nas miał objaśnić, tak zaraz określa: »Świata tego *nie znamy*, typu jego piękności *nic tu nie tłumaczy*, nic nie objaśnia; jego fenomena odpowiadać muszą proporcji jakichś fenomenów, których

znać nie możemy tutaj; on układa się, że tak powiem, w równowagę z czemś, *co jest poza granicami naszej wiedzy*« (str. 32). Sam się więc zraża i w dalszem rozwinięciu teorii stara się dowieść, że poezją *nie jest ten świat, ale inny*¹, i wreszcie że ani ten ani drugi, ale rzecz jakaś pośrednia; *»jakiś stosunek tego do innego świata«* (str. 34). Czuł jednak dobrze, że pisząc teoryje autor, że podobne określenia poezyi, na urojeniu wsparte, zbyt różne są od znaczenia, jakie wszystkie języki do jej pomysłu i istoty wiążą; poezyę więc mowy potocznej (lubo nikt jej podobnie w mowie ustnej ani piśmiennej nie zowie) *poezyą-sztuką* nazwał i tak ją określa: *»Poezya-sztuka jest swobodna kreacya umu ludzkiego, nosząca na sobie znamię piękności«*. Świat jednak, na którym żyjemy, i ów świat drugi, o którym wspominał autor, nie są bynajmniej kreacyą umu, ale owszem sam um jest owych światów częścią; do jakiegoż więc celu, do jakiego zastosowania dowiodą dwie czy cztery tak różne jednego słowa teoryje? Jak owszem z błędnych teoryj wnet błędne tworzą się wnioski, sam to autor własnymi dowodzi słowy: *»Dlatego to poezya i poeci, powiada, są tak rzadcy. Poeta musi to być rozum swojego narodu i czasu. Co to za bezsens, kiedy utrzymywano, że poezya może być oddzielną od wielkiego rozumu«* (str. 37). Niżej zaś: *»Niema tak grubego, dzikiego narodu, któryby nie wyjawil swego uczucia poezyi; niema tak pospolitego człowieka, któryby czynem przynajmniej nie wydał jej kiedy«* (str. 66).

Zaprzestawszy jednak na tem określeniu poezyi, autor w następnym dziale pragnie rozwiązać pytanie: *»Jakie jest zadanie wieku naszego co do poezyi?»* i wnosi, iż *»celem dzisiejszych prac Europy jest wyrazić w kreacyach sztuki całą skrytość swojego indywiduum, przeszłość, ród, edukacyę historyczną; jednym słowem narodowość, czyli narodowości swoje«*. Wyznać tu zgóry wypada, że uważany przez autora przedmiot nie jest obrany szczęśliwie. Mówić

¹ *»Te formy innego świata nazywam ja poezyą«* (str. 33).

i rozprawiać o rzeczy, której jeszcze nie znamy, o wieku, który się ledwie zaczął, jest trochę zawcześnie. Kiedy autor w ciągu tej rozprawy dowodzi, »że duch końca przeszłego wieku *musiał* znaleźć swój poetyczny organ« (str. 85), że »od Woltera do Byrona *już tylko krok jeden pozostał*« (str. 89), temu nikt zaprzeczyć nie może: fakta są bowiem widoczne; przepowiadać przeszłość jest łatwo, ale teoria przyszłości nie może być równie pewną, zmieniać się owszem musi z każdym lat dziesiątkiem; sam autor »Lit. i kryt.« czuć to najlepiej musiał, kiedy drukując rękopis przed sześciu ledwie laty pisany, o *zawodzie nadziei swoich* po kilka razy wspomina. W ciągu zaś samej rozprawy najgłówniejszą widzimy tu wadę, iż dzieli błędy poprzedników swoich, poezję historyczną za jedno z narodową bierze, romantyczną i ossyaniczną od narodowej odróżnia.

Cóż to jest poezya Ossiana? Pieśni góralów dawnej Kaledonii o dziejach jej i rycerzach w IV w., dawnym ich językiem śpiewane, do połowy przeszłego wieku podaniem ustnem przechowane, przez miłośników poezyi dawnej zbierane i przekładane, znane są w Europie pod imieniem poezyi Ossiana. Cokolwiek niewierzący przeciwko istocie i prawdzie tych pieśni powiedzieć mogli, to jednak zawsze pewna, że poezya Ossiana jest poezją ludu dawnego; że zbieracze jej i tłumacze odziewając ją w pewne formy, pierwotnego jej nie zatarli piętna. Tok prosty, naturalny, styl zawsze silny, nieraz figuryczny (właściwy mowom dzikim, nie bogatym jeszcze w obroty), nienawiść religii Druidów, brak wszelkiej innej, żadna wzmianka o klanach, bez których nie stąpi gór śpiewak¹, wszystko to silnie mówi za starożytną ich cechą. Za cóż więc ta poezya, tak dawna, tak długo przez naród śpiewana, o dziejach tylko, wypadkach tegoż narodu mówiąca, nie ma się zwać narodową? Autor »Lit. i kryt.« poezyj Ossiana nie

¹ Główne dowody Dr. Blaira z powodu listu sceptycznego Hume.

ma za poezję Ossiana, a natenczas dłączegóż ją ossyani-
czną zowie; albo uznaje jej autentyczność: a natenczas
dłączegóż ją od narodowej odróżnia? Najbardziej history-
czny i narodowy poeta angielski, Walter-Scott, w poema-
tach swych i celniejszych balladach, właśnie duch i styl
pieśni Ossiana¹ przejmował i naśladował.

Walter Scott, mówimy, był poetą historycznym i na-
rodowym; można bowiem być historycznym a narodowym
nie być (Goethe w *Ifigenii*), można zaś nawzajem być na-
rodowym, a nie być historycznym (*Béranger, Byron*). Au-
tor »Lit. i kryt.«, jak równie autor »Lit. Pols. w XIX. w.«,
idąc wzorem poprzedników swoich, w historycznej poezyi
tylko narodowość widzą; autor »Lit. i kryt.« powtarza na-
wet nieraz, iż poezya historyczna i narodowa jest jedno
i to samo. Wprawdzie poezya, kształcona z powieści i po-
dań gminu, jest narodową zawsze, lecz czyliż klasa wyższa
nie ma cech równie wybitnych i własnych, które od klasy
wyższej innych narodów ją różnią? Poeci dworu Augusta
w Polsce różnią się od poetów dworu Karola lub Anny.
Osoby dramatu Fredry nie są to wcale osoby sztuk dra-

¹ Duch i styl poezyj Ossiana nie ma być pojmowanym z przekła-
dów stałego ładu. Zbyttnia sentymentalność i tkliwość, albo nadętość
i górność są pospolitą ich cechą. Krasicki np. w poemacie »Fingal« pro-
stotę i figuryczność tekstu całkiem odmienił lub zatarał. Dosyć jest spoj-
rzeć na początek. Tekst (przekład poezyj angielski jest tekstem dla Eu-
ropy) zaczyna z prostotą: *Cuthullin sat by Tura's wall: by the tree of the*
rustling sound. His spear etc., ale poemat »Fingal« był to poemat ry-
cerski, styl więc powinien był być górny i wzniosły: bo takie są miej-
sca w Iliadzie, i lubo, jak mówią historycy, pierwsze niejaki w Irlandyi
domki wzniesli w 795 r. Duńczycy i Norwegowie, czyli Ostreliny. dotąd
zaś mieszkowano po chatach plecionych z sitowia lub słomy, a przedmiot
poematu Fingal do IV. odnosi się wieku, tłumacz jednak nie śmiał po-
wiedzieć z tekstem: *Kuthullin siedział pod wałami Tury, pod chwianem*
wiatrami drzewem i t. d., ale tak zaczął:

Tam, gdzie się wznoszą wieże niebotyczne (1)

I Tury bramy i twierdze rozliczne; (1)

Gdzie wiatr gałęzie kołysał powoli,

Siedział Kutulin pod cieniem topoli i t. d.

matycznych Moliera. Tureckie i hiszpańskie powieści Byrona wcale z historyi nie są, a przecie naród cały mieni go narodowym; bohaterzy ich bowiem są to splełne lordy, na których codzien spogląda. Nie tylko więc, powtarzamy, poezya gminu, nie tylko historyczna, ale i wyciągniona z narodowości klas wyższych, jest narodową równie; nie tylko w balladzie, dumie, powieści i romansie, ale i w sonecie i w satyrze, w poemacie opisowym i nauczającym, i w operze i w bajce i w politycznym wierszu, narodowym być można.

Zgadzamy się więc z autorem, że na wzór Niemiec i Anglii każdy prawie naród w bieżącym wieku starał się o poezyę własną, *historyczną*, że na to poświęcił lat kilka; ale nie sądzimy bynajmniej, aby to być miało i dalej całego wieku czynnością; a i tego nie możemy nie wiedzieć, iż przez to poezyę swoją nieraz naśladowną bardziej (przez naśladowanie form obcych) niż narodową czynił. Autor sam to czuć musiał, kiedy na zakończenie dwóch tych swego pisma oddziałów, w osobnym artykule o dzisiejszej literaturze francuskiej powiedział, i o żadnym z historycznych kraju poetów mimo obrany i dowodzony swój przedmiot, ze szczególnem uwielbieniem nie wspomniał. W artykule tym autor, jakby z urazy za niesprawdzoną nadzieję, za porzucenie (już dzisiaj) historycznej szkoły, powtarza powszechne w Europie lamentarzy krytycznych głosy i na bezecność nowej literatury we Francyi powstaje. Młodych francuskich pisarzy równa do greckich ilotów¹, którym się kazano upijać, aby brzydkość pijaństwa okazać, a pióro w ich ręku trzymane mieczem szalonego nazywa². Autor umieszcza ten artykuł jako ustęp; i my więc jako ustęp możemy to dodać i wyznać, że w tych przyznawa-

¹ [helotów].

² [Autor wspomina tu ustęp: »Literatura francuska«, znajdujący się w 1-szym tomie »Literatury i krytyki«. Daleko gwałtowniej wystąpił Grabowski w drugim tomie swego dzieła, pisząc: »O nowej literaturze francuskiej, nazwanej literaturą szaloną«].

nych powszechnie skażeniu smaku i umysłowemu upadkowi tworach nie tyle istotny upadek, jak raczej przedmówny postęp widzimy. Cokolwiek bowiem o istotnym geniuszu dzisiejszych pisarzy Francji powiedziećby można, to jednak pewna, że zakres i bogactwo umysłowych twórców znacznie się pod ich piórem zwiększyły i rozszerzyły. Pisarze dzisiejszych powieści kreślą nie idealnych ludzi, nie ludzi wybranych, lecz takich, jakimi są, jakich na świecie jest więcej; bohaterki i bohaterzy powieści, które w romansach dawnych nie mogły nigdy być inne jak tylko cuda piękności, wzory stałości i cnoty; w romansach i powieściach dzisiejszych są to istoty prawdziwe, więcej wad pospolicie niżli przymiotów mające. Wszystkie ułomności i wady, wszystkie dziwactwa myśli i położeń wprawiane są dziś w obraz, kreślone. Na zdaniu o literaturze francuskiej i krótkim domówieniu kończy się rozpraw część I.

W części II, skreśliwszy autor obraz Kozaczyzny i znaczną część pieśni ukraińskich w Maksymowicza zbiorze umieszczonych, w polskim tłumaczeniu przywiódłszy, przystępuje do głównego księgi swej przedmiotu i mówi w osobnym oddziale o *Elemencie poezyi ukraińskiej w poezyi polskiej*. »Zamiarem moim jest, powiedział autor w zakończeniu, dowiedzieć się, jak daleko posunęliśmy na nas przypadającą część pracy w narodowej poezyi utworze«; pomimo zaś ten jasno objawiony zamiar, nie mówi o żadnym innym tylko o ukraińskim w poezyi polskiej żywiole. Autor więc ukraińską tylko poezycę uważa za narodową. Są inni, którzy tę narodowość widzą tylko w szkole litewskiej. Inni w mazurkach i krakowiakach. Inni w sielankach Kniaźnina i t. p. Lecz poezya polska, jak język, nowych dla swych określeń wymaga prawideł i nie może być rozważaną według ogólnych krążących w Europie ustaw.

Polityczne narodu dzieje, jego poranek życia, jego z różnych plemion kształcenie się i powstawanie, jego odznaczenie się wreszcie spólną budową i kształtem, wieczną na tworach jego wybijają cechę. Z Wizygotów, Burgundów »

Normanów i Celtów ukształcone królestwo Franków, połączyło je z sobą w stanie dzikości jeszcze, kształciło razem z nimi nowy dla kraju język, nowy zaczęło razem polityczny zawód i dopiero po długim czasie, w kilka dopiero, a raczej nawet w kilkanaście wieków, gdy oddzielne pamiętki już znikły, szczególne dzieje stały się niepewne, i gdy cały polor narodu *zamknął się w jednej stolicy*, umysłowy swój i piśmienny rozpoczęło zawód. Na rzeczypospolite, królestwa i księstwa w samym nastaniu swoim rozdzielone Włochy, mogąc narodowością pełną rozmaitości zabłysnąć, do samych ją teatrów i oper ścisnęły. Rozległe, poetyczne i pod kilkunastu rządami dzisiaj zostające Niemcy, jedną nam także tylko historyczną poezję dają; ich bowiem dzieje dawne długo wspólne były; ich nastanie, początek jeden; Arminius, Germania Tacyta i średnich wieków feodalne zamki, średnich wieków przesady i wiara, wszystkim niemieckim krajom są wspólne. Nawet Brytańska wyspa, nawet Irlandya i Szkocya, lubo w długiej z sobą niezgodzie, lubo dziś nawet w pamiętkach i wierze odmiennie, jeden jednak samego tła narodowej poezyi przedstawują obraz; granice ich są zmieszane za czasów Rzymian i dla połowy wspólne. *Kraina skal (Caledon)* po rzymsku Caledonia, była spólnem nazwiskiem *Piktów*, *Senitów* (Szkotów) i *Irishmanów*. Równie góry Irlandyi jak Szkocyi powtarzają pieśni Ossiana, śpiewają o *Oskarze*, o *Evir-Allen*, o wodzu rycerzy *Fionie*¹. Lecz tu oto kraj polski, w swych umysłowych dziejach, jedyny na stałym lądzie przedstawuje obraz. W wieku, w którym swą narodowość w dalekim już był stopniu ukształcił, który poprzedzał już nawet objawienie się jej w umysłowych tworach, przyjął i wcielił w siebie kilka narodów innych, narodów dzikich wprawdzie i wpółukształconych ledwie, historyczną narodowością jednak ściśle odznaczonych. Ruś Czerwona, księstwo Halickie, było już silnem śród sąsiadów swoich i wła-

¹ *Fion na Gael*, — *Fingal*.

snego koronowało króla; Ukraina coraz silniej napływem tak narodowej odznaczała się Kozaczyzny; Litwa miała potężnych książąt, oddzielną wiarę i język, od słowiańskiego nawet odróżniony; litewskie od wschodu ziemie, w owym wędrowek wieku, nie były jeszcze wprawdzie stałem odznaczone plemieniem, ale szerzenie się wiary chrześcijańskiej, związku litewskich książąt z księżniczkami Rusi, wiarę i obrząd wschodni czyniły narodowemi kraju, a język duchowieństwa (ruski) jak na zachodzie łaciński, stawał się językiem aktów i dworu. Wszystkie te jednak kraje, jak równie z drugiej strony od zachodu Prusy, w jedne granice objęte, w ciągu niespełna wieku, jednymi instytucjami prawie, jednym językiem, jak jednym rządem ujrzały się połączone. Język Małej i Wielkiej-Polski stał się językiem spólnym tych ogromnych, oddzielnych plemion; każdy z ludów, który go przyjął, uprawiał go i obracał podług wrodzonych natchnień, podług swych własnych potrzeb, podług swych podań oddzielnych. Bogactwo literatury jednak nie zajaśniało prędko; wnet nastąpiło zepsucie smaku i kraju zamieszki nie dozwoliły nowym częściom kraju prędkich umysłowych postępów. Kraków, a potem Warszawa, tak jak we Francyi Paryż, były jedynem miejscem kształcenia się i popisu umysłów; ale nowy przy końcu zeszłego wieku nastąpił wypadek w rozdziale prowincyj kraju, nowy literatury polskiej utworzył okres; młodzież Galicyi, Litwy i Ukrainy, każda w głównem prowincyi swojej kształcąca się mieście, ściślej w utworach własnych odróżniać się i wybijać zaczęła; każda z tych bowiem prowincyj miała oddzielne dzieje, oddzielne miejscowe pamiątki, oddzielne zwyczaje i rysy, które się cisnęły w jej twory; i wkrótce poezya polska, zamiast jak inne jednej narodowej, kilka narodowych, oddzielnych w budowie swojej ujrzała. Każda z tych szkół poetycznych odznaczyła się nie tylko duchem i treścią, ale nawet zewnętrzną formą. Tu opryszki, Hucuły, Karpaty. Tu ataman, Kozaki, czajki. Tu znowu Wajdeloci, Perkun i Krzy-

żacy. Każdej poeci szkoły nowych nas uczą wyrazów, nowych obrotów mowy, nowym piszą stylem.

Autor więc, powtarzamy, »Lit. i kryt.« nie wypełnił swej obietnicy; mając mówić o poezji narodowej polskiej, mówi tylko o ukraińskiej, mając mówić wogólności, mówi tylko o szczególe, część małą bierze za całość. Czyli zaś i w tej części obranego ogólnego przedmiotu główny cel zaspokoił, wątpimy. Prócz kilku ciekawych szczegółów o pierwszych Zaleskiego i Goszczyńskiego pracach, a także o ukraińskich pieśniach przez Polaków składanych w ukraińskiej mowie, w całym oddziale nic prawie nie rzekł nad to, o czem wspomniiał wyżej; przypomniał tylko, że Goszczyński, Zaleski, a także Malczewski są to ukraińscy poeci, ale nie odznaczył szczegółowie ich ducha, nie określił, nie odróżnił ich stylu, żadnego z ich pism nie rozebrał; co więcej, równie jak autor »Liter. pols. w XIX w.«, nic nawet nie wspomniiał o tym, który ze wszystkich szkoły owej poetów, równie z treści jak stylu, najwięcej jest narodowym¹. Obu ksiąg o krytyce polskiej autorowie z prawdziwym uprzedzeniem o poezji i poetach ukraińskich piszą; zdaniem ich, oni tylko są to prawdziwi geniusze, oni tylko reprezentanci narodowego w poezji polskiej ducha. Odyniec i Witwicki nie są to nawet poeci (!). Przy wzmiance o czasie wyjścia pierwszych Goszczyńskiego i Zaleskiego poezyj (str. 105 »Liter. i kryt.«) czytamy uwagę, iż tym sposobem pierwsi ukraińscy poeci poezję narodową polską stworzyli: autor chciał zapewne powiedzieć, że objawienie się w poezji polskiej szkoły historycznej ukraińskiej poprzedziło objawienie się szkoły historycznej litewskiej.

Na tem krótkie uwagi nad treścią i szczegółami dzieła »Liter. i kryt.« kończymy. Jak autor »Liter. pols. w XIX. w.« powtarzał i rozwijał w swem dziele teorię Szellinga, tak rozumowania autora »Liter. i kryt.« są po

¹ Maurycy Gosławski.

większej części wpływem pism i pojęć Herdera¹ i nowej fatalicznej historyków szkoły². Pisma ich, lubo wyższą odznaczoną myślą, są jednak zawsze obcych sługami wzorów. Lub, mówiąc ulubionym od obu autorów stylem: *produkcyę* ich nie są skutki *inspiracyi* własnej, są tylko *przejawieniem plastycznym*, rozwinięciem *idei* obcej, *emanacyą* prac i pomysłów *Kanta*, *Szellinga* i *Hegla*, którzy myśl ludzką od *empyryzmu do transcendentalności* podnieśli.

Autor »Liter. i kryt.«, jak równie poprzednik jego, nieraz wyrazy własne, jakby dla wagi i zaciemnienia myśli, lubią zastępować obcemi. My, którzy mamy przed sobą Augustów Sasów wieki, wiemy to lepiej niż inni, jak niedbałość i jak każenie obcemi słowy języka na zły smak płynie narodu i umysłowy upadek. To nawet zastępowanie wyrazów własnych obcymi wieść może piszącego do błędnych nieraz teoryj i pozornie przynajmniej w tych go teoryjach utwierdzać. »Poezya (mówi autor »Liter. i kryt.« na str. 67) tem się różni od wszystkich innych *plodów* umysłu ludzkiego, że aż do niej nic jeszcze nie jest *kreacyą*, a ona staje się nią dopiero«. Jakaż tu być może różnica między *plodem*, a między *kreacyą*? »*Utwór* literatury pięknej (na str. 73) tem się różni od utworu poezyi, iż nie jest jak tamta *kreacyą*«. Jestże jakakolwiek różnica między *kreacyą* a *utworem*?

Na zamknięcie jednak tej krótkiej o księgach dwóch autorów krytycznych rzeczy, to winniśmy porównanie i ten dodać wniosek, że mimo te drobne stylu, i podług zdania naszego tak ogółu jak szczegółów wielu wady, autor »Lit. i kryt.« winienby mieć bez zaprzeczenia pierwszeństwo przed autorem dawniejszej księgi pod względem kryty-

¹ [Jan Herder (1744—1803) zapoczątkował porównawcze traktowanie twórczości ludowej u różnych narodów i przyzwyczał do historycznego obrabiania zagadnień literackich].

² [Do »fatalicznej« (fatalistycznej) szkoły historyków owoczesnych zaliczano głównie Guizot'a i Villemain'a, opierających wywody swoje na twierdzeniu, że co się stało, to się stać *musiało*].

cznych zasług. Autor »Lit. polsk. w XIX. w.« przedmiot swój nader niedostatecznie rozwinął, naciśnieniem erudycji przedmiotowi obcej, przedmiotu tego nie wyjaśnił, na zasadzie go nowszej filozofii niemieckiej bez żadnej dla głównego celu korzyści zbudował i to wszystko tonem deklamacyi, mało przedmiotowi pomocnym, a nieraz słyszonym (»To Julian Niemcewicz. To Literatura rzymska«) opowiedziawszy, godłem tylko położonem na górze: »in magnis *voluisse* sat est«¹ zasłonić się starał. Autor zaś »Liter. i kryt.« lubo żadnej krytycznej teorii *nie stworzył*, żadnej dawnej, jakiej się trzyma, *nie objawił*; lubo mylny obrał cel pisma i celowi temu w tem piśmie zadość *nie uczynił*, księgę jednak krytyczną znaczącą, tak dla literatury polskiej, jak przez to samo dla europejskiej, utworzył; w mnóstwo ją myśli ważnych, w duchu wieku odbitych przybrał, rozwinięciem je dalszem i dodatkiem własnych z bogactw, stylem własnego toku, nieraz czystym i nieraz strojnym, a zawsze jasnym, lubo nie zawsze zwięzłym, opowiedział. Co do czasu zaś, nawet od autora pierwszej wydanej księgi istotne pierwszeństwo mieć musi: rozbiór bowiem i ocenienie poematów narodowych, które są główną dzieła o »Lit. polsk.« pod względem ocenienia liter. polsk. ozdobą, jak sam to autor wyznaje, są naśladowane lub wzięte z rękopismu autora »Krytyki i literatury«. (O Liter. polsk. w wieku XIX., str. 150).

1837.

¹ [W wielkich sprawach dość jest, gdy się chciało czegoś dokonać].

II.

DZISIEJSZA POEZYZA W ANGLII.

Dzisiejsza poezya w Anglii (jak wogólności cała kraju tego piśmienność) przedstawia nam w treści swojej pewien stan przekwitnienia i przestarzenia, razem jednak pewny ślad wspaniałości minionej — jako (niejednokrotnie swem zewnątrzem) potomek domu możnego; — w pewne rysy jeszcze obecnej, jako gmach dla starości w nowe piętra i nowe skrzydła przyodziewany.

Kraj mglisty Wielkiej Brytanii zawsze był poetyczną krainą, krainą wyobraźni — fantazyi, myślenia i wynalazków; wyjąwszy krótki okres wśród dawnych (wiek Anny). Poezja w kraju tym w swoich przyrodnych a nie naśladowanych zjawiskach, była zawsze płodem uczuć, swobodnych fantazyi lotów, w ostatnich czasach silniej jeszcze zewnętrzną sztuką odbitych. Jakoż i dzisiejsza poezya w Anglii nie jest tych zalet próżną; obfita w świeżość myśli, uczucie i wyobraźnię, jeden tylko w swych twórcach widzi zagasły przymiot — *geniusz*. Scott i Byron razem z sobą i poetyczny geniusz W. Brytanii unieśli do grobu. Zdolność poetyczna krajowa przeciąga się i odbija dzisiaj w naśladowaniach, w poetach własno-twórnieszych ukazuje się w przybieraniu tak zewnątrznie, jak też wewnątrznie form nowych — w *wynalezieniu*. Cechą form tych jest nawet

niejaki postęp: wzrost lotów i względów myślnych (idealnych), rozszerzenie rzeczowych (realnych), ich łączność itp. Każdy zmysłowy przedmiot żywota i świata ubierany jest w fantastyczne szaty, w idealne widzenie, każdy prawie nowy poemat z innej strony ma za przedmiot najistotniejszej prozy materialność.

Poeci dziś znakomitszej zasługi w Anglii: *Cornwall, Bentham, Tennyson, Eliot* i t. p., za cel w poematach swych mają wszyscy użytkowość praktyczną (użyteczność). P. Tennyson, metafizyk, wyklada wierszem filozoficzny systemat Hegla; p. Eliot stworzył satyry ekonomiczno-przemysłowe; sławiony przez dzienniki angielskie młody duchowny, *Sterling*, przywołał do poematów przedmioty z mitologii greckiej i z metafizyką je łączy; jego jednak ostatni (w roku zeszłym wydany) poemat *Córka Grabarza* (*The Sexton's daughter*), jako więcej czuły i ludzki, dłuższej może nad inne będzie trwałości. Poeci, wspierający z talentem obecny dramat angielski, jako pp. *Bulwer, Hodges, Knowles, Stiel, Browning* i t. p., zostają daleko od wzoru, od obranego mistrza (Szekspira), niektórzy z nich z powodu metafizycznych zaciekań popularności próżni; na teatrze w Londynie jak i gdzieindziej, *Scribe* dzisiaj i wogólności teatr francuski głównie są powtarzane.

Płeć piękna, która się odznaczyła w ostatnich latach w Anglii na polu tak umiejętności jak nauk, nie przestaje odznaczać się i na polu poezji, przynajmniej pracowitością. Dziwna, iż płeć ta, która za główny przymiot pośród ludzkości posiada *uczucie*, w dziale twórców, w których uczucie gra zapewne rolę naczelną (w poezji), jest jednak dotąd najniższą. Rozwlekłość, niepoprawność i słabość, zwykłe cechy pióra poetek, przypominają nam pewnik, iż w utworach ludzkich moralnych dwustronność (myśl i sztuka), są zawsze nieodbitym warunkiem. Nie brak *uczuć*, ale brak *sily* do wydania tych uczuć, jest wadą poetek kobiet. Jako rymotwórki przedniejszej sławy, stoją dziś w poezji angielskiej na czele: *Joanna Baillie, Mistress Hemans*,

pani Maclean (*Miss Landon*), *Lady Norton*, *Lady Carolina Southey*. Liryki, pieśni i tak zwane poemata familijne (*Songs of the affections, Songs and Lyrics, Domestic affections and other Poems* i t. p.) pani Hemans za cel mają wprost użytkowość; talent pani Hemans jest zapewne talentem nad inne, jednak poważny, ciężki, jest raczej rozsądkiem sztucznym, nie zaś natchnieniem. Natchnienie pani Norton (zwanej Byronem poetek nowych) mniej się jeszcze widzi nam silne; jej naczelny poemat *Sen (The Dream)*, mający za przedmiot wylanie uczucia matki czuwającej nad snem dziecięcia (córkę), jest właśnie dowodem tego, cośmy rzekli o uczuciu w poezji kobiet i jego wydaniu. Pani Southey (Cowper poetek), autorka *Dnia urodzin (The Birth-day)* i innych poematów, też wady dykcji, jakkolwiek obok licznych zalet, przedstawia. Do najnowszych poetek należą: *Miss Lowe*, *Elizabeth Barrett* (tłumaczka Eschila), *Lady Emmelina Stuart Worthley* (autorka po większej części obrazów wędrowniczych); *Mistress Nowitt*, *Miss Mittford*, *Miss Louisa Costello*, *Maria del Occidente*, *Sara Coleridge* i t. p. Jeden z dzienników angielskich pragnąc o kilku z tych autorek dać wyrok, nader trafnie dopełnił to, talent każdej przyrównyując do jednego z kwiatów, do tych istot czułych, malownych, zwykle pięknych, rzadko trwałych, a zawsze wątłych. Maria del Occidente i Sara Coleridge zdaniem naszym najwięcej okazują w swych pismach prawdziwie poetycznego żywiołu!

¹ *Phantasmon*, poemat pani Coleridge, jakkolwiek pisany prozą, przypomina nam obrazy Aryosta. — Talent pani Brooke przedstawia nam nawet nieraz nowość fantazyi. Pani Brooke, mieszkanka gorącej strefy (wyspy Kuby), przezywająca się w swych pismach Maryą Zachodu (*Maria del Occidente*), mniej zwykłą siłą przeniesieć umie w fantastyczny kraj nowy, kreślić go, tworzyć. Dostyc tu wspomnieć na jej poemat: *Zofil*. *Zofil* czyli *Narzeczona siedmiu* (*Zophiel or the Bride of Seven*) zdaje się być poematem, wziętym z ksiąg Pisma świętego, mianowicie z ksiąg Tobiaszowych. Nazwiska, treść rzeczywista i barwa znikły wprawdzie z poematu i surowe niebo hebrajskie, zamienione tu w namiętne już i ludzkie, innym ludom wschodnim tak własne. Kraj wszakże poetyczny ze szcze-

Młodym poetą wszakże w literaturze angielskiej, na którym społeczna krytyka największe pokłada nadzieje, jest p. *de Milnes*. P. de Milnes, członek parlamentu i według barwy torys, jest jednak przedstawicielem w poezji tej moralnej wśród kraju reakcyi, której bytność sąsiednia (francuska) krytyka nader wyraźnie obecnie postrzega, a która według bliższego świadka (dziennika *Edinburgh Review*), ma już miejsce w całym kraju od wieku, mianowicie powracanie Wielkiej Brytanii do wier dusznych dawnych, przedreformowych, powrót protestantyzmu ku ka-

głów *obrazów* i z *tła ogółu* utworzony, jest rzeczywiście uroczym, w barwie nowym, mimo przyciąganie do ziemi w nadziejskość nas unoszącym. Przytaczamy tu treść poematu i parę obrazów: *Egle* (Sara) w poemacie pani Brooke ma zostać żoną *Melego*; Egle jednak jest przedmiotem miłości ducha *Zofila*. *Zofil* pierwszej nocy po ślubie ukazuje się zaślubionej, i małżonek jej pozostaje martwym; tenże los spotyka następnie jej narzeczonych siedmiu. Opis śmierci, opis tych półrozkosnych, półżałobnych nocy jest zapewne nowością przedmiotu; autorka jednak mimo tylu powtórzeń, każdy w istotnej poezji odziać umiała barwę. Przytaczamy tu dla przykładu ostatni, jakkolwiek w przekładzie bezbarwnym prozy i tylko dosłownym.

Obraz przedstawia nam pokój Egli, pokój ten był już grobem dla sześciu mężów; pragnie jednak spróbować szczęścia siódmy z narzeczonych, piękny młodzieniec *Altheetor*, ulubiony paź Sardya, króla Medów.

»Dotykając strun złotej arfy, poprzedniczki rozkoszy, wchodził młodzian zamyślony, blady i piękny; przystąpił z uszanowaniem do nóg dziewicy, złożył u nich pokornie arfę i przerywał rozmowę tonów, aby rozpocząć inną.

»Ale dziewica ukryła swe lica w posłanie; obłąkana, lęka się, aby już nie ujrzała śmierci małżonka. Zostaje bez oddechu pomiędzy promykiem nadziei a rozpaczą — i obwija go swym długim włosom, gdy ten śpiew kończy.

»O Istności! niewidzialna a blizka, woła, przebłagaj się, a uczuj litość nademną. Miłość, nadzieja, śpiew, piękność, wszystko, co w życiu najdroższe, mam tu przy sobie, spojrz na mnie, a oszczędź mi obłąkania.

»Duchu! nie dozwoł, abym przez zawdzięczenie stać się miała przyczyną, ohydną przyczyną śmierci tej dobrej istoty. Przez litość, zabij mię raczej pierwszą!... On jeszcze żyje — słyszę... więc przebłaganyś? Tak, słyszę jeszcze gorącość jego westchnienia.

»Jeszcze żyje *Altheetor*, jeszcze, nie — obaczymy, dotyka jedną ręką

tolicyzmowi. Pisma treści moralnej, teologicznej i historycznej, które się okazują w latach ostatnich w Anglii, rzeczywiście objawiają wyraźnie to oddziaływanie, dążenie. Historya w nowem nawet świetle ukazywać zaczyna dawne postaci krajowe, biegiem namiętności w rysach zmieniane. Krytyk francuski p. *Philarete Chasles*, który ostatni swój artykuł o literaturze angielskiej wyłącznie poświęcił wykazaniu tego dążenia, po wyliczeniu szczególnych, stwierdzających to pism i wskazówek, nader trafnie dodaje: »Krytyka religijna po posunieniu swych działań do

liry mdlejącej, lecz cała dusza jego już go opuściła, uchodzi; chce dźwignąć się, aby czuć, ale się dźwignąć nie mógł, przyciśnięty; wszystko zranione, mdlejące, w otoczeniu rąk białych i długich włosów. O, gdyby zbawić go mogli!

»Cóż to za potok słodyczy!«, przemówił jeszcze; słodycz, dźwięk wonność, już mu tylko były rodzajem ducha; czyniąc ostatni wysiłek: »pozволь mi spojrzeć i podziękować« ozwał się... westchnął, niebieski uśmiech zstąpił mu na usta. »Umieram, niczego więcej nie pragnąc« rzekł i upadł.

»W jej rękach utrzymywany, wolnie... wolnie, jakby przez siłę snu stopniowo ciśnięty, spokojny, piękny, został martwym na purpurowem posłaniu — rzekłbyś: anioł leżał spoczywający«.

Tu ukazuje się *Zofia* pełnej rozpachy małżonce, i patrząc na leżącego, tak się odzywa z uczuciem:

»On skonał z miłości, a raczej z arcyrozkoszy, żalowany przez ciebie, błagany, uściśnięty. O! za los tego młodziana, Egle, oddałbym chętnie nieśmiertelność moją«.

»Jam nie był sprawcą tego ostatniego ci smutku. Nie! spojrzij na twego ducha, co cię opuszcza, spojrz na mnie, a naucz się mnie nienawidzić«. Rzekł, a z jego nieśmiertelnych oczu łzy popłynęły. — Ta odpowiedź *Zofila* w tekście, przypomina nam najpiękniejsze czasy poezji angielskiej:

He' died of love, or the o'er perfect joy
Of being pitied — prayd' for, prest by thee
Oh! for the fate of that devoted boy
I'd sell my birthright to eternity.

I'm not the cause of this thy last distress.
Nay! look upon thy spirit ere he flies!

Look on me once, and learn to hate me less!

He said, and tears fell fast from his immortal eyes (str. 84).

ostatnich granic analizy, cóż miała w końcu uczynić, jeżeli nie zejść z tronu i umrzeć?» »Reforma u szczytu tryumfu swego jest zabita przez własne zwycięstwo. To, co się dzieje dziś w Anglii, stwierdzają Niemcy«. Co do poezyi pana de Milnes, należy tu mianowicie jego ogłoszenie ostatnie *Poetry of the people*, wśród tych zwłaszcza jego krótkie poemata, widokiem Rzymu i uroczystości Rzymu natchnięte.

1841.

Zofil płacze istotnie śmierci Altheetora i czuje skrucę; nie chce jednak, aby Egle poszła w ręce śmiertelne; szuka więc Fraërona, czulego lekkiego ducha, z nim leci za Ocean do pałacu *Gnomów*, gdzie Tathatham posiada *eliksyr* żywota. Elik syr jest otrzymany, lecz Lucyper rozgniewany o skrucę, wzbudza burzę i gubią go; tu idą: rozmowa Lucycpera z Zofilem, ustęp o księżniczce *Zamei*. Ukazują się wreszcie *Hariph* i *Helon* (Rafael i Tobiasz), siódme szczęśliwe wesele kończy poemat. Duch Zofil unosi się do Egiptu. Dla przykładu tej fantastycznej krainy, którą autorka w poemacie nieraz tworzy, w tworzeniu której celuje, przytaczamy tu jeszcze, lubo równie w niemalownym przekładzie, opisanie lotu Zofila i Fraërona nad morzem sycylijskiem za Ocean.

»Morze było spokojne, a odbijający się księżyc drżał na jego powierzchni; najmniejszy powiew nie ćmił zwierciadła wód rozległych, noc już była w drugiej połowie biegu. Jakie słodkie powietrze, jak chłodne głębie!

»Nad tą powierzchnią lecą dwa duchy razem; Zofil białą swą rękę pieszczotliwie koło Fraërona otoczył i bojaźń jego rozprasza; w miarę jak się schylało skrzydło jedno, wznosiło się drugie.

»Tak wspierany Fraëron wpół zapomniał na trwogę i pierwszy stopą białą, jak kwiat akacyi, uspionej wód powierzchni dotyka; lecz tu jego uśmiech miłosny zmienił się w drżenie przestrachu.

»Jak mógł on na ten płyn zsiadły i zziębły zmienić rzadkie łagodne fale powietrza, przez które lecieli? Dreszcz nagły przechodził mu członki, lecz prędko Zofil drżącego potrąca.

»I ocierając lzy dobrego towarzysza gorącym pocałunkiem, zmusza go, aby się zanurzył: członki, skrzydła i włosy nurzą; gdzie inny ginie, tam kochanek pada, ale wypływa...« (Whate'er the other's pains, the lover felt, but bliss).

III.

EDWARD ŻELIGOWSKI (ANTONI SOWA).

(Jordan, fantazyja dramatyczna przez Antoniego Sowę. Wilno, 1846).

Z czułem sercem urodził się *Jordan*; takie serce, to swego czasu zwierciadło, wieku odbicie. Walki, wróżby, poznania złość, dobroć wieku, łączą się w takim sercu. *Jordan* jest w pierwszym zejściu ze światem. Patrzy na rzeczywistość wokoło i czuje, że doskonalszość być może, patrzy na byt miniony, na byt obecny, na wszystkie *szczegóły* bytu. Świat, wiara, nauka, życie, wszystko z kolei staje przed myślą *Jordana*, w jedność się splata, pod postacią nowej jakiejś przyszłości bytu człowieczego ukazuje mu się. *Jordan* woła o zmianę swej myśli w czyny. Chór *duchów* poklaskuje temu wołaniu.

Jordan jest młody i kocha. Kocha wszystko, co piękne; lecz piękniejszym nad wszystko widzi *Anielę*. Bo *Aniela* nie była to piękność kwiatu, piękność posągu, miała serce piękne jak sama i w nowy jakiś świat lepszy, mówi *Jordan*, duszę mu unosiła.

I miała takie spojrzenie,
I miała takie uśmiechy,
Że ją widząc, rozgrzeszenie
Zda się spływać za twe grzechy.

Aniela było to dziecko pańskie; czem Jordan nie był. Wychowana wśród zbytków, widziała, iż nie dały jej szczęścia skarby i zbytki, i nad skarby przeniosła Jordana. Twoje słowa i myśli, mówiła, dały mi pierwsze przeczuć jakieś prawdziwsze szczęście i przemieniły mię.

Odkąd wpłynął w serce moje
 Ducha twego jasny promień,
 Taka w sercu uroczystość,
 Jakby co dzień był dzień święty,
 Jakby duch był w niebo wzięty.

Jordan jest, jak się zdaje, z Litwy, i widzimy go w zwykłym męskim gronie miasteczek litewskich. Urzędnicy-obywatele za zielonym stolikiem w domu, wino, dym, karty i wpółdowcipne żarty, przesuwająca się już mniej, już więcej obiecująca młodzież, stają w obrazie; Jordan odbył kilka utarczek z tymi dowcipami i uścisnął przyjacielsko brata Anieli, który mu przyrzekł pośrednictwo i wsparcie u rodziców. Jordan był nie tylko ulubieńcem Anieli, lecz i jej rodziców, ale za męża przeznaczili Anieli rodzice innego swego ulubieńca — hrabiego Fioli. Ten hrabia Fioli był to mąż żaden myślą, potworny ciałem, lecz był to hrabia. Rodzice objawiają córce swą wolę; Aniela padła i zbladła, i autor nie mogąc znaleźć w notatkach Jordana szczegółów tej rozmowy, powtórzył ją tylko według tradycyi:

Tutaj ustęp zginął długi,
 W którym matka opisała
 W najkwiecistym kolorycie
 Najkwiecistsze stroje, cugi,
 Najkwiecistsze w świecie meble,
 Najkwiecistsze w świecie życie!
 A potem postać hrabiego Fioli
 W tak piękne ubrała kwiaty,
 I do serca córki w swaty
 Tak piękne posłała słowa,
 Że Aniela już gotowa
 Była wierzyć, że Fioli

Był najpewniej Jordan drugi.
I z pewnością nikt już nie wie,
Czy w jej sercu bezkrólewie,
Czy panują konie, cugi.

Aniela została hrabiną; i myśl Jordana oderwała się znowu całkiem od obecności i poszła w przyszłość; w obecności rozpatrywał się tylko, jak ją urządzić, iżby taką, a nie inną przyszłość wydała. »Nie myślcie, mówił, że życie, to marna sobie zabawka; każde życie jest spadłem ziarnem, które coś wydać musi. Wszelki krok, zdolność, zaleta, dobre być mogą z siebie, lecz dobry skutek w tym ogólnym ogrodzie bytu tylko w woli wyższej spoczywa, a tę wolę skłaniają tylko ku sobie *cnota i miłość*«.

. . . . wy myślicie,
Że wy wszyscy cudotwórcy?
Ogień bóstwa, ogień z nieba,
Co zamieszkał pierś ludzkości,
Gdy się przyćmi, *łaski* trzeba;
Trzeba *cnoty i miłości*.

Bo to boże są wachlarze,
To promienie jego ducha;
Człowiek *cnotą i miłością*
Tylko ogień tu rozdmucha,
Insze środki są *nicością*.

I *cnoty!* *cnoty!* głównie wołał Jordan, im więcej rozważał przeszłość siebie blizkich, tem więcej wołał o *cnoty*; miarą ich braku, miarę następnych cierpień oceniał.

. . . rozjaśń (mówi) przeszłości pochodnie,
Ujrzysz widomie wszystkie nasze zbrodnie,
Dla których i Bóg nie da rozgrzeszenia,
Aż się *cnotą* okupią w przetopach cierpienia.

I kiedy Jordan tak rozmyślał i uczył, ukazała mu się Aniela, lub raczej, jak mówi autor, uosobiony zły duch Anieli, a Jordan tak go powitał:

O! w sercu mojem ty już jesteś wdowal
 Po twego serca pogrzebie
 Ja nie pójdę szukać ciebie.

.
 Dla niewieścich cnót i wdzięków,
 Cześć zostanie w sercach prawych,
 Lecz miłosnych łez i jęków
 Bohatera tkliwo-łzawych,
 Na samobójstw złym kurhanie
 Niechaj, niechaj nie zostanie.

.
 Z młodości jeszcze poranków
 Tajnie tych bólów rozdarłem,
 Śmierciami wszystkich kochanków
 I bolałem i umarłem.

Umierałem śmiercią *Gustawa, Wertera, Hernani* i bo-
 ziami *Gretchen* i szaleństwami *Ofelii*:

O! wszystkie te platoniczne,
 Takie cudne ideały,
 W stokach brudnych satyrjazy
 Tak skąpano, i w obrazy
 Eteryczne ustrojono!
 I na stroje pożyczono,
 Wszystkich tajni estetycznych,
 Bohaterów romantycznych
 We krwi żarach rozpalali.
 I przy serdecznych pochodniach
 Uświęcili cnotę w zbrodniach!
 Lecz na dzisiaj już za mali,
 Wszystkie owe bohaterzy
 Śród świtania nowej ery.

I Jordan zatopił się znowu i w obecność i przeszłość,
 dla przyszłości łączył ludzkość, wiarę, i siebie i niebo,
 dało mu się, iż wróży, iż widzi spełnienie wróżby; im
 więcej wpatrywał w prawdę, w znaczenie szczegółów
 , tem więcej wierzył w jej ukazanie się w końcu, w jej
 ście.

Kiedy pierś moja westchnęła ku Bogu,
 I Bóg mej piersi z Bogiem na niebiosach

Złączył się w myśli o ludzkości losach,
 O! zbolały okropnie stanąłem na progu
 Kolebki mojej i chwili dzisiejszej;
 I drugiej w życiu nie miałem piękniejszej.
 I poznałem ból piękny na Oliwnej górze!...
 I płakałem z rozkoszą, ach! bo mi się zdało,
 Że lzy moje to potop, że za wszystkich płacę.

.
 I wszystkie grzechy w młodości zaraniu
 Wylęgte w błędzie i w złem wychowaniu,
 I swoje i narodu, utopię w głębinie;
 I że na Araratu duchowe wyżyny
 Uniosę wszystko, co z boskiej dziedziny
 Zostało czyste w łonach głębokości.

Kiedy wola człowiecza zastosuje się w końcu do woli
 prawdy, natenczas i czyny do tej woli się zastosują.

Ja chcę, powiesz ty do siebie,
 A Bóg: stań się — powie w niebie.
 Bo głos Boga i głos ludu
 Zlewają się w jedno brzmienie;
 Lecz ma boskie być twe chcenie,
 Jeśli pragniesz doznać cudu.

Taka jest treść dramatu fantastycznego *Jordan*, który
 tu świeżo otrzymaliśmy. Autor tego dramatu ukrył się pod
 pseudonimem *Sorwy*, czytamy jednak po raz pierwszy pismo
 tej ręki. Autor postawił dopiero krok pierwszy i dał nam
dramat; możemy powinszować autorowi tego zaczęcia.

Poemat *Jordan*, jak to widzimy, jest treścią swoją
 z wieku, w którym jesteśmy. Wiek nasz odznaczył dziś
 okres nowy w dziejach poezyi. Dzieje sztuki i krajów po-
 dzielono już wprawdzie dawno na *stare*, *średnie* i *nowe*,
 ale zawczasie; znamy tylko okres dawny i średni, nowy
 ledwo rozpoznawać dzisiaj możemy. Cechą w sztuce, mia-
 nowicie w poezyi jej wieku pierwszego była tradycja,
przeszłość (Wschód stary); średniego: badanie i chwila czyli
obecność (od czasów greckich); dziś wzrosli, zamyśliliśmy
 się, jakby o końcu zbliżonym, blizkiej przemianie, i odbi-

jamy w twórcach to zamyślenie; cechą główną utworów wieku naszego jest myśl o *następstwie*. Cechę tę wnieśli i odbili w poezji dopiero poeci najnowsi, pierwsi (wspominamy to z chlubą) poeci nasi. Cechą poematu *Jordan* jest także przyszłość; jest to więc dramat, widzimy, i *wieku* i *kraju naszego*.

Poklaskujemy tej treści, i im więcej cenimy utwór, tem też szczerzej wyłożymy przyczyny, dla których nie zaspokoił nas jeszcze.

W naszych utworach estetycznych, blisko ukazujących się, mamy zwykle do pochwalenia: pozór i wykonanie, a mamy im do zarzucenia: brak dążeń; poemat *Jordan* jest wprost w przeciwnym wypadku.

Poemat, to dzieło sztuki. Dzieła sztuki poczytujemy za wyższość nad dyalektykę. Z dzieł tych idą, do nich kierują badania dyalektyczne. Sztuka, że tak powiemy, jest *wyjściem i wejściem*, a dyalektyka *przejściem* śród historii krzewienia się prawdy w utworach ludzkości. Poemat *Jordan* jest jednak o ledwie nie mniej sztuką jak dyalektyką. Od pierwszej do ostatniej strony poematu, *Jordan* rozprawia i uczy, a wyrazy dyalektyczne w poemacie (jak np. idea i t. p.), wzięte z nauki przejścia, z znaczeniem nieokreślonym, kaleczą utwór. Dzieło sztuki ma być następstwem ukształcenia się w ten lub inny sposób myśli autora, nie zaś powtórzeniem i wykładem tego ukształcenia się.

Drugi zarzut, jaki mamy do uczynienia autorowi dramatu *Jordan*, jest: iż autor *nie odznaczył* w nim swoich figur. Dramat ten, jakkolwiek podzielony na osoby, sceny, oddziały, na wszystkich stronach swej rozciągłej treści jest powtórzeniem w wariantach jednych kilku myśli, już na pierwszych stronach rzuconych. *Jordan*, *duchy*, *Aniela*, poeta *Prot* (figura, którą autor chciał, zdaje się, zrazu wyszydzić) jedno, i ledwo nie w jednych słowach nas uczą. Zrozumieliśmy (jak tego dowodem jest wyżej przytoczona treść), iż dramat *Jordan* uczy nas: że jest potrzebną cnota,

że jest potrzebne zaparcie się wszelkiej szczególnej dla ogólnej miłości. Jordan wszakże, główny bohater fantazyi, po tylu znanych nam już z tymże charakterem figurach, wśród ram *obszernych* dramatu jedno powtarzający, za słabo nam się wydaje. Chcielibyśmy coś więcej skorzystać z nauk i przykładu Jordana, tak długo z nim będąc. Czy autor do swych celów chce ludzkich *mysli, dloni*, czy innych jakich *postępków*? Jordan woła i woła. Gdyby jednak przez ciąg tych scen, w których okazuje się, dał szeląg żebrakowi!

Znoszone spólcześnie nam rozdzielanie, na wszelkich szczeblach, między praktyką i nauką ewangeliczną, autor *Jordana* chce naśladować także w swych słowach: mniej jednak, zdaniem naszym, szczęśliwie. Autor mówi co chwila o jedności nas chrześcijan z Twórcą chrześcijaństwa, lecz zapomina na konieczne cienie wśród tej jedności. Autor mówi:

Wy sądzicie, że bluźnierstwo
Takie z Panem równiennictwo?

Dwa przedmioty, na dwóch końcach szali kładzione, muszą być jednej wagi, iżby się równoważyć mogły, inaczey widok nam krzywej szali przedstawia. Kiedy np. autor, czyniąc porównanie potoczne, kładzie na jednym stopniu porównania czyny *Pana* i czyny *Twardowskiego*, takie »równiennictwo« istotnie za bluźnierstwo poczytać musimy.

Musimy tu także zarzucić autorowi poematu wogóle zbytnią *namiętność* w szczegółach wykonania. Za wiele, zdaniem naszym, kolorytu, uniesień, autor w ciągu poematu liryce swej nadaje. Dyalog w poemacie jego to zwykle ciąg wykrzyknień i repetycyj; autor stara się ciągle o efekt w swym wierszu; światło przecież o tyle tylko jest piękne, o ile od cieni odbija. Piękniej świeci na niebie *Venus*, niż *Droga mleczna*. Autor zapomina na ten zbyt znany przepis efektu: trzeba być zimnym, aby sprawić zapal.

W scenach towarzyskich *Jordana*, których treścią ma być ironia, nie znajdujemy zwykle innych przedmiotów tej ironii nad znane powszechnie.

Wogóle, w ruchu dramatu, złożonego już z *dyalogów*, już *pamiętników*, już *liryki*, pewny widzimy nieład, nie dający nam jedności wrażenia.

Porządna całość nie byłaby przecież sprzecznością z fantazją oraz powagą celu. Znamy w nowszej literaturze naszej poemat, którego celem jest właśnie taż myśl i także dążenie, a który przecież przedstawił się nam pod każdym względem w szacie estetycznej całości; jest to poemat, który ma napis (jeśli go dobrze przypominamy) *Brzask* [*Przedświt* Zygmunta Krasińskiego].

Z tych kilku myśli, któreśmy o nowym poemacie naszym rzucili, wniosek jest jasny: poemat *Jordan* jest to utwór pióra młodego poety, ale *poety*. Ten poeta w tle swej fantazyi i myśli odbija cechy krajowe i cechy wieku; w treści dramatu jego znakomity widzimy zasób uczucia poetycznego. Autor *Jordana*, wróżymy, nie jednym znakomitym tworem zbożaci naszą poezję¹.

1846.

¹ [Nieszczęśliwe losy zwichnęły, niestety, talent Żeligowskiego; pisał wprawdzie później jeszcze, ale żaden z tych utworów nie obudził takiego zajęcia jak *Jordan*. Żeligowski zmarł młodo w r. 1864].

IV.

SEWERYNA PRUSZAKOWA.

(Powieści naszych czasów Seweryny z Żochowskich Pruszek. 4 tomy. Warszawa, 1853).

Wieki, zwane złotymi w naszej literaturze, obfite nam przekazały pomniki. Z czasów tych mamy pisma stanu, olbrzymie teologiczne traktaty, olbrzymie kroniki, poezye w różnych ich kształtach i t. p. Z pism tych dosyć jasno i szczegółowie wiedzieć możemy, co kraj nasz myślał, co czynił w każdym roku, miesiącu i prawie dniu z onych wieków. Jest wszakże szczegół dziejowy, i jeden z głównych, którego nie poznajemy z nich: nie znamy domowego pożycia, domowych charakterów, serc, towarzyskich stosunków, nawet towarzyskiego języka naszego z owych czasów. Dopiero od wydania »Pamiętników« Paska, którego notatki szczęśliwym trafem były nie tylko historyczne, ale i dramatyczne, nasze powieści, odnoszące się do końca XVII. wieku, ukazały się z kolorytem właściwszym; koloryt w powieściach i dramatach historycznych do czasów dalszych zawsze jest tylko domyślnym.

Na ten brak, na niedostatek przekazanych obrazów życia domowego i towarzyskiego swych przodków nie będzie się mogła użalać nasza potomność. Nie wiemy, na jakich literaturze naszej z wieku XIX zbywać będzie gałę-

ziach i szczegółach, ale na towarzyskich obrazach z połowy tego wieku braknąć nie będzie. I nie jednego tylko miasta lub jednej prowincyi otrzymają widoki nasi potomni. Obrazy towarzystw z nad Dniepru, z nad Wilii, z nad Dźwiny, Dniestru, Wisły itp. przejdą do nich żywe i wierne. Mówimy przejdą, istotnie bowiem znacznej ich części możemy wróżyć to dojscie.

Myśl tę nastreczył nam właśnie świeżo wydany zbiorek, niedługich, ale oryginalnych powiastek p. t.: *Powieści naszych czasów*, treścią którego są także społeczne nasze obyczaje, to jest obrazy życia domowego i towarzyskiego z nad Wisły.

Autorka tych powieści (Pani Pruszk) pierwszy raz prawie wydaniem tem poznać się nam daje. Są to przeto dopiero pierwsze kroki autorki. Powiastki te jej, powiedzmy to zgóry, nie dochodzą skali swych poprzedniczek. Pomiedzy obrazami z różnych stron kraju, pierwszeństwo przyznać dotąd musimy obrazom z nad Dniepru. Wszakże zalety pióra autorki, jako pióra, są liczne; główne strony w tych jej powieściach dodatnie, widna nawet pewna właściwość w kroku autorki. O powieściach tych przeto, jako o dobrej wróżby przybytku, wspomnimy tu.

Dzieje serc, powiedziano to nieraz i powiedzieliśmy to nieraz, to nie igraszka nikła; dzieje serc to podstawa i cząstka ogólnych dziejów. Wobec tych zmian i wypadków wielkich i głośnych, które się stają, stają się też, rozwijają i dzieje drobne domowe, i w swem rozwiciu i składzie wpływają na dalsze zmiany. Różność, stopnie i zwroty tu nieskończone. Ile milionów serc, tyle odcieni ich. Węzły, maleńkie cuda, maleńkie misye, płaczą się tu, rozwijają i rozgrywają w dramata na serc skale. Dramat wszelki domowy ma więc swą stronę zewnętrzną i stronę wewnętrzną: powszechność zna tylko *pozór*, a zadaniem powieści jako powieści (t. j. jako opowiadania podnoszącego potoczny obraz do stopnia sztuki) jest: przedstawiać go w swojej *całości*. Powieść ma być obrazem nie tylko owych po-

zornych szczegółów, lecz też rzetelnych: być tłumaczem nie tylko skutków, ale i przyczyn, nie tylko czynów osób, ale i źródła tych czynów, ich charakterów; ma wykładać tych czynów związek, harmonię, stosunek do bliższych celów, stosunek do dalszych celów i t. p. Tak też właśnie pojęła powieść autorka, o której mówimy; i jeżeli z jednej strony opowiadania jej są zbiorem i przedstawieniem licznych domowych dramatów, z drugiej strony rzecz można, iż dramata te użyte tylko zostały jako forma do opowiadania i wykładu celów moralnych.

Cel, który założyła sobie autorka i który w każdej powieści ma na widoku, jest: okazać i dowieść, iż jako dla ludzi wogóle, tak też dla kobiety wszczególne, jedynym, rzetelnym środkiem zdobycia szczęścia jest: szukać go nie w świecie, lecz w sobie. Świat przynosi lub *zawód*, lub *przesyt*, a szczęściem jest tylko spokój. Celem każdej kobiety, chcącej zostać szczęśliwą, ma więc być: nie szukanie życia na świecie, lecz w ścianach domu; kształcenie go nie bogactwem zewnętrznem, ale wewnętrznem; nie oddawanie się samolubne biegowi życia, lecz praca; nie żądanie dla siebie poświęceń, lecz poświęcanie się.

Wyrozumowaniem tego celu jest właśnie położony na czele powieści fantastyczny fragment: *Fantazya*.

Myśl, ideał, fantazya, to sfera ducha. Duch, to nie świat nasz; każdy więc, który zapragnie żyć w owej sferze, musi się skłócić ze światem; lecz jeśli się nie cofnie od kłótni, zaprze się świata, tem samem (w odniesieniu do siebie) przemoże go i nowe, wyższe niż zwykłe ziemskie, pozna rozkosze. Taka jest treść *Fantazyi*.

Myśl tę stosuje dalej autorka do wypadków praktycznych życia, i tło jej służy za treść i morał każdej powiastki. Powiastki, składające 4 tomy *Powieści naszych czasów*, są w liczbie 8 i noszą następne napisy: *Noc popielcowa*, *Sierota*, *Dwór i chata*, *Rachunek z przeszłością*, *Justyna*, *Ojciec Salezy*, *Dwie drogi* i *Dwie niewiasty*.

Dla bliższej charakterystyki tych opowiadań, przyto-

czyimy tu szczegółowiej treść jednej z powiastek. Wybieramy *Sierotę*.

W Śliwinie na Mazowszu mieszkali dziedzice tej wsi, państwo Gruszczyńscy. Dom pp. Gruszczyńskich był jednym z tych, jakie najczęściej spotykać się daje na wsi. Był to dom zamożny i rządny, lecz zamożność ta nie dochodziła do skali zbytków. PP. Gruszczyńscy mieli siedmioro dzieci: dwóch synów i pięć córek. Córeczki te były to osoby milutkie, hoże, niebrzydkie; wychowane w wygodach, pod opieką i przychylnością rodziców, nie pojmowały, iżby gdzie mogło być lepiej lub gorzej jak w domu rodziców, nie znały i nie myślały o innym świecie. Najstarsza, imieniem Walerya, była wprawdzie w Warszawie na pensyi, lecz z Warszawy poznała tylko pensyę. Razem z niemi wychowywała się też i mieszkała razem w Śliwinie młoda ich rówieczka, nie tak jednak wesoła i nie tak szczęśliwa — *sierota*, imieniem Józia.

Jak Walerka, Michasia, tak też i Józia nie była to żadna idealna istota; położenie jej wszakże więcej smutne, odosobnione, obowiązek uciekania się pod opiekę tylko do siebie i rachowania dalej tylko na siebie, pamięć wreszcie na przestrogi, przekazane jej przy śmierci przez matkę, podniosły i wyrobiły były w niej więcej stronę moralną.

»Rysy Józi, mówi autorka, na pierwszy rzut oka nie uderzały pięknnością. Wyraz jej twarzy zdawał się zrazu nic nie znaczący. Oko jej jakby strudzone błądziło zwykle bez celu. Ale gdy najlżejsze wzruszenie rozbudziło jej wyobraźnię, gdy widok pięknego kwiatu lub drzewa, gdy znany odgłos piosenki sprowadził myśl na gładkie jej czoło; wówczas rysy dziewczęcia cudownym, jakby w głębi duszy zapalonym jaśniały ogniem i natchnienie opromieniało smętny wyraz jej twarzy. Wówczas Józia piękną była prawdziwie, bo pięknność jej wypływała wprost z duszy«. »Bez opieki na ziemi, miała częściej przed myślą opiekę wyższą; wśród potrażeń przez ludzi, umiała wynajdywać świadectwa jej i godzić się z swoim losem«.

— »Nieraz, pamiętam, będąc małym dzieckiem — mówiła raz do przyjaciółki Walerki — z żalem patrzyłam na zabawki i łakocie, któremi obsypywano dzieci wujostwa, gdy tymczasem dla mnie ledwie się z litości co kiedy zostało. Ileż to razy zasypiałam spłakana! Ale jakem rano wstawała, jakem wybiegła do ogródka, jakem spojrzała na niebo błękitne, na słońce, na zielone drzewa i kwiatki, o! to przecież Bóg stworzył dla wszystkich, pomyślałam z rozkoszą; do tego wszakże i sierota ma prawo«.

Józia wszakże za skromnie sądziła, będąc dzieckiem, i gdy wyrosła, ujrzała, iż nie same tylko drzewa i kwiatki były jej sądzone.

Jednym z częstych gości w Śliwinie bywał kuzyn pp. Gruszczyńskich: *Wacław*. Wacław miał majątność niewielką, lecz czystą, i zdaje się, iż pp. Gruszczyńscy mile go przyjmowali nie tylko jako kuzyna; głównym wszakże przedmiotem zajęcia się Wacława w ich domu stała się Józia, i było to bardzo naturalnem, iż nie miał niewzajemności.

W Śliwinie obchodzono dzień imienin pp. Gruszczyńskich: zjazd gości był nie tylko z sąsiedztwa, i czytelnik poznaje tu drugą bohaterkę powieści, kontrast Józii — przybyłą z Warszawy z matką: pannę Laurę.

W powieści tomu IV.: *Dwie niewiasty*, dwie małe kuzynki i towarzyszki, Zosia i Marya, taką raz o swojej przyszłości prowadziły rozmowę:

»Jak ja pójdę za mąż, mówiła Zosia, będę miała dzielne konie, piękne pojazdy, najświetniejsze sprzęty i stroje, a każdy stawiać mnie będzie za wzór dobrego smaku i mody. Pojadę do Paryża, do Londynu, do Włoch, wydoskonale się w muzyce i *wszystkim* głowy zawracać będę«.

»Jak ja urosnę, mówiła Marya, nie będę szukać obcych krajów, ni gorącego Włoch nieba. Osiądę ponad moją kochaną Wisłą, założę śliczny ogródek, w tym ogródku

wiele kwiatów posadzę, co dzień je będę własną pielęgnować ręką i będę zawsze kochać wszystkich i wszystko».

Jak do owej Zosi miała się Marya, tak właśnie do panny Laury miały się młode mieszkanki Śliwina, a zwłaszcza Józia. Panna Laura na pensyi była towarzyszką i przyjaciółką Walerki, i dlatego też przyjechała odwiedzić ją na wsi, ale niedługi przeciąg dalszego życia, życia w mieście i na wsi, nieznacznie, ale o wiele już zmienił był dwie towarzyski. Panna Laura wybierając się do Śliwina, nie myślała nawet może o tem, aby zaimponować; wszakże przybywszy tu, znalazła się jakby nie w swoim żywiole, w świecie jakowymś niższym. Panna Laura odróżniała się znacznie od reszty zebrania: strojem, układem, samymi szczegółami rozmowy; zapewne potknęła się nieraz idąc nie po woskowanej posadzce, i z trwogą o ubiór usiadała na krzesła, które nie aksamitem i złotem było obite. Zabawa nie szła; Walerka poprowadziła gości do gabinetu, gdzie stały między innymi oprawne książki: Krasicki, Karpiński, Brodziński, ale na ścianie wisiał portret madamy z pensyi i pannę Laurę odstraszył. Niewiele pomógł Wacław wtrącaniem swych słów wiejsko-szlacheckich. Walerka aby zabawić, usiadła do fortepianu, wybrała do śpiewu piosnkę, która najmilej była słuchaną w kole rodzinnem i którą śpiewała wdzięcznie; lecz panna Laura zgorszyła się, że to nie była arya włoska (była to znana, a wtedy niedawna jeszcze dumka: »Nad szumnym Dniestrem«¹). Szczęściem jednak nadjechał z Warszawy hr. Alfons i ożywił pannę Laurę, prowadząc rozmowę po francusku i o paryskiej operze.

Matka panny Laury, pani Borońska, mieszkała z córką w Warszawie, prowadząc dom świetnie. Majątek pani Borońskiej był przy upadku; lecz by ratować siebie i córkę, musiała ją wydać za mąż bogato, i dlatego mieszkała świetnie. Laura była piękną i zgłosił się o jej rękę stary,

¹ [Znany śpiew historyczny Juliana U. Niemcewicza].

ale bogaty *szambelan*. Przedmiotem zajęcia się serca panny Laury był młody *Zdzisław* i nie chciała słuchać o szambelanie; odpowiedziano jej jednak, iż od kwartału trzeba się będzie przenieść na Nalewki. Panna Laura poprosiła o tydzień namysłu i poszła za szambelana.

Józia w tym czasie z Śliwina przeniosła się do Nizina. Sierota, bez rodziców, miała Józia ciotkę, panią Jarońską. Ciotka ta, mając majątek niewielki i obdłużony, przytem syna, którego wychowaniem była zajęta, nie spieszyła po odebranie Józi, którą pp. Gruszczyńscy przyjęli po śmierci matki; lecz zaledwie poznała swą siostrzenicę, pokochała ją jak swą córkę i zabrała do siebie. Józia bawiąc w Nizinie, widywała nieraz Wacława, który w sąsiedztwie trzymał małą dzierżawkę, zajmowała się pracą i gotowała się na dalsze życie, odczytując przestrogi, czyli notatki, które jej umierająca matka zostawiła.

Notatki te są to warianty tych trafnych uwag i przestóg, które autorka w każdej powieści w różnych kształtach odnawia i dlatego przytoczym tu z nich kilka ustępów.

Matka Józi tak w nich np. pisała o świecie, który już sama żegnała i na który córkę swą wysyłała:

»Świat, moje dziecię, to pstra mieszanina dobrego i złego, zleпка gliny i złota. Nie tak zły i nikczemny, jak sądzą o nim niektórzy, bo go myśl boża otoczyła dokoła; ani tak doskonały, jakimby go inni mieć chcieli, bo ludzki, bo skażony. Słaby i niedołężny, jeżeli go uważać zechcemy cząstkowo; wielki i potężny w całości, bo każda z milionowych jego cząstek dąży do urzeczywistnienia i wyrażenia wielkiej myśli Boga. I ty, moje dziecię, jakkolwiek słaba i wątła, jesteś ogniwnem w wielkiej społecznej budowie. Pamiętaj o tem i staraj się godnie spełniać przeznaczenie twoje; staraj się przejść przez życie czystą i nieskażoną stopą, a dokażesz tego, postępując zawsze drogą prawdy«.

»Życie, moje dziecię, to ciężka i nużąca pielgrzymka

od kolebki do grobu. Nikt z żyjących nie wyłamie się od dźwigania swego krzyża, idzie tylko o to, aby jego brzemień lżejszem i znośniejszem uczynić. Uważaj życie jako ciągłą walkę, jako nieustające poświęcenie; ale nie szukaj w niem osobistego szczęścia. Kto szczęścia szuka na ziemi, nie znajdzie go nigdy, bo go tam niema, a wszystko, co ludzi jego pozorem, kłamstwem jest i złudzeniem. Szczęście znajdziesz dopiero w Bogu w pełni, tu zaś wtedy poznasz jego odblask, gdy Bóg zamieszka w twem sercu«.

»Módl się, dziecię, i pracuj: w tych dwóch słowach zamyka się cała mądrość«.

Głównym dłużnikiem pani Jarońskiej (ciotki) był pan *referendarz Z.*, mieszkający w Warszawie. Ten pan referendarz, za czasów swych młodych (za Księstwa Warszawskiego) przedmiot powszechnych uwielbień dam, postrach mężów, przez ciąg życia zebrał był znaczny majątek, lecz nie ożenił się; zrazu sięgał wysoko, potem jakoś i niżej nie udawało się; nareszcie postanowił ożenić się chociażby i nie bogato, lecz według serca; uczynił wybór, a wybór ten wypadł na Józię. Pani Jarońska nie mogła spłacić narosłych długów, majątek jej był w ręku referendarza, i jedynym środkiem ratunku było zaproponowane przezeń małżeństwo. Józia wiedziała o tem; ratować swą opiekunkę przeczytywała za obowiązek, i mimo przedstawień samej dobrej ciotki, mimo miłość swą dla Wacława, pomimo wstręt, jaki w niej obudził do siebie próżny a odziany w sztuczne włosy i zęby referendarz, oddała mu swą rękę.

Józia uratowała ciotkę, ale zgubiła siebie. Nawet miłość referendarza nie była trwała. Pani szambelanowa Laura błyszczała w świecie, lecz podróżami, trującym wystawnem życiem wpędziła wkrótce męża swego do grobu i z nim majątek. Ratunkiem Laurze mogły być miliony referendarza, którego poznała: jeden umizg zawrócił mu głowę; za pieniądze mógł za żonę mieć Laurę, pozbyć się pierwszej. Józia odrzuciła jałmużnę, lecz dręczona dziwa-

ctwy, grubijaństwem męża, z wierną służką wyniosła się potajemnie z mieszkania; z ulicy Senatorskiej przeniosła się do małego pokoiku na 3-ciem piętrze na placu Zygmunta i tu zamieszkała, utrzymując się z dawanych lekczy rysunku i ręcznych robótek.

Wkrótce przybyła ze wsi pani Jarońska zabrała ją do siebie. Z radością powitało ją dawne sąsiedztwo, tylko z niejaką trwogą Walerka, od lat dwóch żona Wacława. I istotnie, dawne uczucia wznowiły się wkrótce w sercu Wacława i wznowiły się w sercu Józii. Lecz Józia, która uczyniła już była raz ofiarę dla ciotki, drugi raz dla męża, nie wahała się uczynić jej dla przyjaciółki i znikła z sąsiedztwa.

W ostatnim rozdziale powieści autorka opisuje szczęśliwość Józii. Przeznaczona na same zawody, potrzebę ofiar, Józia przemógłszy pasyę, nauczywszy się przestawać na małym, kochać dokoła wszystko, cieszyć się nadzieją wyższą, nietylko wśród niedostatków, w nowem uczuciu zewnętrznem znalazła spokój, lecz nawet szczęście.

I kiedy Laura, dotknięta chorobą ospy i jej skutkami, znienawidzona od męża (referendarza), opuszczona od świata wśród dostatków umiała tylko złorzeczyć światu i matce, Józia dziwiła się nawet, że na świecie mogą być niešťczęśliwi.

»Nieraz ja myślę, ciociu (mówiła raz do ciotki, która przy niej zamieszkała domek z ogródkiem i gruntem), czemu to ludzie nie są szczęśliwi, kiedy Bóg wskazał im do szczęścia nieomylną drogę. Tyle ludzi łaknie, nie pomnąc, że słowo boże, byle je do serca przycisnąć umieli, nasyciłoby wszystkich; tyle piersi pragnie, a źródło wiary i miłości stoi dla wszystkich otworem. Szczęścia! szczęścia! wołają wszyscy, nie pomnąc, że szczęście nie zstąpi z obłoków, ale spoczywa w sercu każdego, a jedyną do niego drogą praca, poświęcenie i miłość bliźniego«.

Taka jest treść *Sieroty* i wogóle charakterystyka opowiadań pani Pruszk. Słabą stroną powieści tych jest ich

artystyczna budowa. Nie brak fantazyi mamy do zarzucenia autorce, owszem, jej zbytek. Autorka pomyślała zarazem taką ilość akcji i sytuacji, iż każda jej powiastka nie kilka, ale kilkanaście ma bohaterów i bohaterek. Naturalnem następstwem musiało być: niewykończenie i zbyt częsta zmiana obrazów. Jest to własnością wogóle umysłu kobiet, iż żywiej i czulej dany przedmiot pojmując, całość jego na drobniejsze szczegóły rozróżniają; w piśmie jedną myśl, jeden obraz w krocich lekkich rozróżnień i odcieni lubią przedstawiać. Dlatego też ogólną własnością stylu poetek wszystkich krajów jest rozwlekłość; dlatego też zdaje się nam, iż wszystkie powieści autorki są nietylko podobnej, ale jednej i tejże treści. Odcienie charakterów i serc rzeczywiście w świecie są niezliczone; lecz odcienie te o tyle tylko rozróżnić możemy w obrazie, o ile je różni akcja lub określenie. Główne zaś szczegóły wszystkich powieści, o których mówimy, są prawie też same: pierwsza miłość, dwie inne w dalszym ciągu życia, niedobre małżeństwa (w samej powieści np., której treść przytoczyliśmy, jest cztery niedobrych małżeństw: szambelan i Laura, Józia i referendarz, referendarz i Laura, Walerka i Wacław), zakochanie się w świecie, ofiara z świata, sny złowróżbne i t. p., jest to treść każdej. Też nauki, przestrogi, morały powtarzają się w każdej w mało zmienionych formach (jak: *dIALOGI*, *LISTY*, *NOTATKI* i t. p.); jakoż napis jednej powiastki równie dobrze mógłby służyć i każdej innej. Każda np. równem prawem mogłaby nosić nazwisko: *Dwie drogi*, *Dwie niewiasty*, *Noc popielcowa* (czyli sprawdzenie snu), *Rachunek z przeszłością* i t. p.

Szereg ten zbyt podobnych do siebie stronic sprawia monotonność obrazów, a skądinąd, pomyślany tłum sytuacji sprawić to musiał, iż tylko zaczęcia powieści i niekiedy szczególnych odstępów są wypracowane.

Jesteśmy pewni, że ta obfitość imaginacji autorki *Powieści naszych czasów* uprości się, że te marzone liczne

ideały ukształcą się kiedyś w jeden ideał i dadzą nam dalej utwór pewniejszej artystycznej budowy; poręką tego jest właśnie ostatnia powieść autorki, nie będąca w tym zbiorze, a którą w roku zeszłym poznali czytelnicy »Biblioteki«¹ (*Córka poety*).

1853.

¹ [»Biblioteka Warszawska«, r. 1852, t. IV].

V.

»DZIWAŁA« J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dziwadła. Powieść współczesna przez J. I. Kraszewskiego.
Tomów II. W Petersburgu 1853 r.).

W Warszawie przed czasem niedawnym mieszkał niejaki p. *Jerzy Sumin*, dziedzic dóbr z Poznańskiego. Pełną kieszeń, lecz puste serce miał ten p. Jerzy; grał tu, pił, kochał się, bawił, aż ujrzał, iż stała mu się w końcu także kieszeń, jak było serce. Rzucił miasto, kochanki, długie, i zemknął na Polesie do dziadka.

Nie odrazu p. Jerzy trafił do dziadka: »jak prawy Warszawianin — mówi autor — mając Żmudź i Polesie za jedno«, wyjechał znacznie na północ; lecz w końcu trafił.

Z pierwszych listów p. Jerzego dowiadujemy się, jaki to kraj jest Polesie. Opis nie jest bardzo pochlebny dla okolicy. »Gdyby Dante znał był Polesie — pisał p. Jerzy do przyjaciela — przybyłoby mu pewnie obrazów do jego piekła. Lasy, trzęsawiska, kałuże, to wdzięki kraju; drożyny z błotnistą groblą i dziurawymi mostami, to wielkie drogi handlowe; płęć piękna: kobiety w czepkach szarych od dymu, z włosami niezczesanymi, z rękami i twarzą wymywanymi tylko na wielkie święto«. »Warszawskie przepiękności podobniejsze od nich do kobiet«, mówił Stanisław, służący pana Jerzego.

Dom dziadka p. Jerzego, pana koniuszego Sumina, nie mógł się jednak uskarżać na widok płci pięknej. Pan koniuszy jedno miał tylko upodobanie i jedno codzienne zajęcie się — myśliwstwo. I p. Jerzy musiał polować: pół dnia trawił na polowaniu, drugie pół rozmawiał o polowaniu. Jedyne sąsiad, który odwiedzał czasem p. koniuszego, był to pan kapitan (rywal bogactw starego Sumina), »figura — pisał p. Jerzy — którą gdybym gdzie spotkał, dałbym mu dwa złote jałmużny«.

Tak opisywał p. Jerzy Sumin panu Edmundowi Sussy w Warszawie Polesie, w listach: 1, 2 i 3, lecz nie tak w 4. W czwartym doniósł o poznaniu osoby, która się dalej stała bohaterką wszelkich następnych listów, całej powieści. Była to »panna Irena«, »królowa Irena«, jak najczęściej wyrażał się p. Jerzy.

Panna *Irena* była to młoda sąsiadka (z *Rumiannej*), którą p. koniuszy niegdyś wychował, którą uwielbiał i którą taił, dopóki mógł, przed siostrzanem, znając siostrzana.

Panna Irena od lat dzieciennych była sierotą, lecz otrzymała w dziedzictwie rozum, który stawiał jej za ojca i matkę i znaczne dobra.

Panna Irena różniła się trochę od reszty płci swojej; przносиła wprawdzie nad igły i tańce konie i pistolety, lecz też nad stroje zewnętrzne — stroje wewnętrzne. Była gwiazdą pośród płci swojej, biczem dla męskiej; gnuśność, próżnowanie, głowa lub serce puste, były przedmiotem nie pośmiewiska, lecz prosto wzgardy, dla królowej Ireny. P. Jerzy uczuł całą swą niższość; wziął dzierżawę blisko Rumiannej, ale nie śmiał się zbliżyć, nie śmiał nawet bywać u królowej Ireny i patrzył tylko na nią — przez perspektywę.

Panna Irena w swych wymaganiach mogła też być istotnie popsutą, mieszkał bowiem w sąsiedztwie niejaki pan Graba, ideał męski. P. Hutor-Graba, był to człowiek trochę za szczery i ostry, stąd też nie lubiony na świecie, nawet od własnej żony (która go wcześniej porzuciła); mimo

o jednak zakochany zawsze w swej żonie i świecie, to est w ludziach, dla których całe swe mienie rad był poświęcić. Oddany dobru swych włości, z nimi jadł, orał, kosił; dziedzic dużego majątku, w życiu swem przestał prawie na chlebie i wodzie, a oszczędzony pieniąż obracał na ulepszenia rolne, na zbiory obrazów, książek itp.

Takimi byli: stary koniuszy Sumin, panna Irena, p. Hutor-Graba: — *dziwadła*, jak mówi ironicznie autor w napisie powieści.

Kilka słów królowej Irenej, przykład Graby, gderanie dziada, prędko otworzyły oczy i wpłynęły na zmianę pana Jerzego. Karty, próżniactwo, zabawy, kochanki dawne, wnet nie powstały nawet w myśli zawstydzonemu. Przemieniony i przerodzony, sam dalej stał się królem uczuć (od razu już pociągniętej skrycie ku niemu) królowej Irenej; wnet też dziedzicem jej ręki, majątku; a piekło Danta przemieniło się dla pana Jerzego na niebo Danta.

Taka jest treść nowej powieści pana Kraszewskiego, którą w tym roku otrzymaliśmy. Powieść ta wyraźnie ma cel, i piękny: powoływanie do pracy, do polepszania się. Mówią o tem już treść powieści, już zdania i przestrogi jej figur. »Niema szczęścia w *szalach* młodości«, w jednym z ostatnich swych listów pisze pan Jerzy, »ono tylko w spokojnej ustroni wiejskiej, w ciszy sumienia«. »Wszędzie i zawsze człowiek, który chce, użytecznym być może« — uczył pan Graba. Nie z pozwolenia nawet autora, ale tylko przez żal, jeden z typów jego nazwaliśmy tu ideałem; autor nie chciałby nawet dopuszczać tego nazwiska. »O! wyraz ten (ideały) jest największą plamą na twarzy ludzkości — mówi; nazwano ideałem wszystko, czego obawiano się spełnić, czego się leniono dostąpić, czego nie chciano nieba na ziemię sprowadzić«. Powieść ta ma też zalety wszystkim innym powieściom pana Kraszewskiego właściwe, jako to: trafność charakterystyk, czystość i potoczność stylu, dyalogów i t. p.

Żałować wszakże możemy, iż przy tym celu i przy tych środkach, niezupełnie im odpowiada ekspozycja powieści.

Do zarzucenia z tej strony mielibyśmy tu najprzód grzech (niech daruje nam autor, że jeszcze raz przypomnimy) grzech większej części jego utworów — *pospiech*; tom drugi nie odpowiada tu wcale pierwszemu; jest to zbiór sytuacji, obrazów, lub odrębnych i nie dodających w ten sposób siły artystycznej budowie powieści, lub wyraźnie do końca tylko goniących, -- i powtóre: formę powieści — *listy*.

P. Kraszewski nie jest pisarzem wewnętrznym, lecz przedmiotowym; stroną silną jego talentu jest przerys, pochwycenie przedmiotów, które spotyka, charakterystyka, z usunięciem i cienia własnej osobistości. Talent jego jest raczej z rodzaju tych, jakie mieli np. w Anglii *Walter Scott*, *Szekspir*, nie zaś *Byron*; dla talentu w rodzaju tym nie są przeto właściwe formy wewnętrzne, np. listy. List jest w powieści dobrym i pożądanym, jeśli odsłania nam więcej serce, charakter, położenie swego autora, niż dialogi lub opis. Listy w obecnej powieści p. Kraszewskiego nie odsłaniają więcej charakteru swoich autorów, niż opis; składają ją listy czysto opisowe (obejmujące nawet opisy i dialogi z opowiadania osób trzecich słyszane, co nie dodaje równie złudzenia artystycznego) pana Jerzego, słabsze (psychologiczne) Edmunda i najslabsze Ireny, jako donoszące tylko o szczegółach, które już zgadł dawno czytelnik i w których nie widzimy wcale ręki *królewskiej*.

Wady te nie znoszą wszakże, dodajmy, liczniejszych zalet powieści, wśród których kładziemy za główną: pamięć w każdej rozmowie, obrazku, szczególe wprowadzonym, jako też w całej osnowie powieści na ów cel, o którym wspomnieliśmy. Jako na jedną z najlepszych wskazujemy tu na rozmowę w Rumianie, przy pierwszej wizycie pana Jerzego, między nim, a panem Grabą i panną Ireną, o celu

wogóle życia, o kryterium, jakie w tym względzie ma służyć we wszystkich miejscach i czasach.

Dziwadła, jeżeli nie liczbę arcydzieł, to jednak pomnożyły bez zaprzeczenia liczbę dobrych książek do czytania w naszej literaturze.

1853.

1853.

VI.

Z. KACZKOWSKI.

(«Ostatni z Nieczujów». Powieści Zyg. Kaczkowskiego. Tomów III. Warszawa 1854 r.).

Do liczby oryginalnych powieści polskich przybyły nam w ostatnich latach p. Zyg. Kaczkowskiego. P. Marcin Nieczuja Ślaski, skarbnikowicz zakroczymski, posesor zastawny Bóbrki w ziemi sanockiej, szwagier p. Michałowski, zięć Strzygockich, wnuk Piotrowiczów, opowiada nam w tych powieściach przygody i dzieje swoje, swej rodziny, sąsiadów i kreśli w ten sposób obraz charakterów, stosunków, zwyczajów i obyczajów mieszkańców swej okolicy i swoich czasów. Opowiadania te zaraz od ukazania się swego powszechną wziętość znalazły. Umieszczone po raz pierwszy przed kilku laty, jeżeli się nie mylimy, w feljetonie dziennika »Czas«, ukazywały się odtąd we wszystkich prawie dziennikach, wychodzących w języku polskim. Obecnie otrzymaliśmy zbiór kilku w oddzielnem wydaniu, w 3 tomach, pod jednym ogólnem nazwiskiem: *Ostatni z Nieczujów*.

Nim uczynimy tu parę uwag o charakterze i szczegółach tych powieści, musimy naprzód czytelników zaznajomić z przedmiotem, to jest z zawarciem ich. Uprzedzamy zaś tylko zgóry, że opowiadania te p. Zygmunta Kaczkow-

skiego nie są to wcale z jakąś szczególną barwą powieści, nie są one ani fantastyczne, ani psychologiczne, ani nawet z zadania swego obyczajowe: są to tylko opowiadania potoczne szczegółów życia rzeczywistego. Polem ich głównem jest, jak rzekliśmy, dawna ziemia sanocka; bohaterami — szlachta tameczna wiejska i szlachta wyłącznie; epoką — lata wieku zeszłego, zwłaszcza środkowe. Treść ich, nawet w tym zakresie, jaki obrały, nie ma żadnych powikłań szczególnych; jest to niekiedy jakaś tylko fraszka chwilowa, niekiedy opis bez żadnej nawet powieściowej całości, a zawsze stosunki jedynie zwykłe domowe; zalety zaś, które im zajęcie nadają, są: koloryt miejsca i czasu i sposób opowiadania.

Powiastrki, które obejmuje tom I-szy zbioru, są: *Bitwa o Chorążankę*, *Junakowie* i *Swaty na Rusi*; tomy 2 i 3-ci składają powieść: *Murdelio*. Treść każdej jest w głównych rysach następną.

Bitwa o Chorążankę. Między szlachtą sanocką i jej sąsiednią przemyską była niejaka rywalizacya od czasów dawnych. »Przemysłanie panowie, ale nie wiedzą, jak to się pije i bije«, mówili Sanoczanie. O pannę Błońską, chorążankę sanocką (dziedziczkę Bereski), starał się pan Żurawski z Rączany, sąsiad; ale nadjechał z Przemyskiego p. Niezabitowski, starościc janowski, i można było zwątpić o chorążance. Przyjaciele p. Żurawskiego, bawiący podówczas w Beresce (w ich liczbie był i p. Marcin Nieczuja), umyślili ratować sąsiada: wyzwali Niezabitowskiego na kufle, a gdy padł i leżał jak drzewo, uspięnego, rumianego i bez żupana, wśród nocy, do pokoju pańien wrzucili. Nazajutrz p. Niezabitowski i p. Żurawski mieli rozprawę. Uproszony od pierwszego za sekundanta p. Marcin, odwiózł potem rannego w Przemyskie, tam dobrze zabawił się i z wielą Przemysłakami zaprzyjaźnił się, a wśród zabaw, jak mówi, »ku zadziwieniu memu przekonałem się, że w Przemyskiem tak samo piją jak u nas«; spotkał go też honor, iż był tam prezentowany wielu znakomitym panom, a między innymi

JW. Cettnerowi, wojewodzie bełskiemu. Za powrotem otrzymał zaproszenie na ślub panny Błońskiej z Żurawskim.

Junakowie. W kraju, który miał ziemie obszerne, długi pokój, a zaledwie kilka tysięcy wojska, młodzież sama z sobą się biła i w stowarzyszenia wiązała, dla pilnowania sprawiedliwości po okolicach. W Sanockiem pamiętnem jest jeszcze stowarzyszenie 4-ch takich *Junaków*; byli nimi mianowicie: p. Edmund Chojnacki, stolnikiewicz rawski, p. Deręgowski, stolnik ostrzeszowski, p. Sobolewski, cześnikowicz żytomirski, i p. Chryzanty Nowosielecki. Głównem ich godłem był honor, celem — ściganie nadużyć, środkiem — siła, której samo użycie było im potrzebą, rozkoszą, a którą celowali zwłaszcza dwaj pierwsi. Deręgowski i Chojnacki byli takiego wzrostu, iż kiedy, mówi autor, wzięli się pod ręce, fura siana pomiędzy nimi przejechać mogła. Chojnacki rwał powrozy jak nitki; raz w kilka godzin sam karczmę całą rozebrał. Deręgowski jeździł na Ukrainę i do Węgier szukał bitew. Sobolewski pobożnością celował, spowiadał się co sobota i do żydów ani zajeżdżał; żebrakom w dzień sobotni dawał jałmużnę, w inne — batogi. Pijąc, lali w siebie jak w studnię, a o honor tak dbali, iż jeżeli kto raz wyrzekł słowo, choćby w zapale, choćby po pijanemu, to je musiał dotrzymać; raz np. Deręgowski goszcząc przyjaciół, rozczulił się i po kieliszkach ściskając Chojnackiego, rzekł: »tak cię kocham, iżbym ci zaraz dach własnego domu podpalił«; jakoż wziął potem głownię i podpalił. Mataczy wypruwali gwałtem z posesyi, ścigali włóczągów, rozpędziwszy raz bandę cyganów, stali się powodem pożarów wznieconych przez nich; dla wsparcia pogorzalców, których ubóstwa sobie przypisywali winę, uczynili wyprawę na hajdamaków i ze skarbami wrócili. Zawód swój pokończyli różnie i w różnych czasach, sprawdzając jednak po większej części — uważa autor — to prawo: iż kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

Swaty na Rusi. Kiedy p. Marcin Nieczuja siedział samotnie u siebie w nieutulonym żalu po stracie żony i lu-

bował się w swoim grobie, przybył do niego (do Bóbrki) p. Ołtarzowski, niegdyś spółtowarzysz konfederacki, z prośbą o pomoc. »Ołtarzowski, mówi opowiadający, był to szlachcic miernego wzrostu i niesilnej budowy, i dusza w nim niebardzo była silna, ale za to tak piękna i czuła, że jakby magnes pociągała ku sobie«. Pokochał on był młodą pannienkę na Rusi, pannę Annę Ostrowską i nawzajem był pokochany: ale gdy się oświadczył, ojciec jej, przyjaciel p. starosty bachtyńskiego i *panów*, nie pozwolił i mówił sobie o takim związku. »Nazywasz się Ołtarzowski, rzekł mu, i musisz być synem jakiego organisty, a ja za takiego familianta córki nie wydam«. PP. Ostrowscy trzymali dzierżawę Błonie od starosty bachtyńskiego i p. Marcin wyruszył tam wreszcie z Bóbrki, aby pomódz przyjacielowi. W Błoniu poznał tylko Anusię z matką i ich czułą przyjaźń dla towarzysza, ale sam p. Ostrowski był u p. starosty w Dzieduszycach. W Dzieduszycach poznał pana starostę i dwór rozpustny. P. Ostrowski (gdy przemówił do niego w interesie) pokazał mu drzwi; ale gdy p. Marcin odpowiedział mu na to wyznaniem, iż wie jego rzetelną genealogią, t. j. iż jest synem szewca z Warszawy i tylko mniej godziwie dostawszy grosza, podszył się pod familią, otrzymał wszystko i wrócił do uszczęśliwionych do Błonia. Teżte jednak nocy p. Ostrowski z kozakami starosty napadł na własny dom w Błoniu i p. Marcin przytomności tylko swego *Węgrzynka* był winien, że uniósł życie z Ołtarzowskim. U p. pisarza, krewnego pani Ostrowskiej i który sprzyjał Ołtarzowskiemu, zebrana szlachta naradzała się z Marcinem i Ołtarzowskim, jak się pomścić i skutecznie napad na Błonie. Ale grono osób u p. pisarza, nie jednako, jak to już bywało w tym czasie, było ubrane; pół było *kontuszowych*, pół *pudrowanych*. Przywódca pudrowanych, *hr. Parys*, obrażony był przez któregoś z kontuszowych: bój się wszczął w domu, za domem: eleganci zapędzeni w błoto w trzewiczkach, a w powrocie i reszta szlachty gdzieś znikła. P. Ołtarzowski umyślił zapomnieć

swych uczuć. W lat kilka p. Marcin był znów przypadkiem na Rusi i znalazł tam odmiany. P. hr. z Dzieduszyca poślubiwszy pannę Dzierżkównę, zmienił dawny tryb życia i zaproszony od gospodarza do Dzieduszyca, p. Marcin (z odpustu w Kochaninie) znalazł, iż wszystko tam było teraz i świetnie i statecznie. P. Ostrowski, odpędzony od boku p. starosty, roztrwoniwszy zapasy, osiadł z żoną i córką w miasteczku Stryju, rozpił się i zginął z ręki jakiegoś kowala w czasie burdy. Pani Ostrowska przedtem jeszcze umarła i tylko nieszczęśliwa Anusia została sama. Uwiadomiony o tem przez p. Marcina stały zawsze p. Ołtarzowski, przyleciał i wynalazł sierotę; ale Anusia ujrzawszy go niespodzianie, nie przeniosła nagłego wzruszenia: serce jej od radości pękło — skonała.

Murdelio. Powieści tej, jako głównej autora ze znanych nam dotąd, przytoczymy tu treść szczegółowiej. Pan Marcin Nieczuja Śląski odziedziczył po śmierci ojca posesyą zastawną Bóbrki, majątku wojewody wołyńskiego Osolińskiego, oraz gotówką trzykroć. Za te trzykroć kupił dziedzictwo, to jest wieś Rable w górach, ale na gospodarstwie w górach nie znalazł się — stracił; odprzedał więc Rable p. Urbańskiemu i znowu wrócił do Bóbrki. W Bóbrce było p. Marcinowi wygodnie, lecz trochę tęskno; jak więc i sam rozmyślił, i jak mu doradził sąsiad, p. chorąży Błoński (którego porady polecił mu ojciec umierając uważać za kompas w życiu), powziął zamiar ożenić się.

Zawiązał był p. Marcin, kupując Rable, znajomość i przyjaźń z p. Konopką od Mazurów, a przyjaźń taką, iż dali sobie słowo, że kiedy jeden będzie się żenił, drugi, choćby na końcu świata był, przyjedzie za družbę. Jakoż wkrótce, a właśnie po owej naradzie z p. chorążym, otrzymał od Konopki list z Koszyc, w którym go wzywał na ślub; pospieszył, lecz było jeszcze zawcześnie. Pan Konopka w Koszycach przyznał się, że nic jeszcze niema pewnego, że się stara o pannę Strzegocką, córkę pp. stolnikostwa rzeczywych ze Zwiernika, ma przyrzeczenie matki

i dziada, ale panna coś kręci. Strzegoccy byli to jacyś powinowaci po matce p. Marciniowi; jako więc kuzyn i przyszyły družba, pojechał zapoznać się z domem. Znajomość ta była stanowczą w życiu dla p. Marcina. Towarzystwo domowe w Zwierniku składali: p. Strzegocka, jej dwie córki: panna Zuzanna i panna Zofia i jej ojciec, p. Wit Piotrowicz, starosta. Pani Strzegocka przyjęła gościa uprzejmie, rozmówiła się o familią, zgorszyła się trochę na wiadomość, że »p. skarbnikowicz nie ma dziedzictwa«; po rozmówieniu się jednak dalszem nie zaprzeczyła powinowactwa i przedstawiła mu córki. P. Zuzanna i p. Zofia, chociaż siostry, wcale niepodobne były do siebie; starsza, lubo przedmiot miłości i hołdów przyjaciela, nie podobała się p. Marciniowi: talia jej była gruba, ręce ciężkie, twarz równa, ale niezajmująca: »biegły fizyonomista, mówi, byłby na niej dopatrył trochę wyrazu złości, trochę dumy, trochę zarozumiałości, ale ani astronom nawet nie byłby dopatrył rozumu«. Zupełnie przeciwne wrażenie zrobiła na p. Marcinie Zosia, z oczami niebieskimi jak jej sukienka, a jaśniejącymi jak gwiazdy, włosami puszczoneymi w pukle wokoło głowy, jakby w wieniec róż czarnych, była ona uderzająco piękną: »a jednak mimo tę piękność i świetność, przebijała się też, mówi p. Marcin, w wyrazie jej twarzy jakaś żałość, jakaś smętność taka, jakaś miękkość serca i duszy, że gdyby mi kto był kazał wyobrazić sobie mdlejącego anioła i zwolna zlatującego na ziemię, tobym był Zosię pomyślił«.

Wkrótce też wszedł i dziadunio. Był to staruszek lat więcej 90 liczący, czasów jeszcze Leszczyńskich i Sobieskich zabytek. Dziadek ten stał się dalej przyjacielem i protektorem p. Marcina: wdzięcznie go też opisał, a opis ten, jako jednej z głównych figur powieści, w całości tu przytaczamy: »Obaczywszy tego staruszka (mówi p. Marcin) wchodzącego, wstałem zaraz i z głębokiem uszanowaniem stanąłem za mojem krzesłem. Dziwnie-bo to piękny był ten dziadunio! Wzrost miał więcej jak mierny, postać tro-

chę przygarbioną, chód powolny i stąpanie niepewne, ale jeszcze dość rzeźwości i siły zdawał się mieć na swe lata. Włos jego biały jak mleko, długi aż do karku, ale już rzadki i tak rozwiany, że nad głęboko pooranem czołem poważna świeciła łysina. Twarz jego podłużna, białym wąsem ozdobna, pełna była zmarszczków, które w różne porozbiegawszy się strony, tu i owdzie z różnemi kresami złączone, dawały jej postać wcale zgrzybiałą; a pokrzyżowawszy i pozrastawszy się z sobą, trudno dawały poznać, które z nich były samego wieku, a które szabli nieprzyjacielskiej śladami. Dziadunio miał na sobie kontusz popielatego koloru, delikatnemi kunami podbity, długi aż do poniżej kolan i bez wylotów; pod nim żupan karmazynowego koloru, ale cokolwiek już wypełźnięty, pas na wierzchu lekki siatkowy, żółty bucik na nogach i białą konfederatkę na głowie; ale tę zaraz we drzwiach zdjął lewą ręką, w prawej trzymając krótką trzcinę i opierając się na niej za każdym krokiem. Widok ten pochwycił mnie jakoś za serce, bo dziwnie piękny to starzec był; coś mi przypomniał mojego ojca nieboszczyka, coś portrety mych dziadów, wiszące u mnie na ścianie, a coś znów było w nim takiego, żebym mu był zaraz przypiął szablę do boku i dał mu klęknąć ze złożonemi rękami przy jakim wielkim kamiennym grobie i niechby tak skamieniał i został na wieki wieków«.

Staruszek niedobrze już widział i niedobrze słyszał, lecz lubił mówić, a zwłaszcza, kiedy wychylił lampkę po lampce miodu, przypominać przygody z młodego wieku. P. Marcina Nieczuję powitał otwarcie, opowiedział mu o jego przodkach więcej może, niż sam p. Marcin wiedział, i wnet mu zaczął wywodzić, dlaczego »najpocziwszą pod słońcem jest szlachta oszmiańska«. Staruszek mieszkał teraz przy córce w jej wiosce, ale miał własną dziedziczną koło Oszmiany; dzieckiem jeszcze wypędzony przez macochę z domu, potem gdy wrócił młodzieńcem, przez amanta jej z dworu wyszczuty, uchodząc w rozżaleniu

poprzysiągł, iż nie wróci do tego miejsca, póki mu się srebrny włos nie ukaże na głowie. Dwór ów wkrótce stał się pustym, ale p. Wit dotrzymując ślubu i tułając się po cudzych krajach, wrócił dopiero w lat 20, a sąsiedzi (szlachta oszmiańska) oddali mu wioskę całą zagospodarowaną, z tem wszystkiem, co było jego. Staruszek ciągnął dalej powieść o swojej żonie, córce, o długim szczęściu i z niepokojem wyraźnym pani Strzegockiej zaczął ustęp o jakimś wtręcie, o katastrofie domowej, lecz wtem nagle drzwi się otworzyły z łoskotem, córki pochwyciły matkę za rękę, coś przeniknęło wszystkich i wszedł — Murdelio. Murdelio był to jednak tylko zakonnik z klasztoru OO. Franciszkanów w Krośnie, ten sam, którego wyrazista twarz uderzyła była niedawno p. Marcina, gdy w owym klasztorze krośnieńskim zwiedzał groby Oświecimów i który go tak groźnie wtedy nauczał o jawnej karze niebios za samą myśl kazirodczą, ukazując na trupy Oświecimów. Wkrótce też staruszek zachrapał; udano się na spoczynek, a pani Strzegocka zatrzymała uprzejmie p. Marcina do zapust. — P. Marcin gdy się położył dnia tego, długo nie usnął; przelatywały mu przed oczami i myślą to Zosia w niebieskiej sukience, to anioł, to świat jakiś nowy, lecz nagle doszły go z przyległego pokoju dwa głosy; surowy i silny męski i słaby kobiecy: »Na ojca mego! na dziecił miej litość!«, mówił głos żeński. »Milcz! dzieci twoje to trąd, stary to łotr«, odrzekł męski. P. Marcinowi, który zrazu wziął to za głosy duchów, nazajutrz zdało się, iż były to głosy pani Strzegockiej i Murdeliona (który stamtąd dopiero nad rankiem wyjechał) i dziwił się tej przewadze, jaką miał ten zakonnik nad domem tym.

Pobył w Zwierniku do zapust przeszedł p. Marcinowi rozkosznie: — nadjechali byli w tym czasie p. Konopka, a z nim niejaki nie celujący rozwinięciem władz umysłowych, ale milionowy starościc Lgocki; była to wizyta dwóch jakichś delegowanych na powiaty urzędników niemieckich (Streitenbacha i barona Holmfels), którym gospodarze radzi

byli, gdy przyjechali, i radzi, gdy odjechali (tylko panna Zuzanna broniła Niemców). P. Marcin przez ten czas dla pani stolnikowej w przyjmowaniu gości był prawą ręką, dla dziadka towarzyszem rozmowy, dla Zosi jej wielbicielem co dnia żywszym. W dzień zapust (w czasie tłumnej zabawy) sam oświadczył się jej; był przyjętym, ale od matki nazajutrz otrzymał odpowiedź, iż Zosia musi podtrzymać świetność ich domu i zostać panią Lgocką. Pan Marcin wrócił do Bóbrki napół przytomny; ale po drodze wstąpił do Franciszkanów w Krośnie, złożył na klasztor ofiarę i prosił, aby mu dla pociechy i porady w nieszczęściu przysłano ojca Murdeliona, którego nie zastał.

Murdelio nie miał jeszcze święcenia; wkrótce jednak do Bóbrki przybył. Tu, po wysłuchaniu powieści nieszczęść, bez wymienienia nazwisk, nie szczędził p. Marcinowi porady; mówił ostro o miłości, o świecie; ale na wzmiankę, iż w sąsiedztwie mieszka p. Fredro, stolnik pomorski, wspomniał żywo na tę znajomość z lat dawnych, na stosunki z hrabią we Włoszech, zrzucił sukienkę zakonną, wziął świecę i pojechał z p. Marcinem do Hoczwi. W Hoczwi, mówiąc wyrażeniem dzisiejszem, Murdelio był lwem towarzystwa: mówił wszystkimi językami, ile ich jest, o jakim tylko na świecie miejscu wspomniano, wszędzie był, u stołu lał w siebie, ile wszyscy razem — z p. Urbańskim (sąsiadem stołu) stanął po obiedzie za jakąś obrazę, zczerniały cały, do pojedynku, i jednym cięciem zadał mu dwie rany; p. Marcina pytano się zcicha, co to był za człowiek, którego przywiózł i czylito był człowiek? Sam p. Fredro, który go znał tylko we Włoszech, ciekawym był jego historyi, i Murdelio po owych kielichach i przy kielichach opowiedział ją przed p. Fredrą i p. Marcinem.

Imię jego było Ignacy, przydomek i nazwisko (takież jak owego staruszka, ojca p. Strzegockiej), Murdelio Piotrowicz. Ojciec jego odziedziczył w Hiszpanii ogromne sumy, nabył za nie 50 wsi, ale p. Witowi (któremu nale-

żała połowa) dopiero przed śmiercią, dręczony sumieniem, ofiarował parę. P. Wit ofiarę odrzucił; umierając więc, polecił synowi, aby nie przepomniał go wynagrodzić; zarazem jednak, pod niebłogosławieństwem, zakazał mu myśleć o jego córce. Murdelio nie miał czasu myśleć o tym nakazie i o tym zakazie: guwerner Francuz wywiózł go był wkrótce do Francji; ale doszedłszy do lat, przepędził guwenera, wrócił do kraju, tu znalazłszy dobra rozdzierżawione, urządził zastęp z kozaków — dzierżawców swych powyprawiał już prośbą, już groźbą, już wprost szyją na wierzbę i wrócił do 50-ciu swych wsi. W sąsiedztwie nazwano go czartem, a że był we Włoszech, więc weneckim. Wtedy też przyszedł mu na myśl i zakaz ojcowski; zakaz, to ciężar i jest rozkosz sprzeciwić się zakazowi: córka też p. Wita, gdy poznał ją, zawróciła mu serce i głowę. By przypodobać się ojcu (który go był zrazu nie przyjął), włożył ubiór krajowy, stał się gospodarny i rządny; ale jedna chwila zepsuła wszystko. P. Wit, gdy Murdelio, będąc już poufałym w domu przyjeżdżał, zostawiał go zwykle z kobietami, t. j. córką swą i jej ochmistrzynią, samego; raz jednak nadszedł tam niespodzianie, a Murdelio trzyma córkę jego na kolanach i całuje ją, a ujrzawszy ojca, rozśmiał się. Nie za pocałunek, ale za ten śmiech, mówi Murdelio, we wściekłość wpadł stary i Murdelio ledwo się uratował oknem; lub, jak w okolicy mówiono, przemknął się szparą, potem wpadł w ogrodzie w dziurę jak mysz i zostawił tylko za sobą kłęby dymu i siarki. Murdelio z zastępem swoim napadł wkrótce na dworek starca i córkę mu uwiózł. Gwałt wywołuje gwałt: dnia któregoś Murdelio wróciwszy do siebie, znalazł dziedziniec zamkowy i zamek swój do jednego człowieka pusty. Nie miał miejsca dla siebie w kraju: chciał przystąpić do formującej się i głośniejszej podówczas w kraju bandy albeńskiej, ale jej przywódca (książę Kochanku) kazał mu odpowiedzieć: »że wprawdzie gotowi są walczyć przeciw wszystkim dyabłom weneckim, ale sukursu od nich nie potrzebują«. Ostrzeżono

go nawet, że wiadomość o sprawkach jego doszła do dworu; przystąpił więc do partyi innej silnej w kraju Familii, pod jej osłonę i uciekł do Włoch. Za powrotem czas ugasił w jego sercu chęć zemsty, ale nie miłość. Córka p. Wita wkrótce po katastrofie poślubiła była jakiegoś miżernego szlachetkę Strzegockiego, potem stolnika rzeczyckiego: w siedem miesięcy wydała na świat córkę, w rok drugą, w 3-cim męża straciła. Murdelio przyleciał do wdowy, ale przy wdowie w Zwierniku mieszkał też i p. Wit, jej ojciec, którego wielbiła, napisała więc do niego prosząc, aby zaprzestał wizyt, a na odpowiedź czekał lat 10. »Czekam więc, mówił kończąc Murdelio, stolnikowa tymczasem pisuje do mnie, ludzi w listkach słówkami, ale cierpliwość moja jest już u końca«. Tyle opowiedział o sobie Murdelio, a p. Marcin to jeszcze wiedział, iż wdział habit zakonny i pod osłoną jego bywał w Zwierniku.

Dalszy pobyt p. Marcina w Bóbrce i jego ciężki smutek osładzane były jedynie listkami Zosi, które mu ze Zwiernika przywoził wierny Węgrzynek. W niedługim czasie przybyli jednak do Bóbrki p. Lgocki z p. Stojewskim, sąsiadem, z prośbą, iżby p. Marcin odstąpił swej konkurencyi. Wszczął się spór, przychodziło do bitwy — gdy tę nagle przerwała wiadomość, przez (drugą pośredniczkę p. Marcina ze Zwiernikiem) karczmarkę z Tarnowa przywieziona, że Murdelio napadł na Zwiernik, porwał panią Strzegocką i uwiózł ją na swój zamek w Oszmiańskie.

Więc i p. Wit pospieszył do swego dworku w Oszmiańskie ze swą młodszą wnuką (starsza jechać nie chciała) i p. Marcin (przebywszy kordon) tamże pospieszył. Pospieszili też i sąsiedzi tameczni i ofiarowali swą pomoc starcowi, przyrzekając mu córkę zwrócić.

Pod przewodnictwem Jura z Borowiczek i p. Marcina, wykonano napad na zamek Murdelionowy; zamek poddał się, Murdelio gdzieś zniknął i pani stolnikowa zwrócona ojcu.

Dla pana Marcina rozkoszniejszy był jeszcze pobyt

w tem nowem mieszkaniu, niż kiedyś w Zwierniku. Lgocki nie pokazał się więcej, p. Marcin sprowadził do pomocy sobie szwagra swego, p. Michałowskiego, z Sandomierskiego i ponowił swe oświadczenia. Pani Strzegocka, która od czasu odbicia jej, zamiast wdzięczności, wstręt czuła do p. Marcina, odprawiła go grubo; lecz dziadek, który na to nadszedł, odprawił córkę i zaręczył go z Zosią. Ślub się odbył na św. Michał. Pan Marcin odwiózł żonę do Bóbrki z błogosławieństwem — jedynie dziada.

Przykładne i pełne szczęścia. było pożycie młodych małżonków w Bóbrce, ale niedługo. Dnia któregoś letniego, kiedy Zosia leżała słaba, a przy niej spoczywało w kolebce dwoje niemowląt, dwóch synków, niemowlęta te jedno po drugim skończyły życie. Ucałowawszy drugiego trupka, Zosia wpadła w konwulsye śmiertelne i wszelki ratunek był próżnym. Kiedy nazajutrz p. Marcin wszedł do swojej komnaty, Zosia na wysłaniu leżała; w niebieskiej sukience jak niegdyś, z tąż ładną twarzą, temiż włosami czarnymi, tylko bez krwi i duszy, z rękami założonemi na piersiach, z obrazkiem w ręku.

Wkrótce też życie zakończył staruszek Wit. Panna Zuzanna zerwała z Konopką i poszła za barona Holmfels. Murdelio umarł w Krośnie w klasztorze, a jak mówiono, tegoż dnia właśnie koń czarny przebiegłszy korytarzami klasztoru, wyrwał się na dziedziniec i pobiegłszy wpadł do pokojów w Zwierniku, gdzie pani stolnikowa w tejże chwili skończyła życie.

Taka jest treść opowiadań p. Kaczkowskiego w obecnym zbiorze. Opowiadania te, jak to czytelnik widzieć może już z samej treści, harmonijnie przybyły do charakteru i biegu naszej powieści. Gałąź bowiem powieściowa w naszej literaturze, która tak była obfitą w oryginalne utwory w ostatnich latach, iż liczbą ich zawstydziła niejedną obcą, w utworach tych jednak wszystkich prawie

wspólny, podobny sobie charakter odbiła. Podobność ta mianą jest nawet przez wielu za niejaką ujemność, brak wynalezienia w autorach, powód owszem niższości powieści krajowej od obcej. Wistocie, jeżeli spojrzymy na chwilę, choćby na utwory tylko z dwóch lat ostatnich powieści obcej, ujrzymy, iż lubo pomiędzy twórcami ich pierwszorzędny geniusz dzisiaj nie błyska, to jednak wszędzie usiłuje rozszerzać zadania swoje i ramy. Powieść tam, już się poświęca sprawdzaniu spekulacyjnych docieczeń innych pisarzy, już przedstawianiu i rozjaśnianiu od siebie prawd jakichś, obyczajowych, społecznych, już się odznacza doborem i harmonijnym układem powikłań, scen ekscentrycznych i t. p. Polem jej są nie tylko kraje autorów, lecz różne części świata i kraje świata; bohaterami: figury różnych zawodów i różnych klas. Po przebraniu obrazów szlacheckich, kupieckich, fabrycznych, morskich, wojskowych, wiejskich i t. p., posuniono się tam do obierania na bohaterów istot świata za-ludzkich: zwierząt, roślin, żywiołów, sił ciężkości, atrakcyi, praw chemicznych, matematycznych i t. p. Formą pomocną w utworach tych jest już szereg potocznych uwag i rozumowań, już erudycya, już tok ironii i satyry, już poezya, fantastyczność ¹ i t. p.

W utworach powieściowych pisarzy naszych, mimo niejakie odcienie ich piór, różnice okolic i czasów branych za przedmiot, bohaterką obrazów ich wszędzie i zawsze wyłącznie jest: *szlachta wiejska*; sferą działań jej: *stosunki* zwykle *domowe*; tłem obrazów: prosty *przerys rzeczywistości*; akcya i dykcya potoczne.

Powieść jest to, wogóle mówiąc, opowiedzenie jakiegoś odstepu dziejów biegących. Te dzieje to proza i zamęt przed okiem chwili, lecz postawienie się okiem wewnątrz tych dziejów daje dostrzedz szyk w nich wewnętrzny,

¹ W literaturze angielskiej: Bulwer, Dies, Bell, Thackeray, Dickens; w amerykańskiej: Poë, Pfaal, Stowe, Hawthorn; w niemieckiej: Gutzkow, Auerbach, Gotthelf, Fröhlicher, Nieritz, Korn, Meyer-Merjan; w francuskiej: Molènes, Musset, Michiels, Eymé, Pavie, Stahl.

harmonią, strony i jawne i skryte; nakreślenie przeto tem okiem tego odstępu daje różność barwy powieści, stosownie do przewagi strony ujrzanej. Powieść nadto — to sztuka, jej gałąź, wszystko przeto, co w składzie jej wznosi tę sztukę, jej efekt, wznosi wartość gałęzi.

Nie jesteśmy więc, co do nas, nieprzyjaciółmi powieści z tą różną barwą: obyczajowych, fantastycznych, społecznych, z rzędem powikłań, odzianych w humor, poezję i t. p.; sądzimy, że różnaitość przedmiotów i środków wzrośnie jeszcze w dalszym biegu (tak niedawno jeszcze zaczęty) naszej powieści; wszakże sądzimy także, że jej charakter dzisiejszy, to jest samo proste odbijanie rzeczywistości nie jest na niekorzyść rodzaju, iż owszem w ramach tych może zejść dalej, niż owe z dobitnym zgóry kolorem takim lub innym.

Morał jest to zapewne w powieści część jej żywotna. Powieść owszem o tyle jest, rzecz można, godziwą, o tyle jest z prawdy, o ile przestroga jest w sobie, jakąś parabolą. Wszakże istotny morał wiemyż na czym zależy? Morał, to przedstawienie w obrazie jakiejś harmonii wewnętrznej rzeczy, sprawiedliwości; ale ta *sprawiedliwość bezwzględna* wiemyż co jest? Znamy tylko jakieś jej części, ale nie całość. Żadnego pojedynczego życia, zawodu ludzkiego nie umielibyśmy urządzić. Gdyby przynajmniej (jak mówił, badając niegdyś ten przedmiot, jeden wielki doktor chrześcijański), gdyby przynajmniej każdy człowiek zbrodniarz opływał w tem życiu w szczęście, każdy cnotliwy żył w nędzy, wiedzielibyśmy natenczas z pewnością, na czym zależy sprawiedliwość tu boża względem człowieka; lecz jak jest, musimy tylko wyznać, iż nie zgłębiamy jej. Duch ludzki, choćby w powieściotwórcy i wielkim powieściotwórcy, nie jest wszystko wiedzającym, i sam z siebie nie miałby nawet prawa opowiedzieć paraboli takiej, jaka jest np. o *Synie marnotrawnym* w nauce bożej¹.

¹ Stąd też powieści w celach wprost z sobą sprzecznych, z tymże prawie stopniem wymowy i przekonania dają się opowiadać, np.: *Die*

Tak też jest i z żywiołem fantastyczności. Strona wewnętrzna w rzeczach jest rzeczywistą; jeżeli w każdym odstepie dziejów człowieka tkwi pewien szyk harmonijny morał, który tak się ma do wypadków zewnętrznych, jak w żywej jednostce ludzkiej — *myśl* do *ciała*; to też tkwi razem i przyczyna (jakby jakiś kierownik świadomy) owego szyku, który tak się ma do owego morału, jak *duch* do *mysli*. — Zwrot myśli na tę wewnętrzność, duchowość, daje nam fantastyczność; lecz któryż powieściopisarz choćby i wielki, zna dokładnie ów kraj tajemny, gdy jest tajemnym? ¹.

Ekscentryczność charakterów i powikłania istnieją zapewne wśród ludzi i ich stosunków; wszakże innem jest przerys ich tylko, a innem tworzenie niebytych i niepodobnych z własnych pomysłów. Te ostatnie jeśli za cel obierają jakiś rzetelny morał, dają nam obraz, w którym nie morał, wynikający z powieści, ale raczej powieść do morału dorobioną widzimy; albo w układzie swym mają za cel sprzeciwiać się tym cząstkom sprawiedliwości, które są znane, a wtedy dają nam to, co zwiemy z złym celem powieścią.

Duchowość, powikłanie i morał nie łatwo więc użytemi być mogą według ich prawdy w kształtach i treści powieści; lecz duchowość, powikłanie i morał są to części same przez się wszelkiej rzeczywistości i obraz, który obiera za zadanie choćby proste odbijanie rzeczywistości (to jest kreślenie charakterów i sytuacji według *illa* rze-

Ritter vom Geiste Gutzkowa i *Moderne Titanen* Gotthelfa; *Uncle Tom's Cabin* of Harriet Beecher Stowe i *The Cabin and Parlour or Masters and Slaves* by Thornton Randoph, albo: *Le capitaine Firmin ou la vie des Nègres en Afrique* par Alfred Michiels, wśród powieści autorów, o których wspomnieliśmy, stać mogą za dowód.

¹ Stąd też figury fantastyczne ze świata duchów używane są nie raz w poematach jakby na ironię z wiar ludzkich. Wiadomo np., że autorowie *Manfreda* i *Fausta*, oprócz w powieściach tych, we wszystkich swych innych pismach sztydziłi tylko sami z owego świata.

czywistych, znanych), sam przez się odbijać też musi i jej warunki, to jest: choćby nawet bez wiedzy autora, bez jasnej barwy — mieścić i owe cząstki. Powieść ta bliższą owszem prawdy być musi; co zaś jest z prawdy, to też pociągać musi i jej następstwa.

Możemy więc dobrze wróżyć rodzajowi naszej powieści, w którym rozwija się, i patrząc na te utwory, do których doszła, nie jednym poszczycić się już. Zarzut czyniony jej niegdyś, iż jest zbyt sucha, niezajmująca w swych ramach, dziś zniknął i służył oczywiście nie rodzajowi powieści, lecz wykonaniu.

To wszystko stosujemy tu naturalnie i do przedmiotu, który nam stał się właśnie powodem tych uwag, to jest powieści p. Kaczkowskiego, które, jak rzekliśmy, harmonijnie do ogólnego biegu powieści naszej przybyły.

Dzisiejsze powieściowe nasze utwory podzielić się głównie mogą: na obierające za przedmiot życie towarzyskie społeczne nam, i z wieku zeszłego. Autorowie powieści społecznej tę mają korzyść, iż do obrazów swych więcej uchwycić mogą szczegółów żywych, wiernych; stąd też ściślej do wyobrażeń, potrzeb i położeń czytelników swych trafiać; lecz autorowie obrazów z wieku znikłego tę mają korzyść, iż przedstawiają obrazy krajowe więcej oryginalne, iż mają prawo wprowadzania do obrazów tych nie tylko charakterów i sytuacji, ale też rzetelnych (nie teatralnych) familijnych nazwisk swych bohaterów, i wreszcie, iż obowiązkiem wcielania się w inny czas i inną społeczność, sycą więcej upodobanie estetyczne wyższością sztuki.

Powieści p. Kaczkowskiego należą właśnie do tej drugiej gałęzi: pierwowzorem ich oczywiście są »Pamiętki Soplicy«; wykonanie ich jest jednak raczej rozwijaniem wskazanej drogi, jak prostem naśladowaniem.

Opowiadania *Nieczui* nie tem tylko się różnią od opowiadań *Soplicy*, iż bohaterką ich główną w miejsce litewskiej jest szlachta sanocka, ale też tem, iż w miejsce okre-

śleń figur odosobnionych, dają obraz w złączeniu ich, iż są opisem nie tyle tych figur, ile raczej stosunków, zwyczajów, obyczajów, słowem domowego towarzystwa ich wieku, iż za przedmiot opisów tych obierają nie jednostki w kraju głośniejsze, lub jakim szczególnym przymiotem odznaczone, lecz zwykłe, i że słowem, dają nam w ten sposób obrazy powieściowe o stopień bliższe ogólnej domowej historii danego kraju, lub rzec można: fragmenta historii, o stopień do przedstawiania obrazów zwykłych krajowych posuniętej. P. Kaczkowski nie dał nam jeszcze utworu tego rozmiaru i tej zasługi jak jest »Listopad«, lecz użyty i przestrzegany wiernie we wszystkich jego powieściach kształt autobiografii, w samych opisach, uwagach, ustępach, monologu autora, znosi wszelką nitkę związku jego ze współczesnością, i obraz dany wyłącznie (niż nawet w owej ostatniej powieści) jako idący z wieku innego nam przedstawia.

Taki jest i ogólny charakter i stosunek dotychczasowych powieści p. Kaczkowskiego do powieściowej gałęzi w kraju; dodajemy jeszcze kilka bliższych uwag o wykonaniu.

Miejsce, które jest głównym placem opowiadań p. Kaczkowskiego, jest, jak widzieliśmy, dawna ziemia sanocka. Ziemia ta była to częśćka większej społeczności krajowej, i jako częśćka, musiała też odbijać grunt, cechy swojej całości.

Czyniąc zwrot na chwilę do dziejowości, wspomnijmy, iż owa całość, której częśćką był Sanok, był to kraj, który niegdyś przed wieków dziesiątkiem, ze szczególną żywością i poddaniem się przyjąwszy wiarę chrześcijańską, jakby w nagrodę za żywość tę wiary i uosobienie w swym składzie społecznym jednej z głównych jej cnót (miłości), wzrósł był, prawie bez starań, z małej społeczności krajowej w społeczność wielką; lecz dalej (rzec można, iż dla większej tem winy) za obrócenie jakby w ironią pierwotnych cnót, wtedy właśnie przedstawił widok upadku, gdy

reszta kształcącego się świata już była wzrosła. Czas ten przypadł był właśnie głównie na lata wieku zeszłego. Kraj ów, który w wiekach XV. i XVI. celował nie w jednym szczególnie nad inne cechami nowożytnymi, w zeszłym przeciwnie, w ogóle swym niejedną z wieków średnich odnowił. Z trzech części, które składają wśród ludzi żywe chrześcijaństwo: wiary, uczynków i obrzędowych praktyk, zatrzymał był w tym czasie tylko ostatnią i tę za całość uważał; do wiary dołączył był gusła, o uczynkach miał z jakiejś innej wiary, nie chrześcijańskiej, wyobrażenia. Owo np. tak sławne w kraju braterstwo właściwie miało już za przedmiot w tym czasie tylko rycerstwo (klasę szlachecką); wiejska i miejska nader liczniejsze w kraju, miane były za zbiór jednostek, które obrażać nawet nie mogły, obraza których nie mogła mieć nazwiska obrazy; płacenie urazą uraz, kłótnie i pojedynki, zbytek w biesiadach, były to miary zalet, honoru i obowiązku. Zamki i dwory obronne, zastępy prywatnych, zbrojne najazdy, zemsty, były to już na skale większe, już mniejsze, szczegóły wszystkich okolic. Taki obraz przedstawiało towarzystwo tego kraju z wieku zeszłego, i taki przedstawiać nam musi powieść, która za cel obiera ten opis. Opis ten musi mieć mniej powabną dla siebie stronę, ale też ma korzyści. Nie jest zapewne zbyt mile wnukom widzieć w podobnych rysach obrazy swych dziadów; nie jest miłym krajowi przeglądać się w takiej swej epoce; mówiąc wszakże o tym przedmiocie, o którym mówimy tu głównie, *sztuce*, dla tej podobne pole jest owszem skarbem. Powieść historyczna w innych literaturach, krajach zachodnich, iżby więcej podobać się, wzruszać, cofa się właśnie zwykle w odległe wieki ich dziejów, czasy rycerstwa; lecz szczegóły określanych obrazów, obyczaje, rozmowy i charaktery osób kreśli tylko z domysłu, z nader nielicznych zabytków: autorowie powieści rycerskich naszych nie potrzebują się tyle cofać i mogą je z nowym, sobie tylko właściwym stopniem wierności określać. Nasze obrazy towarzyskie

z wieku zesłego (pomijając nawet ów morał, który w nich tkwić musi sam przez się taki lub inny) kreśląc dla nas świat już dziś znikły, żywszy i romantyczny a z prawdy, tem nowiej gałąź sztuki odznaczyć i większy dla czytelników powab mieć muszą.

Taki przedmiot obrał p. Z. Kaczkowski do swych powieści, taki wiernie odkreślił i taki wszędzie w szacie rzetelnej sztuki nam przedstawił.

Charaktery w powieściach p. K. są to charaktery z rzeczywistości: i ludzkie i z tego miejsca i czasu, które określa. P. Marcin Nieczuja, bohater powieści wszystkich, oraz Murdelio, głównymi są w zbiorze i oba równie są trafnem odbiciem charakterów swego wieku i kraju; — jeden wszakże jest typem charakterów z przewagą dobra, a drugi z przewagą zła.

P. Marcin Nieczuja Ślaski jest to rzetelny szlachcic swego miejsca i czasu natury dobrej. Wierzył on wprawdzie trochę w czary i gusła, śnił o dyable z ogonem i ze skrzydłami, szedł z kościoła do pojedynku, od pojedynku do posypania głowy popiołem; lecz wogóle był wiarą dobry chrześcijanin. Rycerski, za główną zaletę miał siłę: stąd nieraz napaść i najazd za obowiązek; picie, zdolność do picia mieć za zaletę, również za naturalne uważał; sam jednak nie praktykował zdolności tej, chyba zmuszony; przyjacielski, dla przyjaciela był gotów poświęcić spokój, narazić życie; miłośnik swej strony i swoich przodków, jakby śpiewak ziemi sanockiej, opowiada w ustępach zalety jej, jej piękności, jej dawne rody, które wpływały nieraz i na ogólną sprawę krajową; szlachcic z rodu, z całą dobrą wiarą mówi o »krwi niez mieszanej« — o przemyśle, o sztuce, o książce (przynajmniej świeckiej) ani nawiasem nie wtrąca. Mieszczan i chłopów ma za nic (o Węgrzynku swym po kilkakroć przypomina, iż był to wylegitymowany węgierski szlachcic); mimo to jednak i obszerniejszą miłość umiał przeglądać. Bawiąc w Bóbrce samotnie i począwszy czytać pismo święte przed swymi domownikami,

nie powstydzil się on np. takiego powziąć i w opowiadaniu swem zapisać nam uczucia: »i zajmowała i bawiła mnie ta robota; począłem nawet sobie już jakieś plany układać, czyby nie można to bractwo moje na całą wioskę rozciągnąć i myślałem sobie, jakaby to była piękna przed Bogiem i ludźmi zasługa, gdybym to ja gromadę moją pomału, przez opowiadanie słowa bożego i żywotów św., w tej przenaświętszej, w której się rodzą, żyją i umierają katolickiej religii pięknie umocnił, pobożność i cnotę w nich ugruntował, pokory i wytrwałości w tych nieszczęściach światowych nauczył; jacyby to byli ojcowie, jacy gospodarze, a jacy słudzy kościoła? Zresztą czemużby to i żołnierz nie miał z tego być? Widziałem, że monarchowie postronni mają całe regimenta z samych chłopów złożone«. Pan Marcin umiał też kochać wyłącznie świecko; i zajmującym jest widzieć to serce rycerskie zawahane miłością; raz uczuwszy ją, już nie zmienił i przechował jedną do końca. Jak kochać, tak też umiał i cierpieć; życie jego po śmierci żony było tylko głęboką boleścią; nią żył, pocieszając się tylko własnymi łzami, szeregiem wspomnień i wreszcie wiarą w żywot kiedyś w przyszłości nowy i przerodzony.

Murdelio był to przeciwnie charakter czasu z przewagą zła. Ten Murdelio był to po prostu *czart*, mówił *vox populi*. Na głos ten czemże był sobie zasłużył? Murdelio kochał i źródłem wszystkich jego postępków takich i innych była jedynie miłość — silna, stała miłość (jak pana Marcina). Pił on, lecz tak jak wielu, pojedynkował, ale o honor, jak inni, najeżdżał, ale najeżdżał jedynie dla porwania osoby wolnej i kochającej go (cóż innego chciał czynić np. pan Marcin, kiedy w pow. *Swaty na Rusi* zamierzał z panem Ołtarzowskim napaść na Błonie z obiadu u p. Pisarza?) Zdaniem naszym, postać ta Murdeliona jest ze sztuką i według prawdy skreślona. Figurę tę odróżniały od innych nie tyle uczynki jej, ile raczej ich *źródło* — *zepsucie z gruntu*. Zdaje się, iż gdzieś we Francyi lub Włoszech Murdelio

dożył był chwili, o której można było rzec w drobnostępciu jak w owej ewangelicznej: »a po onej sztuce *wstąpił weń szatan*«. Odtąd zło nie przygodą i środkiem, jak się to zdarza innym, ale wprost stało się źródłem i celem każdego jego postępku. Miłość jego dla córki staruszka Wita nie była z siebie występkiem, ale występkiem był jej początek — chęć obudzenia jej w sobie dla sprzeciwienia się zakazowi ojca: rozkosz ze sprzeciwienia się. Uścisk córki, który stał się dalej źródłem wszystkich katastrof, nie był zapewne krokiem pochwalnym; ale jak sam wyraził: »nie za to przepędził go ojciec, iż córkę jego całował, ale iż się *roześmiał, kiedy go ujrzał*«. (Pani Strzegocka padła wtedy bez zmysłów). Kiedy następnie mszcząc się za wypędzenie go, Murdelio napadł na dworek, a czyniąc napad, rozkazał, aby mu równie i starca jak córkę dostawiono *żywcem*, rozkaz ten nie przez szlachetność wydawał, jak bowiem sam opowiadał, w późnych już nawet swych latach u pana Fredry: »Miałem wprowadzić środek prosty pod ręką: *napaść* na dom szlachcica, jego zabić a córkę zabrać do domu; ale w takim przypadku mogłaby mnie znienawidzić, *bo to kobiety kapryśne*«. Murdelio nie dlatego tylko występny był, iż pełnił uczynki występne, ale iż czyniąc występki, nie miał ich za występki. Wdział on w drugiej połowie życia swego sukienkę zakonną, lecz tylko dla podstępów i zdrad — i w tem kłamstwie życia dokonał.

Nie wiemy, czyli to wchodziło w zamiar autora powieści, czyli też stało się tylko skutkiem trafnego odbicia rzeczywistości: Murdelio ten jednak w powieści pana Kaczkowskiego w swym stosunku z innymi jest dla nas wyrazem tej prawdy, iż lubo wszyscy stworzeni ludzie z wielu względów sobie podobni są, lubo podlegli są wszyscy i złym *myślom* i złym *uczynkom*, to jednak te uczynki i myśli nie we wszystkich z jednego są *ducha*, iż jedni są z ducha dobra, a drudzy zła.

Murdelio w sukience zakonnej a w ręku z kielichem

biesiadnym, z szablą na swoich, zepsuty z gruntu, jest też, rzec można, w powieści reprezentantem trafnym na małą skalę epoki w kraju; epoki w kraju, mówimy, nie kraju w epoce: reprezentantem tego raczej był sam p. Marcin.

Jak pan Marcin Nieczuja, Murdelio, tak też i inne figury w powieści pana Kaczkowskiego odbite i nakreślone są wiernie, lubo krócej; i są to jakoby osoby każdemu znane, kiedyś widziane, w innej tylko okolicy i w innym czasie żyjące. Figury te, jak rzekliśmy, są to wyłącznie figury szlachty wiejskiej, to jest różnych tytułów właścicieli wiejskich. Charakter panów, lubo dotknięty tu tylko (Murdelio był bogacz, lecz nie pan z rodu), dobrze jest odznaczony. Takim np. w powieści *Swaty na Rusi* był pan starosta bachtyński, pan domowy (który sześć dni bawił się z dworem rozpustnym, a piątek cały na ostrej pokucie spędzał, rano bicząc się), i który przybyłemu do siebie z Sanoka panu Marcinowi zrobił uwagę, iż w Sanockiem jeden jest tylko szlachcic Ossoliński, i pan hrabia Fredro, pan z zagranicy, który był przyjacielem dla pana Marcina (choć, jak dodaje, szturchnął niekiedy łokciem), żartował z jego modłów, za niebo miał obce kraje i kiedy np. pan kasztelan Bał zrobił uwagę, iż cudów w nich nie widział, rzekł: »pocziwy kasztelan, ale na cudzych krajach nic a nic się nie rozumie«.

Figury kobiet w powieści, wszystkie prawie, mimo różność położzeń, podobne są sobie: łagodne, pobożne, bierne. W kraju i w czasie, gdzie żywot kobiet był ściśle domowym, mężom i ojcom poddanym, nie mogły też inne być rysy.

Charaktery tak nakreślone przedstawiają się nam w każdej powiastce w akcji żywej a naturalnej. Użyta przez autora, jak już wspominaliśmy, formą opowiadania przez samego bohatera powieści, jest to forma, która (z wyjątkiem, iż czytelnik jest przy niej zgóry spokojnym o życie swego bohatera, mimo nawet, jak w obecnej powieści, najazdy, strzały śmiertelne i t. p.), najkorzystniejszą może

jest dla powieści; równie bowiem naturalnie dopuszcza opis, dramat, jak i kreślenie uczuć wewnętrznych.

Formy tej autor nie użył do rozwijania uczuć wewnętrznych, do obserwacji, morału, ironii lub humoryzmu, jak to bywa gdzieindziej (np. w głównej ojczyźnie powieści, literaturze angielskiej, gdzie kształt ten od Sterna do Dickensa, Currer Bell i Bulwera, w powieściach z wypadków społecznych najpowszechniej jest używanym); humoryzm i wogóle uśmiech jak nie są szczególną własnością żadnego u nas z powieściotwórców, tak i autora¹; — lecz tylko do opisu i dramatu.

Opis daje nam artystyczne ramy w powieściach autora; wszelkie szczegóły wydarzeń, obrazów, stosunki do siebie osób, sytuacje szczególne, w których znajdują się, zwyczaje i obyczaje czasu (owe np. uczyty, pojedynki, najaźdy i t. p.) nie w krótkim dotknięciu, wzmiance, ale w całym swym rozwinięciu stają tu w powieściach przed nami; każdy z obrazków tych to wykończony obrazek.

Dramat jest prawie bez przerwy formą opisu, a dykcja osób autora, jak i samego autora, daje właśnie główną formę jego powieściom. Wyjąwszy powieść 1-szą, *Bitwa o Chorążankę*, gdzie autor, zwłaszcza w początku, nie tyle był dowcipnym i historycznym w swym dyalogu,

¹ Szczegół ten nastęrcza nam nawet jedną uwagę. W jednym z pięknych ustępów powieści »Murdelio«, w opowiadaniu dziadka o czasie jego młodości, kiedy ten wspomniawszy, jak był psami z domu swego wyszczuty, przerwał na chwilę opowiadanie i zapytał: »Na czym stanąłem?« »Na psie, Mości Dobrodzieju«, odrzekł pan Marcin; jesteśmy pewni, że autor w następnem wydaniu swych powieści (które bez wątpienia prędko nastąpić może), zechce zmienić ten pseudo-humoryzm, który mu tylko własny obraz w karykaturę zmienia. Uwaga ta nie zaprzecza jednak bynajmniej, iż są niekiedy, w opowiadaniu autora, jakby z przygody, i rysy weselsze, wypływające ze szczerości opisów lub dyalogu. Nikt zapewne np. bez uśmiechnienia się nie przeczyta owej mówki, którą jeden z goszczących w Zwierniku (w powieści »Murdelio«) powiedział na zakończenie karnawału, odbijanej w rymy i żarty słów, a która jest wybornem naśladowaniem stylu panegiryków wieku.

ile raczej usiłował tylko być dowcipnym i historycznym — we wszystkich następnych, a zwłaszcza w ostatniej, każe nam zapominać na swą obecność. Język, którym bohaterowie tu mówią, nie jest to (jak to bywa zwykle w historycznych powieściach nie tylko u nas) włożenie w ich usta kilku frazesów wieku, ale tok tak wyrażań jak myśli jest tu wszędzie z gruntu oryginalnym.

Jak nadto owe ramy obrazów w swych skalach, tak dyalog w swych słowach, mimo pozorną prostotę i łatwość, podniesione są w sobie wszędzie do stopnia sztuki.

Powiatki, któreśmy od pana Zygmunta Kaczkowskiego dotąd otrzymali, są to słowem rzetelne już kwiatki (śróđ innych) w gałęzi naszej powieści. Powiatki te, przełożone nawet na język obcy (jeśli tylko przekład mógł się dokonać wiernie chociaż przez przybliżenie) wniosłyby do literatury każdej oryginalny i mogący być pożądanym przybytek.

1854.

VII.

POL I SYROKOMLA.

(Senatorska zgoda, tradycja szlachecka, opowiedział W. Pol. 1854. — Urodzony Jan Dęboróg, dzieje jego rodu, głowy i serca przez Wł. Syrokomlę. 1854).

—••••—

P. Wincenty Pol jest jednym ze *znakomitszych* i którego zasłudze brak tylko większej liczby i większego zakresu utworów, abyśmy mogli rzec: jednym z *najznakomitszych* naszych poetów. Uczucie rzetelnej poezji, wykończony smak estetyczny, miłość tej pięknej natury, która otacza ludzi, i miłość ludzi, zarazem zaś niezależność zupełna w obiorze treści i formy dla swych utworów: to były już wewnętrzne, już zewnętrzne cechy, które poezjom tego autora oddawna już u nas wziętość zjednały. Poemat: *Senatorska zgoda* nie zaprzeczył żadnej z tych cech; był jednak niejaką niespodzianką dla czytelnika. Kiedyśmy wzięli go w rękę, sądziliśmy, że spotka nas ów rytm lekki, malowny, rytm piosnek, które dotąd główną były właściwością pióra autora; a kiedyśmy ujrzeli napis: *tradycja szlachecka*, »a tej szlachcie *znarowionej*« tak jeszcze niedawno »rozumu *kmiecego*« życzył autor¹, sądzi-

¹ A tej szlachcie znarowionej

Gdyby Bóg dał rozum kmiocy...

[*Pieśń o ziemi naszej*].

liśmy, iż w tytule (*zgoda*) tkwi ironia i że jest tylko zapowiedzeniem nader smutniejszej treści. Fakt jednak zupełnie jest inny. Jest to właśnie własnością pisarzy istotnie oryginalnych, iż w każdym nowym utworze dają nam zwykle z gruntu coś odmiennego od poprzednich. Zamiast szaty lekkiej, ozdobnej, spotkał nas w tym poemacie rytm długi, poważny i raczej rodzaj dydaktyki; w treści — obraz raczej przyjaźni szlacheckiej (prawda, że szlachty dawnej) w miejsce goryczy.

Zawarcie poematu jest następujące:

P. Benedykt Winnicki (którego przygody z lat młodych na dworze nieświeskim dawniej określał autor) opowiada tu urywek z życia towarzyskiego swej okolicy (ziemi sanockiej) z końca wieku zeszłego. P. Benedykt Winnicki, wspominając na czasy swojej młodości, gorszy się naprzód tak powszechnymi dzisiaj niepochlebными określeniami owych czasów; czyni więc prolog o istotnym ich charakterze, i lubo wyrazem gawędy staruszka, to jest trochę zamało żywo i zarozwlekle, jednak nie słowem prozy ujmuje się za ich stroną dodatnią:

Śmiech mię bierze (*czyni tu uwagę*), gdy słyszę dziś o nas mówiących,
Lub, co gorzej, gdy słyszę ciemiągów *piszących*,
Że można domy stały tylko starostwami,
A szlachta dworską służbą za panów plecami.
O! co *tak dłuugo stało*, to *stało posadą!*

Za grunt tej posady (trwałości) autor naznacza bytność przymiotu, który staje się źródłem wszystkich przymiotów, to jest: istnienie w rodzinach i domach kraju całego *pobożności*. Przymiot ten sprawiał to mianowicie, iż gruntem uczuć krajowych było braterstwo, stąd pomoc i opieka wzajemna, przysługi bezinteresowne i t. p. Poniósł, mówi, ktoś stratę, wnet skądś znalazła się niewidoma ręka, która go wsparła; poniósł ktoś uszczerbek na sławie, a niewiadomy mu jakiś sam gdzieś akta wydobył, świadków wynalazł i sławę powrócił; cóż dopiero mówić o nieszczę-

ściach bez winy niczyjej, idących z położeń, płci, wieku słabego, jak wdów, sierot i t. p.

Wdowa! to słowo było pobudką czułości!
 I jak we łzach się zlewa żal wszystkich żałości,
 Tak w tem słowie leżała serdeczna wymowa;
 I było to zaklęciem, gdy kto wyrzekł: »wdowa«!..
 Tak samo też wierzono, że gdzie jest sierota,
 Tam chleba nie zabraknie, choć nie będzie złota,
 I takiemu domowi Pan Bóg błogosławi,
 Co sieroty ode drzwi swoich nie odprawi..
 Czasem toś nie rozeznał nawet po pieszczocie,
 Które dziecię przybrane, a które jest matki,
 Bo się razem chowały i karmiły dziatki,
 A gdy któremu dodać, to chyba sierocie..

(I temu obrazowi, dodajmy tu, nie śmie zaprzeczyć czytelnik, zwłaszcza gdy wspomni, że i najmniej przychylni malarze naszej przeszłości krajowej nie zaprzeczali nigdy istnienia w niej *pobożności*).

Tak w pokoju i szczęściu żyło i Sanockie, kiedy nieprzyjaciółka ludzi, *niezgoda*, szukając od czasu do czasu wszędzie swych ofiar, i tu zawitała. Brak żywiołów i powodów do zajścia śnać był rzetelny w Sanockiem, kiedy powodem tym stał się mianowicie następny: Pomiędzy mieszkańcami ziemi sanockiej byli natenczas wśród innych: p. *Mniszech*, starosta z Laszek, i p. *Mniszek*, chorąży przemyski z Krzeszowic; zdarzyło się, że p. podkomorzy *Bal*, sąsiad pana starosty, miał wadę w mowie i wspominając o panu staroście, nazwał go raz nie *Mniszchem*, lecz *Mniszkiem*. Obraza była istotna. Mniszech i Mniszek były to nazwiska podobne z brzmienia, ale nie z dziejów; przodkowie p. Mniszka to szlachta, lecz *powiatowa*; p. starosta w liczbie swych przodków miał kasztelanów, wojewodów, a po kądzieli — i wyżej. Obraza zrodziła zwadę, ta — kłótnię. P. starosta miał swych przyjaciół, p. Bal miał swoich, i wkrótce całe Sanockie na dwa przeciwne sobie obozy rozdzieliło się.

W tym stanie były rzeczy, kiedy dla odwiedzenia

swego rodzinnego miejsca (*Dubiecka*) zjechał w Sanockie gość znakomity, dygnitarz, przyjaciel królów, księżę Kościół i najpierwszy dowcip spólczesny kraju, *Ignacy Krasicki*. Dumne Sanockie ucztami i biesiadami obchodziło tę uroczystość; wyżsi i niżsi, zamożniejsi i mniej zamożni na wyścigi ubiegali się, aby uczcić swego spólcziomka. Ale Ignacy Krasicki nie poprzestał na tym tryumfie; wiedział on o potrzebach krajowych, o konieczności zgody w prowincjach, o rozdzieleniu, jakie w Sanockiem zaszło, i postanowił zbliżyć zwaśnione strony. Pomysł zgody tej jest właśnie głównym przedmiotem opisu poematu, a rodzaj tego pomysłu był, rzec można, istotnie w duchu dowcipu Krasickiego.

Na uczcie pożegnalnej, którą sam u siebie wyprawił, a na którą ze wszystkich obozów strony sprosił, spólbiesiadnicy (znać stronnicy układu) opowiadają u stołu różne historyczne wypadki (anegdotki), a treść tych anegdotek była wyrachowana na efekt dla umysłów skłóconych. Więc naprzód pan sędzia Chojnacki opowiadał powiastkę o panu Krupie (potomku, jak objaśnił, owego-to Krupy, który dał niegdyś powód do znanego przysłowia: »Król Jagiełło bił Krzyżaki i pan Krupa chce być taki«); jako ten uniósł się był gniewem na biskupa swej dyecezyi, iż jego plebana, z którym żył lat czterdzieści w przyjaźni i bez którego towarzystwa obejść się nie mógł, powołał na kanonika, i wszedł o to ze skargą na biskupa do papieża. Dalej znowu inne powiastki, a między innymi samego gospodarza o przodku pana Bala, o Gozdawicie, któremu król za męstwo tyle nadał ziemi, ile koniem na dobę objedzie. (Powiastki te wyrażały, jak śmiesznym jest błaży powód do kłótni, jak nie samo dygnitarstwo nadaje imię i t. p.). Ale koroną anegdotek i najprościej trafiającą do celu była w końcu ostatnia (także samego gospodarza) o dwojgu szlachcie. Dwaj szlachcice jadący konno zjechali się pod górą i zatrzymali się przy jednej gospodzie. Opowiedziawszy sobie nawzajem swoje przygody i powód drogi,

w końcu jeden drugiego zapytuje, jak honor jego? »Ja? — odpowiada pierwszy — Leszczyński«. »Leszczyński... a z których?« »Jak to z których?... każdy Leszczyński — Leszczyński, różnica, że jeden był królem, a drugi być może; a jakże waćpan?« »Ja Popiel«. »A jaki?« »Jak to jaki? przecież nie wszystkich myszy zjadły, jak waćpan widzisz«. Poznanie się nawzajem było zaszczytne; dziedzice imion nie mogli się rozstać, aby nie uczcić chwili tego poznania i weszli do gospody.

»Hej! podaj, żydzie, wina do tego zawodu!«
 Wina w karczmie nie było: »Ha, to daj nam miodu!«
 Lecz i miodu nie było, a więc proces krótki:
 »*Salvis juribus familiae*¹, daj nam, żydzie, wódkil!«

Ironia z chępliwości rodowych była gorzka; kiedy więc wreszcie na zakończenie biesiady gospodarz-senator w ręce pana starosty wniósł kielich zgody, przyjęcie było powszechne; strony zwaśnione zbliżyły się, urazy swe wzajemnie sobie odpuściły.

I wróciła do ziemi znowu zgoda stara...

Taki jest powód nazwiska i taka jest treść poematu *Senatorska zgoda*.

Ojczyzna Drużbackiej i Krasickiego, ziemia sanocka, w tych latach ostatnich stała się, że tak powiemy, lwem duchowym w naszej poezji; strona ta była i jest treścią wszystkich powieści p. Zygmunta Kaczkowskiego i jest obecnego poematu. Poemat ten jest, jak widzieliśmy, z zadania dydaktyczno-opisujący, a jest barwy czysto-miejscowej. Opisy w nim miejsc, okolic, głównych charakterów, szczegółów życia mieszkańców, ich waśni, ich zgody, łącząc w to mianowicie i duch wszystkich ustępów czyli wtrącanych w ciąg całego poematu anegdotek, dają nam całość rzetelnie krajowej barwy, najściślej oryginalną. Poe-

¹ [Bez szkody dla naszych praw rodzinnych, dom. szlacheckich].

mat ten, kreślący w ten sposób urywek z obrazu wewnętrznego życia strony krajowej czyli wogóle kraju, jest też uczczeniem pamiętki jednego z najzasłużeńszych jego niegdyś mieszkańców, a dzisiaj w pamięci kraju nazbyt zacieranego. Charakter Krasickiego, który jest główną i najszczegółowiej odznaczoną figurą w powieści, tak jak go znamy i z pism jego i podań, szczery, kraj kochający, poważny, wesoły bez płaskości, satyryczny bez osobistości, przyjaciel w rozmowie towarzyskiej anegdotek (szczegóły biograficzne o nim w *Pszczole Lwowskiej*¹ z roku 1818), nader trafnie w opowiadaniu tem zachowany. Zdaje się nawet, iż autor chciał uczcić tę pamięć swego spółziomka samą formą ulubionego mu wiersza i dlatego użył w opowiadaniu rytmu jego *Satyr i Listów*. Miara ta trafnie też przypadła do charakteru opowiadającego powieść, to jest, jak rzekliśmy, gawędy starszka; wiersz bowiem wogóle mało jest poetyczny; wszakże od prozy strzegą go wszędzie: *charakter wewnętrzny* i ów smak estetyczny autora, który sprawia, iż żadna myśl próżna, żaden naciągnięty rym albo wyraz nie mają tu miejsca.

Poemat *Senatorska zgoda* jest jednym z tego rodzaju utworów, które skoro się znajdują w literaturze, zdaje się, że już znane nam były, że już są w niej oddawna, a co jest tylko znakiem, iż w niej mają pozostać nadługo, może nazawsze. Pomiędzy przypisami, dołączonymi do poematu, jest list autora do Stanisława Krasickiego, opisujący wspomnienie o *Zamku Liwskim*. Wiersz tego listu jest takież jak w tekście, ale zarazem żywość fantazyi i słowa są w nim o stopień wyższe. Piękny poemat *Senatorska zgoda* byłby w rodzaju swym arcydziełkiem, gdyby był tak cały pisany jak ten urywek o *Zamku Liwskim*.

¹ [Właściwy tytuł tego czasopisma jest »Pszczola polska«. Wydawał ją we Lwowie Walenty Chłędowski, nie w r. 1818, jak pisze autor, lecz w 1820. Wyszło jej 3 tomy. Rzecz »O Krasickim« napisał tu i wydrukował młodzieńki wówczas Stanisław Jaszowski].

Urodzony Jan Dęboróg, poemat p. Władysława Syrokomli, z wielu względów jest podobnym do poprzedniego. Jest to równie opowiadanie osoby trzeciej o czasach ubiegłych, obraz z życia szlacheckiego powiatowego, kłótnia i zgoda; rzecz tylko dzieje się nie w Sanockiem, ale na Litwie.

Brochwicze i *Dęborogi* byli to właściciele posiadłości niewielkich i graniczyli z sobą przez miedzę; lecz miedzy tej już od lat wielu żaden z nich nie przeszedł: »do końca świata żaden się Dęboróg z Brochwiczem nie zbrata« — było to przysłowie i hasło obu stron. Jeszcze za Jana Kazimierza któryś Brochwicz ukrzywdził sąsiada Dęboroga zaborem morgu i odmówieniem mu panny; ale wśród wojny szwedzkiej, rotmistrz Dęboróg uprzedził z powrotem sąsiada: za morg zajął mu dziesięć, spalił ślady dowodów, wygrał proces i dopiero przy zgonie, pod zbawieniem swem, zastrzegł zwrócenie szkody. Ani syn jednak, ani wnuk, do ojca opowiadającego Jana nie powrócili szkody, chociaż proces wznawiany był, chociaż krzywda Brochwiczów była jawna, chociaż skrwawiony rotmistrz (którego ciało przez syna na fałszywej granicy złożone zostało) ukazywał się od czasu do czasu dzieciom, to we śnie, to przy kurhanie i powtarzał: *redde quod debes*¹. O dziejach tych rodu swego nie wiedział jeszcze dobrze opowiadający je Jaś, kiedy po ukończeniu nauk u księdza definitora i w konwikcie, przepędzał dni na myśliwstwie, a w jednej z tych wycieczek zabłądził do sąsiedniego dworku, gdzie poznał zamieszkujące matkę z córką. Była to wdowa po ostatnim z Brochwiczów i córka jej Zofia. Poznanie to było stanowcze dla serca Jasia: był odtąd we dworku codzień, ale wiedział o woli ojca; przemógł się, pożegnał wkońcu Zosię na zawsze — i oto, gdy właśnie wracając z tego pożegnania, omijał kurhan, stanął przed nim skrwawiony dziad rotmistrz i zawołał: *redde quod debes*. Jaś

¹ [Oddaj, coś winien].

wpadł w gorączkę; przywołany ksiądz definitor, który od dawna pracował nad pogodzeniem stron, ponowił namowę do zgody. Stary Dęboróg wzbraniał się, ale wkońcu uległ. Ślub Jasia Dęboroga i Zosi Brochwiczanki zakończył nienawiść rodzin, graniczne kłótnie ich i uspokoił duch rotmistrzowy.

Taka jest treść *Dęboroga*, treść, jak powiedzieliśmy, podobna do poprzedniego poematu, lecz odznaczająca zarazem niejaką różność stron i obyczajów. Przedmiotem *Dęboroga* jest równie kłótnia i *zgoda*, tylko nie *senatorska*, ale *szlachecka*. Na Litwie szlachta drobniejsza istotnie dzieliła się niekiedy na dwa obozy, przyłączając się już do tych, już do owych panów; ale sama nie kłóciła się z panami, a charakterystycznym powodem kłótni jej między sobą i do najnowszych czasów nader powszechnym był zawsze proces graniczny.

Charaktery w powieści szczegółowo i dobitnie są narysowane, a jakkolwiek według napisu bohaterem powieści jest Jaś, dwie najwięcej w opowiadaniu odznaczone figury są: ojciec bohatera, *stary Dęboróg* i ksiądz *definitor*.

Ojciec bohatera powieści jest to jeden z typów krajowego charakteru szlacheckiego z ostatnich czasów. Charakter ten, pobożny, ale prawie wyłącznie w praktykach, dbały o honor szlachecki, ale też widzący go nieraz tam, gdzie go niema; ostry w władzy swej rodzicielskiej, stały w nienawiści, wogóle silny, ale bez rozleglejszego widoku: w figurze starego Dęboroga (mającego też tu przysłowie: *proszę aspama*, i co chwilę na ustach *wojewodę trockiego*, u którego służył dworsko w młodości) dramatycznie i trafnie jest przedstawiony.

Jak dobrze naprzykład odznacza loikę charakteru, gdy zmuszony oddać syna do księdza definitora, którego szanował, lecz którego zasad co do wyobrażeń o jego procesie granicznym lękał się, przed odjazdem tak go o charakterze jego przysłego mistrza uprzedzał:

Książd i pocziwy, lecz pozał się Boże,
 Tak mu do grzbietu przyrosła sutanna,
 Że o szlacheckim zapomniał honorze,

Proszę aspana, toż minęły wieki:

Nie jam ukrzywdził, nie ja wynagrodzę...

Może już dotąd gdzieś przed Panem Bogiem

Dawno się Brochwicz zbratał z Dęborogiem;

Lecz tu na ziemi — to wcale inaczej,

Proszę aspana, i honor coś znaczy,

Honor szlachecki...

Jak równie dobrze zachowany przy owej zaraz próbie, którą następnie przebyć musiał, to jest, kiedy książd definitor, przyjmując od niego syna, w obecności ojca do swego przyszłego wychowawca tak między innymi rzekł:

Chłopyśmy i parobki przed bożem obliczem!

Nikt cię tutaj nie będzie nazywać paniczem,

Jeść będziesz razem ze mną: *s nami czeladź jada,*

W zakrystyi wyręczać kulawego dziada,

Na *polu* mnie się w pracy nieraz dopomoże...

— »Miłościwy księżel...

Na to, proszę aspana, nigdy się nie zgodzę...

— przerwał mu Dęboróg — »lepiej niech już syn mój zostanie głupim, niż gdyby miał jeść z chłopami«, i opowiedział powieść o wojewodzie trockim, który kazał dać sto batów strzelcowi, który go wyratował z wody, iż ręką chamską śmiał za czub pański trzymać. Charakter ten jednak w gruncie pobożny, przy dobrym kierunku zawsze lepiej kończył, niż zaczął i dlatego też zostawił w końcu syna u definitora, a przy końcu powieści uległ perswazyi tegoż, przystając na pojednanie dwóch rodzin.

Książd *definitor*, druga figura główna i podobno najgłówniejsza w opowiadaniu (a przynajmniej najwięcej oryginalna) jest to trafnie i żywo skreślony ideał dobrego plebana. Figura ta jest właśnie niejakim kontrastem z poprzednią. Dęboróg był to typ pobożności z przesądami i biernej; książd definitor - typ pobożności bez przesądów i czyn-

nej. Piękny obraz ogólny tego definitora (umieszczony w *Bibliotece Warszawskiej* niegdyś¹ jeszcze przed wyjściem poematu), znany jest czytelnikom »Biblioteki«². Autor kreśli go dalej w powieści w jego stosunkach z uczniami, kmiołkami i sąsiadami, a zawsze jako pocieszyciela w nędzy, nauczyciela pracy, cnót, oświecenia i jako tego, który się zaparł spokoju i wygod własnych, dla przyniesienia ich drugim.

Charaktery kobiet, Zosi Brochwiczanki i matki jej, lubo okazują się na chwilę tylko i jako bierne, naturalne są jednak w swoim dotknięciu.

Figura *Jasia* Dęboroga, jej losy, z samego zadania poematu są głównym źródłem rozdziałów: *wychowanie domowe, pobyt u definitora, nauki w konwikcie, odwiedziny dworku* na polowaniu, są to właśnie części składowe poematu. Wszystkie części te, a zwłaszcza druga, to jest: wychowanie u księdza definitora, szczególnie i dosyć oryginalnie są rozwinięte; ale we wszystkich tych częściach (prócz chyba ostatniej) Jaś dziecko, jako dziecko, jest figurą również bierną i tylko dającą powód do kreślenia lub żywiej odznaczenia innych.

Wiersz w poemacie nie jest równym i monotonnym, ale jest najrozmaitszych miar i toków, stosownie do zmiany przedmiotów; poważny naprzykład w opisanu nauk i prac u definitora, jest pełnym lekkości i gracyi przy opisie wityt we dworku; zarówno nigdy nadęty, jak nigdy trywialny, wiersz tego poematu jest to ów wiersz płynny, słodki i poetyczny, który niegdyś odznaczył i, jak widzimy, charakteryzuje stale poetów szkoły litewskiej.

Za stronę ujemną tego poematu może być wszakże uważaną jego kompozycja jako kompozycja. Poemat ten, ściśle mówiąc, nie ma całości artystycznej. Nieistnienie ca-

¹ [W r. 1851 w tomie III., p. t. »Książd definitor, ustęp z nowej gawędy«].

² [Gdzie niniejszy rozbiór był pierwotnie drukowany].

łości tej wskazuje najlepiej sam napis, to jest, iż całość ta, którą autor idealnie w nim widział, nie istnieje w rzeczywistości. Według autora treścią poematu są: *dzieje rodu, głowy i serca Jana Dęboroga*; lecz oto dzieje tego bohatera, jak dopiero widzieliśmy, ograniczają się w powieści na jego zawodzie szkolnym i poczuciu pierwszej miłości, a zatem na przedstawieniu czasu, kiedy jego głowa i serce dopiero otwierać się zaczynały. Ustępy te o dzieciństwie i pierwszych latach młodości Jana Dęboroga są to ustępy lat pierwszych życia większej części ludzi żyjących i dlatego są to, zdaniem naszym, położone tylko jeden po drugim ładne ustępy, ale nie żadna całość artystyczna.

Nie podzielamy zdania, iż jak w przedstawieniu wstrętu starego Dęboroga do chłopstwa, tak w wielkiej przyjaźni dla tej klasy księdza definitora tkwi przesada¹. Przesada niejaka w sztuce jest koniecznością, iżby zrównała efekt natury żywej; a jakkolwiek zarówno jest obowiązkiem i miłość biednych i możnych, pierwsza jednak zbyt częściej przypomnienia wymaga; lecz zdaniem naszym jest niejaki anachronizm w tle tego poematu, który tem więcej rozdziela ową całość. Według rysów, autor powieści miał, jak się zdaje, na celu przedstawienie obrazu szlacheckiego z wieku zeszłego, a jest to powieść opowiadana mu, jak objaśnia, przez człowieka młodego, na popasie, więc rzeczywiście nam współczesna; ta niejako niełączność wykonania z pomysłem głównym widna zaraz z początku opowiadania. Jan Dęboróg tak zaczyna powieść o sobie, wierszem skądinąd gładkim i strojnym, jak każdy pióra autora:

¹ Zdanie to było wyrażone w recenzji *Dęboroga* w »Dzienniku Warszawskim« z roku zeszłego [1854], recenzji, która skądinąd była jedną z tych nielicznych z roku zeszłego, w której czytelnik wiedział, o czem mowa, i która obejmowała postrzeżenia rzetelnie krytyczne. W tejsze recenzji dodany jest zarzut, iż figury staro-szlacheckie poematu były już nieraz kreślone i że za dosyć już mamy tych obrazów przykrych przeszłości. Co do nas, wolimy także tło poprzedniego poematu; **wszakże** pod względem sztuki zarzut ten jest raczej tylko *uwagą*, a nie *sarsulem*.

Pod niegminną i niepodłą
 Urodził się gwiazdą;
 Herb Dęboróg nasze godło,
 Stary Poles nasz gniazdo.
 Z dziadów, ojców, w naszym rodzie
 Zawsze były łaski boże; .
 Szlachta drobna, lecz zasobna,
Krzywo pisze — prosto orze,
 Procesuje, strzeże kopców,
 Lasy pali, Boga chwali
 I hoduje walnych chłopców

Jest to rzeczywiście trafny opis ogólny drobnej szlachty litewskiej, ale niezupełnie właśnie stosowny do rodziny opowiadającego, niesłusznie krzywdzącej sąsiadów; szlachta, jak wyjaśnia treść poematu, raczej *prosto pisała*, a *krzywo orala*. Dalej mówi:

. . . Protoplasta,
 Od którego my pochodzim,
 Za Chrobrego czy za Wazy
 Deputatem był dwa razy
 I *wileńskim* podwojwodzim.

Ta wzmianka o podwojewodzim wileńskim za *Chrobrego* charakteryzować oczywiście miała ten mniejszy stopień wiadomości w opowiadającym, jaki przypisywać lubimy szlachcie dawnej; lecz rzeczywiście nielogiczną jest w ustach tego, o którym dowiadujemy się zaraz niżej, że nie będąc nawet jeszcze w konwikcie, ale słuchając nauk księdza definitora, »marzył nieraz o życiu Solona i Arystida«, a z dziejów swojego kraju o tem:

Jak dziewica anielska
 Rękę przez Niemen podaje Jagielle.

Niejaka rozwlekłość czyli powtarzanie jednych obrazów i myśli coraz innymi wyrazami, ta wada wszystkich dawnych oryginalnych poezyj autora, w obecnym poemacie już prawie znikła; daje się jednak widzieć niekiedy,

naprzykład w tymże ustępie o swoim rodzie, a więcej jeszcze w opisie sposobu życia u definitora, gdzie (mianowicie w ustępie X.) autor próżno wprowadzeniem coraz nowych miar wiersza starał się monotonnością raz już nadmienionego obrazu ożywić.

Za wadę poczytujemy także w skreśleniu charakteru definitora opowiadanie przezeń snu Dębogowi, określające szczegółowie wszystkie szczegóły nadużyć jego przodków i historię śmierci rotmistrza. Szczegóły te uważać się muszą za część organiczną powieści, lecz pozwalają też (z powodu drobiazgowości swej) wnosić, że sen ten był dowolnym pomysłem plebana, że tenże mógł być sprawcą i widma, które się ukazało Jasiowi; i czystej pobożności charakter, tak dobrze prowadzony, zmienionym się przez to widzi na ów dwuznaczny, a mający za hasło: »mniej-
sza o środki, byle cel dobry«.

Wszakże uważany jako ustęp kroniki powiatowej, jako zbiór opisów, obrazów, poemat *Dęboróg* jest to pełna uczucia i wdzięku kompozycja. W toku jego nie napotkamy wprawdzie niezwykłych przenośni, porównań, wyrażań niezwykłych myśli, lecz każdy znajdzie tu własnych swych myśli i uczuć upoetycznienie i odcienienie.

Przedśpiewek do litewskiego czytelnika, w którym autor rozmyśla o ujemnych i dodatnich stronach poetycznych swojej prowincyi, położony na czele, jakby korona poematu, jest też nią rzeczywiście pod każdym względem ¹.

Kończąc to doniesienie o naszych pismach ze sfery piękna, nie możemy nie dodać jednej ogólnej uwagi. Czytaliśmy właśnie niedawno w jednym z poważnych dzienników francuskich sprawozdanie z poezyi swojego kraju

¹ [Szczegółowszą charakterystykę całej działalności Pola i Syrokomli znaleźć można w »Wizerunkach polskich« Tyszyńskiego (Warsz. 1875, str. 205—302).

za rok ostatni, a sprawozdanie zaczynało się od tych słów: »Oto mamy przed sobą cały stół założony utworami poezji nowych, których jednak nikt podobno nie czyta, prócz ich autorów«. W przedmowie do wydania zbioru poetów angielskich XIX. wieku przez hr. Belfast, również z roku zeszłego, czytamy między innymi tę uwagę: »Jest to fakt smutny, ale istotny, że od lat dwudziestu i więcej, żaden się u nas nie zjawił poeta, któryby obiecywał zajęcie pustego miejsca, pozostałego po naszych wielkich poetach« (it is a fact to be lamented, that for twenty years or more no aspirant has appeared to fill the high places which these great poets have left vacant. *Poets and poetry of the nineteenth century, by the Earl of Belfast*). U nas same utwory powyższe (mamy już podobno i świeższe tychże piór) i ich przyjęcie są owszem wskazówką i dowodem nie tylko żywej, ale nawet z pewnej strony będącej jakby w momencie swojego kwiatu myśli krajowej, mianowicie *fantazyi jej i rozmysłu*, z lekką już (w ogóle zjawisk) tego ostatniego przewagą¹.

1855.

¹ [Ażby to zdanie T-go nie wydawało się przesadnem, winniem zaznaczyć, że w tym samym artykule mówił także o »Tomirze« Deotymy].

VIII.

KAROL LIBELT.

(Estetyka czyli Umnictwo piękne przez K. Libelta. Tomów 2, 1854),

Dwa tomy *Estetyki* p. Libelta stanowią część 2-gą i 3-cią Estetyki jego, wydanej przed kilku laty [1849] jako tom 2-gi »Filozofii i Krytyki«, a poświęconej ogólnej teorii sztuk pięknych. Estetyka, ta nauka tak nowa, utworzona bowiem dopiero w połowie wieku zeszłego dla oznaczenia w encyklopedyi filozoficznych nauk oddziału *pojęcia piękna*, nie ustaliła jeszcze nawet swego przedmiotu i nie przestaje rozszerzać swych ram. Pierwsze niegdyś estetyki zajmowały się prawie wyłącznie rozbiorem i ocenianiem piękna w sztuce *słowa* (wymowie i poezyi), następne — w ogóle *sztuk pięknych*, w ostatnich wreszcie latach dopuszczono i wzięto pod rozbiór: byt piękna w ogóle *natury* stworzonej; i ten to ostatni zwrot jest właśnie przedmiotem zadania tych dwóch nowych tomów Estetyki.

Wykład swój piękna natury autor Umnictwa pięknego oparł na wydanym przez siebie przed paru laty »Systemie umnictwa«. Pierwiastkiem *idei* (ducha) jest, według tego systemu, nie tylko, jak to utrzymywała filozofia niemiecka, *myśl* czyli *rozum*, ale trzy, jakkolwiek zawsze spółbytnie, lecz różne pierwiastki: *rozum*, *wyobraźnia* i *wola*. Te trzy

pierwiastki w rozwinięciu się swoim, odbiciu, tworzą trzy odpowiednie sobie oddziały: *prawdy*, *piękna* i *dobra*. Piękno to twór wyobraźni, a więc idei na stanowisku *dwójcy*; nie jest to przeto odbicie się owej niemieckiej tylko idei (myśli), ale *kształtowanej idei*. Mieści się ono nie tylko w treści, ale i formie, nie tylko też w *sztuce* (utworze *myśli*), lecz i w *naturze*. Piękność oceniamy pojęciem; natura jest to, rzecz można — uważa autor — sztuka piękna samego Boga i piękność jej może jedynie pojąć sam Bóg; stąd też dla nas ta piękność jest niższa niż w sztuce; wszakże, jakkolwiek niższa, pięknoscią jest rzeczywistą; natura bowiem — to odbicie się *ducha* żywego, który jest i w człowieku. Trzy pierwiastki: prawdy, piękna i dobra, które odbite w sztuce przedstawiały się jako treść, forma i rzeczywistość, w naturze odbijają się i przedstawiają: jako *rozmiary*, jako *kształty* i jako *wyraz* (koloryt); trzy te względy tworzą też trzy odpowiednie sobie oddziały Estetyki p. K. Libelta, a mianowicie: *architektoniki* natury, *skulptury* natury i *malarstwa* natury.

Co do kryterium piękna, autor podaje zasadę, iż piękno w naturze jest wtenczas, gdy twór jej jaki jedną z właściwości swoich uwydatnić może (jak np. drzewo na wiosnę); uwydatnienie bowiem to właściwości jest uwydatnieniem się *duchowości* (ideału bożego), a stąd wrażenie estetyczne (czyli wrażenie piękna) na nas sprawia; i opierając się na tej zasadzie, rozważa po kolei pod każdym z powyższych oddziałów szczegóły piękna natury.

Pod oddziałem *architektoniki* autor określa i ocenia ogólne powierzchnie ziemi i różne rodzaje ich, a mianowicie: najprzód takie, które odznaczają jedynie kontury i linie, jako to: pustynie, stepy, lody, pasma gór, morza itd. — oddział ten mianuje architektoniką *właściwą*; następnie utwory takie, które wprawdzie nie są już tylko konturem, ale kształtem swym (korzeniem) przytrzymane są jeszcze do ziemi, jako: porosty, mchy, minerały, kryształy, a nawet rośliny i drzewa, których owoc dopiero oddziela się i for-

muje odrębny kształt — i oddział ten zowie architektoniką *ornamentalną*.

W przedstawieniu tych wszystkich szczegółów architektoniki natury, zwłaszcza właściwej, autor poprzestaje na samem prawie skreśleniu istoty ich i mało czyni wniosku co do głównego przedmiotu swego, t. j. tkwiącego w nich pierwiastku piękna, a zwraca tylko uwagę, iż celów, czyli właściwości tych utworów bożych poznanie ludzkie najmniej zdolne pochwyć na ludzką skalę i mało napozór nawzajem zdają się należeć do siebie. »Natura — mówi — mało się troszczyć zdaje o rozwój dziejowy na ziemi. Dzień po dniu, noc po nocy piękności swoje roztacza, mało dbała, czego i jakie pokolenia w uroczę oblicze jej patrzą. Architektonika natury musi być obłoną wyższej idei, niżeli jest idea ducha nieśmiertelnego *ludzkiego*«. To zbliżenie natury z człowiekiem i zrozumienie jej przez człowieka, zdaniem autora, w przyszłości dopiero nastąpi, gdy jego duch się podniesie. »Przeznaczeniem człowieka — uważa — jest zrobić sobie z czasem z tego tutecznego pobytu raj ziemski i sprawić, iżby się Wola boża na ziemi jak na niebie spełniała, wtenczas też dopiero (kiedy królestwo niebieskie na ziemi zapanuje) rodzaj ludzki wejdzie w ściślejsze połączenie z Bogiem i ziemia w architektonicznej piękności swojej stanie się nie tylko symbolem przytomnego w niej Boga, ale i człowieka, co się do Boga podniósł i duchem ją swoim napełnił«.

W oddziale następnym: *skulptura natury*, autor rozważa piękno na stanowisku kształtów i przegląda różne proporcje i formy oddzielnych kształtów w naturze, zacząwszy od skamieniałości i zwierzokrzewów do istot ludzkich. Oddział ten w Estetyce autora jest najcharakterystyczniejszym i najszczegółowiej wyrobionym. Autor rozważa w nim świat piękna w sposobie, jak ten z chaosu się wydobywał, zastanawia się nad kształtami różnych utworów ziemskich w tej prawie kolei, jak ukazywanie się ich wymienia *Genesis*, i rozwija tu tę zasadę i spostrzeżenie, że

w kształtach tych daje się widzieć stopniowe doskonalenie się form czyli ciała, aż się to w końcu uczyniło godnem stać się mieszkaniem ducha nieśmiertelnego.

Przytaczamy tu główne rysy tego oddziału, zaczynając od punktu zwrotu do zwierząt pacierzowych.

Pierwsze próby pacierzowych zwierząt — uważa autor — natura robiła jakby w schowaniu, w wodach, w różny sposób próbując układać przyszłe ich formy. Głowa zwłaszcza, »ta panująca część ustroju wyższych jestestw« i położenie oczu, »które się miały stać oknami duszy i są znowu panującą częścią głowy«, były tu przedmiotem najrozmaitszych prób kształtowych. Oczy te ukazują się tu (t. j. u ryb) już na wierzchołku czaszki, to niżej skrzel, to z obydwóch boków, to z jednej strony i t. p. »Po tych doświadczeniach czynionych w żywiole wody, skulptura natury posuwa się o stopień wyżej i wysadza na ląd wodne twory swoje«. Kształty te nader dalekie jeszcze od form człowieczych; ich godłem więc szpetność, brzydota, »która tem obrzydliwsza — uważa autor — że występuje na jaśnią świata słonecznego«. W ruchach płazów natura wahała się między pletwą i nogą; płazy zdają się pływać po ziemi. »Owady i ptaki robią estetyczne wrażenie bardziej w gromadzie jak pojedynczo; są to jeszcze ślady roślinnego charakteru, gdzie dla braku samoistnego tworu ich mnogość zastępowała jednostkę i układała się w formy piękne«; doskonalszość budowy widna jednak i pojedynczo, zwłaszcza u ptaków. »Przednia para pletw wyrosła w skrzydła, tylne pletwy, które jak u żaby zmieniły się w parę nóg do skakania, u ptaków wyrosły na nogi do chodzenia; łuski rybnie zamieniły się w pierze«. Typ wreszcie zwierząt ssących odział się w nieskończenie wyższe piękności, których ptastwu nie dostawało; »aby dojść stopniami do rąk i ramion ludzkich, jako najzdolniejszych narzędzi przyszłej inteligencji człowieka, trzeba jej było (naturze) nawrócić do czworonożnych płazów, nogom nadać silniejszą i piękniejszą budowę i zwolna przez zwierzęta

siadające na tylnych nogach, i dalej ród małpi, prostować kość pacierzową«. Znikła łuska i pierze, a miejsce ich zastąpiło pokrycie z delikatnych włókien wełny lub sierści. Stopniowe rozwijanie się cech może też być ocenione nie tylko zmysłem oka, ale i słuchem; »niemy był świat rybi, dukający i rechcący świat płazów; grzmiało powietrze wrzawą śpiewaków leśnych, zwierz ssący wydaje głos równie, ale nigdy jako śpiew, głos jego jest wyrazem obudzonego uczucia«. Najpodobniejszym wreszcie utworem do człowieka jest małpa; autor wszakże dodaje, iż utwór ten mimo to nie przedstawia w swych kształtach piękna rzeczywistego, a to z powodu, iż te nie obejmują zarazem tej właściwości, która być winna ich celem. »W uczuciu piękna — uważa — leży jakieś głębokie poczucie form i właściwości tak tych, które są wyrazem duszy zwierzęcej, jak tych, w które się duch nieśmiertelny obleka. Stąd przetrzucenie tych form na niewłaściwe treści sprawia odrazę mimowolną«. Podobieństwo kształtów fizycznych rodu małpiego autor kładzie za źródło istnącej w nich chęci i do duchowego naśladownictwa. »Małpy pod psychicznym względem stanęły na samym zrębie zwierzęcości i poglądają ciekawie w ludzką krainę ducha; co tam widzą, radęby sobie przyswoić i przyswajają przez naśladownictwo, ale z czystej ciekawości' nie przez popęd do kształcenia się, którego nie mają... Małpa i człowiek w takiej są odstani od siebie, jak niebo i woda, chociaż w zwierciadle wody całe niebo z słońcem i wszystkimi gwiazdami się odbija«.

Przechodząc wreszcie do człowieka, autor raz jeszcze zwraca uwagę, iż w budowie tego utworu wszystkie poprzednie kształty, spostrzegane w składzie istot zwierzęcych, a mianowicie kości pacierzowej, głowy, narzędzi zmysłów i ruchu, doskonałość i estetyczne ukształcenie się swoje znalazły; dodaje wnet jednak, iż to, co głównie stanowi tę doskonałość, t. j. nadaje piękność rzetelną tym formom, nie jest to tyle ich zewnętrzność jak raczej ich

wewnętrzność, t. j. spoczywająca w nich zdatność, lub jeszcze krócej i jaśniej, duch ludzki. »Trup przestaje być przedmiotem piękna natury dlatego, że przestaje być wyrazem ducha«. Ciało znowu uśpione, lubo jeszcze wyraża życie, «ale życie nie ducha, tylko duszy, jakby piękna roślina rozciągnięta bez rozumu i woli«. Porównywając dwie płcie, autor w jednej z nich widzi ostateczny wyraz rozwinięcia się wewnętrznego, a w drugiej zewnętrznego piękna natury. Dowód tego znajduje nawet w powodach wzajemnego upodobania. »Rzeczy można — uważa — że w niewiaście odsłania się jeszcze piękno natury w całej swojej plastycznej świetności, zaś w mężczyźnie już z form natury prześwieta idealne piękno ducha. Stąd to mężczyzna w kobiecie zawsze kocha naturę i jej wdziękami usidla się; przeciwnie kobieta nie szuka w mężczyźnie piękna natury, ale kocha się więcej w ideale ducha jego«. »Jako najwyższy stopień wyrazowego piękna (człowiek wogóle) przetrząść się musi w idealne piękno natury, a jako duch nieśmiertelny położyć fundament do piękna moralnego«.

Autor określa dalej i rozważa piękność, t. j. różnorodność cech piękna ludzkiego pod względem różności wieku, charakterów, temperamentów, stanów, zajęcia się, ras, rodów i wreszcie narodowości; te ostatnie uważa nie jako państwa, ale jako fizycznie i moralnie oddzielone familie społeczne, i w ustępie tym taką między innymi pod względem swego przedmiotu (t. j. estetycznym) zapisuje uwagę: »Te familie (narodowości) są to pojedyncze czynniki w dziejowej pracy, rzec można, ponaciągane struny na lutni człowieczeństwa, na których niewidzialna ręka sprawiedliwości i konieczności wydobywa hymn chwały Boga wiekuistego, a brzmienia tego hymnu, nieraz rażące straszliwymi dysonansami, dopiero w wiekach do zgodnej i wdzięcznej harmonii układają się«.

W trzecim i ostatnim oddziale: malarstwo natury, autor rozjaśnia piękność natury pod względem jej wyrazu. »Wyraz jest to wygląd z czegoś, jest to wyjawienie się

treści z jakiejś formy, jest to tchnienie życia z jakiegoś przedmiotu«. Wyraz pewien tkwi równie i w konturach i kształtach, jak barwie; stąd też malarstwo natury dzieli autor na: rozmiarowe, kształtowe i wyrazowe, i określa je w szczególności: w światłach (niebieskich i ziemskich), cieniach (które ma za przeczenie bytu, życia i światła, stąd za źródła smutku dla uczuć), kolorach i farbach (przyjmując tu między innymi za zasadę: »w pięknym kształcie jest piękne ubarwienie, niejako w pięknym ciele piękna dusza«), a wreszcie oznacza piękno wyrazowe w odniesieniu do rzeczy kopalnych, roślin, zwierząt i człowieka.

Kończąc wykład swój i zwracając uwagę na przebieżone przez siebie zadanie, na cel swej pracy, cel swej nauki, autor między innymi mówi tu: »co w Piśmie św. powiedziano, iż są ludzie, co mają oczy ku widzeniu a nie widzą, uszy ku słyszeniu a nie słyszą, to się w całej rozciągłości tego znaczenia da do piękna natury zastosować. Tysiące i miliony ócz na nią patrzą a nie widzą, tysiące widzą a nie pojmują«. »Estetyka wnika w pięknosc i opisuje ją«. O pracy zaś swojej w szczególności ten skromny dodaje sąd: »Czujemy dobrze, iż praca, którą podjęliśmy, nader daleką jest jeszcze od wyczerpnięcia przedmiotu, którego dotknęła, iż jest ledwie słabem światelkiem ku rozświeceniu piękna natury, które się rozlewa przez nieskończoność przestrzeni, przez nieskończoność kształtów i przez nieskończoność kolorów i światel. W pokorze ducha powtarzamy z psalmistą i ekklezyastykiem Pańskim: wszystko co jedno chciał Pan, uczynił na niebie, na ziemi, na morzu i we wszystkich przepaściach... Któż wystawi możliwości Pańskie? da w posłuch wszystkie chwały Jego?«

W opieraniu się o te punkta i w takich ramach rozwiniętym jest wykład piękna natury w obecnej estetyce.

Nie na wszystko zapewne w wykładzie tym mogliśmy przystać, nie wszystko możemy uznać za krok posługujący do trafniejszego rozpoznania piękna w naturze; lecz w nauce, o której podobno rzec nawet jeszcze nie

możemy, iż już stawia pierwsze swe kroki, a tylko, iż dopiero się narodziła, iżby je z czasem stawiać, żądać nieomyślności byłoby to żądać zgóry rzeczy przeciw naturze, przeciw tej piękności natury, o której mowa.

Jak nieustalonym jest jeszcze sam przedmiot estetyki i stąd wykład jej być musi ruchliwy, sam to najlepiej czuć może i sam to uczucie właśnie poświadczył autor obecnej estetyki, gdy w krótkim przeciągu czasu, potrzykroć dotykając tego przedmiotu, potrzykroć z gruntu, rzecz można, sposób zapatrywania się nań przemieniał. Pierwszem w tym względzie pismem autora był »Wstęp do estetyki« (umieszczony w *Bibliotece Warszawskiej* z r. 1842), a wstęp ten, naśladowanie wstępu do Estetyki Hegla, był też odbiciem i powtórzeniem zasad tego autora w uznawaniu istoty piękna, t. j. w oglądaniu go w *idei bezwzględnej*, przychodzącej w rozwiciu się swoim do stanu piękna przez dzieła uznającego się w sobie ducha (ludzkiego). W estetyce, stanowiącej tom drugi »Filozofii i Krytyki«, autor uważał już piękność nie jako przeglądanie idei Heglicznej (*myśli*), lecz jako twór *wyobraźni* (oddzielnego pierwiastku od myśli), zawsze jednak oglądał ją tylko w dziełach ducha ludzkiego (sztuce). W obecnem wreszcie piśmie, jak właśnie widzieliśmy, dopuścił i oceniał piękność nawet w naturze, t. j. *bezwiednym* przedmiocie.

Mówiąc o ogólnem stanowisku autora, powiedzmy tu najprzód, iż nie mamy mu wcale do zarzucenia tej przemiany ram i widoków; są to bowiem owszem świadectwa nie samolubnej, ale rzetelnej, prawdy szukającej, rozwagi; i owszem mamy raczej do zarzucenia utrzymywanie się niekiedy, mimo zmianę tych ram, przy niektórych założeniach i zdaniach raz niegdyś wyrzeczonych, jedynie, jak się zdaje, dlatego, że już raz wyrzeczone zostały, a takimi są np. myśli dotykane i rozwijane w obecnej estetyce (wstęp 1—35), iż sztuka »sama w sobie jest celem«, iż »piękność w sztuce wyższa jest niż piękno w naturze« i t. p.

Że sztuka sama sobie jest celem, było to zdanie przy-

padające dość trafnie, a nawet wypływające koniecznie z systematu Hegla¹, gdzie określeniem gałęzi sztuki było, iż jest to »idea w objawie swego piękna«, gdzie zatem za jedyną jej istotę, a stąd i cel, należało uważać piękno; lecz zdanie to usunięte być mogło z estetyki autora (części ogólnej), gdzie sztuka nie uważaną już była jako wyłącznie twór konieczności; dziwacznem zaś jest zupełnie w swem ponowieniu w obecnej estetyce, gdzie się dopuszcza, że piękność jest równie w naturze jak w sztuce, a więc, że sztuka nie jest *wyłącznie* uosobieniem piękna, iż piękno jest w niej tylko jednym z *pierwiastków* jak wszędzie, nie zaś *istotą* jej.

Twierdzenie, że piękność sztuki jest wyższą niż piękność natury, jest to także skutek niewolnictwa niejakiemu dla wyobrażeń zrazu dzielonych o piękności i sztuce. System Hegla nie dozwalał oglądać piękna, jak dopiero wspomnieliśmy, w naturze martwej jako martwej; niektórzy estetycy nowi, lewi Hegliści (jak: Arnold Ruge, Fryderyk Vischer i t. p.) odważyli się jednak, mimo ramy systemu, uznać byt tego pierwiastku w naturze, twierdząc tylko, iż jest on tu na stopniu *zarodku*, a przychodzi do zupełnej swojej doskonałości dopiero w sztuce (utworach ducha). Lecz oto autor estetyki, o której mówimy, opiera się na systemacie własnym; natury nie ma bynajmniej za przedmiotową konieczność, ale za utwór *woli* Ducha bożego, »sztukę piękną samego Boga« (I, 2); dlaczegoż więc piękność jej ma za niższą niż piękność dzieł ludzkich? »Dlatego — twierdzi — iż nie jesteśmy zdolni *objąć* piękności tej«. Lecz oto twierdzenie takie jest to inaczej następne: pojęcie doskonałe uważa dany przedmiot za piękny; pojęcie niedoskonałe nie uważa tego przedmiotu za piękny; prawdą więc jest to, co mówi pojęcie niedoskonałe. Natura jest dziełem Ducha bożego, sztuka — ludzkiego; pię-

¹ [Porów. co o temże twierdzeniu napisał Tyszyński w »Rozbiorach i Krytykach«, oceniając »Listy z Krakowa« Kremera, t. II, 305, 306].

kność tych dzieł tak się więc ma do siebie, jak ich pierwiastki. Cechą najdoskonalszego dzieła ludzkiego zawsze będzie ułomność, brak życia. I Salomon w swojej ozdobie nie był tak pięknie ubranym jak jedna lilia. »Teorya pięknej natury — mówi autor — stanowi jakby tylko rozległe przysionki do samej teoryi sztuk pięknych, które są jakby świątynią, mieszczącą w sobie jakby *sanctissimum* naszego nieśmiertelnego ducha«. Jeżeli jednak ważną jest ta świątynia, która mieści w sobie *sanctissimum* ducha ludzkiego (sztuki), tem ważniejszą być musi ta, która mieści sam ludzki duch, jego całość (ciało ludzkie, natura). W duchu tym ludzkim nadto, którego pierwiastkiem, według założenia samego autora, jest nie tylko twórczość, ale też mądrość, miłość (wola) i t. p. — nie rozumiemy nawet, dlaczego jedynie twórczość (pierwiastek zamknięty w sztuce) miałby stanowić jego *sanctissimum*. Jałmużna, przez biednego rzucona, noc poświęcona choremu, więcej może w swej treści mieszczać świętości, niżeli Wenus Medycejska.

Co do szczegółów estetyki autora, zwrócimy tu bliższą uwagę na *ramy*, w których ją rozwinął, zasadę, czyli *kryterium* uznania piękna w naturze, którą przyjął, i wreszcie na niektóre szczególne twierdzenia w wykładzie i cel ogólny.

Jak w obraniu przedmiotu, to jest wzięciu pod rozbiór pierwiastków piękna w naturze, tak też w przedstawieniu niektórych części tego przedmiotu, autor wyszedł mianowicie z »Estetyki« Fryderyka Vischera (profesora estetyki i literatury niemieckiej w Tubindze, jednym z główniejszych siedlisk lewego Heglizmu); ale oprócz dodania licznych spostrzeżeń, już własnych, już skądinąd czerpanych, w wykładzie szczegółów natury odróżnił się też autor od swego źródła użyciem *ram* innych do tego wykładu i oznaczeniem innego kryterium w ocenieniu istoty piękna.

Dlaczego mianowicie estetyka, o której mówimy, żywotniejszą jest od estetyki Fr. Vischera, wnet niżej powiemy; lecz autor myli się twierdząc, iż główna poprawa

jego w ocenieniu piękna natury spoczywa w przyjętych przezeń ramach wykładu. Ramy, przez autora przyjęte, to jest upatrzenie w szczegółach natury różnic pod względem rozmiarów, kształtów, wyrazu i przedstawienie w tych oddziałach jej szczegółów, nie wpłynęły bynajmniej na bliższe objaśnienie piękna natury. Podział ten, odpowiadający trójcy duchowej: rozumu, wyobraźni i woli, zdaniem naszym, próżno-brzmiącym tylko jest formalizmem. Jeżeli wykład autora, mimo przyjęcie tych ram, nie stracił na interesie i na wartości, to właśnie dlatego, iż autor nie zważał na nie, ale w rozwinięciu swego przedmiotu dawał nam szczegółowie po kolei wykład cech estetycznych różnych oddziałów natury, nie ścieśniając się żadnymi granicami w ich oznaczaniu. Oddział naprzykład architektoniki czyli rozmiarów, jeżeli jest zajmującym i pięknym w estetyce, to dlatego, iż autor w rozważaniu odniesionych tu szczegółów, jako gór, pustyń, roślin, drzew i t. p. nie tylko określał rozmiary, czyli kontury i linie tych szczegółów, ale też i ich kształty i wyraz: oddział skulptury, czyli piękna zwierząt, iż nie tylko określał szczegółowie ich kształty, ale też i ich wyraz, koloryt, cechy nawet najrozmaitsze wewnętrzne (zwłaszcza w rozwadze człowieka¹). Oddział wreszcie ostatni, czyli malarstwa natury, jest zajmującym, iż autor mówi w nim o kilku szczegółach nowych; lecz

¹ W rozwadze różnych narodowości, charakterów, rodów i t. p. istoty człowieka, autor wyłącznie prawie zajmował się wewnętrznymi cechami. O cechach naprzykład charakterystycznych mieszkańców Polski autor tak tu mówi z kolei: »Ród lechowy, rolniczy i wojenny, ma złożony charakter i fizyognomię z tego podwójnego usposobienia. Spokojny, ale rwisty, skory do uniesień szlachetnych bez wytrwałości, pracowity bez rządności, hulaszczy (*sic*) i wytrzymały na wszelkie znoje i trudy, dumny w powodzeniu, płaszczący się w nieszczęściu, czuły bez granic na honor i sławę i lekkomyślny bez miary, odważny w boju, potulny w domowym pożyciu; wogóle wielkie zdolności, ale i wielkie przywary. Płeć żeńska więcej ma trwałego uczucia, więcej stałości charakteru. Takie i tym podobne określenia oczywiście prędzejby mogły należeć do oddziału *wyrazu*, jak do oddziału *kształtów*.

wyrozumowanie potrzeby tego oddziału wyraźnie jest wysilone. O czymże mówić miał oddział mający rozjaśniać wyraz, koloryt utworów ziemskich, kiedy wyraz i koloryt wszystkich tych prawie utworów określone już zostały w poprzednich oddziałach? Potrzebę tego oddziału usiłując autor usprawiedliwić, mówi między innymi, »iż wyraz tak się ma do formy, jak naprzykład pałac do jego modelu«; lecz oto owe góry, przepaści, krajobrazy, rośliny, ptaki, czworonożne zwierzęta, ludzie i t. p. określone ze wszystkimi szczegółami ich cech tak zewnętrznych jak i wewnętrznych w oddziałach architektury i skulptury, były to już najmniej owe wykonane pałace, nie ich modele. Rozwinięty tu wykład szczegółów ogniów ziemskich i ogniów niebieskich powinienby się był raczej, to jest, mógłby równie dobrze znaleźć w oddziale pierwszym, czyli owych konturów, gdzie określane były: powierzchnie, wody itp.; opowiedziane zaś następnie w oddziale tym »piękno wyrazowe rozmiarów i kształtów« czyli królestwa minerałów, roślin, zwierząt i t. p. jest tylko powtórzeniem skróconem tego, co już powiedzianem było wyżej, rzeczywiście nawet *mniej wyrazem*, albowiem mniej zwracaniem uwagi na szczegóły.

Co do kryterium oceniania istoty piękna w naturze, autor zdaniem naszym istotnie poprawił stanowisko swych poprzedników, nie w tem jednak, co sam podaje za tę poprawę. Jakie jest rzeczywiście kryterium, czyli sposób oznaczenia tego, co jest pięknem w naturze, lub co niem nie jest? Ogólne w tym względzie twierdzenie wszystkich prawie estetyk niemieckich, ile je znamy, jest, iż piękność jest tam, gdzie okazuje się widocznie idea bezwzględna. Było to kryterium estetyków, kórzy nazywani byli estetykami Młodych Niemiec (Wienbarg, Mundt, Laube i t. p., którzy właśnie przed laty dziesięciu, jak u nas w tymże czasie autor, o którym mówimy, i »Listów z Krakowa«, do suchości dyalektycznej Hegla dodali też byli ozdobność słowa i stosowanie), a między którymi Mundt naprzykład

mówi: »Piękność jest to idea sama, ukazująca się w swojej rzeczywistości«. (Die Schönheit ist die als Wirklichkeit gestaltete Idee selbst) i dalej: »Piękność to anioł lecący Idei bożej, który posłany jest, aby do wszelkich drzwi kołatał i ową Ideę wnosił do pałaców i chatek«. Jest to kryterium także estetyków dzisiejszej lewej Heglicznej, którzy jak Vischer naprzykład mówią, iż piękność jest tam, gdzie sam subjekt w obiekcie się ukazuje. To jednak i tym podobne kryteria czyli teorie jest to określanie tylko raczej, co jest piękność (dyalektycznie), nie zaś, na czym zależy (praktycznie). Twierdzić naprzykład, iż piękność w naturze jest tam, gdzie się okazuje *sam subjekt* jest to, inaczej mówiąc, objaśniać małe x przez wielkie X ; uczucie to właśnie niedostateczności teorii w tym względzie było, jak się zdaje, źródłem ogłoszenia ostatniego w literaturze niemieckiej, jakie znamy, a dosyć szczególnego zawarcia pisma w rzeczy teorii piękności. Autor jego (profesor Rosenkranz), aby zapewne zbadać tem pewniej, co w sztuce jest pięknem, poświęcił oddzielne pismo badaniu tego, co nie jest niem, i dla rozjaśnienia nauki piękności, wydał »Estetykę szpetności« (*Aesthetik des Hässlichen von Karl Rosenkranz* 1853). W piśmie tem wszakże, rozwijającem skądinąd po raz pierwszy szczegółowiej sferę szpetnego, jako naprzykład tego, co dzikie, wstrętne, ohydne, obmierzłe i t. p., ogólny autora wniosek, iż »absolutnie szpetne to piękne, gdyż przez konieczność przechodzi w kraj duchowości«, kwestyę, o której mówimy, zatrzymuje na stanowisku dawnem pod względem praktyki.

Autor »Umnictwa pięknego«, dopuściwszy na wzór Vischera bytność piękna w naturze, dodał wyraźnie, iż co do oznaczenia tego pierwiastku nie podziela kryterium tego estetyka. Vischer schodząc do praktyki, twierdził, iż piękność w naturze jest wszędzie tam, »gdzie przypadek nie wtrąca szpetności«. Autor »Umnictwa« twierdzi, iż »przypadki nie istną nigdzie, nawet w naturze« i, poprawiając regułę Vischera, podaje następną do rozpoznania

piękności: »Piękno w naturze jest to objawienie się idei piękna w jej *dodatności*, a niepiękno — objawienie się owej idei w jej *negacyi*«. Reguła ta nie jest zupełnie fałszywą, ale pod względem praktycznym odpowiada zupełnie owej o szukaniu subjektu w obiekcie, i dlatego powiedzieliśmy, że to, co autor sam w swoim wykładzie uważa za poprawę w określeniu kryterium, nie jest rzeczywiście poprawą. Nader praktyczniejszemi są wszakże reguły szczególne, które autor po odłożeniu na bok teorii ogólnej podaje w ciągu wykładu, a o których wspominaliśmy. Jedną naprzykład z tych reguł, jak widzieliśmy, jest, iż »utwór tem więcej jest pięknym, im więcej oznacza swoją właściwość«. Na wniosek ten wprawdzie nie możnaby się zgodzić bezwarunkowie; twór, który oznacza dobrze swoją właściwość, jest raczej doskonalszy, a niekoniecznie piękniejszy; równie dobrze np. odznacza swoją właściwość kwiat ostu jak i kwiat róży; ale zdaje się, że rzeczywistym celem autora było tu raczej wyrazić, iż twór tem więcej jest pięknym, im więcej *zgadujemy* jego właściwość; mówi bowiem np. w ciągu wykładu: »natrafiamy w gatunkowym kształcie zwierząt na dziwotworne, kapryśne postaci, które wydawać się nam będą tem potworniejsze, że nie zgadujemy celu i myśli, które wyobrażają«; i w innem miejscu: »gdy odjęte zostaną pieczęcie z tajemniczych ksiąg natury i myśl boża jasno się uwyraźni pojęciu ludzkiemu, to przed tą wydatną treścią znikną w wyobraźni potworne formy«. Te twierdzenia nader są praktyczniejsze i bliższe prawdy, lecz oto i w tym razie za wadę tego wykładu musimy uznać to, co uważaliśmy już jako ujemność w treści »Systemu umnictwa« autora¹, t. j. iż w uwagach swych w wykładzie rzeczy stworzonych zdaje się nie dopuszczać, lub raczej zapominać, na istnące w naturze: upadek, byt złości i t. p. Może nie powinniśmy dopuszczać, z Fryderykiem Schleglem (»Filozofia historii« t. 1), iż rodzaj małp jest

¹ [Zob. »Rozbiory i Krytyki« Tyszyńskiego, t. I 376—78].

utworem szatana, na ironią najdoskonalszego dzieła bożego na ziemi postawionym, ani z Genesis Zoroastrową (»Zendawesta«), iż Aryman, ujrzawszy piękny utwór Ormuzda, ziemię, potworzył na niej przez zawiść niedźwiadki, jaszczurki, zwierzęta i zioła szkodliwe i t. p.; wszakże tak lub inaczej, względ na zło rzeczywiste w naturze wpływać winien koniecznie na wykład w teoryach rzeczywistości. Najtrafniejszą zapewne regułą autora, a która też jest przewodniczką w całym wykładzie, jest owa, iż miarą piękności kształtów w utworach ziemskich (zwierzętach) jest miara przybliżania się do kształtów ciała ludzkiego; dodajmy tylko, mówiąc o znaczeniu tej reguły wogóle, iż kryterium to musi jeszcze dopuszczać byt (potrzebę wynalezienia) podrzędnych kryterów; nie możemy bowiem np. (praktycznie mówiąc) zaprzeczyć, iż budowa zwierząt ssących doskonalszą jest niż ptaków; iż budowa owadów i płazów bliższą jest budowy człowieka, niż ryb i roślin; a jednak nie możemy także zaprzeczyć, iż nie jeden ptak piękniejszym się nam widzi od wielu czworonożnych, kwiat od owadów i płazów i t. p. Rozwiązanie zagadek tych nie może nastąpić inaczej, jak z czasem, to jest, zbliżając się do niego stopniowo, a to już kształcąc kryterium piękna, w duchu wyłącznie prawdy teoretycznie, już upatrując i zapisując jakieś doraźne reguły i kryteria, zgodne także ze szczerą prawdą, empirycznie. Takich podrzędnych reguł i zdań mnogość właśnie jest w piśmie autora; dodać wszakże musimy, iż obok wielu, nie tylko pomysłem świetnych, lecz i żywotnych, są także lub bezdowodne, lub jawnie mylne, a które przeto nie mogą mieć znaczenia prawd owych cząstkowych, służyć mających stopniem do zbudowania kiedyś jednej ogólnej. Wskażemy tu dla przykładu na kilka.

Mówiąc o wyższości budowy ciała ludzkiego nad budowę kształtową innych utworów, autor między innymi, jako na cechy tej wyższości, wskazuje bytność przy budowie głowy *podbródka*, brak w tylnej stronie *ogona*, niemożność obracania głowy wokoło i t. p. Dlaczego cechy

te mają być wyższością, nie jest dowodnie wsparte, uznając jednak fakt a priori jako prawdziwy, to jest, przyjmując zgóry za zasadę, iż wszystko, czem się różni budowa istoty ludzkiej od innych, jest wyższem, zwrot uwagi na fakta te mógłby istotnie rozjaśniać drogę do szukania nowych kryteriów.

»Zwierzęta im dalej są od światła, w wodach, błotach, tem są brudniejsze, czarniejsze« — uważa autor. Kryterium to mylne jest wyraźnie, przynajmniej co do ostatniej barwy; utwory, najbliżej znajdujące się z ogniem i słońcem, są najbardziej poddane barwie czarnej; takimi są np. owady najbliższe pieców, między ptakami orły, między ludźmi murzyni i t. p.; między ziemno-wodami i rybami nie znajdujemy nawet ściśle czarnych.

»W pięknym kształcie — podaje autor regułę — jest piękne ubarwienie... Dlatego smukła jaszczurka pięknie ubarwiona, niż niezadarna, odrażliwa ropucha«. Jest to reguła, która, zdaniem naszym, samym przykładem nie jest usprawiedliwiona; kolor brudnej przędzy pająka, jaki ma zwykła jaszczurka, nie wiemy dlaczego miałby być piękniejszym od koloru lasów i łąk (między kształtami żabimi są i zielone?); w jednych gatunkach zwierząt pięknieją są ubarwieni samce, w innych samice; kształt nie zdaje się być żadnem źródłem takich lub innych barw.

»Z natury rzeczy wypada — mówi autor — że kształty *przechodnie* (jak płazy, ziemno-wody) dlatego, że według dwóch osobnych typów postaciują się, muszą być karykaturą jednego i drugiego«. Któryż kształt jednak, biorąc ogół stworzeń, nie jest przechodnim? sam człowiek jest tylko przejściem do duchów czystych; któryż więc za karykaturę którego uważanym być winien?

W oddziale wyrazu czyli kolorytu autor czyni następny wyrozumowany wywód przyczyny cienia. Ciało świecące nazywać się może męskim, a oświecone żeńskim; »kiedy więc ciało ciemne, przyjmując światło, staje się samo świecącym, przy zapłodnieniu jego, musi zachodzić

proces tajemny, mocą którego ciemność jego oddziela się od niego i objawia jako cień«, przy czem zapisuje autor następny wniosek w kształcie obrazu: »cień jest dziećciem światła, z ciemności spłodzonym, z ciemnem obliczem matki słoni się poza jej postać, kryjąc się przed promieniejącem obliczem ojca, rośnie i olbrzymieje w oddaleniu od płodzącego go światła, aż zniknie w cieniu matki ziemi, jeżeli go blade światło na nowo nie zrodzi, ale już w gigantycznych przedpotopowych kształtach«. Jest to zapewne estetyczny, dowcipnie skreślony obraz, lecz nie odpowiada bynajmniej analogii praw znanych; w całej żywej naturze, na wszystkich jej szczeblach, nie znajdujemy przykładu, izby przedmiot zrodzony od rodzącego, dziecko od ojca, wprost i we wszystkim co do najdrobniejszego szczegółu swego, były odmienne; byłby to chyba (ów cień) wypadek jakowejś zdrady małżonki światła, i dlatego tylko ukrywałby się przed obliczem swojego ojca...

Na takie i tym podobne szczegóły, niekiedy jeszcze, jak widzimy, lub mylne, lub przynajmniej dwuznaczne, natrafiamy pośród licznych uwag i zdań, żywotnie skądinąd i pierwotnie czynionych i zapisywanych przez autora, dla wyszukania kryterium piękna w naturze; i takie są wogóle: stanowisko, ramy i sposób rozwinięcia przedmiotu w obecnej estetyce, czyli, jak mniej trafnie przeżywa po polsku autor: »umnictwie pięknem¹. Pod każdym z tych względów, obok wskazania istoty, wyraziliśmy kilka zarzutów; wszakże dodajemy, iż mówiąc wogóle: w miarę zalet książki, jej żywotności, zarzuty te są to nader małe zarzuty.

Autor, zauważyliśmy, nie określił w niej jeszcze do-

¹ Niektórzy nasi pisarze już od lat kilkunastu chcą brzmieniu *um* przypisać znaczenie pierwiastku moralnego *twórczości* czyli *fantazyi*; stąd też autor, o którym mówimy, system swój wyobraźni czyli *twórczości* nazwał *systemem umnictwa*, a estetykę jako naukę poświęconą *twórczości* pięknej, nazwał *umnictwem pięknem*. Powtarzamy tu jednak, co już mówiliśmy dawniej, że to użycie wyrazów nie jest zgodnem z duchem języka polskiego. Powtarzamy to teraz tem śmieiej, gdy jest sprawdzonym,

kładnie istoty piękna; ale istota piękna w świecie duchowym jest to jak owo światło lub ciepło w świecie materii, których istota, mimo tysięcy teorii, mimo zbadanie i zastosowanie tysięcy z treści jej faktów, sama w sobie dotąd jest tajemnicą. Zarzuciliśmy przyjęty formalizm, lecz ramy te, powtarzamy, nie przeszkodziły wcale autorowi do wyrażenia w porządku i dobitnie wykładu szczegółów drabiny piękna w naturze. Uczyniliśmy wreszcie zarzut z kilku wniosków, postrzeżeń szczególnych; wszakże nie możemy zaprzeczyć, iż jakkolwiek są to jeszcze nieraz nieudowodnione; są to wszakże zarazem śmiałe (niekiedy nawet rzecz można zuchwałe) kroki, stawiane dla przedarcia się w tajemnice natury, te tajemnice, których, jak dobrze wyraził niegdyś sam autor w »Systemie Umnictwa«, mimo wszystkie odkrycia najnowszych czasów, i milionowej części dotąd nie znamy.

Co wszakże i nadewszystko nadaje żywotność i zaręcza trwałość estetyce, o której mówimy, jest to zdaniem naszym ogólna jej zasada i cel. Autor, który w obiorze przedmiotu poszedł za estetyką Fryderyka Vischera, tem też między innymi nader różnym jest od Vischera, iż nie użył swej nauki za środek do tworzenia, szerzenia »nowej teologii krytycznej«³⁾, jak ten estetyk; lecz przeciwnie naukę swą młodą oparł na owej starej, w prawdzie swej już wiekami wypróbowanej. Przy wzmiance niegdyś o »Sy-

że mimo znajdowania się tego wyrazu na tytule pisma peryodycznego (»Przegląd Naukowy« 1842—1846 literaturze i umnictwu poświęcony), co zwykle najprędzej rozpowszechnia nowość, i mimo używania tego wyrazu przez pisarzy tej powagi jak autor, brzmienia te nie tylko u nas dotąd do mowy potocznej nie przeszły, ale nawet przez nikogo z mówiących językiem polskim, w znaczeniu, jakie im przypisano, nie są dotąd rozumiane.

³ Zasada wskazana jawnie przez samego Vischera przy otwarciu kursu estetyki (Akademische Rede zum Antritte des Ordinariats am 21 November 1844 zu Tübingen, gehalten von Dr. Vischer, 1854, — rozprawa, która, ile przypominamy, dała następnie powód do kilkoletniej polemiki w literaturze religijno-racjonalnej niemieckiej).

stemie umnictwa«, wskazywaliśmy na niektóre twierdzenia tam wyrażone jako odstępnne od nauki chrześcijańskiej, a przynajmniej katolicko-chrześcijańskiej, jako: na dopuszczanie odwieczności ziemi, oddzielnych pokoleń ludzkich od początku i t. p.; te jednak i tym podobne twierdzenia autor w obecnem piśmie jawnie odrzucił. W opisie formowania się tworów ziemi zachował, jak uważaliśmy, porządek wskazany w Genesis Mojżeszowej; mówiąc o formach człowieka, objaśnia, iż opisuje, jako ten ulepiony został z mułu ziemi (II, 22); w przypisku do str. 83 t. I usiłuje nawet objaśnić, iż w poprzednich pismach nie wyrażał rzeczywiście przekonań o odwieczności ziemi, a w mowie o rasach czyli pokoleniach ludzkości, zmieniając dawne twierdzenie o konieczności kilku pierwotnych ras, dodaje, iż godząc się z opowiadaniem Mojżesza, możnaby dopuścić, iż ród ludzki w dzieciństwie swoim giętszej był natury, a stąd łatwiej uległ wpływowi różnych stref i klimatów, w których osiadł (II, 40). Całe wreszcie tło owo, upatrywania i oznaczania w składzie utworów ziemskich podobieństw do utworu człowieka, jako ostatecznej korony ich, nie jest zapewne bynajmniej, jak się może z pozoru wydawać, anti-chrześcijańskiem. Estetyka autora pod tym względem jest owszem, rzec można, sprawdzeniem i rozszerzeniem tylko tego zdania świętego Augustyna w dziele jego o »Mieście Bożem« o stosunku natury do człowieka, i które właśnie sam autor w piśmie swem (II, 7) podjął i przytoczył: »w człowieku znajduje wszystko stworzenie model swój; on jest najwyższem dziełem Stwórcy, ku któremu w całej naturze wszystko zmierzało, a co po innych częściowo tylko było rozrzucone, znalazło się w człowieku i społem przy sobie«. Dostrzeżenie w składzie tworów natury podobieństw do składu człowieka było niedawno hasłem do zaprzeczenia nauce o wyższej zacności człowieka. Nauka o przedmiocie tak napozór oderwanym, jak o istocie piękna, rozszerzona i rozwijana, widzimy, że do wprost przeciwnych prowadzi wniosków. Czytając estetykę

autora, zdaje się nam co chwila, iż czytamy te słowa Pisma: »I widział Bóg, że to było dobre«. »Uczyńmy człowieka... a niech przełożony będzie rybom morskim i ptastwu powietrznemu i bestyom i wszystkim ziemii, i nad wszelkim płazem, który się płaza po ziemi« (Genesis I, 26, 31 i t. d.) itp.

Opieranie danej nauki na nauce, której trwałość tak już i dowiedziona i zaręczona, musi też nadać trwałość, albo inaczej, żywotność samej nauce tej, jej dociekaniom. Jakoż naprzykład samo owo kryterium, użyte przez autora obecnej estetyki, opierające się na nauce Pisma o stosunku stworzeń ziemskich do Stwórcy i do człowieka, okazało się już i najpraktyczniejszym ze wszystkich i z prawami samej natury zgodnem, i rozbiór jej w danej gałęzi o krok w kierunku samej prostej prawdy posuwającym.

Czytaliśmy wprowadzie zdania, że estetyka ta, o której mówimy, jest »niekatolicka i niechrześcijańska«¹, lecz po-

¹ »Gazeta Warszawska« z roku 1854 Nr. 160 i 161, artykuł A. Nowosielskiego [Marcinkowskiego]. Jest to prawdziwą szkodą dla literatury, powiedzmy to z okoliczności, iż pismo tak upowszechnione i które pierwszym u nas przykładem doszło tej dokładności, iż o każdym nowem ogłoszeniu krajowem z literatury i sztuki zawiadamia swych czytelników (»Gazeta Warszawska«), nie zważa jeszcze na jedność charakteru oraz gruntowność ogłaszanych przez siebie zdań P. A. N., główny sprawozdawca Gazety, jest jak najmniej usposobionym na urząd krytyka. Zdatny ten, ale, jak się zdaje, młody pisarz za zbyt jeszcze zajęty jest zawsze sobą, iżby się mógł zajmować innym jakim przedmiotem. Objawiwszy on przystępując do szeregu sprawozdań w Gazecie w liście wstępnym (1854 Nr. 48 i 49*) zasadę krytyczną, jeżeli nie nową (bo przez wszystkich prawie krytyków od początku krytyki zawsze zapowiadana), ale dobrą, iż pismo każde ocenianem być winno zewnątrz i wewnątrz, w licznym ogłoszonych następnie zdaniach w tem się chyba odróżnił od ogółu swych poprzedników, iż gdy ci, mimo zapowiedziane dwa względy, zawsze zazbyt przeważnie opierali się tylko na jednym, a zapominali na drugi, p. A. N. zawsze zapominał na oba. Każde prawie zdanie jego o danem piśmie był to tylko jakiś upatrzone, lub raczej dorobiony naprędce ogólnik, aby powiedzieć, iż pismo dane jest liche. Jakoż w artykule naprzykład o Estetyce, o której mówimy, czytelnik czytał rozprawę w dwóch ciągach, o książce jednak samej tyle się tylko dowiedział, iż ta jest »nie-

wodu tych zdań jaknajzupełniej nie rozumiemy, chociażby nawet ze względu na uczynek autora jako autora (człowieka). Uskutecznić podobną pracę jest to owszem sprawa

katolicka i niechrześcijańska i że źle czyni, iż »czerpie z estetyk niemieckich« (co?); nie poznał jednak bynajmniej ani przyczyny tych twierdzeń, ani treści książki, ani nawet przekonał się, czyli ją znał sam recenzent. Rzec-by można, iż p. N. czyniąc sprawozdanie z tej książki, pozostał na uformowanym poprzednio zdaniu o jej autorze, z dodaniem odczytania jej *spisów*, i może karty.

* We wstępie tym, przypominamy, ubolewa także recenzent, iż krytyka jego iść będzie z Mazowsza, i uspokaja swych czytelników, iż będą mogli rzec wkrótce: »co było a nie jest« itd. Przypomnienie to każe nam tu dodać jeszcze jedną uwagę. Od lat już kilkunastu, a w ostatnim czasie częściej niż kiedy, zdarza się nam spotykać pod piórem różnych pisarzy wyrażenie wypisywane wyraźnie z niejaką pogardą: »krytyk warszawski«, »krytyka warszawska«. Miasto wszelkie, czyli to Warszawa lub inne, zbiorem jest zawsze w sobie nader różnych zdolności, licznych indywidualności, jest przytem wyrażeniem takiego albo innego znaczenia dziejowego w swym kraju; używanie więc nazwiska miasta z jakichbądź względów w znaczeniu ujemnem nie uprzedza, powiedzmy to zgóry, na stronę jasności sądu wyrażających. Powód znalezienia się wyrażenia owego w naszej literaturze jest oczywiście następny. Przed dwudziestu lub więcej laty nader znakomity poeta nasz, a pisarz litewski, mając swe powody, ogłosił był na czele nowego wydania swych utworów przemowę poświęconą wyłącznie wzmiance o krytyce warszawskiej, a zdanie tam nader niepocholebnie dla krytyki tej wypadło. Było to w czasie, kiedy hasłem polemik w literaturze była głównie poezya, a w poezyi wyrazy: klasyczność i romantyczność; i autor dowodził tam, iż »kiedy już cała kula ziemską zmieniła wyobrażenia o sztuce; jedna tylko Warszawa stoi jak na kotwicy«. Wymówka była niesłuszna; wyobrażenia nowe o sztuce, które przechodziły naówczas do wszystkich krajów, jednocześnie weszły były i do Warszawy; jeszcze w innych stronach krajowych i od zachodu dalszych i zachodu bliższych, wychodzące literackie pisma czasowe (jako: *Dziennik i Tygodnik wileńskie*, *Pszczola lwowska*, *Mrówka poznańska*, itp.) nie powiedziały były słowa o nowym zwrocie, kiedy *Pamiętnik warszawski* ogłosił był obszerny i dotąd cenny artykuł K. Brodzińskiego »o romantyczności i klasyczności«, a nawet nowo powstałe pisma: »Biblioteka polska«, »Gazeta Literacka«, »Dziennik Warszawski« nowy zwrot ostatecznie przyjęły i upowszechniły. Napad więc był, mówimy, niesłusznym. Poezie jednak wybaczonem był jako poecie, a nadto był usprawiedliwionym z pewnej strony wyznaniem krytyka, iż »daleki od miejsca sprze-

wiać wyraźnie podniesienie o stopień podziwienia i czci dla Stwórcy, jest to, rzec można, czynić modlitwę godną ludzkiego ducha i jest to słowem lepiej zapewne wypełniać

czek, zdanie o sobie czyta w lat kilka po ich ogłoszeniu, a zatem iż pisał o przedmiocie już od lat kilku dawnym, i wreszcie okupiony był talentem słowa oraz tym względem, iż przemówienie mieściło niejedno spostrzeżenie żywotne i nowe, zwłaszcza dla prowincyi, gdzie za literaturę miana jest (jak się zdaje i dotąd) tylko belletrystyka. Ale naśladownicy, jak zwykle naśladownicy, z zarzutu tego zachowali to tylko, co było najłatwiejszem, i przy lada powodzie do niezadowolenia wnet wyrażają się: »warszawski krytyk«, »warszawska krytyka«. Mówiąc o dzisiaj, nie powiemy zapewne, iżby krytyka literacka peryodyczna była u nas ideałem krytyki należytej, a to mianowicie dlatego, iż nie mamy krytyki *stalej*, to jest takiej, któraby z właściwym sobie charakterem i jednością wszystkie utwory, chociażby tylko jednej gałęzi literatury, stale oceniała; nie zaprzeczmy nawet, iż pisma nasze codzienne, zobowiązane wypełniać kolumny swoje codziennie, przymuszone są nieraz potolerować wartości artykułów (bywa to wszędzie, gdzie wychodzą pisma codzienne i zyskuje nieraz stosownych sędziów; w Nr. np. 27 z roku bieżącego »Gazety Augsburskiej« w korespondencji literackiej z Paryża, z okoliczności artykułu o jakiejś sztuce teatralnej, czytaliśmy takie zdanie: »wiadomo powszechnie (?), iż niema miasta na świecie, gdzieby krytyka tak nisko upadła jak tu«); — kiedy jednak porównujemy historyczność krytyki literackiej w Warszawie z krytyką innych miast kraju; kiedy wspominamy np., iż założycielem krytyki historycznej byli tu: Naruszewicz, Czacki, Lelewel, Surowiecki; prawoznawczej: tenże Lelewel, J. W. Bandtke; lingwistycznej: Linde, Mroziński; wymowy i poezyi: Brodziński, inni; kiedy nawet zwracając uwagę na czynność społeczną, widzimy w pismach ukazujących się codziennie, lub w niedługich odstępach, a poświęconych różnym przedmiotom piśmiennictwa, jak: religii, naukom historycznym, sztuce, rolnictwu i ekonomii, sztuce lekarskiej itp. objawiane sądy i zdania przez pisarzy po większej części znanych już z pism oddzielnych i z swej zasługi (że wspomnimy tu np. o samej gałęzi badań dziejowych, należą tu dziś pisarze: Bartoszewicz, Kucharski, Lewestam, Lipiński, Maciejowski, Przeździecki, Rastawiecki, Rogalski, Sobieszczański, Stronczyński, Sz wajnic, Sulc, Wejnert, Wójcicki itp.); — tedy musimy wyznać, iż nie rozumiemy zupełnie, na jakiej się opiera zasadzie poniżanie z powodu objawianych zdań piśmiennych w tem mieście nazwiska miasta, lub raczej nie możemy się dosyć wydziwić stopniowi tej lekkości lub braku dobrej wiary, z jakimi przez pomiatanie podobne nie wahają się zdradzać ci, którzy się podają na sędziów zasług krajowych.

życie, niżeli powtarzać co chwila ów rozkaz: »Kochaj Boga ze wszystkich sił swoich«, — i tylko *powtarzać*.

Estetyka, o której mówimy, jest to, śmiało powiedzieć możemy, jedna z najpiękniejszych społecznych nam publikacyj. Jest to książka żywotna, jak to widzieliśmy, ze względu na tło swe ogólne, cel i zasadę czyli swój *duch*; — wychodząc harmonijnie z ostatniego momentu poprzedniego w swojej gałęzi i o krok posuwając go, żywotną jest racjonalnie czyli ze względu na *myśl*; — i wreszcie wyrażoną będąc zewnętrznie nie tylko jasno, ale pięknem, właściwem autorowi swemu i godnem estetyki *słowem*, żywotną jest ze względu nawet swej *formy* (swego jakoby *ciała*). Jest znakomitym przybytkiem w naszej literaturze w szczególności i wogóle w swojej gałęzi.

1855.

IX.

PISMA TREŚCI FILOZOFICZNEJ.

(Chrześcijańska filozofia życia w porównaniu z filozofią naszego wieku panteistyczną przez Maksymiliana Jakubowicza. Tomów 3. Wilno. — Dusza człowieka. Nowy i zupełny wykład nauki o duszy, przez Aleksandra Łysińskiego. Tomów 2. Warszawa. — Pierworys systematu filozofii ze stanowiska chrześcijańskiego pojętej, przez ks. Waleryana Serwatowskiego. Kraków).

Niema jeszcze pół wieku, jak filozofia uznając za prawdę to tylko, o czym nam świadczą zmysły i czysty rozum, z zakresu swego odtrącała całkiem przedmiot religii. Każdy natenczas, który był wyznawcą jakiegokolwiek religii, już tem samem nie był filozof. Dziś wszakże po tym czasie niedługim, treść tej gałęzi moralnej z gruntu zmieniła się. Zaczęty od krytyki owego czystego rozumu (wywołanej mianowicie dziełami Hume'a) przez Kanta, a zakończony systematem Hegla, okres filozofii niemieckiej sprawił głównie tę zmianę. Systemata tego okresu nie wyznawały jeszcze wprawdzie otwarcie żadnej religii, nie potępiały już jednak wcale żywiołu jej i owszem chwaliły każdą, naznaczały jej nawet pierwsze miejsce po filozofii, a milczkiem wychodziły zawsze z chrześcijańskiej. Od wydania Encyklopedyi Hegla, to jest rozpraw obejmujących po większej części stosowania jego teoryi do praktyki (jako: prawa, dziejów powszechnych, sztuki, religii), rozpoczął się znowu zwrot nowy w filozofii niemieckiej. Zamiłowania

w niej w czystej teorii i dyalektyce znikły i zaczęto wołać o stosowania. Nowe odtąd pisma filozoficzne, badania, o tyle tylko pożądane, o tyle się stały cenione, o ile się ukazywały związane z praktyką czyli życiem. Przedmiotem najczęściej związanym z życiem (albowiem mówiącym nie tylko o życiu zewnętrznym, lecz i wewnętrznym, nie tylko o jego związku z chwilą, ale i czasem wiecznym) jest właśnie religia i nowy ten zwrot racjonalny w zwrot racjonalno-religijny wkrótce zamienił się. Wypadki ostatniego systematu, mówiące o duchu, jego potrójności, wieczności, odbiciu się subiekty w obiekcie i t. p. zeszyły się właśnie z dogmatyką religii chrześcijańskiej i religia ta uznana została jawnie za prawdę; teologię podciągnięto pod filozofię, uznano owszem, iż sama niczem innym nie jest właśnie jak filozofią, jej szczytem: i jeśli przed pół wiekiem, jak dopiero wspomnieliśmy, żaden wyznawca jakiegobądźkolwiek religii nie był mianym za filozofa, dzisiaj (nie tylko w Niemczech, lecz przez odbicie i zwrot ogólny kierunku, wszędzie) nikt nie jest, można rzec, filozofem, kto też nie jest, chociażby w pewnej mierze, i teologiem¹.

Teologia ta w pismach filozoficznych niemieckich, które się stały głównym źródłem i wzorem dla naszych, jakąż była i jest dzisiaj w swych szczegółach? Zwrot ów religijny od Hegla niedługo potolerował system, który go

¹ Nie idzie stąd naturalnie, iżby i w tym wieku nie znajdowały się umysły, które tak patrzą jak w zeszłym. Właśnie np. mamy przed sobą jeden z niedawnych numerów dziennika krakowskiego *Czas*, w feljetonie którego bezimienny autor w artykule nadesłanym z Warszawy, potępia nas, żeśmy w tomie I. Rozbiorów (wydanych oddzielnie) zasady filozoficznego myślenia ze stanowiska połączenia ich z religijnymi rozważali, przez co, jak mówi, towarzyszy im »wsteczny pogląd na drodze umiejętności«. Z zarzutu tego nie potrzebujemy tu wcale usprawiedliwiać się, za jedyny bowiem dowód swego twierdzenia autor artykułu kładzie: iż zasady nasze są przeciwne tym, które objawił przed kilku laty Dr. Szulc w piśmie: »O źródle wiedzy tegoczesnej«; jakiej są zaś racjonalnie wartości zasady tego pisemka, wyraziliśmy już to w swoim czasie.

sprawił. Z trzech sposobów pojmowania dyalektycznej jego teorii, przy jej zwrocie do praktyki (któreto sposoby otrzymały w swym kraju nazwiska stron Heglicznych: prawej, lewej i środka), stosowanie i rozwijanie czysto loiczne dozwoliło tylko zatrzymać kierunek lewej¹. Kierunek ten mimo mianowania się religijnym, znosił jednak w gruncie religię i odrzucono system: jakoż pisarze, którzy w ostatnich kilkunastu latach w Niemczech największy mieli rozgłos na polu filozoficznym (jakoto: Fries, Fichte młodszy, Herbart, Schopenhauer, Beneke, Reinhold młodszy, Trendelenburg i t. p.) byli to już pisarze dotąd na boku stojący, już nowi a wychodzący od Leibniza i Kanta oddzielnym korytem, już próbujący tworzyć nowe systemata, lecz nie Hegliści. Pisarze ci jednak wszyscy (wskutek uczynionego raz zwrotu) już opierają się jawnie na teologii, już w miejscu racjonalnego stawiają psychiczny kierunek. Obok nich stoją stronnicy ich zasad, a nadto teologowie racjonalności, teologowie psychiści, a wszyscy prawie (nie wyłączając nawet pisarzy lewej Heglicznej²) za grunt prawdy uważają chrześcijaństwo, z niego wychodzą i różnią się tylko jego wykładem. Różnice te idą nawet daleko i pod

¹ Strony te, mówiąc najkrócej, rozróżnił mianowicie, przy stosowaniu, sposób pojmowania Idei (tej jakoby Siły Twórczej), Subjektu wszechświata. Prawa Hegliczna twierdziła, iż owa idea, czyli subjekt, jest samowiednym, a samowiedza ta w subjekt-objekcie (człowieku) tkwi tylko immanentnie, a przeto z ograniczeniem. Środek, który uznawał również samowiedzę w subjeckie, twierdził, iż immanentność owa jest tylko w ogóle ludzi i tych, którzy treść ich sumienia w sobie skupiają. Lewa wreszcie: iż subjekt jest tylko substancją bezwiedną, a przychodzi do samowiedzy dopiero w człowieku. Sam Hegel pojmował swój system jak prawa, która też właśnie dlatego była nazwana prawą, lecz trzymając się literalnie praw jego loiki, jego idea pierwotna, istotnie może się utrzymać jako substancja.

² Widzieć np. pisma z roku zeszłego, głównego dziś reprezentanta lewej Heglicznej, doktora Ludwika Noak: *Die christliche Dogmengeschichte nach ihrem Entwicklungsgange in gedrängter Uebersicht dargestellt*. Erlangen. *Die Theologie als Philosophie in ihrem wissenschaftlichen Organismus dargestellt*. Lübeck.

tym względem filozofowie niemieccy dzieleni u siebie bywają (i istotnie najjaśniej nazwiskami temi rozróżnić się mogą): na racjonalistów czystych, teologów racjonalistów i supernaturalistów. Cecha spólna pisarzom wszystkich tych zwrotów jest, iż z dwóch podstaw, na których się wspiera nauka chrześcijańska, to jest: tradycyi i Pisma, drugą tylko uznają i z niej wychodzą: cechy zaś, które ich rozróżniają, są następujące:

Filozofowie racjonalisci czyści naukę Jezusa Chrystusa przenoszą nad wszelkie nauki i zowią naukę tę boską, jako podającą umiejętność: poczucia w sumieniu ludzkim sumienia bożego, oraz doskonalszej, nad inne, reguły życia; nie uznają jednak możności innego objawienia nad rozum i odrzucają dogmata.

Teologowie racjonalisci przyjmują dogmata, ale w rozumieniu tak ich, jak Pisma i wogóle drogi chrześcijańskiej usuwają na bok to wszystko, co w sobie jest mglistem, i dopuszczają nawet do pewnego stopnia krytykę Pisma (wyrzutnie wersetów).

Supernaturalisci wreszcie, nazywani także Altluteranie, księgi Pisma a mianowicie Ewangelie i listy bezpośrednich uczniów Jezusa Chrystusa uważają za święte i naruszonemi być nie mogące, jako Duchem Bożym spisane, ale nauki i ustawy następców ich uważają za czysto-ludzkie i należne rozumienie tak Pisma, jak całej drogi chrześcijańskiej datują dopiero od Łutra.

Nie mamy tu wcale zamiaru pisać rozprawy teologicznej i o szczegółach tych wspominaemy tu tylko jako o faktach, które prócz strony swej religijnej, odznaczają też fazę najnowszą spółczesnej nam filozofii, związanej z naszą: gdy jednak wypada nam wskazać na rodzaj i wartość pism naszych wyżej wymienionych, które również racjonalno-religijnemi są z treści, musimy tu chociaż słowo powiedzieć o samej zasadzie.

Trzy kierunki w pojmowaniu chrześcijaństwa, o których dopiero rzekliśmy, a które wszystkie nazywać się mogą

i nazywać się lubią protestanckimi (przymiot, który jednak już sam z siebie oznacza głównie zamiłowanie w polemice, ściganie czegoś, przeczenie), trzy te kierunki, mówimy, mimo oddanie sobą skądinąd licznych usług drodze myślenia, mimo świetnych siebie reprezentantów, nie mogą jednak, zdaniem naszym, uważać się jeszcze za ściśle loiczne, za dziejowo-zasadne, a tem samem za mogące być podstawą i treścią rzetelnej i stałej filozofii.

Zasada racjonalistów czystych w tem jawnie zwichniętą jest, iż w nauce Jezusa Chrystusa widzi tylko naukę życia, system obyczajowy i słowem jakoby tylko z nowym odcieniem stoicyzm, gdy tymczasem to, co naukę tę odróżniło mianowicie od innych, było prorocstwo, działanie duchem a Dawcę jej: szczegóły życia¹ i przeważenie wewnętrznie tem życiem (co faktem jest) dziejów powszechnych.

Rozumowanie teologów racjonalistów w tem mianowicie jest kruche, iż dozwalając znoszenia szczególnych wersetów Pisma, znosi temsamem i całość, a znosząc w ten sposób Pismo po odrzuceniu tradycyi, pozbawia ostatniego gruntu i źródła własną naukę. Brak mglistości, którym się chlubią, jest wszakże brakiem koniecznej cechy religii: gdzie bowiem mglistość jest w źródle, mglistość jest w celu, być musi i w drodze.

W nauce Altluteranów wreszcie ta głównie tkwi nie-loiczność, iż przyjmują przyczynę a odrzucają skutki: przyjmują Ewangelię a nie przyjmują tych bezpośrednich następstw, które z niej płyną. Chrystus, przypomnijmy tu krótko, opowiadał naukę swą słowem i przez lat kilka (krótkie pismo część jej wprawdzie rzetelną, ale część tylko

¹ »Jest w nim (w osobie Jezusa Chrystusa) coś z gruntu tajemniczego« — mówi pastor Uhlich, jakkolwiek przywódca Lichtfreundów (frakcyi teologów racjonalistów). »Es ist etwas geheimnisvolles an Ihm«. Büchl. vom Reiche Gottes. Chrześcijaństwo właściwie nie jest nauką, ale jest rzeczą, uważa Schelling. »Das Christenthum ist nicht eine Lehre, sondern eine Sache«. *Philos. der Offenbarung*.

i wyrażoną nadto ułomnością konieczną liter, zawarło) polecił swym uczniom zawiązywać i rozwiązywać, zaręczył, iż pozostanie z nimi mimo odejście, przez wszystkie dni (aż do końca świata), iż nauka jego rozrastać się będzie na ziemi jako krzew z ziarna i wreszcie do jednego z swych uczniów (jak o tem donosi właśnie w swej Ewangelii, jego, że tak rzec można, spótrywał łask Pańskich), rzekł i rzekł po trzykroć odchodząc: »paś moje owce« (Jan XXI. 17). Z tych więc różnych dróg i kierunków, które z chrześcijaństwa wyszły i które mamy przed sobą, gdy trzeba wybierać jeden, a jeden tylko musimy (gdyż prawda jedną jest), tedy oczywiście ten tylko loicznie możemy i ten powinniśmy, który ma swe źródło nie tylko w Piśmie, ale i słowie (tradycyi), który się zaczął zaraz od odejścia Chrystusowego, który trwał odtąd bez przerwy przez wszystkie dni, rozwijał się coraz i coraz jako krzew i który w szczegółach drogi swej jest pod kierunkiem i strażą owej prorocznie tylko zapowiedzianej, a stąd jawnie wszechmocą tylko utrzymywanej władzy, o której dopiero rzekliśmy. Kierunek ten w swem poddaństwie warunkom ziemskim nie mógł być wprawdzie w swym biegu i czysto niezemskim, bez ujemności swych (dosyć wspomnieć na ułomności ludzkie samych arcy-pasterzy od czasów Piotra); wszakże jeden to jest tylko kierunek w wyjściu swem historyczny, w biegu swym prosty (albowiem nie od ewangelistów dopiero i tylko idący), lecz wprost chrześcijański i nie z jakiejś sekty wyszły, lecz katolicki¹. Ten kierunek jest też to nasz kierunek dawny krajowy. W dziełach sztuki i myśli, w sądzie o piśmie większem i mniejszem, jak byliśmy, tak być chcemy i nadal stróżami tego kierunku. Lecz właśnie że być chcemy stróżami i owszem świadkami, jeśli być może, jego rozkrzewu, chcielibyśmy zarazem wskazywać w tych dotykaniach i usuwać z niego to wszystko,

¹ Obszerniejsze wreszcie oznaczenie i ocenienie kierunków tych znaleźć w tomie I. Rozbiorów, o których wyżej.

co nie jest nim rzeczywiście: co wniosły weni nadużycia jednostek, co wiodło nawet niegdyś częścią w swoim rozroście do odstępstw, do protestacyi, a przeszkadza nieraz i dotąd porozumieniu się. W pismach, o których rzecz mamy, niema zapewne nic, coby było przeciwnem wprost temu kierunkowi; lecz oto w szczegółach drogi tego kierunku (drogi, która jako wychodząca raczej z ducha jak myśli, nie jest wcale w rozwinięciu się swem krępowana) w drodze tej i szczegółach jej, mówimy, warunkiem są tylko ramy tradycyi, a wewnątrz obszerna swoboda sądu jest zostawiona¹. W pismach, o których rzecz mamy, z tych właśnie powodów pośrednich jest niejeden szczegół do sprostowania. Zaczęty u nas przed kilkunastą laty okres żywszej uprawy myśli (rozwagi) bezpośrednim był, jak wiadomo, z okresu niemieckiego wpływem: pierwsi nasi filozoficzni pisarze w niemieckim nawet języku zrazu pisali. Filozofia ukazała się tu odrazu w złączeniu jawnem z re-

¹ Jednym z zarzutów, który racjonalisci czyści czynią dogmatykom jest, iż ci wielbią powagę, a zatem wsteczność, i potępiają przez to rozum nowych jednostek, swobodę sądu: nie jest to jednak wcale uwielbiać rozum, skoro się twierdzi, iż ten od czasu jak istnieje, nie doszedł jeszcze do żadnej prawdy, któraby była istotną prawdą, gotową i dla następców; twierdzić, iż każda prawda wczorajsza nie jest nią dzisiaj, jest to owszem zapisywać wyrok śmierci i każdemu zdaniu naszemu przed dniem jutrzejszym. Nauka katolicko-chrześcijańska raz wychodzi z zasady, iż nauka Jezusa Chrystusa jest prawdą, lecz też pamięta na słowa: teraz znieść nie możecie (Jan XVI. 12) i poznać prawdę (Jan VIII. 32. XVI. 32) w czasie przyszłym i t. p.; regułą więc w niej jest, iż nienaruszoną prawdą są dogmata, to jest to, o czem jasno poświadczyla tradycya (sobory powszechne) lub wyraziło Pismo: ale wewnątrz tych ram, rozbiórze szczególnych kwestyj, nawet znaczenia szczególnych wersetów Pisma, swobodę zostawia (dosyć jest wspomnieć np. na różność i rodzaj sprzeczek najznakomitszych doktorów kościelnych w wykładzie »8-miu błogosławieństw ewangelicznych«, »Znaków ostatecznych«, wyrażenia w Ewangellii »Królestwo Boże«, w kwestyi o związku dusz po śmierci ciała z tym światem, czy niebo jest miejscem, czy stanem itp.). Kryterjum katol.-chrześc. czci więc także swobodę sądu, z różnicą, iż nietylko swobodę sądu, lecz i sam sąd.

ligią chrześcijańską, lecz pojmowanie tej było też zarazem odbiciem pojmowań już owych racjonalistów czystych (jak np. pisma B. Trentowskiego), już teologów racjonalistów (jak pisma Aug. Cieszkowskiego) i t. p. Przeciw przenoszeniu i szerzeniu pojęć religijnych w ten sposób oświadczył się jednak zaraz i prawie powszechnie kierunek krajowy, pisarze tejże gałęzi i pisarze innej gałęzi, z powołania duchowni i z powołania świeccy, wyrazili, rzecz można, uczuli przymus wewnętrzny do wyrażania, do rozwijania swoich oświadczeń. Jakoż właśnie dwa pierwsze pisma, któreśmy zgóry z nazwisk wymienili, poświęcone są w znacznej części także temu zadaniu, a zwłaszcza to, o którym tu najprzód rzecz mamy, to jest: Filozofia chrześcijańska życia p. Jakubowicza.

»Filozofia chrześcijańska życia w porównaniu z filozofią tego wieku panteistyczną«, przez Maksymiliana Jakubowicza, obejmuje 3 tomy. O pierwszych dwóch donoszonym już było w tej kronice¹, z okoliczności wyjścia 3-go i ostatniego, powiemy teraz w ogólnem złączeniu o treści i charakterze całości.

Autor tego pisma, z powołania filolog (był on między innymi autorem ostatniej gramatyki języka polskiego, wykładanej w szkołach b. okręgu wileńskiego), przy końcu swojego długiego i pracowitego zawodu oddał się był czytaniu pism treści filozoficznej w języku krajowym wychodzących, a dostrzegając iż te, mimo odwoływanie się co chwila do zasad chrześcijańskich, wiodły wprost do zaprzeczenia dogmatom chrześcijańskim, zaprotestowaniu przeciw pojmowaniu w ten sposób i religii i filozofii pismo swe, o którym mówimy, poświęcił. Pismo to jest mianowicie zwrócone przeciw zasadom objawionym w pismach B. Trentowskiego, które autor uważa jako powtarzające wprost teorye niemieckie i razem z niemi w twierdzeniach

¹ [T. j. w kronice literackiej »Biblioteki Warszawskiej«, gdzie pierwotnie artykuł ten był drukowany].

swych o Bogu, duszy człowieka i woli ludzkiej, osobowości Boga, nieśmiertelności jednostkowych dusz ludzkich i swobodności woli zaprzeczające. Napisaniu tej filozofii chrześcijańskiej życia autor poświęcił ostatnie swe lata i nie ujrzał nawet końca jej wydania. W piśmie tem, powiedzmy to zgóry, jest jawny nieład w wykładzie, jest wielomówność, powtarzanie się, nieraz deklamacya; wszakże w przedmiocie głównym, w owych kwestyach, o których dopiero rzekliśmy, a do których autor od początku do końca książki co chwila wraca, znajdujemy mnogość uwag i myśli, świeżych i żywych, i w których mimo nowe dla siebie pole, mimo uzbrojenie siebie, że tak powiemy, tylko kamyczkiem, autor w walce z uzbrojonymi zbyt silniej przeciwnikami nieraz zwycięsko wychodzi. Rzeczyby można, że duch autora uciekający z ciała, widząc kres swój, nie wahał się popofolgować nawet słabościom materyalnym jednostki, byleby tylko zapisał i pozostawił po sobie swe poświadczenia. Główne myśli, które charakteryzują właściwość książki autora i wogóle jego racjonalno-religijne zapatrywanie się na przedmiot, są tu mianowicie następane, i powtórzmy je prawie własnymi słowami autora:

W szczegółach świata naszego, na który patrzymy, na oko jest wielka różność, w istocie jednak jest też i zgodność, jest bieg do jednego celu. Gdzie jest i zgodność i taki bieg, tam musi być pewna myśl; że zaś myśl nie jest materyą, tedy musi istnieć jakaś myśl zewnątrz materyi. Myśl, która stworzyła materję i dała jej pewny bieg, jest to pierwotny jej Twórca, Bóg. Bóg stworzywszy naturę, nie zamienił się sam w naturę, tak jak posągarz, który stwarza posąg, sam nie zamienia się w posąg; stworzywszy przestrzeń, nie zamienił się w przestrzeń, ale jest zewnątrz niej; i utworzywszy czas, nie zamienił się w czas, ale jest zewnątrz czasu. Ten pierwotny Twórca natury nie jest to siła ślepa, konieczność: jakże z siły mogłoby się rozwinąć myślenie w sobie, a z konieczności wola, przymioty, które ma człowiek? Twór, im więcej jest doskonały, tem wol-

niejszy: zwierzę ma więcej woli niż głaz, człowiek niż zwierzę, jakże więc doskonalszą wolę musi mieć Istność, która jest najwyższą w wszechświecie. Bóg jest to więc duch i wolny i osobisty. Bóg utworzył naturę i nazaczył jej bieg konieczny, którym iść musi, choćby nie chciała: nie stworzył więc jej na swój obraz. Na swój obraz i podobieństwo stworzył człowieka, dał mu bowiem myślenie i wolę (stąd też, uważa autor, może być i wniosek naodwrot, gdy podobieństwo jest osobą, więc i prototyp). Z różności tego pierwiastku wypływa różność cech. I między jestestwami natury są niektóre, które mają poznanie, lecz jestestwa te wszystko umieją i znają z siebie (z natury) bez nauki i pracy. Stąd wynikają jego zasługi i zalety, stąd jego osobista zacność i godność. Konieczność więc w naturze jest dobrem, a przeciwnie w duchu ludzkim jest złem. Wolność w naturze byłaby złem, gdy w duchu ludzkim jest dobrem. Koniecznością duchową w człowieku jest tylko jego sumienie. »Jeżeli poznanie praw życia pociągnie ich miłość, człowiek będzie je wykonywał z własnej woli, wolnie; a gdzie niemasz miłości, stamtąd ucieka wolność, a miejsce jej bierze konieczność«. »Wolność (duchowa) nie może być bez miłości, a miłość bez wolności... Miłość bez wolności jest pożądlivością, a wolność bez miłości jest koniecznością«. Człowiek, utworzony zrazu w stanie doskonałości, źle używszy udzielonego mu daru woli, to jest skrzywiwszy go ku złości, jest dziś w stanie upadłym, stan ten, ów jego upadek i cel, do którego dąży, są źródłem wszystkich zjawisk w historii ludzi. Człowiek chce się dobyć z upadku, stanu niedoskonałości, w którym zostaje. Owoce tego usiłowania ukazują się w szczegółach cywilizacji, w umiejętnościach, w naukach, sztukach, wynalazkach, przemyśle... Czuje człowiek w sobie coś wznioślejszego, coś nadziemskiego, jakby jaki zabytek jego dawnej wielkości. Nosi w sobie życie, ale zarazem obawę jego utraty. Trwoży go myśl o śmierci, bo nie był stworzonym dla śmierci. Z tych źródeł płyną owe owoce, ale

nie jest to skutek owego postępu, o którym mówią filozofowie. Nie jest to owo konieczne doskonalenie się idei bezwzględnej. Postęp istotny zależy tylko na dobrowolnym, czyli swobodnym doskonaleniu się w wykonaniu praw bożych. Człowiek jest na ziemi w pielgrzymce do dnia siódmego, do ziemi obiecanej, o której jeszcze prorokował Mojżesz, lubo stosownie do wieku materialnego w obrazach materialnych. W dniu siódmym świat nasz przemieni się i osiągnie swój cel. Takie są prawdy rzetelne, prawdy chrześcijańskie i taki cel nasz; ale te prawdy zaćmiła i ten cel oddaliła filozofia, filozofia zwłaszcza nam społeczna, panteistyczna, która poprzekręcała znaczenie wyrazów chrześcijańskich: przyznała ona najwyższość duchowi, lecz duch ten oglądając tylko zamknięty w środku natury, lub tylko w człowieku żywym, zaprzeczyła istności Boga, nieśmiertelności dusz ludzkich, chrześcijaństwu i wszystkim obietnicom chrześcijańskim. Filozofowie ci spełnili właśnie przepowiednię szatana, który zachęcając rodziców naszych w raju do uczynku zabronionego, mówił: i otworzą się oczy wasze i staniecie się jako bogowie (Genes. III. 5); wyznają oni sami, iż »otworzyły się oczy ich i poznali się na sobie, iż są bogami«. Bałwochwalstwo nowe idealne zajęło miejsce dawnego materialnego: »chce ono«, mówi autor, »abyśmy zaprzestali śpiewać Bogu naszemu: Twoja cześć, chwała, nasz wieczny Panie, a śpiewali hymny do filozofów, artystów i baletników«. »Przeklęstwo całej ludzkości (dodaje w którymś miejscu swej książki) niechaj spadnie na was, o mędrzy! którzy odebraliście człowiekowi wiarę nadprzyrodzoną, nadzieję nadprzyrodzoną, miłość nadprzyrodzoną i straciliście go do bytu i rzędu zwierząt«. Te są główne zasady i myśli książki p. Jakubowicza i te są żywotne. Mamy wszakże przeciw jej całości i zdaniom niejedyn też szczegół do zarzucenia, a mianowicie następane:

1) Treść książki p. Jakubowicza nie odpowiada wcale jej założeniu, a nadto w całym przeprowadzeniu jej jest pewien zamęt i bezszyk, które przeszkadzać muszą i zna-

lezeniu i podzieleniu wniosków autora. Treść owa według zamiaru autora, to jest napisu książki, miała to być: Filozofia chrześcijańska życia, zatem filozofia praktyczna; lecz przeciwnie, od początku do końca znajdujemy w niej tylko rozbiór kwestyj teoretycznych. Pismo to podzielone jest na trzy tomy czyli części, mające następne oddzielne napisy: I. O objawieniu boskiem. II. O Stwórcy i stworzeniach wszechświata. III. O stworzeniu wyłącznie człowieka; a treść ta już sama objaśnia, iż przedmiotem tym nie mógł być człowiek i jego życie, gdy zaledwo o jego stworzeniu mówi dopiero część ostatnia. Dodajmy, że i te części szczególne i rozdziały, na które są podzielone, nie mówią zwykle o tem, o czem uprzedzają ich napisy: część I. naprzykład mówi ledwo nie więcej o przedmiocie części ostatniej, niż sama ta część. Część II. dopiero w rozdziale 6 przypomina na swój napis, a nic prawie nie mówi o przedmiocie drugiej jego połowy (stworzeniach wszechświata) i t. p. Cały ciąg książki, jak rzekliśmy, jest prawie wyłącznie lub wyrzekaniem i deklamacją, lub powtarzaniem jednych i tychże kwestyj i uwag, które bez przerwy stały przed myślą autora.

2) Niejedność charakteru w samej polemice. Jeżeli niejedną kwestyę autor i racjonalnie dotyka i racjonalnie rozstrzyga, niejedną także lubo dotyka racjonalnie, ale rozstrzyga dogmatycznie, to jest powołując się na katechizm, wyrok Kościoła i t. p.; dowody takie są próżne, zbytecznymi bowiem są dla dogmatyków, a żadnymi dla przeciwników, którzy nie są dogmatykami.

3) Brak poprzedniego dokładnego obeznania się z przedmiotem napastowanym. Przedmiotem rozbioru, napaści i wyrzekań autora od początku do końca, są mianowicie zasady i teorye autora Pedagogiki [»Chowanny«], oraz jego bezpośrednich według autora wzorów tj. Szellinga i Hegla. Zasady te i teorye o tyle, o ile przytoczone są w swych urywkach, przytaczane są wprawdzie wiernie i zbijane trafnie; skądinąd jednak jasnym jest, iż te zasady i zdania znane

były tylko autorowi z tych urywków, to jest z przytoczeń w pismach innych pisarzy, a przeciwników ich. Autor np. twierdzi, iż wszyscy ci filozofowie-panteiści, o których mówi, widzą we wszystkim przypadkowe chaos na świecie (III. 17), co zdradza, iż nawet nie zajrzał do żadnego np. z pism stosowanych Hegla (choćby tylko nawet do jego historii filozofii); uznanie bowiem i objaśnianie harmonii i loiczności we wszystkich szczegółach bytu, w jego rozwiciach, jestto owszem właśnie zasadą i główną cechą wszystkich wykładów Hegla i całej szkoły. Sądząc w ten sposób z części systematów, autor musiał do mylnych przyjść wniosków o charakterze tych systematów i twórców ich: jakoż Szelling, Hegel, B. Trentowski podawani i obwoływani tu są co chwila, jako panteiści i ateści, gdy tymczasem (jakikolwiek były zdania i wyznania następców ich) sami ci pisarze byli nie tylko chrześcijanie, ale gorliwi chrześcijanie (wykazaniu bowiem racjonalnemu prawd szczegółowych chrześcijańskich całe systemata poświęcający), a tylko protestanci chrześcijanie. Mylny zarzut odbitym być może i szkodzić musi zgóry całej polemice.

To uprzedzenie się zgóry, iż Szelling, Hegel i wszyscy bez wyjątku stronnicy i zwolennicy ich, są to panteiści i ateści, powiodło autora do niedowierzania temu wszystkiemu, co tylko się napotyka w systemach tych, każdemu zdaniu, wyobrażeniu, słowu, które te utworzyły, lub więcej upowszechniły, a stąd do odrzucenia i potępienia nieraz i tego, co było raczej do przyjęcia jak potępienia.

Jak niegdyś z powodu wypadków, na których skończył był system materyalny, uznane było zarazem za kłamstwo i za bezbożność to wszystko, co tylko zachwalane było przez ten system, i w imieniu zasad i praw religii chrześcijańskiej potępiano to nieraz, co uznaje i co zaleca właśnie religia ta, jako np. wyrazy: rozum, filozofia, doskonalenie się, filantropia, materya, prawo przyrodzone, jedność ludzka, istota najwyższa i t. p.; tak dziś podobnie miane są nieraz za fałsz i bezbożność liczne części napotykanne

wyrazy i wyrażenia w systematach filozoficznych spekulacyjnych, jak to np. uczucia wrodzone, duch czasu, postęp, synostwo boże, duch w nas działający, epoki w dziejach, twórczość ducha, wyroki ludu i t. p. Jakoż wszystkie te prawie i tym podobne wyrazy i wyrażenia ściga w swej książce p. Jakubowicz i ściga bez przerwy: w każdym z nich widzi tylko fałsz; ateizm i socyalizm. Jeżeli jednak w wielu szczegółach samej filozofii materyjalnej była zgodność z prawem chrześcijańskim, szła bowiem z serca ludzkiego; tedy tem częściej jeszcze są z temże prawem zgodne wszystkie praktyczne szczegóły i wyrażenia filozofii spekulacyjnej; twórcy jej bowiem, jak uważaliśmy, czerpali je zwykle owszem z ksiąg właśnie chrześcijańskich. Jakoż wszystkie naprzykład wyrazy i wyrażenia, które przytoczyliśmy, są to powtórzone lub rozwijane wyrażenia i nauki z Ewangelii lub listów apostołskich, a zwłaszcza z wykładów i nauk św. Pawła. Nie mamy tu ani miejsca, ani potrzeby zbijania lub prostowania wszystkich podobnych zarzutów i twierdzeń autora książki i przestaniemy na wskazaniu kilku.

Zgłębianie istoty bożej przez rozum autor za rodzaj bezbożności uważa. »Filozofia«, mówi, »nie może badać Boga, bo nie ma do tego sił: celem jej (dodaje autor) jest poznanie człowieka pod tym względem, że jest stworzeniem, wyrażającym obraz i podobieństwo boże«. Możnaż jednak oceniać obraz i podobieństwo tego, czego wcale nie znamy? Inna była nauka św. Pawła, gdy pisał do Rzymian: »rzeczy jego niewidzialne, od stworzenia świata, przez te rzeczy uczynione, zrozumiane, bywają poznane (I. 20).

Autor sądzi, iż dopuszczać w istocie ducha ludzkiego twórczość jest to przyznawać mu moc bożą i stąd mówi: »duch ludzki nie może być twórczy, gdyż nie jest trzyosobowy«. Jeśli wszakże duch ludzki jest podobieństwem bożego, a ten jest trzyosobowy, tedy i tę potrójność na stopniu podobieństwa odbijać musi. Autor uważa tylko wogóle (jak naprzykład teolog Belarmin): iż duch ludzki

jest obrazem bożego co do istoty, a podobieństwem co do przymiotów (*virtutes*); wielu wszakże pisarzy duchownych a nawet między duchownymi najznakomitszych szukało odbicia się Trójcy w duchu ludzkim. Św. Tomasz z Akwinu naprzykład w Summie Teologii i św. Augustyn różnią się z sobą wprawdzie w sposobie wykładu, lecz oba wychodzą z uznania, iż owa potrójność boża, w duchu ludzkim odbija się na stopniu podobieństwa, a w innych utworach natury na stopniu śladów. Twórczość nadto (to jest pewien stopień twórczości) w duchu ludzkim jest faktem: każda naprzykład piosnka, którą dziś utworzy człowiek, istniałaż od dnia stworzenia?

»Hegel, mówi autor, ogłosił ludziom rzecz do jego czasów nieznaną, że w nich jest Bóg myślący i czynny« (53). Są to jednak wyrażenia z samych kart Ewangelii: »i przyjdziemy do niego (człowieka) a mieszkanie sobie u niego uczynimy« (Jan XVI. 23). »Pocieszyciel Duch (Prawdy) u was będzie mieszkał i w was będzie« (Jan XIV. 17) i t. p.

Jako szczyt niedorzeczności Loiki B. T., autor przytacza to zdanie: »Tak jest, Bóg tchnął w nas swem znanie, a zatem wszelką prawdą i wiedzą. Całą sztuką naszą wydobyć to wielkie znamię święte«. To zdanie jednak, które przypomina werset 9 rozdziału I. św. Jana, powinno było przynajmniej przekonać autora, iż autor Loiki nie był ateistą. »Mądrość ludzka (nie boża) zowie się, mówi autor, duchem czasu, że w pewnych czasu okresach odmienia się i synowie świata wedle tego ducha odmieniają się sami«. Święty Paweł uczył jednak: »Bóg przemija kształt świata tego« (I. Korynt. VII. 31), nie czart więc, jak mówi autor, ale sam Bóg, według nauki chrześcijańskiej, sprawcą jest zmiany czasów, a stąd i ich ducha i t. d.

Autor dopuszcza i zdaje się wierzyć, że jest naznaczonem stopniowe udoskonalenie się ludzi, lecz razem uważa, iż udoskonalenie się to ma być skutkiem woli, »a nie ślepego i koniecznego rozwijania się idei bezwzględ-

dney»; stąd też powstaje pokilkakroć na wyrażenie: postęp, na wiarę w konieczność pomiędzy ludźmi, na zdanie »raz rzekłem i ukazuję się wiecznie« (semel dixi, semper pareo) i t. p. Lecz oto mówiąc naprzód o tem ostatniem wyrażeniu, wyrażenie to istotnie jest prawie biblijne i stąd też święty Augustyn w dziele o Mieście Bożem wyraża, iż »dopusciłby nawet wyraz fatum, gdyby go wyprowadzono od słowa fari (to jest, iż raz coś wyrzeczonem zostało przez Boga, a nie od woli gwiazd«) De Civit. Dei V. 8. 9. W nauce chrześcijańskiej, to jest na karcie prawie każdej Pisma, wzmiankowane są i dopuszczane i wola i zgotowanie poprzednie: dwa byty, których złączenie tak wprawdzie przechodzi nasze objęcie, jak wszystko, co bliżej jest boże (np. Wieczność i Czas), lecz które mimo to oba równie są rzeczywiste. Rozwijanie się więc idei bezwzględnej, jeśli przez tę ideę rozumieć będziemy myśl bożą raz wyrzeczoną, musimy uznać istotnie i za konieczne i mimo to być w wyobrażeniu ściśle chrześcijańskim. Postępem rzetelnym, mówi nadto autor, jest tylko »doskonalenie się w pobożności«. Lecz życie ludzkie nie przestaje być ludzkim (to jest w warunkach zawodu ludzkiego) przez to, iż się w pobożności ukształci; i owszem, jak trafnie wnosi św. Tomasz w Summie teologii, mówiąc o królestwie bożem na ziemi, iż jakkolwiek królestwo to zależy głównie na uczynkach wewnętrznych, to jednak tym uczynkom wewnętrznym odpowiadać też muszą uczynki zewnętrzne (*Summa Theol.* II. 108. 1.), a zatem w duchu swym i zjawiskach i wszystkie gałęzie rozwinięć ludzkich. Zwróciwszy (autor) uwagę, iż tam tylko jest wolność, gdzie jest miłość, a miłość jest na świecie w rzadkich tylko jednostkach, dodaje: kto mówi, że była kiedyś, albo że jest wolność w Rzeczypospolitej tego świata, ten sam nie wie, co mówi. Rzeczpospolita może tylko istnieć w niebie między świętymi. Uczyni obywateli wszystkich świętymi, a wtedy będziesz miał prawo powiedzieć, że rzeczpospolita może istnieć na ziemi«. To twierdzenie autora może być słusznem, zwłaszcza jeżeli

przedmiot ziemski, o którym mówi, chciałby widzieć w nieomyślności nieziemskiej; lecz oto p. Jakubowicz nie tylko nie uważał za godziwe takich lub innych kształtów społecznych wśród krajów, ale nawet wyobrażenia krajów. »Wszyscy, mówi, jesteśmy dziećmi jednego ojca i obywatelami jednego królestwa, w którym królem jest Bóg«. I to twierdzenie także zapewne nie jest fałszem, wszakże i to jest prawdą, że raz puszczeni (wszyscy ludzie na ziemi) w pewne losy, w pewne rozwicia, nie jesteśmy jeszcze u ostatecznych celów, ale na drodze do celów. Autor przytacza znany wiersz Krasickiego z Myszeidy... święta miłość zwraca go do ojczyzny innej (niebieskiej) i dodaje: człowiek tedy między dwoma postawiony ojczyznami, ma do wyboru dane: uczynić jedną z nich celem życia swojego; skoro uczyni wybór pierwszej (ziemskiej), ziemia stanie mu się Bogiem, ziemskość, czasowość, kierować będą jego myślą i wolą. Otoczy się fałszem, złem i szpetnem i poczyta je za prawdę, dobre i piękne«. Nam się zdaje, iż wybór nie jest dany: toż przykazanie, które mówi »kochaj Boga«, mówi też »kochaj bliźnich«, każdy też ma sobie udzielony dar taki lub inny i każdy kształcić go winien w kierunku miłości bliźnich, to jest: w kierunku tej społeczności, która ich wiąże. To twierdzenie autora o obowiązku życia dla jednej tylko ojczyzny przypomina nam raczej wołanie owych Izraelczyków z czasów Judyty, którzy użalając się na zamierzony przez Ozyasza opór przeciw Assyryjczykom, wołali: »i cóż nam Holofernes, bylebyśmy tylko żywiąc Pana chwalić mogli!« (Judith VII. 16).

Wogóle więc książka p. Jakubowicza jest tylko dowodem gorliwości autora o sprawę religii chrześcijańskiej, lecz nie jest pod każdym względem pomocą jej. Tak jak filozofowie czyści ucząc niejednokrotnie prawd zgodnych z religią, zaszkodzili jednak nauce swej przez to, iż wyrażając się ciemno o pojmowaniu przez siebie poznania, naukę tę swą (filozofię) oznaczali za wyższy szczebel niż

religię, tak też pisarze religijni szkodzą niejednokrotnie religii, ucząc sami od siebie więcej niż teologia.

Książka p. Jakubowicza, iżby służyć korzystnie i po zostać dla naukowej gałęzi swej mogła, potrzebowałaby przyjaznej ręki, któraby ją od początku do końca i przemianowała i przerobiła.

»Dusza człowiecza, nowy i zupełny wykład nauki o duszy«, pismo p. Aleksandra Łysińskiego, jest także jak filozofia chrześcijańska życia p. Jakubowicza, z treści swej racjonalno-religijnym traktatem i jest w części polemice poświęcone. Pismo to ma wszakże za przedmiot już nie ogół chrześcijańskich kwestyj, lecz jedną z nich tylko, to jest naukę o duszy ludzkiej.

Książka p. Łysińskiego podzieloną jest na dwa tomy: I. poświęcony jest wykładowi władz duszy ludzkiej (i stanowi psychologię właściwą), oraz dowodom, iż dusza ludzka nie jest to cząstka i wpływ ciała ludzkiego, lecz jest istotnością odrębną; II. obejmuje zbiór i wykład dowodów, iż dusza ludzka jednostkowo jest nieśmiertelną. Szczegółowa jej treść jest następująca: w tomie I. ogół władz duszy człowieka autor dzieli (jak niegdyś Kant w swych dotknieniach do psychologii) na władze: pojmowania, uczucia i woli. Do pierwszego oddziału odnosi mowę, wrażenia zmysłów, uwagę, pamięć, wyobraźnię, rozsądek, rozum, objawienie, wiarę, sumienie, przyczem pod kategorjami rozumu i objawienia czyni ustęp o pojęciu Istności Boga oraz przymiotów bożych. Czucie dzieli na organiczne i moralne, i zowie to ostatnie uczuciem, przyczem przy wykładzie namiętności złych czyni ustęp o upadku człowieka, złości i duchach złości; mówiąc o dobrych, czyni zwrot o miłości bożej i bliźnich. W oddziale woli mówi o ludzkiej, bożej i ich stosunku do siebie. Tom kończą: zbiór dowodów, iż dusza nie jest wpływem funkcj organicznych, lecz jest istotą odrębną od ciała, tudzież dodatek o źródłowości duszy. Tom II-gi, czyli II. część obejmuje naprzód zbiór różnych zdań o pochodzeniu dusz pojedyn-

czych, dalej wykład pobudek przyrodzonych do uznawania nieśmiertelności dusz ludzkich, historię tej wiary u różnych ludów przedchrześcijańskich i dzisiejszych pogańskich, wykład wiary w tym względzie dawnej hebrajskiej i wreszcie zbiór dowodów praktycznych (przedmiot stanowiący główne zawarcie tomu), iż religia chrześcijańska jest prawdą, oraz wykład nauki jej o nieśmiertelności dusz ludzkich.

Wykład treści, rozwiniętej przez p. Łysińskiego w tych ramach, odznacza szczególne obmyślenie przedmiotu i wypracowanie praktyczne. Treść ta rozwiniętą jest w liczbowych paragrafach, po większej części krótkich, z których każda obejmuje myśl przetrawioną: po wykładzie każdego oddziały autor rekapitułuje treść paragrafów i powtarza je w nowym szeregu; prócz tego przy każdej części dołącza oddzielnie wykaz szczegółowy treści i wreszcie wykazy abecadłowe głównych przedmiotów i artykułów. Mimo jednak tę pracę, obfitość rozsianych wiadomości w różnych oddziałach, mimo poświęcenie przez autora może być całości życia na wygotowanie tego traktatu, mamy do zarzucenia tej jego książki (właśnie z powodu tych przymiotów) i niezupełność treści w miarę zapowiedzianego przedmiotu i pewien w niej bezszyk przeszkadzający skutkowi książki i wreszcie pewną niedostateczność w charakterze książki krytycznym, a to mianowicie z następujących względów: Książkę swą nazwał autor zupełnym wykładem nauki o duszy; przedmiot jej nie ma jednak tego wcale wyczerpania. Za jedną z części duszy człowieka sam autor uznał jej myśl; myśl ta w zawodzie ziemskim od jej początku wielkie koleje przebyła, części jej: rozważa, fantazja i t. p. postawiły koło człowieka cały świat nowy, świat sztuk, nauk, wynalazków, przemysłu i t. p., tych jednak dojsć, tych utworów a przynajmniej zdolności do nich tkwiącej w duszy człowieka nie poznaje bynajmniej czytelnik z treści książki. Autor wylicza w niej empirycznie władze duszy i spostrzeżenia swe o nich, lecz nie zwrócił swej pracy

do dokładnego poznania historycznie chociażby tylko swego własnego przedmiotu. Od traktatów Arystotelesa: *De anima* i *Magnorum moralium* do współczesnych nam psychologij Herbarta i Beneke (którzy ustanawiali nawet prawa matematycznej psychiki i psychicznej dynamiki) jaka mnogość rozjaśnień, spostrzeżeń, rozbiorów najsubtelniejszych odcieni władz duszy; badania te nie wpłynęły jednak jako pierwiastek do traktatu autora. Cały przytem oddział zjawisk bezpośrednich duchowych, możność ich i rodzaje jako przewidywania, przeczucia, sny nocne, lunatyzm, jasnowidzenie i t. p. (stany, które tem więcej o obecności w nas istności jakowejś duchowej świadczą, iż byt jej bez obecności nawet myśli jawnym czynią) nie dotknięte są nawet w książce. Traktat p. Łysińskiego lubo więc jest nowym, ale nie jest bynajmniej zupełnym wykładem nauki o duszy. Z drugiej strony liczne oddziały w książce lub próżne albo nie w miejscu tworzą w niej brak loiczności, która wszędzie, a tem więcej w czysto racjonalnym traktacie tak jest potrzebną. Do takich oddziałów nie w miejscu należy w t. I. §§ 50 od str. 75 i §§ 30 przed stroną 163 o szczegółowych kwestyach teologicznych, jak np. między innymi o potrzebie i rodzaju modłów, o aniołach, czartach, czci bożej w niebie, karach potępieńców i t. p. rozumowania, o których wartości w sobie nie mówimy tu, lecz których umieszczenie przy wykładzie władz duszy tem było niewłaściwsze, iż główny ich przedmiot (świat inny, i życie pośmiertne) miały być dopiero przedmiotem dowodzenia w tomie następnym; takimi są także niektóre ustępy tomu drugiego, czysto do samej historii kościelnej odnoszące się i do dowodów prawdy religii chrześcijańskiej nie należące, a temsamem ani bezpośrednio, ani pośrednio na wyjaśnienie przedmiotu głównego (nieśmiertelności duszy) nie wpływające. Za oddział prawie zbyteczny poczytujemy także wszystkie §§ 50 tomu pierwszego (295—343) obejmujące rozumowania i całe szeregi dowodów, iż co innego jest ciało a co innego dusza. Z małym bowiem wy-

jątkiem kilku trafnych spostrzeżeń, iż dusza nie jest jednością z funkcjami organicznymi ciała, wszystkie inne dowody poświęcone są tylko wskazaniu, iż co innego są władze ciała a co innego władze myśli, twierdzenie, które nie więcej wymagało dowodów jak np. to, iż co innego jest ręka, a co innego noga, iż dwa a dwa nie są trzy i t. p. Ciało ludzkie może być martwe i może być żywe; oczywiście więc pierwiastek, który ożywia ciało (animat) jest czemś innym, niż ciało. Każda żywa istność ma duszę; i autor daleko więcej uczyniłby dokładnym swój przedmiot, gdyby objaśniał i wykazywał, jakie są różnice duszy ludzkiej od innych stworzeń, oraz jaki jest stopień i własność związku jej z ciałem, niż wyszukując i klasyfikując dowody, iż co innego jest dusza a innego ciało. Wykład autora po największej części jest empiryczny, mieści jednak i ustępy krytyczne; główną zaś wadą krytyki jego jest owo nieobeznanie się bliższe z historią dotykanych kwestyj, o którym rzekliśmy. W ogólności krytyka p. Łysińskiego w przedmiocie kwestyj chrześcijańskich zdaje się być przeniesioną z pism francuskich, ściga bowiem od początku do końca wyłącznie prawie wyobrażenia szkoły materialnej i twierdzenia pisarzy francuskich z wieku zeszłego. Krytyka taka w traktowaniu kwestyj religijnych (spólna wielu i znakomitszym racjonalno-religijnym francuskim pismom) może być pożyteczną a nawet potrzebą we Francji, gdzie utwory owych pisarzy mogły wychowywać każdego, każdemu są znane; lecz u nas jest lub zbyt, wyobrażenia bowiem szkoły filozoficznej materialnej nigdy nie były upowszechnione u nas przez pisma krajowe, lub znowu (uważając pod względem całości kwestyi) w oderwaniu swoim niedostateczną. Wyobrażenia bowiem przeciwne zasadom autora a dotyczące jego przedmiotu, które i daty są świeższej, i które lub przeszły do pism krajowych, lub na nie wpłynęły, nie są to wyobrażenia, twierdzenia szkoły materialnej, lecz szkoły spekulacyjnej, lub jaśniej: nie są to religijne twierdzenia ateistów

francuskich, ale teologów niemieckich. Przestaniemy tu na jednej wskazówce; w tomie drugim, autor zbierając dowody, a odpierając zarzuty, stawiane przeciwko prawdzie, oraz pewności historycznych twierdzeń nauki chrześcijańskiej, mówi z kolei i o zarzutach czynionych przeciwko autentyczności ksiąg świętych, i tak się wyraża: »Wreszcie na wszelkie w tym przedmiocie przypuszczenia Woltera, Tolanda i innych odpowiedzi doskonałe Abadie, Billon, Houteville, Gauchat, Valsechi, Fabrycy, Fassyni, Spandaliery i inni«. Nie wątpimy, że autor, który wszystkie przytaczane w swej książce zarzuty umiał odpierać loicznie, wyszedłby równie zwycięsko i w walce ze wszystkimi innymi, lubo w innym rodzaju; lecz jeśli pismu swemu chciał dać charakter krytyczny, to jest, wagi społecznej krytycznej, winien był odpowiadać nie na to, lub raczej nie tylko na to, co powiedzieli w tych kwestyach Wolter lub Toland, ale też co Krug, Eichhorn, Gabler, Strauss, Bauer Bruno i t. p. O filozofii spekulacyjnej autor wprawdzie wspomina w swem piśmie, lecz prawie przygodnie i w tych razach, równie, jak autor poprzedni, wszystkie jej twierdzenia bezwzględnie za panteistyczne, mianowicie zaś podaje za takie twierdzenie (stanowiące właśnie podstawę w wykładach psychologicznych) o ideach wrodzonych. Autor na idee wrodzone powstaje mianowicie dlatego, iż ma je za przeciwne nauce o Objawieniu. Przed Objawieniem ewangelicznym, uważa, nie miano wyobrażenia cnoty, dopiero za czasów chrześcijańskich okazała się gorliwość o oświecenie zbawienne umysłu, poświęcenie za bliźnich, ulepszenie w stosunkach publicznych i obyczajach; o miłości Boga, bliźniego, pokucie, pokorze, nie nauczała żadna filozofia przedchrześcijańska (wielki to błąd utrzymywać, iż prawa moralne są wyrze na naszym sumieniu). Czytając te słowa, mniemaćby można, iż autor nie zajrzał nigdy do żadnej książki z czasów przedchrześcijańskich i owszem do żadnej głównej chrześcijańskiej. Zbyt wiadomo, iż religia mistyczna w Indyach, rozumowa-

nia w Chinach uczyły miłości Boga, bliźnich, ciągłej pokuty i t. p. Dzieje Grecyi i Rzymu są pełne przykładów poświęceń się. Cnota w pismach Platona jest prawie chrześcijańską. Jakoż nauka o sumieniu wrodzonym i chrześcijańską jest i nie znosi nauki o Objawieniu. Objawienie ewangeliczne zależało raczej na proroctwie, nie zmianie sumienia. Sam Chrystus mówił, iż nie przyszedł wzywać sprawiedliwych, sprawiedliwość więc mogła być i przedtem. Wyrażali to jaśniej jeszcze Apostołowie. Święty Jan w Ewangelii swej mówi: »Jest światłość, która oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego«, a święty Paweł w liście do Rzymian pisał: »Poganie, nie mający Zakonu, z przyrodzenia czynią to, co Zakon rozkazuje; tedy ci Zakonu nie mający sami sobie są Zakonem, okazują dzieła Zakonu, zapisane na sercach swoich« (II. 14. 15). Iż niektórych filozoficznych wyrazów jak: materya, idee, postęp, subjekt, duch czasu i t. p. nie mieszczą karty ewangeliczne, nie jest to dowód, iż znaczenie ich nie jest chrześcijańskie; znaczenie nie jest to bowiem litera, wyrazy, jak nieśmiertelność duszy, moralność i t. p. nie dadzą się znaleźć również na kartach ewangelicznych, nie idzie jednak z tego, iżby znaczenie wyrazów tych nie było chrześcijańskim. Bytności idei wrodzonych w nowych czasach zaprzeczył dopiero Locke, a za nim filozofowie materyaliści, utrzymując, iż to tylko w poznaniu naszym jest prawdą, co wchodzi do niego przez zmysły; bytność tę dopuściła przeciwnie i prawdę jej dyalektycznie udowodniła filozofia spekulacyjna, jako czerpiąca właśnie zasady, jak uważaliśmy, z ducha ksiąg chrześcijańskich. Jako na niedokładność w metodzie krytycznej pisma, możemy też wskazać na sposób popierania się dowodami historycznymi. Oddziałowi o wierze w nieśmiertelność duszy u pogan autor nadał charakter krytyczny, popierając go cytacyami. Wszystkie te jednak cytacye, mające stawić dowody o starożytnem, są cytacyami z pism nowych; niedokładność tem mniej wybaczona, iż księgi religijne ludów starożytnych,

lubo długo prawie nie znane, w tych ostatnich czasach i odszukane i nieledwie na wszystkie europejskie języki przełożone zostały, a zajrzenie do źródła niejedno twierdzenie jaśniej i pełniej, niejedno odmiennie wyraziłby autorowi dozwoliło, lub potrzebę wskazało. Nawet w rozważdze religii Słowian i Litwinów autor zamiast użycia kronik, które miał pod ręką, powołuje się na świadectwa panów Maciejowskiego i Kraszewskiego.

Co do szczegółów książki pana Łysińskiego, przytoczymy tu kilka, które częścią są może skutkiem prostej omyłki, częścią zaś z innych względów, wymagałyby, zdaniem naszym, sprostowania. Na stronie 15 tomu pierwszego autor mówi »o samopoznaniu samego siebie«; jest to pleonazm, już bowiem sam wyraz samopoznanie oznacza poznanie samego siebie. Na stronie 42, iż »wyobraźnię twórczą zowiemy fantazyą z niemieckiego«. Jest to spostrzeżenie trafne, iż przez fantazyę rozumimy wyobraźnię twórczą, lecz jest to skutkiem naszego zwyczaju krajowego, nie niemieckiego. Phantasia w języku greckim toż znaczy, co w łacińskim imaginatio i w tem obszernem znaczeniu używaną jest i w języku niemieckim, jeżeli jej nie zastępuje Einbildungskraft. Na str. 45 mówiąc o kategorii rozsądku, jako wzór tegoż, autor stawia nauczanie przez parabole: właściwością paraboli jest allegorya a allegorya podchodzi właściwiej pod kategorię fantazyi. Mówiąc o kategorii rozumu, autor twierdzi, iż są przedmioty, które przechodzą nasz rozum, iż rozum zagłębiać się tylko może w samych przemijających rzeczach i przez szczególną sprzeczność dołącza wnet czysto rozumowy wykład istoty bożej i jej przymiotów, który zupełnie okazuje się zgodny z tem, który znowu dołącza dalej pod kategorię i na zasadzie Objawienia. Nie myślimy tu wszczynać polemiki łatwej o użycie szczególnych wyrazów w ich znaczeniu takim lub innym, bo odcienie znaczeń są liczne, ani nawet o oznaczenie części składowych duszy: kwestyi, która tak różnie dotąd jest pojmowaną, i nie ma jeszcze, rzecz można,

ani racjonalnego, ani teologicznego rozstrzygnięcia: wszakże odniesienie kategorii sumienia i wiary do działu pojmowania (nie uczuć), jest jawnie niewłaściwą w wykładzie. Sumienie i wiara mnożą zapewne sferę naszego pojęcia przez swe zjawiska, lecz tyleż, ile i wszystkie inne kategorie, które autor pod oddziałem czucia i woli wyłożył. Do oddziału pojęcia ta tylko właściwie władza odnieść się może, w której wyrokuje rozważa, nie zaś ta, w której (jak właśnie to ma miejsce w wierze, w sumieniu) podstawą jest inny jakowyś pierwiastek. Powiedzieliśmy, iż cały oddział, który autor poświęcił wykazywaniu różnicy duszy od ciała, jest zbyt liczny, jako dowodzący pewnika; jedną z wad takiego dowodzenia być też musi, iż najsubtelniej i najpracowiciej przemyśliwane i zbierane dowody są nie tylko próżne, lecz też zwykle znajdują się w końcu słabsze od samego założenia. Przytoczymy tu przykład; na str. 218 autor czyni uwagę, iż w materialnym świecie jedna postać lub zmiana wyłącza jednocześnie wszelką inną postać lub zmianę: co okrągłe, nie może być razem kwadratowym, białe czarnem i t. d., kiedy tymczasem rzecz się ma przeciwnie w sferze moralnej i t. d. mówi: »Porównajmy np. te dwie myśli: 1) Nie zawsze wolno każdą ogłaszać prawdę, 2) Przeczyć prawdy nie godzi się nikomu. Porównywając te dwie myśli, wiem o jednej i drugiej równocześnie, uznaję, iż obie są prawdziwe i zgodne z sobą, i tak je łączę: acz nie zawsze wolno każdą ogłaszać prawdę, przeczyć jej jednak nie godzi się nigdy«. Nie czynimy bynajmniej zarzutu autorowi z wniosku, ale przykład czyli raczej dowód, którego użył, uważany jako dowód, nie jest trafny; autor bowiem w przykładzie z materialnego świata wybierał dwa stany sprzeczne, dwa zaś zdania moralne, które przytoczył i z sobą złączył, w gruncie nie były sprzeczne, dwa zdania moralne istotnie sprzeczne byłyby na przykład, trzymając się treści powyższego przykładu: Przeczyć prawdy nie godzi się nigdy. Zaprzeczać prawdzie godzi się zawsze. Lecz takie dwa

zdania nie mogą się równie jednocześnie złączyć w jedną prawdę, jak nie może być w materyalnym świecie jedna i ta sama forma jednocześnie i okrągłą i kwadratową. Ciekawsze i nieraz dobitnie przemawiające są dowody autora na to, iż dusza nie jest modyfikacją ciała, to jest: wpływem jego; na przykład, gdy uważa, iż pierwiastek, »który uczy i zdolny przemagać i poskramiać ciało, oczywiście sam jest innej natury i nie jest ciałem«; lecz i tu dalej największą liczbę tworzą tak zwane sofizmata, czyli dowody pozorne, a to stąd, iż autor najczęściej za duszę ludzką bierze jej myśli i jedynie na różnicy myśli od ciała zasadza dowód odrębności duszy od ciała. Wywód taki najprzód jest nieloicznym, bo chociaż istotnie co innego jest myśl ludzka a co innego inna część ludzka, która jest ciałem, nie idzie jednak jeszcze koniecznie zatem, że myśl nie jest ciałem. Dowodzenie i wnioski autora w podobnych razach brzmi, rzecz można, tak: »noga ludzka jest ciałem, ręka ludzka nie jest to noga ludzka, ręka ludzka nie jest więc ciałem«; a nadto branie za jedno myśli i duszy sprawiać musi, iż autor niejednokrotnie dowodzi, co nie jest podobnem do dowiedzenia. Pan Łysiński powstaje na krainologię (stąd rzecz można i na fizyognomistykę), na uważanie mózgu za źródło myśli i mówi między innymi: »byłby szalonym, ktoby uzbroiwszy oczy szkłem a ręce skalpelem, chciał szukać w mózgu władz pojmowania, czucia i dobrej woli«; »nigdy z sali sekcji anatomicznej nie otrzymamy traktatu o moralności«. Gdyby autor powiedział: iż byłby szalonym, ktoby szukał w mózgu całości duszy, byłoby trafne, lecz zaprzeczyć, aby dusza, która jest w ciele, żadnej części swej w mózgu nie miała, przy obecnem jeszcze nierozjaśnieniu jej związku i warunków poddaństwa jej ciału, jest tylko twierdzeniem, dającym powód do łatwych zaprzeczeń. Nie jesteśmy wprawdzie ani patologowie ani anatomicy, i nie wiemy, jak dalece pewnymi są twierdzenia autora, iż mózg stosunkowo większy jest u myśli i wróbla jak u człowieka, iż nieraz nie różni się w ni-

czem mózg ludzi rozumnych i obłąkanych; wszakże praktycznie nawet pewnem to jest, iż to, co zowiemy myślą, poddane jest i ulega organizmowi ciała ludzkiego, iż inna jest w niemowlęciu, w młodzieńcu, starcu, iż tak jak ciało rozwija się, wzrasta, męźnieje i t. d. W składzie ludzkim koniecznie rozróżnionem być winno to, co zowiemy duchem, i to, co zowiemy myślą (jak to naprzykład już czynił św. Augustyn, gdy uważał, iż duszę składają pierwiastki: *spiritus, mens, amor*); mieszanie tych pierwiastków i branie za jedno ducha (pierwiastku stałego, od organizmu ciała niezawisłego) i myśli, pojęcia (ducha organizmowi ciała podległego) były właśnie i są dotąd przyczyną mylności wszystkich układów czyli systematów filozoficznych. Jesteśmy jak najdalsi od czynienia zarzutu, iż p. Łysiński pismo swe, racjonalne z zadania, połączył z religijnym pierwiastkiem i że pierwiastkowi temu dał owszem pierwszeństwo w wykładzie; wszakże żałować można, iż jeszcze niekiedy wykład religijny autora zachowuje cechy dawnej scholastyki, te cechy, które zdaniem samej teologii dzisiejszej, »czystość nauki chrześcijańskiej nieraz zaciemniały«, a do takich w piśmie pana Łysińskiego należą naprzykład opowiadane subtelnosci o duchach, o jakich właściwie nie uczy teologia, fakta z życia Jezusa Chrystusa, o których nie wie sama Ewangelia, jak to np.: »dyabeł ma geniusz nad wszystkie geniusze, ma umysł przenikliwy, głęboki, obejmujący rzeczy nie częściowo, nie z jednej strony tylko, nie powierzchownie« i t. d. (l. 147), albo: »nie może dziś dyabeł tak długo kusić, ile mu się podoba, nie może więcej działać jak tylko tyle, ile Bóg dopuści« (l. 157); (czyż dawniej miał moc wyższą od bożej?), albo: »przyszedł dyabeł do Jezusa Chrystusa w postaci ludzkiej« (l. 143). Ewangelia mówi o duchu; albo: »Jezus Chrystus w dzieciństwie ciężko pracował, aby zarobić na chleb«, albo: »na krzyżu dlatego nie chciał pić octu, iż zawsze nie lubił tego, co jest nieczyste« (dziwacznem jest przedstawiać podobne uznanie temu, który właśnie nauczał, iż

nie to pokala człowieka, co weń wchodzi i t. p. Na str. 170 czytamy: »mężowie apostołscy wszystkich wieków«, jest to wyrażenie nie historyczne, nazwisko Apostołów w historii kościelnej nadawane jest tylko dwunastu bezpośrednim uczniom Jezusa Chrystusa, zaś mężów apostołskich tylko bezpośrednim uczniom Apostołów.

Lecz oto poczyniwszy te zastrzeżenia co do metody i charakteru książki p. Łysińskiego, dodać winniśmy, iż książka ta nie jest bynajmniej pismem bez zalet i licznych. Książkę tę oznacza praca, myślenie, zbiór spostrzeżeń własnych autora, w rzeczy władz duszy silne przekonanie i wiara, i wreszcie cel wszędzie żywotny, a to nie tylko w przedmiocie głównym, ale też w tle rozumowań wogóle. W zastosowaniach p. Łysiński lubo stawia wyżej wiarę nad rozum, wszędzie jednak nie tylko teoretycznie, ale można to widzieć z uczucia i przekonania, czci rozum, dzieła sztuk, nauk i t. p., a kwestyj ludzkich już w tym, już w innym rodzaju dotyka wszędzie w duchu miłości i t. p. Prócz mnogości spostrzeżeń własnych o władzy duszy, książka autora obfitą jest nawet w różność wiadomości w ustępach: wskazujemy np. jako na zajmujące, na rozdział ostatni tomu pierwszego »o źródłosłowie duszy«, w którym autor porównywa znaczenie i brzmienie tego wyrazu w różnych językach, znaczenia różne w języku biblii i t. p.; pierwszy rozdział tomu drugiego, czyli wykład historyczny różnych opinii samych doktorów chrześcijańskich o pochodzeniu dusz; wskazujemy też na gorliwość i przekonanie, z jakimi pisany był cały prawie tom drugi, obejmujący dowody o prawdzie religii chrześcijańskiej, czerpane tak z jej istoty jak losów jej ziemskich; i również na rozdział nowy dla kart naszej literatury: o nauce szczegółowej kościoła w rzeczy o duszy. Przedmiot swój od początku do końca autor wyklada słowem czystem, loicznym i w każdym prawie oddziale książki umie przelać i w czytelnika swe przekonania. Przytoczymy tu kilka zdań trafnych autora, z różnych oddziałów tych

choć dla krótkiego przykładu. Zwracając uwagę na istotę i skutki dotychczasowych systematów filozoficznych w naukach ludzkich, w porównaniu ze skutkami religii, autor mówi: »rozum ludzki to Penelopa, która w nocy rozpara to płótno, co w dzień utkała... dobry pasterz parafii bez porównania więcej przysposabia cnotliwych ludzi, niżeli wszyscy filozofowie razem wzięci całą wystawą swoich systematów«. Zbijając zdanie tych, którzy twierdzą, iż człowiek nie ma swobodnej woli z natury, autor uważa: »ci, którzy dowodzą, iż nie mamy wolnej woli, chcą zmienić nasze przyznanie, temsamem dowodzą, iż mamy możliwość zmienienia zdania, czyli wolną wolę«. Z licznych uwag o tem, że dusza ludzka nieśmiertelną być może i musi, przytoczymy kilka następnych, czysto racjonalnych: »znajomość prawd nie jest w pojedynczych ludziach, ale w ogóle ludzi; że zaś społeczność ludzka nie otrzymała prawd od ludzi, a jednak prawdy posiada, przeto nie kto inny udzielił jej znajomości tych prawd tylko Bóg«. »Żądza ludzka istnienia na zawsze i na zawsze w szczęściu, zapewne nie dla czego innego tak jest żywa i niepokonana, tylko dlatego, że przecie kiedyś zaspokojoną być może, ponieważ tak w naturze duchowej, jak materialnej, nigdzie niemasz ustawy niepotrzebnej, nigdzie niemasz prawa, któreby miało pozostać niewypełnionem«. »W człowieku duch myślący, czujący i wolno działający, chociaż ograniczony, jest duchem, jak Bóg jest duchem: czemużby więc nie mógł istnieć życiem odrębnem od organizmu ciała«. Autor czuł jednak przytem, i słusznie, iż dowody o nieginieniu duszy człowieka, z natury rzeczy wyprowadzone, chociaż mogą przemawiać loicznie, nie mogą jednak stanowić ostatecznej pewności, i że prawda ta racjonalnie w ten tylko sposób dowiedziona być może, jeżeli się racjonalnie sprawdzi: że 1) nauka chrześcijańska jest prawdą i 2) że nauka ta nieśmiertelność dusz ludzkich za pewnik podaje; stąd też powstała treść tomu drugiego. Wogóle więc traktat o duszy p. Łysińskiego bogatą

jest w żywotne szczegóły książką. Odrzucając dyalektykę i formalizm, a licząc same wypadki praktyczne, możebyśmy nawet w tej książce więcej rzeczywistego materiału do rozwikłania istoty duszy znaleźli, niż w psychologiach niemieckich i wszystkich nieskończonych w nich algebrach, przy wyliczaniu władz duszy. Brak jest tylko w treści tej książki: szyku, jedności a nadewszystko obrobienia umiejętnego, wady, które się stały skutkiem czy to nieupowszechnionych u nas wyobrażeń krytycznych, czy też pewnego egoizmu autora (egoizmu właściwego nieraz wielu autorom, którzy zatopieni i zakochani w swej pracy, za zbytczne mają zaglądać do obcych) i dlatego też o jej stronach ujemnych, szczegółowiej i jasno wyraziliśmy się.

»Pierworys systemu filozofii ze stanowiska chrześcijańskiego pojętej«, dziełko księdza Waleryana Serwatowskiego, o którym tu w końcu mamy wspomnieć, z celu i zasad podobne jest do poprzednich, lecz nie podziela bynajmniej ich wad. Pismo to więcej jeszcze wprowadzie, niż tamte, w szczegółach swych jest dogmatycznym, mimo to jednak jest zarazem i najwięcej, można rzec, racjonalnem. W autorze pisma znaczne są myśl i rozważa, które i z historią racjonalizmu wogóle, i swym przedmiotem w szczególności należnie są obeznane. Pióro autora tego Pierworysu, co do nas, znaliśmy tylko dotąd z protestu, który przed laty 10 zamieścił w jednym z pism czasowych (poznających), przeciw twierdzeniom B. T. w Pedagogice o pierwotnym upadku człowieka. Już w owym proteście było widać, lubo opierające się na podstawie prawd tradycyjnych chrześcijańskich, ale jednostkowie żywe pióro autora, a cecha ta jest też właśnie charakterem i obecnego wykładu. We wstępie czyni tu autor uwagę, iż mądrość u narodów w starożytności, według ich własnego wyznania, była tylko dociekaniem prawdy, a nie znaniem prawdy, a zaś w narodzie hebrajskim i z niego wyszłem chrześcijaństwie opierała się i opiera na samej prawdzie, i że stąd, z tego tylko, jako bezbłędnego stanowiska, system

etelnej filozofii kreślonym być może, i przystępuje do eślenia własnego. W skreśleniu tem autor przedmiotu tego dotyka nie tylko teoretycznie i nie tylko z odniesieniem do życia człowieka, ale też do życia spółludzi i czasów, czyli historycznie i przedstawia w ten sposób nie tylko erworys filozofii, lecz też historyozofii. Treść pierworysu itora, mówiąc najogólniej, stanowią: wykład racjonalno-urześcijański pojmwania Istoty bożej i jej trzech osób (rójcy); rys stworzenia, od duchów do istoty człowieka, zwiniecie się człowieka w społeczność i wykład stosunku atury i społeczności ludzkiej do Boga i owych trzech osób, od początku do czasów naszych i do mającego kiedyś nastąpić końca. Zasady i myśli, które pod racjonalnym zględem, głównie, według nas, charakteryzują ten przeeg, są tu w zbliżeniu następne: najpierwszem zrodzeniem ożem, a które samo przez się jest równie, jak i sam Bóg, zedwiecznem i z nim współistnem, była Myśl Boża (Logos), bez której też nic się dalej nie stało, cokolwiek się ało. Według naszych materyalnych wyrażeń, tę drugą osobę bożą zowiemy Synem, lecz jak jest wyższe ojcostwo dzkie nad rozradzanie się samo innych tworów ziemich, tak nader wyższe jeszcze być musi w swojej istocie wo Ojcostwo Boże. Jednym z skutków woli owej myśli (yna Bożego) było stworzyć istoty z wolą swobodną i stał człowiek: człowiek, to rozumowość, strona duchowa atury, wśród której stanął; a gdy swą wolę swobodną skierował ku złemu i upadł, upadła z nim i natura. Wolą szakże pierwotną Słowa (Logos) bożego było, aby z czasem naprawił się człowiek, odzyskał władzę swą nad naturą i naprawiła się natura. Dwojaki mógł być sposób tej aprawy: »lub przywrócenie zaraz pierwszego człowieka o utraconej bożej idei, albo pozostawienie ludzkości na rodze samowolnego doświadczenia, którą sobie sama brała, wraz ze wszystkimi skutkami poznania doświadczeniem własnem dobrego i złego, a wśród tego rozwoju dzkości działanie ciągłe na jej naprawę i udoskonalenie«.

Bóg wybrał i nazaczył tę drugą drogę, niewiasta jak posłużyła pierwszemu człowiekowi do upadku, tak przede wszystkim przez macierzyństwo swoje służy ludzkości do naprawy. »Celem rozmnażania się ludzkości jest umożliwienie naprawy jej«. »W sumieniu (ludzkiem) Bóg Logos widzi promień swej istoty i od tego też rozpoczyna naprawczą swą działalność na upadłe istoty«. Wpływ ciągły Syna Bożego staje się dla ludzi, stosownie do ich złej albo dobrej woli naprawczym lub potępiającym, tak właśnie, »jak powietrze niezbędne do życia działa zachowawczo a nawet lecząco na istoty ziemskie żywe; przeciwnie działa natychmiast niszcząco na te same istoty, skoro pozbawione są życia«. Dzieje ludzkie mogą więc nazwać się wogóle »Dziejami naprawy społeczeństwa«, i dają się w nich rozróżnić następne epoki. Epoka I-sza wstępna do Abrahama. Ludzkość na drodze samodzielnego myślenia zapomina o Bogu. Epoka II-ga przygotowawcza. Wybranemu z narodów Bóg objawił swe obietnice. Treścią wiary Izraelitów było: wiara w Boga i przyszłe udoskonalenie rodu ludzkiego. Domyślać się także można, iż Syn Boży wywierał także wpływ swój na sumienie wszystkich ludzi (jest to właśnie zgodnem z tem, co przytaczaliśmy wyżej o sumieniu, a czemu autor »Duszy« zaprzeczał). Cokolwiek więc mędrzy i prawodawcy u pogan wyrazili, było to wpływem Syna Bożego. Epoka III-cia, rozwinięcie dzieła naprawy, czyli obecna. Dzieło naprawy wymaga: 1) znieweczenia skutków grzechu pierworodnego, 2) udoskonalenia. To oboje spełnił Jezus Chrystus czyli Logos, przyjmując naturę ludzką, czyn zupełnego poddania się woli bożej w osobie człowieka zgładził czyn dumy człowieka, a »usunąwszy się przez wniebowstąpienie od widomej na plemię ludzkie działalności, zostawił dalsze onejże rozwinięcie trzeciej boskiej osobie: Duchowi świętemu«. Jednym z czynów na nowej drodze, czynów naśladowujących tego, który się ofiarował za ludzkość, ma być ofiara. Ofiara ludzka ma być nie tylko znoszenie koniecznych cierpień,

ale i ponoszenie samowolnych, czyli pokuta. Autor daje racjonalny wykład sakramentów i zwraca uwagę na stosunek człowieka śród tej czynności do reszty przyrody: »Jesteśmy częścią natury, jesteśmy rozumem wyrażeniem przyrody. Natura w nas i przez nas, rozumem żyje życiem. W nas więc i przez nas ofiarować się Bogu powinna. Ludzkość powinna składać Bogu nie tylko ofiarę człowieczeństwa, ale oraz ofiarę całej ziemskiej przyrody«. Adam sprzeniewierzywszy się Bogu i potomstwu swemu, przestał być arcykapłanem, przestał być pośrednikiem między Bogiem a ludzkością, przestał być ofiarnikiem przyrody. Jezus Chrystus przywrócił też władzę ducha ludzkiego i nad przyrodą (cuda Chrystusowe). Ród ludzki o ile więcej naprawia się i udoskonala przez religię Chrystusa, o tyle też stopniowo odzyskuje władztwo nad przyrodą: dowodem tego są (uważa autor) tak znakomite wynalazki (druk, telegrafy, koleje żelazne i t. p.), którymi chrześcijańskie ludy przed innymi odznaczają się narodami. Wszakże dopiero zupełne naprawienie się rodu ludzkiego uczyni, iż natura zupełnie ulegnie udoskonalonej i uświętobliwionej człowieczeństwa woli. »Dzieło bowiem naprawy plemienia ludzkiego, w Chrystusie poczęte, ród ludzki ma sobie przyswoić, do udoskonalenia i postępu swojego wszechstronnie zastosować i podług tegoż stopniowo się przez pokolenia i pokolenia rozwijając i naprawiając, dojść nakoniec do celu przez Chrystusa wytkniętego, a będzie to epoka IV-ta ludzkości, epoka uzupełnienia naprawy, czyli ostateczna. Jak naprzód ludzkość upadła duchowo, a wskutek upadku duchowego nastąpił upadek cielesny, czyli wszelkie nieszczęścia i śmierć, tak teraz naprzód musi się w Chrystusie naprawić duchowo, a wskutek naprawy duchowej nastąpi i odrodzenie cielesne, czyli powszechne zmartwychwstanie. W drugim bowiem przyjsciu Pana, czyli w uzupełnieniu dzieła naprawy rodu ludzkiego nastąpi zupełne zjednoczenie dobrych z Chrystusem i skończą się dzieje naprawienia ludzkości.

Może niezupełnie w tym samym szyku, ale po większej części prawie własnymi słowami autora, powtórzyliśmy rysy te główne z części stosowanej jego systemu. Systemowi temu ks. Serwatowskiego, jeżelibyśmy co zarzucić mogli, to chyba nieokreślenie bliższe ram całości. We wstępie nadmienił autor, iż filozofia dzieli się na teoretyczną, czyli rozumowaną, i praktyczną, czyli obyczajową, i że »naprzód teoretyczną będzie rozwijać«; książka jednak kończy się tylko na teoretycznej bez objaśnienia, czyli? i co? będzie obejmować kiedy praktyczna? Objaśnienie to jednak było tem potrzebniejsze, iż napis książki zapowiedział pierworys filozofii wogóle, i że to, co autor nazwał częścią teoretyczną, jako obejmujące właśnie wykład sakramentów i dziejów, było już raczej właśnie sferą najwięcej praktyczną, nie oderwaną. W wykładzie mogliśmy także zarzucić tę nieloiczność, iż w rozwinięciu epok, autor pierwiej określa epokę chrześcijańską i ostateczną (roz. III), a następnie dopiero mówi o epoce poprzedniej, czyli zawiązującej chrześcijaństwo. Ramy te nie zmieniają jednak naturalnie wartości przedmiotu w sobie. — Rozumowania o Logos przypomniały nam filozofię Objawienia Schellinga, wykład epok naprawy rodu ludzkiego — odpowiedzi księdza Chołoniewskiego; wogóle jednak ks. Serwatowski wszędzie z gruntu jest własnym w swoim zarysie.

Zwrócimy tu z okoliczności uwagę, iż lubo pismo to, jak uważaliśmy, więcej od poprzednich jest dogmatycznym, jest pisane piórem osoby duchownej (autor, ile wiemy, był nawet, lub może i jest, profesorem teologii), mimo to jednak, a raczej i dlatego właśnie nie mieści tych napaści na żadne z tych terminów i wyobrażeń, na które nastawały poprzednie pisma, a które broniliśmy. W piśmie księdza Serwatowskiego nie znajdujemy bynajmniej ścigania np. wyrazów i wyobrażeń: idee wrodzone, filozofia, swoboda, duch czasu, postęp, mądrość pogańska i t p. Od bliższego rozjaśnienia wyrazów zawisła niekiedy sama zgoda w różnych kierunkach. Kiedy przed laty dziesięciu

czy więcej czyniąc w piśmie tem (z okoliczności dziejów oświaty Słowian¹) krótki pogląd na przebieżenie wogóle dziejów ze stanowiska również chrześcijańskiego, mieliśmy użyć tego wyrazu: postęp. Wyznajemy, iż zrazu rozmyślaliśmy sami, czyli wyraz ten, podawany wokoło za pomysł pychy i którego nie spotkaliśmy w żadnym pisarzu jawnie chrześcijańskim, był rzeczywiście chrześcijańskim i dlatego zapisawszy pytanie, tłumaczyliśmy się wskazując, że wszakże fakt ten najjawniejszym jest właśnie w rozwinięciu religijnem ludzkości, od początku do dni dzisiejszych i z prorocstwem na przyszłość. Jakoż odtąd użycie tego wyrazu w literaturze naszej i duchownie uprawnione zostało; na pytanie powyższe odpowiedział mianowicie obszerniejszym religijnym traktatem ksiądz Chołoniewski w piśmie swem »Odpowiedzi«, a za nim też poszedł właśnie, jak powiadamy, ks. Serwatowski. Jedną z zalet, a przynajmniej wielkich korzyści dziełka ks. Serwatowskiego jest, iż uprzedziwszy zgóry o swej zasadzie w napisie, odkłada na bok polemikę i odrazu wychodzi z zasad twierdzących. Wychodzenie w rozumowaniach i dociekaniach z prawd twierdzących raz już zdobytych, to właśnie istotna poręka postępu badań. Filozofii protestancko-chrześcijańskiej należy się bezwątpienia wdzięczność, iż po przejściu różnych kolei, w drodze czystej rozważi, przekonała się i stwierdziła, iż nauka chrześcijańska jest prawdą. Wszakże i to jest jasne: iż czas, który obróciła w ten sposób na dowodzenie i dojście, iż taka, nie inna droga najlepszą jest dla obrania jej za zasadę, byłby daleko lepiej użytym i o wiele bliżej postawiłby nas dotąd u celu, gdyby go zaczęła od wyjścia z samego wniosku.

1855.

¹ [W »Bibliotece Warszawskiej«, 1841].

X.

DZIEJE POLSKIE WEWNĘTRZNE.

Dzieje zewnętrzne krajów długo jeszcze zapewne uważanemi będą za większej wagi, niż ich dzieje wewnętrzne. Im dobitniej jednak poznajemy łączność i wpływ wzajemny jednych na drugie; im więcej uczymy się cenić wartość duchową, tem więcej gromadzimy szczegółów, śladów dziejów wewnętrznych, i tem większy stopień zajęcia budzi w nas rozpatrywanie się w nich. Zajęcie to, mówiąc nie egotycznie, lecz historycznie, w szczególny właśnie sposób musi obudzać społeczność nasza. Kraj nasz był to kraj, który sływał bezrządem, bezrządem zginął; który się nie odznaczał żadnym ze znanych środków fizycznej potęgi, granic swych nie rozszerzał ani siłą zaborów, ani przez politykę rządców, sukcesye dynastyj, i który jednak zabłysnął był wysokim i trwałym blaskiem w historyczności. Zawarty (z swem dzisiejszem imieniem) w szczupłej zrazu społeczności pierwotnej (między Odrą i Wisłą), przez kilka wieków z rzędu wzrastał w obszerność, wcielał w siebie całe pokolenia i kraje już rozwiniętych nawet i fizycznie silniejszych od siebie historyczności, łączył je jednym duchem i mową, i za wieków swego kwitnienia (XV, XVI i XVII) ze wszystkich krajów *europejskich* stał się najob-

szerniejszych granic krainą (Polska obejmowała więcej niż 13000 mil kwadratowych; Francya ówczesna, to jest bez Alzacyi i Lotaryngii, 9180; Anglia razem ze Szkocyą 4214; Włochy wogóle nawet z Sycylią i Sardynią 5850; Hiszpania z wyspami Balearskimi 8847; Niemcy w ogóle swych elektorstw 11600; Turcya europejska 9335). Nie mamy tu wcale w tym razie zamiaru wyszukiwać i oznaczać powody takiego faktu; mówimy tylko, iż zgromadzenie i rozpatrywanie się w dziejach wewnętrznych kraju, który wydał ten fakt, zawsze zajmującym być musi. Nic więc dziwnego, iż od lat wielu zbieranie i zajmowanie się szczegółami dziejów wewnętrznych polskich stanowi u nas jedną z najobfitszych gałęzi krajowej literatury. Samo wyliczenie tych dzieł złożyłoby artykuł oddzielny; tą razą wspominamy o kilku z ostatnio zjawionych, różnych gałęzi dziejów wewnętrznych dotyczących.

Opis zwyczajów i obyczajów za panowania Augusta III przez księdza Jędrzeja Kitowicza (1855, tomów 4) otrzymujemy w wydaniu nowem. Pismo to autora, zmarłego w r. 1804, poznaliśmy dopiero z druku przed kilkunastu laty. Jest to opis, który przedstawia nader szczegółowie wewnętrzny stan Polski w połowie zeszłego wieku. Duchowieństwo, wojskowość, szlachta, obrady sejmowe, sądownictwo, gry, uczyty, zabawy, ubiory, jedzenia, napoje; wszelkie słowem szczegóły bytu publicznego i domowego różnych klas kraju przedstawione tu są kolejno. Opis ten pozostawiony nam jest przez świadka naocznego i bezstronnego. W ciągu pisma nie widzimy bynajmniej, iżby autor był szczególnym admiratorem kraju swojego; nie widzimy też wcale, iżby był jego nieprzyjacielem. Że układania tego pisma nie był żaden cel osobisty, dowodem jest i to, iż autor nie ogłaszał go drukiem za życia; bodźcem do pozostawienia tego opisu była tylko wyraźnie jakaś, rzecz można, konieczność wewnętrzna, nagląca do zapisania i zachowania szczegółów, które wkrótce zakończyć się i z gruntu przemienić się miały. Co do ogólnego wrażenia tego obrazu,

to, jak idzie z samej natury rzeczy, nie może być nader miłe: jest to widok stanu owego kraju, o którego historycznym losie dopiero wspomnieliśmy, lecz który właśnie był w chwili zakończenia owej swej epoki; widok zatem, który nie tyle może być przedmiotem admiracji, jak raczej lekcji. W kraju tym była jeszcze zapewne pewna szczęśliwość wewnętrzna. Pisarz berliński Ranke w 2-im tomie głośniejszej swej »Historji papieży« uczyniwszy uwagę, iż w wiekach XVI i XVII w miejsce nieograniczonej władzy czyli swobody jednostek (królów), swobodę tę zyskiwały po krajach liczniejsze jednostki (panowie i szlachta), i wskazując na różne jej stopnie po różnych krajach, dodaje: »w Polsce wreszcie pozyskali zupełną«. Fakt ten ostatni wczesniejszym był wprawdzie niż wiek XVI (i był właśnie jednym z powodów owej historyczności kraju), był jednak istotnie jeszcze w całej swej sile i w wieku XVIII. Każdy szlachcic nie znał tu innej woli nad własną; każdy mógł oprzeć się wydaniu nowej ustawy. Za Augusta III był przytem pokój ciągły; liczba wojska w ogromnym kraju nie wynosiła więcej jak 18000 (12000 w Koronie, 6000 w Litwie); był to, rzec można, ideał wielu nam społecznych teoryj: zamożność szczególnych mieszkańców, na którą każdy z podróżopisarzy ówczesnych zwracał uwagę, wiodła nawet zwykle do zbytków większych niż dzisiaj. Książd Kitowicz nieraz o nich wzmiankuje. »Panowie — mówi np. — jeździli po świecie nie inaczej jak sześcioma końmi; był jakiś wstyd i porównanie do mieszczanina jeździć parą końmi« (IV, 35). »Liczba służby przy powozach dochodziła niekiedy 12 lokajów, 6 hajduków i 4 pajuków. Biskup Sołtyk pierwszego roku biskupstwa prezentował się o dwudziestu czterech lokajach, dwunastu hajdukach, czterech pajukach!« Przepych był w strojach wojskowych i w strojach cywilnych; za same rękawki i piersi od koszuli — mówi autor — płacono po 50 dukatów; na karty stawiano naraz po kilka i kilkanaście tysięcy czerwonych złotych. Wszakże ta pewna szczęśliwość była już nie tyle

szczęśliwością kraju, jak raczej pewnych jednostek; owa zupełna swoboda była tylko swobodą wyłącznie szlachty, a nie miały w niej prawie udziału klasa wiejska i miejska. Na 14 milionów mieszkańców w ówczesnej Polsce (według obrachowania Guthry) 500000 tylko było uprzywilejowanych. Kraj nasz prócz pewnej misji świetnej, miał i tę smutną, by wskazać, iż owe wewnętrzne cechy i przywileje, do których dążył, nie były jeszcze zgodnymi z wewnętrzną naturą wieków, podstawą ich mogła być tylko miłość, a miejsce jej w naszych przodkach zajął był wkrótce egoizm. Egoizm ten kazał szlachcie poniżyć inne klasy krajowe; egoizm ten w rozwinięciu kazał też jej w końcu zapomnieć na jej własne dobro ogólne, na zajmowanie się niem. Książd Kitowicz w rozdziale o ucztach i trunkach w najprzychylniejszem zdaniu o swym przedmiocie, zapisał tu właśnie takie świadectwo: »dobre czasy, pokój ciągły, obfitość wszystkiego, całą myśl obywatela rozrywkami i uciechami zajmowały, ile gdy zrywane (dodaje) raz wraz sejmy nikogo nie wabiły do zatrudniania się około dobra publicznego« (III, 143). Rozwicie tego stanu rzeczy, to jest skutków tej ujemności w naturze kraju, zakończyło się, jak wiadomo, w końcu owocem, którego nazwiskiem było: upadek kraju; a czas rozwicia przypada właśnie głównie na czas opisu, o którym mówimy. Swobody, skutki ich dobre z dawnych czasów idące, ich nadużycia jest to cecha ogólna, która charakteryzuje wszystkie szczegóły tych opisów. Rozdział, określający szczegóły obrad sejmowych, jest jednym z tych, który najwięcej zajmuje; dodajmy jednak, iż mimo mniej powabne swe szczegóły nie jest stwierdzeniem zdania o wiecznej kłótności i niezgodności szlachty ówczesnej. Autor określa tu, jak z 30 sejmów za panowania Augusta III każdy pomimo dojścia niekiedy do ostatniego dnia uchwał, zerwanym był w końcu przez »nie pozwalam«; szczegół ten nie jest zapewne wcale na pochwałę administracji krajowej; nie jest to jednak wcale dowód niezgód i burzliwości, skoro reprezentacya, zebrana

z najrozmaitszych prowincyj kraju, obraduje z całą swobodą pośród rozlicznych partyj, przy wyrzeczeniu stanowczem znajdowała tylko w opozycji głos *jeden*.

Opis księdza Kitowicza, dodajemy w końcu, pisany jest wszędzie czysto, jasno i z pewnem życiem, to jest dodawaniem dla lepszego odkreślenia przedmiotu i niejakich społecznych anegdot, czyli, jak nazywa autor, małych zdarzeń. Mieści on co do wewnętrznego widoku kraju i epoki nie jeden, lecz mnóstwo szczegółów, którychbyśmy napróżno szukali w innych społecznych statystykach i historyach krajowych; jest to słowem materyał i kosztowny materyał dziejowy.

Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku przez Juliana Bartoszewicza jest pismem autora, którego znajomość i zasługi w badaniu dziejów wewnętrznych krajowych nader dobrze są znane czytelnikom i jest pismem, które właśnie było początkiem tych zasług. Zasługi p. Bartoszewicza w badaniu dziejów wewnętrznych krajowych są liczne; lecz najgłówniejszą czyli raczej głównie charakterystyczną jest badanie szczegółów życia jednostek krajowych czyli biografie. Każdy szczegół, fakt historyczny, zdaje się nam, iż dla myśli autora nie tyle jest ważny w sobie w odniesieniu do dziejów, jak raczej w odniesieniu do życia takiej lub innej jednostki. Zbiór takich szczegółów, faktów powtórzył pod piórem autora szereg wizerunków krajowych.

Każdy wizerunek p. Bartoszewicza nie tylko jest ściśle życiorysowy czyli powieściowy, lecz też psychologiczny i historyczny, to jest kreśli nam w nim autor nie tylko zawód osoby, ale też jej charakter, zadanie, stosunek jej zasług do tej gałęzi dziejów wewnętrznych, do jakiej te się odnoszą, do ogółu dziejów; stosunek jej wreszcie do całej swojej rodziny, do innych rodzin itp. Ten też właśnie jest ogólny charakter i »Znakomitych mężów«. Jest to zbiór wizerunków kilku znakomitszych ludzi w wieku zeszłym w Polsce żyjących, i obejmuje jednostki różnych zawodów. Umieszczeni tu mianowicie: biskup Naruszewicz, Feliks Łojko, Ożarowski, książę de Nassau i ksiądz Łuskina.

Sąsiedztwo pióra w tem piśmie¹ nie mogło nam wzbronić, iżbyśmy nie wspomnieli o ogólnej zasłudze autora; sąsiedztwo to nie będzie też nam równie przeszkodą do wyrażenia zdania o tem, co by nam pod piórem autora do życiorysów zwróconem, sprostowaniem życzyło się widzieć, co się nam widzi ujemnem. Ostrzegamy jednak, iż nie mamy tu mówić o takich lub innych faktach życiorysowych; tych bowiem sprostowanie lub pomnożenie, w miarę odkrywania się źródeł, być może bez granic; ale mamy tu mówić tylko o wizerunkach, jako o wizerunkach, czyli o sposobie ich wykonania z faktów zebranych.

To, co nam widzi się zwykle brakiem w wizerunkach p. Bartoszewicza, jest to nieukształcenie jednego stałego obrazu z częściowych rysów; stosowanie przeciwnie uwag oddzielnych do świadectw częściowych, skąd nieraz sprzeczność; inną zaś razą kształcenie rysów dziejowych osób nie ze źródeł dziejowych, lecz z własnych pomysłów, i wreszcie w towarzyszących obrazom zdaniach szczególnych, nie wyższe rozjaśnianie przeszłości lub psychologii, lecz uwagi i wnioski, nie dochodzące stopnia zasługi autora pod innym względem, i nieraz jakby okazujące tylko pochopność do pomiatania przeszłości krajowej. Uwagi te wyjaśniamy kilkoma przykładami, i weźmiemy je głównie z najobszerniejszej i najinteresowniej dotąd wypracowanej biografii przez autora, a z początku pierwszej, biskupa Naruszewicza.

Głównem źródłem i zapewne powodem skreślenia tej biografii biskupa Naruszewicza były wynalezione i w znacznej części ogłoszone przed kilką laty liczne korespondencye tego autora, jego dyaryusz podróży kaniowskiej itp., co połączone z jego znanymi dawniej pismami, aktami urzędowymi, pewną jeszcze tradycją, dozwoliło autorowi skreślić dosyć pełny i zajmujący obraz tej znakomitej fi-

¹ [tj. »Bibl. Warszawskiej«, gdzie ten artykuł był pierwotnie wydrukowany, a gdzie i Julian Bartoszewicz pomieszczał swe prace.]

gury, obraz, w którym nam pokolei przedstawia jej dzieciństwo, dalej pierwszy zawód duchowny, zawód poetyczny, zawód jako historyka, wreszcie biskupa, senatora i chwile ostatnie.

Co do nas, zdaje się nam, iż ze zbliżenia i porównania szczegółów życia Adama Naruszewicza ten głównie co do charakterystyki jego wypadu wniosek, iż mąż ten, jakkolwiek z zawodu duchowny i znakomity pisarz, był jednak mówiąc psychologicznie, przedewszystkiem światowym człowiekiem. W jednym z listów swych, którymi się dobijał o jakąś godność światową, Naruszewicz pisał: »nędzny to cel sława nieśmiertelna po śmierci« (w biografii str. 66). Istotnie widzimy, iż Naruszewicz był nie tylko duchownym, autorem, ale też dygnitarzem krajowym, a jak powiada przysłowie: »pieczone gołąbki nie wlecą do gąbki«; Naruszewicz miał talent w wierszu i prozie, naukę, umiał pracować, a darów tych użył, to jest używał głównie do owego upieczenia gołąbka, czyli do dygnitarstwa. Pomimo iż był duchownym, zawód swój rozpoczął Naruszewicz od poezyi głównie światowej, *sielanki, satyry, bajki*, gdyż drogą tą mógł najprędzej spólcześnie zjednać głośność. Znajomości z księciem Adamem, znajomości tej użył do przedstawienia się na salony królewskie. Sama znajomość z królem nie było to jednak jeszcze dygnitarstwo; król sądził zapewne, iż uczynił dla literata dosyć, jeśli go zaprosił na obiad, mógł był wreszcie orderem obdarzyć, lecz Naruszewicz chciał w swym zawodzie *posuwać się*, a wiedział, iż aby posuwać się, trzeba działać i przypominać się, narażać się, a mianowicie nie zrażać się. Naruszewicz był też niezłomnym z tej strony; cały prawie zbiór jego korespondencji jest to obraz jego nieustannych starań o posuwanie się. Autor obmyślał środki, wyszukiwał wakansów, usuwał współzawodników i co chwila prawie kołatał, pisał do króla, umiejąc zręcznie wynajdywać różność powodów, użalać się, wskazywać na swoją wartość i zarazem przemawiać do majestatu. Przytaczamy tu kilka urywków z tych listów

z czasu, kiedy Naruszewicz zajął się był już z polecenia króla układaniem historyi narodu: »Teraz zdaje mi się, żem żak i mówić nie umiem, potem podsycony łaską pańską *loquar in conspectu regum et non confundar*; gdy mnie jeszcze ta nadzieja ominie, podobno zapłakawszy z Dawidem: *vacuum est confidere in principibus*, trzeba będzie pojechać na wieś i zamiast Liwiusza czytać Warrona *de re rustica*«. »Nie jest to fraszka dla mnie, miłościwy Panie, utracić blizką nadzieję, a tymczasem gnąć i ślepić nad tymi szpargałami. Potrafiłbym i ja jeździć karyolką, grać w karty, jeść i pić smaczno, liczyć pieniądze, a potem bez pracy wyższe infuły łapać«. »Ja nie proszę o pieczęć (po Młodziejowskim), bo choć mam serce, ale trzeba *lepszej głowy*« (Naruszewicz czynił tu sobie zręcznie, z tego tylko zarzut, co wyraźnie było fałszywem); dla usunięcia współrywała Sołtyka ten tylko podawał pretekst, iż pochodził z Rusi. »Czemby tego pretendenta ugłaskać można, nie mojej to głowy rada. Mógłby jednak jako Roxolanus poaspirować do Smoleńska albo do Chełma, a nam starym sługom drogi nie zagradzał«. Otrzymałszy pierwszy stopień wyższej godności, pisaryą Wielkiego Księstwa Litewskiego, w samem podziękowaniu umiał zręcznie polecać się i dalszym względem: »byłem dotąd — wyraża — pisarzem Waszej Królewskiej Mości, wszystkie pisma moje były dla króla, za królem, z woli króla; odbierasz mi Wasza Królewska Mość najśłodszy mój honor, ale ja protestuję się, że prócz tytułu litewskiego byłem zawsze pisarzem Stanisława Augusta«.

Takim był główny rys charakteru Adama Naruszewicza jako człowieka; lecz autor w skreśleniu jego, lub, jak rzekliśmy, stawi rysy z domysłu, lub do każdego przytoczonego świadectwa dodaje oddzielny wniosek. Opisując młodość swego bohatera, czas jego szkolny, autor mówi między innemi: »młodzieniec słuchał z zajęciem swoich nauczycieli i uczył jakies *drżenie w sercu, przeczucie dziwne* (?), bo dusza jego gwałtem się rwała w świat nowy, w świat

nauk i przyszłej sławy, a zdawało się biednemu dziecku, że litylko jezuita posiadają tajemnicę, jakimby sposobem spełnić można jego nadzieje i marzenia«. Marzenia i młodość ludzi, później oddanych naukom, nader różne bywają, nieraz bez *drżeń*, bez *przeczuć*, nawet bez zdolności do nauk; ciekawi naturalnie byłibyśmy, jaką była psychologiczna młodość Naruszewicza? Co skłoniło go, iż wszedł do zakonu jezuitów? czy z powołania? potrzeby? albo dla innych celów? Autor twierdzi stanowczo, iż tym powodem było to przekonanie, iż tylko zakon jezuitów nie dawał godności duchownych. Te szczegółowe rysy, które tu autor wyraził, mogłyby się tylko znajdować w pamiętnikach Naruszewicza lub jego listach szkolnych, lecz tych nie znamy; kreślenia rysów z domysłu mogą mieć tylko miejsce w powieści historycznej, nie w biografii. W całym dalszym ciągu żywota Naruszewicza autor nie widzi w nim nigdzie człowieka zajętego światem, myślącego o dygnitarstwie; wyszukiwane przezeń powody do posuwania się bierze wszędzie, że tak powiemy, za dobrą monetę, i zbyt proste do każdego przytoczenia dodaje wnioski. Przytoczywszy np. wyjątek z listu Naruszewicza, którym ten, prosząc o awans, kładzie ten najpowszechniejszy w podobnych razach powód, iż ma liczną rodzinę do wyżywienia, autor podaje: »te wyrazy określają coraz piękniej szlachetny charakter i czułe serce Naruszewicza«. Przytoczywszy znowu te słowa innego listu: »żebym nie był tak leniwy i nieczuły na siebie, jak o mnie mówią, przypominam się łasce Waszej Królewskiej Mości«, autor zamiast zwrócenia uwagi na zbyt wyszukany powód do łaski, rozbiera naseryo, dlaczego Naruszewicz mógł być uważanym za nieczułego (str. 73). Przytaczając znowu wyjątek z listu, w którym polecał *usługom* królewskim brata swego i upraszał dla niego o biskupstwo unicko-łuckie, autor dodaje: »widać z tego, jaką wdzięcznością(?) był dla króla przejęty«.

To dopisywanie wniosków do zdań pojedynczych bez poprzedniego zdania sobie sprawy z ogółu, musi kształcić

szereg *sprzeczności*, które wogóle są jedną z najpowszechniej zarzucanych wad pióra autora; sprzeczności te spotykają się muszą co chwila i w rysach i w zdaniach szczególnych. Autor np. w tych życiorysach, o których mówimy, tyle razy narzeka na nasze lenistwo w gromadzeniu materiałów historycznych i tyle razy powtarza, iż mamy już ich aż nadto i tylko brak historyka, że czytelnik zgadnąć nie może, który zarzut jest słuszny. Mówiąc o charakterze księcia de Nassau, autor powtarza pokilkakroć, iż książę ten nie mógł się przywiązać do kraju, w którym przyjął indygenat, i wnet w dalszym ciągu wyraża: »doprawdy książę de Nassau przywiązał się był szczerze do Polski«. W artykule o Łojce i jego pracach autor wyraża następane zdanie: »Czacki poprawiał obrachunki Łojki, bo ten źle zredukował grzywnę Jana Ostroroga; musiał jednak Czacki wiele z prac Łojki korzystać (czemu?), bo dotąd odwołujemy się do tablic Czackiego« (inaczej: Czackiego praca nie jest własna, ale z Łojki wzięta; czemu? bo dobra, bo Łojko nie umiał obrachować grzywny Ostroroga). W zakończeniu tegoż artykułu o Łojce autor mówi: »prawdę powiedziawszy, sami sobie winni jesteśmy, że tak mało znamy literaturę ojczystą«; a w rozwinięciu tego twierdzenia czytamy, że Janocki zostawił nam porządną wiadomość o Bibliotece Załuskich, że dalej przeszkodą były wypadki krajowe, a dzisiaj brak źródeł pod ręką; wniosek więc oczywiście jest, że niekoniecznie sami sobie winniśmy.

O sprzecznościach tych wspominamy tu mianowicie dlatego, iż, jak rzekliśmy, spotykają się nieraz w wizerunkach i rozumowaniach autora, że jednak winą tu jest nie brak loiki, ale prosty pośpiech, dowodem tego są nieraz zbyt jawne sprzeczności, jak np. następną, która się spotyka przy końcu biografii Naruszewicza. Po przytoczeniu zajmujących szczegółów z dyariusza Naruszewicza i zjazdu monarchów w Kaniowie, autor dodaje: »resztę dni swoich Naruszewicz przepędził w *osamotnieniu*, już nie żył, nie pracował, a *wegetował* tylko«. Autor jednak określa na-

stępnie, jak jego bohater otrzymał wreszcie całe życie ścigane biskupstwo łuckie, krzesło w senacie, nader czynny jego udział w sejmie czteroletnim, czynne kierowanie w tym czasie opinią publiczną wierszem i prozą, i zapisuje uwagę, iż w mowie powiedzianej przy zakładaniu kościoła Opatrzności »na cześć szczęśliwie dokonanej pracy sejmowej, zrównał Woroniczowi i Skardze«. Nie rozumiemy, jak bohaterem tego wszystkiego mógł być człowiek, który zostawał w *osamotnieniu, nie żył i nie pracował*. Zdanie to miał oczywiście autor umieścić o dwie czy trzy karty niżej. Dodajemy tu wreszcie uwagę, iż czyli to tenże pośpiech, czyli, co prędzej, owo zatapianie się w zdaniach pojedynczych, z zapomnieniem na inne otaczające, na ogół, jest też powodem, iż przy podniesieniu tych zdań do stopnia ogólników, autor zamiast odcieniania obrazu psychologicznie lub historycznie, kładzie tylko zwykłe postrzeżenia i ogólniki, które wymierzone są zapewne na efekt, wistocie zaś pokrzywdzają tylko zwykłe, i zwykłe niestuszenie, jak już uważaliśmy, przeszłość krajową. Tak np. w zaczęciu biografii Naruszewicza, autor mówi między innymi: »ale jak to w *dawnej Polsce było nie nowiną*, podupadł i ród Naruszewiczów« (czy dziś albo w jakim innym kraju jest to nowiną?) W artykule: ksiądz Łuski, wspomniawszy o wyjednaniu przezeń u króla przywileju na wydawanie gazety, autor dodaje: »dawniej był monopol na wszystko« (Polska owszem mniej niż jakikolwiek kraj inny była krajem monopolów). W tymże artykule autor dołącza ironię i połącznie obszerne dziennikarstwa polskiego przy końcu wieku zeszłego, porównywając je z powszechnem dzisiejszem; zwracamy wszakże uwagę, iż ten stan dziennikarstwa, jakiego autor wymagał, jest zjawiskiem w historii zupełnie nowem i datuje dopiero, rzecz można, od lat trzydziestu! Dostyc wspomnieć naprędce, iż w samej prasie Wielkiej Brytanii zakaz rozbierania przez dziennikarzy obrad parlamentarnych urzędownie nie jest jeszcze zniesionym.

Przytoczyliśmy tu kilka postrzeżeń o stronie ujemnej

kreśleń wizerunkowych przez p. Bartoszewicza; ujemności te są jednak zbyt małe w miarę tych zalet, jakie ma, jakie do literatury krajowej wniosło pióro autora; uwag powyższych nie wyrażalibyśmy nawet, gdyby się nie stosowały do pisarza, którego pisma skądinąd tak zajmujące są i tak czytowane. P. Bartoszewicz jest dziś u nas jednym z najdokładniejszych znawców szczegółów naszej historii wewnętrznej, i »Biblioteka« za zaletę ma sobie, ilekroć pozyskuje zdanie tego autora o pismach tego przedmiotu. Nie wiemy wcale powodów, dla jakich dalsza publikacja zbioru, o którym mówimy, została wstrzymaną¹; wizerunki wszakże, umieszczane przez tegoż autora w feljetonach gazet, i pisma, wydane przezeń oddzielnie: »Panowie niemieccy na dworze Augustów« i »Królewicze biskupi« są to i w rodzaju swym nowe i nader rozjaśniające przeszłość krajową monografie. Na temże polu, to jest na polu biografii polskiej pokazało się w tym czasie w naszej literaturze kilka znakomitych prawdziwie publikacyj. Dzeduszycki [Maurycy] przy kreśleniu swych bohaterów kreśli też historyozoficznie epoki, »których są wyrażeniem«. Szajnocha (mianowicie w »Jagielle i Jadwidze«) obok poglądu również historyozoficznego, każdy nadto fakt wzmiankowany, każdą uwagę, szczegół popiera wskazówką źródła; tę ostatnią zaletę ma też i »Paweł z Przemankowa« A. Przeździeckiego. Pan Julian Bartoszewicz nie ma w swych biografjach tej historycznej ścisłości, ani owych poglądów na epokę, ale ma, rzecz można, więcej miłości ściśle biografijnej; za bohaterów obrazów swych autor nie obiera wyłącznie figur okresowych i znakomitszych, lecz każdą, o której kilka szczegółów w źródłach historycznych da się wynaleźć. W szczegółach tych, obok względu historycznego, autor zwraca też uwagę, jak powiedzieliśmy, na rodzinę określanej osoby, jej przodków, następców, stosunki do in-

¹ [Nie została wstrzymana; owszem ukazały się jeszcze dwa tomy »Znakomitych mężów XVIII wieku].

nych rodzin i jest, rzec można, jakby Niesieckim i Okólskim. W poczeku spółzawodników swych celuje p. Bartoszewicz najprzód: wskazaniem drogi (biografia Naruszewicza jest pierwszą co do czasu śród wszystkich powyższych) i powtóre: ilością zebranych biografijnych szczegółów o indywidualach.

Cmentarz Powązkowski, wydawany przez pana K. W. Wójcickiego, jest to zbiór życiorysów osób, leżących na cmentarzu Powązkowskim (zbiór, którego otrzymaliśmy już poszytów 5), a służy do objaśnienia i przechowania najbliższej naszej przeszłości. Cmentarz Powązkowski, jak to objaśnia zajmująca przedmowa wydanie to otwierająca, po długich protestacyach mieszkańców miasta przeciw zakładaniu cmentarza za miastem, nie przy kościołach, otworzonym został dopiero w r. 1797; umieszczone tu życiorysy sięgać więc tylko mogą i sięgają czasów drugiej połowy zeszłego i pierwszej bieżącego stulecia. Publikacja ta równie jest bogaczącą źródła do dziejów krajowych wewnętrznych, jak zajmująca. Jest to, rzec można, zamienianie miasta zmarłego i leżącego w prochu na miasto żywe; jest to, ile się da uchwycić, wskrzeszanie świeżo zgasłego życia wewnętrznego tego miasta. Historyk nasz Długosz, pisząc przed laty 400 w Krakowie historię Królestwa Polskiego, wyraził w przedmowie, iż nie spieszy się z rozpowszechnieniem swego pisma, bo nigdzie tyle zawiści nie ściga piszących, jak u nas w Polsce. Nie wiemy, jak jest dzisiaj w Krakowie (listy albo wyjątki z listów, wspomnijmy tu nawiasem, któreśmy od lat kilku i kilkunastu czytawali pisane z Krakowa lub Lwowa, a które są zwykle wylewem żółci na wszystkich piszących spółmieszkańców swojego miasta, dowodzić się zdają, iż nic się tam pod tym względem nie odmieniło od czasów Długosza), ale to pewna, że i cienia tego zarzutu nie mógłby ściągnąć na siebie wydawca Cmentarza Powązkowskiego. Jedną z cech i jednym z powodów wszystkich pism pana Wójcickiego jest miłość spółpiszących w swym kraju i (jeżeli jakie

mają) zalet ich. Każde ocenienie lub wzmianka przez autora o danym pisarzu lub jego piśmie towarzyszone jest zwykle przytaczaniem żywca wyjątków i lepszych miejsc z tego pisma; każde odkrycie jakiej zalety wiedzie autora nie do ukrycia lub zmniejszenia, lecz owszem do jak najprędszego udzielenia, przekazania jej publiczności. Tę przychylność stosuje autor nie tylko do dawniejszych od siebie zasług i wiekiem, lecz i do młodszych, najmłodszych, do nieprzyjaznych nawet własnej zasłudze. Uwagę tę nastreczył nam zaraz pierwszy poszyt Cmentarza Powązkowskiego; zasługa czy to żyjąca, czy zmarła, spokojną być oczywiście może o siebie przy takim wydawcy. Publikacja ta Cmentarza Powązkowskiego jest, można rzec, dalszym ciągiem wydawanych przez autora »Życiorysów«¹; różnicą jest, iż przedmiot opisów ogranicza się tu do jednej miejscowości, i że z drugiej strony, obszerniejszym jest, rozciągając się i do osób mniej głośnych. Rozmaitość jest tu równie cechą wyboru jak w »Życiorysach«. Artyści, urzędnicy, wojskowi, uczeni, osoby różnego wieku, płci, stopnia zasługi, lecz których tylko pamięć już z tych, już z innych powodów przechowaną została, znajdują tu wspomnienie o sobie.

Autor, że tak powiemy, gwałtownie przedziera się w tę świeżo zgasłą przeszłość, i tysiące co do zdarzeń, wypadków, historii osób pojedynczych i rodzin w mieście żyjących szczegółów przechowuje. Życiorys każdy pisany jest jasno, zwięźle i prosto, ile być mogło krótko, z dobitnem wszakże przedstawieniem zasług lub charakterystyki zmarłego. Jednym z oddziałów najwięcej zajmujących są często tu spotykane biografie, jakkolwiek niedawno zeszytych, lecz z imienia już nawet prawie od nowego pokolenia nieznanymi, dawnymi wojskowymi.

Słownik malarzów polskich przez Edwarda (barona)

¹ [T. j. dzieła p. t.: »Życiorysy znakomitych ludzi wsławionych w różnych zawodach«. Warsz. 1849—50, dwa tomy].

Rastawieckiego, którego dwa tomy mamy przed sobą już od lat kilku, a trzeci oglądaliśmy w rękopiśmie, wielkim krokiem przyczynił nam światła nie tylko co do części biografijnej, ale też co do rozjaśnienia szczegółów tak znakomitej gałęzi dziejów wewnętrznych, jaką jest sztuka. Słownik ten obejmuje w porządku abecedowym: nazwiska, główne szczegóły życia i wyliczanie prac malarzy w Polsce zrodzonych, albo zamieszkujących, od najdawniejszych czasów. Zbiór się okazał obfitym, i liczba nazwisk w dwóch pierwszych tomach (do litery S) dochodzi do 500. Jakkolwiek liczba ta znacznie zapewne zwiększoną jeszcze być może (w »Skarbnicze archeologii« np., wydanej w roku zeszłym przez zasłużonego Ambrożego Grabowskiego, znaleźliśmy niejedno nazwisko pośród malarzy krakowskich, nie znajdujące się w Słowniku, pomimo iż notatki Ambrożego Grabowskiego były jednym ze źródeł Słownika). Jakkolwiek niejednen szczegół biografijny może znaleźć swe dopełnienie lub sprostowanie, zawsze ten Słownik w swojej gałęzi jest takim, a może i dokładniejszym krokiem, jakim w r. 1814 była pierwsza Historia literatury polskiej przez Bentkowskiego. Szczegółowość, zimna krew i pewna powaga odznaczają wykład w Słowniku; w ogólności przytaczane tu są tylko szczegóły życia i dane nazwiska prac wzmiankowanych malarzy. Zdanie o pracach tych zapisywał autor tylko wtedy, gdy mógł zapisać z naocznego przekonania, własne lub obce, wartości już ustalonej. Z natury treści wynikło, iż pismo to podając szczegóły o rodzaju, wartości i miejscach znajduwania się w kraju różnocześnie różnych utworów malarskich, przyłożyło się też do rozjaśnienia i historii krajowych świątyń, gmachów królewskich, pomieszkań panów i t. p. Wydanie Słownika malarzy jest ozdobne i wzbogacone dodaniem wizerunków znakomitszych malarzy.

Książka ta jednak (mimowolnie nastrocza się tu nam ta uboczna uwaga) im bardziej w swej użyteczności specjalna, z natury swej niepoczytna a ozdobniejsza, tem

mniej może rachować na odbył księgarski; właśnie zatem większą winniśmy wdzięczność dla przedsiębiorcy. Tak kosztowna zewnętrznie i wewnętrznie praca mogła być tylko dziełem nie tylko szczególnie gorliwego, ale też razem i zamożnego sztuki krajowej miłośnika.

Wspomnijmy tu wreszcie o tej wielkiej gałęzi dziejów wewnętrznych, jaką jest historia literatury, a powód do tego daje nam ze skromnym, lub raczej mniej właściwym napisem wydane, ale treściwe dziełko:

Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego przez M. Ł[yszkowskiego]. Dziełko to nie jest bynajmniej, jakby wnosić można z napisu, przedstawieniem jednego lub drugiego okresu, jednej lub kilku gałęzi piśmiennictwa polskiego, ale pospieszamy objaśnić, jest rysem wcale dokładnym literatury polskiej od najdawniejszych czasów do roku bieżącego. Wydanie to jest zaspokojeniem naprędce potrzeby, która nader czuć się dawała. Dzieje literatury krajowej były zapewne w ostatnich czasach jednym z przedmiotów najpowszechniejszego zajęcia się naszych pisarzy, i niejedna w przedmiocie tym publikacja należy do najzasłużeńszych w literaturze; mimo to jednak dokładnego obrazu ogółu literatury krajowej dotąd nie mamy. Krajowca lub cudzoziemca żądającego pisma, któreby go zapoznało z naszą literaturą, nie mamy do czego odesłać. Dzieło Bentkowskiego, oprócz swej koniecznej niedokładności jako krok pierwszy, wyszło nawet już z handlu i nie dochodzi dalej jak po rok 1814; nie obejmuje więc czasu najbogatszego w literaturze. Wiszniewski zaczął swe ogłoszenie na kolosalną skalę i mimo ogłoszonych już ośmiu tomów, nie doszedł jeszcze połowy. Wójcicki w swej »Historji literatury« dał poznać ją nie tylko zewnętrznie, lecz i wewnętrznie, to jest: z dołączeniem wyjątków ze wzmiankowanych pisarzy (podobną właśnie publikację otrzymuje w tym roku literatura niemiecka przez Henryka Curtza); lecz przedmiot jej nie dotyka pism krajowych łacińskich i nie obejmuje wszystkich gałęzi literatury. Praca Jochera

udokładnia tylko niektóre gałęzie albo epoki. P. Łukasze-
wicz w swym »Rysie dziejów literatury polskiej« z litera-
tury dawnej usunął pisma łacińskie (zatem połowę litera-
tury), a w czasach najnowszych zajęty jest głównie poezją
i poetami ¹). P. Kondratowicz mimo skromne zapowiedzenie
w przedmowie, iż tylko powtarza, pięknie i z różnostron-
nem znawstwem przeszłości rozpoczął opowiadanie swe
dziejów literatury krajowej, lecz także tylko rozpoczął.
Dokończona, ale nader mniej różnostronna i w szczegóły
bogata »Historia literatury polskiej« Jana Majorkiewicza
ma nadto tę kardynalną (mianowicie pod względem użytku
praktycznego) wadę, iż cechą jej jest naginanie zdań o au-
torach i obrazach do systematu pomyślanego a priori, po-
myślanego fałszywie. Pełne wreszcie literackiej zasługi
»Piśmiennictwo polskie« p. Wacława Aleksandra Macie-
jowskiego doprowadzone jest równie, jak większa część
powyższych, tylko do wieku XVII. i nie obejmuje pism łą-
cińskich. Pismo to nadto jest raczej zbiorem bogatych ma-
teryałów do historyi literatury, nie zaś historyą literatury ².

¹ Treść tego pisma przypomina także trochę, dodać tu można, owo zdanie Długosza, o którym wyżej: w Rysie swym p. Lesław Łuka-
szewicz, jakkolwiek umieszcza wzmianki o autorach byle powiastki, a nie
wspomina nawet o spółmieszkańcach swojego miasta takiej zasługi, jak:
Bandtke, Pol, Józef Kremer i t. p.

² »Piśmiennictwo polskie« p. Maciejowskiego, które doprowadzo-
nem być miało według prospektu do r. 1830, objęło tylko trzy tomy i za-
kończyło się wiekiem XVII. Sam układ tego pisma jest już dostatecznym
objaśnieniem niepraktyczności jego użytku. Autor opowiada tu historyę
literatury, nie kolejną gałęzi jak np. Bentkowski, ani kolejną epok, jak np.
Wiszniewski i inni, ale ją podzielił na *zwroty*. Przez zwrot nic innego
nie możemy rozumieć, jak zakończenie jednego kierunku a zaczęcie in-
nego; co się raz zwraca, już idzie innym biegiem, a nie poprzednim. Na-
zwisko zwrot może dobrze służyć w znaczeniu *epoki*, jest owszem rozu-
mianem znaczeniem epoki; w tem znaczeniu dobrze użył był Major-
kiewicz nazwiska zwrotów; ale w historyi literatury p. Maciejowskiego
te zwroty nie są to zwroty. Zwrot 1-szy obejmuje według autora litera-
turę ludową, to jest oryginalnie przez lud w pieśniach i podaniach two-
rzoną, i treść jej doprowadza autor do wieku XVIII-go. Zwrot 2-gi obej-

»Krótkie wiadomości« przez M. Ł., o których mówimy, nie odkrywają i nie podają nowych materiałów do historii naszej literatury, ale czynią właśnie zadość owej potrzebie ułatwienia poznania jej.

Rys ten przedstawia szczegółowie w kolei epok wszystkie główne wypadki dotychczasowego zbioru materiałów w swoim przedmiocie. Mamy tu w każdej epoce wyliczenie wszystkich głównych pisarzy, ich pism tak ła-

muje »piśmiennictwo polskie« najdawniejsze, to jest, zaczyna się od ujęcia literatury ludowej w pismo, w wieku XIII; zwrot ten więc, jakkolwiek z nazwiska 2-gi, uprzedza swego poprzednika o wieków pięć. Zwrot 3-ci obejmuje znakomitych pisarzy polskich do końca wieku XVI-go i przeciąga się także obok klehd i pieśni, poprzednio przez autora wspomnianych. Literatura piśmiennicza i literatura ludowa, tak jak je autor do wykładu wciągnął, są to dwa jednoczesne *równoległe* przez wszystkie wieki *kierunki*, a nie dwa *zwroty*. W tomie drugim autor wraca do tegoż przedmiotu, który opowiadał w tomie pierwszym, z różnicą, iż opowiada go tu *szczególniej*, oraz iż nazwisko zwroty zamienia na nazwisko *obroty* i rachuje ich *pięć*. W tomie trzecim autor powraca do przedmiotu opowiadanego w tomie pierwszym po raz trzeci i wylicza pisarzy mniejszej, jak mówi, wagi, należących do powyższych zwrotów czyli obrotów. Sam wykład opowiedzianej w tych ramach treści nie nosi także bynajmniej cechy praktyczności czyli historyczności. Główną wadą tego wykładu pod tym ostatnim względem jest, iż autor przypuszcza w swym czytelniku poprzednią znajomość swego przedmiotu i zamiast opowiadania go zajmuje się tylko polemiką niektórych szczegółów, po fakta zaś odsyła zwykle do innych pism. W tomie np. pierwszym pod zwrotem 1-szym znajdujemy oddział pod napisem: »Historyczny rozwój podań i klehd«; drugi za nim: »Krytyczny pogląd na historyczny rozwój podań i klehd« i wreszcie trzeci: »Rzut oka na historyczny rozwój podań i klehd«. Już sama ta podobność lub raczej tożsamość napisów wskazuje, że treść tych rozdziałów co innego obejmować musi niż ich napisy; jakoż istotnie w całym nawet wogóle 1-szym czytelnik nie dowiaduje się wcale, skąd i kiedy wzięły się wiadomości lub zbiory klehd, pieśni ludu naszego i czyli? i jakie te są? jaka ich pewność, dawność i t. p.; spotyka zaś tylko rozumowania i polemiki w przedmiotach nieraz nie należących prawie do piśmiennictwa polskiego, jak np. o znaczeniu wogóle pieśni, klehd, o słowa pieśni niemieckich (to jest pieśni, o których sam autor wyznał, iż *prócz jednego słowa dwuznacznego*, nic polskiego nie widzi), sprzeczki z Grimmem, Neumannem, Godsche, Świdzińskim

cińskich jak polskich, charakterystykę tych pism, nawet krótkie biografijne szczegóły o pisarzach, o ile są znane. Wyliczenie to jest kolejną gałęzią w każdej epoce tak, iż czytelnik jasno tu poznaje chronologicznie i stan oświaty ogólnej i każdej gałęzi. Autor zwłaszcza z drobiazgową dokładnością wylicza wszystkie zjawiska piśmienne w naszej literaturze z lat ostatnich dziesięciu do ubiegłego; i pod tym względem pismo to, rzec nawet można, staje się materiałem dla następców.

Wiszniewskim, Pawlikowskim, Siemieńskim i t. p.; po fakta zaś, jak dopiero rzekliśmy, odsyła lub do zbioru i opowiadań swych poprzedników, albo do przypisków. Miłość polemiki tak jest przemagającą pod piórem historycznym autora, iż w tomie drugim mówiąc o wieku XVI., oparł się o lata nam społeczne i zakończył go szczegółowym określeniem lub raczej połamaniem (zdaniem naszym niesłusznym) wszystkich pisarzy, którzy w ostatnich latach zajmowali się u nas historią literatury. Nie będziemy tu mówić o stanowisku krytycznym autora w jego poglądach na epoki, a w którym głównie za zasadę wziętym jest wzgląd religijny; bo nie piszemy tu wcale rozbioru pisma; dodajemy jednak, iż nie rozjaśnia to wcale biegu historycznego literatury, gdy autor w tomie pierwszym, w którym miał opowiadać o pisarzach jedynie najznakomitszych, umieścił autorów znajomych lub nieznanymi byle piosnki, lub autora jak Piotr Moskorzowski (autora, którego znamy tylko kart kilka i to tłumaczonych z Socyna); do tomu zaś trzeciego, to jest, pisarzy podrzędnych, odesłał pisarzy takiego bogactwa pióra i wpływu jak: Orzechowski, Wujek i t. p.; dodajmy także, iż owe poglądy krytyczne na rozwinięcie moralne w kraju, których wykazanie zapowiedział był autor we wstępie, tem mniej uskutecznione zostały i uskutecznione być mogły, iż usunął z wykładu swego dzieła i pisma niepolkskie (wyjątek uczynionym tylko jest dla Smalcjusza), a zatem połowę faktów z życia umysłowego krajowego. Z tego wszystkiego już jasnym jest, iż czytelnik nie znający literatury polskiej, z pisma p. Maciejowskiego nie pozna jej, nie pozna zwłaszcza ani jej biegu historycznego wogóle, ani historii jej gałęzi. Uważane wszakże jako zbiór materiałów, »Piśmiennictwo« p. Maciejowskiego ma zalety pierwszego rzędu; do takich mianowicie należą: w tomie pierwszym przedruk najdawniejszych zabytków piśmiennych i inkunabułów; w tomie drugim rozprawa o najdawniejszym języku polskim w tych zabytkach, mianowicie zaś w tomie trzecim wzmianka szczegółowa o wielkiej liczbie pism i pisarzy dotąd nieznanych. Pod tym względem »Piśmiennictwo« p. Maciejowskiego jest skarbcem.

Rys literatury p. M. Ł. nie jest zapewne bez swoich niejakich wad albo skaz; do takich np. należy: stawianie niekiedy pisarzy następnego okresu pod okresem poprzednim (np. książd Waga), przepomnienie o znakomitszych (jak: Hozyusz), wzmianki takie, iż »Roxolania« pisana po polsku, iż z kroniki Wapowskiego doszły nas tylko lata do Zygmunta I.; że dramat w wieku XVII. stał u nas »wysoko«. Z dat najnowszych pośród nieprzepuszczania żadnego prawie autora ogłoszonego gdziebądź artykułu, jawne razem przeoczenia lub przepomnienia, jak np. gdy autor przy wyliczeniu pism Gawareckiego szereg ich przerywa na roku 1830; mówiąc o Rastawieckim, czyni go tylko autorem »Mappografii«, jakkolwiek o parę kart niżej mówi obszernie i o »Słowniku malarzy«. Niewłaściwem jest, oczywiście ile w kompendyum, umieszczenie długiego wypisu bez żadnej zmiany z rozprawy z roku 1835: »Nowa epoka poezyi polskiej« (z rozprawy pisanej zdolnie, lecz której autor mając swojego niegdyś kandydata, poetów pierwszej zasługi, jak np. autora »Grażyny«, Fredrę, podawał tylko za naśladowców niemczyzny lub francuszczyzny, i w której pisarze już dziś nieżyjący lub rozwinięni, wzmiankowani są jako czyniący dopiero nadzieję i t. p.); wypis tem niewłaściwszy, że autor o kart parę o wszystkich prawie wymienionych w tym wypisie pisarzach wprost przeciwne objawił zdanie. Niewłaściwem znajdujemy także, ile w kompendyum, przytaczanie obszernych treści utworów mniejszej wartości. Raz dopuściwszy autor w swym rysie miejsce na treść, słuszenieby już bezwątpienia był uczynił, gdyby tu podał takową, lub jakowych pism okresowych, albo zawikłańszego zawarcia (np. większych »fantazyj« Zaleskiego, które i nie dla wszystkich miłośników poezyi są równie jasne), aniżeli zajmując długie stronicę treścią »Satyr« Naruszewicza albo powiastek »Gadu-gadu«¹, które dosyć jest umieć czytać, aby rozumieć.

¹ [Napisanych przez Stefana Witwickiego].

Wszakże, mimo te wszystkie i tym podobne i czenia, przepomnienia lub zbytki, dziełko p. M. Ł. jest wtarzamy, nader praktycznej wartości, jest pierwszą dyną dotąd dokładniejszą książką podręczną dla poz dziejów literatury krajowej.

1856.

XI.

DEOTYMA.

I.

(Improwizacye i Poezye Deotymy. Warszawa 1854 r.)

Stronnicy i wielbiciele dawnych poetyk zgorszeni zapewne będą widokiem tego zbioru poezyj, które ani swym charakterem ogólnym, ani według swych nazwisk nie dadzą się podciągnąć pod żaden gatunek i rodzaj, w nich oznaczony. Stronnicy szkoły historycznej w poezyi, to jest: oglądający jej piękność jedynie w opieraniu się na dziejach miejscowych, podaniach i pieśniach ludu, będą zgorszeni równie, nie znajdując wcale w tym zbiorze tego pierwiastku. Jedni i drudzy nie odejmą jednak przymiotu poezyi od tych poezyj. Uznawanie, iż prawa sztuki wyczerpnięte już ostatecznie zostały przez kilku pisarzy dawnych, jak równie przypisywanie zdolności twórczej imaginacyom wyłącznie klas wiejskich, pokrzywdzaniem są tylko ludzkiej jedności. Istotą poezyi wogóle jest lot *fantazyi*, to jest pewna *twórczość*, lub jaśniej — pewna *nowość* w tej sferze, w szacie *pięknego*. Poezye, które mamy przed sobą, są właśnie odznaczone tą cechą; każdy w nich pomysł, obraz, opis, wiersz prawie każdy mają i *nowość* z gruntu i *fantastyczność* i najczęściej piękność obrazu. I owszem lubo utwory te są to dopiero pierwsze kroki ich autorki, niezawisłość je-

dnak w natchnieniu ich jest tak jawna, odrębność tak wybitna, a cząstki w nich żywotne tak liczne, iż o ogłoszeniu tem, jako o ogłoszeniu wartości poetycznej rzetelnej mówić nam wypada.

Poezye obecnego zbioru nie podchodzą, jak rzekliśmy, pod żaden gatunek i rodzaj dawnych sztuk rymotwórczych; nie są one bowiem ani wyłącznie *liryczne*, ani wyłącznie *opisowe*, ani wyłącznie *dydaktyczne*, nie są też to np. *ody*, ani *hymny*, ani *elegie*, ani tem więcej *sielanki*, *satyry*, *powieści*, nawet *ballady*; niektóre z nich noszą wprawdzie nazwisko *ballad*, ale nie mają nawet tej równości rytmu i zwrotek, które są warunkiem i odnaczeniem tego gatunku (*ballare*). Poezye te nie mają też podobnie wybitnego pierwiastku historyczności; spotykane w nich niekiedy pośród nauczania, opisów, wzmianki czynów z dziejów krajowych, źródło mieć zdają się nie tyle w miłości tych dziejów, ile tych czynów: z równem uczuciem, życiem, przytaczane są z dziejów wszelkich. Poezye, mające napis *z podań ludu*, odbijają tu raczej pierwiastek psychologiczny tych podań, nie obrazowy.

Właściwie więc jakież są ramy i grunt, z których wychodzi autorka tych poezyj? Jaka poetyka jej?

Gruntem i ramami autorki poezyj, o których mówimy, nie jest bynajmniej naśladowanie jakiegoś wzoru, stosowanie się do tych lub innych przepisów materyalnych, lecz tylko bieg za własnym natchnieniem. Może w historii natchnień nie mieliśmy jeszcze z takim zasobem szczegółów i razem tak giętkiego natchnienia. Autorka tych poezyj otrzymała przywilej pochwytywania, wcielania w siebie na stanowisku społecznem, tego wszystkiego, co jest najwięcej subtelnem z gałęzi *pamięci*, *refleksyi*, uczucia *pięknego*, jednoczenia tego w sferze *fantazji*, i opowiadania tego w tej barwie. Jedynym jej oporem w tej drodze, w tym locie duchowym jest uznawanie, iż lot ten poddanym jest jednak jakiemuś wyższemu źródłu, duchowi; a stąd opieranie się w tym kierunku na tym kierunku duchowym,

który jeden wśród tylu duchowych, tak w źródle swem, jak historyi, poręki prawdy przedstawił; lub jaśniej, jedyna droga wśród natchnień autorki tych poezyj jest tylko: wiara w duch własny, a jedynym kierownikiem w tej drodze: *Wiara chrześcijańska*.

Kodeksem poetycznym autorki jest więc tylko wiara chrześcijańska, a rozdziałami tego kodeksu, dodajmy: dogmata jej, jej przepisy, prorocтва, a zwłaszcza (ile w zastosowaniu) trzy owe cnoty, które są podstawą życia i drogi w chrześcijaństwie, i które zowią się główne: *Wiara, Nadzieja i Miłość*.

Te zasady jakże się wyraziły w treści poezyj?

W poezyi nam sąsiedniej niemieckiej była niedawno, a w części jest jeszcze, cała szkoła poetów, którzy równie w religii tylko chrześcijańskiej i jej nauce uznając prawdę, na jej gruncie, przepisach, prorocत्वach, poemata swe opierali. Poeci ci, odcieni szkoły tak nazywanej w ojczyźnie ich »lewej Heglicznej« (szkoły, która, dodajmy w nawiasie, przeciąga się tam z tem nazwiskiem dotąd, a reprezentantem jej dzisiaj głównym teolog-filozof Noak), nauczając i powołując do drogi miłości, oczekując przybliżenia się wieku nowego, wieku powszechnego *światła, pokoju*, byli to i są rzeczywiście z tej strony poeci chrześcijanie; lecz oglądając razem całość nauki w tej tylko drodze, w tem, co braterstwem się zowie, co dla pojęcia jasne, wyszli tylko z części, a nie całości, z *przekonania*, nie wiary, i ściśle mówiąc, w poezjach ich nie tkwi wiara. Inny jest żywioł chrześcijański w poezjach, o których mówimy; w żywiole tym przedewszystkiem właśnie tkwi *wiara*, a stąd przyjęcie jej następstw, i całość drogi. W treści np. utworów autorki nie tylko od czasu do czasu wspomnianym jest Chrystus, ale i — Pasterz Chrystusowy, z czcią katolicką *tycie zakonne, sakramenta, obrzędy*, czci Matki Zbawcy poświęcane całe poezye, *myśl* poddawana *duchowi*, *wola ludzka nadludzkiej* itp. Ile w rzeczy o sztuce, wspominały tu tylko np. jak pierwiastek ten kazał określać autorce po-

czątek swej sztuki (poezyi), to jest: widzieć go nie w jakowych wzorach, zapałach, nawet w sile swej własnej, ale owszem w samem owem poddaniu się:

Gdzież, o poezyo, twe ognisko świeci?!!

(zapytuje autorka w jednej z fantazyj swoich)

Z jakich się serc rozpromienia?

Ubody w duchu — oto są poeci.

Z *prostoty* płyną natchnienia.

Jak *wiara*, tak również, i owszem dobitniej na koloryt wewnętrzny poezyj tych wpłynęła *miłość*. Nie mówimy tu już o tym odcieniu w treści utworów, iż te ani w słowach, ani w istocie nie mieszczą i cienia jakiegś zawiści lub nienawiści, jakiegś np. napaści na takie lub inne klasy, jednostki, iż w osobistych zwrotach, wszelką wokoło zdolność, kierunek, raczejby owszem wesprzeć, wznieść w oczach wszystkich pragnęły, iż w ten sposób autorka, może nawet nie wiedząc, wykonywa ten przepis czyli uwagę: iż *miłość* wszystko znosi, wszystkiego się spodziewa; lecz *miłość* ta w natchnieniach autorki nie tylko się zwraca do tego, co jest na świecie ludzkie, lecz też co boże. Począwszy od kamieni i kwiatów, do ludzi i do dzieł, ogląda we wszystkim piękność, cud jawny boży; we wszystkim znaczenie, związek, ślad jednej ręki rządzącej, świat miłującej. Uczucie to podziwienia dla świata, szczegółów jego, odbite jest w każdej poezyi autorki, a jako na uosobienie go możemy mianowicie wskazać na treść jednej z fantazyj, zawartych w zbiorze. Fantazyja ta ma napis: »Sabaudczyk«. Młody Sabaudczyk, mieszkaniec odludnej chatki w górach śnieżystych, wypuszczony na wędrowkę przez ojca, gdy ujrzał szczegóły świata tak różne od jego śniegów i chatki, cuda natury, sztuk pięknych, nie zniósł stopnia tego wrażenia, uszczęśliwienia, i w upojeniu — skonał; — lub znowu na to wrażenie jednego z bohaterów innej fantazyi, przy posłyszeniu w górach śpiewu ptaszka:

W tym *głosie* ptaszyny małej,
 Słyszy wszystkich stworzeń chóry;
 Słyszy ruch *całej natury*
 I pochód *dziejów* wspaniały.

Uczucie to każe nawet autorce oglądać pięknem to, co najwięcej ohydne zdaje się dla nas. Uczy nas tego np. ballada »Kosarz«. Młody kosarz odpoczywając po pracy, patrząc na piękne łąki i piękne słońce, tem się tylko zamruczał, iż kiedyś trzeba mu będzie umrzeć. Podstuchiło go piękne dziewczę i wybiegłszy, zwabiło ku sobie. W rozkoszy tej jeszcze żywszej, kraju jeszcze piękniejszym, młody kosarz tem więcej zatrwożył się myślą o śmierci; ale dziewczyna mu rzekła: »jam nią jest, jużes mię przeszedł, a kraj, na który spoglądasz, rozkosz, której doznajesz, to nieśmiertelność«. — Jakoż wreszcie na skutek tegoż pierwiastku *miłości*, to jest rzetelnej miłości (nie *egoizmu* w wierze, który tak często bywa udziałem jej), a jako na skutek, który także wpłynął przeważnie na treść utworów autorki, musimy tu wskazać na podzielenie przez nią tego uznania, iż uprawa sztuk, nauk, czynność moralna, nie są zewnątrz obowiązków człowieka. Pojęcie to wyrażone w jednej z fantazyj (p. n. »Tajemnice owoców«), powtórzymy tu własnymi słowami autorki, lecz jako należące raczej do sfery rozwagi (i dodajmy: przetrawionej rozwagi) powtórzymy tu prozą.

W poezji tej, która ma formę *sceny fantastycznej*, główny bohater jej, wielbiciel i zwolennik poezji, mówi:

— »Serce, ziemia, sam szatan, chciałby mię od sztuki odciągnąć, i tylko *duch wewnętrzny* umiał się oprzeć.

»*Serce* mówiło mi, po co się męczyć? nie dosyć-że ci wierzyć jak inni i żyć w pokoju?

»*Mój duch*: ten, który przegląda przeszłość, możeż obojętnie patrzeć w obecność?

»*Ziemia*: świat już się przeżył i idzie w otchłań, nowych dróg nie obmyślisz dla niego.

»*Mój duch*: czyż świat ma skończyć z samą tylko nadzieją, gdy odkupiony już?

»*Szatan*: chcesz opowiadać prawdę, nowy świat tworzyć; mylisz się, wnet cię obejmie duma, żeś równy Bogu.

»*Mój duch*: kto kształci świat, nie jestże raczej pomocnikiem bożym?! (str. 250).

W takich i tym podobnych drogach odbił się w poezjach autorki pierwiastek miłości; a jest to miłość, dodajmy, rzetelna chrześcijańska, to jest ta, która kocha »i bliźnich i Boga nad wszystko«.

Jak miłość, tak też w sposób równie nowy i żywy i owszem żywszy jeszcze i nowszy charakter wewnętrzny poezyj tych odznaczyła: *nadzieja*. — Kiedyśmy przed dwoma lub trzema laty zapisywali uwagę w tem piśmie, że jedną z cech naszej epoki jest ten szczegół, iż odznacza je nie tylko zwrot do *przeszłości* lub *obecności*, jak było dotąd, ale też do *przyszłości*, *zamyślanie się o niej*¹; nie sądziliśmy, iż uwagi tej będziemy tu mogli tak pręko wskazać nowe tak dobitne stwierdzenie. Przyszłość, wiek lepszy ziemi, ów wiek, który był treścią wszystkich prawie prorocत्व wieku starego, a według zapowiedzenia, zaręczenia słów Zbawcy; »przybliżony już« wiek, w którym według wyrażenia owych prorocत्व: będzie mieszkał »wilk z jagnięciem, a pard z kozłkiem« (Izaj. XI. 6), w którym wszelkie owszem stworzenie, szczegół natury, z ręki śmierci i bólów na chwałę dzieci bożych być mają wyswobodzone (»gdyż wiemy, iż wszystko stworzenie wzdycha i.. boleje aż dotąd. Bo i samo stworzenie będzie wyswobodzone z niewolnictwa skażenia na wolność chwały synów bożych«) (Święty Paweł w liście do Rzymian, VII. 21); wiek ten, do którego przejście, którego szczegóły tak jeszcze dziś dla nas ciemne, ale nadejście którego dla serc wiary, miłości, serc rzetelnie chrześcijańskich, tak pewne; — wiek ten jest właśnie i źródłem i celem i główną ożywiającą treścią każdej

¹ [Zob. »Rozbiory i Krytyki« t. I. str. 281, 423 i wiele innych].

poezyi zbioru, o którym mówimy. Każdy szczegół natury, ludzki, ludzkich utworów, obierany za treść poezyi, rozważany jest w danej poezyi i przedstawiany w zwrocie swym do celu swego ostatecznego — wieku owego.

Pojęcie to wyrażone jest wogóle w swem uosobieniu w jednej z poezyj zbioru, która ma napis: »Walka dwóch potęg«. Dwie siły, *prawdy i fałszu, szczęścia i cierpień, dobra i zła*, ujęły — uważa tu autorka — życie człowieka, jakby kolebka dziecko i wahając niem, unosząc się to w górę, to na dół; wskazawszy na ciosy i nędzę już w tych, już w owych kierunkach, los ten ludzki pociesza tu w końcu nadzieją ową, i wiersz ten kończy takim, które tylko śród poezyi chrześcijańskiej wyrazić się mogło, wezwaniem:

Dniu luby! jesteście blizki?
Dniu, co przerwiesz kołysanie,
Gdy duch ludzki silny wstanie,
Okowy złudzenia skruszy...

Gdy już *ciało* nie osłona,
Lecz się stanie kształtem *duszy*.
Gdy *czas*, co miarą zasługi
O wiecznym losie stanowi,
Spłynie nakształt srebrnej strugi,
Ku wszech wieków potokowi,
Kiedy przejście *śmierci* samo
Stanie się *wszech życia* bramą.

Gdy przy Cherubów odgłosach
Jak wyblysłk tęczy z promienia,
Jaśniejąc w siedmiu niebiosach,
Szczęście wykwitnie z *cierpienia*.
Gdy serce ludzkie zranione,
Zrzuciwszy na padół ziemi
Wszystkie kolce nienawiści,
Uleci skrzydły chyżemi,
Unosząc tylko koronę
Z różanych braterstwa liści.
Kiedy żywiły i ludzie
Wyszedszy z ziemskiego *boju*,
Tarcze składając po trudzie,
Utoną w wiecznym *pokoju*.

Gdy w nagrodę za ofiary,
 Za wieków oczekiwanie,
 Urzeczywistnienie *wiary*
 Pewnikiem *myśli* się stanie;
 I gdy na czasów rozkresie
 Po wątpliwej wieku zorzy,
Prawda ród ludzki uniesie
 W centralne słońce, w świat *boży*.

Takie są: grunt, ramy i cele, taka *Sztuka Rymotwórcza* autorki, i w taki sposób ta nowa sztuka wywarła wpływ swój na ogólną treść jej poezyj.

Co do szczegółów, te są następujące:

Zbiór ogólny podzielonym jest na dwie części: *Improwizacje* i *Poezje*. Oddział ten jednak, uprzedzamy, nie należy brać literalnie, część pierwsza bowiem równie jest odznaczona rzetelną poezją jak i druga, i wogóle tejsze cechy wewnętrznej i tejsze zewnętrznej (dla czytelnika) jest całość¹.

Książkę otwiera wiersz *Wiosna*. Zaczącie to przypomniało nam właśnie zaczącie zbioru poezyj, który przed laty trzydziestu, sprawił epokę u nas w tej gałęzi, gdzie zaczącie to także zwrotem jest myśli ku wiosnie i ma napis *Pierwiosnek*. Wiersz autorki »Wiosna« nie będzie miał zapewne nigdy tej siły, tych estetycznych wykończeń, jak wiersz autora *Fierwiosnka*; ale treść tego wiersza określa

¹ Napis książki »Improwizacje« dobrze oznacza szczególne usposobienie autorki, łatwość i potok jej natchnień. Sam zbiór obecny obejmuje już liczbę utworów, do jakiej nieraz całość życia poetów dojść nie jest zdolną, a zbiór ten częścią jest tylko tego, cośmy słyszeli sami w improwizacjach autorki w tym nader krótkim przeciągu, a co, dziwnym się i żałujemy, że do wydania nie weszło. Napis ten jednak może być źle uprzedzającym dla książki. Wyraz »improwizacja« oznaczeniem jest nie *treści* utworu, lecz *historji* jego tworzenia się; położony więc jako napis, zdaje się być lub ostrzeżeniem o braku treści, lub usprawiedliwieniem się z niewykończeń, pośpiechu. Stąd też dla wielu *improwizacja* jest to samo co *mierność*, a historia tej sztuki nie zaprzecza tym dopuszczeniom. Sztuka *improwizacji*, to jest deklamowania natychmiast (*ex*

już całą różnicę wewnętrzną treści dalszej. Różnicą tą jest: przejście w treści poezji za *chwilę*, za *osobistość*. Autor »Pierwiosnka«, w swym skądinąd tak pięknym wierszyku, troszczy się tylko, iż wiersz jego nie jest to jeszcze ani lilia ani róża, ale tylko *pierwiosnek*, i pociesza się, że jednak przyjaciele, kochanka, może powitają go mile, a to dlatego właśnie, że jest pierwiosnikiem. Zwrot myśli ku wiośnie, z gruntu inny wydał szereg uwag, obrazów w natchnieniu autorki. Czas, świat, dzieje, natura, ich bieg, ich początek, ich cele, wszystko zbiegło się razem w tym zwrocie myśli. Autorka wieczną wiosną pierwotną uosabia tu w Duch-dziecko i opowiada jak *to*, po upadku człowieka i z nim natury, z bram rajskich zdołało się przekraść na świat, i odwiedzając każdą stronę ziemi raz na rok, pociesza ją wspomnieniem i wskazywaniem na wieczną wiosnę.

Wiersz następny jest zwrotem do owych trzech uczuć, które są podstawą treści dalszej, i ma napis: »Wiara, Nadzieja i Miłość«. Autorka wskazuje w nim na żywotność tych cnót we wszelkich kierunkach pracy, szczegółów dziejów, a w przebiegu dziejowym, za typ *Wiary* podaje wojny krzyżowe; *Nadziei*: misye chrześcijańskie na Wschodzie; *Miłości*: zakon sióstr miłosierdzia.

Treścią następnych poezyj są po kolei brane za przedmiot fantazyi te lub inne szczegóły świata z różnych sfer jego; a wśród fantazyj tych, najwięcej charakterysty-

improviso) na tema zadane, jest znaną od czasów dawnych, i za wieków nowych w Europie kwitła mianowicie przed laty już trzystu na dworach włoskich. Źródłem sławy improwizatorów, wrzuseń słuchaczy, bywał tu głównie sam talent *deklamowania*; najsłynniejszego z *improvizatorów* w całej Italii, kawalera *Perfelli* (improwizatora z wieku XVII) końcem sławy było ukazanie się w druku jego utworów (1748 r.). Za dni już naszych *Sgrici* improwizował w Turynie całą tragedią »Hektor«; *Ciconi* w Rzymie — całą *epopeję*. Z improwizatorek słynęła nad inne przy końcu wieku zeszłego *Corilla Olimpica*, wieńczona w Rzymie; wszystkie te jednak poezye należą tylko do historii improwizacyi, nie historii poezyi. Zbiór obecny jest jednak przeciwnej natury.

cznemi są: poświęcone tworom natury, oraz tworom ducha ludzkiego (sztukom pięknym).

Szczegółom natury nieorganicznej poświęcone tu są: *Noc zimowa, Cztery pory roku, Kamienie.*

Królestwu roślin: *Kwiaty i Wience.*

Królestwu zwierząt: *Ptaki.*

Ze sztuk, górującym formą: Snycerstwo, Budownictwo, Taniec, Malarstwo, Dwie siły w malarstwie, Malarki, Franciszka Rimini, Pracownia Suchodolskiego; — tonom: Życie Artysty Muzyka, Dwie cechy w muzyce, Potęga pieśni; — poezyi: Tajemnice owoców.

Inne poezye mają za przedmiot fantazyi szczegóły ludzkich dziejów, ustaw lub wynalazków, jak *Krucyaty, Niedziela, Druk*; inne idealizowaniem są samych szczególnych uczuć jako uczuć, lub *mysli* jako myśli, jak: *Widzenie Majowe, Natchnienie* i t. p. Kilka wreszcie, psychologiczne prawdy lub postrzeżenia wyklada w kształcie dramatu (czynu ludzkiego), jako: *Sabaudczyk, Kosarz, Ptak Niebieski* i t. d.

Co do szczególnych własności, poezye te wszystkie, jak uważaliśmy już, nie są ani wyłącznie *liryczne*, ani wyłącznie *opisowe*, ani wyłącznie *dydaktyczne*, lecz dodajemy: wszystkie te trzy pierwiastki razem w jednym stopniu łączą.

Każda z poezyj tych mogłaby się nazwać: *Liryką opisowo-dydaktyczną*, lub *dydaktyką opisowo-liryczną*; najwłaściwszem zaś ogólnem nazwiskiem każdej jest *fantazya*.

Pierwiastek w tych poeziach (fantazyach) *liryczny* to sprawia, to jest to wykazuje, iż bieg ich jest to stopień ciągłego jakiegoś uniesienia autorki, iż sfera ich idealna wyłącznie, iż w samej pomyślanej całości części jej przedstawiają się zwykle w pewnym bezszyku, w jakimś zamęcie, z rysem tylko od czasu do czasu wieszczenia, rzeczy można, jak nieraz w poetycznych miejscach ksiąg hebrajskich.

Pierwiastek *opisowości* głównie wpływa na poetyczność szaty. Każdej wzmiance o jakim rysie, pomyśle, towarzy-

szy tu opisowość. Opisowość ta zawsze jest nowa, trafna i poetyczna. Wzgląd ten ostatni tworzy mianowicie cecha porównań, śmiałość i świeżość ich. Autorka jest mistrzynią istotną w czynieniu przyrównań i umie je upatrywać w stro-
nach szczególnej idealności:

Jak dwie struny jęcząc w lirze,
Jednym dźwiękiem w próżnię wioną —

(mówi np. w zaczęciu poezji *Walka dwóch potęg*); tak działanie dwóch duchów różnej natury ukrywa się w istocie i biegu rzeczy.

Tych porównań, napozór tak łatwych, a rzeczywiście tylko śmiałych i trafnych, jak np. gdy mówi w poezji »Druk«:

*Rosa nauki przez siatkę czcionek
Spada i wielkiem korytem płynie;*

lub mówiąc o starożytnym Aryonie:

*Dźwięk zlał z poezją, jak światło z żarem
Połącza z sobą wóz Feba. (»Potęga pieśni«);*

takich rysów mówimy, pełna jest każda fantazja autorki. Ale jako w uwadze o głównym przymiocie rodzaju poetyczności jej, wskażemy tu jeszcze, iż nieraz całkowite okresy w poezji złożone tu są z samych przyrównań bez nużenia swą allegoryą.

Tak naprzykład w poezji »Noc zimowa« w opisie tej nocy:

Duch światła znikł pokonany.
Jak wdowa po jego zgonie,
Noc weszła w czarnej osłonie
Gwiazdeczkami nakrapianej.
Z obłocznych krużganków w górze,
Wychyla posępne lica,
Zrzuca szron jak biała róża;
Ziemia niby zakonnica,
Kryje się w śnieżnym kapturze.

Lub np. w tym opisie *košby* w balladzie »Kosarz«:

W bałwanach zieleni, co szumią na łące,
Przez tuman balsamu i rosy,
Jak wiosła stu łodzi pod wodą iskrzące,
W pół lecąc suwają się kosy.
Spłoszone w gęstwinie mkną tęcze motyli...
Niekiedy kobiety i męże
Stanąwszy w półkole, jak gdyby w dzwon bili,
Tak ostrzą swe sielskie orężel i t. p.

Co do pierwiastku wreszcie *dydaktycznego*, ten, jak to już uważaliśmy, jest głównie charakteryzującym rodzaj utworów autorki, tak, iż możnaby wątpić, czylito w tych utworach gałąź poezji nowy spekulacyjny w swojej historii zyskała odcień, czyli też, że gałąź spostrzeżeń przy zejściu w zastosowanie, w tę nową popularniejszą oblekła się formę. Mówiąc tu tylko o faktach, wskazujemy, iż oba te istną. Zadaniem każdej poezji w tym zbiorze fantazyj nie jest to wcale dramat, wypadek, historia serca ludzkiego i t. p. (te jeśli się gdzie znajdują, tedy ubocznie, dodatkowo, nie jako treść główna), lecz tylko jakieś postrzeżenie psychologiczne, nauka, słowem dydaktyka. Grunt jej, jak powiedzieliśmy już, jest w onych trzech cnotach chrześcijańskich. *Wiara* z równą ufnością pozwala przyjmować autorce każdy szczegół stworzony za przedmiot *nauki*, treść *studyów*. *Miłość* każe jej go oglądać w jego znaczeniu wewnętrznem, związku do innych spółtworów, to jest, upatrywać stosunki i opowiadać dzieje jego od początku; *Nadzieja* każe nań wskazywać w odniesieniu do celów ostatnich. Zwroty te składają ogół każdej prawie fantazyi, a odstępów cząstkowe są to znowu uwagi cząstkowe, stosujące obrany przedmiot do obyczajów, dziejów i t. p. Co do rodzaju tych myśli, dodajmy, iż to, co zwykle odtrąca myśl ludzką od słuchania morałów, albo spostrzeżeń, t. j.: iż te są powtarzaniem tylko, lubo prawd, ale prawd stokrój już powtórzonych, a co zowiemy *trywialność*, właśnie jest jak najdalszem od dydaktyki obecnych poezyj. Każda

myśl, postrzeżenie, przestroga, zawsze tu nowe, jakkolwiek skądinąd grunt ich i cele zawsze jedne, to jest na różnych stopniach i w różnych zwrotach prawdy chrześcijańskiej.

Wskazujemy tu dla przykładu na kilka z tych cech, w tych tak rozmaitych w treści fantazyach, których przedmioty przywieśliśmy. W fantazyach o nieorganicznych przedmiotach, w obrazie »Śniegów« okrywających pola i lasy, autorka wskazuje np. na obraz śmierci, zmartwychwstanie dalej wróżącej. Patrząc na same formy plastyczne w widokach zimy, zowie zimę »rzeźbiarką bożą«, i wskazując jakby na odpowiedniość kolei w utworach ducha bożego i ducha ludzkiego (w porach roku i epokach sztuki) zwraca uwagę, iż jak zimie odpowiada rzeźba, tak dalej wiosnie — poezya, słońcu i burzom lata — malarstwo; tęsknej jesieni — muzyka. W fantazyi »Kamienie« wątpi, czyli rzeczywistą istotą ich nie są dusze ludzkie, odbywające pokutę za stanność w życiu; przebiegłszy z kolei główne, mówi w końcu o najslawniejszym z nazwiska, filozoficznym, szuka go i znajduje w treści i ramach Kościoła powszechnego.

W »Kwiatach« autorka szuka tej myśli, powodu skrytego, który w kształtach ich każe nam widzieć piękność. W »Wieniecach« tę między innymi silnie chrześcijańską myśl spotykamy: »Z wieńca na ludzkim czole poznasz, jaka jest myśl w tem czole: inne otacza cyprys, inne mirt, i inne wawrzyn; wieńcem jednak nad wieńce dla czoła ludzkiego jest wieniec z cierni«. W »Ptakach« zazdrości ptakom, iż mają nie tylko duchowe, jak człowiek, ale i materialne skrzydła. Określiwszy najrozmaitsze, wiersz ten kończy nadzieją, iż lekki lekkością sumienia wzbije się kiedyś człowiek w słońce jak *Hippogryf*, a świat się przepali i zmartwychwstanie z popiołów jak *Feniks*.

Fantazyje, które są poświęcone *sztukom pięknym* (a które w całościach swych głównie odznaczają rodzaj poezyi autorki), są małą *estetyką*. Sztukę uwielbia autorka jako odbicie jednej z jawnych cech obrazu bożego w du-

chu człowieka: *twórczości*. Wartość sztuki ocenia głównie z jej *celu*, a to wyznaczenie (w głośniejszej tej estetycznej kwestyi) oznaczone jasno widzimy w oddzielnej fantazyi, będącej jakby prologiem do innych poświęconych sztukom, p. n. »Burza«. *Snycerz, architekt, poeta, malarz i muzyk*, napadnięci w wędrówce wspólnej przez burzę i gromy, schronili się do świątyni starej i uczynili ślub postawić nową, jeśli ujdą śmierci. I dopełnili go. Dzieła ich w tej świątyni nowej stały się wkrótce podziwem, rozkoszą ludu okolicznego, bo taki, uważa autorka, zawsze jest los dzieł sztuki, »których celem: *podniesienie człowieka i chwala boża*«.

Dzieł sztuki nie przynosi wprawdzie autorka nad dzieła *boże*, dzieł ducha ludzkiego nad sam duch ludzki, i owszem, jak mówi w fantazyi o najtrwalszej z ludzkich sztuk, *budownictwie*:

Co miało początek, znika,
Co pyłem, w pył się obraca.
Tylko słowa z godłem *wiary*,
Tylko *myśli* prawd filary,
Tylko *serce*, co cierpiało,
Są świątynią wieczno-trwałą.

Wszakże objawia nadzieję, iż kiedyś, kiedy udoskonali się duch, udoskonali się i jego twórczość, a stąd i dzieła jej, sztuka, do jakiej teraz jesteśmy w stopniowym tylko i pracowitym przechodzie.

»Lecz gdy po wiekach zasługi« (mówi, kończąc fantazyę »Dwie siły w malarstwie«),

Uduchowniony, przezroczy,
Rozwidni się świat widomy,
Natenczas wierzących oczy
Ujrzą w tym świecie *świat drugi*.
.
Wtenczas chrześcijańskie dusze,
W kryształ zmieniają zmysłów chmurę.
Moc cudu wstąpi w geniusze,
A cud w sztukę i naturę.

W fantazyjach, poświęconych szczególnym sztukom, przebiega autorka główne utwory tej sztuki, o której mówi, zwykle chronologicznie, i wskazuje na *stopniowe uduchowanie się każdej*. Wskażemy tu tylko jako na odznaczone myślą szczególną fantazyje: »Taniec« i scenkę: »Tajemnice owoców«.

W fantazyji »Taniec« autorka opowiada: jak różny pług ciał na ziemi i ciał na niebie pójdzie kiedyś w jeden bieg, w jeden taniec, i nawet owa we wszystkich wiekach i krajach porywająca z sobą dzieci i starce, tancerka — śmierć, ustanie i działać przestanie.

»Tajemnice owoców«, scena fantastyczna, jest podobno najobszerniejszą poezją w zbiorze. Po kwiatach i wieńcach autorka przyszła zkolei do rozmyślań nad znaczeniem tajemnym owoców. Owoc to skutek, czyn, i może skłonienie w tę stronę myśli było powodem, iż w fantazyji tej, do *liiryki, opisowości i dydaktyki*, dodany został i *dramat*, przy czem (może także mimo woli autorki) wyobrażenie to zjednoczone zostało z wyobrażeniem pośród sztuk pięknych — poezyi. Scena »Tajemnica owoców«, uważana jako dramat, tę ma szczególność, iż osoby, ją składające, mają główny charakter jeden (charakterem tym jest: uwielbienie dla sztuki), a różnicą są tylko niejaki odcienie płci, wieku, stopnia uprawy poprzedniej i t. p. *Wiarosława*, przyjaciółka poezyi, wchodzi tu w znajomość z *Grzmisławem*, wielbicielem poezyi, przedstawia go jej przyjaciel Grzmisława i rozumowań, *Sławobój*, a świadkiem rozmowy i rozumowań ich jest *Bogobojna* (nazwisko, uważać można, odpowiadające przybranemu nazwisku samej autorki), dziewczyna wiejska, która przyniosła koszyk jagód leśnych na sprzedaż i która pierwsza zgadła, że owa *Dziewica tajemna*, którą czcił Grzmisław, której wierność poprzysiął i która zstępowała do niego z obłoków codzien w czasie *dzwońców anielskich*, była to — Poezja. Przedmiotem rozmowy w scenie jest głównie znaczenie owoców; za drzewo rajskie, powód upadku, uznane tu *winne grono*; za drzewo

wiedzy, jabłoń (owoc Newtona). Trwał spór o *Drzewo życia*, lecz był to wieczór, a zstępująca w tej chwili z obłoków dziewica Grzmistawa (Poezya) wzięła jagodę leśną z koszyka wieśniaczki; ta wzrosła, zapłonęła, rozbłysła i zagasła wszystkie, i owoc ten został uznany za drzewo życia:

W ten owoc się zmieniła jagoda z ukrycia,
Czego tknie się poezya, to nabiera życia!

mówi fantazyja, a uwaga ta trafnie właśnie przypada do poprzednich fantazyj.

Scenę kończy chór *duchów anielskich*, śpiewających chwałę poezyi i twórców jej.

Co się tyczy wreszcie strony zewnętrznej poezyi, to jest samego wiersza, ten, ile odbicie potoku, wylewu natchnień, jest formy opowiadającej, potocznej; rozmaity w rozmiarach, w końcówkach strojny, lubo bez szczególnej sztuki wyrazu, jest wszędzie jasny, loiczny i nieraz ozdób niepróżny.

Takie są główne rysy treści i formy poezyj, o których mówimy; ale ten skład szczególny tych małych nowych poematów mało zrozumianym zapewne być może od tych, którzy nie znają dotąd żadnej fantazyi autorki. Dla bliższego więc objaśnienia i razem sprawdzenia tych uwag, jakie tu wyraziliśmy, wypada nam przedstawić chociaż jedną fantazyję w całości jej. Wybieramy »Malarstwo«. Jest to wprawdzie fantazyja przydłuższa, lecz też jest to razem fantazyja, która te wszystkie cechy główne obecnych poezyj, o jakich rzekliśmy (liryzmu, opisowości, dydaktyki i wreszcie wiersza potoczystego, pięknego i loicznego), łączy właśnie i objawia w dobitnym stopniu, i której sama przydłuższosc (następstwo odcieniania rysów i myśli) jest właśnie jedną z charakterystyk tych poezyj. W tej fantazyi »Malarstwo«, autorka określa naprzód dzieła malarskie natury, dalej historję ludzkich. Zwroty moralne odznaczmy tu kursywą.

MALARSTWO.

W tej pracowni zwanej światem,
Gdzie wielki obraz stworzenia
Na tle prostem i bogatym
W postępie się rozpromienia;
Stopą mknące w czasie toniach,
Widzę w różnowiecznej szacie
Przed obrazem z pędzlem w dło-

[niach

Dwie kolosalne postacie.
Za każdym ich farb wytryskiem
Świat nowem świta zjawiskiem!
Za każdym kształtów błysnięciem
Wiek nowy w dzieje się wplata;
Za każdym pędzla zaklęciem
Bóstwo się zbliża do świata!...
Mój duch na nie patrzy zdala:
Pierwsza bystrego spojrzenia,
Zewnętrznie udoskonala
Ogromny obraz stworzenia:
To ta bujna życia siła,
Co się zmienia i nie zmienia,
I kolebka i mogiła,
Ta stęskniona raju córa,
Ta matka stworzeń tysiąca,
Tak czuła, choć tak milcząca!
Malarka zjawisk — Natura.
Gdzież są obrazy, spytacie,
Kreślone ręką przyrody?

Wszak ona w dnie srebrnej wody
Maluje wasze postacie,
Jakiż pędzel doskonały
W tak pełnym prawdy kolorze
Każdy przedmiot odbić może,
Jak wizerunki uroczę
Rzucone w wodne kryształę?
*Chyba w spokoju sumienia
Ujrzysz tak wierne przezrocze
Dwojące duszy odcienia.*

A ta złuda niezbadana,
Ta przelotna pustyń córka.

Nazwana *fata morgana*,
Dla której wędrowną chmurka,
Lub drzewko, jedno nic starczy,
Aby powietrze drgające
Owiewać w zjawisk tysiące!
W niej hufiec o złotej tarczy
Wstrząsa promienie jak dzidy!
W niej z mgły się tworzą jaśminy,
Strzelają gajów korony,
Jak ogród Semiramidy
W objęciach wiatru zwieszony!...
Z niej wstają góry, doliny,
Z niej wypływa zamek mglisty,
Wysadzany w ametysty.
I cóż? to *fata morgana*,
Co tworzy mylnie obrazy,
Które goni karawana.
Pewnie ma tajemne płótno,
Gdzie kreśli dłonią okrutną
Ironiczny kształt oazy?
Lecz gdy widnieją błękity,
Gród, gaje nikną jak echo...
Podróźny staje jak wryty,
I płacze nad swą uciechą!
*Kto dobrowolnie się budzi,
Życie przejdzie jak pustynią.
Nawet nadzieja go strudzi,
Bo i nadzieja w mgłę zginie!...*

Nie zawsze przyroda stwarza
Zdobny w farby wizerunek.
Jak niekiedy dłoń malarza
Zakreśla ciemny rysunek,
Tak czynna sztuka natury
Tworzy ten obraz ponury,
Który z sobą prowadzimy,
Gdy nasz kształt światłość zasłania.
Stosownie do dziennej pory,
Dwoi nas cień różnowzory,
Jak karły, lub jak olbrzymy.
Mówią nam dawne podania,

Że ten, kto ducha przysięgą,
Rozstawszy się z niebios Panem,
Zawarł przymierze z szatanem,
Nie nosi za sobą cienia;
To znaczy: że *kto się brata*
Na wieczność z czarną potęgą,
Wychodzi z czasu, ze świata,
I sam się w cień już przemienia.

Mknąc przez łono fali białej,
Przez cień szary, przez mgły kraje,
Obraz lekki, krótko-trwały,
Tak szybko niknie, jak wstaje!
Lecz niekiedy i przyroda
Trwałszy obraz oku poda.
Gdy promień, co z słońca bieży,
Śród lubej wiatru igraszki,
Złotemi skrońmi uderzy
O łuskę srebrzystej blaszki,
I przez węzły tajemnicze
Złączy z nią ludzkie oblicze,
Jak pod ostrym strzały końcem
W chwilę kształty rysów staną,
Promień znów się zleje z słońcem,
Oblicze w blaszce zostanie:
Takim obrazom nadano
Dagerotypów nazwanie.
Tak z myśli naszych ogniska
Wybiega promień pamięci,
W duszy lat piętno wyciska
I przeszłość wspomnieniem święci.

Lecz gdy jeszcze gonię okiem
Za fantastycznym widokiem,
Gdzie śród wszystkich zjawisk koła
Dłoń przyrody, lekko-pióre
Rzucając na wiatr pędzelki,
Zdobi ziemię w świeże puchy,
Już drugi malarz mnie woła.
Jemu dany zawód wielki!
On powinien znać naturę,
On powinien znać i duchy;
Bo sam stając między niemi,

Dobija się berła ziemi!
Świat mu przynosi swe skarby;
On w przemiennych wrażeń fali
Czerpie cudne uczuć farby;
On naturę doskonalni,
Idąc w ślad za bożem słowem.
Tworząc go władcą wszechrzeczy,
Na jego czole wiekowem
Wyrył: Oto ród człowieczy!
Od chwil, gdy na chatki ściance,
Prostym węglem dłoń kobiety
Cień ludzki obrysowała;
Już blade sztuki zarzewie
W zapomnianych wiekach pała...
Jak malarskie alfabety,
Wstają pierwsze sztuki wzory:
Farba mglista... kształt wątpliwy,
Ni cienia, ni perspektywy,
Rzekłbyś, że widzisz potwory!
A jednak i w tej godzinie,
Gdy śród synów Europy,
Wędrowiec poniesie stopy
W te owdowiałe pustynie,
Czasów Ninusa płaczące,
Gdzie śród kamiennych przysionków
Milczą widziadeł tysiące,
W marzeniu przed niemi staje,
A gdy ~~n~~wróci się w te kraje,
Gdzie przy srebrnym chórze dzwon-
[ków

Hoang-ho niesie swe piany,
Przed obrazem z porcelany,
Zdobnym w niezrównane barwy,
Gdzie postacie mkną jak larwy?
Wstrzymuje się... zadumany!
Czemuż więc aż do tej chwili,
Członkowie ludzkiego rodu,
Co najwyżej, sztuk polotem
Do ideału się wzbili,
Widzą tak żywe powaby
W próbie jeszcze wątlej, słabiej?
Pieszczą się z nią jak z klejnotem?
Bo dziś sztuka promienista

Patrzy z tak tklivem zajęciem,
 Na te pierwotne utwory,
 Z jakim młodzieniec artysta
 Patrzy na niekształtne wzory,
 Co kreslił, będąc dziecięciem!
 Lecz w tym dalekim poglądzie,
 Wspomnienie przemawia rzewnie;
 A z innym uczuciem pewnie,
 Już bez pobłażania w sądzie,
 Patrzyliby dziś malarze
 W dzieła, którym niósł zapalę
 Twój naród, o Peryklesie!
 Światby hołd im składał w darze,
 Gdyby te dzieła istniały!
 Zniszczenie!.. straszne widziadło!
 Niedość, że dłoń twa zgon niesie,
 Że z tłumem geniusze grzebie:
 Jeszcze zgaszone przez ciebie
 Na przeszłości widnokresie
 Słońce arcydzieł zapadło!
 Próżno świat tych cudów szuka!
 Placzą wieki, płacze sztuka!
 Dzieła wasze pozniakały,
 Zeuksysie! Apellesie!
 Coście w chwilach natchnień, chwały,
 Uchwycili pędza rzutem,
 Dwa przeszłości ideały.
 Na tle, srebrną mgłą osnutem,
 Zda mi się, że widzę postać
 Mknącą stopy tak lekkimi,
 Jak ten eter, co przy ziemi
 Nigdy nie może pozostać!
 Jej włosy, jak złote siatki,
 Oplatają skroń w koronę;
 Jej oczy, jak dwa bławatki
 Z pól Elizejskich schwycone;
 Z rysów, jak z perły ogniska,
 Powódź uroków wytryska...
 Tu w twym pędzu, Zeuksysie,
 Brzmi cała klasyczna era,
 Uosobiona w zarysie
 Heleny, gwiazdy Homera!..
 Lecz jeszcze tonie myśl moja

W urokach tego zjawiska,
 Gdy już inne w mgłę mi błyska...
 Słucham: dzwoni złota zbroja...
 Jakiż to cudny młodzieniec,
 Mknąc między chmury grzmiącemi,
 Uplata w niezwiędły wieniec
 Hołdy wszystkich ludów ziemi?
 — Tyś go znał, o Apellesie!
 On był twoim przyjacielem!
 Twój pędzel w chmury go niesie,
 Wzrok jego zdobisz weselem,
 A w dłoń mu dajesz piorun!..
 To ten, co wśród dziejów łuny
 Jak Jowisz, w przeszłości wzlata!..
 Aleksander, władca świata!..
 Lecz próżno duch mój się mami,
 O straconych dziełach marzył!..
*Geniuszem tych dwóch malarzy,
 Pogaństwo na świat spojrzęło,
 Jakby dwoma żrenicami:
 Ziemią pięknocią i chwałą!*
 Grecya pamięta ich imię.
 Odwrotnie: w pogańskim Rzymie
 Los zostawia tworów kilka,
 A imię twórców zamilka!..
 Kiedy u stóp Wezuwiusza
 Przebiegasz z trwogą gród ławy,
 Śpiący w sarkofagu z lawy:
 Drży żałośnie twoja dusza...
 Nagle... w samotnej komnacie,
 Stajesz w radości tak błogięj,
 Jakbyś ujrział żywe bogi!
 Jakieś przezrocze postacie
 Okrywają czarne mury...
 Ta płynie w szmaragdów fali,
 Ta się owija w lazury,
 Ta się jak pochodnia pali!
 Jak płas obłoczków w zawiei,
 Mkną te kobiety-motyle!
 Ach czemuż przez wieków tyle
 Milczą tancerki Pompei?
 Z pod iskrzących się ich powiek
 Tajemnica błyska z trwogą...

Lecz ich usta rzecz nie mogą,
 Kto je tworzył: duch? czy człowiek?
 Lecz w tymże Rzymie, w pobliżu,
 Co głosił sztuki pogańskie,
 Bóg składa klucze niebiańskie,
 Ideał wschodzi na krzyżu!
 Piorun w błysk łaski się zmienia,
 Świat cały patrzy w Golgotę!
 I malarz uczył tęsknotę...
 Ku niebu zwraca wejrzenia!
 I wnet z życia arcywzoru
 W różnych wiekach dłoń malarza
 Choć jedną chwilę oddziela.
 Ten łańcuch mistrzów utworu,
 Całe życie Zbawiciela
 W niemy dramat przeobraża.
 To baranek w ślad pasterza
 Biegnie do żłobka-kołyski,
 Skąd światłość w srebrne wytryski
 W różę mistyczną uderza...
 Jak słońce w jutrzni zawiązkach,
 Tak dziecię lśni w cudów zorzy!
 Corregio wziął z dłoni bożej
 Świecznik o siedmiu gałązkach!
 Tu — milczy świątynia cała:
 W zadumionem mędrców gronie
 Niewinność, natchnienie pała!
 W nieszytej, mlecznej osłonie
 Dziecię przemawia w pokorze;
 Żal w uśmiechu... iza u powiek...
 Decaisne¹ pojął dziecię boże,
 Cierpiące jak duch i człowiek.

Tu ucztą błyszczą przepychem,
 Oto sławne w Kanie gody!
 Wszyscy milczą — a pan młody
 Zdziwiony stoi z kielichem.
 Z złotych konwi strugi płyną,
 Zda się, że ich plusk szeleści...
 — Weroneza duch młodzieńczy
 Schwycił tę chwilę jedyną,

W której syn łez i boleści
 Uśmiechem swe usta wieńczy...
 Pod tą górą w tłumie ludu,
 Wije się postać szarpana
 Wewnętrzna mocą szatana,
 Co znika na widok cudu!
 Mojżesz i Eliasz z otchłani
 Na chwil parę wywołani,
 Pierwsi widzą postać bożą;
 Błyszczą szaty jak śnieg białe,
 Jak słońce pała oblicze!
 Cierpienie zmienia się w chwałę!
 A uczniowie drząc... się korzą...
 I zaszły mgły tajemnicze.
 W wieków kilka, duch malarza
 W natchnieniu widzi te blaski,
 W Rafaelu, różdżką łaski,
 Cud pod pędzlem się powtarzał!

Rozwarły się zimne groby,
 W przybytku spada zasłona.
 Dzień zbladł... wśród nocnej żaloby
 Ofiara przymierza kona...
 Widzisz skuloną ku ziemi
 Złoto-włosą Magdalenę?
 Ach! Rubens tę straszny scenę
 Odmalował izaami swemi!...

Któż żalność uczniów wypowie,
 Co z szczytu góry wysokiej
 Widzą, jako aniołowie
 Rozsuwają już obłoki...
 Bez skrzydeł, własną potęgą,
 Wzlata to przezrocze ciało,
 Co po trzech dniach zmartwych-
 [wstało.

Rozwarła się łaski brama,
 Pewnie w chmurach, lekką wstęgą,
 W niebo już wchodzi nieśmiało
 Wybrani z synów Adama!...
 Kiedy oko utonęło

¹ [Henryk Decaisne, malarz belgijski, ur. 1799, zm. 1852].

Rafaela Mengsa dzieło,	Drgają galwanicznym ruchem...
śl tonie w ostatnim słowie	Nakoniec... odżyły duchem!
n, które wyrocznia z trwogą,	Budzą się wszystkie sumienia:
okła: »odchodzą bogowie!«	Ci ufają — tamci płaczą...
zli — i wrócić nie mogą.	Ciąg dziejów w chwilę się zmienia,
z tu, gdy rzesza się smuci,	I śmierć ucieka z rozpaczą!
a anioły w srebrnej szacie	Spływa z góry postać biała,
wią: »W równym majestacie,	Ziemia z niebem się rozchwiała
jakim odszedł, w takim wróci«.	Naksztalt błędnego ognika...
	I nawet ich miejsce znika!
óci: już nie zwiastun łaski,	Jak piorunem rozdzielony,
z grzmiący sędzia człowieka!	Tłum rozbiega się w dwie strony,
urzcie, natura drżąc czeka...	Aż na szalach łaski, może
ią się gwiazd i słońca blaski...	Samo piekło w dłonie boże
głębi mógł wschodzą trumny...	Kiedys... kiedyś się przeważyl!
zgruchotane kolumny	Patrząc w to duchowem okiem
lnoszą się martwe członki,	Michał Anioł jest prorokiem,
ją się w ciała obstonki,	Ezechielem wśród malarzy!...

Tak obfite są w piękność, w myśl i fantazyę poezye
orki.

A ich ujemność? Wszelki utwór człowieka musi mieć
oją ujemność, inaczej nie byłby ludzkim.

Zarzuty, które poezyom, o których mówimy, słyszymy
nzione, są nawet liczne, lubo, dodajmy także, w nader
ększej części niesłuszne.

Co do strony wewnętrznej, poezyom tym zarzucane
oderwana idealność, dydaktyka, brak w treści dramatu
zli serc i czynów człowieka, i wreszcie niezajmowanie
współspołecznością własną.

Wszakże inna jest twierdzić, iż dana poezya jest taką,
inną, a inna, iż ta poezya nie jest poezyą; — iż poezya
orki mieści więcej *lirykę*, *opisowość* niż dramat, iż jest
zej fantazyowaniem *myśli* niż uczuć i czynów ludzkich;
t to tylko *rodzajem* poezyi, nie *brakiem* poezyi. Zarzut
mowania się raczej wiekiem idealnej piękności, wiekiem
owymś odległym, jak społecznością daną, tem mniej jest
zutem. Nie są skutki bez przyczyn, a w ideale, obsza-
; gdzie mieszczą się kraje wszystkie, jest też i każdy.

Zarzuty co do strony wewnętrznej są: tok prozy w opowiadaniu i rozwlekłości.

Tok, czyli budowa okresów w poezjach autorki jest rzeczywiście zwykle prostą i jasną (t. j. tą gramatyczną, gdzie np. idzie naprzód podmiot, potem słowo, potem rząd słowa i t. p.), i tym sposobem jest raczej towarzysko i jasno myśl albo inny przedmiot opowiadającą, niż sztukę tworzącą. Ale brak ten poezji (nowości) w słowie zastępuje zwykle poezja myśli, obrazu, lub inna wewnętrzna, i gdyby nie zdarzające się od czasu do czasu wiersze przejścia (jak np. dwa ostatnie pierwszej i dwa pierwsze drugiej stronicy), lub trochę za częste: *tak więc, a że, dopiero* i t. p., bardziej przypadające do okresów loicznych niż poetycznych — wiersze autorki nie ściągałyby zarzutu prozaiczności. Nie ma jej nigdzie np. ta cała fantazja, którą dopiero przytoczyliśmy, jakkolwiek przydłuższa.

Odcienianie i rozszerzanie niekiedy zbyt jednej myśli lub jednych rysów rzeczywiście jest jedną z cech poezji autorki. Te odcienie już myśli, już rysów, niekiedy są istotnie odcieniami, a wtedy także są tylko *rodzajem*, nie *ujemnością*, lecz niekiedy *powtórzeniem* są tylko w kreśleniach albo twierdzeniach, a wtedy są *ujemnością* istotnie pod względem poezji, gdyż dają już nam nie nowość, ale tożsamość¹, a nadto zdają się dopuszczać krótkość lub słabość objęcia w swym czytelniku; ten więc z swej strony

¹ Kiedy np. w poezji »Noc zimowa«, autorka w opisie szczegółów tej nocy mówi: »Wszędzie szkło, wszędzie dyamenty«, okres ten z powodu domyślnego słówka *jest*, jest już skończony; dodany więc wiersz następnym: »Zewsząd uderzają oczy« jest już prozą. W poezji »Kwiaty«, wyrażając jedną z owych pięknych myśli i swym pięknym słowem, autorka mówi:

Wielki cel i tajemnica
Pewnie w kwiatach się zawarły,
Gdy ich kształt tak nas zachwyca,
Choć jest jak hieroglif *zmarły*.

Cóżbyśmy dopiero czuli,
Znalazłszy klucz do pojęcia

niedowierzaniu temu odmawia przymiotu piękności. Lecz jak owa potoczność, tak i odcienianie zbytnie myśli i ryśów, jak uważaliśmy już nieraz w tem piśmie, jest to cecha i własność poetek wszystkich krajów i czasów.

To też tylko, co do nas, mielibyśmy do zarzucenia przeciw stronie zewnętrznej poezji autorki; co zaś do strony wewnętrznej, czyli myśli, kilka tylko miejsc pojedynczych. Miejsca te w ogłoszeniu mniejszej wartości pominielibyśmy, lecz tu wskazujemy je. Cechą główną poezji autorki jest, jak widzieliśmy, właśnie *dydaktyka*, czyli opowiadanie *prawd* w kształcie poezji, a w drodze tej małe ziarnko zboczenia — góry fałszów, jak wiemy, wyradza.

W poezji: »Snycerstwo« autorka czyniąc uwagę, iż niekiedy sama natura bywa rzeźbiarką, wspomina *żonę Lota* i dodaje, że posąg ten jest przestrożą, iż kto zamiast iść drogą, ogląda się nazad, kamienieje jak posąg. Jest to zapewne myśl piękna i myśl chrześcijańska (»kto przyłożył rękę do pługa i ogląda się nazad, nie jest zdolny do Królestwa Niebieskiego«. *Ewang.*); ale przyjmując tekst biblii należało zachować i wyrażenie biblii i uznawać ów posąg za dzieło Twórcy natury, a nie natury.

W wierszu: »Wiara, Nadzieja i Miłość« autorka mówi, iż gdy nadejdzie wiek prawdy, wesprze się na podstawie tych trzech cnót. Cnoty te, a przynajmniej dwie pierwsze, są wszakże z natury swojej towarzyszkami tylko *drogi* do

Tych głosek, co w swe objęcia
Milcząca przyroda tuli.

Kto tajne znaczenie zbudzi
W kwiatach, wiosny arcydziele:
Ten dopiero pojmie cele
I wpływy kwiatów na ludzi.

Wyrazy, odmiennem pismem w dwu pierwszych zwrotkach wyrażone, są zbytnie; strofa trzecia jest powtórzeniem tego, co powiedziano już. Podobnie w wierszu np. »Wiara, Nadzieja i Miłość« strofy: 1, 5 i 6, lubo różnemi słowami jedno mówią i t. p. Na cechy te wskazaliśmy tu bliżej, gdyż nie jest od nich wolna żadna prawie fantazyja.

celu, nie celu; gdy nadejdzie ów wiek, wtedy, jak uważa prorokujący go apostoł, i »proroctwa zwiertzęją«.

W fantazyi: »Tajemnice owoców« autorka uznawszy jabłoń za drzewo *wiedzy*, drzewo z owocem zakazanym poczytuje za winne grono. Kładziemy tu na bok owoc materialny, lecz drzewo rajskie z owocem zakazanym Pismo święte wyraźnie nazywa »drzewem wiedzy«, nie może więc być nazywane »jakiemś innem«, jak twierdzi fantazyja. Dodajmy także, że duchy anielskie w chrześcijaństwie uważamy za doskonalsze niż ludzkie, i oddające cześć tylko Bogu; mniej właściwem więc jest zakończenie tejże fantazyi, gdzie anioł Gabryel z chórem aniołów bije czołem przed ludźmi i ich dziełkami.

W »Malarstwie« mówiąc autorka, jak to właśnie widzieliśmy, o przedmiocie obrazu Sądu Ostatecznego Michała Anioła, dodaje myśl, iż może kiedyś i samo piekło wskutek łaski przeważy się w dłonie boże. »Aryman pokonany z całym orszakiem diwów odda w końcu hołd Ormuzdowi« — tak mówi Zendawesta; ale w nauce chrześcijańskiej piekło, które ma się przeważać w dłonie boże, zowie się czysćciec.

Uwagi te, powtarzamy, zapisujemy jedynie przez wzgląd na wartość zbioru, o którym mówimy, na jego znaczenie właśnie w poezyi wewnętrznej, w którą jest tak zamężny, i dla której nawet, rzec można, rozszerzył zakres.

Jeden z współczesnych niemieckich krytyków, Ludwik Eckardt, czyniąc w roku zeszłym w piśmie, poświęconem pamięci Szyllera, porównanie tego poety z Getem, zwróciwszy uwagę na wielkość, lecz różność zalet utworów ich, dodał, że rzetelnie wielkim poetą ten będzie dopiero, który zalety ich złączy »i będzie tak subiektywnym jak Szyller i zarazem tak obiektywnym jak Gete« (*Schillers Geistesgang*, str. 14). Czyli młodej autorce poezyj, o których mówimy, sądzonem jest stać się kiedyś tak obiektywną w utworach swych, jak dotąd jest subiektywną, nie wiemy; ale krytyk niemiecki, mówiąc o subiektywności

swego poety jako o szczyście, nie domyślał się, iż ta rozleglejszą w sobie jeszcze być może. Subiektywność w poezjach autorki tak się ma do subiektywności w fantazyach Szyllera i wogóle dotychczasowych, jak się miał (mówiąc wyrażeniami z dziejów filozofii niemieckiej) subjekt Szellinga do subjektu Fichtego, to jest, jako uznawany nie tylko w nas, ale i zewnątrz nas, w samej naturze. Nie do serca i uczuć, lub raczej, nie tylko do serca i uczuć ludzkich, odnosi autorka przedmioty, którym swe fantazyje poświęca, ale do istoty ich w sobie, własnych ich celów. Treścią w nich nie *chwila* i *człowiek*, lub raczej nie tylko chwila i człowiek, jak to było i jest we wszystkich dotąd fantazyjach, ale przedewszystkiem i wszędzie: *przyszłość* i *Bóg*.

Wydanie książki (ósemka większa) ozdobne i jakiego nie widziały tu dotąd nasze poezye. Zdobią też ją dwie ryciny charakterystyczne: pierwsza (pana Kossaka) przedstawia emblemata głównych fantazyj w zbiorze, druga (pana Fajansa) — apoteozę sztuk pięknych.

1854.

2.

(Tomira, misteryum przez Deotymę. Warszawa, 1855).

O utworze tym, powiedzmy to zgóry, autorka do owych niezwykłych cech daru poetycznego, które w niej poznaliśmy, nową przydała. Jeżeli treścią poezyj jej zeszlórocznych był głównie *liryzm* i liryzm najoderwańszy, w obecnej jest sfera praktyki i najdobitniejszej praktyki — *dramat*. Owe ogólne cechy, które odznaczyły były liryki, odznaczają też i dramat autorki. I tu, jak w lirykach, w pomysle, układzie i rozwinięciu swego przedmiotu, jest autorka z gruntu oryginalną; i tu, jak w lirykach, od pierwszej do ostatniej stronicy, każdy obraz, myśl, słowo, świeżość, a świeżość pierwotnej poezyi odznacza; i tu wreszcie

Lecz ich usta rzecz nie mogą,
 Kto je tworzył: duch? czy człowiek?
 Lecz w tymże Rzymie, w pobliżu,
 Co głosił sztuki pogańskie,
 Bóg składa klucze niebiańskie,
 Ideał wschodzi na krzyżu!
 Piorun w błysk łaski się zmienia,
 Świat cały patrzy w Golgotę!
 I malarz uczył tęsknotę...
 Ku niebu zwraca wejrzenia!
 I wnet z życia arcywzoru
 W różnych wiekach dłoń malarza
 Choć jedną chwilę oddziela.
 Ten łańcuch mistrzów utworu,
 Całe życie Zbawiciela
 W niemy dramat przeobraża.
 To baranek w ślad pasterza
 Biegnie do żłobka-kołycki,
 Skąd światłość w srebrne wytryski
 W różę mistyczną uderza...
 Jak słońce w jutrzni zawiązkach,
 Tak dziecię łśni w cudów zorzy!
 Corregio wziął z dłoni bożej
 Świecznik o siedmiu gałązkach!
 Tu — milczy świątynia cała:
 W zadumionem mędrców gronie
 Niewinność, natchnienie pała!
 W nieszytej, mlecznej osłonie
 Dziecię przemawia w pokorze;
 Żał w uśmiechu... iza u powiek...
 Decaisne¹ pojął dziecię boże,
 Cierpiące jak duch i człowiek.

Tu ucztą blizszy przepychem,
 Oto sławne w Kanie gody!
 Wszyscy milczą — a pan młody
 Zdziwiony stoi z kielichem.
 Z złotych konwi strugi płyną,
 Zda się, że ich plusk szeleści...
 — Weroneza duch młodzieńczy
 Schwycił tę chwilę jedyną,

W której syn łez i boleści
 Uśmiechem swe usta wieńczy...
 Pod tą górą w tłumie ludu,
 Wije się postać szarpana
 Wewnętrzna mocą szatana,
 Co znika na widok cudu!
 Mojżesz z Eliasz z otchłani
 Na chwil parę wywołani,
 Pierwsi widzą postać bożą;
 Błyszczą szaty jak śnieg białe,
 Jak słońce pała oblicze!
 Cierpienie zmienia się w chwałę!
 A uczniowie drząc... się korzą...
 I zaszły mgły tajemnicze.
 W wieków kilka, duch malarza
 W natchnieniu widzi te blaski,
 W Rafaelu, różdżką łaski,
 Cud pod pędzlem się powtarza!

Rozwarły się zimne groby,
 W przybytku spada zasłona.
 Dzień zbladł... wśród nocnej żaloby
 Ofiara przymierza kona...
 Widzisz skuloną ku ziemi
 Złoto-włosą Magdalenę?
 Ach! Rubens tę straszną scenę
 Odmalował izaami swemil!..

Któż żalność uczniów wypowie,
 Co z szczytu góry wysokiej
 Widzą, jako aniołowie
 Rozsuwają już obłoki...
 Bez skrzydeł, własną potęgą,
 Wzlata to przezrocze ciała,
 Co po trzech dniach zmartwych-
 [wstało.

Rozwarła się łaski brama,
 Pewnie w chmurach, lekką wstęgą,
 W niebo już wchodzi nieśmiało
 Wybrani z synów Adama!...
 Kiedy oko utonęło

¹ [Henryk Decaisne, malarz belgijski, ur. 1799, zm. 1852].

W Rafaela Mengsa dzieło,
 Myśl tonie w ostatniem słowie
 Tem, które wyrocznia z trwogą,
 Rzekła: »odchodzą bogowie!«
 Poszli — i wrócić nie mogą.
 Lecz tu, gdy rzesza się smuci,
 Dwa anioły w srebrnej szacie
 Mówią: »W równym majestacie,
 W jakim odszedł, w takim wróci.«

Wróci: już nie zwiastun łaski,
 Lecz grzmiący sędzia człowieka!
 Spojrzcie, natura drząc czeka...
 Ćmią się gwiazd i słońca blaski...
 Z głębi mogił wschodzą trumny...
 Jak zgruchotane kolumny
 Podnoszą się martwe członki,
 Kryją się w ciała obsłonki,

Drgają galwanicznym ruchem...
 Nakoniec... odżyły duchem!
 Budzą się wszystkie sumienia:
 Ci ufają — tamci płaczą...
 Ciąg dziejów w chwilę się zmienia,
 I śmierć ucieka z rozpaczą!
 Spływa z góry postać biała,
 Ziemia z niebem się rozchwiała
 Naksztalt błędnego ognika...
 I nawet ich miejsce znikła!
 Jak piorunem rozdzielony,
 Tłum rozbiega się w dwie strony,
 Aż na szalach łaski, może
 Samo piekło w dłonie boże
 Kiedyś... kiedyś się przeważał!
 Patrząc w to duchowem okiem
 Michał Anioł jest prorokiem,
 Ezechielem wśród malarzy!...

Tak obfite są w piękność, w myśl i fantazyę poezye autorki.

A ich ujemność? Wszelki utwór człowieka musi mieć swoją ujemność, inaczej nie byłby ludzkim.

Zarzuty, które poezyom, o których mówimy, słyszymy czynione, są nawet liczne, lubo, dodajmy także, w nader większej części niesłuszne.

Co do strony wewnętrznej, poezyom tym zarzucane są: oderwana idealność, dydaktyka, brak w treści dramatu czyli serc i czynów człowieka, i wreszcie niezajmowanie się współspołecznością własną.

Wszakże inna jest twierdzić, iż dana poezya jest taką, nie inną, a inna, iż ta poezya nie jest poezyą; — iż poezya autorki mieści więcej *lirykę*, *opisowość* niż dramat, iż jest raczej fantazyowaniem *myśli* niż uczuć i czynów ludzkich; jest to tylko *rodzajem* poezyi, nie *brakiem* poezyi. Zarzut zajmowania się raczej wiekiem idealnej piękności, wiekiem jakowymś odległym, jak społeczną daną, tem mniej jest zarzutem. Nie są skutki bez przyczyn, a w ideale, obszarze, gdzie mieszczą się kraje wszystkie, jest też i każdy.

Zarzuty co do strony wewnętrznej są: tok prozy w opowiadaniu i rozwlekłości.

Tok, czyli budowa okresów w poezjach autorki jest rzeczywiście zwykle prostą i jasną (t. j. tą gramatyczną, gdzie np. idzie naprzód podmiot, potem słowo, potem rząd słowa i t. p.), i tym sposobem jest raczej towarzysko i jasno myśl albo inny przedmiot opowiadającą, niż sztukę tworzącą. Ale brak ten poezyi (nowości) w słowie zastępuje zwykle poezya myśli, obrazu, lub inna wewnętrzna, i gdyby nie zdarzające się od czasu do czasu wiersze przejścia (jak np. dwa ostatnie pierwszej i dwa pierwsze drugiej stronicy), lub trochę za częste: *tak więc, a że, dopiero* i t. p., bardziej przypadające do okresów loicznych niż poetycznych — wiersze autorki nie ściągałyby zarzutu prozaiczności. Nie ma jej nigdzie np. ta cała fantazya, którą dopiero przytoczyliśmy, jakkolwiek przydłuższa.

Odcienianie i rozszerzanie niekiedy zbyt jednej myśli lub jednych rysów rzeczywiście jest jedną z cech poezyi autorki. Te odcienie już myśli, już rysów, niekiedy są istotnie odcieniami, a wtedy także są tylko *rodzajem*, nie *ujemnością*, lecz niekiedy *powtórzeniem* są tylko w kreśleniach albo twierdzeniach, a wtedy są *ujemnością* istotnie pod względem poezyi, gdyż dają już nam nie nowość, ale tożsamość¹, a nadto zdają się dopuszczać krótkość lub słabość objęcia w swym czytelniku; ten więc z swej strony

¹ Kiedy np. w poezyi »Noc zimowa«, autorka w opisie szczegółów tej nocy mówi: »Wszędzie szkło, wszędzie dyamenty«, okres ten z powodu domyślnego słówka *jest*, jest już skończony; dodany więc wiersz następny: »Zewsząd uderzają oczy« jest już prozą. W poezyi »Kwiaty«, wyrażając jedną z owych pięknych myśli i swem pięknem słowem, autorka mówi:

Wielki cel i tajemnica
Pewnie w kwiatach się zawarły,
Gdy ich kształt tak nas zachwyca,
Choć jest jak hieroglif *zmarły*.

Cóżbyśmy dopiero czuli,
Znalazłszy klucz do pojęcia

niedowierzaniu temu odmawia przymiotu piękności. Lecz jak owa potoczność, tak i odcienianie zbytne myśli i rysów, jak uważaliśmy już nieraz w tem piśmie, jest to cecha i własność poetek wszystkich krajów i czasów.

To też tylko, co do nas, mielibyśmy do zarzucenia przeciw stronie zewnętrznej poezyi autorki; co zaś do strony wewnętrznej, czyli myśli, kilka tylko miejsc pojedynczych. Miejsca te w ogłoszeniu mniejszej wartości pominielibyśmy, lecz tu wskazujemy je. Cechą główną poezyi autorki jest, jak widzieliśmy, właśnie *dydaktyka*, czyli opowiadanie *prawd* w kształcie poezyi, a w drodze tej małe ziarnko zboczenia — góry fałszów, jak wiemy, wyradza.

W poezyi: »Snycerstwo« autorka czyniąc uwagę, iż niekiedy sama natura bywa rzeźbiarką, wspomina *żonę Lota* i dodaje, że posąg ten jest przestrożą, iż kto zamiast iść drogą, ogląda się nazad, kamienieje jak posąg. Jest to zapewne myśl piękna i myśl chrześcijańska (»kto przyłożył rękę do pługą i ogląda się nazad, nie jest zdolny do Królestwa Niebieskiego«. *Ewang.*); ale przyjmując tekst biblii należało zachować i wyrażenie biblii i uznawać ów posąg za dzieło Twórcy natury, a nie natury.

W wierszu: »Wiara, Nadzieja i Miłość« autorka mówi, iż gdy nadejdzie wiek prawdy, wesprze się na podstawie tych trzech cnót. Cnoty te, a przynajmniej dwie pierwsze, są wszakże z natury swojej towarzyszkami tylko *drogi* do

Tych głosek, co w swe objęcia
Milcząca przyroda tuli.

Kto tajne znaczenie zbudzi
W kwiatach, wiosny arcydziele:
Ten dopiero pojmie cele
I wpływy kwiatów na ludzi.

Wyrazy, odmiennem pismem w dwu pierwszych zwrotkach wyrażone, są zbytne; strofa trzecia jest powtórzeniem tego, co powiedziano już. Podobnie w wierszu np. »Wiara, Nadzieja i Miłość« strofy: 1, 5 i 6, lubo różnemi słowami jedno mówią i t. p. Na cechy te wskazaliśmy tu bliżej, gdyż nie jest od nich wolna żadna prawie fantazyja.

celu, nie celu; gdy nadejdzie ów wiek, wtedy, jak uważa prorokujący go apostoł, i »proroctwa zwietrzeją«.

W fantazyi: »Tajemnice owoców« autorka uznawszy jabłoń za drzewo *wiedzy*, drzewo z owocem zakazanym poczytuje za winne grono. Kładziemy tu na bok owoc materialny, lecz drzewo rajskie z owocem zakazanym Pismo święte wyraźnie nazywa »drzewem wiedzy«, nie może więc być nazywane »jakiemś innem«, jak twierdzi fantazyja. Dodajmy także, że duchy anielskie w chrześcijaństwie uważamy za doskonalsze niż ludzkie, i oddające cześć tylko Bogu; mniej właściwem więc jest zakończenie tejże fantazyi, gdzie anioł Gabryel z chórem aniołów bije czołem przed ludźmi i ich dziełkami.

W »Malarstwie« mówiąc autorka, jak to właśnie widzieliśmy, o przedmiocie obrazu Sądu Ostatecznego Michała Anioła, dodaje myśl, iż może kiedyś i samo piekło wskutek łaski przeważy się w dłonie boże. »Aryman pokonany z całym orszakiem diwów odda w końcu hołd Ormuzdowi« — tak mówi Zendawesta; ale w nauce chrześcijańskiej piekło, które ma się przeważyc w dłonie boże, zowie się czyścić.

Uwagi te, powtarzamy, zapisujemy jedynie przez wzgląd na wartość zbioru, o którym mówimy, na jego znaczenie właśnie w poezyi wewnętrznej, w którą jest tak zamężny, i dla której nawet, rzec można, rozszerzył zakres.

Jeden z współczesnych niemieckich krytyków, Ludwik Eckardt, czyniąc w roku zeszłym w piśmie, poświęconem pamięci Szyllera, porównanie tego poety z Getem, zwróciwszy uwagę na wielkość, lecz różność zalet utworów ich, dodał, że rzetelnie wielkim poetą ten będzie dopiero, który zalety ich złączy »i będzie tak subiektywnym jak Szyller i zarazem tak obiektywnym jak Gete« (*Schillers Geistesgang*, str. 14). Czyli młodej autorce poezyj, o których mówimy, sądzonem jest stać się kiedyś tak obiektywną w utworach swych, jak dotąd jest subiektywną, nie wiemy; ale krytyk niemiecki, mówiąc o subiektywności

swego poety jako o szczyście, nie domyślał się, iż ta rozleglejszą w sobie jeszcze być może. Subiektywność w poezjach autorki tak się ma do subiektywności w fantazyach Szyllera i wogóle dotychczasowych, jak się miał (mówiąc wyrażeniami z dziejów filozofii niemieckiej) subiekt Szellinga do subiektu Fichtego, to jest, jako uznawany nie tylko w nas, ale i zewnątrz nas, w samej naturze. Nie do serca i uczuć, lub raczej, nie tylko do serca i uczuć ludzkich, odnosi autorka przedmioty, którym swe fantazyje poświęca, ale do istoty ich w sobie, własnych ich celów. Treścią w nich nie *chwila* i *człowiek*, lub raczej nie tylko chwila i człowiek, jak to było i jest we wszystkich dotąd fantazyjach, ale przede wszystkim i wszędzie: *przyszłość* i *Bóg*.

Wydanie książki (ósemka większa) ozdobne i jakiego nie widziały tu dotąd nasze poezye. Zdobią też ją dwie ryciny charakterystyczne: pierwsza (pana Kossaka) przedstawia emblematy głównych fantazyj w zbiorze, druga (pana Fajansa) — apoteozę sztuk pięknych.

1854.

2.

(Tomira, misteryum przez Deotymę. Warszawa, 1855).

O utworze tym, powiedzmy to zgóry, autorka do owych niezwykłych cech daru poetycznego, które w niej poznaliśmy, nową przydała. Jeżeli treścią poezyj jej zeszlórocznych był głównie *liryzm* i liryzm najoderwańszy, w obecnej jest sfera praktyki i najdobitniejszej praktyki — *dramat*. Owe ogólne cechy, które odznaczyły były liryki, odznaczają też i dramat autorki. I tu, jak w lirykach, w pomysśle, układzie i rozwinięciu swego przedmiotu, jest autorka z gruntu oryginalną; i tu, jak w lirykach, od pierwszej do ostatniej stronicy, każdy obraz, myśl, słowo, świeżość, a świeżość pierwotnej poezyi odznacza; i tu wreszcie

zostając śród sfery sztuki, autorka nie zapomina, iż istotnem znaczeniem tej sfery nie jest wyłącznie sztuka. Jakkolwiek zajęta *chwilą*, widzi zawsze przed sobą nie tylko chwilę, lecz *czas*; zajęta *punktem* na ziemi, nie traci z pamięci *ziemi*; słowem, nie tylko *piękność* poezyi, lecz też *żywość* poezyi zawsze jej celem. Cecha niezależności widna jest i w samych zewnętrznych ramach; dramat ma nazwisko *mysteryi* i podzielony jest (w miejsce scen i aktów) na *obrazy*.

Czasem dramatu jest początek wieku XI go, miejscem jego – kraj nowonawrócony do chrześcijaństwa Bolesława Chrobrego. Tomira, córka rodziców pogan, utraciwszy w dniu jednym ojca z rozkazu bogów i matkę (spaloną na stosie po mężu) z rozkazu kapłanów, przekleła i swych bogów i swych kapłanów, i błądzi po dolinach i górach. U Góry Łysej napotyka ją orszak myśliwski: były-to łowy, które król Bolesław Chrobry wyprawił na pożegnanie Emeryka, syna króla węgierskiego Stefana, i była to właśnie chwila, w której Emeryk usłyszał ów głos z nieba: »zostaw, co masz najdroższego« (głos, który pociągnął za sobą podarunek przez Emeryka drzewa z krzyża św. i założenie na Łysej Górze kościoła świętego Krzyża i opactwa benedyktynów). Tomira, ujrawszy cud¹ Emeryka, zapragnęła podzielić i wiarę Emeryka. Emeryk i orszak królewski powierzają ją opiece i nauce najbliższych kapłanów. Tomira była katechumenką i miała już zostać chrześcijanką, gdy nowy wypadek ją spotkał. Śród burzy napotkał ją w górach człowiek, za którym także przemawiał głos z nieba. Był to ów żyd wieczny tułacz, Ahaswerus, który za odmówienie odpoczynku idącemu śród męki Zbawcy, skazanym został na wędrówkę bez odpoczynku aż do dnia sądu i za którym, ilekroć stanął, dawał się słyszeć głos: »idź, idź naprzód!« Człowiek ten nie przemówił do Tomiry

¹ [T. j. ów głos z nieba, który wprowadził Emeryka w ekstazę, jak to dokładniej określa ciąg dalszy rozbioru].

tak jak Emeryk: wiarą i duchem, ale za to wiedzą i światem, i tem więcej zawahał sercem dziewczyny. Ukochany, sam ją ukochał. Ostrzeżona przez Emeryka Tomira, kim istotnie jest nieznamy, chce zerwać z nim; ale w dzień chrztu uwierzywszy, iż zbawi go, jeśli z nim pójdzie, czyni z siebie ofiarę, wyrzeka się chrztu i spieszy za Ahaswerem. Emeryk przyzywa natenczas moc bożą i Tomira upada na ziemię, w głąz przemieniona. U stóp Góry Łysej jest dotąd postać kamienna kobiety i według wiary okolicznej, posuwa się co rok w górę, a dzień, w którym dojdzie wierzchołka, będzie dniem sądu ostatecznego.

W tej treści rozwiniętym jest dramat autorki. Dramat ten jest oparty na podaniu dziejowem i jest w części zbiorem figur dziejowych; lecz autorka dała mu napis *misteryi*; musimy więc głównie go sądzić nie jako dramat historyczny, ale jako misteryum.

Bohaterką i jedyną, rzec można, osobą tego misteryum jest Tomira. Wprowadzeni tu także: król Bolesław, książę Emeryk, orszak królewski, wieśniacy, sam Ahaswerus, są to tylko lub chwilowe zjawiska, lub fantastyczne pomoce dla odbicia, rozwinięcia i określenia charakteru Tomiry. Wszystkie te figury w dramacie są jako podrzędne; dla rozwinięcia jednak i przedstawienia charakteru głównego, niektóre z nich musiały być określone więcej, a mianowicie dwóch przeciwnych duchów Tomiry: Emeryka i Ahaswerusa.

Obrazy misteryum rozwinięte są w dyalogach, a wykonanie podobnego zadania nie było to zapewne wykonanie pospolitego zadania dramatycznego. Charaktery, rozmowy i sytuacje, które w ramach tych przedstawiać i rozwijać wypadło, nie były tu znane, codzienne społecznym nam dramatów; to nie jakaś np. córka, zmuszona iść za bogacza; bankier, palestrant, wojskowy, lub inna jakaś podobna przedstawiała się do określenia figura; ale charaktery innych uczuć, innego wieku, wiar innych, stosunki wreszcie, lubo fantastycznie stworzone, ale raz w dramat

ujęte na zasadzie tych charakterów. Przejęcie się myślą, słowem, uczuciem figur podobnych, wymagało już nie odbicia potoczności, ale rzetelnej poezyi (utworu z siebie).

Wskażemy tu bliżej na główne szczegóły tego wykładu, a zwłaszcza na rozwinięcie charakteru samej bohaterki misteryum; charakter ten bowiem, jako utwór żywszej fantazyi, mniej oczywiście trafiać może do powszechniejszego stopnia fantazyi, a stąd i być rozumianym.

Misteryum, jak rzekliśmy, rozwiniętem jest w trzech obrazach: pierwszy kończy się nawróceniem Tomiry, drugi odstępstwem jej, trzeci jej ukaraniem.

Obraz pierwszy jest przedstawieniem charakteru młodej poganki jako poganki, czasu jej dzieciństwa, jej pierwszego zajęcia się cudem i wiarą nową. Otwiera go monolog Tomiry, po ucieczce z domu błędzącej i przerażającej się i swym losem i swem sumieniem:

Czy cisza, czy burza,
Doliny i wzgórze
Przebiegam z tęsknotą.
U jakichże progów

Odpoczniesz, sieroto?
Ni w ziemi, ni w niebie,
Pociechy dla ciebie,
Bo żal masz do bogów!

Z sercem, fantazyą żywą, z potrzebą takiej lub innej wiary, a brakiem wszelkiej, młoda poganka napotyka tu orszak łowiecki i staje się świadkiem cudu. Nad Emerykiem, znanym z świętości życia i synem świętego, daje się słyszeć głos z nieba. Wypadek ten z czasów innego stopnia wiary, innego wieku, stan ekstazy samego Emeryka (stan znany nam tylko z niektórych pism z owych czasów), przedstawione tu nie we wzmiance, ale w obrazie żywym, który autorka szczegółowie umiała uobecnić przed sobą i skreślić. Emeryk odosobnionym był od orszaku, kiedy posłyszał głos z nieba, który też posłyszała Tomira; gdy wtem przybliżył się troskliwy i szukający go orszak.

Jeden strzelec.

Lecz cóż mu jest ? *Nieruchomy.*

Tomira.

*Z oczu jego biją gromy...
Nie groźby, lecz zachwycenia.*

Paź.

*Tak mu się skroń rozpromienia
Jako u świętych w misselu! ¹*

Król.

*Emeryku! Przyjacielu!
Przemów, czyś jeszcze na ziemi?*

Paź.

*Spuszcza ku nam oczy; gorą
Błyskami tak prorocze mi,
Że aż drzę świętą pokorą...*

Emeryk.

*Niebo, wieczności korona,
Skarbiec z gwiazdzistych różańców,
Samego Boga osłona;
To niebo bez chwil, ni krańców,
Obcuje ze śmiertelnemi!...
Jam usłyszał głos z niebiosów,
A był tyle wyższy nutą
Od wszystkich znanych mi głosów,
Ile cedr jest ponad różę,
Ile świętość nad pokutą.
On mi kazał na tej górze
Uczynić ofiarę...*

Żywe serce Tomiry, zrażone do wiary własnej, a szukające nowej, głośno tu przemówiło. Okrzyk Tomiry i piękność Tomiry zwróciły uwagę orszaku. Zajęcie się to Tomiry przedewszystkiem wiarą, i troskliwość orszaku przedewszystkiem o wiarę nieznaną, jakkolwiek określone w misteryum, oparte też i na historycznym kolorze wieku; dyalogi i obrazy misteryi tej wogóle w niczem się nie sprzeciwiają temu kolorowi. Sam naprzykład (niedawno do-

¹ [T. j. w mszale z miniaturami, jak to bywało w wiekach średnich].

wiedziony) zwyczaj u Słowian pogańskich poświęcania żon po śmierci mężów, wzmianki przy porównaniach o świątyni w Arkonie i t. p., są to szczegóły obrazów lub dialogów charakterystyczne, czasowe. Lecz czas ów był toznaczony, czas przede wszystkim krzewienia się wiary chrześcijańskiej po krajach Europy, krzewienia się jej w różny sposób, z różnych napozór powodów, i kiedy, praktycznie mówiąc, ukazywały się tylko serca zrodzone już do nawracania się, już do nawracania, sytuacja Tomiry wobec orszaku była więc naturalną, naturalnem było zajęcie się Emeryka Tomirą, i uczynione zaraz pytanie o wiarę jej.

Wiara ma nieokreślona;
Ta, którą miałam, już kona,
Nowej nie zgłębiłam jeszcze...

— odpowiada mu dziewczyna i dołącza wnet rys swego dzieciństwa i swego losu. Emeryk zajmuje się troskliwie i gorliwie dalszym jej losem, jej wiarą, i porucza ją opiece kapłanów. Obraz kończą proste, ale z uczuciem wymówione słowa wdzięczności Tomiry, zwrócone do Emeryka:

Oto dzień trzeci błąkam się tu z trwogą,
Nie śmiejąc wrócić do wioski...

— mówi, ale nad wszelką trwogę i niepokój dręczył mię stan mego sumienia, z któregoś wreszcie ty mię wybawił:

Straciłam wszystko, co miałam na ziemi,
Zwątpiłam o wszystkim w niebie;
Byłabym zmarła z uczuciami temi,
Gdyby nie przyłot twój drogi.
Ty, coś mi wrócił niebiosy!
Teraz znów wiem, że są bogi,
Bom usłyszała ich głosy...

Treścią obrazu drugiego jest poznanie się i stosunek Tomiry z Ahaswerusem. Przedstawienie tego obrazu wymagało, rzec można, sztuki o stopień wyżej; jeżeli przed-

stawienie szczegółów obrazu pierwszego Tomiry i Emeryka wymagało głównie *świeżej fantazyi*, rozwinięcie tego drugiego obrazu, to jest, przedstawienie grzesznika-wędrowca, który widział kraje i wieki i który słowem światowem odnosi stopniowo zwycięstwo nad sercem katechumenki, wymagało też podniesienia do stopnia sztuki: *świeżego myślenia*. Stosunek ten Tomiry z Tajemnym, nie przez omówienie, ale dramatycznie i szczegółowie tu rozwinięty.

Obraz zaczyna monolog Tomiry, pojącej trzodę baranków. Monolog ten, nacechowany prostotą słowa, przedstawia też nam jakby obrazek malarski Tomirę z jej otoczeniem, i kreśli dobrze stan fantazyi żywej katechumenki, łączącej każdy przedmiot, na który spogląda, z nauką nową.

Studnia wśród gaju u stóp Góry Świętokrzyskiej. Tomira wchodzi, prowadząc trzodę baranków.

Jakież rzewne ich głosy!

Kładą główki na łące;

Jak lilijki bez rosy

Kładą główki chwiejące.

(Zapuszcza wiadro).

Aż się szaty rwą moje,

Tak mię wkoło ciśnięcie.

Już się liny gnąc szyją.

Wraca wiadro: jak piją!

Każden płąsa jak dziecię,

Aż drzę, kiedy je poję,

Bo mi zda się, że we mnie

Okiem każdej owieczki

Chrystus patrzy tajemnie.

Nie! cudniejsze twe blaski,

O baranku, o boży!

Okiem Twojem gwiazdeczki,

Węlną — mleczy puch zorzy,

A twym głosem — pieśń łaski!

Czemuż jeszcze dni tyle

Z twą mię jutrznią rozdziela?

Dniu! gdy w Jordan się schylę,

Dniu balsamów, wesela,

Co mi zwieszysz u czoła

Mir, ten wieniec chrześcijanek... itd.

Lecz oto nagle nadeszła chmura; zahuczał grom; Tomira zwołuje baranki, a wtem daje się słyszeć zbliżający się zdaleka śpiew, którego treść także nie odstępowała od przedmiotu, o którym rozmyślała Tomira:

W krąg siedli, tem, co zdobyto,

Dziela się, a tę nieszytą¹

Na los rzucili, na los.

¹ [T. j. nieszytą szatę Chrystusa].

Tomira staje zdziwiona na widok szczególnej postaci nieznanego; Ahaswerus bierze ją za gorliwą chrześcijankę i zamierza ją zgubić. Ahaswerus bowiem przez sam fakt swojej kary przymuszonym był i wierzyć i nienawidzić Zbawcy ludzkości. Emeryk podbił Tomirę duchem, Ahaswerus miał niebezpieczniejszy oręż dla myśli ludzkiej: subtelności *rozumowania, wiedzy* (bogactw wiedzy nie mogło braknąć temu, który widział ziemie i wieki, ani rozumowania, kto przez wieki rozmyślał).

Nieznamy nie zaczyna bynajmniej od wyśmiewania wiary młodej dziewczynki, od kłamstwa, lecz owszem od słów prawdy istotnej, od obudzenia ufności ku sobie. Ujrzawszy Tomirę strwożoną widokiem burzy, objaśnia, iż nie trzeba się lękać burzy, t. j. zewnętrznych znaków, te bowiem są niczem z siebie; są one tylko skutkiem sprężyn *tajemnych*. Tomira słucha z zajęciem, dowiadyuje się, iż przyczyną, sprężyną rzeczy jawnych na ziemi są duchy, *świat duchów*, i woła:

O wskaż mi świat ten: oto jednej chwili
Ziemię, powietrze zaludniasz przede mną.

Ale Nieznajomy nie radzi jej tej wiadomości i mówi:

Oby się nie znać z tą sferą tajemną!...
Wierz mi, dziewico, wielu mędrców może
Dałoby chwałę swej wiedzy ponurój
Za takie chwile bez zwątpień, bez chmury,
Jakie ty spędzasz w ciszy i pokorze...
W tejrże naturze, w której widzę wroga,
Ty sądzisz widzieć cel czułości Boga;
Ty możesz jeszcze pokochać blask ranka,
Pieśń wodospadu, niewinność baranka.

Tomira ucałowała baranka i rzekła:

Bo i któż mógłby nie kochać stworzenia,
Co cierpi w ciszy — a ceni pieszczoty?...
Czyż ten wzrok niebem się nie rozpromienia?
Spójrz!...

Nieznajomy odwraca się i z uczuciem mówi:

Ten wzrok wspomnieniem duszę mą rozrania,
Ach, takiż wzrok miał tam, tam u Golgoty,
Kiedym go widział w męczarniach konania..

Tomira słucha i dziwi się, a Nieznajomy dodaje, iż ujrawszy ją siedzącą u studni, zajął się nią, bo mu przypomniała Rebekeę Izaakową i inną niewiastę (Samarytanę), której rozmowa u studni zapisaną jest w księdze, z której co chwila nasuwają mu się wspomnienia:

Tomira.

Jakaż to księga?

Ahaswerus.

Sądy o jej treści

Liczne i różne; księgą *dobrej wieści*

Wielu ją zowie; lecz jam śród jej zgłosek

Nic nie wyczytał — oprócz słów przekleństwa!

Widząc rosnące zainteresowanie się dziewczynki, Nieznajomy stara się też obudzić spólcucie ku sobie, i nie objaśniając przyczyny, objawia, iż cierpi a cierpi od wieków. Tomira radzi, iżby się udał do środków duchowych. Nieznajomy jej odpowiada, iż do różnych uciekał się po kolei: *mądrość, swoboda, złoto, rozkosz*, wszystko okazało się *próżnem*, i jedno mu tylko pozostało życzenie, lecz które zaspokojone być nie może — *śmierci*. Dowiedziawszy się, iż jeszcze nie jest chrześcijanką, zrzuca nareszcie maskę, pewniejszy skutku; ostrzega, iżby nie rachowała na nową wiarę i nie odrzucała wiary ojców.

Tomira zwraca uwagę na *spokój* i przyszłość, które wiara daje. Ahaswerus:

Duch twój na jego obietnice liczy;
Smutna ufności ofiaro!

Tomira mówi, iż tak powiada Emeryk, a Emerykowi nie można nie uwierzyć, bo samo niebo za nim przemawia.

Ahaswerus staje na miejscu, a wtem daje się słyszeć ów ścigający go głos: *Idź a idź naprzód!* Odchodzi, a pozostała Tomira, słowem podbita, uczuciem związana i cudem w końcu pokonana, zostaje z tem nowem uczuciem i troską nową. Co czynić? Albowiem i mimo *rozum* i mimo *serce*, inna jeszcze jakowaś silniejsza siła (*sumienie*) szepce jej, iż przy Emeryku jest prawda. Tomira traciła pokój; i jeżeli obraz nawrócenia zakończyła słowem wdzięczności dla Emeryka, obraz odstępstwa kończy wyrzutem dla Nieznajomego, obwiniając i siebie:

Obyś się nigdy nie był spotkał ze mną!...
 Ach, samo niebo potrzykroć tajemną
 Zdało się zbudzać przestrozę.
 Żalobna postać, jak duch, co cios wróży,
 Westchnienie dzwonu, piorunowa strzała,
 Mówiły: wracaj! A jam pozostała,
 I przyszedł z burzą *duch burzy*.

Obraz trzeci przedstawia dzień poświęcenia kościoła świętego Krzyża na Łysej Górze. Orszak królewski, król, księżę Emeryk przybywają na uroczystość. Tenże dzień przeznaczony jest i na chrzest Tomiry. Tomira postępuje na obrzęd z suknią godową na sobie, z zamiarem w duszy, ale w sercu z miłością dla Nieznajomego; z tąż miłością i Nieznajomy (który może po raz pierwszy w swojej wędrówce spotkał spółczucie) krążył co dnia koło niej. Wczoraj jeszcze jej przyrzekł, iż jeźliby nie przyjęła chrztu, on jej objawi swe imię, nauczy przyczyn wszechrzeczy, i jeśli pójdzie z nim razem przez szereg wieków, na tron wiedzy z nim wstąpi. Tomira boi się go, a jednak żąda, iżby go jeszcze raz ujrzeć; wyznaje, iż nad światło i słońce woli dzisiaj gromy i burze, bo te jej zawsze przybycie ukochanej postaci zapowiadają. Lecz oto zamiast Nieznajomego spotyka ją idący Emeryk. Emeryk zapytuje ją groźnie, czyli prawdą jest, co go doszło, iż widzą ją co dnia z człowiekiem jakimś, iż dla niego nauk kościelnych zaniedbuje. Prosta Tomira nie umie i nie chce wcale oszuki-

wać swego dobroczyńcy, i wyznaje i sam fakt i swoją wątpliwość:

Ach! jest istota nieokreślona,
 Duch, co w swe koło ziemian pochwyca,
 Uroku jego nic nie pokona,
 Bo w tym uroku jest *tajemnica!*
 Mądrości jego czas nie zaprzecza,
 Bo on oglądał wszech wieków dziwy...
 Ten to potężny mistrz nie z tej ziemi
 Raczy przemawiać do mnie ziemianki
 Słowy mądrymi, słowy rzewnemi,
 I jażbym miała nie czcić go?...

Tomira nie waha się nawet wyznać, iż Nieznajomy ten wyższy nad Emeryka, albowiem żył i obcował z samym Chrystusem. Emeryk zgaduje, wyklada jej, kto nim jest. Tomira rozpacza, płacze. Emeryk robi uwagę, iż ta lza zbawia ją. Tomira pociesza się i mówi z uniesieniem wdzięczności, zwracając się do Emeryka:

O, religio przebaczenia!
 Jakież serce ma twój Bóg!
 Jakże ty, świętości synu,
 Umiesz koić tych, co drżą;
 Ledwie płaczę mego czynu,
 A już nie pogardzasz mną!

Emeryk spieszy na obrzęd, a scena następna i przedostatnia dramatu, sprowadzająca w końcu katastrofę, jest sceną i tegoż stopnia sztuki (jeżeli nawet nie wyższej) jak poprzednie, i zarazem istotnego efektu.

Tomira nie chce już widzieć Nieznajomego i spieszy za Emerykiem, ale po drodze spotykają ją przeszkody *nie od niej zależne* (tak istotnie każdemu w położeniu podobnem tłumaczy jego słabość); to zasłona jej zaczepia się za róż kolce, i nie może jej łatwo oderwać; to spostrzega po drodze węża, którego nie odważa się przestąpić; a przeszkody te dały czas przybliżyć się największej, bo oto zbliżył się Ahaswerus, i ujrzawszy ją w sukni godowej, a sądząc, że

postępuje do ślubu, daje się słyszeć i temi słowami kończy swój śpiew rozpaczy:

Tak jak za Mojżesza sroga
Trwa z krzyżem odpłaty władza;
Bóstwo mych uczuć mię zdradza,
Bom zdradził Boga!...

Były to słowa namiętne, lecz w których mieściła się także właściwa Ahaswerusowi gorzka ironia z prawa nowego; serce wszakże kochanki, pamiętne świeżej nauki Emeryka, co innego w nich dosłyszało:

On *wyznał, że zdradził Boga,*
O iskro nadziei błoga!...
I on-by więc mógł znać żall...
Mamże uchodzić samolubną trwogą?
Wprawdzie, jeżeli uję¹, już nie mogą
Zgonić mię nowe ponęty w pokusie;
Ale nawzajem, jeżeli ustanę,
Choć me narażę zbawienie,
Może w nim jeszcze to serce zbłąkane
Zbawię — nawrócę — przemienię.

Ahaswerus ukazuje się i żali; Tomira wyrzuca mu podejrzenie:

Pojmuję wiele — lecz to, abyś moje
Posądzał serce, jakże ci wybaczę?...
Niewdzięczny, już zapomina,
Żem ja jedyna
Śmiała *zaufać*, iż może ukoję
Potępionego rozpacze...
Wszak się już chciałam wyrzec i sumienia
I ciszy, jak tracąc się ocenia,
I wiecznych krain, gdzie błyszczą anieli,
Dlatego tylko, że sercu motyle
Skrzydła spłonęły w ognistym zapędzie...
I dotąd nawet ..

¹ Sposób ten rozumowania w monologu przypomina (bez naśladownictwa) podobne miejsca w dramatach greckich i Szekspira.

Ahasverus (z uniesieniem).

I *dotąd?*...

Tomira.

Jeżeli

Nie chcesz mię zgubić, *oddal się*. — Przewaga
Ducha twójego tak się zwraca, wzmaga,
Ze gdybyś jeszcze działał nią przez chwilę,
Znówbym zginęła w obłądzie.

Ahasverus.

Jakież to słowa słyszałem?
»Oddal się« — ach, z ust Tomiry!...
Oby cię mniej miecz boży
Karał za ten *brak litości*
Niż mnie, choć tyś się tak srodze
Stawiła z Ahaswerusem
Jak Ahasverus z Chrystusem,
Może nawet jeszcze srożej.
Jam odmówił tylko *glazu*,
A tyś *serca*, co już pała;
Jam go odmówił *odrązu*,
Tyś złudną *nadzieję* dała.

»Czyż, gdybym poszła za tobą, nawróciłbyś się?« —
pyta Tomira. Ahasverus odpowiada, że już nie szemrałby.

Tomira (namiętnie).

A więc i ja będę szła
Choćby do dnia sądu!

Ahasverus (również).

Zbawiłaś mię! — jam *już* w niebie,
Gdy twa miłość poi mnie.
Śmierci! raz pierwszy do ciebie
Wołam: nie przychodź już, nie!

Na scenę tę nadchodzi Emeryk, groźny, nieubłagany
piekun:

Zbrodniarka wznawia błąd!
Wróć się, byś *nie doszła* — piekła!

Tomira (padając na kolana),

Nie mogę, bom już przyrzekła,
 Że z nim pójdę aż na sąd!
 Ach, to było nad me siły
 Zerwać niewidzialną nić,
 Co nas wiąże — moją łzę.
 By nie kochać, nie czcić go,
 Trzebaby kamieniem być!

— A więc nim stań się i w tej postaci idź do dnia sądu! — zawołał Emeryk i Tomira upadła głazem.

Obraz ten i zarazem misteryum kończy ukazanie się kapłanów i ów proroczy i grobowy ich śpiew: *Dies irae*.

Taka jest treść i w tych szczegółach rozwinięcie dramatu *Tomira*. Nie dołączymy tu żadnego szczególnego wniosku; sądzymy bowiem zawsze, iż w rzeczy dzieł sztuki dosyć jest dokładniej oznaczyć samą ich treść, a wniosek taki lub inny, z własnego przyznania czytelnika ukształcić się musi. Donosząc w roku zeszłym o treści *Improwizacy* autorki Tomiry, nie dołączyliśmy także od siebie żadnego prawie wniosku; zarzucono nam jednak przesadę (?), obwołanie autorki, jak się wyrażono, za »nowego Kolumba« itp. Chyba treść wskazywana sama przez się nastęrczała coś podobnego, a tem mniej był usprawiedliwiony i zarzut i jego źródło¹. Co do treści *Tomiry* (zawsze objaśniamy tylko tę treść), dodajmy, iż nie tylko widzimy w niej nowość — nowość i w *pomyśle* i w *formie*, iż poemat sam jako *dramat* i *fantastyczny*, najtrudniejszym był z gatunków

¹ Autor tego zarzutu tłumacząc powód, dla którego nie widzi poezyi w utworach autorki, mówi między innymi: »I cóż mi stąd, że się dowiaduję, jak się odbija światło na blaszce« i t. p. W którymś piśmie niemieckiem, zdaje się nam w *Leipziger Repertorium*, czytaliśmy niedawno to trafne zdanie o znaczeniu poezyi, które może być niejako odpowiedzią na rodzaj powyższego zarzutu: Jakiż jest ostatecznie cel ludzkości w jej względzie moralnym? Oto: poznać siebie w swojej istocie i umieć sobą zarządzać. Jakiż jest ostatecznie cel poezyi? Oto: *zjawiska przyrody i dziejów* w podniesieniu do światła wiecznego porządku świata przed oczy ludzkości postawić.

poezji do wykonania; lecz oraz iż mimo napozór powtarzanie tylko dziejów, legend, lub dziejów zwyczajnych ludzkiego serca, widzimy w nim razem zamkniętą i rozwiniętą i myśl wewnętrzną, i stąd, jak się mówi, cel wyższy; a zamknięcie to wykonane ze sztuką właściwą autorce, to jest, iż bytność tej myśli wewnętrznej w tym dramacie jest właśnie jak w dramacie świata, gdzie wypadki zdają się toczyć naturalnie, według swych praw zewnętrznych, lecz skrycie i pewne wewnętrzne znaczenie im towarzyszy, w nich spełnia się¹.

Główna po bohaterce figura w tej misteryi, żyd wieczny tułacz, jest to, jak wiadomo, figura alegoryczna (po raz pierwszy podobno użyta w wieku XIII-tym dla wyrażenia wogóle losu ludu żydowskiego), a która w ostatnich czasach, w różnych dowolnych warunkach co do szczegółów swego bytu, za machinę używaną była w poematach (Goethe, Edgar Quinet i t. p.). W dramacie obecnym figura ta użyta jest oczywiście za allegoryą *wiedzy* czysto świeckiej, w *rozmyślnej i umyślnej sprzeczności z wiarą* idącej. Los bohaterki dramatu oznaczył dobrze los wielbicieli tej wiedzy, a którym jest: »iść do dnia sądu w szacie zapomnienia«; jest to los, który, patrząc na dzieje, chociażby tylko piśmienne, istotnie sprawdza się zawsze i sprawdza to zapowiedzenie Zbawcy, »iż wszelka latorośl, która w nim nie trwa, uschnie, i zbiorą ją i do ognia wrzucą i zgorę« (*Jan*, XXV, 6).

Co do strony ujemnej (której także musimy szukać w *każdym* utworze), powód niejaki ujemności w kompozycji misteryi *Tomira* tkwi w głównym właśnie przymiotcie autorki jako autorki, to jest: w darze *improwizacji*, czyli *tworzenia śpiesznego*. Autorka improwizuje, widzimy, nie tylko wiersze, ale też myśli, pomysły, sceny, całe

¹ Uwagę tę uczyniła i myśląca autorka pisma: »O wychowaniu kobiet« [Eleonora Ziemięcka] w artykule o *Tomirze* [w »Gazecie Warszawskiej«].

obrazy, dając wykonaną już całość wtedy, kiedy myśl inna zaledwie nad układem i pomysłem ram dopieroby rozmyślała. Mimo wszakże przywilej *natchnienia*, częstką wartości wewnętrznej w każdym uczynku ludzkim winna być oczywiście i pewna *zasługa*, praca. Zbyt już rzadziej, jak w poprzednich poezjach, znalazłoby się jednak i w obecnym dramacie niejedno jeszcze miejsce niejkiej prozy. Usterki takie w treści, jak odsyłanie Tomiry przez Emeryka do zakonników na Łysej Górze, którzy dopiero tam sprowadzeni byli po założeniu kościoła, postawionego wskutek daru Emeryka; znajdowanie się tegoż w obrazie trzecim przy obrzędzie dokończenia kościoła, kiedy w obrazie pierwszym był już na pożegnalnych łowach i t. p. — są to usterki, które zdawałoby się mogły skutkiem braku kombinacji logicznej; wady, która jednak ze wszystkich może żyjących autorek, że nie powiemy autorów, najmniej zapewne mogłaby być zarzuconą skądinąd autorce *Tomiry*. Rzeczywiście więc są to tylko skutki *pośpiechu*, który mniej już zważać dozwalał na dodatkowe ramy. Trzy legendy, użyte za tło w dramacie (Emeryk, Tomira, Ahaswerus) może też nazbyt przesadzają efektem cudowności (warunkiem której jest właśnie *szczegółność*, nie *pospolitłość*) i przez to szkodzą efektowi. Niejakie ostudzenie fantazyi (które wszakże iść musi z dniem każdym) nie byłoby zapewne na niekorzyść utworów autorki¹.

1855.

3.

Lat już kilka, jak znane być w kraju zaczęły poezye młodej autorki, pod imieniem Deotymy piszącej. Mało jest

¹ W poezyi niemieckiej z roku zeszłego główne powodzenie miało także dramatyczne *mysteryum*. O wartości tego obrazu wiemy tylko z doniesień w pismach czasowych, i nie znamy nawet jego treści; źródło obu mysteryj zdaje się spoczywać tylko w naturze wieku i podobieństwie od niejkiego czasu zwrotów spekulacyjnych w obu krajach.

przykładów, iżby jaki zjawiony talent tyle zyskał od razu hołdów, uwielbień, rozgłosu, iżby w przeciągu lat kilku przeszedł koleje, które zwykle długiego dopiero zawodu piśmiennego bywają udziałem. Zaledwie się ukazały pierwsze utwory ducha tej młodej poetki, wszystko, co się zajmuje w kraju ruchem piśmiennym, dało swój poklask. Pisma peryodyczne krajowe ubiegać się na wyścigi zaczęły o zaszczyt umieszczenia chociaż jednego z jej utworów, — najznakomitsi pisarze krajowi już w ten, już w inny sposób pośpieszyli wyrazić swój podziw¹, — osoby zasłużone zajęły się ich przekładem na język obcy², — pisma owszem wszystkich prawie języków doniosły o tym nowym talencie.

To następstwo wywołało jednak niedługo następstwo inne. Znaleźli się wkrótce pisarze i nawet z uczuciem poetycznym, pisarze, którzy przeciwnie nad owym zjawionym podziwem wyrazili swój podziw. Odmówiono autorce nie tylko wyższej zasługi, wyższej poezji, ale nawet wszelkiej zasługi, wszelkiej poezji. W miejsce ód nastąpiły parodie; a publiczność, która poklaskiwała pierwszemu hasłu, poklasnęła też i drugiemu.

Taki fakt wywołuje z kolei uwagi nad sobą samym, to jest nad swoim *przedmiotem*, i chcemy ich tu kilka uczynić. Może zastanowienie się bliższe nad charakterem, nad szczegółami talentu, o którym mowa, wpłynie na ich ocenienie właściwsze, może też i rozwiciu samego tego talentu sądzonem jest, iżby do jego rozkwitu przyczyniły się jakie wpływy uwagi obcej.

¹ Takimi *np.* są: zwrot poświęcony Deotymie w 3-m tomie *Estetyki* Józefa Kremera; — studia nad jej talentem *Z. Kaczkowskiego* (ogłoszone w *Gazecie Warszawskiej* z r. 1854 i oddzielnie); poezye do *Deotymy*: *A. Mickiewicza*, *A. E. Odyńca*, *Choźki* i t. p. [Wiersz do Deotymy, przypisywany Mickiewiczowi, z pewnością nie jest pióra Mickiewicza].

² Wspomnimy tu tylko, iż znany z nauki i zasług, zmarły w r. 1855 generał *Szylder* zajmował się (jak to z ust jego sami słyszeliśmy) przekładem poezyj Deotymy na język niemiecki.

Co do nas, powiedzmy to: iż w poetycznych utworach Deotymy widzimy nie tylko talent, ale coś więcej niż talent. Może owszem pośród współczesnych nam zjawisk, niema bogatszego duchowie, jak jest dar tej poetki. Poetka ta większej części swoich utworów daje napis *improwizacyj*, bo je zwykle piórem lub słowem improwizuje, t. j. z szybkością samego natchnienia tworzy; — całość jednak poetyczna, którą w ten sposób nam daje, takiej jest zwykle treści, że historia tworzenia się jej, czyli improwizacya, która gdzieindziej jest wszyskiem, tu się staje najmniejszą zaletą. Każdy taki utwór autorki tak jest zwykle zamożny w poezję, iż poetyczności tej mógłby pozazdrościć każdy, by najznakomitszy poeta, i tak jest przytem bogaty w myśl, spekulacyę, iż myśli tych mógłby się nie powstydić żaden filozof, iż owszem stałby nieraz mogły za ramy nowego spekulacyjnego systemu.

Co i dlaczego widzi nam się niekiedy ujemnem w poezjach autorki? — co i dlaczego wydać mogło szereg zdań jej zasłudze przeciwnych? — wnet o tem powiemy niżej; — tu jednak wychodząc z uznania, iż autorka ta jest poetką istotnie, iż jej talent odznaczył owszem wyraźnie swoją właściwość, — zastanowimy się raczej zgóry nad przyczynami, które ją wydały taką nie inną, a ustęp ten uczyni dalej jaśniejszą samą charakterystykę.

W rozwiciu wypadków większych, mniejszych, i wszelkich, nie jest skutek bez przyczyny; — te przyczyny muszą być jedne poprzednie, drugie następne, to jest te, które przyszły, iżby zrodziły, i te, które się przybliżyły, iżby zrodzone zostały; — powiemy w naszym przedmiocie przynajmniej o pierwszych, jako lepiej nam znanych.

Przyczyny, które uczyniły Deotymę poetką taką, nie inną, są jedne ogólne krajowe, drugie jej wyłącznie właściwe, domowe. Nie powiadamy, iżby te i owe przyczyny koniecznie musiały stworzyć Deotymę poetką; Deotyma, jak wiele osób śród tychże warunków wzrosłych, mogła wcale nie być poetką; i jest nią przedewszystkiem dlatego.

iż się urodziła poetką; zastanawiamy się tylko, dlaczego raz urodzona poetką, mogła stać się taką, nie inną?

Przez powszechną krajową przyczynę rozumiemy literaturę ogólną, do której autorka przyszła, aby w niej miejsce zająć. Rok jest ledwie 4-ty lub 5-ty od czasu ukazania się pierwszej improwizacji Deotymy; poprzedni więc lat dziesiątek naszej literatury był to ów czas, który znalazł rosnącą poetkę, i który przeto takim, nie innym kierunkiem wpłynąć musiał na taki, nie inny, kierunek młodej fantazyi.

Jakaż była i jest charakterystyka lat owego dziesiątka, to jest ostatnich lat kilkunastu naszej literatury? Nie piszemy tu wcale fragmentu historycznego, a dotkniemy tylko ogólną wzmianką tego przedmiotu.

Za wiek złoty literatury polskiej uważany jest dotąd zawsze wiek Zygmuntowski, i słusznie; — dla wieku tego z głównem uszanowaniem zawsze będzie literatura; — zakwitł był bowiem w czasie, kiedy w ogóle piśmiennictw europejskich pisanie językiem własnym było jeszcze nowością, kiedy liczba piszących w jakimkolwiek kraju była jeszcze rzadkością. Wszakże odłożywszy na bok język i czynność, literatura polska nie byłaby nigdy zbyt żywotną i ważną gałęzią piśmiennictwa ludzkiego, gdyby rzeczywiście wiek Zygmuntowski miał zostać wiekiem jej głównym. Kroniki zasłużone i bez końca, lecz tylko *kroniki*, — polityczne i religijne polemiki z charakterem czasowym, lecz tylko *czasowym*, — poezye Jana Kochanowskiego i naśladowców, — po parę pism z działu każdej spółczesnej umiejętności, przenoszących do kraju umiejętność obcą, — przekłady epopej włoskich i starożytnych; oto jest prawie wszystko, co pozostaje znaczącem z literatury tej; był to brzask raczej świetny literatury, nie czas jej słońca, to jest nie ten jej okres, który wydaje rośliny i kwiaty, dla ogółu życia ludzkości wróżyć owoc.

Nieobrachowane są drogi i szczegóły, któremi i w jakich rozwijają się ludy stworzone; — liczymy tu tylko

fakta, i albo mylimy się bardzo, albo czas ów żywotny, czas rzetelnego rozkwitu w naszej literaturze przyszedł właśnie na biegnące przed nami dziesiątki naszego stulecia. Do tradycji już tylko wkrótce należeć będzie to niegdyś upowszechnione zdanie, iż myśl polska nic z siebie wydać, a naśladować tylko jest w stanie¹. Obudzenie się ufności w siebie, w swe siły, a stąd *oryginalność*, ten najpierwszy warunek odznaczenia się danej literatury od innych, i jednocześnie talent, ten dar zjawiający się w duszach nie wskutek chęci lub pracy, ale z woli wyższej; dwie te cechy będące wskazówką główną stanu kwitnięcia, nadejścia czasu, są własnością wszystkich prawie pisarzy naszych obecnej epoki. Autorowie pism naszych filozoficznych, jak *Libelt*, *Trentowski*², *Kremer*, *Cieszkowski* i inni; poeci, jak *Mickiewicz*, *Zaleski*, *Pol*, *Zyg. Krasiniński* (że nie wspomnimy tu nic o bliższych nam); powieściopisarze, jak *Rzewuski*, *Kaczkowski*, i tylu innych, których nazwiska zna każdy w kraju od dziecka do starca; historycy, jak *Dzieduszycki*, *Szajnocha* i t. d.: są to wszystko pisarze, których utwory godne są wieku kwiatu literatury. Wszyscy ci i wielu innych, których nie wymieniliśmy, kształcą łącznie ten kwiat, jakkolwiek cel i żywotność każdego nierównie widne. Kwiat każdy składa się już z ozdób, już z żywotności, stąd jedni

¹ Podobnie kiedyś sądzono w Anglii za wieku Anny; w Niemczech niedawniej jeszcze *Leibnitz* i *Fryderyk W.* nie ośmielili się nawet dla objaśnienia swych pomysłów używać języka krajowego.

² Lubiliśmy zawsze być blisko ze wszystkimi głównymi pismami, które dotąd gałąź ogólna filozofii od czasu nastania swego wydała, i śmiało powiemy, że pisma jak *System loiki krajowej* B. Tr. (reformujący loikę Hegla tak zmianą momentów tworzenia się myśli, jak przeniesieniem nauki loiki w granice rzetelne loiki) i *System umniactwa* *Libelta* (rozwijający w miejscu dotychczasowych filozofij *rozumu*, filozofię *wyobraźni* jako przejście do filozofii *czynu*), są to pisma, które tak ze względu na talent wykonania jako i *oryginalność* pomysłów do rzędu najznakomitszych dotychczasowych w owej gałęzi odniesione być mogą. Na niektóre strony ujemne tych pism według sądu naszego wskazaliśmy w piśmie *Początki Filozofii krajowej* (*Rozbiory i Krytyki*, 1854, Warszawa, tom I-szy).

z pisarzy kwiatu są ci, którzy tylko kształcą ozdoby, inni, którzy (że tak powiemy) odpowiadają słupkom pręcika i pyłkom tarczy kwiatowej i którzy odznaczają głównie żywotność. Cóż to jest ta żywotność danej literatury? oraz czyli i w czym mianowicie widną jest w naszej? Literatura dana żywotną mianowicie jest wtedy, kiedy odbija wewnętrzną naturę współczesnej epoki ludzkiej. Wiek biegnący życia ludzkości nie jest to wiek jej *dzieciństwa*, *młodości*, ale wiek *męski*; nie *pamięć* (wiek pierwszych tradycji czyli religij), ani *fantazyja* (epoka grecka) cechą jest podrosłej i rozrosłej już dzisiaj ludzkości, — a raczej *rozważa* i *zamyslenie*. Nie o początkach już dzisiaj myślimy Ludzkości i świata jak niegdyś, nie o używaniu tego świata wyłącznie jak potem, — lecz raczej o czasach już rozwiązania Ludzkości, o świata końcu. Umiejętność, filozofia, historia, sama religia, tj. jej teologia, stroną tą, ledwo tylko ogólnie dotykana przedtem, coraz się bliżej zajmują. Literatura, któraby się mogła dziś nazwać żywotną istotnie, musi właśnie tę cechę wewnętrzną myśli Ludzkości, to zajęcie się, te względy odbijać.

Te względy były to właśnie *wypadkowe ziarna*, które zakończyły poprzedzający nas okres filozofii niemieckiej i względy te były to właśnie ziarna źródłowe, które rozpoczęły nowy okres naszego krajowego myślenia. Od autora *Metapolityki Messyjanicznej*¹ do autora *Modlitwy Pańskiej* [»Ojczy nasz« Aug. Cieszkowskiego], we wszystkich prawie filozoficznych pismach naszych, wiek przyszedł, wiek dla życia Ludzkości nadejść mający, jest głównym przedmiotem, celem prac, rozmyślenia. Te zasady pism mało znanych, z treści niepopularnych, przez koryta pism popularnych przeszły dalej, jak wszędzie, do ogółu myśli krajowej. Śpiewacy *np.* fantazyj, poeci jak Adam Mickiewicz, Juliusz

¹ *Hoene Wronski*. Autor ten w początkach jeszcze wieku bieżącego osiadł we Francji, zrazu matematyk genialny, następnie wynalezioną swą ogólną *formułę matematyczną* przenoszący do zrozumienia i przepowiedania rozwijających się dziejów powszechnych, może się nazwać ojcem ostatniego zwrotu naszej filozofii.

Słowacki, Zygmunt Krasiński i inni, wiek ów jakiś daleki, wiek przerodzenia Ludzkości, to znowu jakiś wiek przejścia, już mową wiązaną, już niewiązaną głównie wyśpiewywali.

Ten był duch, ten kierunek odróżniający w stronie swojej żywotnej piśmiennictwo nasze od innych piśmiennictw Ludzkości, kiedy je zaczęła poznawać i niemi się przejmować autorka, o której mówimy. To było kierunku w jej talencie źródło ogólne krajowe; jakież było obok domowe?

Dom rodziców autorki, zamieszkujących prawie nieprzerwanie Warszawę (mówimy tu o rzeczach społecznych, powszechnie znanych), był to dom, który w salonach swych przez lat kilkanaście zgromadzał, — *chciał, umiał i mógł* zgromadzać to wszystko, co najwięcej odznaczonem było wśród miasta światowie jak i duchowie. Znane powszechnie w mieście przez owe lata *wieczory poniedziałkowe* były i pozostaną epoką w kronice miasta Warszawy, a może z powodu następstwa i w życiu duchowem kraju. Głównem tłem tych wieczorów były rozmowy, spory w przedmiotach ze wszelkiej gałęzi wiedzy, umiejętności i nauk, a główną ozdobą moralną sfera sztuk pięknych, egzekucye muzyczne, śpiew, deklamacye, sprzeczki poważne. Te i podobne tym szczegóły w czasie owych zebrań wieczornych plotły się, rozwijały, i zapewne działały silnie ze swej strony na fantazyę rosnącej poetki, lub raczej bezpośrednio wchodziły w skład jej pierwiastków, — jakoż ostatnim wpływem tych zebrań i zarazem czasem ich najświetniejszym, były właśnie *improwizacye* samej autorki.

Te były, powtarzamy, praktyczne źródła poczęcia się natchnienia Deotymy, treści ich i kierunku, te wpłynęły na ich charakter. Śród owych żywych rozmów i sprzeczek, których zwykle były przedmiotem najnowsze w literaturze krajowej pisma, autorka i nie wiedziała zapewne o owem zdaniu, że myśl polska naśladowczą tylko być może, być nie może oryginalną, — ona sądziła zapewne, że myśl żadna nie może być inną jak taką, jeżeli rzeczywiście jest

myślą; — jakoż jest to najpierwszą ogólną cechą wszystkich Deotymy utworów, iż w nich niema *ani cienia naśladownictwa*.

Śród owych rozmów i sprzeczek, w których spierano się tylko o takie lub inne *cele* stworzonych rzeczy, o takie lub inne *znaczenie* szczególnych zdarzeń, autorka i nie pomyślała zapewne, iżby być coś mogło bez celu, być oderwane, być bez stosunku do ogółu; stąd też drugim stałym i nieodłącznym rysem charakteru wszystkich jej utworów jest: pamięć na *cel*, cel każdej rzeczy pośredni i bezpośredni, chwilowy i ostateczny.

Śród owych rozmów i sprzeczek, gdzie się spierano tylko, w czym wieki przyjdą kiedyś mające różnić się będą od naszych, w jakim będą stosunku do naszych, autorka i nie pomyślała zapewne, iżby przyszłość nie miała kiedyś z gruntu przemienić biegących czasów i uznawszy loiczność społecznych racyj, wierząc w prorocтва, uznała i uwierzyła, iż wiek, który ma kiedyś nadejść, będzie to jakaś Era o tyle od naszej wyższa, o ile jest nasza od dawnych, i owszem więcej; — iż będzie to jakiś wiek nowy *Pokoju, Miłości, Szczęścia, szczytu Mądrości*, i że do wieku owego wszystkie szczegóły dziś istniejącego bytu w harmonii dążą¹.

Te ramy są to ramy wszystkich prawie krótszych i dłuższych utworów Deotymy. Najprzód i przede wszystkim *Wiara*, a wiara w *prawdę* chrześcijańską, pochwywanie jej w zwrocie do życia, wiara w *prawdę Miłości*, *prawdę Mądrości*, *Postęp*, *Wszzechharmonię*, *Wszzechzwiązek* i przybliżanie się *Ery nowej*, — jest to tło i charakter treści wewnętrznej każdego prawie z owych utworów. Rzeczy można, że trzy cnoty chrześcijańskie: *Wiara*, *Nadzieja* i *Miłość* to *Sztuka Rymotwórcza* autorki.

¹ Iż wiara podobna nie tylko nie jest przeciwna, ale owszem wpływa z ducha i jest we wszystkim zgodna z nauką katolicko-chrześcijańską, okazaliśmy to także w naszym powyższem piśmie w oddziale *Wiek szczęścia*.

Treść taką odziewa zawsze, dodajmy, wiersz gładki i harmonijny, w harmonii swej rozmaity i nieraz silny.

Taki ogólny charakter wszystkich utworów Deotymy; poznajmy teraz pokrótce bliżej ich szczegóły.

Powiedzieliśmy, iż Deotyma w utworach swych jest z gruntu oryginalną; znane podziały i nazwiska nie mogłyby się więc zastosować do jej poezyj; poezye te nie są to *np.* ani *elegie*, ani *hymny*, *ody*, *ballady*, *satyry* i t. p.: treść ich jest to poetyczne fantazyowanie przedmiotu każdego w granicach tych ram, o jakich dopiero rzekliśmy, i może im tylko służyć ogólne nazwisko *Fantazyj*¹. Jeżelibyśmy zaś dla przedstawienia bliżej ich charakteru różność jaką pomiędzy niemi dopatrzeć mogli, to chyba, iż jedne poświęcone są wykładowi *ogólnego biegu* Ludzkości i rzeczy świata; drugie (i tych liczba największa) — wykładowi znaczenia *szczególnych rzeczy*, czyli to utworzonych przez człowieka, czy tylko otaczających człowieka; i wreszcie trzecie, w których fantazyowane są *rysy* samego człowieka.

Weźmy i przytoczmy tu treść kilku fantazyj z każdego z tych działów.

Do fantazyj, które nam odkreślają najlepiej ogólne zapatrywanie się autorki na bieg rzeczy stworzonych, jej system w tym względzie, odnieść możemy *np.* fantazyje: *Gnoza*, *Podróż myśli w świat dziejowy*, *Miłość Najwyższa* i *Zmiluj się nad nami*.

Wiersz *Gnoza* (z greckiego *gnosis*, poznanie) jest może najogólniejszym wykładem systemu racjonalnego młodej autorki. »*I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi*«², rzekł *Chrystus*; — wyswobodzi od grzechu, a stąd i wszelkich następstw grzechowych jako to: *cierpień*, *ucisków*, *ciemności*, *nieszczęść* i samej *śmierci*. Wiersz *Gnoza* zdaje się nam być fantazyowaniem właściwie tej prawdy. *Do-*

¹ Wydane dotąd przez Deotymę pisma są: *Improwizacye i Poezye*, Warszawa 1854; *Tomira*, Warsz. 1855; *Improwizacye i Poezye, poczet drugi*, Warsz. 1858.

² *Jan*, VIII, 32.

skonalenie Wiedzy, Poznania, to główna potrzeba Ludzkości, rękojmia zbawienia jej. Utwór świata materialnego jest dopiero figurą duchowego, który ma przyjść. — To jest treść wiersza.

Przytaczamy tu zaczęcie, środek i dokończenie tej poezyi. Przytoczenie to zaznajomi też czytelnika, nie znającego dotąd poezyj Deotymy, ze śmiałością i oryginalnością jej myśli.

Świat spoczywał spowity w całunowem niebie,
I był, lecz jakby nie był; — bo w bezdennej ciemni
Ciszej od zwartej księgi, od sfinksa tajemniéj,
Leżał, — i nikt go nie znał i sam nie znał siebie.
Ale gdy twórcze słowo niezbadanej siły
Wyrzekło: *stań się światło*, padł świt wielkiej zmiany,
Istoty w grze kolorów się uwidomiły,
I świat dopiero *stał się*, — bo został *poznany*.

Jednak tylko *pół świata* zmieniło to słowo:
Świat ducha, gmach wieczności, przybytek kolosów,
Którego świat zewnętrzny jest tylko obrazem,
Leżał jeszcze w całunie duchowych niebiosów,
I czekał, by moc twórcza powtórny rozkazem,
Starłszy już noc widzialną, starła noc duchową;
Lecz Stwórca nie chciał wyrzec powtórnego słowa,
I w świat dziwnie rozdarty wprowadził *człowieka*.

Spojrzał wyrzekł: jego jedna zewnętrzna połowa
Błyszczcy w sukni z eteru, w słońce przepasce złotéj;
A druga jeszcze leży w bezdeniach ciemnoty!
Szczęśliwy, kto tę drugą do światła wywoła!
Miłość moja dla ciebie tej chwały się rzeka:
Oto promień mądrości zwieszam ci u czoła;
Ty rzeknij nowe *stań się* — i niech słowo ludzi
Wiedzą, tem drugim *światłem*, drugi świat rozbudzi!

(Człowiek jednak najgorzej wypełnił ten rozkaz, i zamiast w świetle zanurzył się w głupstwie, rozpustach, aż zaszła zmiana).

Jakaż to łuna z nieba? ... niech ciemność ucieka,
Gnozo! o Boska Gnozo! idzie król twej chwały!
Światłość w jego imieniu to *światłość prawdziwa*,

*Światłość, która oświeca każdego człowieka,
Przyszła... ale ciemności jej nie zrozumiały.*

Jednak koronne magi, te od Gnozy posty,
Zdała przeczuły Mistrza i hołd mu przyniosły.

.....
On wrócił do światłości, do ojczyzny swojej,
I światłość, choć przyćmiona, już po nim została.

.....
Błogosławione wieki, które rozumieją,
Że wiedza świat ocali, gdy wszystkim zaświeci.
Trzeba tłumy badaczy, szeregu stuleci,
Na wymówienie jednej, ach tak, jednej głoski
Z tego nakazu: *stań się!* — lecz żyj, o nadziejo!
Już wiele głosek świeci na duchowym niebie,
Kiedy ostatnia padnie z piersi mędrców boskiej,
Świat duchowy się wstrząśnie świtem wielkiej zmiany...
Dotąd jest, jakby nie był, póki nie zna siebie,
I dopiero żyć zacznie, gdy będzie *poznany*.

Fantazya *Podróż myśli w świat dziejowy*, jedna z najdłuższych, jest to poezya, która bliżej objaśnia pogląd autorki na kolej rozwijania się dziejów, jest jakby podanie ram do historyozofii, a zarazem i odpowiedź na zapytanie: czyli istnieje *postęp*?

Autorka rozmyślając o dziejach, o burzach, które następują co chwila uderzając o Ludzkość, wniosła: iż ta, aby nie upaść, *stoi*, — lecz oto ukazał się tak myślącej, nagle, w kształcie widomego zjawiska, *duch-postęp* i wyłożył jej koleje dziejów; — Ludzkość ma oznaczone do przebycia er *sześć*; teraz jesteśmy u 5-tej, a 6-ta ostatnia blisko. Ludzkość jest w części *zmysłową*, w części *duchową*; trzy pierwsze ery pracowały stopniowo i w końcu wydały w 3-ej *piękność zmysłową* (Grecya), trzy drugie pracują stopniowie i wydadzą w końcu *piękność duchową*. Jak era trzecia starożytności (klasyczna i estetyczna) była syntezą czyli wynikiem dwóch poprzednich, tak i era ostatnia 6-ta, która ma przyjść, będzie syntezą dwóch sobie poprzednich, tj. epoki wiary (wieki średnie) i epoki wiedzy (obecnie

biegącej). Wykład ten objaśnia więc razem, że *duch postęp* jest *duchem dziejów*.

Miłość najwyższa. Fantazyja ta czyli wielka parabola tłumaczy nam znowu z innego punktu widziany mechanizm dziejów Ludzkości. Pewien król miał oblubienicę, kochał ją i pragnął ją sobie poślubić; lecz pierwej pragnął zrównoważyć uczucia. Oblubienica kochała go i czuła wdzięczność za wybór; król przed ślubem chciał więc, iżby także do uczucia swego mógł dołączyć wdzięczność i w tym celu opuścił ją na czas (na pozór), iżby doświadczył. Jakoż ujrzał, iż ukazał się wkrótce młodzieniec strojny we wdzięki, ujęcie i pragnął odbić dziewicę; — dziewica okazała się stałą, lecz młodzieniec nie szczędził pokus, i gdy wreszcie zapewnić ją zdołał, że narzeczony o niej nie myśli, do niej nie wróci, zawahała się, ale w chwili upadku skruszył ją żal i — skonała. Śmierć ta stała się jednak dla niej początkiem nowego życia; król nie wymagał więcej, zbudził ją z martwych i zawołał ku sobie na wieczne życie. Staje się jasnym, iż w przypowieści tej król jest to *Bóg*, jego oblubienica — *Ludzkość*, a kusicielem jej — *Szatan*.

Fantazyja, kończąca oddział *improwizacyj* w ostatnim zbiorze autorki, a mająca napis: *Zmiłuj się nad nami*, znowu z innego punktu wyklada pogląd na dzieje. Po każdym buncie człowiek woła do Boga »*zmiłuj się nad nami*«, ale Bóg się nie zmiłowywa, bo nie nagradza buntów. — Mamyż więc cierpieć wiecznie na ziemi nieszczęście? — By dać odpowiedź, ukazuje się autorce ideał cierpienia, Job, i odsłania jej część tajemnicy z losów i dziejów Ludzkości. Bóg rozgniewany niegdyś na Ludzkość, iżby był przebłagany, zapotrzebował od niej dwóch czar ofiarnych: *czary krwi* i *czary łez*; pierwszą zapełnił i przepęłnił ofiarą swoją sam Syn Boży w ludzkie ciało wcielony; — nieszczęścia jednak z ziemi nie znikły jeszcze, bo jeszcze czara łez nie jest pełna. Każdy człowiek, lud, naród, im więcej dokłada łez do tej czary, tem więcej przeważa dzieje i epokę ogólnego szczęścia przyśpiesza.

Fantazyje, które mają za przedmiot *znaczenie szczególnych rzeczy*, są główną oryginalnością autorki. Powyższe ogólne ramy poglądu na dzieje powszechne są wprawdzie jej własne, nie są jednak nowością z gruntu, ma podobne każda prawie spólcześnie książka spekulacyjna. Podczas jednak kiedy pisarze spólcześni przestają na uznaniu tych ram, na twierdzeniach ogólnych, autorka stara się przedrzeć do szczegółów. Nie dzieje, nie sama Ludzkość, nie człowiek, lecz wszystko, co wkoło istnieje, co świat ten składa, jest przedmiotem badań, określeń, igrania fantazyi autorki w granicach tych ram. Od kamieni do duchów, od gwiazd do roślin, wszystko, co otacza człowieka, i co jest dziełem ducha człowieka, brane jest za przedmiot fantazyi. Sztuki piękne: *Muzyka, Malarstwo, Snycerstwo, Architektura, Śpiew, Tańce*, sama *Poezja*; — przedmioty nieznaney nam żywotności, jak *Gwiazdy, Góry, Kamienie, Wody, Ogień* i t. p.; — przedmioty z klasy żywotnej jak *Kwiaty, Ptaki, Owady* i t. p.: wszystko to są napisy fantazyj autorki. Treścią każdej prawie z takich fantazyj jest *spoglądanie na wewnętrzne znaczenie danego przedmiotu*, a mianowicie: znaczenie jego *śróđ chwili*, znaczenie *dziejowe*, stosunek do innych przedmiotów i wreszcie, a nadewszystko, stosunek do *wieku nowego*.

Dla objaśnienia przytoczymy tu treść chociaż kilku z tego rodzaju fantazyj, a z najrozmaitszych przedmiotów; — wybieramy noszące napis: *Tańce, Góry, Harmonia, Astronomia* i *Różaniec*.

Tańce. Autorka przebiega w wierszu tym tańce różnych krajów i wskazuje, jak te odbijają swą treścią różne charaktery tych krajów; — jak wreszcie w ogólnym tańcu iść muszą ludy, aż kiedyś największa z tancerek — śmierć, pokonaną zostanie, a płąsy ciał niebieskich i płąsy ciał ziemskich w jeden harmonijny taniec się złączą.

Harmonia. Jest to poezya fantazyjująca *głos* i dopatrująca się znaczenia i celów głosu. Głos ludzki śpiewa i w kościele i przy biesiadzie, przy kolebce i przy pogrze-

bie. »Bóg Ludzkość stworzył w *jednię*, a jej pieśń *chaosem*«, — czemu? bo życie to walka nieba i piekła, prawdy i fałszu, walka dwóch głosów, a harmonię tworzy nie *dwugłos*, lecz tworzy *trójgłos*. *Grzmot* na Synai, *Jęk* na Kalwaryi, *Szum* w Wieczerniku, to *trójgłos*.

Nie głos jeden, nie dwugłos, lecz ten trójgłos boży
Dźwięczy szczęściem, bo tylko on harmonię tworzy.
Nie zabrzmi on tęsknotą, ni wahaniem srogiem,
Bo nie zna samotności ten, co trzykroć Bogiem;
Nie zna walk, bo duch *Mądrość* tem żyje jedynie,
Że wiecznie z *władzą* Ojca łączy *miłość* w Synie.

(Jakież więc stąd następstwo i wniosek?)

Lecz Trójcę smucą fałsze, co pieśń świata mącą;
Chce w nim mieć echo szczęścia, nie wrzawę płaczącą.
Niech więc z *dwugłosem* ludzkim *jednogłos* przyrody
Zleją się w *obraz Bóstwa*, w drugi trójgłos zgody
A gdy w sile dwóch chórów zrównają się głosy,
Niebo usłyszysz ziemię, a ziemia Niebiosy!¹

Góry. Treść fantazyi tej i poniższych przytaczamy tu mianowicie dla objaśnienia, jak autorka usiłuje i umie przedzierać się szczegółowie do badania i wyszukiwania znaczeń stworzonych rzeczy. Zapytuje tu ona gór o znaczenie ich; te rozjaśniają swe różnostronne cele, znaczenia, i znajdujemy tu między innymi następną wnioską: »My jesteśmy świata *zawojem*, ziemi *koroną*, pierwiosnkiem *świt*u,

¹ Doktor kościoła katolickiego *s. Augustyn* objawiał i rozwijał to zdanie, iż w człowieku odbija się *podobieństwo* Trójcy Bożej, w dalszej naturze jej *ślady*. W fantazyach autorki znajdujemy właśnie nieraz dostrzeżenia podobne. W wierszu np. *Piorun* (dytyramb) tak określa trójcę w *człowieku* i w samym *piorunie*:

Człowieku! on już nie tajemnicą,
Nie drżj przed matką, tyś burzy syn!
W tobie wre także trójca gromowa:
Myśl — błyskawicą,
Grzmotami — słowa,
Piorunem — czyn!

dolin zegarem, paziowie słońca, niebios ławnice (jako potrącane przez chmury w przelocie), *całuny* z lodu, oazy życia (Karmel), *matki* potoków, *dzieci* olbrzymie, orłów *warownie*, boskie *organy*, *czołem odwagi*, namiotem *marzeń*, *helmem* zniszczenia, *szkatuły* ludów, *trójnogiem* pieśni, *klęcznikiem* troski, do *piekła* wschody, do *nieba* stopnie itp. *Syon, Horeb, Ararat, Morya, Góra Oliwna, Golgota, — Parnas, Helikon, Olimp, — Wezuwiusz, Etna, Awentyn, Łysa-Góra, Wawel*: wszystkie te, oraz liczne inne nazwiska gór historycznych, ukazują się tu już w tem, już w innem miejscu fantazyi i dają powód do zapisywania powyższych wniosków¹.

W fantazyi *Astronomia*, poetka zwracając się od ziemi ku obłokom, powołuje do sprawozdania ze znaczeń ich *gwiazdy*², i odpowiada po kolei, co budowniczy, malarz, snycerz, poeta, muzyk, tancerz, kapłan, mędrzec, w gwiazdach czytać mogą, czytają.

Różaniec. Autorka dostawszy w podarunku od innej znakomitej autorki *Różaniec*, wywdzięczyła się poezją o Różańcu. Wiadomy jest cel Różańca, lecz czemuż jeszcze duch chciał, iżby był w swoim składzie? Ciemne ziarnka różańca to grono zakonnych *braci* i *sióstr*, między niemi ametysty niby *biskupy*, ziarnka koralu to *kardynałowie*, krzyż różańca to syn Piotra w koronie splecionej z bogactw 3-ch światów, wyciągający ręce do aniołów; — różaniec to allegorya *Hierarchii*. Czemuż jest jeszcze? — Ruch ziarenek to ruch Ludzkości, idzie lud pospolity, gdzieniegdzie geniusz, — idą ziarnka różańca jak Ludzkość, lub raczej tak idzie Ludzkość jak te ziarnka.

¹ Przymiot tego rodzaju, to jest upatrywanie w jednym przedmiocie kilku i kilkunastu znaczeń, czytelnicy mogli właśnie widzieć w poezyi Deotymy: *Hussarze*, umieszczonej w Nr. 4-tym „Teki Wileńskiej”.

² Rycerzel i was wezwano
Na bitwy plac szafirowy.

Ziarnko różańca od krzyża
 Oddala się jedną stroną,
 Ale drugą się doń zbliża.
 Tak Ludzkości długa droga
 Wyszła z Boga — wróci w Boga.

Różaniec to allegorya *dziejów powszechnych*. Czemże jeszcze? do czego podobnym być może różaniec pośród wszechświata? Autorka w tę stronę jeszcze jak zwykle wznosi fantazyę i tak wiersz kończy:

Roztworzyły się etery,
 Myśli moje w skrzydła zmienię;
 Wirujące rzucam sfery,
 Wyżej przez próżne przestrzenie
 Wzbijam się na takie szczyty,
 Że stamtąd lśniące pierścienie
 I słońca i satelity,
 Zwiły się w tak drobne spłoty,
 Jak jeden różaniec złoty.

Skądże w nich ta do ruchu siła planetarna?
 Może to dłoń jakiego olbrzymiego ducha,
 Co się modli — przesuwając te światy jak ziarna?
 Jak się modli, któż słyszał? a raczej któż słucha?

W fantazyjach wreszcie, któreśmy odnieśli do trzeciego rodzaju, t. j. w których na placu jest człowiek, treścią ich główną jest: analizowanie *uczuc* i *myśli* człowieka, lub właściwiej tych przedmiotów duchowych, które się odnoszą do losu człowieka. Dla objaśnienia powtórzmy tu treść poezyj, noszących napis: *Św. Augustyn, Piękno i Szczęście*.

Św. Augustyn. Uczony i namiętny Augustyn waha się, komu ma większą część oddać, Bogu czy Światu. Anioł i szatan walczą o duszę jego, przynoszą »szale rozmysłu«. a młodzian stoi i patrzy, która strona przeważy. Anioł na szalę swoją kładzie *niewinność*, szatan położył *ciekawość* i przeważyła szala; — Anioł dokłada do niej *wiarę*, szatan dołożył *wiedzę* i równoważy się szala; — Anioł położył *miłość* *powinności*, szatan dorzucił kostki *namiętności*, szala

waha się; — Anioł dołożył skrzydło *modlitwy*, szatan wlał wody, to *nuda*, i szala waha się; — Anioł dokłada topór *pracy*, szatan boleść *choroby*, szala przeważa; — Anioł jednak położył szmaragd *nadziei*, lecz szatan cisnął skrwa-wiony *rozpaczą* sztylet, i tak szalą zatrzęsnał, że młodzian zadrżał i zawołał: »opuszczasz świat, Boże!« — ale Anioł położył wtedy koronę z *cierni*, to *rezygnacya*, szatan już do dania nic nie miał, jęknąwszy zniknął, a Augustyn zawołał: »O Moniko! matko moja, nie będziesz już płakać nademną«.

Piękno. Młody Edmund wróciwszy z podróży, w klasztorze kamedułów na Bielanach, znalazł szkolnego towarzysza, którego był porzucił śród wiru uciech; ten opowiada: iż doszedł do tego miejsca rozumowaniem, szukając piękna; — uwierzył on najprzód w piękność *zmysłową*, i przed oczyma duszy widział *Barbarę*, — w cóż jednak i tak prędko zamieniła się owa piękność? — wniósł więc: »iż piękne *czucia* są więcej niż piękne *kształty*, bo są ich duszą«, i ujrzał przed oczyma duszy *Krymhildę*, była to jedna z niewiast o pięknych czuciach (*Niebelungi*), uniosła się jednak zemstą, uczuciem także, przeszła w zbrodniarkę, wniósł więc: że »nad piękne *uczucia* są piękne *pojęcia*, bo są ich duszą,« — i oto znowu przed oczyma duszy ujrzał ideał piękności pojęć *Dydymę*, ta wszystkie nauki poznała, wszystkie objęła, lecz w końcu zakończyła niewiarą, wniósł więc: że nad piękność *pojęć*, piękność myśli, jest piękność *ducha*, że ta jest rzeczywistą pięknością.

Szczęście. Jechał rycerz i szukał *szczęścia nieskończonego*; — mógł je mieć, ale je musiał zdobyć, bo było zamknięte w zamku, a zamek ten był obwiedziony płotem potrójnym. Widzi, iż strzegą go najprzód *choroby* i *nędza*, walczy i pokonywa pierwszego *wstrzemięźliwością*, drugiego *pracą*. Jest bogaty i czerstwy, lecz jeszcze nie widzi szczęścia, ma je tylko zmysłowe, więc walczy dalej. Obwód drugi strzegą *niewiadomość* i *hańba*, rycerz walczy i zwalczają je *nauką*, *zastugą*. Czerstwy, bogaty, mądry, okryty

chwała, jeszcze nie widzi szczęścia, zdąży więc w obwód trzeci, idąc strąca po kolei po schodach *nienawiście, samolubstwa, niezgody*, wchodzi wreszcie w przysionek, zdobywa tu *przyjaźń i miłość*, ale jeszcze szczęścia nie widzi; — otwiera więc w końcu drzwi komnaty, ale o dziwy! wychodzi stamtąd: któż taki? oto: »drugi on sam«, widzi drugiego siebie, nie we śnie, nie we zwierciadle, ale na jawie.

Wróg ten go mieczem wstrzymując w zapędzie,
Cichy jak lwy, co wrót strzegą;
Walcz, rzekł, ten szczęście najwyższe zdobędzie,
Kto zwalczy siebie samego.

Musielibyśmy podobnie powtórzyć zawarcie wszystkich fantazyj krótszych Deotymy, gdybyśmy przytaczać chcieli to wszystko, co w utworach tych znajdujemy oryginalnem, znaczącem. Tych kilka rysów mogą zapoznać nieznających jeszcze utworów poetki z charakterem jej pieśni. Z samej tej treści widzi zapewne każdy, iż autorce tej jest wrodzonym dar wynalezienia czyli *oryginalność*, iż towarzyszy jej *talent* (choćby tylko talent) i że w utworach przez nią utworzonych jest *cel*, jest odbicie epoki ludzkiej społecznej, czyli *żywołność*. Talent, oryginalność, żywołność, są to, jak uważaliśmy, warunki zasługi pierwszego rzędu w literaturze, — te więc muszą przyznanemi być Deotymie. Z treści tej jasnym też staje się także, dlaczego poezye te nie są i nie mogą być tak popularnemi, jak inne. Charakterem ich, jak widzimy, głównie jest *myśl, spekulacya* (t. j. zapatrywanie się na wewnętrzne znaczenie rzeczy); — dla przyjaciół materyi, chwili, taka treść nie może być ani zbyt powabna, ani zbyt jasna. Wszakże nie tylko między stronnikami wyłącznie materyi lub wyłącznie ducha, lecz nawet póśród przyjaciół ducha, pomiędzy stronnikami idealności czystej i historycznej jest pewne nieporozumienie się, antagonizm. Choćby nawet idealista był tak bystro patrzący jak »boski Plato«, a poeta historyczny tej wagi jak »wielki Homer«, poezyi faktów nie potwierdzi

spekulant¹, i nawzajem stronnicy faktów nie przyznają nigdy żadnych rzetelnych zasług spekulacyi. To jest przyczyną, iż niektórzy pisarze, uczucia poetycznego nawet niepróżni i owszem poeci sami, ale zwolennicy wyłącznie poezyi historycznej, odmawiali utworom autorki albo zupełnie poezyi, albo też wyższych zalet poezyi. W sądach tych główna naszym zdaniem omyłka jest w *wyrażeniu*. Inna bowiem jest rzecz: iż nie podoba się nam, nie ma dla nas uroku ten *rodzaj poezyi*, a inna: iż ta poezya »nie jest poezyą«.

Mówiąc to wszakże, czyli zwracając uwagę na zasługę, na istotny talent młodej autorki, nie powiadamy, iżbyśmy i co do nas nie znajdowali w tym talencie stron słabszych, iżbyśmy nawet wszystko, co wyszło z pod tego pióra, lub tego natchnienia, za poezyę równej wartości mieli.

Tak najprzód co do treści wewnętrznej: stroną silną autorki jest spekulacya, liryzm, — słabszą jest fantazyowanie czynów powszednich, poezya czynu; — stąd gdzie przedmiotem poematu jest *czyn*, nawet *serce* człowieka, słabszą jest ta poezya. Jakoż znane nam dotąd dramata autorki, — jak *Wieniec* (dramat, gdzie kilku przyjaciół sztuki wiedzie spór o drzewo żywota, a rozwiązuje go proste dziewczę wiejskie *Bogobojna* treścią swej pieśni), i *Tomira* (dramat z legendy z okolic góry Sto-Krzyskiej, o kamieniu posuwającym się w górę, a zarazem poetyzujący twierdzenie, iż wielbiciele wiedzy czystoświeckiej, muszą iść do dnia sądu w szacie zapomnienia), są to zapewne pełne oryginalnego talentu dramatyczne próbki, ale o tyle tylko, o ile spekulacyjne są w treści, o ile są fantazyą, nie dramatem; — ballady autorki jak *np. Krzyż Wojaka* w ostatnim zbiorze i oparty na tle historycznym poemat *Duchy*

¹ Plato (jeżeli się nie mylimy w dialogu *Io*) uczyniwszy uwagę, że «Bóg tworzy, człowiek *wykonywa* utwór, a poeta *naśladuje* to, co stworzone, dodaje dalej: »Solona sławią Ateny, Likurga Sparta; — o przyjacielu Homerze! a tobie w czym Rzeczpospolita *zawdzięcza*, żeś jest trzecim twórcą drugiej rzeczy«?

Rugii, poezye poświęcone przedstawieniu czynów ludzkich potocznych, wchodzą w obręb pospolitych poetycznych obrazków i owszem niknie w nich nieraz całkiem wyższy ów poetyczny talent.

Lecz oto teraz i na tle silnem autorki, wśród spekulacji jej, dodajmy: iż życzylibyśmy obok tychże celów, tej drogi, więcej jedności w zasadzie.

Wiemy dobrze, iż fantazyi, jako fantazyi, wiele wybaczonem być może, iż lot jej nieokreślony, niejasny; dodajmy jednak, iż gdy autorka w rozumowaniach swoich pragnie wychodzić z prawd, a mianowicie ze sfery religii, powinna jak najściślej wychodzić z prawd, nie przypuszczeń — krok śmiały może wprowadzić podnieść do góry, lecz może i strącić w przepaść; — tymczasem zasady, a przynajmniej wyrażenia autorki w tym względzie, bywają nieraz co najmniej dwuznaczne. Tak np. w wierszu *Pielgrzymka Poety*¹ autorka mówi: iż należy zerwać z tradycją, iść drogą nową; — być może, iż to twierdzenie w tem miejscu nie odnosi się całkiem wprost do religii, w każdym jednak razie odnosi się chociaż w części, objawia zasadę. Hasło takie tymczasem nie jest to hasło nauki o gruncie pewnym; potępiać zasadę *tradycyi* (ulubiony i główny dogmat protestantyzmu) jest to potępiać siebie przed następcami, bo prawdy nasze będą już dla następców tradycją; — wychodzić z potępienia tradycyi jest to wychodzić z potępienia *ducha ludzkiego*, przeczyć bowiem, iżby ten od czasu swego istnienia, swego myślenia, zdołał dojść jakiejś prawdy, choć jednej prawdy, któraby była prawdą po wszystkie czasy, iżby był jakiś szereg i łańcuch prawd. Ramy tradycyi, istotnie, to więzy i przykre więzy, —

¹ W ostatnim zbiorze poezyj Deotymy znajdujemy wiersz pod napisem: *Pielgrzymka Poety*, którego treść jest następująca: Młody poeta wyszedł chcąc być śpiewakiem przyszłości, i w tym celu dążył ku górze, na wierzchołku której mieszkała *pieśń nieśmiertelna*, wszedł na nią, ale za ledwie oświecił go świt Ery nowej, padł i skonał. — Szczegóły określonej tu drogi, zdaje się nam, iż są allegoryą własnego zawodu autorki.

myśl ludzka, nieraz wpadając na wykład, ma pojęcia własne w danym przedmiocie, i nie mogąc ich zamknąć w tych ramach, lubi je zerwać, lecz w tem jest zasługa i tajemia żywotności dalszej pomysłów, iżby nie ramiły do swego wykładu, lecz wykład swój do należnych ram umieć nagiąć. Sekta *np.* każda w chrześcijaństwie, zaczynając od wykładu racjonalnego, jakiegoś szczegółu, zaczyna zwykle świetnie i zwolenników ściąga, lecz oto okazuje się dalej: iż lubo rozjaśniła dobitnie jakowyś szczegół, lecz tem samem zaćmiła ich dziesięć, i kona albo przemienia się w inną w dalszem rozwiciu. Świetne ostatnie systemata filozofii niemieckiej, które wychodząc z zasad chrześcijańskich, taką rzeczywistość prawd masę w gałąź swą wniosły i zrazu tak się gruntownie wydały, skonały jednak, albowiem jakkolwiek w ramach swych wyszły z zasad chrześcijańskich, ale z protestancko-chrześcijańskich. Co do autorki, o której mówimy, ta, widać to z wielu szczegółów jasno, nie z protestanckich, ale z katolicko-chrześcijańskich wychodzi zasad; nie możemy jednak nie zwrócić uwagi na zbyt wielką niekiedy dwuznaczność w wyrażeniach, pomysłach; skutek może niezdana jeszcze przed sobą samą sprawę ze szczegółów niwy swej, swego poznania.

Tak *np.* w fantazyi *Gnoza*, z której przytoczyliśmy wyżej wyjątki, co znaczy to wyrażenie, iż »świat *duchowy* dopiero *żyć zacznie*, gdy będzie *poznany*«? Autorka odpowie nam zapewne, iż jest tu mowa o życiu w odniesieniu do *poznania ludzkiego*; lecz w tym razie, co znaczyć będzie to wyrażenie przy początku tejże fantazyi, iż dopiero po utworzeniu światła »świat stał się, bo został *poznany*« (przez kogo? skoro jeszcze człowieka nie było). W wierszu tym *Gnoza*, w *Podróży myśli* i wogóle we wszystkich ogólnych ramach autorki, nie spotykamy nigdzie wzmianki o pierwotnem przestępstwie człowieka, upadku, o tym kluczu do całego wykładu mechanizmu religii i dziejów katolickiego. Przy zakończeniu poematu *Góry*, co znaczy wyrażenie odniesione do gór religijnych chrześcijańskich: »Mogily Mi-

tów«? (może to miało znaczyć »Mogily tajemnic«, ale właściwie *Mit* znaczy *bajkę*). Dla objaśnienia wreszcie lepiej naszej uwagi, to jest tych zбочeń, które nieznacznie wciśkać się zdają w twierdzenia, rozumowania autorki, przytoczmy tu prawie cały jej wierszyk *Miłość Mądrości*. Jest to skądinąd wiersz piękny, godny najlepszych *Deotymy*, a główną treścią jego jest wyrażenie tej myśli, iż po epoce *Sily* (Jehowa), nastąpiła era *Miłości* (Chrystus), a przyjdzie ma era *Mądrości* (Pocieszyciel). Autorka wspomniawszy tu przy początku, iż niegdyś Salomon przeniósł nad wszystko Mądrość, tak dalej określa Mądrość i owe epoki:

Mądrość wieczną, Mądrość Bożą
Jest postępu narzeczoną,
Mądrość to tyranii wróg,
Mądrość jest Bóstwa koroną,
Mądrość to w człowieku Bóg.

Na wulkanicznym Synai
W chmurach i gromach się tai
Wielka Siła, Adonai.
Gdzie stąpi, pęk chmury,
Gdzie spojrzy, przemienia dzieje,
Przed nim drze się strój natury,
Przed nim człowiek kamienieje.
Lecz myśl próżno za nim sięga,
Za wysoka gromów sfera.
Wielką wtedy jest potęga,
Gdzie się na miłości wspiera.

U sinych szczytów Kalwaryi
Z niebiańskim uśmiechem kona
Wielka Miłość, dziecię Maryi.
Przed nim bledną smutne słońca...
Drze się tajemnic zasłona...
Ale czemuż przy nim rzesza
Płacze, choć już jest zbawiona?
Ach! miłość uzdrawia, wskrzesza,
Ale miłość nie pociesza,
Bo miłość jest lżą bez końca.

Szarpania, tęsknoty wieszcze
 Wstrząsają nasze stulecie,
 Bo czujemy, że nam jeszcze
 Jest zamknięte niebo trzecie.
 Więc z szczytów nieznaney góry
 Przyleć ptaku białopióry,
 Śród oświecających żarów
 Zstąp na tęczy siedmiu darów,
 O Mądrości! Paraklecie!

W wierszu tym, tak religijnie na pozór brzmiącym, i mającym w sobie istotnie wiele treści prawdy, co znaczą np. wyrażenia, iż *mądrość boża* jest narzeczoną postępu? Dlaczego już raczej nie matką? Iż jest Bóstwa *koroną*? Zaciemne; a razem za wysokie mamy wyobrażenie o istocie Boga, iżbyśmy mieli objaśniać, lub przyznawać, co jest jego płaszczem, koroną i t. p. W nauce katolickiej *mądrość boża* uznaje się za coś więcej niż za koronę, uznaje się bowiem raczej, iż to jest najpierwsze zrodzenie boże, *Syn Boży*, bez którego nic się nie stało, cokolwiek się stało. (*Św. Augustyn* w dziele o *Mieście Bożem*, XI, 9). W określeniu Epoki Siły, co znaczy zakończenie znoszące początek, iż Potęga Boża nie była w niej jeszcze wielką (»Wielką wtedy jest potęga, gdy się na miłości wspiera«)? W określeniu Epoki trzeciej co znaczy to wyrażenie: »Miłość nie pociesza«. W rzeczach tak ciasnych, jak droga rzetelnej prawdy, należałoby się wystrzegać i pyłku i ziarenka fałszów, z pyłków góry, z ziarenek rozrastają się drzewa. Zabawki te myśli młodej, poklaskiwanej, śmiałej, w podobnych przedmiotach, tem niebezpieczniejsze są, jeśli genialnej. Dwuznaczną tu jest wreszcie i sama całość. Hegel uczył, iż po królestwie *Ojca*, królestwie *Syna*, nadejdzie królestwo *Ducha* (*Hegla Religion's Philosophie* wydania *Marheineke*). Wzywanie Ducha św. dla sprawienia odmian na ziemi, oczekiwanie tych odmian, nie jest zapewne zbrodnią chrześcijańską; sam kościół katolicki śpiewa i wierzy wołając: »Znijdź, Duchu Pański, a potworzą się i przemienione będą oblicze ziemi« — mimo to jednak owo oczekiwane

królestwo *Ducha* w umysłach, nie lubiących się wciągnąć w ramy tradycji, dało wkrótce powód do tyła przesady, zmiany w dogmatach, iż właśnie przed czasem niedawnym oczekiwanie to wyłącznego jakiegoś *wieku Parakleta*, w jednej z Encyklik Stolicy apostolskiej (strzegącej z potrząśnięciem powtórzonego proroctwa¹, wszędzie i zawsze jedności wiary) naganionem zostało. Autorka objawia oczywiście wyznanie w swem wierszu, iż po wiekach *Siły*, *Miłości* nastąpi era *Mądrości*; kolej tę i przybliżenie się dla świata ery *Mądrości*, ery *Niemieckiej* loicznie wykazywał Hegel; wszakże równie loicznie dowodził *Szelling*, iż w rozwinięciu Kościoła chrześcijańskiego powtórzą się epoki Apostołów i że po wieku *Piotra* (Kościół rzymski), wieku dzisiejszym jakoby *Pawła* (protestancki), nastąpi wiek *Jana*, czyli ogólnej *Miłości*². Dwaj pisarze, jakkolwiek obaj wierni w swoich wywodach, dochodzili jednak do następstw wprost odmiennych: pierwszy z nich bowiem twierdził, iż po Epoce *Miłości* nadejdzie Era *Mądrości*, drugi przeciwnie, iż po Erze *Mądrości* przyjdzie Era *Miłości*. Gdyby autorka w swych stosowaniach trzymała się prawd katolickich, tedy najprzód wychodziłaby zawsze z uznania, iż wszystkie trzy Osoby Boże są łączne, i że wiek jednej jest zarazem i wiekiem drugiej, i powtóre, iż w nowej Epoce ziemi, Epoce oczekiwanej, wieszczonej, nie głównie zakwitnie *Mądrość*, jak twierdzą jedni, nie głównie *Miłość*, jak twierdzą drudzy, nie *Piękność*, *Cnota*, *Żywot* i t. p., jak znowu inni, ale i *Mądrość* i *Miłość* i *Piękność* i *Cnota*, łącznie w swych szczytach.

Raz jednak powtarzamy jeszcze, iż wszystko to, co mówimy o stanowisku religijnem autorki, mówimy tylko jako o *dwuznaczności*, i że przeto uwagi te wszystkie wyrażamy nie tyle w kształcie nagany tego, co było dotąd,

¹ Po trzykroć powtórzone »Paś owce« (*Jan XXI, 17*).

² W Filozofii Pozytywności czyli Objawienia, *Philosophie der Offenbarung*, wydanie d-ra Paulus.

jak raczej w kształcie przestrogi o tem, co może być nadal.

Mówiąc o treści wewnętrznej poezyj Deotymy, dodajmy tu wreszcie, iż gdy główną cechą tej treści jest zimna refleksya, loika, tedy zdaniem naszym nie pomocne, ale szkodliwe ramy i allegorye, które zbyt jawną cechę zmyślenia w swej treści noszą. Nie rażą nas np. i owszem trafnie objaśniają przedmiot allegorye ogólne: gdy Anioł i Szatan przed Augustynem walczą z dowodami swoimi; gdy rycerz zdobywa szczęście zamknięte w zamku i t. p.; ~~ale~~ gdy autorka opisuje nam szczegółowie, jak ~~śród~~ ~~komnaty~~ ukazywał się jej materyalnie *Duch Postęp*, jak się ukazał *Job*, takie figury zamiast dobitniejszych objaśnień, rzucają i na dalsze rozumowania autorki cień dobrowolnego zmyślenia. Prorocy hebrajscy kiedy mówili o stronie wewnętrznej rzeczy, lub rzeczach przyszłych, tedy mówili prosto, iż im tę mowę dyktuje natchnienie boże (*mówi Pan*), nie uciekając się do żadnych zmyśleń allegorycznych.

Co do części zewnętrznej wreszcie poezyj Deotymy, i tu łatwo jest widzieć jej stronę słabszą. Nie twierdzimy bynajmniej, iżby w poezjach swoich autorka nie miała być silną, i owszem, znajdujemy w jej poezjach przykłady, przy których to, co zowie się silnem w jakimkolwiek języku, zostaje błędem. Takim np. jest cały dytyramb *Piorun*, z którego przytoczyliśmy wyżej strofę. Nie powiemy także, iżby autorka nie umiała się w dykcji swej tłumaczyć i żywiej nad prostą loikę i obrazowo, czyli jak nazywano niegdyś, romantycznie; zaprzecza owszem temu wiersz jej niejeden, a dla przykładu wskazujemy na fantazyę: *Gopło i Góra Lechowa*, np. gdy tu po wzmiance o szeregu snów o *Popielu*, *Piascie*, mówi dalej w przechodzie:

I znów cichną dziejów burze,
I za duchem znika duch...
Tylko pluszczą wodne róże,
I łabędzi błyska puch.

Jak ta woda mnie zachwyca!
Żywym mi się wzrokiem zda,
Gopło to Polski źrenica,
Gopło to jej iza.

Wogóle jednak jest to pewna, że przemagającym stylem autorki jest pewna rozwlekłość, a także szereg wyrażzeń, przypadających raczej do rozdziału loiki, niż sztuki, mającej źródło w fantazyi. Tym myślom ze sfery loiki nadaje wprawdzie zwykle poezycę lub pomysł ogólny, lub sztuka słowa; jest to pewna jednak, iż szczególnie ten jest jedną z najgłówniejszych przyczyn niezupełnej popularności autorki.

Takie są w ogóle swoim cechy, zalety, wady pism Deotymy — zalety widzimy wielkie, a wady małe. Jaka będzie ostateczna zasługa autorki tej? Czy przy dalszem życiu, uczuciach, pogład swój stosowany dotąd głównie do ogółów, do natury, odniesie do serc i do czynów, i da teźże wartości, tegoż niezwyklego układu dramata, epopeje, jak dała dotąd fantazyje na rozmiar mniejszy? Czy przestanie na obecnej zasłudze i nie przekroczy jej? O tem nie wiemy; lecz to wiemy, iż do tych czasów ta jej zasługa w gałęzi poezyi już odkreśloną jest i zawsze zostanie sobą.

Poezya, zwróćmy uwagę, ten lot fantazyi, głównie kwitła pośród ludzkości, za wieku młodego ludzkości (według nas *starożytności*), za wieku, w którym w człowieku każdym głównie kwitnie fantazyja; był to czas epopej wielkich w Indyi i Grecyi, czas religijnych mitów, utworu rodzajów poezyi, a w narodzie, który (jakkolwiek spólcześnie napozór lichy) miał misycę wszelką gałąź rozwicia ludzkiego odbić w stopniu najwyższym (hebrajskim), był to czas *proroctw*. Wiek dzisiejszy ludzkości jest to wiek *męski*, wiek nie kwitnącej fantazyi, ale *rozwagi*. Całość ducha ludzkiego zawsze jest wprawdzie jedną; i za wieku kwiatu fantazyi były badania, loiki, i za wieku rozwagi są loty fantazyi, poezycy; lecz jak dojścia filozoficzne dawne, co do prawd dla ludzkości głównych, nie doszły, ściśle mó-

wiąc, niczego prócz tego, czego ich nauczyła fantazya, jej ulegały przewadze; tak znowu poezya dzisiejsza musi na sobie nosić odcień przewagi refleksyi, co do odcieni *myśli*, odcieni *uczuć*, co do samej nawet np. sztuki porównań, najpierwsze epepeje starożytności muszą ustąpić dzisiejszym drobnym nawet poezyom; same nawet prorocтва w wiekach obecnych, które między nami ludźmi być mogą i owszem być muszą¹, nie będą twierdzeniem samem jak dawniej, lecz w odcień rozumowania, rozważgi ubierać się będą.

Jedną z cech fantazyi Deotymy, jak to widzieliśmy, jest zajmowanie się zawsze wiekiem przyszłym, nowym i opowiadaniem tła jego; czy te fantazyje autorki są to istotnie poloty, twierdzenia ducha wieszczego? i tylko stosownie do ducha wieku odbijają się w kształcie refleksyi? są zwichnięciem chorej fantazyi? Odpowiedź zdaniem naszym jest łatwa. Nie mamy wprawdzie przywileju dawnej Synagogi hebrajskiej, umiejącej pośród pism tysiąca proroków, odróżniać rzetelnych proroków i tych tylko zatrzymywać w kanonie; kiedy jednak w utworach danych widzimy obecność *ducha*, t. j. ślad istotnego natchnienia, a ze źródła i celu widzimy, iż jest to duch chrześcijański, duch prawdy, tedy nie wolno jest wątpić, i utwory takie za utwory idące z prawdy poczytać musimy.

Cel pewny, barwa *wieszczczenia*, *uduchowianie* wszystkiego co jest zmysłowem, w wieszczczeniu przewaga *rozważgi*, to więc dotąd jest główny charakter głównych Deotymy poezyj.

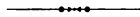
Nowym rodzajem poezyi przez nią stworzonym jest, jak widzimy, *Fantazya* czyli *Liryka spekulacyjna*.

Do tego rodzaju utworów autorki jeden tylko w nowszej poezyi znajdujemy podobny rodzaj, t. j. *Fantazyę Szyllera*; fantazyowanie myśli, fantazyowanie uczuć, było

¹ »A prorokować będą synowie wasi i córki wasze... przed tym, nim przyjdzie Dzień Pański wielki i jawny«. (*Dzieje apost.* 11, 17, 20).

tu także jedyną treścią utworu. Treść jednak fantazyi Szyllera (odbicie nauki Kanta), tak się ma do treści fantazyi naszej autorki, jak właśnie początki filozofii niemieckiej do początków naszej filozofii krajowej: t. j. jak chwila do czasu, punkt do przestrzeni, myśl pojedyncza w sobie czyli *egoizm* do myśli ludzkości w sobie, myśli we wszechświecie. Utworem Fryderyka Szyllera była *Fantazyja serca*, utworem Deotymy jest *Liryka wieszczka*.

1859.



XII.

LISTY O PIŚMIENICTWIE BIEŻĄCEM

do »Dziennika Warszawskiego« oraz »Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych« pisane.

LIST PIERWSZY.

(Przegląd dziejów literatury powszechnej przez Lucyana Siemieńskiego. Kraków 1855).

Szanowny panie redaktorze! Wezwałeś mnie o nadsyłanie zdań o nowowychodzących pismach w naszej literaturze. Gdybyś udzielił mi własnych, już byłbym istotnie wdzięczny, cóż dopiero, kiedyś zażądał moich? Oby tylko przybywały nowe pisma do literatury, a zdaniem teraz i zawsze przyjdzie mi się najchętniej podzielić.

Wzywając, nie wynosisz bynajmniej zalet swojego pisma; i słusznie: wiesz bowiem, iż jakiebykolwiek zalety i wady miał »Dziennik Warszawski«, dla mnie dosyć, iż jest to Dziennik *warszawski*. Pismu temu nie jedną nadto winien jestem zachętę przez pamięć o mnie, naturalną więc nawzajem zapłatą może i musi być pamięć.

Zażądaliście zdań, nie mam więc oczywiście prawa nic innego przesyłać, jak zdania, nie dołączam więc nawet żadnego wstępu, żadnej jakiegokolwiek rozprawy o *sądzie*, o *krytyce*. Jak wreszcie uważam znaczenie zasady, cel *sądu* wogóle, wyraziłem niedawno oddzielnie (*Rozbiory i krytyki. T. I. Wstęp*). Zasady te uznaliście oczywiście za słu-

szne, dla czytelników zaś potrzebna jest raczej praktyka nie teoria.

Uprzedzam przytem, że oddalony od miasta, może nieraz podam to za najnowsze, co rzeczywiście nie jest już najnowszym; zwracam także uwagę, iż przesyłając uwagi w listach, uwagi te nieraz może w zapobieżnej przedstawić się będą musiały formie, jako w listach.

Pierwsza książka, którą w tym roku poznałem i o której przeto najprzód przychodzi mi tu powiedzieć, jest to »Przegląd dziejów literatury powszechnej«, który napisał p. Lucyan Siemieński. Zajmujące, jak widzimy, i przedmiot książki, i pióro książki. Przedmiot książki jest to przegląd nie tej lub owej literatury, lecz: *dziejów literatury powszechnej*. Autor książki jest to jeden z najwięcej mających talentu krajowych pisarzy. Pan Lucyan Siemieński znany już jest w kraju oddawna i jako praktyk. Pióra jego mamy śliczne przekłady: rękopismu krółodworskiego, piosnek gminnych europejskich, poematów wschodnich, jego także od lat kilku redakcyi jest krytyczny odcinek w dzienniku *Czas*; o ogłaszanych tu opiniach szczególnych mogły naturalnie być i bywały różne opinie szczególne; co do nas, nie znamy wszystkiego, lecz ile znamy, stały wzgląd na kierunek i cel pism wychodzących, pamięć na stan społeczny dotykanych kwestyj, podźwiganie mniej znanych zasług, miarkowanie uwieńczeń przedwczesnych, te były główne zalety sądów autora, w krótkich ramach odcinka. W piśmie obecnem p. Siemieński rozwarł, że tak powiemy, oko i od spoglądania na jedno pismo postąpił i do uczynienia przeglądu literatury powszechnej. Książka, teraz wydana, jest dopiero pierwszym tomem tej pracy, jako jednak obejmująca obejrzenie całej literatury starożytnej, ma i oddzielną całość.

Tom I. Literatury Powszechnej p. Siemieńskiego podzielony jest na dwie części; 1-sza ma napis: *Pierwotne literatury Wschodu: Judea, Chiny, Indye, Persya, Eglpt*; druga: *Starożytność klasyczna Grecyi i Rzymu*. Nader zaj-

mujące więc jest, widzimy, zawarcie tomu. Przedmiot taki jest w znacznej części nowym nie tylko w naszej literaturze, ale wogóle w literaturze. Jak niegdyś przed wiekiem XV. całą prawie literaturę starożytną w nauce europejskiej składał *Cycero* i kilku poetów *rzymskich*, a następnie po wyniesieniu z kraju i rozpowszechnieniu się drukiem pism greckich, starożytność owa cofnęła się o kilka wieków żywej literatury, tak obecnie znowu o kilka jeszcze wieków musi się cofnąć; poczynione przy końcu wieku zeszłego przez kompanię wschodnio-indyjską (angielską) piśmienne odkrycia w *Indyach*, przez misyonarzy francuskich w *Chinach*, przygody Duperona w *Iranie*, następnie zaś coraz więcej mnożone przekłady i krytyczne wydania tych odkryć, dały poznać i wniosły do dziejów piśmiennych powszechnych literaturę *wschodnią*, o tyle starożytniejszą i o tyle w ogóle swoim bogatszą od greckiej, ile ta była od rzymskiej. Zejście się literatury wschodniej z zachodnią miało już wprawdzie miejsce za pierwszych wieków chrześcijaństwa w szkole Aleksandryjskiej (za nowoplatoników), lecz w części i tylko na chwilę; obecnie ma się oczywiście dokonać w sposób i szczegółowszy i stalszy. W piśmie p. Siemieńskiego literatura wschodnia obejmuje część większą tomu I-go, a wogóle treść tego tomu jest następną¹:

Historję literatury autor opowiada kolejną krajów, fakta piśmienne każdego poprzedza historycznym i geograficznym rysem tego kraju, wyraża dalej ogólne znaczenie jego duchowe, poczem dopiero przytacza nazwiska auto-

¹ Zdaje się nam, iż właśnie w Dzienniku Warszawskim czytaliśmy kiedyś zdanie: iż w krytyce, czyli uwagach, czynionych o książce, nie powinny być przytaczaną treść tej książki. Zdanie to było jednak oczywiście zdaniem pojedynczym autora, a nie Redakcyi, sama bowiem nieraz inaczej występowała w praktyce. Co do nas, nie rozumiemy zupełnie, dlaczego zdania objawione na wiatr lepsze dla czytelnika być mają niż z objaśnieniem lub przypomnieniem przedmiotu, do którego stosują się? Sądźmy owszem, iż to objaśnienie lub przypomnienie koniecznem jest

rów, charakterystykę ich i wyjątki z główniejszych. Opowiadanie rozpoczyna *Judea*; o starożytność z ludem hebrajskim, uważa autor, walczą i inne ludy, lecz powody, które skłaniają do wiary, ważniejsze są od wszystkich tak zwanych sprawdzeń naukowych. Autor zwraca uwagę na ten między innymi przymiot literatury hebrajskiej, którego z żadną inną nie dzieli: iż mimo zakres rozwijania się jej lat koło 2.000, mimo różność przedmiotów jej ksiąg, odznacza ją jeden duch, jeden charakter, zwraca bliższą uwagę na lud ten »w nieruchomości swojej postępowy« i opowiada po kolei treść ksiąg biblijnych z przytoczeniem wyjątków z ksiąg *Joba*, *Izajaszowych* i *Pieśni nad pieśniami*. Z Judei przechodzimy do *Chin*; tu lud historycznie najtrwalszy, najobszerniejszy ziemią i najliczniejszy ludnością, lud ten nie uznawał w swoich naukach ani innych prócz siebie ludzi, ani rzecz można, Boga, a szczegółami swych dziejów, uważa autor, przedstawił dowód, iż »zasklepienie się w sobie nie jest znamieniem życia«; to zasklepienie się odbiło swój charakter w religii, prawodawstwie, poezyi i całej literaturze Chińczyków; »wszędzie widać tylko człowieka w stosunku ze światem materyalnym i rzeczywistością, która go ugniata, ale on ani nad nią wzlecieć, ani jej złamać pragnie«. Rys piśmiennictwa chińskiego autor doprowadza do wieków średnich, przytacza kilka piosenek, oraz i treść dramatu *Sierota z domu Czaa* i romansu *Hoatsian*. Z Chin idziemy do Indyj; tu dawność i trwałość także, lecz widok duchowy odmienny; tu niebo nie jak w Chinach działa za pośrednictwem rozumu, lecz bezpośre-

dla uczynienia użyteczniejszem zdania. W krajach, gdzie krytyka pism więcej jest rozwinięta, kwestye podobne nie są nawet i poruszane. Zdaje się nam, iż znamy wszystkie celniejsze pisma krytyczne spólczesne, ale nie znamy żadnego, któreby kładło zdania, nie obeznawszy czytelnika z tem, o czem je ma położyć. Artykuły wielkich przeglądów angielskich (jak *Edinburgh*, *Quarterly* i t. p.) składają się prawie wyłącznie z treści pism wychodzących, przytaczanej kolejną rozdziałów z dodaniem przy każdym uwag oraz prologu i zakończenia.

dnio, tu *panteizm* i *kasty*. »Hindostan jest to kraina cudów do nieuwierzenia i najsmutniejszej rzeczywistości«. Autor podaje po kolei charakter i krótkie wyjątki z najdawniejszych ksiąg religijnych indyjskich, t. j. *Wedów* i *Ustaw Manu*, treść i ustępy wielkich poematów *Mahabharaty* i *Ramajany*; w końcu treść i wyjątki z dydaktyki i dramatyki indyjskiej, a mianowicie dramatów *Kalidasa*. Z braminizmu (religii Indyan) utworzył się *buddyzm*, religia brahmińska racjonalna; »jest to, rzecz można (uważa autor) protestantyzm indyjski, tem jednak od europejskiego wyższy, iż przynajmniej Budda miany tam był za Boga, Objawiciela, a przeto istniały powody uwierzenia jego wykładom«. W sąsiedniej *Persyi* tenże daje się widzieć pierwiastek religijny jak w Indyach, z różnicą, iż wyznawanie dwóch bóstw (dobra i zła) zrodziwszy obowiązek ścigania rządów drugiego, stworzyło wyższość energii i wyjątkowe na Wschodzie wylanie się ludu na zewnątrz, szerzenie granic, podboje. Stan ten nie wydał jednak bogatej literatury i jedynym zabytkiem jej piśmiennym jest *Zendawesta*, pismo święte perskie, jedyną poezją liryki czyli hymny w *Zendawescie*; autor przytacza jeden z tych hymnów i mówi obszerniej o poezji perskiej nowszej, w nowym języku... Z Azji wstępujemy na chwilę do Afryki, do Egiptu. Stary Egipt nie wydał żadnej literatury i autor zastanawia się tylko nad faktem: czemu kraj, który błysnął tak trwałymi śladami cywilizacji, dziwami sztuki, nie wydał jednak ani szczególnych piśmiennych utworów, ani nawet poezji; powodem tego było, uważa autor, iż nauka była tu wyłącznym przywilejem duchownej kasty, lud zaś skazany był tylko na mechaniczną pracę w budowach olbrzymich w tym »Domu niewoli«. Z kolei wchodzimy do Europy, *Grecyi* i *Rzymu*. Grecya zaczęła i wydała nowe życie *społeczne*, a stąd i nowe kwiaty moralne. Te kwiaty są to prawdziwe kwiaty i kwiaty trwałe. Literatura tu nie skończyła na sobie, ale stała się rodzicielką i wzorem wszystkich europejskich, a »przyczyna, mówi autor, tego faktu

jest głównie ta, iż ten *mistrz naród* nie przestał, jak tyle innych narodów, na jednym lub drugim rodzaju, nie zabłysnął jak przelatujący meteor, ale idąc za koniecznym prawem swobodnego rozwoju ducha, przebiegł całe koło umiejętności i sztuki i wszystko, co mogło być dziełem twórczej siły, *doprowadził do ostatecznego doskonałości kresu*. To wszakże, czem głównie błysnęła i odznaczyła Grecya swoją literaturę, była to *poezya*. Poezja jest źródłem, wypadkiem i formą wszystkich zjawisk moralnych w tym kraju. »Jak w świecie widomym różnorodne cząstki, wychodzące niby z środka, wracają napowrót ku temuż środkowi, tak i w Grecyi różnorodne żywioły oświaty zawsze wracały do poetycznego natchnienia«. Poezja nowożytna, zdaniem autora, jest tylko słabem odbiciem dawnej; »u żadnego z nowożytnych ludów, mówi, nie postrzegamy, żeby poezja była ogniskiem oświaty; wszędzie zbytkowy ten produkt mógł być co najwięcej ozdobą dla niektórych wybranych, zabawką niezatrudnionego świata, przedmiotem pożądlivości dla młodzieńczej próżnoty«. Jakoż następnie najdłuższy ustęp i w rozdziale i w książce, poświęca autor wykazaniu (i teoretycznie i w przykładach) piękności poezji greckiej, a mianowicie dwóch epopei Homera i dramatów Eschila. Literatura grecka stworzyła następnie rzymską, lecz już za swego upadku, za *Szkoły Aleksandryjskiej* (pierwszej). Za szkoły tej powstały nowe gałęzie nauk: fizyka, matematyka, krytyka, nawet słynni poeci, lecz nie była to już poezja dawna. »Sztuczna poezja aleksandryjska nie usiłuje ani doścignąć, ani przewyższyć swych wzorów, tak wysokie ma o nich rozumienie; brak oryginalności chce zastąpić gładkością i erudycją«. Rzym nie błysnął twórczością jak Grecya, ale to, co wydał, nową cechą odznaczył. »Jeżeli Opatrzność pozwoliła Grecyi wysnuć pociągające śliczną doskonałością utwory, które rozpowszechniając pojęcia humanitarne, rozsadały tem samem martwiejące już formy symbolizmu wschodniego i usposobiły umysły do łatwiejszego porozumienia się na drodze umysło-

wych i duchowych postępów, tedy z drugiej strony Rzym otrzymał posłannictwo zhołdowania wszystkich ludów ówczesnego świata pod swoje prawo i wyrobienia najdoskońalszego narzędzia mowy. Posłannictwo Rzymu najwyraźniej zamyka się w *prawach i języku*«. Dziwna (uważa autor), iż Rzymianin w całym ciągu historycznego życia, niesprawiedliwy względem drugich, w prawach swoich zostawił zasadę powszechnej sprawiedliwości; co do języka, »ten wprawdzie nie dorównywa greckiemu co do *gibkości, wdzięku i pełni, lecz zwięzłości, energią*, zamykającą w krótkich słowach bardzo wiele, ma przewagę nad gadatliwością grecką«. Te cechy stały się głównym charakterem płodów literatury; »z powodu przemagającej idei czysto politycznej w misyi Rzymu, oraz i stąd, że najznakomitsi dostojeństwem obywatele oddawali się pisaniu, wyrobił się taki charakter *poważny i polityczny*, jak w żadnej prawie z późniejszych literatur«. Z literatury tej rzymskiej, jako powszechnie znanej, autor nie przytacza prawie wyjątków, a zastanawia się głównie nad pisarzami prozy.

Na tem się kończy tom I. Literatury Powszechnej pana Siemieńskiego; w tych ramach i w tej treści jest rozwinięty. Są to, widzimy, i obszerne ramy i treść bogata. Dodać trzeba, iż jak cechą obranego przez autora przedmiotu, tak równie i jego wykładu jest *piękność*. W żadnym języku nie zdarzyło się nam czytać przedmiotu tego tak wdzięcznie wyłożonego. Od początku do końca książki jest tu zawsze przed nami myśl głębsza, cel wyższy, a zarazem lekkość i gracya. Książka p. Lucyana Siemieńskiego jest przybytkiem do krajowej literatury i pożądanym i ślicznym, jest to razem i *lekcya i zachęta* w przedmiotach, których dotyka. Czyliż jednak ta książka nie ma jakich swych ujemności, swych mniejszych lub większych wad? Te, ile w dziele ludzkim, być muszą, a nadto przedmiot tem piśmem dotknięty zanadto jest obszerny, zanadto jest żywotny, iżby nie miał dopuszczać wielkiej różności poglądów, iżby nie tworzył może za rozległych wymagań. Każdy

czytelnik tej książki po odczytaniu jej zastosuje uwagę własną, może mieć własną; my w tej rzeczy własną też wyrazimy.

Mówiąc o charakterze ogólnym *Przeglądu Literatury Powszechnej* p. Lucyana Siemieńskiego, wyrazić to nam najprzód wypada, iż lubo w niej umieszczone uwagi i poglądy dotyczą różnych gałęzi nauki, umiejętności i sztuki, obracają się jednak najwięcej, zajęte są, rzecz można, prawie wyłącznie, zawsze *poezją*. Sąd swój, idący z *uczucia* (*aesthesis*), autor stosuje wprawdzie w swej książce do wszelkich gałęzi rozwić, *teologii, filozofii, historii* i t. p., i stosuje go zwykle trafnie, nie tyle jednak zawsze jako *teolog*, jako *filozof, historyzof* i t. p., ale głównie i zawsze jako *estetyk*. Autor tu słusznie wyraził, iż Grecya jest historyczną matką wyobrażeń o *pięknie* dla uczuć naszych; sam też właśnie jest jednym z jej zwolenników i głównem zadaniem i bodźcem w jego przeglądzie było tylko szukanie i wskazywanie *piękności greckiej*. Uczucie w duchu autora tego piękna kazało mu wprawdzie kochać wszystko, co piękne, *piękność moralną*, i autor starał się naznaczyć swej książce cel inny, wyższy jak szukanie samej *piękności greckiej*. P. Siemieński we wstępie mówi: »dwojaka myśl podsunęła mi pióro do ułożenia niniejszej książki: związanie tradycyjnego wątku z epokami wielkiej twórczości, po drugie potrzeba odparcia najzdrożniejszych teoryj i pozorów widzenia, rozpowszechnionych przez książki racjonalistów niemieckich, obrabiających dzieje literatury powszechnej«; a dalej: drugi ów cel nastęczył mi »sposobność sprostowania tytułu mętnych pojęć naniesionych złemi książkami, pojęć odnoszących się tak do pierwotnych dziejów świata, jak do przesadnego uwielbienia dla cywilizacyi Grecyi i Rzymu«. Czyli wszakże ten cel, te wogóle cele, były istotnie źródłem i były przewodnikami autorowi w jego pracy? Możemy wątpić, celów tych nie osiąga bowiem bynajmniej książka autora. Okoliczność, iż autor rozdział o literaturze hebrajskiej postawił przed rozdziałami o innych

literaturach i że w tem, jak objawił, oparł się na *wierze*, nie mogła w niczem wpłynąć na sprostowanie *racyonalnych* pojęć, czyli dowodzeń o pierwszych wiekach świata. Co zaś do uwielbienia Grecyi i Rzymu, książka autora miała oczywiście za cel istotny raczej tegoż wzniesienie jak obalenie. W całych rozdziałach o literaturze Greków i Rzymian nie widzimy nigdzie, iżby autor w czem dowiódł, albo przynajmniej dowodził niższości ich cywilizacyi; wszędzie przeciwny jest widok, przytoczyliśmy owszem własne słowa autora, w których Grecya nazwana jest *mi-strzem-narodem*, a literatura rzymska podana za niedoścignioną w swojej *powadze* przez żadną następną.

Zamiłowanie i szukanie jedynie piękności greckiej jest też powodem, iż autor i nie określał trafnie i nie dał praktyczniej poznać charakterystyki utworów piśmiennych Wschodu.

Obaczmy to szczegółowiej.

Obejrzenie utworów moralnych ludów wschodnich autor zaczął od *hebrajskiego*, i słusznie, jakkolwiek bowiem większa dawność *Genesis* nad *Y-king* albo *Wedy*, nie jest ani dogmatem naszym, ani żadnym dowodem religijnym na tę lub ową stronę, sama jednak loiczna historyczność jest za tym szykiem. *Genesis* przy równych cechach dawności jak i inne święte księgi pierwotnych ludów ma jednak tę przed innemi wyższość, iż nie tylko czasy przedziemskie opowiada prosto i jasno, lecz też równie jasno i szczegółowie mówi o pierwszych czasach dziejowych, o rozrodzeniu się i rozsiedleniu się plemion tak przed, jak i po potopie (potopie, który, wspomnijmy nawiasem, gra taką rolę w księgach historycznych chińskich pod nazwą: *Wielki potop*) i określa w ten sposób czasy pierwotne nie tylko ludu swojego, jak inne księgi, lecz ludów wszystkich.

Pierwszeństwo to należy tem więcej literaturze hebrajskiej ze względu na jej *charakter*. Jakiż był ten charakter? Lud hebrajski nie tem się różnił od innych starożytnych ludów, iż wierzył w Boga; niewiara w istnienie

Boga czy bezbóstwo nie było bynajmniej cechą wiar i wyobrażeń pogańskich ludów, cechą tych wiar było nie *bezbóstwo*, ale przeciwnie *wielobóstwo*. Wiara ludu hebrajskiego tem się mianowicie różniła od innych, iż nie tylko zeznawała, że Bóg *jest*, ale że jest *jeden*, i że jest *duchem*. Wiara ta, i dziś może dla ludu niełatwa, tem trudniejszą była za wieku wielkiej przewagi materji, jakoż i sam lud hebrajski kłaniał się zwykle już *cielcom*, już (jak wyraża biblia) *wierzchołkom*, czyli bożkom po górach; wiara jednak w Boga *jednego* i jako *duch* tkwiła nieprzerwanie i stale w pisarzach kraju — *Prorokach*; ta cecha, ten od Opatrzności *przywilej* nadały też wszystkim utworom myśli hebrajskiej najwyższą wartość *duchową*; księgi literatury hebrajskiej czyli biblij są i należą także do różnych gałęzi myśli człowieka jak i gdzieindziej, każdy rodzaj jest jednak tu w szczyście znaczenia swego. To np., co gdzieindziej było *historją*, tu było *religią*, co gdzieindziej było szukaniem, miłością mądrości, tutaj — *mądrością*, co gdzieindziej było *poezją*, wieszczaniem, tutaj prorocstwem. Nie tu oczywiście jest miejsce zajmować się powodami tych prawd, lecz dla wyjaśnienia bliżej przedmiotu wspomnimy chociaż o jednej, *proroczwie*.

Lot najwyższy fantazyi, prorocstwo, ze wszystkich duchowych cudów może największym, t. j. największej wagi dla nas jest cudem, gdyż jawnym, nie tylko przed chwilą, ale przez wieki, a cudem mianowicie jest przez to, iż nie jest dobrowolnym, rozmyślnym utworem myśli człowieka, lecz, jak uważał i ostrzegał w swych listach Apostoł Piotr, »nie dzieje się własnym wykładem« (św. Piotr, I, 20). Z tego znowu przymiotu wynika, iż jakkolwiek wszystkich prawie ksiąg literatury hebrajskiej jest cechą prorocstwo i lubo cel tego prorocstwa jest wszędzie *jeden*, w wyrażeniach jednak szczególnych jest jakby pozorna sprzeczność, jest ciemność, zamęt, które czas dopiero rozjaśnił albo rozjaśnia. Owem prorocstwem biblijnem, we wszystkich księgach zawartem, jest przyjście kiedyś dla

ziemi wieku nowego (*duchowego*) królestwa; a przede-wszystkiem *Tego*, który stać się miał sprawcą jego, Zbawcy. Zbawca ten był już nazwany *Zbawcą* (*Mesjaszem*), już *Wielkim Wodzem*, *Dawidem*, *Sprawiedliwym*, Prorokiem z imieniem *nowem*, już *Słowem*, *Synem Bożym* i *Bogiem* wieków, już miastem *Jeruzalem*, już *Syonem*, już *Ziemią*, już *Górą świętą*, a jako przedmiot zbawienia wskazywanym był już Izrael, już lud z nowem imieniem, już sprawiedliwi wszyscy, już wszystkie narody i t. p.

Weźmy np. kilka ustępów z ksiąg najdobitniej może proroczych, *Izajaszowych*, a te bliżej objaśnią charakter i formę tej, że ją tak nazwać możemy, *hebrajskiej liryki*.

Prorok mówi tu np. o Zbawcy w sposób, który z wiekiem dopiero okazał się prawdą i stał się jasnym.

»Dla Syonu nie zamilczę, a dla Jeruzalem nie uspokoję się, aż wynijdzie jako jasność *Sprawiedliwy* jego, a Zbawiciel jego jako kaganiec zapali się.

»I ujrzą narodowie *Sprawiedliwego* twego i wszyscy królowie zanego twego, i nazwą cię imieniem *nowem*, które usta Pańskie mianować będą (LXII. 1. 2.).

»A jako deszcz i śnieg darmo nie pada z nieba, ale tworzy urodzaj, tak będzie *Słowo* moje, które wynijdzie z ust moich: nie wróci się do mnie próżne, ale uczyni, co-kolwiekem chciał, i *zdarzy się mu* w tem, *na com je postał* (LV. 11.).

Lub znowu mówi o owym wieku przemiany, który nazywa wiekiem powszechnej zgody, pokoju, światła, poznania Pana, wieku, który, dodajmy, jeszcze zapewne od nas nader dalekim, lecz tem dalszym i mniej porękcym był za czasów proroka, a jednak był nieprzerwanym przedmiotem wiary, wskazówek.

»Bóg (wołał) wieczny Pan, który stworzył kraje, ziemię, nie ustanie ani się spracuje i niemasz doścignienia mądrości jego (XL. 28).

»I będzie w ostateczne dni przygotowana Góra Domu

Pańskiego na wierzchu gór, i wywyższy się nad pagórki i popłyną do niej wszyscy narodowie.

»I przekują miecze swe na lemiesz, a włócznie swe na sierpy (II. 2. 4.).

»I będzie grało dzieciątko od piersi nad dziurą żmijową, a odchowane dziecię do jamy bazyliżkowej wpuści rękę swą. Nie będą szkodzić, ani zabijać po całej Górze świętej mojej, bo napełnioną jest ziemia znajomości Pańskiej (XI. 8. 9.).

»Nie będzie więcej u ciebie (Jeruzalem) słońce światłością we dnie, ani jasność księżyca oświeci cię; ale będzie tobie Pan światłością wieczną i Bóg twój na chwałę twoją.

»Nie zajdzie więcej słońce twoje i nie umniejszy się księżyc twój...

»A lud twój, *wszyscy sprawiedliwi* na wieki odziedziczą ziemię, płód szczepienia mojego, uczynek z rąk moich ku wstawieniu (LX. 19. 21).

»Bo oto ja tworzę niebiosa nowe i ziemię nową, a nie będą w pamięci rzeczy pierwsze, ani przyjdą na myśl« (LXV. 17).

Takie proroctwa są to (mamy prawo, mamy owszem powinność wyznać) prawdziwe proroctwa, bo są treścią zarówno wszystkich prawie ksiąg w biblii, bo się już w części spełniły, bo je potwierdził Chrystus, a wiele z owych proroczych wołań powtarza ledwo nie codziennie kościół katolicki w swoich pieśniach (Pójdźcie a oglądajcie sprawy Pańskie, jakie uczynił cuda... odjąwszy wojny aż do krajów ziemi; *Bóg naszą ucieczką*). »Spuść Ducha twój a potworzą się i *odnowione będzie oblicze ziemi*« (et creabuntur et renovabis faciem terrae i t. p.); bo stał się wreszcie poręką ich sam bieg dziejów; taka przeto, jeśli ją tak mamy nazywać, poezya, to szczyt poezyi, i chcąc odznaczyć charakter istotny poezyi hebrajskiej, te, sądzimy, lub tym podobne potrzeba czynić wskazówki. P. Siemieński dla odkreślenia charakteru poezyi hebrajskiej przytoczył, jak

wspomnieliśmy, wyjątki z ksiąg Joba i Pieśni nad pieśniami. Z ksiąg Joba autor przytacza przełożone 11-zgłoskowym wierszem nierymowym rozdziały 38 i 39 i dodaje uwagę: »nigdzie ziemską poezya nie poszła dalej i wyżej«; tak jednak nie jest; w rozdziałach tych Jehowah odpowiadając Jobowi na jego bluźnierstwa, wskazuje na wielką różnicę człowieka od Stwórcy i wylicza szczegóły bytu, które Bóg stworzył lub czyni, a nie uczynił i uczynić nie może człowiek; wyliczenia te są to oczywiście szczegóły, słowa *prawdy*, te dla monotonności obrazu nie są poezją i nie dały poznać istoty hebrajskiej poezyi. Dodajmy, że i sam przekład słowa nie odbił charakterystyki tekstu. Charakterystyka słowa, czyli stylu ksiąg Joba, jak równie całej biblii jest ta, iż odznacza je jednocześnie *wzniosłość* i razem *prostota*; to połączenie przymiotów tych tak przeciwnych dzieje się w ten sposób, iż wzniosłość jest zawsze w obrazie, a prostota w *wyrazie*. P. Siemieński w przekładzie starał się oczywiście obok zachowania obrazu i słowo poetycznym uczynić; nowożytnie poetyzowanie słowa pożądanem jest wprawdzie dla ucha nowożytnego, i jest istotnie koniecznością w braku obrazów, lecz, jak mówimy, nie objaśnia charakterystyki biblii.

Przytaczamy parę przykładów, kładąc obok tekst (według dosłownego przekładu z hebrajskiego św. Hieronima, czyli *wulgaty*).

Tekst: Gdzieś był, kiedym zakładał fundamenta ziemskie? powiedz mi *jeżeli masz rozum* (indica mihi, si habes intelligentiam) 38.

P. Siem. Gdzieś był, gdym ziemski zakładał fundament? Powiedz, *jeżeliś dorósł* do mądrości?

Tekst: *Azaś wszedł* do głębokości morskich i przechodził się po dnie przepaści? (numquid *ingressus* es profunda maris et in novissimis abyssi deambulasti. 38. 16).

P. Siem.: *Azaś ty dotarł* aż do morskich źródeł? Chodziłś po dnie *falistych* przepaści?

Tekst: Izali twą mądrością obrasta pierzem jastrzęb,

rozciągając *skrzydła swe* na południe? (numquid per sapientiam tuam plumescit accipiter, expendens *alas suas* ad austrum) 39. 29.

P. Siem.: Twoją mądrością jastrząb skrzydłem *buja?*
I na południe rozpina swe *zagle?*

Tekst: Pan Bóg wspomóżyciel mój, przetom się *nie zawstydzil* (Dominus Deus auxiliator meus, ideo non sum confusus. Izaj. 50. 9).

P. Siem.: Jehowa Bóg mój sam mię podtrzymał. Przetom nie spłonał od wstydu.

Ten ostatni przykład wzięliśmy z krótkiego wyjątku, który autor przytoczył z rozdziału prorocत्व Izajaszowych, o którym to wyjątku, pod względem reprezentowania poezji hebrajskiej, tóż rzecz można, co i o powyższym. Mniej zaś jeszcze dają poznać właściwość tę przytoczone przez autora wyjątki z *Pieśni nad pieśniami*, tem więcej, że sam autor odkładając wykłady duchowe, uważa ją tylko za pieśń »Salomona do Sulamitki«, i zajęty jest wykazaniem znajdujących się w niej podobieństw do pieśni gminnych dzisiejszych. Dodać tu także wypada, iż dziwimy się, że autor, który w ciągu pisma powstaje na protestantyzm, a w przedmowie zapowiedział, iż właśnie będzie dowodził przeciwko niemu, wyliczając księgi biblii, księgi *Judyt*, *Mądrości*, *Machabeuszów* i t. p., podaje za *apokryficzne* (str. 64) tak, jak to czyni właśnie kanon protestancko-niemiecki.

Przechodząc od Hebrajczyków do innych ludów wschodnich *Chin*, *Indyj* i t. p., autor lubo najczęściej trafny jest w teorii, nie przekonywa jednak i nie objaśnia jej czytelnikowi; wszędzie bowiem w doborze przykładów zajęty był nie powtarzaniem tego, co stanowi właściwość dawnej literatury, ale wyszukiwaniem miejsc, w których ta staje się podobniejszą do naszych.

W literaturze *chińskiej*, jak dobrze określił autor, wszystko jest rozumowaniem, rachubą, polityką; tenże właśnie charakter jest i poezji chińskiej, jest to właśnie szczególnością poezji tej, ile ją znamy, iż jakkolwiek uczu-

cie chińskie przypisywało wielką władzę tej sztuce, jej wpływom, treść jej obraca się zawsze koło morałów, koło administracyi krajowej. Ten jest główny charakter księgi *Szi-King*, czyli zbioru dawnych poezyj chińskich, a których ogólnym wyrazem, zdaniem krytyków chińskich, jest: »sześć cnót«. Dla przykładu zaś tego charakteru możemy przytoczyć urywek z dawniejszej jeszcze księgi i jednej z pierwotnych chińskich, *Szu kin*.

»Kuej (minister przełożony nad muzyką), pisze ta księga, rzekł: Kiedy z woli naszej wydaje dźwięk *Min-kin* (kamień harmonijny), gdy dotykamy liry *kin*, albo gitary *sse* i kiedy im towarzyszy nasza piosnka, dziad i ojciec stają się nam obecni, *Foang-hang* (ptak) bije skrzydłami, kiedy posłyszysz dziewięć akordów muzyki *Siaossao*.

»Kuej rzekł jeszcze: kiedy biję o harmonijny kamień czyli to zlekka czy silnie, najdziksze zwierzęta skaczą z radości, i naczelnicy wszystkich urzędów publicznych stają się zgodni.

»Cesarz ¹ zaśpiewał natenczas taką piosnkę:

Ci, którzy szanują rozkazy niebios,
Sklaniają bacznie uwagę na czas i okoliczności.

I zaśpiewał jeszcze następną:

Kiedy ministrowie pełnią z upodobaniem powinność,
Władza podnosi się do wysokiego stopnia blasku,
Wszystkie urzędy publiczne z radością spółdziałają
Dla publicznego dobra.

Szu-kin V, 9, 10, 11 (wedł. przekł. Goubil 1770).

Przykłady podobnej treści, zdaje się nam, iż więcej poznałoby czytelnika z właściwością poezyi chińskiej, niż przytoczona autora z *Szi-kin* elegia:

Jaskółki odlatują na powietrznej fali,
Ona do swoich wraca — daleko, daleko
Odprowadzam kochankę, zniknęła w oddali i t. d.

¹ (Albo: »Władca Chin«).

Elegia wdzięczna, ale po odczytaniu której czytelnik może uczynić wniosek, iż cała *Szi-kin* jest tylko jedną z ksiąg pieśni Książnina.

W rozdziale o literaturze indyjskiej autor mówi obszernie o *Wedach* i *Prawach Manu*, dwóch pomnikach-księgach, których dawność sięga oczywiście za czasy późniejszej mitologii indyjskiej, i w których dobitnie się odkreśla pierwotna tej strony religia, istotnego jednak charakteru ich, zdaniem naszym, nie kreśli. Istotnym charakterem, t. j. najgłówniejszą prawdą religijną staroindyjską były: cześć i znajomość *Duszy Najwyższej*. Każda istność stworzona, uczyła ta religia, zna duszę, która ją ożywia; dusza, która ożywia świat cały, jest to *Dusza Najwyższa* (*Dusza Powszechna, Bóg, Brahma*). »Kiedy, opowiada jedna z *Wed*, Wielki *Samotnik* (*Brahma*) będąc jeden, uczuł bojaźń i nudę, wyprowadził z siebie rząd stworzeń, a tym jest *Świat*«. Tę zasadniczą prawdę co chwila opowiadają *Wedy*; znajomość jej była głównym warunkiem zbawienia i na jasny jej wykład znaczne jest w różny sposób silenie się. »Niektórzy ludzie, mówi np. jedna z *Wed*, udali się do mędrca *Udaleki*, aby im wyłożył, co to jest *Dusza Powszechna*. Mędrzec *Udaleki* odesłał ich do króla *Aswapati*. *Aswapati* zapytywał każdego z ciekawych, co oni sądzą być duszą powszechną? Jeden z nich rzekł: »Niebo«. Król rzekł: to *Słowa Duszy*. Drugi: »Słońce«. Król rzekł: to *Oko Duszy*. Trzeci: »Powietrze«. Król rzekł: to *Oddech Duszy*. Czwarty: »Ziemia«. Król rzekł: to *Nogi Duszy* itd. *Prawa Manu* (właściwie: *Przykazania Manu Syna Bożego*) w ostatnim rozdziale swoim, obejmującym wyrozumowanie religii, mówią między innymi: »Niechaj brahman natężywszy uwagę, w duszy boskiej widzi wszystkie rzeczy widome i niewidome, bo oglądając wszystkie rzeczy w Duszy, nie poddaje umysłu swego nieprawości«.

»Dusza jest zbiorem bogów, cały świat spoczywa w Duszy najwyższej. Dusza ta wyprowadza rząd czynów, spełniających się przez istoty, które są ożywione duszą«.

W zasadzie tej spoczywa też główna różnica praw Manu od innych kodeksów; prawa te nie tylko opowiadają i uczą o obowiązkach ludzi względem Boga, ale też i względem istot stworzonych, jako zwierząt, roślin i t. p. W jednym np. z rozdziałów swych prawa te mówią:

»Niechaj nikt ani *ziemi* kawałkami nie wzrusza, ani szczypie *trawy*, ani czyni żadnego postępcu bez potrzeby.

»Człowiek, który wzrusza ziemię kawałkami, albo szczypie trawę, lub ucina sobie paznogie, idzie rychło na potępienie«. IV, 70, 71.

(Drugą wielką cechą tych praw jest bliższosc w obcowaniu z naturą stworzoną i może pewna znajomość tajemnic jej).

Takich jest ram i tej treści *wszechbóstwo*, czyli *panteizm* indyjski, a zarazem to źródło wszelkiej późniejszej *filozofii* indyjskiej, treści *poematów* i t. p. Tej jednak zasadniczej prawdy indyjskiej czytelnik nie poznaje z charakterystyki *Wed* i *Praw Manu*, które podał autor. O *Wedach* autor tylko wzmiankuje, iż odznacza je dziwaczna fantazya, iż składają je hymny do różnych bóstw, i przytacza z nich jeden do *słońca*, czyli *Suryi*:

Promienie niosą już w górę
W całego świata oblicze
Wszystko-widzące słońeczko i t. d. —

o prawach zaś Manu, iż w nich jest mieszanina barbarzyństwa z cywilizacją. Autor wprawdzie w opowiadaniu nieraz religię hinduską *panteizmem* nazywa, ale ani z przytoczeń, ani z definicyi mitologii indyjskiej czytelnik nie poznaje powodu tego nazwiska.

System religii *perskiej* ma podobieństwo z hebrajskim, nieledwie chrześcijańskim. Syn Przedwiecznego *Ormuzd* utworzył ziemię, Księżę Ciemności *Aryman* pozazdrościł jasnego utworu i wprowadził nań burze, zimy, rany, cierpienia, klęski, cienie i śmierć; — bieg ziemi jest to walka dwóch władz, aż kiedyś zwycięży Ormuzd, a zniknie z ziemi

Aryman z orszakiem swoim. Każdy rodzący się człowiek to Ormuzdowy żołnierz, którego obowiązkiem jest czcić, szerzyć państwo Ormuzdowe, a niszczyć Arymanowe. (»Kto daje, mówi *Zendawesta*, grosz żebrakowi, ten rani czarta, powtórzy datek, a Diwy będą się wściekać od złości«.) Przy systemie tym przemagała jednak głównie cześć *Światła*. Gdzie jest *Światło*, tam jest życie, piękność, tam radość; — co więc *jasne, światłe, co czyste*, to *Ormuzdowe Państwo*. — Cześć *Światła*, światel duchowych, ciał świątlych, słońca, księżyca, rzek, zdrojów i t. p. to główna podstawa i cecha stosowanych nauk w religii perskiej, ich przynajmniej znanej nam religijnej księgi *Zendawesty*. Wszystkie hymny, modlitwy, obrzędy, przepisy, nauki, w księdze tej wypływają i obracają się tu około tej cechy. Jasność spoczywa we wszystkim i Pers równie jak braman indyjski spowiadać się musiał z grzechów przeciwko *ziemi*, przeciwko *roślinom*, przeciwko *kruszcom*. (*Rachunek sumienia w Zendawescie*). Źródłem jednak uznawania w tem grzechów był nie panteizm czyli przyrodobóstwo, ale uznawanie *dwóch Bóstw*. — Taka jest różnica dawnych religij Indyan i Persów i takie wogóle tło *Zendawesty*. Autor wspominając tylko, iż w obu religiach daje się widzieć »jedność podań mitycznych« i przytaczając jedną z liryk *Zendawesty*, zawierającą prośby do naszych podobne, nie określił ani właściwego systemu religii perskiej, ani charakteru ich religijnej księgi.

Nie mamy przeciwnie nic podobnego do powiedzenia o drugiej części książki p. Siemieńskiego, która ma napis *Grecya i Rzym*. Przeszedłszy do Grecyi, autor znalazł się w swoim żywiole, w piękności, rzec można, dzisiejszej i w tem, co w rozdziale tym mówi o literaturze tego kraju, zwłaszcza w poezyi; w tem wszystkim, co z niej przytacza, jest zarówno i piękność i wierność. Rozdział o literaturze greckiej jest i najdłuższym w książce autora i najstaranniej opracowanym. Rzechy można, iż rozdział ten rzeczywiście był głównym celem, a przynajmniej głównym

przedmiotem pracy autora, inne zaś dodane następnie zostały jak podrzędne figury w dramacie dla określenia lepszego figury głównej.

To o kolorze ogólnym; moglibyśmy takie wymagania i zarzuty (o które wyznajemy, przy krytykowaniu, a zwłaszcza pisma ram tak obszernych, tak łatwo) zastosować przeciwko drugiego rzędu szczegółom książki; jak to np. przeciw *pełności* jej. Ponieważ autor nie pomijał i wspominał o wszystkim, co jest wiadomem z piśmiennictw dawnych, mogły być przeto jeszcze niepominięte: *księgi wojen* przed-Mojżeszowe, o których i sam *Mojżesz* i hermeneutyki wzmiankują; *Kroniki Perskie*, o których wspomina biblia (Esth. VI. I.); Teogonia fenicka *Sanchoniatona*, której (pomijając jakoby świeże odkrycia) tak obszerny i zajmujący wypis u *Euzebiusza* (w ks. *Praeparatio Evangelica*); Pieśni *Armeńskie* (z pierwszej ojczyzny Noego popotopowej) sięgające Semiramidy czasów, a które przechował *Mojżesz Choreński*; ogromna literatura *Buddycka* (której niejaką treść i wypisy poczynił, i w naszym języku, filozofa *Majewski*) i t. p.

Przeciw *dokładności* zdań szczególnych lub wzmianek np. gdy przystępując do określenia literatury greckiej, autor na str. 202 mówi: iż ta nie miała »bezwarunkowej twórczości, nie stworzyła nowych gałęzi, a tylko: w płodach uczucia i wyobraźni *formę* czyli piękność, w umiejętności teoryę«, — sam zaś następnie na str. 320, mówiąc już o czasach upadku Grecyi, dodaje: »stworzyła ona w tym czasie: zoologię i botanikę i wynalazła geometryę, mechanikę i trygonometrię« itd.

Na str. 268 mówi: »iż grecka moralność pogańska nie знаła jeszcze nieśmiertelności duszy«, — twierdzenie to jest także jednym z dowodów, iż autor pisząc o literaturze powszechnej, zajęty był tylko stroną estetyczną, nie zaś (jak utrzymuje w przedmowie) stroną moralną swego przedmiotu; patrząc bowiem teologicznie, gdzież dobitniejsza i żywsza była wiara w nieśmiertelność dusz i nawet w samo

zmarłychwstanie ciał, jak w Grecyi i jej religii, — wiara w tę nieśmiertelność była owszem podstawą i godłem całej poezyi greckiej; łódka Charona i szale Plutona, tartar i elizejskie pola, to wyrażenia i wyobrażenia ściśle greckie; — sam autor, który wyraził powyższe twierdzenie w rozbiorze Eschilosowej trylogii, na poprzedniej właśnie karcie przytoczył słowa Klitemnestry, »iż Agamemnon w tej chwili w cieniach podziemnych odzyskuje uścisk Ifigenii« i na następnej wołanie tejeże śród piekieł: »za moją zbrodnię srogie męki ponoszę«; owe zaś słowa *Kassandry*, które przytacza w dowód swego twierdzenia (»Jakiż to los śmiertelnych! zapomnienie i nicość największa, to nędza nasza!«), odpowiadają tylko tym, których i chrześcijanin używa, gdy mówi *np.* »w proch się obrócisz«. Twierdzi także, przypominamy, autor, iż w Grecyi epopea poprzedziła lirykę, (Orfeusz? Amfion?) iż w Rzymie całe piśmiennictwo jest płodem oratorów, a w pieśni — *moralizujących rozpustników* (*Wirgiliusz? Terencyusz?*), iż *Kalidasa* znane są tylko dotąd dwa dramata: *Sakuntala* i *Wikramurwasi* 154 (wydany jest także 1840 przez *Tullberga* w Bonn, dramat tegoż trzeci: *Malawika i Agnimitra*) i t. p.

Przeciw *smakowi* wreszcie ile w piśmie najpełniejszym pięknego smaku, a stąd odbijające przez kontrast, położylibyśmy używanie przez autora śród pięknej dykcji wyrazów mniej estetycznych jak *np.* *ongi, podobnoś, sotnia*, (czy nie *setnia?*), *duszewny* i t. p. *Alkibiades, Kimon, Kirus, Tukidides*, i t. p. zamiast *Alcybiades, Cymon, Cyrus*, i t. p. Celem każdego wyrazu jest być zrozumiałym, względ zaś na zrozumienie i wreszcie raz utarty zwyczaj krajowy, który przyswoił sobie, dał już obywatelstwo u siebie jakimś nazwiskom, ważniejszym jest niż jakieś względy źródłowe, — zastosowanie się w imionach właściwych do ich brzmień w swoich językach, jak mniej potrzebnem jest, tak też nigdy nawet dokładnie osiągniętem byćby nie mogło; w samym języku greckim są brzmienia (jak *np.* *th* w *Themistokles*), których nie umielibyśmy wyrazić, toż mówić o in-

nych językach. W językach wschodnich autor nie czynił nawet odmian i pisze np. wszędzie *Konfucyusz*, *Manu*, i t. p. nie zaś *Konfuce*, *Meno* i t. p. Przyjmując ową zasadę, musielibyśmy najprzód zacząć reformę nazwisk hebrajskich, — samo np. imię *Jezus* należałoby pisać i mówić *Jehosua*.

Te jednak wszystkie uwagi, czyli zarzuty, które poczyniliśmy, równie wyżej, jak niżej, w części uważać się mogą jako zbyt cenne, w części jako za drobne; w miarę tej zasługi, tego bogactwa przedmiotów, jakie autor *Przeglądu Literatury Powszechnej* książką swą przyniósł nam do piśmiennictwa. Przegląd ten, powtarzamy, jest książką pożyteczną i piękną. Bez odniesienia się w drobiazgową źródłowość i inne charaktery scholiczne, jak pisma podobnej treści niemieckie, pełniejsza jak wiele francuskich, jasna i estetyczna książka ta p. Luc. Siemieńskiego, przełożona nawet na jakikolwiek żyjący język, wszędzie zapewne wdzięcznie byłaby przyjętą.

LIST DRUGI.

(Kazania czyli rozprawy duchowne o rozumie filozoficznym i o rozumie katolickim, przez księdza Wenturę de Raulika, przełożone z francuskiego przez M. J. Lipsk 1855).

Jest to przekład rozpraw duchownych, właściwie *konferencyj* (conférences) jednego z najsławniejszych społecznych nam mówców kościelnych, mianych w 1851 r. w Paryżu. Jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa były potrzebą wieku, była, że tak powiemy moda w literaturze kościelnej na *apologie*, w wiekach średnich na *summy*, tak teraz, społecznie nam, wynikły z potrzeby i ukazują się w literaturze kościelnej częściej niż inne formy: *konferencye*. Konferencye to rodzaj kazań, z różnicą, iż ciąg ich pewny całość stanowi, i że są nie tyle wykładem obowiązków, jak raczej niejaka polemiką ze słuchaczami, rozmową, *konferencyą*. Takie konferencye miewał ks. Frayssinotus w kościele Panny Maryi w Paryżu (ustanowił je tam po-

dobno arcybiskup de *Quelen*) przeciw ateizmowi; takie były sławne ze skutków w r. 1836 konferencye Dra *Wiseman* w kościele Panny Maryi *Morrfields* przeciw anglikanizmowi; konferencye ks. *Lacordaire* w kościele Panny Maryi w Paryżu (1847—1852) o części historycznej chrześcijaństwa i stosowanej; konferencye ks. *Wentury* w Rzymie o męce pańskiej i wreszcie śród innych obecne, miewane przez tegoż z dozwolenia arcybiskupa *Sibour* w języku francuskim w kościele *Wniebowzięcia*, spółcześnie z ks. *Lacordaire*. Konferencye te czyli książka, o której mowa, jak formą tak i *przedmiotem*, najtrafniej styka się ze społecznością. Każdy wiek w rozwinięciu chrześcijaństwa, możemy to uważać, ma sobie właściwe kwestye, które zajmują go i które w końcu tak a nie inaczej rozstrzyga. W pierwszych wiekach przychodziły pod rozbiór wszystkie z kolei dogmata główne, najbliżej boże, czyli wobec nauki chrześcijańskiej Istota Boża; dalej wobec nauki tej *człowiek*, czyli *wola i łaska, uczynki i wiara*; dziś wreszcie, człowiek śród społeczności, *społeczność*, lub jaśniej ocenianie i oznaczanie stosunku religii chrześcijańskiej do *nauk, ustaw cywilnych, sztuki* i t. p. Konferencye obecne ks. *Wentury* mają właśnie za przedmiot jedną z tych kwestyj; dotyczą one tych ostatnich zjawisk w ich źródle i mówią o *rozumie* człowieka wogóle, wobec chrześcijaństwa. Rozum ludzki i jego owoce czyż są godziwe? jestże na co potrzebnym *rozum* przy *wierze* chrześcijańskiej? jeśli jest, czy rozporządzać ma wiarą, czy też jej poddać się? jaka wogóle jest historia *rozumu* wobec chrześcijaństwa? To są główne pytania obecnej książki; sam napis, który dał jej autor w wydaniu, jest z pewnej strony już odpowiedzią na część tych pytań. Autor, widzimy z napisu, dopuszcza rozum i dzieli go tylko na *filozoficzny* i *katolicki*; napis książki nie mówi, iż jest o *rozumie* i *wierze*, ale o *rozumie* filozoficznym i *rozumie* katolickim; treść książki jest w krótkich słowach następująca:

Kazanie czyli *konferencya* 1-sza mówi o *rozumie filo-*

zoficznym u starożytnych. Pierwszy człowiek był stworzonym przez Boga na podobieństwo boże. Duch jego był doskonałym, doskonałe więc być musiały i władze ducha: *rozum, poznanie*. Z upadkiem ciała, upadł i rozum człowieka. Następcy Adama dziedziczyli nie tylko ciało, ale i ów rozum Adama. Prawdy pierwotne tkwiły w umyśle, w sercach, ale w karykaturach. W Ameryce jest pokolenie indyjskie, w którym jest zwyczaj, iż dzieci sędziwych swych rodziców zabijają i jedzą; zapytany jeden z tego pokolenia o powód podobnego zwyczaju, odpowiedział: »odbierając starcom niemocnym życie, skracamy cierpienie ich, a nie jestże najwłaściwszem, aby po śmierci grób swój mieli w istotach, którym sami życie dali«; przytoczywszy ten szczegół, ks. Wentura dodaje: »jest to, widzimy, przykład najdzikszej miłości synowskiej, ale zawsze *miłości synowskiej*; podobnie między rozrodzoną ludzkością w najdzikszych formach utrzymywały się cześć i wiara: w Boga, w nieśmiertelność dusz ludzkich i t. p., ale *utrzymywały się*; »a światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły«, jak pisał św. Jan. Rozum filozoficzny u starożytnych zaczął także swe dociekania, ale do niczego nie doszedł; ostatnim ich wyrazem był Cycero i jego nauka; ten w pismach swych zebrał wszystkie rozumowania o Bogu i nieśmiertelności poprzedników swych w Grecyi i Rzymie, i wniósł: iż jakkolwiek ogólnym wypadkiem ich jest bytność *Boga, nieśmiertelność*, ale iż można wątpić, iż sam on dzisiaj tym prawdom wierzy, a jutro nie wierzy; ostatnim wypadkiem dociekań rozumowych u starożytnych było więc tylko *wątpliwość*. Księgi religijne pierwotnych ludów, poeci, więcej prawd znali aniżeli filozofowie. »Rozum filozoficzny, uważa autor, zamienił więc ówczesnych ludzi w dzieci, filozofów w idiotów, uczonych w głupców; dzisiaj w świecie chrześcijańskim przeciwnie, dzieci, które się uczą katechizmu, są rzetelnymi ludźmi, idyoci uczonymi, prostaczkami filozofami«. — »Gdyby starożytny filozof, dodaje tu autor, ujrzał to zjawisko, jakżeby szydził dowie-

dziawszy się, iż ludzie mający dziś taki owoc, taką naukę (chrześcijańską), za jej obrębem, u nich, szukają prawd wyższych. Syn Boży, powiedziałiby, uczy was, a wy szukacie«. — »W świecie fizycznym dwojga słońc niema, i w świecie duchowym dwojga ich niema«.

Konferencya 2-ga mówi o rozumie katolickim z wieków chrześcijańskich. Nauka katolicka w pierwszych wiekach nie odrzucała bynajmniej rozumu filozoficznego; »ojcowie kościoła, mówi autor, wychodzili tylko z zasady, iż nie od rozwijania pojęć filozoficznych należy przechodzić do wiary, ale od wiary do pojęć filozoficznych. Własnością religii rzetelnej musi być koniecznie coś, co przechodzi rozum człowieka; co bowiem za jedyne swe źródło ma ludzki rozum, musi w końcu okazać się tak ograniczone, jak ten rozum«. — »Zupełna niepodległość moralnie, jak fizycznie, nie jest udziałem człowieka«. — »By dojść do cnoty, ukrzyżować potrzeba serce, by dojść do wiedzy, upokorzyć należy rozum«. — Jako na dwa kolosy moralne nie tylko w literaturze kościelnej, ale wogóle ludzkiej, a których zdania uważane są za grunt w teologii katolickiej, autor wskazuje na zasługi św. *Augustyna* i *Tomasza z Akwinu*; »te dwa, mówi autor, że się tak wyrażę, *podziwy rozumu* (*intelligences monstres*) mają umysł swój ozdobiony i w szczyt nauki i w szczyt geniuszu, byli jednak razem wzorem pokory, poddając go pod powagę nauki tradycyjnej w kościele. »Jako na religie fabryki rozumu ludzkiego«, autor wskazuje z jednej strony na religie, *pogańskie, mahometanizm*, z drugiej strony na *sekty, kacerstwa i racjonalizm*; tamte mówiły: »wszystko władzy (*autorité*), nic rozumowi«, te znowu »wszystko rozumowi, nic władzy«; tamte były religie *zmysłów, te pychy*. Nauka katolicka powiada: »szanuj władzę, używaj godnie rozumu«. Rozum katolicki postępując tą drogą pośrednią, lecz pewną, rozstrzygnął z kolei owe wszystkie kwestye głównejsze, nad których rozwiązaniem sili się dotąd filozofia, jako to: *kościelne, społeczne, woli, łaski, tworzenia się wyobrażeń, opinii powszechnej*

i t. p. »Szukajcie naprzód Królestwa Bożego, a reszta będzie wam daną w przydatku«; spełniło się to właśnie, uważa autor, na filozofach chrześcijańskich, »szukali tylko nieba, a zapanowali nad ziemią«. Europa stała się siedliskiem *kunsztów, nauk, oświecenia, swobód* i t. p.; panią nauk i świata, a filozofowie odstępcy »mają imię, że żywią, ale są umarli«. (*Apokalips.* III. 1.).

Konferencya III-cia o rozumie filozoficznym wieków tegoczesnych. Następtwem rozumu, opuszczającego fundament wiary, stawać się muszą następne cztery okresy czyli koleje: *rozdział z religią, roztrząsanie, przeczenie,* i wreszcie *stan złudzeń (déception, mistycyzm, panteizm* i t. p.); wciągu rozdziału czyli konferencyi, autor wykazuje, że momenta te odznaczyły właśnie wieki XVI. XVII. XVIII i nasz.

Konferencye IV-ta i V-ta mówią w szczegółach o *jasności, trwałości i prawdziwości* i t. p. przymiotach nauki katolickiej. Owe religie *też same, bez życia,* — religie *pychy* zmieniają się ciągle, lecz nie jest to ruch życia, ale rozkładu, zniszczenia; jedynie tylko nauka katolicko-chrześcijańska łączy w nauce swojej *rozmaitość przy niezmienności, trwanie przy życiu.* Nauka katolicka nie mówi, iż może być tak lub tak, ale »iż tak jest«; jak oczy widzą światło materyalne z pewnością, tak katolickie pojęcie z pewnością ogląda każdą prawdę moralną, »wyznawca katolicki wierzy, nie wątpi; twierdzi, nie protestuje«.

Rozdziały te mają główny związek z zadaniem konferencyi, napisem książki; po ustanowieniu w nich wyższości rozumu katolickiego nad filozoficzny, autor schodzi do zastosowań i mówi w następnych o głównych prawdach z nauki katolickiej idących, mianowicie: o *Trójcy, człowieku, wcieleniu Słowa Bożego* i wreszcie *naprawie powszechnego świata* przez to wcielenie. W rozdziałach tych może mieścić się najwięcej prawd żywotnych, bliższą jednak ich treść opuszczamy, jako będącą już rodzajem ustępu od głównego założenia książki; przestajemy tu tylko na przytoczeniu następnej uwagi z rozdziału ostatniego: »iżby Bóg był godnie

poznany i tem samem uwielbiony przez utwór, musiały stworzyć chyba równych Sobie, lecz Bóg nie może stworzyć bogów, więc zstąpił na ziemię Sam, tj.: połączył się Sam z naturą ludzką i nauczył *poznania, uwielbienia i zbliżenia* ku sobie. »Człowiek jest *skróconym światem*, zawierającym w sobie wszelkie stworzenie duchowe i materialne, zaś Słowo Boże stało się człowiekiem, ażeby z sobą w człowieku i przez człowieka cały świat podnieść, połączyć i ożywić«. — »Stwórca zstąpił w stworzenie, a całkowite stworzenie wzniesione zostało aż do Stwórcy«.

W tych ramach rozwiniętą jest treść obecnych kazań ks. *Wentury*; rola rozumu ludzkiego, tej głównej cechy człowieka, jak widzimy, nie jest tu potępioną. Rola ta nigdy też, ściśle mówiąc, w nauce katolickiej potępioną nie była; potępiali ją chyba niekiedy (tak u nas jak i gdzieindziej) teologiczni dyletanci. Potępienie to było też częścią źródłem, a częścią skutkiem, można rzec, niejakiej kabały. »Sofiści, przyjaciele zaburzeń bez granic — mówi wydawca kazań ks. Lacordaire'a — a nieprzyjaciele religii chrześcijańskiej, wynaleźli i upowszechnili to twierdzenie, jakoby religia sprzeciwiała się rozwijaniu nauk i swobód społecznych«. »Jest to — jak wyraża sam ks. Lacordaire — dawny ów wąż zatracenia, który zmienia kolory swe przy słońcu każdego wieku«. Zasadą, którą ten znakomity mówca, doktor chrześcijański, co do przedmiotu, o którym mówimy, wprowadził i z której zawsze wychodzi, jest: iż na dnie serc wszystkich ludzi rozlany jest rozum boży, *powszechny (katolicki)*, który w jednostkowych ludzkich pojęciach jest zbiorem różnorodnych szczególnych fałszów przybity (jest to zasada, widzimy, wprost przeciwna protestanckiej, która odrzucając *powszechny*, stawia właśnie najwyżej rozum *jednostek*), że o ile na owym powszechnym oparta jest nauka chrześcijańska, o tyle jest rzetelna; oparta na pojedynczym tworzy tylko religie *jednostek* albo *krajowc*, że wyrażenia w Piśmie, które już zalecają, już potępiają mądrość, naukę, różnią się przez to, iż o jednym lub drugim z owych rozu-

mów mówią, iż wreszcie wszystkich nas posiadaczy rozumu jednostkowego obowiązkiem jest: oczyszczać go z owych fałszów, kształcić, rozwijać, iżby się zszedł z katolickim.

Zasady te w różnych kształtach po konferencyach Ks. L. rozsiane i rozwijane, ujął właśnie i w oddzielnej całości rozwinął, jego bezpośredni w tym względzie w Paryżu następca i dalej spółnauczyciel ks. W. w naukach, czyli piśmie, o którym mówimy; rozum ludzki księdza L. nazwany tu tylko rozumem filozoficznym.

Rozum w istocie ludzkiej, uważa ks. W. w swojej nauce za przymiot, który jest *godnością* człowieka, którym się różni od zwierząt, podobny jest Bogu; uważa tak, jak jego poprzednik, iż jest powszechny: spoczywający na dnie serc ludzkich, wyższy nad pojedynczy. Wszelkie prawdy, jakkolwiek dziwne, jeżeli tylko są prawdy, muszą mieć zgodność z owym rozumem; «Bóg jeden, a w Trójcy» wyraża tu uwagę — «obecność *ciała* jego w eucharystyi, naszych kiedyś ciał zmartwychwstanie, są to prawdy, którym sprzeciwia się czysty rozum, a jednak muszą mieć zgodność z rozumem powszechnym, skoro je bez żadnego musu przyjmują z kolei wszystkie ludy, na samo opowiadanie misyonarzy». W rozdziale o rozumie katolickim w wiekach chrześcijańskich, broni nawet scholastyków, ponieważ ci w swej nauce opierali się «na rozumie *powszechnym*». «Można im — mówi — zarzucać metodę, lecz nie zasady; zasady ich, stanowisko, z którego wychodzili, było owszem to, do którego rozum filozoficzny dzisiejszy po długich wysileniach dopiero dochodzi».

Część druga książki autora, obejmująca stosowanie, czyli *rozwijanie* rozumem czystym znanych prawd katolickich, obfituje od początku do końca w prawdy żywotne. W rozdziale np. pod napisem *Trójca*, autor za przykładem śś. Augustyna i Tomasza z Akwinu, szuka odbicia się Trójcy w *duchu ludzkim*. Bóg bowiem jest jednym w Trójcy, a człowiek jest podobieństwem bożem. W poszukiwaniu

tem czytamy między innymi takie zdania: «*rozum i myśl* toć jest ze wszystkiego, co jest w człowieku, najszlachetniejsze i najszczytniejsze» (VI. 18), albo: «spójrz w twój umysł, a powiedz: czyj tam jest obraz? nie widzisz-li tam wyraźnie Boga w Trójcy jedynego? nie widzisz-li tam Boga i nic prócz Boga? Oddaj przeto stworzeniu, oddaj światu, co ich jest, zachowaj dla Boga i oddaj Bogu, co boże — serce twoje i umysł, bo te należą do Boga i do nikogo prócz Boga» (VI. 19). W rozwijaniu tem autor zwraca co chwilę uwagę na *zalety, bogactwa, znaczenie, godność* ludzkiego ducha; naukę tę słysząc rolnik, co grzebał przez tydzień ziemię, lepiarz, co podrzucał cegły do gmachu, zwrócić muszą uwagę swoją na zacność swoją, dbałość i utrzymanie jej; ich pan w miejsce wzgardy lub dumy wzbudzi ku nim powolność, miłość, *uszanowanie* dla nich. Przy takich i tym podobnych prawdach, wyznać należy, iż istotnie dobra zasada jest wszystkim, iż lepszem jest jej stosowanie, jak walka dopiero o nią i żałować musimy, iż autor tej walce połowę swej książki poświęcał, poświęcić musiał.

O zaletach wreszcie nauki i wymowy ks. Wentury, tylekroć nam spólcześnie ocenianego, byłoby może tu zbytniem mówić do czytelnika. Siła, przekonanie, obfitość tak słów jak myśli, pamięć zawsze zarówno, rzecz można, na ziemię i niebo, niebo i ziemię, to są główne i ciągłe zalety nauk tego autora. Mniej oryginalny, wymowny i w zastosowaniach praktyczny od swego współzawodnika (księdza L.), więcej jest skądinąd poważny, erudycyjny, więcej niekiedy znowu ognisty, można rzecz, absolutny i wyłączny. Syn ziemi, która męczenników tworzyła, dumny jest, iż broni dziś wiary wkrótce dwudziestu wieków.

Jeżeliśmy jednak o charakterze tej książki, która do nas przychodzi, bliżej wyrazić się mieli, tedy co do nas, dwa następne mielibyśmy jej szczegóły do zarzucenia.

Podzielamy zupełnie i wywód i twierdzenie autora o rozumie powszechnym i jednostkowym, o wyższości

scy, hiszpańscy, francuscy, w polemikach swych z antykatolicyzmem, z tem tylko, co ich bliżej otacza, nie wyczerpują zwykle swego przedmiotu. Nauka np. doktorów protestancko-niemieckich nie dotykana jest prawie w owych polemikach. Jeden dziennik genewski rozbierając w swym czasie badania filozoficzne *Nikolasa*, miał nieco słuszności wyrzec, iż ten w piśmie swem tylko stare i przesądne zarzuty przeciw protestantyzmowi powtarzał. Dr. *Wiseman*, wzrosły wśród anglikanizmu, w konferencyach swych odpowiedział stanowczo na zarzuty protestantyzmu anglikańskiego, lecz tylko anglikańskiego. Książd *Lacordaire* w jednym z swych kazań rozbierał zarzuty *Straussa* przeciw autentyczności Ewangelii; książd *Wentura* wspomniał raz *Feuerbacha*, lecz oba *racyonalizm* i *protestantyzm* mając za jedno, przedstawiają go tylko jako nieprzyjaciela Pisma i Objawienia. Tak jednak nie jest; frakcja w protestantyzmie niemieckim najliczniejsza uznaje i autentyczność Pisma i świętość Pisma i Objawienia i walczy równie z racyonalizmem i pośród racyonalistów jest frakcja, która wychodzi z Pisma (np. *Lichfreundzi*), a tylko Objawienie odrzuca; jest owszem frakcja, która i Objawienie dopuszcza (np. *nowo-Szellingizm*); tych wszystkich różne wykłady Pisma nie znalazły jeszcze w konferencyach swych refutacyj i polemika pod tym względem wymaga jeszcze dopełnień. Ks. *Wentura* w książce, o której mówimy, rozbiera tylko i odpowiada na zarzuty i zdania ateistów, deistów francuskich z zeszłego wieku, tudzież na racyonalizm *Cousina*, *Dégérando* i innych francuskich pisarzy.

Lecz, jak rzekliśmy, część polemiczna książki, lubo mieści prawd wiele, nie jest jej stroną silniejszą; stroną silniejszą tej książki jest część twierdząca; dopełnienia krytyczne dodane dalej zapewne będą i łatwo do tych polemik i dodawać się dalej będą w rodzajach innych, dopóki trwać będzie polemika: lecz wychodzenie z zasad katolickich, to jest jednocześnie z *całości* Pisma, a nietylko z *całości* Pisma, ale z innych następstw przepowiedzianych

przez Pismo, a w wychodzeniu tem, stąpanie po praktyce, życiu, to jest, co obok zalet wymowy, celów i gorliwości, stanowi trwałą zaletę książki obecnej.

Szczegół ten natrąca nam owszem uwagę, której nie możemy tu nie zapisać z okoliczności. Ręka, która założyła chrześcijaństwo w sposób tak nie pomyślany *rozumem* (jak mówią autorowie: *ludzkim, filozoficznym*), ta ręka prowadzi go podobnie i w jego drodze i nam współcześnie, i wskazuje w ten sposób, gdzie jej obecność, jak niegdyś w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, wkrótce po ustaleniu się jego, a zwrocie ku niemu czystej *rozważi*, powstały nader liczne i rozmaite racjonalne wykłady Pisma i tworzyły odstępstwa i sekty; te jednak następnie połączyły się i na całej tak rozmaitej przestrzeni chrześcijańskiej ustąpiły jednej nauce i jednej wierze; tak i dziś jej bieg ten powtarza się; te ukazujące się dosyć licznie w racjonalizmie czystym lub protestanckim różne dowcipne, nowe pomysły wykładów Pisma nie wychodzą zwykle za sektę, za kraj, a pisma katolickich doktorów, których obudza się wielu, przechodzą do wszystkich krajów, wszystkich języków.

Co do przekładu wreszcie obecnego kazań ks. Wentury, ten nie jest wprawdzie dosłowny, jest jednak wierny i wogóle jest wyborny. Tłumacz opuści w nim nieraz niejeden epitet tekstu, zmieni obrót okresu, dwa lub trzy przymiotniki w jeden złączy; myśl tekstu jednak, ileśmy miejsc porównali, nie utraciła nigdzie wierności swojej i tok słowa zyskał na sile.

22-go lutego 1856. Miassota.

LIST TRZECI.

Życie Mikołaja Kopernika przez Dominika Szulca 1855 r. Warszawa.

Było to oczywiście w losie sławy Kopernika, iżby szósty dziesiątek XIX-go stulecia był czasem żywszego

odnowienia jego pamięci. W latach tych postawionym mu został nowy pomnik w rodzinnem jego mieście 1853 r. (Toruniu); w latach tych ukazał się pierwszy zupełny zbiór prac jego razem z przekładem na język krajowy (1854 w Warszawie); w latach tych najwięcej zebrano i zbliżono szczegółów jego życia, najobszerniej skreślono jego żywoty i oto właśnie jeden z tych obszernych żywotów, a trzeci z porządku, mamy przed sobą. Jest to żywot tego reformatora nauki astronomicznej, który mimo swe zamieszkanie w Polsce i nazwisko swe polskie, poczytywanym jest przez wielu za Niemca — napisany przez znanego badacza dziejów naszych krajowych, który mimo nazwisko swe niemieckie i rodzaj w swym charakterze pracowitości niemieckiej, jest jednym z najgorliwszych obrońców jego polskiej narodowości.

Kopernik był-że istotnie Polakiem czyli Niemcem? Nie możemy bynajmniej mieć za złe tej pochopności, z jaką pisarze niemieccy usiłą przyswoić narodowości swojej tego pisarza. Wyznać trzeba, iż nawet usprawiedliwieni są z pewnej strony. Zasługi pisarza są wielkie, a nazwisko prowincyi, w której się urodził i zamieszkał, oznacza dziś kraj niemiecki (Prusy). Miejsce urodzenia Kopernika, ziemia chełmińska, była pierwotnie ziemią polską wyłącznie, oddaną w posiadłość Zakonowi niemieckiemu w wieku XIII; w wieku XV. wróciła znowu w skład Polski (z rozciągnięciem do siebie nazwiskiem Prus), lecz narodowość, zwłaszcza po miastach miała już przez połowę mieszaną. Urodzony w Toruniu (t. j. w mieście ziemi chełmińskiej) Kopernik do którejże z tych narodowości należał? Mamy tu rzec słów parę o biografii Kopernika; wyrazimy więc na przód, jaki w tej rzeczy już ze szczegółów dawno znanych, już świeżo zebranych naturalny przedstawia się wniosek. Pochodzenie Mikołaja Kopernika z rodziny pierwiastku polskiego, nie germańskiego, zdaniem naszym objaśnia już samo to nazwisko Kopernik. To zakończenie na nik jest wyłącznie słowiańskie a zwłaszcza cechowe rzeczownie

polskie (weźmy np. nazwania: płatnik, złotnik, sukiennik, papiernik, lakiernik, cukiernik i t. p.), chyba jaka rodowość słowiańska nosi podobne w Niemczech. Nazwisko niemieckie miałyby zakończenie na *nick* lub *nig*. W aktach radzieckich krakowskich nazwisko to napisane jest wprawdzie istotnie *Kopernig*, w liście pisanym w języku niemieckim przez Jana Donnera do ks. Alberta (znajdujemy w drobiazgowie dokładnem wydaniu warszawskiem na str. 638) wyrażone jest znowu *Koper-nick*; nazwisko swe najlepiej znać i najdokładniej wypisywać musiał sam autor. Kopernik zaś nie pisał się ani *Copernigus*, ani *Copernickius*, ale *Copernicus*. Takżę i w liście urzędowym kapituły warmińskiej do ks. Alberta, najlepiej oczywiście znajdującej podpisy swego członka, pisanym równie w języku niemieckim (wyd. war., str. 635) Kopernik nazwany jest nie *Kopernick*, ale *Kopernik*. Zakończenie to oczywiście zajmującym jest dla niemieckiego ucha i dzisiaj pisarze niemieccy skłonniejsi do oglądania w nim narodowości niemieckiej, wolą go już nazywać tylko z łacińska *Copernicus*, nie zaś, jak go nazwała kapituła. Pierwiastek powyższy Kopernika objaśnia powtórę miejscowość. M. Kopernik był synem Krakowianina («*patre Nicolao Kopernico Cracoviensi*». Zernecke w kronice m. Torunia). Imię i nazwisko tego ojca znajduje się już pomienione w aktach m. Krakowa (od r. 1396 w aktach radzieckich krakowskich pag. 489). Narodowość tę stwierdzają też równie i szczegóły dalszego zawodu Kopernika. Doszedłszy do lat, M. Kopernik wysłanym był nie do którego z uniwersytetów niemieckich, ale do Krakowa; wysłany następnie do Padwy, zapisany został do *Album Polonorum*, po powrocie do kraju osiadł w Krakowie, tu jego pierwsze pismo (przekład z Teofila-*kt*a) ukazało się w druku, tu o profesoryat się starał, tu główne pismo miał rozpocząć, tylko odwołany przez wuja (biskupa) w widoku godności duchowych, do Warmii się przeniósł. Kopernik w wydawanych następnie przez siebie pismach nazywał się *Thorunensis*, było to bowiem zwycza-

jem wieku nazywać się od miast urodzenia i zamieszkania. Ten się naprzykład nazwał Dantiscus, inny Regiomontanus (od Królewca), inny Leopolita (ze Lwowa) i t. p. nazwiska te nawet, jeżeli pisarze poprzednio z innych nie byli znani, zostawały przy nich. Gdyby Kopernik tak jak zamierzał, stałym został mieszkańcem Krakowa, nazwałby się zapewne Cracoviensis, nie Thorunensis i żadna następnie co do rodowości jego nie byłaby obudową wątpliwość; lecz Kopernik zamieszkał w prowincyi narodowości mieszanej; okoliczność ta dała powód do wątpliwości: dodajmy jednak, iż z drugiej strony tem jaśniej w szczegółach życia musiało się odznaczać, do której należał. Jakoż w stosunkach urzędowych, opiniach, szczegółach nawet lubo nie licznej, która nas doszła, korespondencyi, wszędzie widzimy, iż Mikołaj Kopernik, stały mieszkaniec (od r. 1501 do 1543) Prus, nie do pruskogermańskiej, ale przeciwnie do pruskopolskiej należał strony. Tak np. w 1512 na sejmie piotrkowskim stanęła ugoda między królem a duchowieństwem na sejm przybyłym z Warmii, iż odtąd na wakującą katedrę biskupią król będzie przedstawiał od siebie kandydatów; tę ugode, przeciw której partya niemiecka kapituły protestowała, wraz z kanonikami Działowskim, Chrapickim, Skulteckim i innymi, podpisał Kopernik. Postępek ten był też może jednym z powodów, iż lubo następnie obrany był i zatwierdzony przez króla administratorem dyecezyi, jednak stanowczo tej godności nie przyjął. Kiedy znowu w r. 1522 na sejmie w Grudziądzu wniesioną była kwestya poprawy monety pruskiej, a deputaci królewscy dla zapobieżenia jej upadkowi domagali się, aby odtąd moneta w tej prowincyi była bitą ze stępem królewskim i stopa jej porównaną była ze stopą monety w reszcie kraju, miasta pruskie oparły się temu, lecz Kopernik napisał wymowną rozprawę, popierającą projekt królewski (563—574). W liście, pisany do kapituły warmińskiej z Melzaku, w miesiącu października 1518, kiedy się rozeszła była wieść o zawartym

przez Zygmunta pokoju z w. ks. moskiewskim, na którego współdziałanie, wywołane wdaniem się cesarza Maksymiliana, znać rachował Zakon krzyżacki. Kopernik o tej wiadomości w ten sposób donosił: «Jego Przewielebność otrzymał także świeże wiadomości, że Moskwa z królem pokój zawarła, tak więc wszystkie nadzieje naszych sąsiadów już upadły» (sic igitur tota confidentia vicinorum iam corruit). Przekład polski w wydaniu warszawskim, tłumacząc to wyrażenie: «tak więc cała ufność w naszych sąsiadach już upadła», zmienił zupełnie znaczenie rzetelnej myśli lub raczej postawił wyrażenie nie mogące mieć żadnego znaczenia. Mieszkając w Prusach, Kopernik prowincję tę, mówiąc zwłaszcza do spółmieszkańców prowincyi, nazywał «ojczyzna nasza», tak bowiem i mieszkańcy innych prowincyj: Litwy, Rusi i t. d., prowincye te nazywali ojczyzną swoją, nikt jednak dziś nie zaprzecza, iż np. który Ostrogski, Chodkiewicz, Szymonowicz, Zimorowicz, Leopolicy i t. p. nie byli Polacy — i Jan Brzoski, którego tyle mamy dowodów przyjaźni dla Kopernika (jak o tem niżej), a o którego narodowości polskiej skądinąd nie wątpimy, był także Prusakiem. Dodajmy jednak, iż niekiedy w swych wyrażeniach jakby oddzielał się nawet od prowincjonalnego pochodzenia np. gdy w owej powyższej rozprawie o monecie mówi: «na tę jednak ogromną klęskę krainy pruskiej ci, do których to należy, patrzą się obojętnie i najmilszej im ojczyźnie (et dulcissimam sibi patriam...) ginąć pozwalają»; i tu przekład polski w wydaniu warszawskim zamiast «sibi», wyraziwszy «każdemu», zatarał ten odcień (537). Zawierając stosunki przyjazne z młodzieżą polską w Krakowie (o której wiedzieć możemy z jego korespondencyi z Wapowskim, Brzoskim i t. p.), trzymając się następnie na sejmach deputowanych koronnych, Kopernik w mowie potocznej nie mógł używać innego języka, jak polskiego, zwyczajem jednak wielu tak do dzieł naukowych jak i korespondencyj prywatnych używał tylko łacińskiego; pisanie polskie za Kopernika do-

piero zaczynało się tworzyć i nie miało jeszcze ustalonej swej ortografii (wspomnijmy tu nawiasem, iż jedną z charakterystyk tworzącej się pisowni polskiej było wciskanie wszędzie litery *z* zamiast znamienia, i że Kopernik w jednym z swych listów wspominając wuja swego Weisleroda, napisał go Waczelrott (592); w liście pisanym do Dantyszka znajdujemy też wyraźny, tak charakterystyczny co do znaczenia adres polski: *Domino et Fautori suo plurimum observando* (mnie wielce miłościwemu Panu i Dobrodziejowi) (583). Znać też musiał oczywiście i język niemiecki, lecz do użycia jego piśmiennie również nie był wprawnym. W jednym z listów pisanych do kapituły jak zwykle w języku łacińskim, wypadło mu użyć cytacyi niemieckiej i tę tak wyraził: «*das dy heilige Gerechtigkeit warhindert worden*» (589); w liście Kop. do mistrza toż *die* już staranniej jest wyrażone (637). Kopernik jako doktor wezwany był przez ks. Alberta listem do siebie pisanym o przybycie na dwór jego dla porady lekarskiej; na list ten, pisany w języku niemieckim, Kopernik w odpowiedzi musiał naturalnie użyć tego języka, pod listem tym jednak, który napisał lub też przepisał w języku niemieckim, podpisał się nie po niemiecku, ale *Nicolaus Copernicus* (636). Kopernik nie zamieszkał w Krakowie, jak sobie życzył, i obserwacye swe czynił następnie we Frauenburgu, rachunki jednak astronomiczne w głównem swem dziele odnosił do Krakowa, a to z powodu, iż, jak objaśniał, Frauenburg pod tymże leży południkiem, pod którym i Kraków (ks. IV, roz. 7.); w późnym też wieku powtarzał, iż cokolwiek napisał i jakiegokolwiek ma zasługi, wszystkiem tem obowiązany jest akademii krakowskiej (Albert Kaprini w liście dedykacyjnym przy dziele *Iudicium astrologicum*, wydanie warszawskie, str. 642). Jan Brzoski, profesor akademii krakowskiej, którego kilka listów znajdujemy w wydaniu warszawskiem, zowie wszędzie Kopernika «nasz staruszek, nasz Kopernik» itp.; list do Retyka np. od tych słów zaczyna: «wracając z zaślubin królewskich z Kra-

kowa, zastałem w Lubawie dwa przysłane przez ciebie egzemplarze świeżo odbitego dzieła naszego Kopernika, o którego zgonie nie wprzódę się dowiedziałem, aż po przybyciu do Prus. Boleść po stracie brata zacnego męża i t. d.». W liście tym broni też między innymi zgasłego przyjaciela swego przed Retykiem, iż go nie wspomniał w przedmowie, tudzież objawia życzenie, aby był dodany na czele żywot Kopernika, pięknie niegdyś przez niego skreślony. Życiorys ten, jak wiadomo, zaginął, lecz Brzowski, który go czytał, nie nazwałby go zapewne pięknym, gdyby się ten sprzeciwiał wyrażeniu jego «nasz Kopernik».

Z tych wszystkich szczegółów dosyć jasno, sądzimy, wypływa, że Mik. Kopernik, o którym mowa, jakkolwiek rodził się i zamieszkiwał w tak zwanych Prusach, był jednak raczej Pruso-polakiem, niż Pruso-niemcem, lub jaśniej Polono-prusakiem, ale Polono-prusakiem z wieku XVI, zatem najkrócej: Polakiem. Pokrewność ta odbiła się też następnie w dalszem spóldziałaniu krajowem; najprzód uczeni krakowscy (j. np. Brożek) zajęli się odszukaniem pism jego, wnet jego biografią; tu mu najprzód stanęły pomniki (w Krakowie i Warszawie); tu zasługą jego były i nie przestaną być natchnięte poezye, dramaty, badania dziejowe itp., tu wreszcie, a mianowicie w Warszawie, gdy nadszedł czas, iż to wszystko, co krajowcy nasi pisali w mowie nie własnej, ukazywać się zaczęło w mowie krajowej (poeci i historycy), ukazał się i pierwszy pracowicie i przepysznie uskuteczniiony zbiór wszystkich pism Kopernika, z przekładem na mowę krajową. Rzeczy można, iż owszem to naturalne, własną sławę chcieć wznosić; ale pomysłów i natchnień nader wielka jest różność, nie od woli ludzkiej, rzecz można, taki lub inny rodzaj zawisł pomysłów, nie od woli tem więcej ludzkiej ich wykonanie jako środki, zdolność, wytrwałość i tp. Jednym z owoców, które wydała krajowa sława Kopernika, są też właśnie i prace autora, o którego książce rzecz mamy.

Pan Dominik Szulc jest, rzecz można, urodzonym ad-

miratorem zasług Kopernika, i źródłem wszystkich dotąd pism jego była, jak się zdaje, wyłącznie ta admiracya. Obecny życiorys spoczywał oczywiście dawno w myśli autora i tylko wydarzone wypadki przymuszały go do uskutecznienia poprzednio przygotowawczych badań. W Koperniku uznawał zawsze pan Szulc pierwszego nauczyciela ludzkości co do należytego poglądu na niebo i ziemię, a stąd widział w nim pierwszą sławę krajową i pierwszą całej ludzkości. Tymczasem figura Kopernika stała w Walhalli niemieckiej, i w tychże latach tak w krajach naukowości wogóle, jak w szczególności i w literaturze naszej krajowej przemagać zaczęło zajęcie się więcej światem wewnętrznym, jak światem zewnętrznym. Dla wyjaśnienia więc wstępnie kwestyi narodowości Kopernika, autor ogłosił w r. 1843 rozprawki o znaczeniu Prus dawnych i o Tarnowie mazowieckim, w których objaśniał, iż Prusy były pierwotnie krainą wyłącznie polską, a nie germańską, oraz iż miasto, w którym się urodził Kopernik, Toruń, było pierwotnie Tarnowem mazowieckim; dla przywrócenia zaś rzeczywistej zasługi Kopernika w naukowości, wydał w r. 1851 pisemko p. n. «O źródle wiedzy tegoczesnej», w którym starał się dowieść, iż wszelkie metafizyczne zacieki są tylko zwichnieniem moralnem, jedynem zaś kryterjum prawdy w naukowości jest tylko empirya fizyczna. Ogłoszone obecnie życie Kopernika jest częścią powtórzeniem, częścią stosowaniem powyższych zasad, co zaś do przedmiotu głównego, jest wpływem ogłoszonych w ostatnich latach dwóch pism treści podobnej, a mianowicie biografii Mikołaja Kopernika, ogłoszonej w Toruniu z okoliczności odkrycia jego posągu przez dra Prowe (Zur Biographie von Nicolaus Copernicus 1853 Thorn) i biografii tegoż, umieszczonej na czele wydania warszawskiego wszystkich pism Kopernika (Życiorys Mikołaja Kopernika przez Juliana Bartoszewicza, w wydaniu noszącem napis: Mikołaja Kopernika Toruńczyka o obrotach ciał niebieskich etc. 1854. Warszawa, str. XL.—LXXV.

Zawarcie książki obejmuje najprzód objaśnienia i polemikę co do kwestyi narodowości Kopernika. Jest tu rozbiór i odpowiedź na wzmiankowaną w piśmie Prowego genealogię Kopernika od niejakiego toruńskiego Zepernicka; dalej wywód historyczny o ziemi chełmińskiej, dalej wszystkie znane szczegóły z życia Kopernika w kraju i za granicą, charakterystyka jego głównego pomysłu i prac — i w końcu historia poświęconych mu w kraju już piórem, już dłutem po rok ostatni pamiątek. Co do formy zewnętrznej, wykład książki oznaczony jest cechą powagi, którą autor osądził oczywiście być godną i obranego przezeń przedmiotu i wykonania. Treść skądinąd nie zbyt obszerna, wyłożona jest paragrafami czyli oddziałkami, z których każdy odznaczony u góry wielką liczbą rzymską. Spis treści tych paragrafów poprzedza sam wykład i jest jakby skróconą treścią życiorysu. Styl książki jest wół liryczny. Jesteśmy z istotnem uwielbieniem dla niejednego z celów moralnych, dla wytrwałości, dla pracowitych szperań, które odznaczają prace autora, o którego książce mówimy. Wszakże jeżeli mamy mówić bezstronnie, nie możemy nie dodać, iż wykonania jego nie zawsze odpowiadają tym celom i tym zasługom. Pomimo oczywiście pewną już powagę wieku autora, rzeczby można, iż w nim zawsze krąży krew młoda. Pan Szulc w swych ogłoszeniach, w swych zdaniach lubi jeszcze zwykle tak zwane puffy, tj. objawianie jakichś wyrażeń lub zdań dla efektu, z przypuszczeniem, iż sam ten efekt dostatecznym już jest do przekonania czytelnika. Puffy autora stosownie do osobistych zalet i przygotowań nie są to jakieś zwykłe puffy tak zwane gazeciarskie; jeżeli np. autor ogłosi jakiś hipotezyjny opis ziemi zaodrzańskiej z lat dawnych, będzie to z dołączeniem mapy; jeżeli wyłoży swój rzut oka na dzieje wiedzy, ten nie pominie i znakomitszych nazwisk spółczesnych i obejmie cytacye greckie; tem więcej musiało zająć pismo obecne, pismo, które było, rzec można, celem życia autora. Jakoż istotnie

życie Kopernika przez pana Szulca ma zalety i liczne; lecz za puff musimy tu poczytać ową właśnie powagę, w którą autor zewnętrznie odział swoją publikację, zastosowanie powagi zewnętrznej obok niejakiego braku wewnętrznej; umiarkowanie, czyli zimna krew, ścisła loiczność w słowie, gruntowność zasad, to są konieczne warunki powagi wewnętrznej; warunków tych jednak nie zachowuje w swojej całości pismo autora. Brak zimnej krwi widzimy tu już w ponawianych przez autora co chwila uwielbieniach dla swego bohatera, już w sposobie polemik z przeciwnikami itp. Jest to jednym z sekretów w biografii, czyniących rzetelny efekt, iż kreśląc swych bohaterów, przedstawiają na przedstawieniu tylko ich wyższych czynów, a podwyższające ich przymiotniki zostawiają do dorzucenia samemu czytelnikowi. Pan Szulc w książce obecnej przeciwnie; ilekroć wspomina swego bohatera lub jego pracę, tyle razy dodaje im przymiotniki: wielki, nieśmiertelny, genialny itp., wielki mąż, wielki człowiek, wielki nieboznawca, nieśmiertelny pomysł, nieśmiertelne dzieło, nieśmiertelna praca itp. Spotykając czytelnik te wyrażenia, ledwie nie na każdej karcie, ledwie nie w każdym wierszu pisma autora, wnieść musi, albo iż go autor posądza o krótką pamięć, albo iż nie dowierza sam sobie, aby czyny, które określa, mogły raz wpłynąć na to wyobrażenie. Kiedy podobnie za powód osadzenia Kopernika w Walhalli, autor kładzie «kryte zabiegi» (powodem osadzenia w Walhalli była nie kronika Zernecke z 1-go wydania, ale ten prosty wzgląd, że jak mówił astronom Zach: «człowiek, który się rodził w mieście niemieckiem, musiał być Niemcem»); kiedy mając loicznie obalać genealogię toruńską, ucieka się do żartu: «iż trzeba było ukuć genealogię od «stróża do goli-brody»; kiedy szydzi z mieszkańców Torunia, iż ci przy odkryciu pomnika przyklaskiwali Kopernikowi, tj. temu, który nazywał się Thorunensis; przy takiej itp. metodzie nie możemy prowadzonej przez autora polemice przyznać charakteru poważnej. Iż także słowom autora nie

towarzyszy wszędzie ścisła loiczność, lecz raczej ubieganie się o efekt, o tem przekonać może niejedna karta. Po wyrażeniu np. zaraz w § I. rodzaju hymnu na cześć nowego systemu planetarnego i dodaniu wniosku, iż odkrycie to nauczywszy człowieka uznawać swoją nicość, «wlało w duszę uzacniające spólcucie ku jednostajnemu przeznaczeniu ludzi na ziemi», w § 2. mówi o narodowości twórcy systematu i tak się wyraża: «do XIX wieku o tej (polskiej Kopernika) narodowości wcale nie wątpiono. Wielbiony od całego chrześcijaństwa papież Klemens XIV Ganganelli, w jednym ze swoich listów uważa Kopernika za wiekopomny zaszczyt dla kraju naszego. Franciszek Arago oświadczył, że ten wielki człowiek zlał na Polskę promyk najczystszej chwały. A Wachler w dziejach piśmiennictwa utrzymuje, że Polska sprawiedliwie się szczyci takim rodakiem, uczniem Brudzewskiego (zdania Wachlera z r. 1824 i Arago 1842, dlaczegoż mają należeć do zdań poprzedzających wiek XIX? przeciwnie, przytoczone w § następnym zdania tych, którzy Kopernika mieli za Niemca, należą wszystkie prawie do wieku XVIII. Piękne zdanie autora, któreśmy podkreślili, było więc także puffem). «Jakaż była niespodzianka dla kraju, że ziomek nasz znalazł się między świetnościami niemieckimi w Walhalli» (jeżeli się nie mylimy, odkrycie Walhalli miało miejsce 18. października 1841, więc pierwej nawet od przytoczonego przez autora zdania Arago). «Dziś się zabiegi skrycie prowadzone, dodaje autor, kończąc §, wyjaśniają, a całe zdarzenie przybiera postać zabawną, jak ów pług rodzącej góry — mysz». Ostatnie to porównanie, tak często powtarzane, wymagałoby jakiejś chyba szczególnej trafności, iżby ujść mogło w dykcji poważnej; tymczasem nie znajdujemy nawet pomysłu, czy ową górą miała być kronika Zernecka, a myszą posąg Walhalli? czy też górą jest posąg Walhalli, a myszą ostatni jej wypływ, biografie Prowego lub autora? Autor za wiele jednak korzystał z biografii Prowego, iżby mógł myśleć skądinąd o jednym lub

drugim. Na str. 33. czytamy uwagę: «rzecz dziwna, że z masą Niemców, którzy się z nim (Kop.) w Krakowie uczyli, żadnego związku przez całe życie nie utrzymywał». Mogło to być, lecz z całego życia Kopernika, które się przeciągało lat 74, doszło nas tylko kilka listów; zdanie więc powyższe, wyrażone twierdząco, także jest puffem. W spisie treści §§. czytamy między innymi: «§ XXXIV. Kopernik, chcąc pamiątkę po sobie zostawić krajowi, łączy swoje odkrycia z myślą o Polsce». Puff to także i mniej loiczny, chybaby Kopernik istotnie nie był Polakiem, gdyby jedyną pamiątką pozostałą po nim dla Polski było, iż w obrachunkach swych wspominał południk krakowski (o tem bowiem mówi powyższy §); iż Kopernik rachunki swe lubił odnosić do południka krakowskiego, było to skutkiem naturalnego położenia jego krajowego, a nie żadnym czynnikiem sztucznym. Wcielone do pisma autora w swych głównych postrzeżeniach rozprawki o znaczeniu Prus i Tarnowie (9—20) należą zapewne do kart zdobiących pisemko, dodajmy jednak, iż rozprawki te, pracowite i ciekawe, jako monografie, nie zostają w loicznym zupełnie związku z kwestyą narodowości Kopernika. Nie tylko w Toruniu i Prusach, ale na całej przestrzeni ziemi od Wisły do Elby nie istniała narodowość niemiecka. Przypomnimy, iż np. Eginhardt, znajdujący się przy boku Karola W., przy jego wyprawie na Saksonów nad Elbą, w Życiu tegoż Karola i w Rocznikach wyraźnie mówi, iż za Elbą po Wisłę (dalej ziemie nie znając) zamieszkują już same plemiona słowiańskie, na wiele księstw podzielone, lecz jednemu zwierzchniemu księciu ulegające (Boguchwała, zapisujący tradycje wielkopolskie, wymieniał u nas z nazwisk tę dzielnicę). Przenoszenie się pokoleń germańskich przez Elbę (Helmold, Saxo-Gramatyk itp.), a następnie posuwanie się ich na wschód, jest już powszechnej wiadomości dziejowej. Wszakże nie życie pierwotne martwe, ale cywilizacja stanowi kraj; przeznaczeniem kraju naszego było rozciągnąć się i rozciągnąć rozległej na wschód i na południe

i tu innej i różnej narodowości plemiona w swoją zamienić, a utracić część ziemi zachodniej; chociaż Breslau jest pierwotnym Wrocławiem i chociażby Berlin rzeczywiście (jakto także wyprowadzał autor) był najprzód Kolnem, nie idzie zatem, iżby dzisiejsi i od kilku już wieków mieszkańcy tych miast Polakami być mieli.

Dawniejsze Prusy Królewskie (gdzie Toruń) nie są zapewne w tym samym stosunku do polskiej narodowości, jak Elektorskie oraz Szląsk i Brandenburg; chociażby jednak Toruń istotnie był zrazu Tarnowem, nie przemieniłoby to Kopernika w Polaka, gdyby ten ze swej rodziny, czynów i myśli był Niemcem; jak też przeciwnie, chociażby Toruń nie był Tarnowem, nie przeszkodziłoby to Mikołajowi Kopernikowi pochodzić z Krakowa i być zawsze za Rzplitą i królem. Iż wywód Torunia od Tarnowa zdaniem samego autora nie wieleby posłużył Kopernikowi, dowodem jest to, iż sprzeciwia się mocno genealogii jego od Czepernika, chociażby ten był także mieszkańcem m. Torunia czyli Tarnowa. Co do racjonalnych wreszcie zasad autora w obecnej książeczce, te ponieważ, jak rzekliśmy, są odbiciem tych, które objaśnił w rozprawie swej niegdyś o Źródle wiedzy, tj. uwielbieniem wyłącznym empiryi, ujmują w gruncie więcej, niż przyczyniają się do podniesienia zasług i sławy bohatera autora. Jednostronność nie jest wszechstronność, a oglądanie wyłącznie wagi, szczytu poznania w poznaniu linii i punktów, jest kontrastem z uwielbieniem zasług duchowych.

Styl autora, jak rzekliśmy, jest w pół liryczny, paragrafy zaczynają się od takich zdań: XXXV. głuchy odgłos o nowym poglądzie astronomicznym rozchodzić się zaczął po Europie; albo XLI: Promyk odradzających się praw natury (zapewne odradzającego się «znovu poznania» praw natury) zamienił się na łunę, która się odbiła wspaniale na niebie włoskiem itp. Tem poetyczniejszym jest jeszcze w pochwałach osobistych Kopernika w § np.

XXXII. Zwróciwszy uwagę na system i na tę myśl Kopernika, iż ciała krążące około słońca, zostają jakby pod zarządem słońca, autor mówi: «te szczytne pomysły Kopernika połączone ze swoimi wynikami postawiły go na czele, nie tylko na czele astronomii, ale i całej rodziny ludzkiej, jak to słońce, którego rządowi poddaje grono ciał krążących». Jest to pochwała piękna, lecz autor osłabił ją nader swem wyjaśnieniem: «Człowiek, dodaje, w porównaniu siebie z rzeczami otaczającymi, znajduje swoją prawdziwą wartość, od tego też czasu (tj. dopiero od Kopernika) stanął na właściwym miejscu wobec gwiazdzonego nieba». Rodzaj ludzki, według autora, chodząc wieki po ziemi, nie znał się na swojej wartości, a kiedy mu otworzono oczy, wypadło mu ją ocenić niżej jeszcze, niż przedtem. Nie zazdrosem jest oczywiście być chociażby i słońcem pośród takiego rodzaju, a autor oczywiście samych tylko astronomów uważa za wyjętych z pod ogólnego prawa nicości, powtarza bowiem: nieśmiertelny Kopernik, nieśmiertelny Kepler, nieśmiertelny Galilei. Nie czynimy porównań, ale wspomnijmy nawiasem, iż patrząc na to uwielbienie zbyteczne dla słońca i praw słonecznych w obecnem piśmie (autor przytacza z upodobaniem wiersz dawny, według którego «i bogowie muszą służyć praw słońca»), — możemy w miniaturze praw duchowych zrozumieć, dlaczego ludzkość, która prawa duchowe tak niegdyś oceniła, jak autor w Źródle wiedzy, udała się następnie do czci słońca!

Życie Kopernika przez pana Szulca, powiedzmy jednym słowem, uważane jako biografia, zajmującą jest publikacją; publikacja ta, jako ostatnia w swoim przedmiocie, zjednoczeniem jest największej liczby zebranych o Koperniku szczegółów i to szczegółów usprawiedliwionych wskazówką źródeł; iżby jednak to życie było pismem rzetelnie poważnem, nie pociągało łatwej pod wielu względami opozycji i godnem zamierzonego (o którym donosi

autor w przedmowie) przełożenia na obce języki, potrzebowałyby pierwej niejakiej reformy w niejednym szczególe.

Dnia 24 marca 1856. Miassota.

LIST CZWARTY.

(*O sposobie osiągnięcia prawdy* — Filozofia praktyczna przez Jakóba Balmes. Tłómaczenie z hiszpańskiego, 1853, Poznań).

O ile w użyciu potocznem większej są dla nas wagi fakta nad słowa, »uczynki« nad samo »wołanie«, o tyle w naukowości większej wagi być muszą stosowania aniżeli teorye, — filozofia praktyczna nad teoretyczną; wiele też o tem przynajmniej teoretycznie mówi każdy filozof i każdy nauce swojej chce przyznać tytuł praktycznej. Nigdzie zapewne filozofia nie była tak idealną w swym gruncie, jak w Niemczech od Kanta do Hegla, a jednak od Kanta do Hegla, każdy tu z twórców nowych systematów i nowych teoryj poprawiał poprzednika swojego, z tej wychodząc zasady, iż ten »nie był praktyczny«. Hegel w swej historii filozofii mówiąc o Konfucyuszu, uważa, iż cała jego nauka mniej ma wartości, niż jeden rozdział w pismach Cyncerona. Cynceron jednak następnie nie został odniesionym przez Hegla do filozofów rzetelnych, a to z powodu, iż nie rozumiał »subjektu Arystotelesa«. Nauka Konfucyusza stworzyła państwo, Cyncerona — państwa (kszałty w nich rządów), a jednak według Hegla, każdy scholiasta z wieków średnich, wykładający logikę Arystotelesa, rzetelniejszym był od każdego z nich filozofem. Jeżeli jednak filozofia praktyczna jest wagi większej i jest właśnie rzetelną filozofią; tedy podobno miał słuszność Jan Jakób Russo, gdy twierdził, »iż dotąd rzetelnego filozofa jeszcze nie mieliśmy; prawdziwym filozofem bowiem — jak uważa — mógłby być tylko człowiek obeznany ze światem, żyjący w świecie, a dotąd żaden filozof nie żył w świecie«. Kiedy tak filo-

zofia praktyczna nie ma jeszcze ani swoich określeń, ani swoich artystów, dziwić się nie powinniśmy, że i literatura nasza, czyli to tworząc, czy przyswajając pisma o filozofii praktycznej, daje zwykle co innego, niż napis ten obiecuje. Otrzymaliśmy na przykład w tych latach przekład Filozofii życia Fr. Szlegla, 2 tomy, Filozofię chrześcijańską życia Maksym. Jakubowicza, 3 tomy, i książeczkę obecną. Pierwsza z nich o tyle tylko więcej mówi o życiu od innych filozoficznych pism niemieckich, że nie tworzy dyalektyki nowej; druga zastanawia się nad teorią kilku chrześcijańskich dogmatów; książeczka obecna wreszcie wzorem jest raczej niepraktyczności, niż jakiej praktyki. Nie przytoczymy tu treści pisemka, którego napis przywieśliśmy, trudno jest bowiem przedstawić to, co nie istnieje, a przynajmniej, istnienia czego domyślać się dopiero musimy. Jeżeli się nie mylimy w domyśle, celem a zatem i istotną treścią dziełka tego o sposobie osiągnięcia prawdy (tekst nosi tytuł więźlejszy, lecz w gruncie jednoznaczny: kryterium) było wskazać, iż prawda jest wieloraką, że przeto i drogi, wiedzące do jej osiągnięcia, muszą być wielorakie; iż prawdy nie pozna ani sam rozum, ani sama wyobraźnia, ani samo uczucie, lub zmysły (gdymy, mówi autor, widzieć było dostatecznym, zwierzę nawet miałoby geometryczne pojęcia razem z Newtonem i Lagrangem), lecz do osiągnięcia jej przykładać się musi wszystko to, co nas składa, jako: zmysły, pojęcie, serce, wola, wyobraźnia, rozsądek, rozum, sama namiętność; człowiek — mówi autor — jest harfą, a władze duszy jego — harmonijnymi strunami; niechże nie użyje wszystkich władz swoich, instrument będzie niekompletny«. Ta, zdaje się nam, myśl przewodniczyła w układzie tej książki. Wychodząc z niej autor, po kolei zwracał uwagi do różnych szczegółów życia ludzkiego jako: nauk, zawodów, administracji, dziejów, religii i t. p., lub raczej zwracając uwagę na różne te szczegóły, opierał się na tej myśli. Powtarzamy jednak, że to, co mówimy, jest tylko naszym domysłem; literalna bowiem treść książki jest zbio-

rem rozdziałów i oddziałów bez żadnego szyku i związku. Rozwijają się one według napisów w kolei takiej: Uwaga, Wybór zawodu, O możebności, Istnienie, Loika zgodnie z miłosierdziem, Dzienniki, Podróże, Historia, Pojęcie itd. a w rozwinięciu tem równie jest brak nici wewnętrznej, jak zewnętrznej. Dodajmy, iż w każdym z tych przedmiotów w rozdziałach dotkniętych, autor kładzie lub kilka nader znanych każdemu uwag, lub też niejednokrotnie parę myśli wprost sobie przeciwnych i których celu w ostatecznym wypadku oznaczyć zwykle nie podobna. Ile w piśmie, poświęconem z napisu celom praktycznym, weźmy np. parę przez autora dotkniętych kwestyj praktycznych i obaczmy, czego nas uczy. Na str. 185 znajdujemy oddziałek noszący napis taki: »Prawidło postępowania w naszym praktycznym sposobie sądzenia o rzeczach«. Taka kwestya jest zapewne nader żywotną, najżywotniejszą, zwłaszcza w książce poświęconej filozofii praktycznej; sąd czysto teoretyczny, iżby był trafny, dosyć jest, iżby wychodził ze znajomości oderwanej teorii, ale praktyczny wesprzeć się musi na znajomości nie tylko teorii, ale wszech-harmonii, wszech-związku celów, rozwicia rzeczy itp., sąd to nie łatwy; ileż przyczynił się autor do rozjaśnienia go? Prawidło, które podaje, jest: »iż mając wydać sąd praktyczny o rzeczach, powinniśmy go zawiesić i czekać, aż przejdzie namiętność«; jest to kryterium, którego najmniej spodziewaliśmy się; ileż jest bowiem więcej przypadków, w których sądząc nie tylko nie jesteśmy pod wpływem, ale owszem jesteśmy najdalsi od wszelkiej namiętności. Kwestyi tej sądu o rzeczach autor dotyka także i w innem miejscu i tu tak uczy: aksjomata, fałszywe założenia wzięte w nadto obszernem rozumieniu, oznaczenia niedokładne, wyrażenia niepewne, przypuszczenia nadaremne, przesady: te są źródła naszego sądzenia o rzeczach (str. 72). Jeżeli istotnie takie tylko są źródła naszego sądu, jakże wykonamy ten rozkaz czyli poradę, abyśmy rozwijali nasz sąd? »Dlaczegoż i sami z siebie nie sądzicie, co

jest sprawiedliwego« (Łukasz XII. 57). Na str. 127 autor mówi o filozofii dziejów: »Historja jest królową praktycznych, filozofia teoretycznych nauk. Nauka nowotwórczości, filozofia dziejów, czyli historio-sophia, jako złączenie obu, będzie zapewne rzeczywistą ogólną królową nauk«. Cóż autor uczy w tej rzeczy? W rozdziale powyższym znajdujemy paragraf noszący ten napis: »Sposób zrobienia postępu w filozofii dziejowej«, a w nim taką główną przestrożę i naukę tylko czytamy: »Dziejopis, chcąc odmalować prostotę patryarchalnych obyczajów, zbiera z wielkim mozołem, pracowicie nagromadza wiadomości dokładne i obszernie, najodleglejszych czasów wydarzenia, wyczerpuje całą erudycję, filozofię, wymowę, dla dania rzetelnego opisu, dla obrania trafnego obrazu epoki ludzi w tejże epoce żyjących. A jednak pomimo rozwoju głębokiej nauki, mam pod ręką lepszy sposób od tych męczących poszukiwań, mam owoczesnych pisarzy. Tam widzę w czynie, chwytam, że tak rzekę, na uczynku obyczaje i osoby, tam znajduję prawdziwą naukę i zadowolenie. Biblia i Homer idą u mnie przedewszystkiem«. Nie rozumiemy, czyliby który z historyków, przedstawiających »erudycję i obyczaje« dawnych Greków i Hebrajczyków, nie znał i nie opierał się także na Homerze i Biblii. To, co autor dodaje, tem mniej jeszcze ułatwia zrobienie postępu w filozofii dziejowej. »Nie idzie tu oto — mówi — aby wszystkich pisarzy epoki, której nauczyć się chcemy, w całości przeczytać, ale jedną stronicę, jedną oryginalną stronicę« (127). Jakże poznamy, gdzie ona? i która? Na stronicy 163 mówi też autor o kwestyi także nader praktycznej i może najciekawszej dla każdego, albowiem o sposobie dopięcia celu, albo o obiorze celu dla dopięcia i tak naucza: »chcąc się nie omylić w wyborze celu, do którego dążyć mamy, chcąc osiągnąć urzeczywistnienia onegoż, potrzeba przedewszystkiem poznać siebie samego«; lecz autor pierwaj utrzymywał, że niepodobna jest poznać siebie samego. »Jakiż więc — dodaje — jest tutaj sposób osiągnięcia prawdy? trudne za-

pytanie, człowiek nie zna sam siebie, a jakże mógłby znać to, co może, albo nie może«? i na tem się kończy rozbiór założonej tej i podobnie wszystkich prawie kwestyj.

W ciągu książki znajdujemy wprowadzie i niejedną regułę twierdzącą, dosyć praktyczną, jako to np. »Człowiek raz wciągnięty w tór życia, już się cofnąć nie może, niechże rzeczy bierze, jak są, korzysta, ile może z dobrego, wystrzega się złego, na tem mądrość prawdziwa zależy« (164) albo: »We wszystkich zawodach, w każdym położeniu jakiebądźkolwiek posiada przymioty, skłonności, charakter, rozsądku radzić się powinien«, albo: »Najlepszym przewodnikiem praktycznego rozumu jest moralność« (167). Wątpimy jednak, iżby czytelnik, wybierający do odczytania książkę autora, nie słyszał już pierwej i nie oceniał tych reguł, uczy o nich każdego również, jak książka autora, katechizm; a tem lepiej, iż krócej i jaśniej.

Cóż więc być mogło istotnie powodem napisania, ułożenia i wydania tej formułkowej, skądinąd dziwacznej z szyku, a w gruncie nic nie mówiącej książeczki? Położyliśmy na początku treść jej domyślną, to jest treść, która z czytania książki może się nastęrczyć czytelnikowi, lecz której bynajmniej nie rozwijał systematycznie, to jest nie miał zapewne na celu rozwijać systematycznie autor. Nie możemy inaczej przypuścić, jak tylko, że źródłem ułożenia się dziełka było tylko: notatki zmęczonej lub gotującej się do jakiegoś systematyczniejszego poglądu myśli, zbiór obrazków z otaczającej rzeczywistości, odpowiedź lub wpływ jakich miejscowych lub osobistych autora sporów — zdarzeń, okoliczności, które są dla nas martwe i t. p. Jest też w treści tej książki czyli notatek charakter, który nam przypomina krajowość autora t. j. namiętność (czyli pamięć na każdej stronie i opieranie się w każdej uwadze na przypuszczeniu namiętności) i pewna duma, która każe autorowi wyprowadzać ogólne zdania z tego jedynie, co go otacza, lub czego był świadkiem. W rozdziale np. noszącym napis: »Pojęcie, serce i wyobrażenia« znaleźliśmy ze zdziwieniem

ile w piśmie Jakóba Balmesa, takie między innymi zdanie: »Tegoczesne narody nie poznały się pono na swem dobru, kiedy odżyć dały wymowie ludu, która starożytnym rzeczpospolitym tak się dała we znaki. W zgromadzeniach kędy roztrząsają losy narodów, kędy się odbywają wielkie sprawy społeczeństwa ludzkiego, innego nie wypadałoby słuchać głosu, prócz głosu rozumu zdrowego, surowego i światłego; tymczasem zapytaj każdego członka zgromadzenia z osobna, każdy z nich rozumuje, usiłuje i szuka prawdy, podczas gdy zgromadzenie całe, wzięte razem, jest tylko ludzi szalonych zbiorem«. Czyliż np. każdy kongres Stanów Północnej Ameryki jest zbiorem szaleńców? Pokój i kwitnienie tych Stanów dziełem szaleństwa? Czyż ten charakter także nosić mają np. postanowienia koncyliów? Nauka ta autora o przewadze rozumu jednostkowego jest nawet trochę przeciw duchowi tej nauki: »gdzieby się zeszedli dwaj lub trzej w imię Moje, jestem z nimi« (Mat. 18, 20). Imię autora książki, o której mówimy, tj. Jakóba Balmesa, jest głosem w literaturze. Dzieło jego, noszące napis: »Katolicyzm i Protestantyzm« przełożone jest prawie na wszystkie języki europejskie. Sami poznaliśmy je z przekładu w języku angielskim uczynionego przez Anglików. Polem i głównem zadaniem tej książki jest wskazać, iż pierwszym i najobfitszym źródłem podniesienia się w ostatnich wiekach sztuk, nauk i swobód społecznych był katolicyzm, nie zaś protestantyzm. Treść książki zasadnie rozwija przedmiot i zajmującą jest zwłaszcza z swych bogatych przypisów. Obecna książeczka przeciwnie jest momentem jakiegoś zwichnienia myśli autora; rozdział noszący nazwę »Religii« jest i tu wprawdzie najlepszym, ale wogóle tyle możemy z niej poznać autora »katolicyzmu i protestantyzmu«, ile np. w literaturze naszej z pisemka »Humor i Prawda«, autora Estetyki i Systemu Umnictwa. Żałujemy, że tłumacz tej książeczki, który skądinąd dobrze włada językiem, dla kilku myśli trafnych lub drobnych oddziałów, zajął się przekładem nie innego jakiego w podobnym rodzaju pisma, lecz

tęgo dziełka, które raczej może zaszkodzić, jak pomódz sławie swego autora.

Miassota 4 kwietnia 1856 r.

LIST PIĄTY.

(Wykład systematyczny filozofii, obejmujący wszystkie jej części w zarysie, skreślił Józef Kremer. Tomów 2. Kraków — Wilno).

»Bóg ci jest prawda«, — znać Boga jestto znać prawdę, i nawzajem; poznawać prawdę jest zbliżać się do poznania Istoty Bożej. Nie dziw więc, że śledzenie prawdy, nadzieja jej osiągnięcia jak były, tak i są zawsze głównem zajęciem myśli tj. głębszej myśli człowieka. Od tego zależy pokój, od tego żywot¹.

Skutek ten: osiągnięcie poznania prawdy nie jest jeszcze zapewne zbyt blizki, — tem mniej naturalnie był blizki za pierwszego obudzenia się myśli w ludziach jako rozwagi; lud wtedy pierwszych badaczy prawdy, mądrości, nazwał mędracami, lecz oni wyznali sami, iż nie byli bynajmniej jeszcze posiadaczami, a tylko miłośnikami mądrości (*philosophami*). Filozofia, od czasu owego jakież zdobyła prawdy i do czego doszła? nie piszemy tu o tem i całą powyższą uwagę położyliśmy tylko jako wstęp; ale ze względu na przedmiot wspomnijmy, iż koniec wieku zeszłego i wiek bieżący, jak dla większej części gałęzi rozwicia ludzkiego, tak i dla filozofii był jednym z najbogatszych i podobno najbogatszym okresem. W żadnej epoce jeszcze nie odbywało się i nie znosiło dla złączonego skutku, owoce swych

¹ »A ten jest żywot wieczny, aby poznali Ciebie Boga prawdziwego i któregoś posłał, Jezusa Chrystusa«. (Jan XVII. 3.). Około tego wersetu obraca się cała Summa teologii św. Tomasza z Akwinu. Doktor ten wychodził tu z zasady, iż miara przybliżenia się za życia do tego poznania jest stopniem do tem pędzszego oglądania (tj. zupełnego poznania) Boga, po śmierci ciała.

badań tyłu myślących, w tyłu społecznie krajach, w tyłu odcieniach śledzeń moralnych. Mianowicie zaś pod tym ostatnim względem, najliczniej i najdobitniej odznaczyli okres pisarze niemieccy -- filozofia niemiecka. Kwiatem, czyli łącznym a loicznym wypadkiem głównego w tej filozofii koryta, był system Hegla. System Hegla do czegoś doszedł? co nam powiedział? Mamy właśnie przed sobą pismo, które jest przeniesieniem do literatury i filozofii naszej tego systemu; przypomnijmy tu więc główną zasadę dojścia, lub raczej wynaleziona i określone ramy do tych dojść w owym systemie.

Właściwa filozofia niemiecka zaczynała się, rzecz można, od czasu, kiedy kraj ten zainteresowanym został twierdzeniem Fichtego, iż świat ten nie jest to świat w sobie, ale nasze ja o nim myślące. Stosunek ludzkiego ja do natury, kończący się ja poznającym, są to ramy wszystkich prawie badań, teoryj filozoficznych w tym czasie, stąd i systemu Hegla. Pierwiastek wszystkich rzeczy (idea), przez to samo, że jest pierwiastkiem wszystkich rzeczy, musi tworzyć te wszystkie rzeczy (natura): lecz gdy te wszystkie rzeczy, przez to samo, iż są to tylko rzeczy, są bezwiedne o sobie, ideą bezwiedną; — idea, jako żywa, musi przejść w swem rozwiciu w stan nowy, tj. napowrót w stan ducha, który się uzna i z naturą duchownie złączy (idea bezwzględna), i który nawzajem w istocie swej będzie potrójnym (podmiotowym, przedmiotowym, bezwzględnym). W rozwinięciu tego procederu idei, w tych ramach autor tego systemu (Hegel) pomieścił wszystkie gałęzie nauk i innych rozwić ludzkości i każdą z nich na gruncie owych zasad rozwijał. System ten, w swem przedstawieniu loiczny, w zastosowaniach obfity, główną wadą swą zdradził jednak w zastosowaniu głównem tj. przy zwrocie go do religii, do prawd w niej szukanych. W systemie tym owa pierwotna idea, subjekt świata, okazał się odpowiednim jego Twórcy (zatem Istocie Bożej); za obiekt zaś, który przychodzi do uznania się w sobie, mógł być tylko wziętym

duch ludzki (człowiek). Stąd jedni z wyznawców Hegla (tak zwana strona prawa) twierdzili, iż subjekt jest wszechwiedzącym, a obiekt jest mu tylko podobieństwem; lecz inni (strona lewa), iż jest bezwiednym, a do uznania się w sobie przychodzi dopiero w człowieku. Twierdzenia Hegla dodawały dowodów na obie strony. Filozof ten był oczywiście zdania pierwszego, — wychodził bowiem jawnie we wszystkim z chrześcijańskich zasad (jego filozofia czyli historia religii dzieli się na królestwo ojca, królestwo syna i królestwo ducha i owszem wyznawał nieraz wyraźnie, iż jedynie religia chrześcijańska jest prawdziwą, iż nie jest panteizmu wyznawcą itp., dowody tego gdzieindziej przytaczaliśmy); lecz zdanie drugie było wyłącznie loicznym następstwem jego loiki i wśród ścisłych wyznawców systemu to jedno w końcu przemogło. Skutek taki nie zaspokoił potrzeb ludzkości z innej kolei — system najbliższy z pozorów prawdy ujrzano, iż nie objaśniał prawdy, tj. nie rozwiązywał wszystkiego. Skutek taki zraził od filozofii samą nawet ojczyznę tej filozofii; — jeżeli spojrzymy na stan tej gałęzi w dzisiejszej literaturze niemieckiej, ujrzymy, iż pisma jej poświęcone są dziś ledwo widomą częścią wśród uprawy innych gałęzi, iż w tej części widomej przemaga, ledwo nie wyłącznie, zwrot materyalny, iż stronnicy idealności za jedyną możliwą prawdę uznają sceptycyzm¹, iż wreszcie w wielu ze znakomitych nawet skądinąd sędziów

¹ Fortlage np., profesor filozofii w Jena, w wydanej niedawno »Historji filozofii niemieckiej od Kanta«, po przedstawieniu z przejściem się treści głównych filozoficznych systemów i pism swego kraju w tym przeciągu, dołączył na końcu wniosek, iż godnem istotnego filozofa uznaniem jest tylko »wątpliwość«: »alles, was wir kennen und wissen, nichts als nur Vorstellungen sind, welche... von Zeitmoment zu Zeitmoment fortbestehen, oder wechseln. Sobald man sie inne wird und sein Denken danach einrichtet, ist man Philosoph«. Genetische Geschichte der Philosophie seit Kant, 1852. Leipzig, oddział ostatni: Vom Skepticismus als einzigwahren Standpunkt der Wissenschaft.

naukowych, przyjaciół prawdy, jest za odrzuceniem zupełnym gałęzi tej w drodze rozjaśnień prawdy¹.

Co do nas, nie podzielamy bynajmniej tych wniosków; skutki takie mogą być tylko następstwem uprawiania tak nie inaczej filozofii, ale nie filozofii; mianowicie zaś nie dzielimy zdania tych, którzy sądzą, iż uprawa gałęzi filozoficznej szkodliwą jest, albo też mniej potrzebną dla losu religii. Dopóki w ludziach tkwi rozum, dopóty być musi czynnym; dopóki jest w stanie upadku, dopóty być musi dźwiganym. Jeżeli zaniedbywanie otrzymanych od Twórcy darów ściągnąć ma ostatecznie karę nad inne, tedy oczywiście nad inne tego, którym właśnie odróżnionym został człowiek od reszty istot, którym podobnym jest Bogu. Jakim praktycznie dla ludzi jest skutkiem, chociaż najgorętsza wiara, a bez uprawy rozumu, odpowiedzią są wieki średnie i obyczaje ich, których wstydzic się musi historia religii. Przeciąć dziś i zamknąć w swej drodze rozumowe kształcenie pojęć, zwaną tak filozofią, jest to uznać, iż istniała jakaś rozległa gałąź, wielkie rozwicie bez swego celu — przyszłości; — zamykać je z miłości danej religii, byłoby to uznawać, iż ta religia trwoży się tej gałęzi, iż nie ma innego środka ocalenia swojego, jak usunąć, zamknąć swoją rywalkę. Jeżeli jednak jaka religia, tedy właśnie chrześcijańska nie lęka się ani prawd swoich, ani sprawdzenia swych źródeł, ani porównania z innemi; sądzimy owszem, że właśnie ogólne ukształcenie moralne,

¹ Wolfgang Menzel np. w rozbiórce zesłorocznego pisma Fabri wystosowanego przeciw dzisiejszym niemieckim materyalistom i powołującego do sprawdzenia filozoficznie prawd religijnych, pochwaliwszy to pismo, dodaje: iż wątpi jednak, aby to ostatnie lekarstwo było skuteczne a nawet potrzebne; »wątpimy — mówi — bardzo, aby dyalektyka i formalizm mogły najwięcej i lepiej nauczyć prawdy, jak biblia. Religia silną jest i nie potrzebuje do swej pomocy filozofii; — jest to tylko szkolarstwo, prawdy religii poddawać prawdom filozoficznym, i które zawsze zakończyć się musi przegraną pierwszych, szkolarz bowiem wnet poczytuje swój przedmiot za niewolnika swojego ducha« Litteraturblatt 1856 Nro 4.

wzniesienie pojęć, zaręczy jej kiedyś wygraną, tryumf nad inne. Jakoż jest to już przed nami dziejowym i naukowym faktem, iż jednym z powodów jej wygranych i rozkrzewienia się w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, była najswobodniejsza wtedy uprawa badań filozoficznych. Stąd też i teologia chrześcijańska (która właściwie niczem innym jest sama, jak filozofią religii) liczyła i liczy zawsze filozofię za główną swą przyjaciółkę i pomocniczkę¹. Dziś zwłaszcza, gdy czasy silnej wiary minęły, ratunkiem zostaje rozum². Prawda jedną jest i wszelka gałąź czyli to myśli, czy uczuć, w końcu się w jedno zejść musi. Jeżeli prawdy istotnej religii i rozumowych badań nie zeszyły się jeszcze w swych wnioskach, tem więcej badania te kształcić i rozwijać winniśmy słusznie w drodze ich prawdy. Tegoż zdania co do znaczenia i celu filozofii jest oczywiście i autor książki, o której mówimy, pan Józef Kremer. Autor ten nadto jest oczywiście zdania, iż dla osiągnięcia ostatecznie owego celu, tj. do wytłumaczenia racjonalnie prawd religijnych chrześcijańskich dostatecznymi są: pomysł systemu i dyalektyka Hegla, z niejaką zmianą. Jakoż główne części wydanych przez autora dwóch tomów »Wykładu systematycznego« jako: loika, filozofia natury i filozofia ducha są

¹ Bierzemy pierwszą, która nam się trafia pod ręką, teologię moralną katolicką i tu między innymi znajdujemy, przy wyliczeniu źródeł etyki: »pierwsze miejsce trzyma tu filozofia« (prima hoc loco nominanda venit philosophia etc.), lub dalej: »wiara nie wspierana rozumem nigdy nie jest dość silną, ale przeciwnie, za każdą objawioną opinią chwieje się w różne strony«, lub znowu: »władza poznawania, czyli rozumu, jest najcenniejszym zaszczytem dostojności naszej. Jeżeli kształcenie jego zaniedbamy, stajemy się niegodnymi imienia ludzi. Nadawanie rozumowi naszemu wszelkiego rodzaju doskonałości powinno być najważniejszym i najgłówniejszym zatrudnieniem naszym. Ant. C. Seibergera: Institutiones ethicae christianae seu theologiae moralis, § 13 i 11, 108 — § 176. przekład polski Ks. Chodaniego.

² »Puisque c'en est fait de la foi naïve de nos pères, il nous faut partir de la philosophie pour comprendre la religion« — uważa trafnie V. Cousin w przedmowie do nowego wydania dawnych prac swoich: Premiers essais de la philosophie. 1855.

to części systematu Hegla, wyłożone w tych częściach kategorye i podkategorye, cały prawie ich przewód dyalektyczny przeniesiony też prosto z tego systemu; sam wykład zewnętrzny jest paragrafowany i z przypisami tekstowymi do §§-ów jak w tekście. Pomiędzy wykładem wszakże części filozofii pana Józefa Kremera i jego wzoru są skądinąd różnice i znaczne, a mianowicie:

Wykład swój istoty poznania rzeczy, a przedewszystkiem bezwzględne pierwiastku ich (idei bezwzględnej) autor nie zaczął od przedstawienia sposobu kształcenia się tej idei (loika Hegla), ale uznawszy za moment pierwszy samo machinalne uderzenie stworzonych rzeczy o naszą świadomość bez zrozumienia istoty ich, za pierwszą część swego wykładu systematycznego położył fenomenologię. Następująca po fenomenologii loika tem głównie się odróżniła od loika Hegla, iż jest nie tyle, lub raczej nie tylko historią rozwinięcia idei, ale też do pewnego stopnia i ocenieniem jej; stąd, gdy u Hegla ostatnim momentem loicznym jest idea bezwzględna, u autora jest uznanie się tej idei w sobie (osoba). Według Hegla do pojęcia osoby przychodzimy dopiero w prawie: »erst in Eigenthume ist die Person als Vernunft« (Hegels Werke, VIII. 41). Ostateczny wypadek systematu Hegla, duch bezwzględny, w Wykładzie systematycznym autora uznanym został jedynie za duch ludzki; stąd dwa oddziały Hegla filozofii natury i ducha uznane zostały za moment dopiero drugi, ma zaś jeszcze przybyć (w mającym nastąpić tomie III) moment trzeci a nowy, kończący koło poznania filozoficznego: teozofia. W loice i filozofii natury, jak wogóle w oddziałach przeniesionych z Hegla, momenta mniejsze są niekiedy u autora zmieniane w szyku, zwykle ścieśniane, nieraz wyrzucane; w oddziale filozofii ducha dodana część nowa: pneumatologia, a filozofia moralności przy niejakiem odrzucaniu dyalektyki tekstu, obszerniej i ze względu na grunt katolicko-chrześcijańskiej moralności wyłożona. Przypisy tekstowe zwracają u autora daleko więcej, niż u Hegla, teoryę do

zastosowań (i wyrażone są wszędzie, dodajmy, tą mową, która mu już zjednała nazwisko ksiąźęcia filozoficznego języka polskiego). Dodać wreszcie potrzeba, iż momenta, wypadki i zwroty, które u Hegla domniemanie tylko zwracały się do prawd religijnych, już zgadzając się z niemi, już od nich się różniąc, u autora odnoszone są wszystkie jawnie do prawd chrześcijańskich i katolicko-chrześcijańskich. Autor np. co chwila w swym wykładzie wskazuje na pewność i przedstawia dowody: bytności Boga, jego głównych przymiotów, duszy w człowieku, nieśmiertelności jej, potrzeby obowiązków, cnoty, pracy itp.

W tych ramach i na takich zasadach rozwinięty jest Wykład systematyczny filozofii pana Józefa Kremera. Przeniesienie to do literatury krajowej i zaznaj omienie jej czytelników ze stopniem niektórych spółczesnych dojsć umysłowych, liczne miejsca przejściowe i prawdy cząstkowe własne, przytem jasność i językowa strojność wykładu, to są wielkie dodatnie strony tej ksiąźki; ale stroną ujemną, naszym zdaniem, w tej ksiąźce jest najprzód, iż zasady i ramy, wzięte w niej z systematu Hegla i dodane przez autora własne, nie zostają z sobą w loicznym związku, i powtóre: iż nie wszystkie w niej prawdy, podawane przez autora za prawdy chrześcijańskie, są rzeczywiście chrześcijańskie. Już czyniąc parę razy uwagi gdzieindziej o pierwszym tomie Wykładu systematycznego¹, wyraziliśmy tę uwagę, iż położenie przez autora w loice jego, naśladowanej z Hegla, za moment wypadkowy osoby, nie jest właściwe, cały bowiem pomysł loiki Hegla, szyk jej momentów, ich przewód, o tyle łączące się były z sobą, o tyle loiczne, o ile za ostateczny wypadek miały ideę bezwzględną. Autor w obecnym tomie mówi między innymi: «prawda ta (iż idea bezwzględna jest osobą) nie jest bynajmniej prawdą przyczepioną zewnątrznie do końca u szczytu rozwoju loicznego, ale wypływa z niego z całą

[¹ Mianowicie w »Rozbiorach i Krytykach«, t. I. 353—363].

ściłością, jest organicznie związana z całością loiczną. Okazaliśmy bowiem z całą wynikłością, że na duchu ludzkim nie może się kończyć rozwój loiczny, że dopiero w poznaniu bytności bożej rzeczywiście myśl ludzka znajduje swoje uspokojenie ostateczne» (716). Ostatnie to twierdzenie może być prawdą, wszakże właśnie zadaniem loiki nie jest wykład tego, w czym myśl ludzka znajduje swoje ostateczne uspokojenie; loika jest to tylko nauka szykownego myślenia, metod myślenia; — według Hegla, jest to nauka «rozwinienia idei», jeżeli zaś autor życzył sobie w niej widzieć naukę «poznania idei», a przez ideę bezwzględną rozumiał Istotę Bożą, tedy mało było rzec tylko, iż jest osobą, należałoby jeszcze dodać, że jest wszechwiedzącą, wszechmocną itd., co jednak wszystko według rozkładu, uczynionego przez autora, właściwiej odnieśćby należało do teozofii jak do loiki. Drugiem większem jeszcze zadaniem wykładanego systemu, jest uznanie zasady, iż duch bezwzględny systematu Hegla nie jest duchem bezwzględnym, ale tylko ludzkim, i mimo to zatrzymanie innych momentów tego systematu. Według Hegla duch w momencie drugim jest poznającym, w trzecim osiąga już poznanie bezwzględne; według autora w momencie drugim i trzecim jest poznającym, a do poznania bezwzględnego nigdy nie dojdzie (II. 686). Jakaż więc jest różnica między momentem drugim i trzecim w wykładzie autora (choćby tym momentem trzecim miała być teozofia)? są tu tylko różnice w przedmiotach poznania, ale nie w istocie poznania, samem poznaniu. Jakoż pomieszanie tych dwóch zasad, tych dwóch systemów, musi tworzyć w książce autora szereg rozumowań, zdań i wyrażań nie łączących się, sprzecznych, a to według tego, jak są albo własnem, albo powtórzonem słowem ze wzoru autora. Głównem np., nieraz powtarzającym się rozumowaniem autora, mającym grunt w systemie Hegla, jest, iż ostatecznym celem filozofii jest zrównać podmiot z przedmiotem, tj. myśl naszą ze światem i w ten sposób uduchowić ten

świat. Skutek taki czyliż nastąpi? Autor raz zaręcza, iż to nastąpi, byleby człowiek nie tylko wiedzę, ale i wolę swoją ukształcił, z pod przybicia fałszów uwalniał je. W jednym z owych pięknych miejsc stosowanych tak autor mówi: «Byle człowiek myślą swą wstąpił do najgłębszej, najświętszej świątynicy ducha swojego, kędy nigdy nie ugaszony goreje płomień, który Bóg, jakby na ołtarzu swojej chwały w duchu człowieka zapalił, a już ten ogień święty rozjaśni mu świat materyalny i materya ślepa przewidzi... lecz aby się to stało, niechaj się wprzód sam wyzwoli, ile sił swoich, z pod ćmy i pyłów materyalnej swojej natury, — niechaj będzie czystego serca, a wtedy i Boga w naturze obaczy, wtedy treść świata stworzonego przeleje się we własną istotę jego, a tak co było przedmiotem zewnętrznym, stanie się własną treścią ducha, stanie się treścią podmiotu. Jak z naturą stworzoną, tak sobie duch postąpi z całą treścią duchowego świata..., aż w końcu ostatecznie jedność spełnioną będzie, gdy nieskończona prawda, będąca dla ducha jego przedmiotem działań, zamieszka w duchu człowieka» (§ 344). Jest to wniosek pocieszający i który, mówiąc nawiasem, przypomina nam ową tradycję chrześcijańską o końcu świata, którą św. Klemens rzymski, z wieku I. w liście do Koryntyan przytaczał¹; lecz autor, zamiast poprawy tylko nauki o woli i dyalektyki Hegla, na innych kartach i wniosek ten odrzuca, gdy mówi np... «uważmy atoli, iż wszystko, co ludzkie, nie jest bezwzględną prawdą» (II. 686); «żadna filozofia nie będzie zupełną, bezwzględną prawdą, nigdy tutaj nie ziści się jedność ducha stworzonego jako podmiotu, a idei bezwzględnej, owej prawdy wiekuistej, spoczywającej jedynie u Boga» (II. 723). W wykładzie swym powtarza autor nieraz, iż natura swobodnem jest dziełem

¹ Jezus Chr. — pisze tu św. Klemens — będąc raz zapytany: kiedy przyjdzie Królestwo Boże, rzekł: «kiedy dwóch będzie jedno i to, co zewnątrz, jako to, co wewnątrz». Cum duo erunt unum, et quod foris, ut id quod intus» (II. Korynt. XI.).

Boga, nie zaś koniecznością, z istoty jego płynącą, czyli konieczną jego częścią; lecz znowu w dyalektyce samej zatrzymuje całą tę własność wyrażen Hegla. Autor mówi np. «wtedy znajdzie kres swój (natura), gdy dojdziemy do stopnia, w którym do wyrażenia pojęcia nie będzie potrzeba już dwóch, czy więcej jestestw... gdzie więc jestestwo samo będzie już jestestwem, a nie już tylko wyrażeniem jego» (II. 31), (autor niejednokrotnie uczy, iż myśl nasza kształcąc się, wciela w siebie wszystkie istoty, tu zaś wyraża, iż te istoty same zamieniają się w myśl); albo: każde jestestwo zmysłowe, o ile rozumiane będzie w swojej prawdzie, czyli wedle swojej istoty, będzie jedynie ułamkiem całości, którą ma obejmować, której jest źródłem, pojęciem, a nie ułamkiem pojęcia; albo np. w § 353 tłumacząc, czym jest duch: Duch jest: 1) loiką, więc rozwojem idei, jako czystej myśli; 2) jest filozofią natury, zatem ideaą, myślą bożą urzeczywistnioną w jestestwach materyalnych etc. (Duch ten, czyli jest to duch boży? lecz w tym razie nie jest ani loiką, ani filozofią natury, bo to zadanie ducha czysto ludzkiego — czy ludzki? lecz w tym razie nie urzeczywistnia się w jestestwach materyalnych, ale tylko poznaje je). Podobnie w definicyi woli: «duch uznawszy siebie (tj. z przedmiotów zewnętrznych nawróciwszy do siebie), z treści własnej wnętrza swojego występuje na zewnątrz, a tak staje się wolą». § 377. (Duch używa woli jako jednej z swych władz, a nie staje się nią: jak ciało, chcąc zerwać kwiatek, używa ręki, nie staje się ręką). Podobnie wreszcie i w określeniu rozumu: rozum jest to (pierwiastek, władza), który jednoczy myśl i istnienie, podmiot i przedmiot, który dąży do poznania idei wszechrzeczy, bo sam jest ideaą, który jest rozumem tkwiącym we wszechrzeczach. § 492. (Nie rozumiemy określenia pierwiastku, który i sam jest celem i do niego dąży dopiero — w rzeczach tkwi nie nasz rozum, lecz boży; nasz go tylko poznaje, tak uczy i autor w innych miejscach). Idąc za systematem Hegla, autor za

ostateczny wypadek ducha, a stąd jako wyższość nad naturę podaje sztuki piękne, religię i filozofię jako dzieła rozumu. Lecz ten duch według autora nie jest tu bezwzględny, a tylko ludzkim. Sztuki piękne są więc według autora utworem ducha ludzkiego, natura bożego; jako więc utwór i odbicie ducha ludzkiego może być wyższy, niż utwór i odbicie bożego? To nadto, co jest głównie pierwiastkiem sztuk pięknych, nie jest właściwie rozum, ale fantazyja. Sztuki piękne, np. poezya, może nie tylko nie odbijać rozumu, ale rozsądku, np. (piosnka ludu), a jednak być poezją: poezya, której pierwiastkiem jest rozum, jest rodzajem poezyi, nie jest jej istotą. Religję mając odnieść według własnego systemu do działu nowego, tj. teozofii, autor objaśnia, iż do kategorii ducha ludzkiego odnosi religję nieobjawioną (714). Cóż to jest jednak religia nieobjawiona? Religia nieobjawiona jest to nic innego, jak filozofia; miały tu chyba należeć religie fałszywego objawienia. Co do drugiego: pierwiastek religijny (czyniliśmy tę uwagę gdzieindziej) jest jednym z tych, które odznaczają wszystkie nasze filozoficzne pisma krajowe — na pierwiastku tym opierają się wszystkie także pisma filozoficzne niemieckie. Różnica jednak, uważaliśmy, jest, iż w tych ostatnich pierwiastek ten był tylko domyślny, wyrażony przez omówienie; w naszych — wyraźny; wszakże pisma niemieckie, dodajmy, pod tym względem tę mają przewagę iż wszyscy ich autorowie są tam zwykle zarazem teologami; filozofowie zaś nasi, czyli to wychodzący z zasad protestanckich, czy katolickich, są zwykle tylko dyletantami. Najwyższością w naturze jest duch; jest w Trójcy jednym, człowiek jest podobieństwem jego, «jest światłość, która oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego» (Jan I. 9.) «Także i my, gdyśmy byli dziećmi, byliśmy pod elementem świata (św. Paweł o religiach pogańskich), lecz gdy przyszło wypełnienie czasu» etc. (Galat. II. 3. 4.). «Kościół jednym ciałem w Chrystusie, a różne jego członki, jako członki ciała, łącznie wzrost, czynią».

(Efez. II. 16. 11.). W dziejach ludzkich najprzód brak zasad i potop, dalej Mojżesz, dalej ewangelia, z obietnicą rozrastania się ziarn posianych, głównym obowiązkiem jest miłość. Te i tym podobne nauki, wyrażane tak często na kartach Pisma, zwłaszcza w listach św. Pawła, odbiły się właśnie za zasadę, brane były wyraźnie we wszystkich prawie pismach filozofów niemieckich, pismach, zwłaszcza tak teoretycznych, jak stosowanych Hegla; stąd nauki i zdania o najwyższości ducha, jego trójkęgach, subiekcie odbitym w obiekcie, o ideach wrodzonych, o duchu czasu, wewnętrznych epokach w dziejach, ogólnej harmonii, celu, ciągłym postępie, obowiązku miłości wzajemnej itp., nauki i zdania, z których niejedne, niektórzy nasi skądinąd myślący pisarze (np. pp. Jakubowicz, Łysiński) niedawno jeszcze jako bezbożne potępiali. Takich itp. zasad nie potępia bynajmniej w swem dziele p. Józef Kremer, owszem, sam z nich wychodzi jako oczywiście więcej z duchem Pisma oznajomiony; dodajmy jednak, iż lubo autor we wstępie i w ciągu pisma wyraźnie nieraz oświadcza, iż wychodzi z nauki katolickiej, w szczególnych swych twierdzeniach i zdaniach nie zawsze jest katolickim, tj. teologicznie katolickim. Zdania te lub twierdzenia może tu nieraz są nawiasowe, z pozoru drobne, lecz w naukowości, jak w świecie, z ziarn rozradzają się drzewa, z ziarnka fałszu, góry fałszu się kształcą, i kto rozwiązuje, winnym wszystkiego się staje. Wskazujemy na kilka. Na str. 321, t. 2., autor o miejscu pobytu Istoty Bożej tak się wyraża: «Duch poznaje, że nad światem, ponad gwiazdy i słońcem, jest jestestwo, które jest samo przez się, które jest różne od wszystkich jestestw stworzonych, od wszelkiego innego istnienia, a któremu przeciw wszelkie inne istnienie byt swój winno». Wyobrażenie pobytu Istoty Bożej tylko ponad gwiazdami jest greckie i może ludu, ale nie teologiczno-chrześcijańskie; jest to owszem stały po wszystkie czasy dogmat nauk doktorów chrześcijańskich, a przynajmniej katolicko-chrześcijańskich, iż Bóg jest wszędzie, a to nie tylko wiedzą swoją i wolą, ale i substancją.

(«Sancti patres et theologi catholici summa concordia semper docuerunt Deum per immensitatem suam, non tantum scientia et operatione, verum etiam substantia ubique praesentem esse». Institutiones theologiae dogmaticae Wiesta II. 4.)

Na str. 311 tłumacząc autor istotę złego w naturze, mówi: «jest to odstępstwo od prawdy, od wiekuistego pierwiastku przebywającego w nim (ducha), a poddanie się temu, co jest przypadkowym, co nie jest duchem, jest to oddanie się ducha obcym potęgom, bo nie duchowym» i dalej na str. 455: «teżaz tedy wyraźnie widać wyzwolenie się ducha z pod przewagi zewnętrznego świata, tj. łamanie się myśli z materyą, pierwiastku wiekuistego ze zmysłowością». Autor, widzimy, idzie tu wyraźnie za nauką niektórych doktorów protestanckich i twierdzi, iż materya jest złem i nie jest wiekuistą. Twierdzenia te jednak, jako odstępne od ogólnej nauki piśmiennej i tradycyjnej chrześcijańskiej, potępione były przez kościół jeszcze w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i owszem każdy dziś prawie chrześcijanin codziennie powtarza, iż wierzy «w ciało zmartwychwstanie i żywot wieczny»; twierdzić nadto, iż to tylko jest złem, co nie jest duchowe, to zarazem utrzymywać, iż niema duchowej złości.

Na str. 262. (w oddziale filozofia ducha ludzkiego), dotykając teorii woli, autor mówi: «Duch (ludzki), mając w sobie zawarte ogniwa wszystkie, nie ma żadnej przeszkody w rozwoju swoim, on jest niezawisły zupełnie od potęg zewnętrznych, rozwój jego własny zależy tylko od niego, od własnej jego potęgi duchowej»; autor tu dotyka, widzimy, tej sławnej kwestyi, która od czasu Pelagiusza we wszystkich prawie wiekach dzieliła i dzieli nauczycieli chrześcijańskich co do natury woli i poszedł za niekatolickim wykładem. Katolickiem uznaniem jest, iż wola ducha ludzkiego jest zawisłą od woli wyższej (łaski), że zatem nie jest «tylko od siebie zależną». Dodajmy, iż samo określenie przez autora woli, iż «jest to zamienia-

nie podmiotu w przedmiot» jest już omyłką; wola ludzka ma bowiem niekiedy za swój cel i wypadek swój tylko podmiot, jako: myśli, uczucia itp. Fałszywem też również jest podawany przez autora środek zamienienia złej woli raczej na dobrą. Uznając autor według swych teoryj to dobrem w naszej woli, co jest duch, a to złem, co jest skutkiem materji, przypadkowości, tak uczy: «przypadkowość wtedy się zniesie, gdy człowiek pozna, iż w duchu jego na dnie tej treści tkwi pierwiastek wiekuisty» (czyż łaski, a nawet woli naszej dobrej bytność albo niebytność zawisły od naszego poznania?). Z tem pojęciem o złem, materji i woli, łączy się też właśnie i teoria autora przypadkowości, wzięta ze wzoru. W naturze są jednak zjawiska i rzeczy harmonijne, szykowne, i inne, psujące harmonię — pierwsze według nauki systematu są dziełem rozwoju ducha, drugie przypadku, pierwsze są prawdą w sobie, a drugie fałszem. Na str. 197. autor mówi: «wiemy, iż obok idei będącej dnem wszechrzeczy, panuje również w świecie zmysłowym przypadkowość» na str. 220: «ale dla osiągnięcia tego celu (poznania myśli bezwzględnej, tkwiącej w naturze) potrzeba przedewszystkiem, aby przedmioty rzeczywiste uwolnione przez nas zostały od tylu przypadkowych zjawisk, które je osłoniły, bo wtedy jedynie ujrzymy w nich swą myśl prawdziwą; lecz do tego powtórę potrzeba, abyśmy zarówno z drugiej strony i naszą myśl zwyczajną uważali za zjawisko, abyśmy ją tedy uwolnili od tego, co jest w nas przypadkowem, abyśmy wyzwolili tę myśl naszą od potęg, które jej wiekuistość przyćmiły». Te przypadki są to oczywiście, według nauki systematu, złość wszelka i jej skutki w naturze, zewnątrz i wewnątrz; lecz nie jest to bynajmniej objaśniać naturę i układ rzeczy, połowę w nich faktów i zjawisk kłaść za przypadek. Nie rozumiemy, co do nas, jak można uznawać harmonię w stworzeniu i zarazem wierzyć w przypadki? Autor mówi: «przysłowie, jakoby z drobnych przyczyn rodziły się wielkie skutki, nie ma ścisłej prawdy

za sobą» (302), ma przecież i najściślejszą, jak to już w samem następstwie materyalnych faktów daje się widzieć; lecz aby dojść tych przyczyn, zrozumieć ten łańcuch, potrzeba nie to wszystko, co ciemnem jest dla nas, brać za przypadek, lecz stanąć na stanowisku pojęcia, dla którego nasze wielkie jest drobnem, a drobne jest wielkiem, które nie zna miar i wag naszych, dla którego zaledwie nie jedno jest okres dziejów, jak i włos z głowy. Sam autor oczywiście tego jest zdania i tylko czyni to dla systemu i wzoru, czyli niemożności czynienia w inny sposób rozjaśnień, trzyma się swej teorii. Autor mówi np.: «każde jestestwo, obok cech właściwych jego istocie, będzie miało na sobie cechy przypadkowe, jako piętno swojej zawisłości» (20). Skutek takiej, nie innej zawisłości jest oczywiście jakimś następstwem loicznym, a nie dziełem przypadku. Autor nieraz i pięknie naucza o nieśmiertelności pojedynczej duszy człowieka, wszakże sam system jego, biorąc loicznie i ściśle, przeciwi się tej nauce. Autor po wielokroć to powtarza i rozjaśnia, iż celem ducha, zadaniem całej filozofii jest «zrównać podmiot z przedmiotem», tj. wcielić przedmiot (naturę) przez jej poznanie w istotę ducha. Na takim celu opiera też autor główny dowód nieśmiertelności. «Dusza — mówi np. — która daje pojedynczość (zwierzęca), jest już bliższem (od niższych istot) połączeniem podmiotu i przedmiotu, ale jeszcze zbyt zależnem od ciała, dusza taka bez ciała zamienia się w nic; dopiero kiedy się przejmie przedmiotem i wcieli go w treść swoją, istnieć może nawet po oddzieleniu się od ciała»; lecz oto autor, jak widzieliśmy wyżej, naucza, iż do celu takiego, tj. połączenia podmiotu z przedmiotem możemy się tylko zbliżać, ale nie osiągniemy go nigdy; dusze ludzkie zbliżają się więc tylko do nieśmiertelności, według tego systemu, ale dotąd nie osiągnęły go jeszcze. Na str. 268. autor mówi: «gdy umiejętność zmierzy przestrzenie niebieskie i nauczy się kołowrotów gwiazd, już prawa napisane gwiazdami temi na niebie, już te gorejące światy same,

ich wiry i ruchy, stają się dziedzictwem myśli człowieka, są jego dorobkiem; już w głębiny ducha przeniesione, kołują w nich wiekuistym tanem i świecą i błyszczą wedle przykazania bożego. Tak człowiek podbija dla siebie naturę całą, zdobywa w niej zjawiska jej, zdobywa w niej te światy dla siebie i przenosi je jako nabytek drogi w dzielnicę swojej istoty. Dopiero duch ludzki, wzmożony w sobie całą treścią natury, odrodziwszy w sobie wszystkie one stworzenia i odbudowawszy świat materialny w myśli swojej, obchodzić będzie uroczyste święto swoich urodzin» — dopiero wtedy — dotąd więc, według systemu, duch ludzki nie tylko nie jest i nie był nieśmiertelnym, ale nawet jeszcze nie istnieje¹.

1856.

¹ [Redakcja Kroniki wiadom. kraj. i zagranicznych] opuściła zakończenie tego listu. Skarżył się na to Tyszyński, pisząc 17. grudnia 1856 do Wójcickiego: «Kronika uczyniła mi dosyć bolesny figiel literacki i którego przyczyny zupełnie rozumieć nie mogę; wydrukowała trzy ciągi artykułu mego o 2-gim tomie Filozofii Kremera, a nie umieściła zakończenia; nie miałbym żadnej pretensyi, gdyby nie umieszczała wcale artykułu, bo mogłaby to uczynić, nie dzielając zasad; ale za wydrukowanie artykułu bez zakończenia, które zwykle jest kluczem i objaśnieniem całości, można mieć pretensję. Reklamowałem, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi na reklamację». Wskutek tego Tyszyński zaprzestał pisywać do «Kroniki»].

XIII.

ELEONORA ZIEMIĘCKA.

I.

(Zarysy Filozofii Katolickiej, Warszawa 1857).

Filozofia, której pierwotnem zadaniem było: dociekać, co jest ten świat? a stąd: jaka być winna reguła życia? w krajach pierwszego swego wzrostu (Grecyi i Rzymie) nie była zgodna z religią. Znakomitsi filozofowie tych krajów, zastanawiając się nad całością świata, harmonią w świecie, dochodzili i nauczali, że pierwiastkiem i końcem wszystkiego jest jeden Bóg, religie zaś nauczały o wielu bogach. W 1-szym wieku chrześcijaństwa, filozofowie 2 i 3 rzędu nauczający filozofii po szkołach, w Grecyi i państwie rzymskiem rozsianych, odkładając religię na bok, nauczali, iż dla człowieka, początkiem i końcem wszystkiego jest człowiek sam (*Epikurowie i ówczesni Stoicy*). Stąd też apostoł Paweł, pisząc list do nowonawróconych mieszkańców Frygii (*Kolossów*) między innemi wyraził: »patrzcie, aby kto nie oszukał przez filozofię« (II. 8). W wieku drugim, umysły filozoficzne wyższe, uznając konieczność religii takiej lub innej, a nie mogąc się zgodzić z krajową, po poznaniu pism i zasad chrześcijańskiej, zaczęli z całą gorli-

wością przyjmować chrześcijaństwo (takimi np. byli: święty *Fustyn* męczennik, *Athenagoras* doktor, ś. *Pantenus* założyciel szkoły Aleksandryjskiej dla chrześcijan, ś. *Klemens* Aleksandryjski, wszyscy filozofowie pogańscy z samego przekonania nawróceni). W walce, która się rozwinęła wkrótce (głównie w samejże Aleksandryi) między filozofami stronnikami chrześcijaństwa, a stronnikami nauki platońskiej, albo pogaństwa, w walce prowadzonej z całą swobodą, zwłaszcza przez tych ostatnich, z tryumfem wyszło chrześcijaństwo. Filozofia stała się odtąd i była przez kilkanaście wieków przyjaciółką i główną pomocniczką chrześcijaństwa¹. Zmieniło się tylko z czasem lekko znaczenie wyrazów; filozofia, odniesiona do treści i wykładu chrześcijaństwa, otrzymała nazwisko *teologii*; za filozofię zaś miano głównie sztukę rozumowania, czyli prawie wyłącznie *Logikę*. — W wieku XVI, którego godłem była *reforma*, obeznanie się bliższe z treścią pism filozofów dawnych wpłynęło na reformę i filozofii. Dociekanie rozumem istoty rzeczy zaczęło znowu bieg nowy i na obszerniejszą niż niegdyś skalę, — obszerniejszą o tyle, o ile ludzkość w tych wiekach była już więcej rozrosłą i więcej podrosłą. Filozofia ta zacząwszy od *obserwacyi*, za cel główny miała zrazu tylko metodę, szukanie metody (Bakon i i.) i odpowiadała, rzecz można, w ten sposób, pod religijnym względem, pierwotnemu pogaństwu ludzkości. Następnie od *Dekarta* do *Fichtego* była *żydowską*; — od *Fichtego*² do *Hegla* i jego *szkoły*: chrześcijańską, ale *protestancko-chrześcijańską*. — Pierwszy z tych kierunków mając na celu dowodzenie i nauczanie, że *Bóg, nieśmiertelność dusz* ludzkich, *cnota*, to rozumowe prawdy (Kartezyusz, Spinoza, Locke,

¹ Nauka doktora wieku drugiego Tertuliana, iż filozofia jest dziełem dyabła, wpłynęła wprawdzie na opinię tej treści niektórych teologów chrześcijańskich, co do zasady jednak uważaną była zawsze, tak jak i inne niektóre części nauki Tertuliana, za odstępłą od powszechnej chrześcijańskiej.

² Mianowicie od pisma jego: *Anweisung zum seligen Leben*.

Kant i t. p.¹, miał wprowadzić piękne zadanie; — ale w prawdach tych widząc już cały zakres prawd religijnych, z poznania społecznego wytrącał, rzecz można, pół świata; — drugi, wychodząc z uznania prawd Ewangelii, lecz odtrącając wykład ich tradycyjny i uznając zbawienie tylko w *nauce* (nie w *osobie i czynie*) Zbawcy, zamiast dać nowy chrystyanizm, dał w ostatecznym wypadku: stary stoicyzm. Wyglądanym więc jest dzisiaj powszechnie nowy zwrot w filozofii. — A ten zwrot jakież tylko być może? jaki być winien? Doskonała nauka filozoficzna jest ta, która daje doskonałą regułę chwili; — doskonałą zaś regułę chwili daje nauka ta, która nie tylko uczy o związku człowieka z przeszłością lub obecnością, lecz i z *przyszłością*. — Aby przyszłość taką lub inną uznawać, trzeba w nią wierzyć, to jest z *przekonania* uznawać; — aby tę przyszłość zbliżyć, do niej skutecznie dążyć, trzeba z przekonania do niej się zbliżyć i z przekonania *dążyć*. Trzeba iść z twierdzenia, nie protestacyi; obejmować całość, nie części. Idąc drogą chrześcijańską, iść powszechną chrześcijańską, któraby się przeciągała bez przerwy od pierwszych dni («a oto ja jestem z wami *przez wszystkie dni*» Math. ost.), nie wyjątkami. — Nowy zwrot w filozofii, który być może, który być winien, jeśli ma być żywotnym, musi więc być, nie tylko chrześcijańskim, ale *katolicko-chrześcijańskim*. (Filozofia katolicko-chrześcijańska, budowana tylko na innych zasadach, niż w wiekach średnich). Zwrot ten nowy zaręcza sama potrzeba rzeczy, i zaręcza jawny bieg rzeczy, to jest powstawanie i ukazywanie się natchnionych w tym kierunku jednostek. Jak było w wieku IV-ym chrześcijaństwa (to jest kiedy po pokonaniu nieprzyjaciół zewnątrz zaczęły

¹ Nie mówimy tu już o tym odcieniu filozofii z końca XVIII-go wieku, którego np. we Francji głównym reprezentantem był bar. Holbach (a mianowicie sławny jego System Natury); nauka ta podając za jedyną prawdę tylko to, o czem świadczy — pięć zmysłów, czyli chwilę i punkt materialny, ścieśniając w ten sposób obszar poznania ludzkiego do stanowiska zwierząt, nie może nawet właściwie nazwiska mieć filozofii.

się spory wewnątrz), tak jest i dzisiaj. Najżywotniejsze i najpowszechniejszego wpływu pisma idą z pod piór pisarzy kierunku katolickiego. Literatury *hiszpańska, włoska, niemiecka*, nawet *angielska* (*Wiseman, Newman*) wydały w tym czasie pisarzy tego kierunku, których pisma na wszystkie prawie języki świata są przekładane. Kraj zaś, którego język jakby z przeznaczenia stał się językiem całego świata (Francya), nad inne bogactwem tem błysnął. Nie mówiąc już o tych wielotomowych pracach w tym kraju, które najgorliwiej wskrzeszają pisma ojców kościoła, określają szczegółowie dzieje kościoła, zajmują się wszystkimi szczegółami nauki powszechnej kościoła, które w ten sposób wskazują, gdzie się przeciąga żywot tego kościoła, — ani o znanych powszechnie, a tak licznych od początku wieku tego apologetach; wspomnimy tu tylko o naukach szczególnego bogactwa, współczesnych nam, a śmiało rzecz można wielkich mówców kościelnych: *Lacordaire'a, Ventury* i ojca *Felixa*. Przedmiot tych nauk, mówiący w sposób tak nowy i niespodziany o stosunku chrześcijaństwa i wszelkich prawd katolickich do życia jednostek, dziejów, urządzeń społecznych, sztuk, nauk, postępu, przynosi wyraźnie do nauk naukę nową, zapowiada dla nauk nowych tak zwanych świeckich (mówiąc wyrazem świeckim) nowy system filozoficzny. System ten nie ma wprawdzie jeszcze swego sformułowania, ale daje już przewidywać swą treść: daje poznać potrzebę zmiany z gruntu drogi poznania, natury, logiki, metod, obszaru nauki i t. p.

Przybywająca dzisiaj na kolej w rozwiciu literatury ogólnej literatura polska, żywioł także katolicki z sobą przynosi w pismach jej najcelniejszych pisarzy w gałęzi filozoficznej (*Libelt, Kremer, Cieszkowski Aug. i inni*), żywioł katolicko-chrześcijański wyraźnie i coraz wyraźniej przemaga. Do gałęzi tej właśnie przybyła też w tym czasie i ta książeczka, o której rzecz mamy.

Prace autorki *Zarysów* oddawna już są znane w literaturze. Pani Ziemięcka w początkach swego piśmiennego

zawodu była stronniceką Hegla (artykuł jej z tego czasu, noszący napis, jeżeli dobrze przypominamy, *Szeling i Hegel*, drukowanym był w noworoczniku z r. 1839 »Pierwiosnek«, obejmującym artykuły wyłącznie kobiet). — Odstąpiwszy następnie wcześniej niż inni¹ swojego mistrza, zaczęła w literaturze naszej gorliwą walkę przeciw następstwom tego systemu. W tym celu drukowała *Rzecz o Filozofii* (w Bibliotece Warszawskiej z r. 1841), a następnie redagowała przez lat kilka pismo czasowe miesięczne p. n. »Pielgrzym«, temuż celowi poświęcone². Czas tej walki ukształcił w umyśle autorki pewien własny system poglądu na całość poznania, i w piśmie obecnem wyraziła właśnie jego *zarysy*.

Całość tego poglądu rozwinęła autorka w czterech oddzielnych. Pierwszy z nich obejmuje świat *przyrody*, 2-gi świat *rozumu i woli*, 3-ci *objawiony*, 4-ty świat *społeczny*.

Pogląd 1-szy zajęty jest wykazaniem, iż *natura* czyli świat cały zewnętrzny jest dziełem woli Boga, nie częścią Boga, i że w prawach rozwicia jej istną częścią *konieczność* (czyli ogólny cel Boga), częścią *dobrowolność* (udzielona przyczynom drugim).

W 2-gim autorka od rozumu i woli w naturze przechodzi do rozumu i woli w człowieku; uważa, iż podstawą wszelkiej nauki, źródłem świata umysłowego ludzkiego

¹ Mówimy: wcześniej niż inni, nie tylko bowiem gorliwi stronnicy Hegla u nas, lecz też i w Niemczech (podzieleni zrazu na stronę prawą, lewą i środek), nie mogąc zgodzić następstw, do których dochodzili, z głównymi zasadami systemu Hegla tj. jego logiką, odstąpili dziś prawie wszyscy swojego mistrza. — System Hegla, który po roku 1830 był zasadą wykładów więcej niż 50-ciu katedr w uniwersytetach niemieckich, obecnie nie wiemy czyli jest treścią jednej. — Dzisiejsi pisarze filozoficzni w Niemczech przeszli częścią do pierwotnych systematów Kanta albo Fichtego, inni do filozofii objawienia, — czysty zaś racjonalizm (nowy) ma głównych reprezentantów w filozofach materialistach zacząwszy od Feuerbacha Lud. (ex-Heglisty) do Moleschotta, Buechnera itp.

² Do tego czasu należy pedagogiczne pismo pani Z. o wychowaniu kobiet.

jest ów rozum ogólny, który się znajduje równie w prostaczkach, jak mędracach, który łączy zdania ludzi i wieków, »a który jak słońce świecą ludzkości, równie jak ono już uwagi nie zwraca i podziwienia nie obudza«; — mówiąc o woli, przypuszcza i *samodzielność* ludzkiej i bytność bożej, »bo tylko Bóg może mieć wiedzę potrzeb wszystkich ludzi i wszystkich wieków«.

W 3-cim mówi o prawdzie nauki objawionej wchodzącej w naturalną i o sposobach, którymi wpływa na ukształcenie rozumu ludzkiego i woli ludzkiej.

W 4-tym wreszcie mówiąc o świecie społecznym, uważa, iż ten jest wpływem trzech pierwszych, iż wyrazem biegu jego jest *postęp*, i że ten postęp społeczności dzisiejszej od dawnej, czyli chrześcijańskiej od pogańskiej, zależy na tem, iż dziś nie tyle ma znaczenia dana *społeczność*, ile raczej *jednostki* tej społeczności, iż te dążą stopniowie do tej przewagi, oraz iż nowością dzisiejszych wieków, nieznaną dawnym, jest *prawo narodów*; dodaje przy tem uwagę, iż fakt dziejowy: *wielorakość narodów i krajów* odpowiada (zdaniem autorki) dwom podstawom świata przyrody: *dobrowolności i konieczności*, jest skutkiem postanowienia bożego »i żadna idea humanitarna pochłoniąć go nie zdoła«.

W takich ramach rozwinięte są poglądy autorki. Celem, widzimy, ich jest: stosowanie chrześcijańskich prawd do wykładu biegu natury, lub jaśniej: objaśnienie prawd tego biegu ze stanowiska chrześcijańskich prawd. Przedmiot ten co do ogólnej swej treści nie jest zapewne nowością; w naszej nawet literaturze też prawie objęły kwestye pisma: F. Kozłowskiego: *Początki filozofii chrześcijańskiej* i ks. Waleryana Serwatowskiego: *Pierworys filozofii ze stanowiska chrześcijańskiego pojętej*, i wykladały je nawet może systematyczniej i pewniej; — całe to pismo jednak jest ręki własnej autorki, — ożywia je niejedna myśl z gruntu nowa, łączenie się ze zdaniemi spóczesnych nam katolickich pisarzy i pamięć na potrzeby krajowe w obranej

drodze; stąd z jednej strony walczy tu autorka z racjonalizmem domowym (którego źródło widzi w Heglizmie), z drugiej znów z kwietyzmem niektórych katolickich pisarzy i dobitniej popiera uznania takie: jak *samodzielność* woli, uprawa *rozumu*, *postęp* itp.

Jesteśmy pewni, iż niejedna z uwag autorki *Zarysów* wpłynąć może żywotnie na kształcące się u nas zlanie pojęć filozoficznych i religijnych. Jeżeli jednak książkę podobnej treści nie mamy równie lekko przyjmować jak dzieło sztuki, gdzie »drobne nie powinny obrażać skazy«; jeśli po piórze i usposobieniu takim, jak jest autorki *Zarysów*, mamy prawo spodziewać się stanowczych dla literatury korzyści; tedy wypada nam dodać, iż nie sądzimy, aby skutek podobny miały uwagi jej wszystkie, a nawet iżby i te lub inne licznych zwolenników znalazły; — przyczyna zaś tego jest ta: iż zdaniem naszym, tyle zasłużona skądinąd autorka do loicznego zlania powyższych pojęć sama jeszcze nie doszła¹).

Zdaniem naszym pani Ziemięcka niektóre szczegóły racjonalne niedość trafnie ocenia ze stanowiska religijnego, i nawzajem niektóre szczegóły religijne niedość racjonalnie wyklada.

Dajemy tu kilka przykładów, a zaczynamy najprzód od tych ostatnich.

Filozofowie starożytni, nie opierając swych prawd na nauce religii, trudnili się wynajdywaniem *kryteriów* prawdy, czyli *środków*, po którychby poznać można, iż dane zdanie jest prawdą; dla katolickiej autorki jedynym kryterium prawdy byćby powinna »zgodność z nauką kościoła«. — Pani Ziemięcka za *jedyne* kryterium prawdy podaje *logikę*

¹ To niezlanie się zasad widne już jest nawet w samym napisie książki. — Prawda jedną jest, więc filozofia rzetelna i religia *rzetelna* to jedno. Dostatecznym i zdaniem naszym skuteczniejszym byłby więc jednorodny napis: *sarysy nauki chrześcijańskiej*, albo też wprost *Zarysy Filozofii*. — Dodajmy, że przymiotnik ten *katolicki* nie określa *naukowie* przedmiotu i treści książki, znaczy bowiem tylko *uniwersalny*.

przyrodzoną (str. 49, 127 i i.); piękne są myśli autorki o rozumie powszechnym, i istnienie jego nie może być zaprzeczonem, lecz podawane przez nią kryterium już przez to samo jest mylne, iż jest niejasne. Każdy twórca nowego systemu, każdy filozof oświadcza, iż on pierwszy wychodzi z *loiki przyrodzonej*. Ta *loika przyrodzona* (bon sens) było to właśnie między innymi kryterium szkoły materialnej ateistycznej z wieku zeszłego, a za dni naszych, między innymi, *Lamennais'ego* i powiodło go następnie do twierdzeń niezgodnych z nauką chrześcijańską.

W poglądzie p. n. *Świat objawiony* autorka nader długo mówi o *objawieniu*, nie określa jednak i nie daje jasno zrozumieć jego znaczenia. Objawienie w znaczeniu racjonalnem jest to ogłoszenie jakowejś prawdy, która właśnie samym zwykłym rozumem ludzkim nie mogłaby być dociezoną (jak np. oznajmienie to w Ewangelii: że złość świata »już osądzona«, że się »przybliżyło Królestwo Boże«); w znaczeniu religijnem przez objawienie rozumie się zwykle »wszelka prawda bezpośrednio od Boga idąca«. — W którym z tych znaczeń, albo w jakim trzeciem, używa autorka tego wyrazu, nie może zgadnąć czytelnik. Na str. 102 mówi np.: »człowiek może przeczuć objawienie, ale stworzyć go nie zdoła«; — w znaczeniu racjonalnem jest to uwaga zbyt nuda, to bowiem, co człowiek umysłem tworzy, nazywa się *pomyślem*, nie objawieniem; — w znaczeniu zaś religijnem jest to uwaga mylna, nauki bowiem np. *10-ciu Przykazań* mieszczą księgi i innych starożytnych religij i filozofów. — Objaśniając bliżej swój przedmiot, autorka mówi, iż objawienie jest nie tylko słowem, ale i faktem. I faktów tych liczy cztery: *stan pierwotny człowieka, grzech, kara i miłosierdzie*. Zwracamy uwagę, iż fakta te są to fakta dziejowe jak wszystkie inne, lub raczej, iż są to szczegóły nauki chrześcijańskiej, nie fakta objawienia. Zdaniem powszechnem chrześcijańskim faktem objawiającym Boga jest cały świat; wyraził to bowiem już św. Paweł, gdy pisząc do Rzymian, mówił: »Bóg siebie *objawił*, — przez

te rzeczy, które są uczynione od stworzenia świata«. (Rzym. I 19. 20).

Pomimo niepodejrzanych i ciągłych uwielbień autorki dla prawd katolickich chrześcijańskich, nie zdają się nam być w zupełnej zgodzie z temi wyrażeniami np. takie: iż «całość poznania nie leży w Bogu» str. 49. (»W nim skryte są wszystkie skarby umiejętności«, mówi Ewangelia, tem więcej więc całość poznania), iż »prawy i czysty chrystyanizm stoi między ascetyzmem świętych pańskich, a pychą rozumu« str. 131. (»Każdy kształci swój dar; — wyrażenie autorki jest w części paralogizmem chrześcijańskim); równie też przesądzanie zamiarów bożych, np. takie: »stan dzisiejszy *nie był* pierwotnym Boga zamiarem« 159; albo: »pierwszy człowiek przed grzechem *nie miał* pozostać wiecznie na ziemi«. 188 itp.

Z drugiej znów strony, autorka niejedną filozoficzną prawdę, którą wzięła właśnie z religii do filozofii, za przeciwną religii uważa i ściga ją.

Tak np. na str. 49 i i. powstaje na *idee wrodzone*. Idee wrodzone (w filozofii niemieckiej: pojęcia a priori) są wyobrażeniem ściśle chrześcijańskim i mają grunt w tem twierdzeniu Pisma: »jest światłość, która oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego« (Jan, I. 9). Prawdzie idei tych zaprzeczali filozofowie materyaliści, a przywracali ją zawsze filozofowie walczący z materyalizmem, i racjonalnie udowodniali (*Kartezyusz* np. przeciw stronnikom czystej empiryi — *Leibnitz* przeciw *Lockowi*, *Kant* przeciw *Hume'owi* itp). Powstawanie przez autorkę Zarysów na idee wrodzone tem mniej jest usprawiedliwione, iż sama ma za kryterium loikę przyrodzoną.

Podobnie nieracjonalnie-chrześcijańskim jest zarzut filozofii czyniony, iż szuka prawdy »na dnie ducha ludzkiego«. — Na str. 141 mówi autorka: »Tu jest owo *słowo*, — owa idea, której Hegliści tak mylnie, *na dnie ducha ludzkiego* szukają«. Duch prawdy (więc razem i słowo), który ma w *ludziach* mieszkać na wieki (Jan, XIV. 16. 17), gdzie

może szukany być? Na str. 208 czytamy uwagę: «pojęcie absolutne nieustannego postępu pod względem *filozoficznym* jest zupełnie błędem». Całość składa się z cząstek, nie rozumiemy więc, jak postęp może być w ogóle, a nie być w szczegółach; może nie być zawsze równie widocznym, może nie być w szczegółach jednych, a tylko innych, lecz istnieć bez przerwy musi, jeśli wśród dziejów *jest*.

Dodajmy, iż w książce, która sama ma za treść filozofię, nieloicznie brzmi ten zarzut, czy zdanie: «pod względem *filozoficznym*». Uważamy, iż jak niektórzy pisarze nasi przez filozofię nic innego nie rozumieją, jak materjalizm, tak znowu autorka *Zarysów* przez filozofię i racjonalizm rozumie tylko *Heglizm*. Skutek ujemny dla rozumowań książki jest więc i w tem, że wtrącana tak często do jej dogmatycznych twierdzeń polemika ma nie krytyczny, ale *poł* tylko krytyczny charakter (tak np. w poglądzie tym, gdzie mówiąc o stosunku stworzenia do Boga, ścigany jest *panteizm*, niema zaś nawet mowy o *materjalizmie* i *ateizmie*). Polemiki te są dla chrześcijan zbyteń, dla racyonalistów zaś czystych niedostateczne.

Ale naturę teoryi sprawdza najlepiej jej praktyka, praktyką książki autorki jest pogląd na *świat społeczny* — nad poglądem tym (ze względu zwłaszcza i na stosowność miejsca, w którym piszemy¹), zastanowimy się przeto bliżej.

W poglądzie na świat społeczny podzielamy w zupełności zdania utorki, że wyrazem biegu dziejów jest *postęp*, że oddzielne narodowości są prawdą, że w epoce chrześcijańskiej dzieje nader piękniejszy i więcej pocieszający przedstawiają widok, aniżeli w dawnej pogańskiej; nie godzimy się jednak na niektóre szczególne myśli i w części na sposób rozwinięcia tych prawd. Twierdzenia te wszystkie, zdaje się nam, iż pod piórem autorki są skutkiem raczej tylko instynktu, nie obmyślenia.

¹ [Artykuł ten był pomieszczony w *Kuryerze Wileńskim* 1860 r. Nr. 25, a więc w piśmie społeczno-politycznem].

Na str. 92 autorka mówi: «niepodobna pochwycić praw historii, bo jej całość leży w tem, co religia działaniem Opatrzności, czyli zarządem świata nazywa». Nie możemy jeszcze pochwycić wszystkich, ale możemy niektóre, stąd też każdy czy to filozoficzny, czy religijny na świat społeczny pogląd, od tego pewnika zaczynaćby się powinien. Właśnie bowiem przez dopatrzenie i rozjaśnianie stopniowe tej prawdy: że jest w rozwiciu dziejów *harmonia* i pewne prawa, dochodzimy do najpewniejszego dowodu, że jest wśród świata *siła* i *rozum wyższy*, które prowadzą ten świat.

Na str. 190 autorka uczyniwszy uwagę, iż wskutek upadku i kary, człowiek w świecie pogańskim upadł pod organizmem społecznym (i tem samem wyznając, iż dopatruje sama w historii pewne prawa), dodaje: «kwitną (za starożytnego świata) narody, jaśnieją rządy, dokonywają się wielkie dziejowe przemiany, ale jednostka ogarnięta jest wszędzie całością, ciśniona siłą» — jest to, powtórzmy, uwaga piękna i sprawiedliwa, i równie na nauce chrześcijańskiej, jak znajomości dziejów wsparta, iż społeczność epoki nowej jest duchowie wyższa nad dawną, iż patrząc ze stanowiska stosunku stworzenia ziemskiego do jego Stwórcy, wyrazem epoki dawnej była *kara*, nowej zaś *łaska*; dowód jednak, który autorka stawia, nie jest równie prawdziwy, a przynajmniej dość jasny. Głównym wyrazem historii dawnej są dzieje *Grecyi* i *Rzymu*, a jednostki w tych krajach nie były ogarnięte całością — swoboda jednostek w tych krajach zaledwo nie wyższą była, niż w którymkolwiek z nowych. Rzym rzeczpospolitą być przestał właśnie z pierwszym wiekiem chrześcijaństwa. Dowód autorki nie daje więc historycznego sprawdzenia. Faktami wyższości społecznej, epoki nowej nad dawną, są: *liczba* kwitających jednocześnie krajów, *zasada* swobód jednostek (mająca dziś źródło w religii), szerzenie się stopniowe tych swobód do wszystkich klas, i obok: wzajemne szacowanie się ludów, zniknięcie podziału w krajach na krajowców

i barbarzyńców, miłość wzajemna jednostek nawet wśród zaciętości wojen, spólczenie krajów dla krajów, nawet odległych itp.

Na str. 188 autorka mówi: «społeczność dla człowieka istnieje, nie zaś on dla społeczności stworzony». Celem tej uwagi zdaje się być: podniesienie godności człowieka jako jednostki — nie jest to jednak w gruncie podnosić wartość jednostek, utrzymując, iż wszystkie są dla jednej. Jest to owszem bezpośrednia nauka Zbawcy, że życie każdej jednostki wśród społeczności winno być nie tylko dla siebie, lecz i dla społeczności — poświęceniem być winno choćby do śmierci. «To jest przykazanie moje, abyście się *społecznie* miłowali. Więcej nad tę miłości żaden nie ma, aby kto duszę swą położył za przyjaciół swoje». (Jan, XV. 13).

Dziwimy się, że autorka Zarysów, która skądinąd widzi jasno, która wierzy w *kraje* i *ludzkość*, przy zwrocie uwag do krajów i ludzkości, do pewnego tylko stopnia, rzecz można, roztwiera oko. Mówi np., że życiu *pojedynczemu* towarzyszą, że je «ratują: *łaska* i *sakramenta*... a *koleje społeczne* zostawione są *dowolnemu* ich biegowi» (str. 158). Duch nauki chrześcijańskiej nie tak nas uczy; duch ten uczy, że kara i łaska towarzyszą i *ludom* szczególnym i całej *ludzkości*. Bóg od początku wybrał był sobie *lud* i przemawiał do niego, obiecując mu nagrodę lub karę, jakby do *jednego człowieka*; wielkie epoki religijne, kary lub łaski stosują się też wyraźnie do epok całej ludzkości.

Dodajmy tu wreszcie co do poglądu autorki na świat społeczny uwagę. W treści tego poglądu autorka *Zarysów* wyraża, iż: «zadaniem ludzkości pod każdym względem jest postęp». Twierdzeniu temu nie zaprzeczamy bynajmniej — i owszem, powiedzieliśmy to podobno wcześniej, aniżeli ktokolwiek, iż wyraz ten «postęp» nie jest to wyraz *panteistyczny*, ale chrześcijański¹; prawdę tę czytali-

¹ W Bibl. warszaw. z r. 1841 mies. wrzesień.

śmy następnie rozwijaną obszernie przez pióra duchowne¹; prawdę tę wyznaje tu autorka; lecz oto zarazem i naukę swą nader osłabia i czyni nieloiczną dziejowie przez to, iż nie tylko postępowi temu nie naznacza owocu historycznego, lecz owszem możliwości jego sama zaprzecza. Mówi bowiem np. na str. 157: «rzeczywista moralność chrześcijańska nigdy pełniłości słowa chrześcijańskiego nie dojdzie, *nigdy ogólnym czynem społecznym nie będzie*». Podobnie na str. 202: «a *ułudne nadzieje* Królestwa Bożego na ziemi, doskonałości ziemskiej» itd.

Co do nas, nie rozumiemy faktu bez jego celu, przyczyn bez skutku, rośliny bez swego kwiatu itp. Stanowiska rzetelnie chrześcijańskie i rzetelnie filozoficzne zbiegają się też w tem, jak we wszystkim; jeżeli stanowisko racjonalne dostrzegając praw istnących postępu, wnosi, iż ten urzeczywistni się kiedyś, stanowisko chrześcijańskie stwierdza to przez swoje prorocтва. Autorka ziszczenie tych prorocत्व w odniesieniu do ziemi zowie ułudą, przyczyną zaś tego zdaniem naszym jest nic innego, jak to, iż nie odróżnia dwóch losów pośmiertnych ludzkich, o których chrystyanizm uczy. Nie wyrazimy tu żadnej uwagi nowej, lecz mówiąc tylko katechetycznie i historycznie, zwracamy uwagę autorki, iż co innego jest w nauce chrześcijańskiej owo *miejsce* lub *stan* (*locus, potius status*, jak mówi teologia), które są przeznaczeniem dusz ludzkich przed sądem ostatnim — te istotnie nie są i nie będą nigdy na ziemi, a co innego jest to, co się w Piśmie św. *Królestwem Bożem* (czyli *Niebios, Coelorum*) nazywa.

Królestwo biblijne *Boże* jest to królestwo jednego Boga na całej ziemi, które było treścią i sumą wszystkich prorocत्व hebrajskich; królestwo ogólnej miłości, ogólnego pokoju, poznania doskonałego. Królestwo to, jak to objaśnia następnie Ewangelia, jest to *królestwo duchowe*, które

¹ A mianowicie u nas w piśmie ks. Chołoniewskiego z r. 1847 p. *Odpowiedzi* i w *Konferencyach* paryskich z lat 1855, 1856 i 1857 ojca *Felixa* (jezuity) wyszłych obecnie w 3-ch tomach p. n. Le Progrès.

założył *Chrystus* (przepowiadany tamże *sprawca* tego królestwa, *wódz*, *zbawca*), które jest nie zewnątrz ludzi, ale jest w ludziach, które wyrasta jako krzew z ziarna gorycznego, rośnie *razem z kąkolem, pogorszeniami* -- szerzy się i rozrasta niepostrzeżenie, i urzeczywistnia się w końcu (przyjdzie) w swojej całości («Nie przyjdzie Królestwo Boże z *postrzeżeniem*, ani powiedzą oto tu, albo tam, albowiem oto Królestwo Boże *w was* jest¹, *intra vos est*. Łuk. XVII. 20, 21.). W jaki sposób szczegóły wszystkich tych prorocत्व dadzą się zastosować dziejowie? czy to ostateczne przyjscie królestwa, o którym Ewangelia wspomina, jednoznacznie jest z owym czasem, o którym przepowiadając Chrystus, mówił: «i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz» (Jan, X. 16.); «pociągnę wszystko do siebie» (Jan XII. 32); czy też jest czasem oddzielnym? czyli oba te czasy przeciągać się będą w warunkach z gruntu odmiennych od historyczności dzisiejszej, czy w podobnych? czy może jeden z tych czasów będzie w warunkach historyczności dzisiejszej i będzie jakoby czasem jej *kwiatu*; a ostateczny nastąpi po przemianach jej z gruntu i będzie jakoby czasem *owocu* (w dziele ściśle katolickim ks. Gaume: *Catéchisme de Persévérance* widzieć można zebrane zdania najcelniejszych doktorów chrześcijańskich, iż dokończenie świata nie będzie jego *zniszczeniem*, ale *przemianą* na lepsze. Tom VIII, rozdz. ost.). W każdym razie, jak owo zaręczone szerzenie się stopniowe według Ducha Bożego wpływać będzie na zmiany społeczne? w jakich formach i faktach objawiać się będzie stopniowe znikanie złości? jakie objawiają skutki wzrastające stopniowie w ludziach miłość, cnota, poznanie? jak nastąpi zadowolenie narodów

¹ Królestwo to nie jest oczywiście takie, jak inne na świecie, stąd też Chrystus rzekł do Piłata: »Królestwo moje nie jest z tego świata« (Dtego też u nas np. *Wujek*, który, jako gorliwy pogromca dyssyden-tów w wieku XVI, nie może być posądzonym o żadną nowość — objaśnienie swe do wstępnego wersetu od tych słów zaczyna: «*otoż* ci cięż *nie przy* pan Chrystus, iżby królestwo jego z tego świata nie było« etc.

a także: co będą oznaczać historycznie ostatnie znaki?¹ (ów np. «ogień ostatni gniewu bożego», lub materyalny?), jak morze i «śmierć i piekło zwrócić umarłe swoje?» (*Objaw. XX. 13*) itp. Są to wszystko kwestye lub zdania, które w pismach chrześcijańskich, idących z wiary, roztrząsane bywają, roztrząsane (byle w granicach dogmatów) być mogą, i owszem, w miarę przybliżania się czasów, być muszą; lecz tę nadzieję królestwa mienić ufudą nie jest to wieść do łączenia pojęć filozoficznych i religijnych.

Te są i tym podobne powody, dla których sądzimy, że książka pani Ziemięckiej nie otrzyma pożądanego skutku, i że Zarysy, które nam dała, nie są jeszcze tą ostateczną usługą, jakiej od autorki tej gorliwości i tej zdolności literatura nasza spodziewać się może.

Książka jej, w tym składzie jak dzisiaj, jest jednak pożądanym przybytkiem. Nie nawróci ona, być może, żadnego racjonalisty, nie zachęci do filozofii nikogo z wiernych, lecz z tych wiernych, którzy już przyjaciółmi są filozofii, może niejeden żywotną korzyść odniesie. Jako zarys systemu, może nie pozostać także bez swego skutku. Aby podzielić system, możeby potrzebował czytelnik mniej spotykać w wykładzie udzielania wrażeń autorki z pism nowo odczytanych, a więcej poprzedniego obmyślenia stanowczych wniosków; mniej tu i owdzie słów obfitości, więcej krótkości zimnej; to jednak pewne, że taka lub inna forma nie pozbawia książki rozsianych w niej pięknych myśli, że podane w niej ramy mogłyby objąć dość pełny obraz całości poznania.

Co jednak, dodajmy, w książce tej jako fakcie zająć powinno *każdego*, to to, iż jest to książka nie autora, ale autorki. Książka ta z pewnej strony jest, właśnie sprawdzeniem jednego ze swych założeń, że istnieje postęp — i że,

¹ W rozdziale XX. dzieła św. Augustyna o *Mieście Bożem* można widzieć, jak wykład tych ostatnich znaków nie znosi wcale mniemania, że czas ostatni będzie nie ostatecznym zniszczeniem, ale ostatecznym zbawieniem rzeczy ziemskich.

dodajmy, ten leży na dnie ducha ludzkiego. Widok pióra płci pięknej, zajętego psychologią i dyalektyką, jest dopiero nowością naszego wieku. Starożytność, która pod tyłą względami wydała typy, nie przekazała nam jednak żadnej kobiety filozofki. Czytamy wprawdzie o wielbicielkach Platona, słuchaczkach nawet jego w *akademii*, o słuchaczkach Epikura w jego *ogrodach*, ale nie znajdujemy nawet wzmianki o żadnej filozofce *autorce*. Nawet i wieki nowsze nie podają nam żadnego imienia żeńskiego, któreby postawiło krok jakiś znaczący w uprawie filozofii. Literatura nasza, która dziś ledwo nie w każdej gałęzi mieści tyle imion płci pięknej, liczy kilka i filozofek (jak to np. pani Orł., pani Sabina Grz..., u nas pani Jadwiga W. itp.)¹. Pierwszeństwo dotąd trzyma pani Ziemięcka.

1860.

2.

(Studia Eleonory Ziemięckiej. 1860. Wilno. Nakład i druk Zawadzkiego).

Lata bieżące są więcej latami czynu jak myśli, praktyki jak teorii; lata słowem, w których przemaga raczej żywioł polityki jak filozofii. Zamiłowanie w drobiazgowym rozbiórce władz umysłowych tam nawet znikło, gdzie najwięcej zwolenników liczyło¹. A jednak te zamiłowania, ba-

¹ [Józefa z G. Orłowska znana jest między innymi z »Uwag nad artykułem pani Eleonory Ziemięckiej: Charakterystyka kobiety« w »Bibl. warsz.« 1841, t. II. — Sabina Grzegorzewska prócz wyciągu z »Pamiętników« swoich, drukowała w tejże »Bibliotece« r. 1855, t. II rozprawę p. t. »Wpływ kobiet na duchowy rozwój człowieczeństwa«. Wyrażenie »u nas«, użyte przez Tyszyńskiego, znaczy tu: na Litwie; ktoby była Jadwiga W. — dojsć nie mogłem].

¹ Mamy np. przed sobą rozbiór niemiecki pisma *Odczyty o metafizyce* Wil. Hamilton (najsłynniejszego dziś filozofa angielskiego) i czytamy tu między innymi tę uwagę: »Umieszczone w tem dziele obszernie badania o naturze sumienia ludzkiego i władzy poznającej naszego ducha opróżniły by dziś rychło audytorium każdego uniwersytetu niemieckiego«, *Zeitschrift für Philosophie und philos. Kritik* z r. 1860, II, 249 (jest to, nawiasem mówiąc, jedyny dziś dziennik w Niemczech poświęcony wyłącznie filozofii i którego wychodzi w rok tylko dwa poszyty).

dania, tak różne napozór od czynów i faktów, w ścisłym są z nimi związku. Te epoki lub raczej ci ludzie, których zajęcia napozór w żadnym nie zostają związku z pracami umysłowemi, którzy może nie znają nazwiska żadnej filozoficznej książki, żadnego filozofa, bez wiedzy jednak mogą i muszą być dziećmi, spadkobiercami takich lub innych głoszonych przed nimi zasad. Badania moralnych zasad, prace filozoficzne, trwać i przeciągać się muszą: już jako istnienia gałęzi przechodzącej swoją drogę w swojej kolei, już jako piastunki ziaren mających wydać taki lub inny owoc w następnych czasach. Jeżeli zaś te badania i prace nie zyskują społecznie pociągów, nie wywołują poklasków, zwolennicy ich naukowo przynajmniej tem więcej cenionymi być powinni.

Autorka Studyów jest właśnie jedną z pracowniczek podobnych. Postępuje ona wytrwale w pracy bez względu na brak ogólnego przyznania i drogę umysłową uprawia przez samą miłość tej drogi.

Pani Ziemięcka przed laty 20 drukowała właśnie w tem piśmie (Bibl. Warsz. z r. 1841, maj) pierwszą swą obszerniejszą rozprawę filozoficzną, w której idąc za przykładem niektórych ówczesnych pisarzy we Francyi, wymownie to wyrażała, iż pomysł tak wielbionego wtedy systemu *Hegla* jest w gruncie swoim przeciwny prawdom chrześcijańskim i powoływała do uprawiania filozofii w duchu raczej *Dekarta*. Dla poparcia tego dążenia autorka wydawała następnie przez lat kilka pismo miesięczne p. n. *Pielgrzym* (1842—1846); w r. 1857 wydała pomysły własne do filozofii czysto chrześcijańskiej p. n. *Zarysy filozofii katolickiej* i świeżo przełożyła dzieło ks. Maret: *O godności rozumu ludzkiego i potrzebie objawienia*. Czynny umysł autorki nie przestawał jednak w tymże czasie zwracać się różnostronnie; autorka zajmowała się, widzimy, stosowaniem swych zasad nie tylko do psychologii, ale i do praktycznych gałęzi życia ludzkiego, jako: *dziejów, religii, lite-*

ratury, życia obyczajowego i t. p., a publikacja obecna jest właśnie przedstawieniem *Studyów* jej z tego zakresu.

Główne artykuły, składające te *Studia*, są następujące:

1. *Rozbiór Kursów Ad. Mickiewicza*. Jest to zwrócenie uwagi na stanowisko główne tych Kursów i jego ocenienie. Głównem stanowiskiem tych Kursów, uważa autorka, było: oznaczenie dziejowego znaczenia plemion słowiańskich, a mianowicie tego plemienia, do którego należał autor. Stanowisko oryginalne i na którym, uważa autorka, pierwszy się oparł autor, pierwszy rozjaśnił je. Mickiewicz był tu jak drugi Dante, prozą piszący, ze względu na ważność stanowiska i skutków. »Tamten śpiewał sprawiedliwość bożą i wieczne jej tajemnice, ten spisał drogi myśli bożej na ziemi i te tajemnicze ścieżki, które prowadzi ludy do swoich celów« (24). Oznaczywszy całą wartość tych Kursów, autorka czyni jednak w końcu autorowi ich zarzut: iż opanowany przez fałszywy mistycyzm, poczytał narodowi swojemu za ujemność całą tę drogę reformy, po której przeszedł w wieku XVIII. »W uniesieniu swoim, mówi autorka, zapomniał Mickiewicz, że społeczność ogólna i wszelka narodowa, jako utwór natury, powołaną jest do postępu drogą rozważki i pracy; religia przyświeca tej pracy, rozjaśnia ją i oczyszcza, ale jej nie może zastąpić« (53).

4. *Rys piśmiennictwa naszego od r. 1830*. W rysie tym określa autorka literaturę krajową, jak ją poznawała od r. 1830, i znajduje, iż pierwsze utwory naszych poetów romantycznych (*Mick., Żal., Odyn., Gosz.*) wychodziły w gruncie z tegoż samego ducha jak poprzedni pisarze klasycyści (np. *Karpiński*) i że pisma ich z tego okresu stanowią »granitowe pomniki, klasyczne w swoim rodzaju całości, przymiot, którego nie mają późniejsze ich utwory, których cechą było ubóstwienie przyrody i przymuszone szukanie w niej śladów ducha« (71); iż następnie od nieokreślonych ogólników i systematów literatura przeszła na drogę *rzeczywistości*; iż charakter ten odznaczyły powieści, poezya, historia, a epokę tę sprawił *Pan Tadeusz*. W filo-

zofii przenoszono u nas do literatury krajowej systemat *Hegla*, z większym nawet niż gdzieindziej talentem, ale zwolennicy sami powoli odstępują od popieraných zasad. Wychowanie umysłowe krajowe nie jest jeszcze skończone. »Znaleźć siebie duch musi, i to jest, czego nam niedostaje tak w poezji jak życiu« (88). W filozofii trzeba nam *spirytualizmu czystego*, któryby łączył racjonalnie porządek naturalny i objawiony. Miało to właśnie na celu pismo samej autorki, wydane w r. 1857, p. n. *Zarysy filozofii katolickiej*.

3. *Dumania nad najważniejszymi zagadnieniami dla człowieka, Józ. Gołuchowskiego*. Jest to przytoczenie treści i rozbiór pisma pośmiertnego Józ. Gołuchowskiego, drukującego się obecnie w Wilnie; 1-sza jego część ma obejmować rys filozofii niemieckiej; 2-ga własny wykład praw myślenia ludzkiego, wychodzącego z uznania prawdy katolicko-chrześcijańskich zasad. Zdaniem autorki jest to najgłębsze pismo filozoficzne w języku polskim; zarzuca tylko autorowi brak znajomości niektórych społecznych kwestyj (147), i potępienie *Dekarta* na wiarę pisarzy niemieckich (125).

Część II-ga *Studyów*, nosząca napis *Studia religijno-filozoficzne*, poświęcona jest rozbiorowi niektórych religijno-filozoficznych kwestyj społecznych. Główniejszymi artykułami w tej części są: *Traktat o prawie moralnem* (czyli określenie tego, co jest obowiązkiem człowieka równie z prawa religijnego jak prawa natury); *O naturze umysłu ludzkiego i stosunku samodzielności do tradycji*, *Ksiądz Ventura i jego systemat* i inne. W rozprawach tych są rozbierane te niektóre odcienie racjonalno-religijnych kwestyj, które się toczą wewnątrz kościoła katolickiego, jak np. o stosunku woli swobodnej do Opatrzności, rozumu do wiary, samodzielności do tradycji i t. p. W ogólności, stanowiąc, jakie w tych kwestjach objawia autorka i którego prawdy dowodzi, jest, iż dwa są w świecie ludzkim porządki: *naturalny i objawiony*; że ten drugi prostuje pierw-

szy; lecz że mimo to i ten pierwszy (naturalny) jest prawdą i koniecznością, że przeto głównymi czynnikami życia człowieka jako człowieka być winny: *wola*, nie *bierność*; *samodzielność*, nie zaś tak zwany *tradycjonalizm*; *rozum*, nie *sama wiara* i t. p. Uznania swe popiera autorka nie tylko rozumowaniem, ale też i licznymi przytoczeniami zdań i rozdziałów, dawnych i nowych doktorów kościoła katolickiego.

Treść dzieła pani Ziemięckiej, jak widzimy, pełną jest ożywienia. Bieżące filozoficzne kwestye w ich zwrocie do stosowanych stron życia, dziejów, literatury, religii, są tu po kolei dotykane i w części rozwijane. Mówiąc *wogóle*, na wszystko prawie, co autorka w tem piśmie mówi, moglibyśmy się zgodzić, nie na wszystko jednak co do niektórych *szczegółów*.

W artykule, który nosi nazwisko *Rozbiór Kursów* Mic., a który rzeczywiście jest tylko zwróceniem uwagi i ocenieniem dziejowo-religijnego stanowiska tych Kursów, ocenienie to pięknie jest wykonane. Miejsca też zwrotu do polityki czyli stosunków społecznych przypomniały nam pióro pani Staël. Porównywanie autora Kursów do autora Bońskiej Komedy przypomniało nam czynione już to porównanie przez *Menzla* w rozbiorze niemieckich przekładów Wallenroda («a gwiazda Mickiewicza jak gwiazda Dante nie zgaśnie». *Litteraturblatt* do *Morgenblatt* z r. 1835). Zgadza się z uwagą autorki, iż pierwszy autor Kursów zwrócił dobitnie uwagę (lubo jeszcze nie w Kursach) na znaczenie misyi szczególnych krajów w rozwiciu dziejów (głośne podobnej treści pisma *Lamenego*, *Lakordera* i in. były już późniejsze od historyzoficznego pisma Mickiewicza, przełożonego wówczas na język francuski przez spółtowarzysza ich w redakcyi jednego pisma, *Montalemberta*). Nie zgadzamy się jednak na ostateczny wniosek: iż autor Kursów wstecznym się w końcu okazał i potępiał cywilizacyę i postęp w kraju z wieku XVIII. Autor Kursów nie

ruch i postęp potępiał, ale tylko *niektóre barwy jego kierunku*, jakie towarzyszyły mu w wieku XVIII.

Artykuł, mający napis *Rys literatury polskiej* od r. 1830, mieści także niejedno trafne spostrzeżenie. Rys literatury kraju każdego jest zajmujący, a tem więcej zajmującym być musi kraju, który przebywał tak oryginalne dzieje jak nasz. Jednym z tych oryginalnych rysów w tych dziejach było to, iż bez przymusu i środków sztucznych ujrzał w granicach swoich kilka narodowości oddzielnych, różnych pochodzeniem, językiem, religią, w niedługim czasie w kraj jednego *ducha i mowy* przemienionych. W ostatnich czasach po przejściu różnych części kraju tego pod różne rządy, kiedy życie krajowe musiało się skupiać wyłącznie w duchu, t. j. w uprawie krajowej literatury, prowincye oddzielne odbiły w dziełach swej nauki i sztuki owe pierwotne tło rozmaite, a całość literatury ogólnej, szczególnej rozmaitości i bogactwa przedstawiła stąd owoc. Prowincye te większą czynnością odznaczały się po kolei i rozwijały swą czynność na skale oddzielnych krajów. Po roku 1815, t. j. po ustaniu czasów wyłącznie odznaczonych wojną, pierwsza Litwa żywszą czynnością umysłową odznaczyła się i zabłysła. Wilno, które nawiasem mówiąc, ma dziś tylko jedno pismo czasowe, w r. 1818, mimo dwa razy mniejszą ludność miasta, miało ich *sześć* (*Dziennik Wileń.*, *Tygodnik Wileńs.*, *Dzieje Dobroczynności*, *Pamiętnik magnetyczny*, *Kuryer Litewski*, *Wiadomości Brukowe*), nie licząc efemeryd. Ruch ten umarł niedługo, wydawszy jednak plód, który, jak się zdaje, nie umrze, albowiem poezją oryginalną i między innymi pisarza (*Mick.*), który na zmianę smaku, charakteru literatury i całego nawet pokolenia, w ogóle *kraju*, w pewnym względzie żywotnie wpłynął. Po Litwie obudziła się i oddzielnym swym charakterem odznaczyła dobitnie część literatury krajowej: *Ukraina*¹. Po

¹ Kreśląc w r. 1835 obraz poezji polskiej, zamiast ówczesnych podziałów na *klasyczną* i *romantyczną*, zwróciliśmy uwagę na jej bogactwo

r. 1830 pierwszeństwo umysłowego ruchu (nie wspominamy tu miejsc za krajem) przypadło na prowincją *Poznańską* i do ogółu literatury krajowej wniosło żywioł *myślenia* głębszego; dziś to bogactwo ruchu przypadło na *Galicyę* i *Kraków*. *Warszawa*, jak przystało powadze głównego miasta, odznaczała się obok zawsze *rozmaitością* w popieraniu naukowych gałęzi, sądem łączącym liczbę ludzi zasługi i t. p. Co jednak nadewszystko odznaczyło w tym czasie literaturę polską, jest to fakt, który nie jest zależny od usiłowań i pracy, ale jest dobrowolnym podarunkiem ducha, fakt, iż w uprawie literatury krajowej, t. j. *nauki* i *sztuki* zjawiła się w tych czasach większa niż kiedykolwiek liczba ludzi *talentu*, pisarzy oryginalnej myśli, oryginalnej fantazyi i siły słowa, tak, że w niektórych gałęziach (jak *filozofii*, *poezyi*, *powieści* i in.) literatura polska nie ustępuje dziś spólczesnej żadnej, wiele przynosi. Z rysu, który dała pani Ziemięcka, nie widzimy jednak tego bogactwa literatury; rys ten, przełożony na język obcy, przedstawiłby ją jako poczynającą i nader bladą. Nie godzimy się na to zdanie autorki, iż ostatnie poezye *Mick.*, *Zales.*, aut. *Barbary* i innych, których wymieniła, odznaczyły się w końcu ubóstwieniem przyrody; ostatnie poemata ich więcej owszem odznaczone były i są żywiołem religijnym niż poemata ich młodości; poemata te właśnie przez to poetyczniejszemi być mogły, iż w nich przemagającą była *fantazyja* młoda (główny żywioł poezyi), nie *rozmyślanie*. Nie odkreśliła autorka charakteru filozofii krajowej, mówiąc tylko, iż ta była

wewnętrzne, i te oddzielne rysy zewnętrzne i wewnętrzne, którymi się w niej odróżniły: szkoły *litewska*, *ukraińska*, *krakowska*, *salonowa* (puławska) i t. p. Podział ten był następnie przedmiotem niejakiej napaści. Czy napaść ta pochodziła ze źródła istotnie czystego, t. j. *dobrej wiary*, tego nie wiemy; lecz to pewna, że w tym ostatnim razie nie przemawiałaby za obszernością poglądu swego autora. Nikomu nie przyszło na myśl przyznawać, iżby np. wprowadzone oddawna w kreśleniu historii malarstwa włoskiego podziały na szkoły *florencką*, *wenecką*, *rzymską* i t. p., przyczyniły się w czem do zubożenia obrazu albo rozerwania jedności *sztuki włoskiej*.

naśladowniczką *Heglizmu*; wszakże pisma, jak np. *System umnictwa* Libelta, *System loiki krajowej* B. Tr., pisma szczególnego bogactwa myśli i dyalektyki, wychodziły owszem wprost z opozycji przeciw systematowi Hegla. Nie godzimy się na zdanie autorki, iż w poezyi i filozofii naszej »duch znaleźć dopiero siebie musi«, t. j. iż musi z czasem nastąpić zgoda fantazyi i myśli krajowej z duchem nauki czysto chrześcijańskiej, t. j. katolicko-chrześcijańskiej; nie widzimy zupełnie, w czem poemata kilkunastu naszych poetów (że wspomnimy tu dla przykładu *Zaleskiego* i *Pola*) wykraczają przeciw tej zgodzie, w czem nawet *System umnictwa?* pisma *Józefa Kremera?* i t. p., a pisma tak pełne myśli jak *Początki filozofii chrześcijańskiej* F. Kozłowskiego i *Pierworys systematu filozofii* ks. Serwatowskiego najotwarciej nawet wypowiedziały tę zgodę. Wogóle cały ten artykuł pani Ziemięckiej jest więcej, rzec można, rysem historii kształcenia się umysłowego samej autorki, oraz jej prac, aniżeli historii literatury polskiej. Historia kształcenia się autorki tak czynnej i tyle zalet mającej, jest dla nas zajmującą, lecz niewłaściwy ma napis.

Nie powiemy nic o recenzyi *Dumań*, bo pracy tej jeszcze nie znamy.

Nie będziemy tu także (z powodu niewłaściwości miejsca) rozbierać tych racjonalno-religijnych kwestyj, które podjęte są w *Studyach*; powiemy tylko, iż myśli naszych, któreśmy wyrazili gdzieindziej o *Zarysach filozofii katolickiej* pani Ziemięckiej (piśmie, na które autorka powołuje się wszędzie w *Studyach*, jako na fundament swoich poglądów) i dziś nie odmieniliśmy w niczem. Wolno jest autorce i każdemu w sądzie swym o rzeczach rozróżniać dwa porządki w świecie: *naturalny* i *objawiony*; wolno jest jednak nam także (bez zaprzeczania istoty tego, co nazywane jest objawieniem) nie wychodzić w sądzeniu o rzeczach z uznawania owej różności, a to dla tej prostej przyczyny, iż nie możemy znać granic między porządkiem jednym i drugim, i że mianowicie autorka w swoich *Za-*

rysach mimo umieszczony w nich rozdział: *świat objawiony*, wcale nie rozjaśniła tych granic. (Odniesione tu np. do świata objawionego: *grzech, kara, miłosierdzie*, są to raczej fakta historyczne jak inne, nie szczegóły objawienia); faktem *objawiającym* Boga, jak uważa św. Paweł, jest *cały świat* (*Rzym. I, 19, 20*). Nie godzimy się zawsze na uznawanie za jedynie prawdziwe kryterium filozoficzne *loikę przyrodzoną*, jak chce w temże piśmie autorka; jest to bowiem kryterium, na którym się właśnie opiera, opierać może każdy najrozmaitszych zasad filozof; i powtórzmy to zawsze, iż pismo to pani Z. (*Zarysy*), uważane jako dogmatyczne, za wiele ma krytyki, zaś jako krytyczne, za mało jej ma i za jednostronną. Co do kwestyj podejmowanych w *Studyach*, to jeszcze dodamy, iż autorka przenosząc je prawie wyłącznie z literatury duchownej francuskiej (pewnej biegłości w niej autorce nikt nie zaprzeczy), nie zawsze równie jasną się staje dla ogółu czytelników. Tak np. w literat. francus. od czasów *Lamenego* rozwinął się spór, czy liczba przemagająca prawd leży w *ogóle* ducha ludzkiego od pierwszych czasów, czy w *pojedynczym myśleniu*; w sporze tym stronnicy zdania pierwszego otrzymali nazwisko *tradycjonalistów*; lecz oto w literaturach innych (mianowicie *angielskiej, niemieckiej*) przez *tradycjonalizm* w chrześcijaństwie rozumiany jest katolicyzm, t. j. wykład dogmatów na tradycji kościoła oparty, a przeciwnie za jedyne rzetelne kryterium stawiony jest *sąd osobisty*. Rozdział w *Studyach* autorki, mający napis o *stosunku samodzielności do tradycji*, nie wyczerpuje więc różnorodności przedmiotu, i rzecz można, że za kryterium protestanckiem raczej przemawia.

Kończąc uwagi te, nie możemy tu jeszcze nie wspomnieć o charakterystycznych kartach *Studyów*, mających napis *Rozmowy proboszcza ze Stefanem* (jest to dodatek do obrazku powieściowego katolickiego *Klara*). W rozmowach tych kwestya toczy się o tem, czy obok żywej wiary i praktyk chrześcijańskich, wymaganemi są jeszcze przez reli-

gię chrześcijańską: czynność światowa, uprawa nauk, sztuk i t. p. W dyalogu tym, role, rzecz można, są przemienione: *Stefan*, gospodarz wiejski, który wychodzi tu z uznania, iż aby spełnić żywot jak należy, dosyć jest wierzyć i źle nie czynić, mówi tu jak popularny teolog (t. j. teolog bierny, ale dosyć zwykły); proboszcz wyraża się znowu jak czynny filozof, t. j. jakim, zdaniem autorki, być winien każdy teolog chrześcijański.

Rozmowy te uważamy za głównie oryginalne w zbiorze i zasługujące na szczególne polecenie.

1861.

XIV.

JULIAN BARTOSZEWICZ.



(Historya literatury polskiej potocznym sposobem opowiedziana przez Juliana Bartoszewicza. Warszawa. 1861).

Panu Julianowi Bartoszewiczowi istotnie możnaby pozazdrościć. Dawno już żadna książka nie wywołała u nas tyle rozgłosu, jak jego *Historya Literatury*. Sama »Biblioteka« umieściła już trzy jej recenzje [w roku 1861] a wszystkie wyborne. Z rozbiorów tych wypływa ten wniosek: że jest to książka, której treść jest ważna i zajmująca, — lecz że ją przeplatają i wady, wady nawet niegodne pisarza, zwłaszcza historyka, jako to: bezłoiczności, obelgi, jakoweś ekstrawagancje itp., nie mówiąc już o niejakich błędach bibliograficznych. Byłem nader ciekawy poznać podobną książkę, odczytałem więc ją, i widzę, że miały zupełną słusność rozbiory. Jest to może jedyna książka, któraby miała razem i tyle zalet i tyle wad. Te zalety i wady są nadto w stopniu, iż istotnie dziwić się trzeba, jak mogą istnieć obok? jak mogą być jednej ręki utworem? Co do mnie przynajmniej, nie tyle mię nawet zastanowiły te wady, jak raczej *przyczyna* i możność takiego skutku.

Kiedy p. B. z *Szymanowskim* byli redaktorami *Dziennika Warsz.* a następnie *Kroniki wiad. kraj. i zagr.*, dziwi-

lem się zawsze, iż zdania tego ostatniego, jakkolwiek z powołania poety, odznaczały się zawsze pokojem, umiarkowaniem (a stąd, dodać należy, i sądem skutecznym), zdania zaś p. B. jakkolwiek z powołania historyka, i historyka obcującego z źródłami, były to zwykle jakieś rzuty zapalne, złożone z frazesów sprzecznych, ekscentrycznych, przesadnych, a stąd osiagających skutek lub żaden, lub nawet nieraz przeciwny zamierzanemu. To, co wydawcy pisma czasowego usiłowano wybaczać ze względu na pracowitość, na pośpiech, można było wnosić, iż nie ukaże się w piśmie pisanem nie na termin i na użytek niedzienny. Przeciwnie jednak się stało. Wady, które były tam w miniaturze, ukazały się właśnie na skalę bardziej jeszcze rozległą w Historji Literatury.

Być może, iż jedyną winą p. Bartoszewicza są: *żywość fantazyi* i *pośpiech*, — zaprzeczyć jednak nie można, że cechy te pociągają dla zalet książki następstwa bardzo dotkliwie. Owa żywość fantazyi to sprawa, iż autor żadnej prawie myśli, żadnego uczucia nie umie wyrażać na zimno, ale wyraża je zawsze w *superlatywach*. Każda dostrzeżona zaleta to zwykle u autora »cud, arcydzieło«, każde pismo z niejaką wadą to »zero, zbrodnia« itp.: — strony i złe i dobre aut: naturalnie dostrzega w każdym prawie piśmie, pisarzu, epoce, wypisuje więc (w tym stylu) jedne i drugie; — pośpiech tymczasem nie dozwala mu przed czytelnikiem a może też i przed sobą tych różnych wyobrażeń zlać w jedno — i staje się: że każda prawie charakterystyka autora jest to szereg zdań *sprzecznych, przesadnych*, wśród których mimo najlepszą wolę, czytelnik nie może dopatrzeć żadnej harmonii, i zamiast dobitnej nie znajduje przeciwnie najczęściej żadnej charakterystyki. Toż jest i w oderwanych rozumowaniach. Żywość myśli autora przerzuca się zwykle nagle z jednego celu w drugi, z jednej zasady w inną; czytelnik nie jest w możności iść za tymi rzutami, dopatrzeć w nich nici, a stąd tworzy się jedna z najczęstszych cech w rozumowaniach p. Bartosze-

wicza, tak w pojedynczych zdaniach, jak w całych rozprawach, iż zwykle co innego mówi tu założenie, o czym innym dowody, a o czym innym wnioski. Dodać wreszcie potrzeba (a jest to jedna z najbardziej ujemnych stron obecnego pisma), iż w używaniu owych superlatywów, czyli środków efektu, najupodobańszym stał się pióru autora *kolor nagany*, — iż używa go nie tylko w miejscu, lecz i nie w miejscu, nawet do pochwał, tak iż w ten sposób cała jego *Historia Literatury* jest to po największej części szereg ironii i pomiatania pism, pisarzy, okresów, i wogólności tego wszystkiego, co tylko stawało się w niej przedmiotem opowiadania.

Te wszystkie skutki i wady znają już bardzo dobrze czytelnicy »Biblioteki«, — sądzę jednak, że tak dla sławy literatury jak swojej p. B. zechce się zająć nowem a przerobionem wydaniem swojego pisma — sądzę także, iż gdy omyłki i krzywdy poczynił w niem głośne, najliczniejsze nie szkodziłyby protestacye; — nie będzie więc może zbytniem dodać tu jeszcze kilka wskazówek tych wszystkich błędów z bliższym zwrotem uwagi na ich przyczyny. Wskazówki te wezmę tą razą *wyłącznie* ze sfery głównego zadania książki tj. ogólnych założeń i szczególnych charakterystyk.

We *wstępie* tłumacząc się p. B. mniej potrzebnie przed swymi czytelnikami, dlaczego pisze historię literatury, nie zaś polityczną, mówi między innymi: »musicie wiedzieć, iż mam wstręt do przerabiania rzeczy znanych i opisywanych już tyle razy na rozmaite sposoby«. Jest to pierwsze założenie z wnioskiem na odwrót. Każdy wie, iż w ostatnich tylko najbliższych nam czasach pisali u nas historię literatury już na skalę większą, już mniejszą: *Wiszniewski, Maciejowski, Jocher, Szan. Pan Kazimierz Władysław, — Lesł. Łukaszewicz, Dembowski, Majorkiewicz, Kondratowicz, Łyszkowski, Porój, Kontynuatorowie L. Łukaszewicza* i inni — czemże więc jest innem *Historia* p. B. jeżeli nie przerobieniem? Część w niej biografijna jest owszem po najwię-

kszej części prosto wyciągiem (dlatego też i rzeczywiste w niej błędy bibliografijne w stosunku do obszerności ram są nader nieliczne); — to zaś, co stanowi właściwość jej, jest to *dodanie charakterystyk*, czyli właśnie opisywanie znanych rzeczy na nowy sposób.

W *Przygotowaniach* uprzedza pan B., iż co innego rozumie przez *piśmiennictwo*, a co innego przez *literaturę*: iż zdaniem jego do *piśmiennictwa* odnosi się wszelkie pisanie, jako: *materyały historyczne, prawo, przekłady* wszelkie, *fizyka, matematyka* itp. do *literatury* zaś tylko »dziedziny, w których, jak mówi, działa duch wybrańszy«, — t. j.: *filozofia, poezya i dzieje*. U Rzymian wyraz *literatura* od wyrazu *littera (gramma)* oznaczał także wszelkie pisanie, stąd też u nas zaczęto go tłumaczyć: *piśmiennictwo, piśmiennosc*; jeżeli p. B. chciał mu nadać w swem piśmie znaczenie jakieś nowe, ścięśnione, wolno mu było, lecz w tym razie sam przynajmniej powinien był trzymać się swojej teorii. Tak jednak nie stało się. W jednym tylko okresie mówi osobno o literaturze, osobno o *piśmiennictwie*, w następnych zaś i *prawo* i *przekłady* i wszelkie pisanie odnosi wprost do samej *literatury*. Dlaczegoż nadto i o *prawie* i o *przekładach* i o różnem pisaniu tak mówi obszernie w niektórych miejscach, dlaczego całe rozdziały wyłącznie poświęca *piśmiennictwu* w książce, która ma napis *historyi literatury*? Dlaczego przytem duch wybrańszy ma błyszczeć *np.* w pisarzach kronik, w filozofii, a duch stopnia niższego w naukach matematycznych, fizycznych, kiedy nauki te (od *Talesa* i *Pitagorasa* do *Hegla*) nie były i nie mogą być za co innego uważane, jak za oddzielone i rozszerzone gałęzie filozofii? Całe to rozumowanie w *Przygotowaniach* jest więc także bez celu i z wnioskami na odwrót.

Następnie przystępuje p. B. do podziału *literatury* na epoki. W *historyi literatury* sposób jej podziału na epoki i odcharakteryzowanie ich jest najpierwszą wskazówką stopnia krytyczności w autorze. *Historyk danej literatury* uważać i oceniać ją może albo jak *harmonijną całość*, albo

też *empirycznie* — w pierwszym razie oznaczone okresy wskazówką są i wykładem różnych *momentów* owego upatrzonego łącznego życia, w drugim razie nie obejmują względu *stosunków*, ale zawsze wyrazem być muszą jakiejś w sobie właściwości i oddzielności. P. B. uważał i opisywał przedmiot swój empirycznie (co wadą koniecznie nie jest, bo i w jednych i drugich ramach obraz wiernie określonym być może); dlatego jednak epoki jego są to epoki, czytelnik może nie zgadnąć, zgadnąć bowiem nie może, jak je pojmował sam autor. Okresom swoim daje wprawdzie p. B. osobne nazwiska, i dołącza *ogólne* na nie *poglądy*, lecz ani te nazwiska, ani poglądy nie określają charakterystyki ich. Nazwiska okresów p. B. między innymi są takie: *Jagielloński* czyli *Długosza* do pierwszych druków polskich, *Kochanowski*, *Makaroniczny*, *Stanisławowski* i *Mickiewicza*. Pomijając, iż rozciągnięcie okresu Jagiellońskiego tylko do pierwszych druków polskich odjęło mu czas dwóch ostatnich Jagiellonów (czas najświetniejszy), a stąd przedstawiło przedmiot z ujmą należnej sławy dynastii, czyli *niehistorycznie*, nazywanie całkowitych okresów nazwiskiem pojedynczych pisarzy wskazuje, iż ich wewnętrznym znaczeniem nie przejmował się autor. Dany okres literatury skoro jest okresem literatury, musi obejmować rozwinięcie licznych gałęzi, a dany pisarz może być tylko wyrazem jednej gałęzi. Jakoż w całej literaturze powszechnej nie ma pisarza, któryby był uważany i któryby mógł być uważany za całkowity wyraz epoki umysłowej swojego kraju. Nawet taki Homer lub Tacyt, Szekspir lub Kant, mimo górowanie w swej epoce, położeni jako jej wyraz i nie określiliby jej znaczenia i zbladliby przy łałości. Okres od r. 1386 do Reja zowie autor okresem *Długosza*, tym czasem same dzieła tego pisarza nieznanne były jeszcze przez cały ten okres krajowi (wiadomo, iż pierwsze ich wydanie nastąpiło dopiero w r. 1615), a stąd nie mogły mieć ogólnego wpływu na umysłowość w kraju; to zaś wszystko prawie, o czem autor pod okresem tym mówi, począwszy

od założenia Akademii krakowskiej do kronik litewskich, poprzedzało nawet życie Długosza. *Kochanowski* sprawił istotnie okres w poezji kraju, ale tylko w pieśni; co za związek z pieśniami tego pisarza mają *Kopernik*, *Skarga*, *Górnicki* i wogóle wszyscy pisarze (oprócz poetów), w okresie tym postawieni? W okresie naszym czemu np. Lelewel, który i pismami i wiekiem poprzedził był Mickiewicza, należeć ma do okresu Mickiewicza, a nie naodwrot? Niczego też podobnie nie uczą i ogólne poglądy. Ogólny pogląd na okres Kochanowskiego mówi wprawdzie wyraźnie, »iż głównym charakterem tego okresu jest polemika« str. 173, wszakże w przytoczonych następnie charakterystykach i treści pism głównych pisarzy tego okresu (po największej części *historyków* i *poetów*) czytelnik nie znajduje i cienia polemiki. W ogólnym poglądzie na okres Makaroniczny taka nakreślona zagadka: »w okresie tym nawet na ambonie odzywa się nie nauka i serce, a próżna słów igraszka. Na sejmach, w *kościółce*, w obozie, panuje moda używania makaronizmu. Język w tej epoce *ślicznie się wyrobił*, główną zasługę położyło tu *kaznodziejstwo*« 360. Ogólna wreszcie charakterystyka epoki nam spóczesnej (jak to już przytaczano w Bibl.) zaczyna się od tych słów: »Literatura nasza dzisiejsza jest na zupełnej drodze ku wszechstronnemu rozwijaniu się. Nauka rzadko błyszczy na firmamencie dzisiejszego piśmiennictwa, częściej uderzają zdolności niewyrobione, a *najczęściej ani jedno ani drugie*«; wypada więc, iż literatura nasza jest dziś chyba na drodze wszechstronnego upadku, nie rozwijania się?

W ogólnych założeniach nie określili więc p. B. swych epok. Kreśli je jednak naturalnie następnie bliżej przez charakteryzowanie pod każdą: szczególnych pisarzy i pism. Od charakterystyk w historii literatury nie wymaga się wiele, zwłaszcza w »potocznym sposobie opowiedzianej«; dosyć jest krótkich twierdzeń i lekkich wskazówek, jedno wszakże jest nieodbycie potrzebem: *jasność*, — oraz jedność i pewnośc zasad w samym historyku. Brak jednak pierw-

szego z przymiotów tych w obecnem opowiadaniu czyni wątpliwym byt i dwóch ostatnich. P. B. ocenia wprawdzie nieraz szczegółowie w swem piśmie pisarzy z działów filozofii, religii, dziejów, poezyi, — jakie są jednak przy tem ocenianiu zasady samego autora — *religijne, filozoficzne, estetyczne* a nawet i *historyczne*, tego zgadnąć nie może czytelnik.

Przytacza się na to wszystko po kolei po parę przykładów (dowodów).

Zdaje mi się, iż gdzieś czytałem uwagę, że stanowisko religijne, z którego p. B. wychodzi w swych sądach, jest ściśle *katolickie* i że nawet to służy za kryterium wszystkich sądów autora. Tak możnaby wnieść istotnie z niektórych sądów, z innych jednak wnieść znowu wypada inaczej. W najnowszej *np.* epoce jeden z autorów, którego zasady jawnie były niekatolickie, nad wszystkich jest wynoszony, autor znowu, który wychodzi jawnie z zasad katolicko-chrześcijańskich (*Oleśnickiego* i *Skargi*), jest potępianym. P. B. ogłasza się wprawdzie wyraźnie stronnikiem zakonu jezuitów, lecz o tem wypada powiedzieć słowo. Kto jest szczerym wyznawcą chrześcijaństwa i przyjacielem nauk, ten istotnie będzie najczęściej i przyjacielem zakonu jezuitów. Zakon ten obwinianym jest wprawdzie o fanatyzm i obskurantyzm, lecz kto raz jest przyjacielem zakonów, ten nie może nieprzyjacielem być tego, w którym każdy zakonnik bliżej, niż w którym innym, ideałem był zakonnik, — oraz tego, którego wyłącznem zadaniem było: *uczyć się i nauczać*. Jakoż już przy samym zawiązku zakon ten wydał u nas *np.* ludzi takich jak: *Wujek, Warszawicki, Skarga* i i., których nauka, talent i niezmeńczona czynność zdołała w rozpadłym wewnątrz kraju przywrócić (a w części i po raz pierwszy stworzyć) *jedność duchową*; — następnie dał tylu ludzi stałej naukowej zasługi jak: *Bielski Jan, Kojalowicz, Knapski, Niesiecki, Sarbiewski* i inni; i w samym upadku zostawił ludzi takich jak: *Naruszewicz, Albertrandi, Wyrwicz, Bohomolcowie, Woronicz, Pi-*

ramowicz, Poczubut, Książnin i inni, których niepodobna uważać za wychowawców lub sprawców obskurantyzmu; protegowanie w szkołach jezuickich scholastyczności było wadą, ale wadą taką nie inną, jak następnie protegowanie po innych szkołach *klasycyzmu, heglizmu* i t. p. to jest, iż było odbijaniem, w każdym razie czynnem, a nie bezczynnem, mody wieku (nie sami też jezuiti utrzymywali szkoły krajowe); przypisywanie wreszcie głównie zakonowi temu buntów kozackich nie jest ściśle słusznem, ponawiane bowiem i zakończone odpadnieniem od Rpltej Rusi zadnieprskiej, bunty kozackie były raczej następstwem dumy panów, nie chcących za rówienników uważać *chłopów*, niż skutkiem ścigania herezyi, — lecz o istnących skrytych celach zakonu tego, o dopuszczanych przezeń przypadkach sumienia, jest tyle powieści, a z drugiej strony te jego na polu piśmiennem zasługi tak są widoczne, iż nieraz szczery skądinąd przyjaciel katolicyzmu jest nieprzyjacielem jezuitów i znowu przyjaciel jezuitów może nie dzielić skądinąd rzetelnie katolickiej nauki. W tym ostatnim przypadku zdaje się właśnie być p. Bartoszewicz; dowodem tego jest też bowiem niejedno rozumowanie. Jedną *np.* z głównych zasad katolicko-chrześcijańskich jest wyznawanie, że tylko władza duchowna wypływa z bezpośredniego ustanowienia Dawcy chrześcijaństwa, a stąd: supremacji jej nad cywilną; p. Bartoszewicz tymczasem wyznawanie takie zowie *ultramontańskiem* (str. 184), terminem, którego nadto już samo brzmienie oznacza pewną antykatolicką namiętność. Na str. 148 mówiąc o czasie upadania Akademii Krakowskiej, tak się między innymi wyraża: »Akademia wygórowała w sztukach czarnoksięskich, zasmakowała w panegirykach, profesorowie jej stali się mnichami, żyli tylko wyłącznie dla Boga i ołtarza«. Pisarz katolicko-chrześcijański w żadnym razie nie bierze za przedmiot ironii życia dla Boga i ołtarza, ani też umiałby pojąć, jak można i żyć wyłącznie dla Boga i wygórować w sztukach czarnoksięskich. Na str. znowu 333 wspominając o wymównem powoływaniu do dzia-

łania przeciwko Turcyi w wieku XVII przez proboszcza z Inflant ks. Grabowskiego w pismach *Zdanie szlachcica* etc, i *Polska Niżna*, tak autor wyrozumowuje jego pochwałę: Ks. Grabowski osiadł w Inflantach, do muzułmaństwa mu tedy daleko, a przecież *choć kapłan*, choć ma dla kogo pracować w owczarni prawie tylko co nawróconej do wiary, *zapomina o rzeczach zbawienia*, a myśli jego wyłącznie zajęte są losem braci na Podolu i Rusi. »*Ta śliczna strona*« etc. Ks. Grabowski, pamiętając o braci swej dalszej, mógł wybornie nie zapominać i o bliższej, a w każdym razie jest to pochwałą wcale nie katolicką, uważać za śliczną stronę zapomnianie o rzeczach zbawienia, zwłaszcza w kapłanie.

Jakie są zasady autora *filozoficzne*? to mniej jeszcze jest jasne. P. B. zdaje się zrazu wielkim być zwolennikiem filozofii. W *Przygotowaniach* mówi, że filozofię tworzy »*duch wybrańszy*«, a na str. 497 potępia Jana Śniadeckiego, iż ten powstawał na filozofię Kanta; — w dalszym ciągu jednak autor powstaje sam nie tylko na filozofię Kanta, ale na wszelką. Na str. 546 winszuje narodowi, że do końca XIX-go wieku nie uganiał się za *mrzonkami*, uważa ją za *czczość* nie tylko serca, ale i głowy, i za przeciwność religii: tak bowiem *np.* mówi: »*miał on (Stan. Pot.) czczo w sercu i w głowie... z urodzenia katolik, w gruncie serca swojego był filozofem*« str. 484. Toż o Kollątaju itp. i wreszcie wszystkie prawie zdania autora o pismach filozoficznych dowodem są, iż jest to przedmiot, z którym najmniej jest obeznany. O pismach filozoficznych Józ. Kremiera niema i wzmianki. O zasłudze *Libelta* tak mówi: »*Libelt stworzył system umnictwa czyli estetyki*«; — jest to wyraźnie pomieszanie dwóch dzieł tego autora. Libelt istotnie wydał własny *System Umnictwa* (czyli wyobraźni), ale estetyka tegoż autora czyli *Umnictwo Piękne* jest odbiciem systemu *Vischera*. O Aug. *Cieszkowskim* mówi: »*dzieło jego *Gott und Palingenesie* najznakomitszym jest owocem bieżącej filozofii i zrobiło wielkie wrażenie (?) w Niemczech 581*); (sam

p. Aug. Cieszkowski broszurki tej nie stawia zapewne wyżej nad inne swe pisma).

Co do zasad *estetycznych*, tych okazania miał autor nader obszerne pole, dział bowiem *poezyi* po historycznym najobszerniej w jego Hist. Lit. jest przedstawionym; w ocenieniach tych jednak utworów piękna czytelnik również spotyka się nader często raczej z fantazyą autora jak treścią przedmiotu. O utworach *wymowy*, której tak obfity materiał mieszczą już same *Kroniki*, *Dyaryusze Sejmowe* dawne i nowe i t. p. autor nic prawie nie mówi, a ogranicza się tylko wzmianką szyderską o mowach Potockiego z ostatnich czasów, o wymowie zaś z czasów Jagiellońskich uczyniwszy założenie, iż aby się rozwinać, nie miała pola i czasu, takie na potwierdzenie, a właściwie na ironię własnego twierdzenia dodaje zdanie: »Kromer opowiada z oburzeniem, że sejmy za jego czasów (a więc Jagiellońskich) trawią się na gawędzie, bo trwają po dwa i po trzy tygodnie. Sejm Lubelski trwał blisko 9 miesięcy. Gdzież sejmy, które tak mało (?) posiadały czasu na obrady, mogły wyrobić i wykształcić mowców« 305.

O poetach z okresu *Kochanowskiego* opowiada p. B. dosyć szczegółów — wzmiankuje nazwiska głównych utworów każdego i przytacza po parę wyjątków; czytelnik nie widzi tylko, dlaczego to wszystko, według założenia, ma oznaczać okres polemiki, a nawet szkołę Kochanowskiego; to ostatnie jednak, nie tylko z przedmiotów i form, ale i całkowitych wierszy ówczesnych poetów (nawet późniejszych od założonego okresu) z łatwością, jeżeli już chciał tego autor, mogło być wykazane. W charakterystyce prztem samego *Kochanowskiego*, a zatem najgłówniejszego poety epoki, wszedł pod pióro autora okres, który zamiast podnieść, uczynił zagadką z głównej zasługi, a przynajmniej z głównej charakterystyki tego poety. Trzeba tu bowiem wspomnieć, że w książce tej p. B. na kilkanaście kart bardzo dobrych, spotyka się nagle karta, albo i dwie, w których skupiają się różne strony ujemne autora, i które mo-

żnaby nazwać »sztuką nagromadzenia błędów« w najmniejszym przeciagu. Takie miejsca zdarzyły się *np.* bardzo obficie w *Przygotowaniach*, w zaczęciu charakterystyki czasów Jagiellońskich, w tem, co mówi o *Czackim*, Stan. *Potockim* i t. p.; takiż okres wszedł i do charakterystyki Kochanowskiego. Szło tu o oznaczenie zasługi dramatycznej tego poety i autor tak ją określa: »Kochanowski pierwszy w Europie utworzył dramat« (szczególne superlativum, bo przecież i Eschilos i Sofokles nie byli z Azyi). Uproszony, aby napisał sztukę na wesele Zamojskiego z Gryzeldą, oczywista rzecz, nie użył przedmiotu z historii świętej, bo miał mówić do publiczności liczej i oświeconej« (czy publiczność, która gdzieindziej poklaskiwała wkrótce *np.* *Atalii*, nie była oświeconą?). Szlachta nasza znając zagraniczne kraje, miała inne wyobrażenie o dramacie« (o jakim dramacie ta szlachta mogła nabyć za granicą wyobrażenia, kiedy go dopiero pierwszy Kochanowski miał stworzyć?) »Kochanowski wziął do swojego dramatu treść z Iliady, z tego właśnie miejsca, kiedy Menelaj z Antenorem przybyli do Troi dopominać się o wydanie Heleny« (treść Iliady jest z X. roku oblężenia Troi i nie opowiada o tem, co było przed oblężeniem). »Niema w tem żadnego zawiązania dramatu; — posłowie przyjeżdżają, otrzymują odmowę i odjeżdżają«, i dalej: »Kochanowski chciał się naśladować, zaczął drugi dramat *Alcestis*, ale zaledwo zaczął, zaraz porzucił rzecz niedokończoną«. Następuje więc w końcu pytanie: jaki dramat utworzył Jan Kochanowski, kiedy jedna z jego kompozycyj w tej gałęzi nie ma nawet zawiązania dramatycznego, a druga ledwo zaczęta? (dodać wreszcie trzeba, że ów niby zaczęty dramat *Alcestis* jest to dosłowny przekład sceny z *Eurypidesa*).

Określenie poezyi z okresu makaronicznego (czyli »zupełnego upadku smaku«) autor rozdziela na poezyę początku tego okresu i poezyę *przesilenia*, cokolwiek jednak jest znakomitszego z poezyi tego okresu, znajduje się przeciwnie w pierwszym oddziale. W szczegółach tych okre-

śleń *superlativa* i tu jak wszędzie ujmują raczej przedmiotowi, niż go podnoszą. O talencie *np.* Jędrzeja Morsztyna mówi: »tragedję Kornela *Cyd* wytłumaczył takim językiem, że i dzisiaj niepodobna zastąpić niczem tego przekładu« 366. O poemacie *Wojna Chocimska*: »jest to w całym znaczeniu tego wyrazu poemat bohaterski, jakiego nam dotąd niedostawało« 362. (Więc nie niższy przynajmniej *np.* od *Jerozolimy*, *Iliady* itp.; poemat ten, dodać tu wypada nawiasem, autor stanowczo uważa za poemat *Wacł. Potockiego*, co do mnie nigdybym nie uwierzył, iżby wiersz tej *Wojny Chocimskiej* i wiersz *np.* *Argenidy* mogły być utworem jednego pióra. Sam *Szajnocha*, na którego rozumowaniu zdaje się tu opierać autor, hipotezy swej nie podawał wcale za pewnik).

W ocenieniach poetów Stanisławowskich, jak wogóle w ocenianiu poetów ze wszystkich okresów, wiele zdań trafnych, będących odbiciem upowszechnionych, i tyleż *fantazji*. Autor zarzuca *Naruszewiczowi*, iż w lirykach swoich posuwa niekiedy pochlebstwo *aż do bezwstydu*; — panegirykom zaś dla Trembeckiego (który więcej zasługiwał na ten zarzut) poświęca kart kilka. O *Węgierskim* między innymi tak mówi: »*Węgierski* był podobno ojcem tych wierszopisów, którzy później ze sztuki rymowania zrobili sobie rzemiosło«. Jest to wniosek zupełnie na odwrót z prawdą, *Węgierski* był jak najmniej panegirystą; wiekiem panegiryków był okres poprzedni, w którym właśnie, jak sam autor określał, literatura a z nią i poezya »przeszły były w rzemiosło«, 338. Jakoż zaraz dodaje: »za jego czasów już wielu było takich wierszopisów, *Węgierski ostro ich karci*« 426 (był więc oczywiście chyba ich zabójcą, nie ojcem). O *Kniaźninie* między innymi tak: »poemata jego *Balon*, *Rozmaryn*, *Troiste wesele* pisane bez natchnienia, są tylko zbiorem *lichych wierszydeł*« 424: (gdyby przynajmniej rzekł autor: *strojnych wierszydeł*). O *Karpińskim* na str. 433 tak: »*Karpiński* chciał opisać wierszem państwa Europy; było to pojęcie arcymakaronicznych czasów sądzić, że

święta poezya da się zniżyć do celów *tak małych* (jeśli nie jest niegodnem poezyi brać za przedmiot: człowieka, prowincyi, kraju, dlaczegóż wzięcie za przedmiot całej części świata miałoby być celem *małym*?)

Poeci nasi z początku wieku XIX-go do Mickiewicza najgorzej są traktowani. Autor przypominał oczywiście walkę, jaka przed laty 30-tu była u nas między klasykami i romantykami i potępia bezwzględnie tych wszystkich, którzy blisko poprzedzili romantyzm. Romantyzm i klasycyzm są to dziś słowa umarłe; był jednak czas, iż były żywe i historyk literatury nie może tych nazwisk pominąć; jeśli ich jednak używa i z ich stanowiska sąd daje, powinienby przynajmniej znaczenie ich przypomnieć tj. jak je pojmuje, objaśnić, — a to tembardziej, iż lubo ten wyraz romantyzm przed laty kilkudziesięciu wszystkim literaturom był znany, nie wszędzie jednak jednakowo był pojmowany. U nas *np.* za romantyków uważani byli głównie ci, którzy nie używali w budowie wiersza aleksandryków i nie poczytywali za obowiązek trzymać się poetyki szkolnej, — w Niemczech zaś ci, którzy się opierali na wierze i narodowości niemieckiej z wieków średnich, czyli romantycznych; — stąd też kiedy *np.* Schiller i Goethe w literaturze niemieckiej zaliczani są zawsze do klasyków (za romantyków miani tam tylko Tieck, Novalis, Werner, Schleglowie, bracia Stolberg i t. p.); u nas poezye Schillera i Goethego uważane były za ideał romantyczności. Piękność prztem pięknością jest w każdej formie i żaden rzetelny miłośnik poezyi, chociażby nawet sam był romantykiem, nie potępiał nigdy dzieł klasycyzmu. Byron *np.* w swych teoriach krytycznych głównie nawet słał piękności klasyczne, a upodobania społecznych mu o romantyzmie poczytywał za smak zwichniony. U nas Mickiewicz w swej przedmowie o krytykach warszawskich bronił tylko od napaści romantyzm, ale nie potępiał wcale klasycznych dzieł. (Dmóchowskiemu *np.* nie zarzucał bynajmniej, że tłumaczył Iliadę, ale owszem, iż nie przełożył jej wiernie).

P. Bart. jednak piękność w formie klasycznej wydaje się uważać za nicość, a sprzyjanie klasycyzmowi — za zbrodnię stanu. Poeci zasługi takiej jak *Osiński*, *Feliński*, *Kropiński*, *Koźmian* i t. p., którzy na początku wieku naszego wśród tysiąca rymopisów błyszczą, język tak już bogaty w pisma, w nowe formy przyodziać, i w najtrudniejszym dla kraju czasie miłość dla tego języka, a stąd jego literatury przechować i podnieść umieli, poeci ci wszyscy tak przez p. Bartoszewicza jednym ogólnym zdaniem są określani: »łatwa to była podówczas rzecz stać się wielkością literatury, *nawet talentu* (!) i fantazyi poetyckiej nie było potrzeba« 444. W szczególności zaś tak *np.* »*Osiński* Lud. rymotwórca gładki i silny, ale *bez najmniejszego* za to pojęcia o tem, co stanowi piękność i poezję prawdziwą« 442; (któż zrozumie, jak można być w poezyi silnym i nie mieć *najmniejszego* nawet pojęcia o tem, co jest poezya i piękność?). »*Feliński* tłumaczył *nudny* poemat Delila« (*nudny*, jest to przymiotnik nader *względny*, stąd nader niewłaściwy dla pióra krytyka; — poemat Delila nie był oczywiście nudny dla Felińskiego, skoro go nawet tłumaczył). O Stan. *Potockim* autor mówi, iż był to człowiek »niezmiernego a zgubnego wpływu«, jedyny zaś *fakt*, który na potwierdzenie tego przytacza, jest: że chwalił przekład *Świątyni w Knidos* Szymanowskiego; o Janie *Śniadeckim*: »był to człowiek niezmiernie szkodliwy dla postępu literatury i światła obywatelskiego w narodzie« 497, najostrej zaś zarzuca mu to, iż pisał przeciw romantyczności¹. Z ko-

¹ Na tę obelgę pamięci Jana Śniadeckiego dostatecznie już odpowiedział w »Bibliotece« p. Michał *Baliński*, w artykule, w którym, rzec można, był tylko tłumaczem głosu wdzięcznej prowincyi. Dodać też można, iż uczyniony tu przez p. Bart. Śniadeckiemu zarzut z powodu objawionych przezeń w jednej rozprawie estetycznych przekonań, tem mniej jest właściwy, iż właśnie nie w innej części kraju, ale wśród wychowawców Śniadeckiego romantyzm wykwitnął, i że jeżeli *zakwitnął*, winien to być w znacznej części odbiciu charakteru ówczesnej instrukcyi miejscowej, której podstawą w każdej gałęzi były: *jasność* i *loika*.

lei przystąpił autor do *Mickiewicza*. Mickiewicz postawionym jest z założenia wysoko, i tak wysoko, jak tylko może być postawionym autor. Nazwiskiem Mickiewicza nazwany jest cały okres. »M., mówi autor, był to geniusz nie tylko polski, ale europejski«. Nikt z nas zapewne nie zaprzeczy temu twierdzeniu, ale między czytelnikami Historii Literatury znajdzie się może i cudzoziemiec, który dopiero z tej historii uczyć się będzie szczegółów literatury, i jakież znajdzie sprawdzenia takich założeń? »Mick., mówi tu najprzód aut., *przetłumaczył* cudnym językiem urywek z poematu Byrona« (*Dmoch., Osińs., Felńs.* przekładali całe poemata cudnym językiem), »stworzył następnie *Dziady, naśladowanie* (!) Schillera i Göthego« (gdzie i w czym?) i wreszcie Grażynę, »poemat *arcynarodowy*« (Grażyna nie była wcale poematem arcynarodowym; historyczność w niej zawartą jest tylko w nazwiskach, a skądinąd mogłaby się równie stosować np. do starej Burgundy, jak starej Litwy; koloryt Litwy pogańskiej odbił u nas dopiero *Min-dows*). Następnie wspomina aut. *Wallenroda* i tak między innymi mówi o tym poemacie: »Nie poeta opowiada tu dzieje Konrada i Aldony, ale w poemacie widzimy grzmot potęgi i siły« (więc słowo w słowo też, co o Ossińskim, iż w poemacie jest siła, lecz aut. nie poeta); wspomina wreszcie *Pana Tadeusza* i dodaje, że »jest to arcydzieło europejskie, nie tylko polskie«, nie objaśnia jednak chociażby jednym słowem, dlaczego, i charakterystyka cała poety zostaje dla czytelnika żadną.

O poezji i poetach od Mickiewicza dosyć szczegółowie i nieraz trafnie; czytelnik wszakże nie widzi charakterystyk: dlaczego jak wszystkich prac w tym okresie wogóle, tak i poetycznych w szczegól, ma być wyrazem Mickiewicz (założenie, które nawet w poezji niełatwoby dowiedzionem być mogło, wszyscy bowiem np. poeci ukraińscy jednocześnie się ukazali, i od początku do końca, jak wewnątrz, tak zewnątrz w kolorze poezji nie okazali spólności). Sam aut. zdaje się fakt ten uznawać, mówi

bowiem o *różnych szkołach* w poezyi; co jednak rozumie przez te szkoły, których skądinąd charakterów i różnic nie odznacza, odgadnąć trudno. Na str. np. 520 położony jest rozdział pod napisem: *Szkoła poetów czerwonoruskich*; do szkoły tej odniesieni tu są następnii pisarze: *Chłędowscy*, *Borkowscy* i *Nabielak*. Chłędowscy nie pisali jednak wcale poezyi, Nabielak tylko tłumaczył; »cechą talentu Józ. Bor., mówi aut., był nie samorodny talent, ale *naśladownictwo*«. »Aleksander Bork., mówi dalej, świecił sławą swojego brata«; pytanie więc, jaką i czemu ci pisarze złożyli szkołę w poezyi? Nie będzie tu odpowiedzią miejsce zamieszkiwania, bo poeci tejże prowincyi, *Fredro* i *Kamiński*, wyniesieni są do innego oddziału, mającego napis *ziemie chrobackie*, gdzie znowu bez wyjaśnienia także: dlaczego, sami tylko figurują.

Mówiąc o poetach najnowszych, wprowadza też aut. inny jeszcze podział, t. j. na poetów w kraju i poetów za krajem; określenie jednak szczegółów nie objaśnia bynajmniej zasady i tego podziału, a to tem więcej, iż z mieszkańców jednej i tejże prowincyi jedni tu są uważani za poetów w kraju, a drudzy za poetów za krajem (*Bielowski* np., a nawet *Siemiński* położeni tu jako poeci w kraju, *Pol* zaś odniesiony do poetów za krajem i t. p.).

Dział wreszcie *historyczny* w Hist. Lit. p. B. najwięcej szczegółowie i najwięcej charakterystycznie jest wyrobiony; jest to dział, który w ostatnich czasach przez odkrycia, publikacye i badania najwięcej może literaturę naszą wzbogacił, z którym aut. najbliżej jest obeznany i który też pierwszy tak szczegółowo do ogólnego obrazu literatury wciągnął. To wszystko, co p. B. mówi o kronikarzach i kronikach, autorach pamiętników i pamiętnikach, główniejszych dziełach historycznych i t. p., wiele ma prawdy, *dosyć* jasno przed czytelnikiem określa przedmiot, wszakże i tu, jak wszędzie, wielką ujemność przynoszą owe ogólne wady pism autora, i nie pozwalają przekreślić wyrazu *dosyć*.

Już najprzód ogólne to założenie, iż »do *Naruszewicza* i *Lelewela* nie mieliśmy historyków z *powołania*, ale tylko z *natchnienia*« (608), nie objaśnia wcale przedmiotu; jakaż jest bowiem ściśle różnica między *natchnieniem* ducha i *powołaniem* ducha i jak pojmował ją autor? *Naruszewicz* równie jak większość jego poprzedników był z *powołania* duchownym, a także poetą, zajął się zaś historią dopiero z polecenia *Stanisława Augusta*; jeżeli zaś aut. przez *powołanie* rozumiał właśnie to polecenie, tedy podobnie pisali z *powołania*: *Kadłubek* (*Kazimierza Sprawied.*), *Długosz* (*Oleśnickiego*) i t. p.

Szczególne znowu charakterystyki, i właśnie główne, tłumione są przez owe ogólne wady pióra autora.

O *Długoszu* np. w ogólnem założeniu tak aut. mówi: »prace historyczne *Długosza* są pierwszego znaczenia w literaturze«, mówiąc zaś o piśmie jego: *Żywoty biskupów krakowskich*, tak się wyraża: »zasługi tutaj *Długosza* byłyby niezmierne, gdyby nie przyszło wątpić o jego wcale niezbytcej sumiennosci. Całe pierwotne dzieje Kościoła u *Długosza*, zdaje się, *czystym są wymysłem*«. Publiczność nie zna jeszcze tego rękopismu *żywotów* i zdaje się, że go nie zna i p. *Bartoszewicz*; historyk jednak, o którym sądzimy, że był bez sumienia i prosto zmyślał, czyż może być nazywanym »pierwszego rzędu?« Winą rzeczywiście tu jest superlativum autora. *Długoszowi*, ile go znamy, możnaby niekiedy zarzucić *łatwowierność*, ale nie *bezsumiennost*.

O *Strykowski*, t. j. głównem jego dziele, *Kronika Litewska i Rуска*, tak aut. mówi: »była to praca nad jego siły, bo nie miał ku temu ani potrzebnej *nauki*, ani *zdolności*, styl wszędzie niepoprawny a wiersz nieznośny« (319), niżej zaś kończąc charakterystykę *Strykowskiego* tak: »już w młodych latach zdobył się na *arcydzieło* (t. j. ową *Kronikę*), które imię jego przekaże najdalszej potomności« (321). Któż zdoła pojąć, jak dzieło pisane bez nauki, zdolności, stylu, a zatem słabe wewnątrznie i zewnątrznie, może być *arcydziełem*? I tu wadą superlativa na obie stony. *Stryjk.*

pisał dzieje swoje z przejęciem się, duszą, stylem polskim czystym, oryginalnym, korzystał pracowicie ze źródeł ogółowi kraju nieznanych, i tylko, mimo wielkiej pretensyi do krytyki, brak mu było głębszej. Kronika jego jest *znakomitem dziełem*, nie zaś pismem nieznośnem lub arcydziełem.

W oceniu *Kromera* superlativa te są naodwrot; o historyku tym tak aut. mówi: »*chluba* to dziejów narodowych i Polski z XVI. wieku« (346), zaś niżej: »wziął tekst gotowy z kronik poprzednich, porządkował go tylko i styl wygładzał, z *języka cała mu zaleta*« (gdymbyż przynajmniej z *polskiego*, jeżeli to był jedyny tytuł jego chwały w wieku XVI.).

Z historyków nowszych Naruszewicz postawiony nad wszystkich historyków słowiańskich, o Czackim zaś powiedziano, że pisać nie umiał (Czacki nie pisał obrazowo, ale zawsze loicznie, frazesami urywanemi, ale zawsze w sobie ważnemi, tak słowo w słowo jak Lelewel). Z najnowszych o *Hist. Pols.* Moraczewskiego tak powiedziano: »Zasady jej nie czynią zaszczytu autorowi... dzieło znakomite«. O *Dzieduszyckim* (autorze pierwszych monografij u nas na większą skalę pisanych z charakterem i życiem) tak: »w pracach jego jest też strona i *obrazowa*« i zaraz: »za wiele przypisywano zdolności poetyckich *zbyt suchemu* autorowi, nie ma ich *wcale*... Prace jego są to kartki tylko, liście wyschłe (!) przeszłości«. O talencie *Szajnochy* nader pochlebnie i razem: »na utwór większy brak mu zmysłu krytycznego«, 609. (Czemu?) Najwyżej naturalnie postawiony jest Lelewel, superlativa jednak na obie strony zaciemniają i tę umysłowość. Lelewel nazywany tu jest »wielkim historykiem i twórcą nowej szkoły krytycznej«. Lelewel uważanym istotnie być może, i jest powszechnie, za nader znakomitego badacza źródeł dziejowych; badania jego na polu geografii i numizmatyki mają nawet europejskie znaczenie, na polu wszakże historii właściwej tak powszechnej jak i krajowej prace jego były to tylko *zarysy*, *kompendya* i *przerabiania*; nazwisko to więc »wielki historyk« nie brzmi wła-

ściwie, mianowicie zaś jest w sprzeczności z teorią samego p. B., który na str. 598 mówi: »iż dar wysokiej krytyki w połączeniu z darem poetyckim tworzenia obrazów stanowi dopiero majestat historyka«, wszystkie zaś prace Lelewela były jak najdalsze od strony obrazowej. Jako krytyk Lel. za lat młodych był zwolennikiem szkoły z końca XVIII-go wieku idącej, przeczącej czyli niszczącej (która zależała na zaprzeczaniu *stanowczem* temu wszystkiemu, o czym być mogła *wątpliwość*), której reprezentantem głównym za owych jego czasów w Europie był *Niebuhr*, a w kraju przedtem jeszcze założycielem już był Naruszewicz; w ostatnich jednak czasach wiele z ówczesnych swych niszczeń albo poglądów odwoływał; a fizyognomie najnowszych historyków naszych (*Dzieduszycki, Koronowicz, Szajnocha* i t. p.), twierdzących i budujących, nie sprawdzają bynajmniej tego ogólnego założenia p. Bartoszewicza, »iż wszystkich historyków u nas, jak są, nauczył sztuki chodzenia około dziejów«. Z drugiej też strony w oddziale *Historya najnowsza*, p. B. uczyniwszy uwagę, iż »nie byliśmy narodem piśmiennym i że mamy w rękopismach skarby piśmienne liczniejsze niż gdziekolwiek w Europie«, taką dodaje przestrożę: »trzeba albo *wielkiego zuchwalstwa*, albo *dziwnego zaślepienia*, żeby się dzisiaj porywać na dzieje, które jutro, pojutrze, za odkryciem tego lub owego pomnika, najlżejszej nie wytrzymają krytyki« (597); z tego wypada, że i dzieje polskie *najlżejszej dziś nie wytrzymują krytyki*; powszechność tak jednak nie sądzi, i w pracach historycznych np. Moraczewskiego, Lelewela, Bandtkiego i tylu innych, nie widzi ani zuchwalstwa, ani zaślepienia.

Z tych wszystkich szczegółów widać, że jak główny cel książki pana Bartoszewicza: charakterystyka pisarzy i pism, tak i własne zasady autora przy ich kreśleniu, nie przedstawiają się jasno. Wprawdzie możnaby jeszcze sądzić, iż gdy kryterium w tych wszystkich sądach stanowiła nie żadna stała zasada: estetyczna, filozoficzna lub religijna, jest nią jeszcze взгляд na stopień miłości kraju

w danym pisarzu lub piśmie; wszakże i z tą zasadą jest jak ze wszystkimi; raz, rzec można, że miał ją autor na względzie i głównie, inną razą przeciwnie; dosyć np. rzec, iż w charakterystyce tych ostatnich czasów *poeci-legioniści* nawet nie wzmiankowani (lub wzmiankowani z ironią, np. Gorecki), Potocki St. wyśmiany, iż stawiał pomniki poległym w obronie kraju i t. p.

I wreszcie temu ostatniemu wnioskowi zdaje się sprzeciwiać sam kolor książki, w której, jak się już wspomniało, za prawidłó zdał się uważać autor, iżby nie tylko to, co rzeczywiście godnem było nagany, ale to wszystko, co było godnem pochwały w kraju, ujemnie tylko przedstawiać.

Tak np. kiedy w wiekach XV. i XVI., pomimo iż w wielu krajach ościennych nie wiedziano jeszcze w tym czasie, co to są szkoły, a w samych dawniejszych cywilizacyą Niemczech istniały zaledwo trzy akademie (*Wittenberg, Lipsk, Wiedeń*), Polska okryta była całą szkołami i liczyła pięć akademij (*Kraków, Wilno, Zamość, Królewiec, Kijów*), kiedy każda z tych akademij wydała zasłużonych ludzi (dosyć wspomnieć, iż z akad. krakowskiej wyszli: *Oleśnicki, Kopernik*, który nawiasem mówiąc, nie wiedzieć czemu w *Hist. Lit.* umieszczony między drukarzami, nie pisarzami, *Długosz, Kromer, Skarga* i in.), kiedy sam fakt istnienia tych zakładów i innych szkół, wymagając nauczycieli, gromadząc młodzież, wiodąc tę młodzież do rozmów o szczegółach oświecenia (z bursy krakowskiej wyszedł pierwszy pisarz w języku krajowym, *M. Rej*), wymagając upowszechnienia pism, licznych drukarni i t. p., wywierał konieczny i bezpośredni wpływ na oświatę, wznieszenie nauk, i rzeczywiście wydał dla literatury polskiej wiek zwany złotym, p. B. cały rozdział o tych zakładach opowiada tonem sarkazmu; szydzi mianowicie z akademii, która wyjątkowym w dziejach przykładem utrzymywaną była przez wieki kosztem jednej (najzasłużeńszej podobno w kraju) rodziny (lubo wylicza zarazem i zasługi tej akademii); i na końcu zapisuje kursywą ten wniosek, iż lubo

w owych wiekach nauki w kraju zakwitły, »naród tego dobrodziejstwa *nie winien był szkołom*« (167). Być może, iż właśnie dla możliwości zapisania tak szczególnego wniosku prowadzonym był cały wykład w podobny sposób.

Kiedy w wieku następnym nauki rzeczywiście w kraju nie kwitły, autor nie obwinia o to nikogo, ale kiedy następnie król i gorliwe jednostki zaczęły myśleć o podźwignieniu nauk, ma gotowe wnet i szyderstwa: »nie miały, mówi, wielkiego wpływu na literaturę ani obiady czwartkowe, na których o poważnych rzeczach nie rozprawiano (obiady te były znakiem dystynkcyi, nie miejscem lekcyi), ani Biblioteka Załuskich, ani Towarzystwo Elementarne, które pisało i drukowało książki dla szkół« (412). (Jakież inne drukować miało towarzystwo *elementarne* i co większym jest fundamentem oświaty, jak książki dla szkół?). Koniec przeszłego, a początek obecnego stulecia najtrudniejszymi były dla kraju; jeżeli w tym czasie po śmierci ciała nie umarło i życie jego duchowe, winien to był głównie misyi kilku jednostek, których nauka, talent i czynność niezmordowana zdołały przeciągnąć miłość języka, nauk, byt instytucyj itp. Tymi mężami byli między innymi: *Czacki* na Litwie, *Ossoliński* w Galicyi, *Potocki St.* w części kraju pruskiej, czyli późniejszym Księstwie Warszawskiem, *Sniadeccy*, *poeci*, wszyscy wogóle członkowie warszawskiego *Towarzystwa Prz. Nauk* i t. p. P. B., który kreśląc okresy Zygmunatów i Stanisławowski nic w nich nie chciał przyznawać rządowi i instytucjom, ale tylko jednostkom, w tym ostatnim okresie mając przed sobą same jednostki, powstał na te jednostki. O *Czackim* np., który przez szczególną gorliwość, czynność i narażanie się (tak u tronu jak spółmieszkańców), zdołał w prowincjach swoich utrzymać zakłady naukowe dawne, podźwignąć nowe, założył (po utracie w kraju głównego) jeden z najbogatszych księgozbiorów krajowych, wzmocnił w rozległych stronach jedność cywilizacyi, przyniósł krajowi w ten i ów sposób taki zastęp zasłużonych pisarzy, a pismami własnymi, które były owocem niezmor-

dowanego szperania w źródłach, postawił kroki stanowcze w badaniu i budowaniu tyłu szczegółów dziejów krajowych, o tym Czackim (muszę tu raz jeszcze powtórzyć ten ustęp, którego żaden z piszących o tym przedmiocie przepuścić nie może), o tym Czackim tak pisze między innymi p. Bart.: »Czacki należał do rzędu tych ludzi, co to niezmiernie wiele umieją, wiele pracują, ale *niczego* zrobić nie potrafią, bo im natura odmówiła *wszelkiej zdolności* (!). Czasby już był zapomnieć o entuzjazmie dla Czackiego (czemu i na co?) Czacki to męczennik idei, wiele cierpiał... jedna jego sława literacka była nieskazitelna, rzecz, co niezawodnie najmniej miała prawa do narodowego *szacunku*« (452) (nawet *szacunku!*) Widzieliśmy już, jak potępieni bezwzględnie zostali przez aut. wszyscy poeci tej epoki, *Śniadecki Jan, Potocki Stan.* (charakterystyka wreszcie tego ostatniego jest jedną z największych zagadek, zarzuca mu aut., że chwalił wszystko, co polskie, i domyśla się, że lubił nad wszystko cudzoziemszczyznę, że był bez serca i że urzędy pełnił »z miłością«, i, jak mówi między innymi, »był to mąż, któremu było *czczo w sercu* i w *głowie... nader zgubnego wpływu... wielki literat* i mówca, *ozdabiał krzesło ministeryalne*«, 484) i t. p. i całe wreszcie Towarzystwo Prz. Nauk zbyte jednym, a nader bezzasadnym, sarkazmem. Towarzystwo Prz. Nauk pragnąc ratować pamięć przeszłości krajowej, dokończenie zaczętej przez Naruszewicza Hist. Polskiej poruczyło kilku swym członkom. P. B., który o parę kart wyżej opowiadał, jak Narusz. z polecenia Stanisława Augusta wzięwszy się do pisania historii, stał się jednym z pierwszych historyków, wspomniawszy tu o tej czynności Towarzystwa Prz. N., taką dodaje uwagę: »Nikt historykiem nie będzie z natchnienia, dlatego *nikomu nie można poruczać* pisania historii. Towarzystwo Prz. N. *ani pojęcia nie miało* o tych skarbach, jakie się kryły dla naszych dziejów w rękopismach«, 469, (czy dlatego, że wyszukiwanie ich poruczyło nie jednej osobie, ale kilku-nastu?)

Iż wreszcie aut. wyraźnie jakby poczytywał sobie za obowiązek to wszystko, co najwięcej było godnem wdzięczności i pochwały, terminami ujęcia określać, wypisuje się jeszcze dla wskazówki kilkanaście podobnych zdań o pisarzach, przedmiotach i pismach z różnych gałęzi i epok.

Na str. 127: »Wielu cudzoziemców, mówi aut., zajmowało się naszymi sprawami, w czem mianowicie *nie mogliśmy się opędzić Niemcom*«.

Na str. 142: »W wieku XV. *namnożyło się* u nas mecenasów tyłu co i uczonych«.

Na str. 337 wymieniwszy niektóre zasłużone dzieła z wieku XVI, taką dodaje uwagę: »Rej pisał wzór *szlachcica, Górnicki dworzanina, Paprocki senatorów, królów, hetmanów*; była to *choroba wieku*, wszystkie literatury ówczesne filozofowały w podobny sposób i mądrość praktycznego życia wcielały w obrazy mniej więcej świetne i żywe« (choroby takiej życzylibyśmy zapewne każdemu wiekowi).

Na str. 386 dając charakterystykę *Kochowskiego*: »raz tylko ogarnął go był *szal religijny* (!) i poszedł z królem Janem pod Wiedeń«.

Na str. 399 o *Solignacu*: »Solignac *odważył się* na pragmatyczne dzieje narodu polskiego, które doprowadził do śmierci Zygmunta Augusta« (charakterystyką pracy Solignaca nie to jest, że się odważył, ale iż zawstydził krajowców, że jego historia jest dotąd najlepszą pragmatyczną historią polską do ucieczki Walezyusza).

Na str. 405: »Załuski między innemi *wygrzebał* Drużbacką Elżbietę«.

Na str. 475, mówiąc już o czasach nam bliższych: »Bentkowski *zdobył się* na przedstawienie Historii literatury w spisie dzieł drukiem ogłoszonych; jest to bibliografia, którą wielu dopełniało«, zaś niżej: »Sobolewski zamierzał wykonać tęż pracę na rozleglejszą skalę, *sprawiło*

to wielkie wrażenie (że zamierzał?), wywołało wielki ruch umysłowy» (chyba tu przestawione wiersze, i to co miało następować po Bentkowskim, położone po Sobolewskim).

O Łuk. Gołębiowskim tak: »Łuk. Gołębiowski wydał wiele dzieł, które na celu miały *nibyto* przedstawienie dawnego wewnętrznego życia narodu. Opisywał tedy lud polski, domy i dwory, gry i zabawy, ubiory, badał ze źródeł; społecznym zdało się, że mają przed sobą skarbiec starożytności, a mieli tylko *mozaikę niezdarną*« (!). (Czy autor wolałby ułożoną powieść historyczną z tych badań?) Józef Ossoliński (którego wszystkie biografie i tak bogate w nich charakterystyki, jak np. Kadłubka, Orzechowskiego są brane żywcem ze źródeł) według autora »to kompilator« (!). Józef Łukaszewicz »to kompilator« (z kogo?). Dzie duszycki »to słowo w słowo Ossoliński« (!?).

Na str. 526: »Skarbek zaczął *sypać* powieści jak z rogu obfitości i obyczajowe i historyczne«. Skarbek jako pisarz jest wszędzie wyborny; pierwszy u nas stworzył powieść, i tokiem dyalogu i wprowadzeniem charakterów rzetelnie narodową (*Pan Starosta*); jeżeli powieść polska ze stanowiska swego może co mieć autorowi temu do zarzucenia, to właśnie, iż nie sypał jak z rogu obfitości.

»Fredro sypał komedye *jak z za rękawa*« (?) 519.

»Pol *wpadł w manię* gawędzeń i stworzył w poezyi nowy rodzaj« 581 (godna zazdrości mania).

»Teod. Narbut *zdobył się* na dzieje nar. litewskiego«. »Cieszkowski *wdawał się* w ekonomię polityczną i skarbowość«. »Kaczkowski *brał się* do powieści społecznej i historycznej dawnej«. Jako upadek wymienione tu powieści: *Bajronista*, *Wnuczęta*, *Annuncyata*, *Sodalis Marianus*, powieści, które dla bogactwa w nich charakterów i sytuacji oraz talentu pióra, są to kompozycje powieściowe 1-go rzędu i z którymi co do stopnia zasługi nie mogą się równać pierwsze powiastki tegoż autora: *Chorążanka*, *Junakowie*, *Swaty* i t. p. postawione przez p. B. jako arcydzieła, ani tem więcej dawny zbiór samych natłoczonych kontu-

rów bez koloru i myśli, powieść *Pojata*, o której aut. mówi iż jest to *arcydzieło* nietylko »swojego czasu, ale wogóle polskie« 526.

Takie to są w tej Historii Literatury p. Bartoszewicza sądy dziwaczne, lżenia, zamęty i t. p. Czytelnik możeby nieraz chciał jej autorowi zarzucić: brak loiki, brak nauki, serce złe i nieszlachetne cele, ale czyż może podobne wady p. Bartoszewiczowi przypisać ten, kto odczytał wszystkie karty tej jego książki, kto zna wszystkie inne pisma tego autora, kto zna autora? Praca ta ileż przytem różnych ma zalet? Jest to wykonany podręcznie całkowity obraz rozwinienia się kilku gałęzi naszej literatury od jej początków do dni obecnych, nie wyłącznie bibliograficzny, ale też w znacznej części krytyczny; ożywia mianowicie ten obraz: bogactwo w autorze wiadomości nietylko bibliograficznych i literackich, lecz też biograficznych, a łączenie ich daje nieraz obrazy z podwójnem życiem wewnętrznem (takie np. jak: *Dantyszek, Długosz, Kitowicz, Potocki Jan* i tyle innych), co stanowi oryginalną stronę tej książki; stałym też przymiotem zdań wszystkich autora jest *swo-boda*, t. j. wypowiedanie ich niezawisłe, śmiało i bez ogródki. Jest to prostem, że źródłem większej części tych błędów, które tu przytoczone, i które tylu piórami były już wymówione, są prawie wyłącznie dwie owe wady, o których się na początku rzekło, t. j. *szukanie efektu* i *pośpiech*, być może nawet, iż w ostatecznym wypadku *jedynie pośpiech*. Gdyby autor chciał zająć się przerobieniem swojego dzieła, poprawki i sprostowania błędów możeby nie wyniosły więcej jak stronic parę, a z *nieksiążki* (t. j. z książki wydanej nazbyt z pośpiechem) mógłby uczynić jedną z najużyteczniejszych i najciekawszych.

Mam właśnie pod ręką i *Rys dziejów piśmiennictwa polskiego Lesława Łukaszewicza* w wydaniu 1860 r. Książka ta także nie jest bez niejakich usterków, ale ze względu na bogactwo także bibliograficznych i biograficznych szcze-

głów, w porządek uszykowanych, objęcie różnostronnych gałęzi, umiarkowanie i trafność w charakterystykach, jest dotąd najdokładniejszą *podręczną* pomocą dla krajowców i cudzoziemców, dla poznania literatury polskiej.

1861, 25 listop. Miassota.

DODATEK.

1. SEXTUS (PODANIE).

Syn Tarkwiniusza Pysznego, Tarkwiniusz *Sextus*, był spadkobiercą popędów, nie złości ojca. Serce jego było to serce w pół dzikie, lecz było *ludzkie*... Z losu wyższe nad inne, było bogate w to wszystko, co mogło dać ciało, i czegoś więcej pragnęło. W sercu tem głośniejsz nieraz niż w innych odzywał się *duch*, ten duch, który leży na dnie serc wszystkich, lecz który przygniatały jeszcze tak silnie *myśl* wieku i *ciało* wieku.

Sextus uwielbiał bogów, kochał współziomków, czcił wszelką cnotę. Miłość, lud rzymski, cnota, były to hasła wszystkich myśli jego, wszystkich postępków i ilekroć widział czyny hasłu temu przeciwne, te czyny trapiły mu ducha, sępiły myśli i krzywiły jego postępki. Srogi wiek w dziwne objawy i skutki żywot jego przyodział.

Sextus nie potrzebował szukać i czekać wypadków, któreby go trapiły, dosyć mu było spojrzeć na ściany własnego domu. Rodzic jego, Tarkwiniusz, zamordował był niegdyś małżonkę swoją własną, by pojąć inną, zamordował następnie ojca nowej małżonki, by pojąć tron, a dziś wytracał starszych i ojców ludu (*senatorów* i *patrycjuszów*), zamknął *komicye*, aby zachować ten tron, na którym bez prawa dziedzictwa i bez woli senatu był usiadł.

Błąkał się myślą Sextus, gdy na to wszystko patrzył, sam siebie wstydić się musiał, i oto gdy go wieść doszła, że został stracony *Junius* (z krwi Tarkwiniuszów) i że część senatorów i patrycyuszów schroniła się do Gabiów, miasta nieprzyjaznych Latynów, sam za nimi pośpieszył.

Pochwycony w objęcia, obrany wodzem, szedł na czele Latynów wyzwalać Rzym, gdy mu nagle myśl przeciwna sercem wstrząsnęła. Gdzież był i cóż to miał czynić? Zdrajca ojca i kraju, szedł połączony z wrogami na własny kraj. Zwołał wodzów i starszych, kazał podzielić im los owego *Juniusa*, i Gabie zamienione zostały w miasto rzymskie.

Czyn ten nie wrócił wcale pokoju synowi Pysznego; zaczęła nań wkrótce wołać przelana krew. I głos ten idący z piersi wołał tak silnie, wołał tak strasznie, a wołał tak nieprzerwanie, iż Sextus nie widział innego środka, aby go zgłuszyć, jak tylko przeciąć tę pierś.

I byłby to uczynił, gdyby nie *Ancus Nevius*, piastun lat jego dziecinnych, kapłan i augur. Augur ten powstrzymał mu podniesioną już rękę i:

— Sexcie — rzekł — cóż to chcesz czynić? Nie ten ma środek człowiek obmycia win. Ucieczka to nie wygrana. Jeśli cię kala zbrodnia, niechaj obmyje cnota. Druga część życia twego niech zetrze pierwszą.

— A jeśliż ta druga zbrodni pierwszej tylko podniesie, mój wieszczku?

A na to wieszczek:

— Są bogi, którym wiadoma jest przyszłość, ich możesz pytać. Oto właśnie bracia twoi *Aruns* i *Turnus* wrócili z *Delfów*, gdzie objawia ludziom przyszłość *Apollon*, idź tam i pytaj o wyrok, a wyrok ten może przywróci ci pokój.

— Słowa twoje już przywracają mi pokój — rzekł wdzięcznie Sextus. — Mój, Anku, śpieszmy tam razem.

* * *

Okręt kupców korynckich zawiózł królewica i wieszczka ku brzegom Focydy. Ujrzeni góry Parnasu, na ostatnich ich szczytach miasto, jaśniejące od złota licznych posągów, jakby od słońca — były to *Delfy*. Postąpili ku górze w tłumie przybylców ze wszystkich stron świata, oczyścili się wodą świętą, i gdy weszli w obwód świątyni, Sextus zapytał boga, co go czeka w przyszłości? Usłyszała odpowiedź *Pythya*, zapisał ją jeden z kapłanów i Sextusowi podał.

Odpowiedź ta była w tych słowach:

»Najcnotliwszą z Rzymianek pozbawisz cnoty«.

— O srogi Apollo Febie! — zawołał Sextus — cożem zawinił tobie, że mi tak wieszczysz?

A na to Apollo:

— Ja opowiadam, co jest, co zaś jest, sprawia to rodzic mój, Jowisz.

Tedy Sextus:

— Mój Anku! Jowisz dał wyrok, Jowisz odmienić go może, czyż nie możemy go błagać?

A Nevius:

— W tym kraju, Sexcie, jest też wyrocznia Zeusa, Dodona, sam go zapytaj.

* * *

Odbiwszy od brzegów Focydy, popłynęli ku brzegom Epiru. Tam w *Dodonie*, w szmerze harmonijnym strumienia i szumie dębu, Jowisz od najdawniejszych czasów przemawia do ludzi, a kapłanki rozumieją ten głos. Zbliżyli się ku świętemu źródłu, świętemu drzewu, Sextus uczynił pokłon i spytał boga: co mu wypada począć, iżby odwrócić wyrok, który posłyszał w Delfach?

Jowisz dał następną odpowiedź:

— Losu twego możesz tylko unikać, nie powracając do Rzymu, lecz wrócić musisz.

— Zeusie! — rzekł Sextus — wiem, że zostaję w pętach twego wyroku, wiem, że gdybym ci bluźnił, nie cofnie

go to, ani naprawi. Niechże przynajmniej wiem słowa twojej potęgi. Czemuż nie dajesz mi woli, bym uszedł zbrodni?

A Jowisz na to:

— Ja tworzę, o przyczynach i skutkach niech ci prawi córka moja, Minerwa.

»Słowo przyczyn poznając, może je zdołam uniknąć«, pomyślił z otuchą Sextus, i opuściwszy z towarzyszem Epir, odpłynęli napowrót ku brzegom Attyki.

* * *

Sextus i *Ancus Nevius* weszli do Aten. Najpierwsza ozdoba miasta, świątynia Minerwy, *Partenon*, stała przed nimi. *Sextus* błagał bogini, iżby mu chciała wyłożyć słowo sądów Jowisza. Bogini usłuchała i kapłan jej, w odpowiedzi, rozwinął przed pytającym dwa obrazy jeden po drugim. Na pierwszym ujrzał *Sextus* małe miastko z niewielkim obwodem kraju, w tem mieście wznosił się tron, a na tym tronie był król, który miał w ręku berło, ale kształtem do sierpa zbliżone; na drugim ujrzał toż miasto, a w niem zebranie ludu, szereg mężów zacnej postaci, tryumfy wodzów, miasto rozszerzone jak obwód, a obwód bez końca.

A kapłan ukazując z kolei na te obrazy, dodał:

— To jest, Sexcie, Rzym twój dzisiejszy, to jest Rzym przyszły, Rzym swobod, cnót i tryumfów, które go uczynią szerokim jako jest świat, a przyczyną tej zmiany i tego skutku będzie: twa zbrodnia.

— O wielkie bogi! Jowiszu! i ty najwyższy z bogów, Przedwieczny Losie! maż to być prawdą? a jeśli to ma być prawdą, gdzież sprawiedliwość wasza? czemuż z miłości cnoty ma płynąć zbrodnia, ze zbrodni — cnoty?

A na to mu bogini Minerwa:

— Nie rozumiesz jeszcze rad ludzkich, a chciałbyś zrozumieć boże? Gdybyś je pojął śmiertelny, nie byłbyś ty śmiertelnym, lecz Bogiem samym.

* * *

Zna każdy następne dzieje. Wie, jak rozprawy o cnotcie i cześć dla cnoty powiodły gwałtownego Sextusa do zbrodni; jak śmierć Collatina małżonki była hasłem przebudzenia się Rzymian; jak Sextus z braćmi i ojcem szukali schronienia za krajem, w obozie wrogów, i jak z pomocą wrogów usiłowali odzyskać swe dawne prawa. Sextus nie dotrwał długo; zbrodnia, którą popełnił, zbrodnia, którą popełniał co chwila, nachodząc kraj, uczyniła go przedmiotem ohydy przed sobą samym. Szukał śmierci, i znalazł ją okryty już ran tysiącem z rąk Wirginiusza konsula pod Regillą.

Taki był koniec męża pięknego serca, a słabej woli. Przepowiednia bogini Minerwy sprawdziła się następnie dosłownie w przeciągu wieków.

* * *

Powtórzyliśmy tu podanie, o którym wzmiankowali w swych pismach częścią Laurencyusz *Valla*, a częścią *Leibnitz*. Podanie to w każdym razie jest nam przypomnieniem i wykładem praktycznym dwóch prawd następnych:

Najprzód: iż obok woli *ludzkiej* swobodnej, którą ma każdy i o której co chwila może przekonać się każdy, jest też w świecie równie wyraźnie i wola *wyższa*, wola, która kieruje do celów, nieznanych woli człowieka, i że przeto w rozstrzygnięciu tej wielkiej kwestyi o woli, która dzieliła i dzieli dotąd większą część racjonalnych pisarzy wśród sfery *religii* i *dziejów* na dwa obozy, t. j. wyznawców woli *ludzkiej* niezawisłej od żadnych względów, i woli *przeznaczenia* lub *bożej*, pochłaniającej wszelką swobodę jednostek, nie znajduje się dla naszych *ludzkich* pojęć środek inny, jak uznawać w *prostocie sądu* *jednoczesne istnienie obu*, t. j. zarazem i swobodnej *ludzkiej* i *wszystkorządzącej bożej*, a w związku ich widzieć jedną z tych *tajemnic*, które leżą w tem wszystkiem (jak np. w *bycie*, który *nie miał początku*), co bliżej jest boże.

I powtóre: iż gdy sprawcą tego porządku i szyku, który się rozwija w układzie świata, jest nie *przyrządek*, ale *mądrość* świadoma siebie, przeto jakkolwiek nie zrozumiemy nigdy może wielu przyczyn i skutków w odcieniach ich, to jednak jest pewnem, iż w tym układzie i szyku, jak z cieni powstają światła, ze szczegółów szpetna piękno, ze śmierci żywot, tak równie w większych jak drobnych przejściach naszego żywota niema takich zranień i bólów, któreby się w szereg niespodziewanych i nieprzewidzianych umysłem ludzkim pociech zmienić nie mogły.

1860.

2. CZYNSZ CZY PAŃSZCZYŻNA

(Z LISTU DO).

Pytasz mię: »jak tam u was cywilizacya?» Co ma znaczyć, czy przy obecnem spisywaniu listów nadawczych włościanie nasi wybierają tu czynsz czy pańszczyżnę?

Włościanie w tych stronach (t. j. wokoło Wili), lubo nigdzie dotąd nie przyjęli zobowiązań stanowczo, najpowszechniej jednak, ile mi wiadomo, chcą pozostać przy powinności roboczej; w jakim jednak zostaje stosunku ten wybór do cywilizacyi, wymaga to objaśnienia. Pańszczyżna jest to istotnie wyraz, który brzmi nader niemile. Pańszczyżna jest to poddaństwo ciała, jest to oddanie woli w niewolę, jest to wreszcie wyraz, który we wszystkich językach i krajach przypomina tysiące nadużyć. Znaczenie jednak tego wyrazu dzisiaj się zmienia. Pańszczyżna z pewnej strony nie ma być odtąd u nas przymusem woli, bo będzie skutkiem dobrowolnego wyboru; nie będzie być mogła polem nadużyć ze strony właścicieli wiosek lub ich

zastępców, bo warunki jej będą zostawać pod bezpośrednią opieką gmin; taki wreszcie lub inny charakter tego wyrazu zależy głównie od jego miejscowego znaczenia. Obowiązek ten w swoich właściwych granicach nigdy nie był zbyt uciążliwym na Litwie, w porównaniu zwłaszcza z tą powinnością w innych stronach kraju. Nadziały włościan w tych stronach różnią się od ćwierci włóki do włóki, a powinność odbywaną była w tydzień przez każdego ich posiadacza, czyli z *chaty* (nie zaś z *duszy*, jak to się praktykuje gdzieindziej) od dni 2 do 6; rachując na chatę w przecięciu dusz roboczych 4, a średnią, t. j. najpowszechniejszą normę robocizny w tydzień dni 4, wypada, iż najpowszechniej dusza robocza pracuje tu w tydzień dla dworu tylko *dzień jeden*, a pozostałe dni 5 dla siebie lub chaty. Stosunek ten zmienia się wprawdzie latem, gdy mają miejsce dni tłoczne czyli gwałtowe — najwyższa jednak norma tego obowiązku jest dzień jeden w tydzień z duszy (i to nie każdej, w każdym bowiem domostwie zwalnia się jedna) tak, iż w najcięższych tygodniach letnich najwięcej obciążony robotnik *dwa dni tylko* w tydzień pracuje dla dworu, a 4 dla chaty. Gdy zaś nadto, według nowej organizacyi, z powinności tej ma się jeszcze potrącić 10⁰/₀, gdy dni robocze mają się proporcjonalnie rozłożyć między lato i zimę, gdy ograniczone zostały godziny pracy, zniesione użycie podwód i t. p., powinność robocza tem więcej nie będzie się tu mogła nazwać zbyt ciężarem. Wnieść wreszcie można, iż przy obecnej cennosci pracy właściciele zgodzą się nawet na nowe i dobrowolne folgi dla zatrzymania włościan przy jej wyborze.

W jakim zaś ten przewidywany wybór będzie zstawać stosunku do dobra ogółu kraju, a stąd jego cywilizacyi? Nim odpowiem, zwracam najprzód uwagę na przykład, czyli porównanie następne. Dajmy, iż panu X., mieszkańcowi miasta, a którego talent tak cenisz, czynię pożyczkę w kwocie 10.000 zł. i zostawiam mu wolny wybór: albo opłacać mi rocznie 3⁰/₀, albo używszy tego kapitałiku

na pierwiastkowy zakład codziennego jakiego pisma, nadsyłać mi za procent jeden tegoż pisma egzemplarz. Przyjmując tę ostatnią propozycją p. X. byłby wprawdzie zmuszonym do pracy codziennej, lecz ogół kraju naderby więcej skorzystał z tego rodzaju opłaty. Czem jest w tym przykładzie pan X., czyż nie będzie w rzeczywistości każdy z tych włościan, a przynajmniej ogół tych włościan, którzy mają przyjąć na siebie lub obowiązek czynszu, albo koniecznej pracy około roli? Istotnie cała różnica jest w tem, iż w pierwszym razie mowa jest o produkcji duchowej, a w ostatnim o materialnej. Włościanin przechodzący na czynsz nie myśli zapewne o częstem poświęcaniu swej pracy uprawie roli, bo w tym ostatnim razie wolałby mieć sobie pracę tę zapewnioną i zapewnioną na polu najbliższem, czyli pańskim, t. j. iż nie przechodziłby na czynsz; włościanin taki rachuje oczywiście na zarobek przy fabrykach, w handlu, budowach (domów lub dróg), w jakim rzemieślniczym zawodzie i t. p., skutkiem przeto ogólnego przejścia włościan na czynsze byłoby to, iż grunta naszych prowincyj po większej części żyzne, a stanowiące jedyne bogactwo krajowe, musiałyby pozostać odłogiem, t. j. nie zostałyby odłogiem tylko o tyle, o ile właściciele możniejsi zdołaliby je uprawić robotnikiem sprowadzonym z daleka. Kraj, który był śpichlerzem Europy, mógłby się ujrzeć bez ziarna dla własnych mieszkańców. Skutki tego nie tylko dotkliwie uczułyby wioski, lecz równie (może nawet jeszcze dotkliwiej) miasta. Iż to następstwo byłoby koniecznem, dowodem są liczne te majątności (skarbowe), w których włościanie, obdarzeni bogatym nadziałem, są już od lat blisko 30 na czynszach; wiadomo powszechnie, iż skutkiem już to wrodzonego istocie ludzkiej ociągania się, odkładania na dzień, wyjścia ze sprzężajów i t. p., już udawania się do zarobków w innej gałęzi, grunta w tych dobrach dawniej uprawne, tak dworne, jak w nadziałach będące, leżą zwykle w połowie odłogiem i od tego to wła-

śnie czasu datuje stałe u nas podniesienie się cen produktów rolniczych.

Na zapytanie więc: czy od ludu wiejskiego ma być wymagany czynsz czy pańszczyzna, jakaż byłoby winna odpowiedź? Na pytanie, czy ma być wymagany od ludu czynsz czy pańszczyzna, najprzyjemniej zapewne byłoby odrzec: iż nie ma być wymagany ani czynsz, ani pańszczyzna. Następstwo takie czyliż może być jednak spodziewane? Zdarzyło się dziś może każdemu słyszeć lub czytać zdania, zachęcające właścicieli ziemskich do uwłaszczenia swych włościan, t. j. do odstąpienia im ich nadziałów na własność bez wszelkiego wynagrodzenia. »Biedni zyskaliby przez to chleb, właściciele sąsiadów, przyjaciół, kraj nowych obywateli«. Jest to nader pochlebnie dla właścicieli ziemskich, iż oni tylko wzywani są do ofiar podobnych. Właściciele domów w mieście, kupcy, rękodzielnicy, kapitaliści i t. p. nie są wzywani wcale o odstąpienie nawet części swych osiadłości i majątności ludziom biedniejszym. Przypuszczam jednak, iż właściciele ci wszyscy, nie dla pozyskania przyjaciół (bo ustępstwo poczytaneby było przez obdarowanych za przymus, a opróżnienie ręki nie byłoby rękojmą nadal przyjaźni), ale prosto przez filantropię, zechcą podobnie postąpić, postępek ten czyliżby zniósł proletaryat? Odstąpienie nadziałów na własność uposażyłoby tylko *gospodarzy*, nie zaś cały lud wiejski, tj. zaledwie $\frac{1}{6}$ lub $\frac{1}{6}$ całej wioski, $\frac{5}{6}$ zaś pozostałoby zawsze bez przytułku. Przypuszczam jednak, iż właściciele chcą jeszcze postąpić dalej, iż nie tylko nadziały, ale i grunta dworne rozdzielają między cały lud wiejski, iż owszem przywołują jeszcze proletaryat z miasteczek i miast, a nawet wszystkich utrzymujących się z pracy i pomiędzy nich rozdzielają chętnie swe ziemie — to wszystko czyliżby zdołało oswobodzić ludzi od pracy i sprawiło zamożność powszechną? Podział taki zmusiłby owszem do pracy około kawałka ziemi swojej *każdego*, a skutek (w kraju średniego zaludnienia, jak nasze prowincye) pod względem ogólnej

zamożności byłby ten, iż, że powtórzę tu obrachunek ekonomisty *Chevalier*, powiększyłaby się nie liczba możnych, ale liczba biednych, że w kraju tak podzielonym wszyscy bez wyjątku byłiby biedni. Stan taki przez dalsze następstwo, dla braku wszelkiego odbytu, zabićby musiał: rękodzieła, przemysł, wszelkie przedsiębiorstwo naukowe i t. p. i w rezultacie nie podniósłby wcale wszelkich szczegółów dzisiejszej cywilizacji. Wszakże nie o tem tu mowa i schodzę do kwestyi. Takie rozprawy, utopie, byłyby dla nas *du luxe*. Mowa tu o tem, jak mają być napisane *ustawne hramoty* nasze na dzień 10 marca? Twierdzą więc tylko, iż w obecnym stanie ludzkości wymaganie od członków jej pracy nie sprzeciwia się filantropii. Nie jest przywilejem ludzkości wzrastać jako roślina, jej koniecznością jest praca, nawet pot w pracy; dla kwitnienia jej potrzebnym więc jest niejaki w tej pracy *przymus*, tak w porządku duchowym, jak materyalnym.

Czy więc przy obecnym spisywaniu listów nadawczych, przychylniejszem będzie dla dobra prowincyi oświadczenie się włościan za czynszem, czy robocizną? Zdaniem mojem odpowiedź na to powinna być wyrażona tak: »w jednych miejscach przychylniejszym będzie dla tego celu czynsz, w innych pańszczyżna«. W miejscach, gdzie jest rola niewdzięczną, gdzie obfitszą masę produkcyi dla kraju zapewnia inny przemysł, nie rolny, tam oczywiście może być korzystniejszym czynsz; lecz w miejscach, gdzie leżą role, stworzone, iżby żywiły ludzkość, iżby wzbogacały plonem swym kraj, tam zobowiązanie się ludu wiejskiego do pracy około roli (byle nie uciążliwej) może być w zupełnej zgodzie z cywilizacją.

Podole, ten kraj o ziemi tak żyznej, żąda koniecznie czynszu, choćby nawet (nie wiem czy to nader filantropijnie) przymusowego, dla zbycia następnie nadziałów za bilety 5%. Czy jednak mający tam skutkiem tego nastąpić stanowczy rozdział włościan od właścicieli korzystnym

będzie, nie tylko pod względem produkcyi rolnej, ale i pod każdym innym dla życia prowincyi? nie jest to nawet zagadką. Jeżeli wymaga tego stan bierny majątków, czyż się nie uformuje tam raczej jakie *Tellus*?

1862 (»Kuryer Wileński« Nr. 11¹).

¹ [W N-rze 22, na str. 176 »Kuryera« jest »Odpowiedź« dana na powyższy artykuł Tyszyńskiego, przez M. Dobużyńskiego].

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

SPIS RZECZY TOMU I-GO.

	Str.
ksander Tyszyński, zarys biograficzno-literacki przez Piotra Chmielowskiego	I

I. Z »AMERYKANKI W POLSCE«.

I. Karista do męża. O Szkołach poezyi polskiej	3
I. Karista do męża. O dawnej poezyi polskiej	61
I. Karista do męża. O poezyi polskiej komicznej	104

II. Z CZASOPISM DO ROKU 1866.

I. Dwaj ostatni krytycy w Polsce	121
I. Dzisiejsza poezya w Anglii	136
I. Edward Żeligowski (Antoni Sowa)	142
✓. Seweryna Pruszkowa	150
✓. »Dziwadła« J. I. Kraszewskiego	161
I. Z. Kaczkowski	166
I. Pol i Syrokomla	190
I. Karol Libelt	204
ζ. Pisma treści filozoficznej	227
ξ. Dzieje polskie wewnętrzne	262
I. Deotyma	283
I. Listy o piśmiennictwie bieżącym.	
1. Historia lit. powszechnej L. Siemieńskiego	350
2. Kazania księdza Wentury	370
3. Życie Kopernika przez D. Szulca	381
4. O sposobie osiągnięcia prawdy przez J. Balmesa	395
5. Wykład systematyczny filozofii przez J. Kremera	401

121

II

	Str
XIII. Eleonora Ziemiecka	41
XIV. Julian Bartoszewicz	42

DODATEK.

1. Sextus	468
2. Czynn czy pańszczyzna?	473

19 23



006120

GENERAL BOOKBINDING CO.

7 2345T 53 005 A 1 2v 6519

PROPERTY CONTROL MARK



PC 1051
71
71

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(415) 723-1493

All books may be recalled after 7 days

DATE DUE

--	--

the 1990s, the number of people in the UK who are aged 65 and over has increased from 10.5 million to 13.5 million, and the number of people aged 75 and over has increased from 4.5 million to 6.5 million (Office for National Statistics 2000).

There is a growing awareness of the need to address the needs of older people, and the need to ensure that the health care system is able to meet the needs of older people. The Department of Health (2000) has published a strategy for older people, which sets out the government's commitment to older people and the need to ensure that the health care system is able to meet the needs of older people.

The strategy for older people (Department of Health 2000) sets out the government's commitment to older people and the need to ensure that the health care system is able to meet the needs of older people. The strategy is based on the following principles:

- Older people should be able to live independently and actively in their own homes.
- Older people should be able to access the services they need to live independently and actively in their own homes.
- Older people should be able to access the services they need to live independently and actively in their own homes.

The strategy for older people (Department of Health 2000) sets out the government's commitment to older people and the need to ensure that the health care system is able to meet the needs of older people. The strategy is based on the following principles:

- Older people should be able to live independently and actively in their own homes.
- Older people should be able to access the services they need to live independently and actively in their own homes.
- Older people should be able to access the services they need to live independently and actively in their own homes.

The strategy for older people (Department of Health 2000) sets out the government's commitment to older people and the need to ensure that the health care system is able to meet the needs of older people. The strategy is based on the following principles:

- Older people should be able to live independently and actively in their own homes.
- Older people should be able to access the services they need to live independently and actively in their own homes.
- Older people should be able to access the services they need to live independently and actively in their own homes.